

Danielle Steel

Klejnoty

Przełożył Michał Przeczek

Dla Popeye

W życiu jest tylko jedna prawdziwa miłość, ta jedyna, która się liczy, która trwa wiecznie aż do chwili śmierci. Słodka miłości, jesteś moja. Moja jedyna, jedyna miłości... na wieczność.

Całym sercem Twoja Olive

Rozdział pierwszy

Powietrze znieruchomiało w blasku letniego słońca. Słysząc było śpiew ptaków, a każdy dźwięk niósł się w niezmierzoną przestrzeń. Sara siedziała bez ruchu, wyglądając z okna swego pokoju. Otaczające pałac tereny były wspaniale rozplanowane, a ogrody założone przez Le Notre'a - podobnie jak w Wersalu - idealnie utrzymane. Niebotyczne korony drzew otaczały zielonym baldachimem Chateau de la Meuze. Sam pałac liczył sobie czterysta lat, a Sara, księżna Whitfield, mieszkała w nim od pięćdziesięciu dwóch. Przybyła tu z Williamem, gdy była jeszcze młodą dziewczyną; uśmiechnęła się do tych wspomnień, obserwując uganiające się w oddali psy dozorczy. Pomyślała, że Max bardzo polubi te dwa młode owczarki, i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Przypatrywała się ziemi, na której tak ciężko pracowali - to zawsze przynosiło jej ukojenie. Wracła myślą do rozpaczliwych czasów wojny, ciągłego głodu, pól złupionych ze wszystkiego, co mogło ich wyżywić. To były bardzo ciężkie czasy. I wcale nie wydawały się bardzo odległe... Pięćdziesiąt lat, pół wieku...

Spojrzała na swoje dłonie, na dwa ogromne, w kształcie idealnego kwadratu szmaragdy - pierścienie, z którymi się nie rozstawała; nieustannie zaskakiwało ją, że widzi ręce starej kobiety. Te dłonie wciąż były piękne, delikatne i jeszcze dzięki Bogu użyteczne, ale były to ręce siedemdziesięcioletniej kobiety. Żyła szczęśliwie i długo; czasem przychodziło jej do głowy, że może zbyt długo bez Williama, ale zawsze było jeszcze coś do zobaczenia, do zrobienia, do przemyślenia i zaplanowania, coś związanego z ich dziećmi, czego należało dopilnować. Była wdzięczna za minione lata, ale nawet teraz nie odnosiła wrażenia, by cokolwiek się skończyło czy choćby dopełniło. Na drodze życia zawsze znajdzie jakiś zakręt, jakieś wydarzenie nie do przewidzenia, wymagające jej interwencji. Zaskakiwała ją myśl, że dzieci wciąż jej potrzebują, mniej niż sądzą, ale nadal zwracają się na tyle często, by czuła, że wciąż jest dla nich ostoją, że pozostaje ważna i nawet użyteczna. Były również wnuki. Na tę myśl uśmiechnęła się i wstała, wciąż wypatrując czegoś przez okno. Stąd będzie widziała, gdy przyjadą, zobaczy ich twarze uśmiechnięte lub zaniepokojone. Wsiądą z samochodów i z wyczekiwaniem popatrzą w jej okna, jakby wiedziały, że ona zawsze jest na swoim miejscu, że ich wypatruje. Niezależnie od zwykłych zajęć tego popołudnia, gdy dzieci miały przyjechać, zawsze wynajdywała coś do zrobienia w wytwornym saloniku na piętrze i tam czekała na swoją gromadkę. Mimo upływu tylu lat i chociaż wszystkie były już dorosłe, wpatrywanie się w ich twarze, wysłuchiwanie opowieści i zwierzeń zawsze wywoływało w Sarze Whitfield dreszcz podniecenia. Martwiła się o dzieci, kochała je, troszczyła się o nie bezustannie; każde z nich było na swój sposób małą częścią ogromnej

miłości, którą dzieliła z Williamem. To był zaiste cudowny człowiek, jego zalety przerastały wszelką fantazję i wyobrażenia. Każdy, kto go znał, był pod wrażeniem tej niezwyklej osobowości.

Sara powoli odeszła od okna, minęła biały marmurowy kominek, przy którym często siadywała w chłodne zimowe popołudnia rozmyślając, robiąc notatki lub pisząc listy do dzieci. Rozmawiała z nimi często przez telefon, gdy przebywały w Paryżu, Londynie, Rzymie, Monachium czy Madrycie, mimo to pisanie listów sprawiało jej wielką przyjemność.

Spoglądała na stół przykryty staroświeckim, wyblakłym brokatem, stanowiącym piękny przykład dawnego mistrzostwa w rzemiośle. Wyszukali tę tkaninę przed wielu laty w Wenecji. Delikatnie musnęła fotografie w ramkach i podniosła je bliżej oczu, by lepiej się przyjrzeć. Nagle przypomniał się jej ten moment... dzień ich ślubu, roześmiany William i ona spoglądająca nań z uśmiechem zawstydzenia spod przymrużonych powiek. Z oczu było tyle szczęścia nieklamanej radości, że podejrzewała, iż właśnie wtedy, w dniu ich ślubu pęknie jej serce. Była wtedy ubrana w beżową suknię z koronki i atlasu oraz bardzo stylowy kapelusz z koronki w kolorze śmietany z krótką woalką, w ręku trzymała wiązaną drobnych herbacianych storczyków. Skromna ceremonia ślubu odbyła się w domu jej rodziców, w obecności wybranych przyjaciół rodziny. Niemal setka przyjaciół przybyła na to spokojne, ale bardzo wytworne przyjęcie. Nie było druhen, odźwiernych ani ogromnego wesela, niewiele młodzieży. Towarzyszyła jej jedynie siostra w pięknie udrapowanej sukni z szafirowego atlasu i oszalamiającym kapeluszu od Lily Dache. Matka miała kostium ze spódnicą do kolan, szmaragdowozielony. Sara uśmiechnęła się na to wspomnienie... kolor sukni matki był niemal dokładnie taki sam, jak barwa dwóch wspaniałych szmaragdów. Sara Whitfield wyobrażała sobie, że matka byłaby ogromnie usatysfakcjonowana, iż jej córka miała tak wspaniałe życie.

Były jeszcze inne zdjęcia dzieci, cudowna fotografia Juliana z jego pierwszym psem, i Phillip, który robił wrażenie bardzo wysokiego, choć miał wtedy zaledwie osiem lub dziewięć lat i dopiero zaczynał naukę w Eton. Jeszcze kilkunastoletnia Isabelle, gdzieś w południowej Francji. I każde z nich w ramionach Sary tuż po urodzeniu. William zawsze sam robił zdjęcia; usiłował przy tym trzymać fason, udawać, że łyzy wcale nie kręcą mu się w oczach, gdy patrzy na żonę z kolejnym niemowlęciem. I malutka Elizabeth stojąca obok Phillipa na fotografii tak poźółkłej, że trudno na niej cokolwiek zobaczyć. Łzy napłynęły do oczu Sary, jak zawsze, gdy zagłębiała się we wspomnieniach. Do tej pory żyła pełnią udanego życia, choć nie zawsze było to takie łatwe.

Długo stała patrząc na fotografie, dotykając myślą tamtych chwil, delikatnie odkurzając wspomnienia i zarazem próbując ominąć te zbyt bolesne. Westchnęła i ponownie stanęła przy wysokim francuskim oknie.

Była zgrabna, wysoka, wyprostowana, głowę nosiła z dumą i gracją tancerki. Jej śnieżnobiałe włosy niegdyś lśniły jak heban; ogromne zielone oczy miały tę samą głęboką, ciemną barwę co szmaragdy. Spośród dzieci tylko Isabelle miała podobne oczy, choć nie były one tak ciemne. Ale żadne z dzieci nie miało odziedziczyć jej siły i stylu, jej hartu: potężnej woli przetrwania wszystkich przeciwności losu. Życie dzieci było łatwiejsze. Zastanawiała się jednak, czy jej ciągła matczyzna troska nie zrobiła z nich mięczaków; jeżeli im zanadto pobbłażała, stawały się bardziej bezradne. Co prawda, nie sposób było uznać za słabego Phillipa, Juliana ani Xaviera, ani nawet Isabelle. Mimo to Sara miała w sobie coś, czym nie było obdarzone żadne z jej dzieci - prawdziwy hart ducha, siłę, która wydawała się z niej emanować. Tę moc wносиła z sobą niezależnie od tego, czy ktoś ją lubił, czy nie. Już sam jej widok wymuszał szacunek. William był podobny, może bardziej wylewny, otwarty, cieszący się życiem i dający wyraz swej dobrodusznej naturze. Sara była cichsza, spokojniejsza, chyba że przebywała z Williamem. On wydobywał z niej to, co najlepsze. Często powtarzała, że dał jej wszystko, na czym jej zależało, co kochała i czego potrzebowała. Uśmiechnęła się patrząc na zieleń trawników, przypominając sobie, jak się to wszystko zaczęło. Zdawało się, że od tamtych chwil upłynęły zaledwie dni lub godziny. Wprost nie do wiary, że jutro przypadają jej siedemdziesiąte piąte urodziny! Mają przyjechać dzieci i wnuki, by razem święcić ten dzień. Pojutrze pojawią się setki znakomitych osobistości. Myśl o przyjęciu wydawała się Sarze niemądra, ale uległa naleganiom dzieci. Uroczystość zorganizował Julian, a Phillip dzwonił chyba sześć razy z Londynu, by się upewnić, że wszystko przebiega jak należy. Xavier przysiągł, że przyleci, by być razem z nią, choćby nawet znajdował się w Botswanie, Brazylii czy Bóg wie gdzie jeszcze. Teraz czekała na nich wszystkich, stojąc przy oknie niemal bez tchu, odczuwając przyływ podniecenia. Miała na sobie nie nową, ale pięknie skrojoną, prostą suknię od Chanel oraz ogromne, doskonale harmonizujące z jej strojem perły, z którymi prawie się nie rozstawała. Widok tych klejnotów zapierał dech w piersi ludziom oglądającym je po raz pierwszy. Należały do niej od czasów wojny, a gdyby sprzedano je dzisiaj, przyniosłyby ponad dwa miliony dolarów. Ale Sarze nawet nie przyszło to do głowy; po prostu je nosiła, bo kochała, a William nalegał, by je zachowała: - "Księżna Whitfield powinna mieć takie perły, moja ukochana" - żartował, gdy przymierzyła je po raz pierwszy, będąc ubrana w stary sweter, przeznaczony do pracy w ogrodzie. - "To wstyd, że perły mojej matki wyglądały tak mizernie w porównaniu z tymi" - zauważył, a ona wybuchnęła śmiechem; przyciągnął ją do siebie i pocałował. Sara Whitfield miała piękne rzeczy, miała też wspaniałe życie. I była nietuzinkową kobietą...

Zniecierpliwiona odwróciła się od okna, oczekując gości i wtedy usłyszała pierwszy samochód, który właśnie ukazał się na podjeździe. Była to bardzo długa limuzyna marki Rolls-Royce z tak ciemnymi szybami, że Sara nie mogła dostrzec, kto znajduje się w środku.

Samochód zatrzymał się dokładnie przed głównym wejściem do pałacu, niemal pod jej oknem. Gdy szofer pośpieszył otworzyć drzwi, potrząsnęła głową z rozbawieniem. Jej najstarszy syn prezentował się wyjątkowo wytwornie, a do tego wyglądał jak typowy Anglik; najwyraźniej starał się nie robić wrażenia zdominowanego przez wysiadającą zaraz za nim kobietę. Była ubrana w białą jedwabną suknię i buty od Chanel. Włosy obcięła krótko i bardzo modnie, a brylanty błyszcząły w letnim słońcu dosłownie wszędzie. Sara ponownie uśmiechnęła się do siebie, odwracając od widocznej za oknem sceny. To był zaledwie początek kilku szalonych, ciekawych dni. Wprost trudno w to uwierzyć. Nie mogła przestać zastanawiać się, co pomyślałby o tym wszystkim William, o całym tym zamieszaniu z powodu jej siedemdziesiątych piątych urodzin. Siedemdziesiąt pięć lat... to niedługo, jakby jedynie kilka chwil upłynęło od momentu, kiedy wszystko się zaczęło...

Rozdział drugi

Sara Thompson urodziła się w Nowym Jorku w roku 1916. Była młodszą z dwóch córek, miała także nieco mniej szczęścia, choć otaczano ją komfortem i szacunkiem jako kuzynkę zarówno Astorów, jak i Biddle'ów. Jej siostra, Jane w wieku dziewiętnastu lat wyszła za mąż za Petera Vanderbilta, Sara zaś zaręczyła się z Freddie van Deeringiem dokładnie dwa lata później, w Dzień Dziękczynienia. Miała wtedy także dziewiętnaście lat, a Jane i Peter akurat doczekali się pierwszego dziecka. Cudowny chłopczyk z rudawymi kędziorkami miał na imię James.

Zaręczyny Sary z Freddie nie zdziwiły rodziców, Thompsonowie bowiem znali van Deeringów od lat. I chociaż Frieddiego widywano rzadko, gdy przebywał w szkole z internatem, często przyjeżdżał do Nowego Jorku w czasie studiów w Princeton. Uniwersytecki dyplom otrzymał w czerwcu tego samego roku, w którym się zaręczyli. Od tamtej niezapomnianej chwili był nieustannie w znakomitym nastroju, znajdował jednak czas, by zalecać się do Sary. Bystry, żywy, bez przerwy płatał figle przyjaciółom i pilnował, by wszyscy, a szczególnie Sara, dobrze się bawili. Rzadko bywał poważny, traktowano go jak duszę towarzystwa. Ujmował Sarę okazowanymi względami i bawił ją swym nieustannym humorem. Miło było z nim przebywać w jednej kompanii, łatwo się rozmawiało, a jego śmiech i doskonałe samopoczucie stawały się zaraźliwe. Freddiego lubili wszyscy, a jeśli brakowało mu ambicji, by zająć się poważną pracą, nikomu to nie przeszkadzało, z wyjątkiem, być może, ojca Sary. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nawet gdyby całe życie nie pracował, mógłby błogo egzystować dzięki rodzinnej fortunie. Ojciec Sary uważał jednak, że młody człowiek powinien się udzielać w świecie biznesu, niezależnie od tego, jak wielki ma majątek i kim są jego rodzice. Edward Thompson był właścicielem banku i przed samymi zaręczynami dość szczegółowo omawiał z Freddie jego plany na przyszłość. Przyszły zięć zapewnił go, że ma szczerzy zamiar się ustabilizować. Zaoferowano mu doskonałą posadę w firmie J. P. Morgan & Co. w Nowym Jorku i jeszcze lepszą w Bank of New England w Bostonie. W styczniu zamierzał przyjąć jedną z nich, co usatysfakcjonowało ojca Sary. Pozwolił więc na oficjalne zaręczyny córki.

To były naprawdę wspaniałe święta. Bez przerwy organizowano przyjęcia na ich cześć, co wieczór wychodzili się bawić, odwiedzali przyjaciół i tańczyli do białego rana. Były spotkania na ślizgawce w Central Park, obiady i kolacje, częste potańcówki. Sara dostrzegła, że Freddie nie stroni od alkoholu, ale niezależnie od tego, ile wypił, nie tracił nic ze swego czaru, inteligencji i uprzejmości. Cały Nowy Jork uwielbiał Freddiego van Deeringa.

Ślub wyznaczono na czerwiec i do wiosny Sara była pochłonięta wybieraniem weselnych prezentów, przymiarkami ślubnej sukni i nieustającym życiem towarzyskim. Czowała coś w rodzaju

ciąglego zawrotu głowy. W tym okresie prawie nigdy nie widywała się z Freddiem sam na sam; spotykali się wyłącznie na przyjęciach. Pozostały czas spędzał z przyjaciółmi, przygotowującymi go do wielkiego skoku w nurt Małżeńskiej Stabilizacji.

Sara zdawała sobie sprawę, że te miesiące powinny być pasmem szczęścia, ale w gruncie rzeczy, co w końcu wyznała w maju Jane, wcale tego tak nie odczuwała. Za dużo było zamieszania, wszystko wymykało się spod kontroli, a poza tym czuła się całkowicie wykończona nerwowo. Wreszcie któregoś popołudnia, po ostatniej przymiarce ślubnej sukni, rozplakała się, a siostra bez słowa wręczyła jej własną koronkową chusteczkę i delikatnie pogłaskała po włosach, spadających czarną kaskadą poniżej ramion.

- Wszystko będzie w porządku, kochanie. Każda dziewczyna podobnie reaguje przed ślubem. Powinno być cudownie, a w rzeczywistości to trudne dni. Dzieje się tyle naraz, brak czasu, by spokojnie usiąść i pomyśleć, albo choćby na chwilę zostać samą... Przed naszym ślubem też przeżyłam straszny okres.

- Tak? - wielkie zielone oczy Sary spoczęły na starszej siostrze, która właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat i wydawała się nieporównanie mądrzejsza. Ogromną ulgę sprawiła jej wiadomość, że ktoś oprócz niej czuł się równie przytłoczony i zagubiony przed tą ważną uroczystością.

Sara nie wątpiła w uczucia Freddiego, w to, że jest dobrym człowiekiem i że po ślubie będą szczęśliwi. Sądziła tylko, że zbyt dużo jest tej ciągłej zabawy, rozrywek, przyjęć i zamętu. Freddie wydawał się zajęty wyłącznie udziałem w rozrywkach lub planowaniem ich. Od miesięcy nie rozmawiali z sobą poważnie. Ciągle jeszcze nie określił swoich planów dotyczących pracy. Powtarzał tylko, żeby się nie martwiła. Nie podjął pracy w banku po pierwszym stycznia, ponieważ miał tyle rzeczy do zrobienia przed ślubem, że nowe zajęcie doprawdy zanadto by go rozpraszało. Już wtedy Edward Thompson odniósł się pesymistycznie do wizerunku przyszłego zięcia, ale córce nic o tym nie wspomniał. Swoimi wątpliwościami podzielił się z żoną; Victoria Thompson była przekonana, że Freddie po ślubie się ustakuje. Bądź co bądź studiował przecież w Princeton...

Ślub miał miejsce w czerwcu, a chwila ta warta była wyłożonych przygotowań. Wspaniała uroczystość odbyła się w kościele Świętego Tomasza na Piątej Alei, a przyjęcie weselne w Saint Regis. Czterystu gości balowało przy cudownej muzyce przez całe popołudnie, racząc się doskonałymi daniami. Czternaście druzhen wspaniale prezentowało się w brzoskwiniowych sukniach z tiulu. Sara miała na sobie niewiarygodnie piękną suknię z białej koronki i francuskiej organdy oraz biały, również koronkowy, welon, który należał jeszcze do jej babki. Tren sukni mierzył dwadzieścia stóp. Wyglądała prześlicznie. Pogoda dopisała jak wszystko inne - przez cały

dzień świeciło słońce, a Freddie był niesamowicie przystojny. To było pod każdym względem doskonałe wesele.

Miesiącowi miodowemu też niewiele brakowało do doskonałości. Freddie wynajął od przyjaciela dom na Cape Cod oraz mały jacht i przez pierwsze cztery tygodnie małżeństwa byli tylko we dwoje. Sara początkowo czuła się onieśmielona, ale on był subtelny, taktowny i zawsze tryskał humorem. Okazywał bystrość i przenikliwość, gdy już zdobył się na powagę, co zdarzało się rzadko. Odkryła też, że jest świetnym żeglarzem. Jego skłonność do popijania zaczęła ją niepokoić tuż przed ślubem, ale Freddie twierdził, że to tylko element dobrej zabawy.

Miesiąc miodowy mijał tak wspaniale, że nie chciało się jej wracać w lipcu do Nowego Jorku, ale właściciele wynajętego domu właśnie wracali z Europy. Sara i Freddie musieli się urządzać i przeprowadzić do własnego mieszkania. Znaleźli apartament w Nowym Jorku, na Upper East Side. Zamierzali jednak spędzić dalszy ciąg lata u rodziców Sary w Southampton, aż malarze, dekorator i inni fachowcy przygotują ich nowe gniazdko.

Ale jesienią, gdy wrócili do Nowego Jorku, Freddie znowu był zbyt zajęty, by poszukać pracy. W gruncie rzeczy był zbyt zajęty, by zająć się czymkolwiek, oczywiście wyjąwszy swych przyjaciół. Dużo pił. Sara zauważyła to latem w Southampton, ilekroć wracał z miasta. A kiedy przenieśli się do apartamentu w Nowym Jorku, już nie dało się tego ukryć. Późnym popołudniem przychodził do domu pijany, po całym dniu spędzonym z przyjaciółmi. Niekiedy pojawiał się dopiero dobrze po północy. Czasem zabierał ze sobą Sarę na przyjęcia lub bale, gdzie zawsze okazywał się duszą towarzystwa. Z każdym był za pan brat i wszyscy mieli świadomość, że bawią się doskonale, dopóki jest z nimi Freddie van Deering. Wszyscy oprócz Sary, która wyglądała na zrozpaczoną na długo przed Bożym Narodzeniem. W ogóle nie wspominał o podjęciu pracy i na nic się zdały delikatne próby przedyskutowania tej kwestii. Wyglądało na to, że Freddie nie ma innych planów, niż umilać sobie życie i szumieć.

Z miesiąca na miesiąc Sara coraz bardziej mizerniała i wreszcie w styczniu Jane zaprosiła ją na herbatę, by sprawdzić, co się dzieje z siostrą.

- Czuję się dobrze - Sara udawała rozbawioną tym, że siostra się o nią martwi, ale kiedy podano herbatę, zbladła jeszcze bardziej i nie mogła jej wypić.

- Kochanie, co się z tobą dzieje? Powiedz mi, proszę! Musisz mi powiedzieć! - Jane była niespokojna o Sarę od ubiegłych świąt Bożego Narodzenia. Podczas uroczystej kolacji w domu ich rodziców Sara była niezwykle milcząca. Freddie bawił towarzystwo rymowanymi toastami poświęconymi członkom rodziny, także służącym, oraz Jupiterowi - psu Thompsonów, który szczekał, gdy wszyscy bili brawo Freddiemu za udaną rymowanąkę. Towarzystwo było tak rozbawione, że fakt, iż mąż Sary był na więcej niż lekkim rauszu, uchodził uwagi gości.

- Nic mi nie jest, naprawdę - upierała się Sara, ale w końcu z łkaniem rzuciła się w ramiona siostry i przyznała, że wcale się dobrze nie czuje. Była przygnębiona, Freddie przebywał ciągle poza domem, przesiadywał całymi godzinami z przyjaciółmi; Sara nie przyznała się Jane, że niekiedy podejrzewa, iż tymi przyjaciółmi mogą być kobiety. Próbowwała skłonić go, by spędzał z nią więcej czasu, ale wydawał się nie mieć wcale na to ochoty. I pociągał z butelki częściej niż kiedykolwiek. Wypijał pierwszego drinka na długo przed południem, niekiedy zaraz po wstaniu z łóżka, i wmawiał żonie, że to nic nie szkodzi. Mówił o Sarze "moja mała pedantka" i z rozbawieniem bagatelizował jej niepokoje. A ona na dodatek akurat stwierdziła, że będzie miała dziecko.

- Ależ to cudownie! - wykrzyknęła z zachwytem, Jane. - Ja też jestem w ciąży! - dodała, a Sara uśmiechnęła się przez łzy, niezdolna wyjaśnić starszej siostrze ogromu swojego nieszczęścia. Życie Jane było zupełnie odmienne. Wyszła za męża za poważnego, odpowiedzialnego człowieka, który traktował poważnie swoje małżeństwo, gdy tymczasem Freddie van Deering z całą pewnością miał na ten temat inny pogląd. Mimo wielu zalet - potrafił być czarujący, zabawny, dowcipny - odpowiedzialność była dla niego czymś równie nie znanym jak obcy język. Sara powzięła uzasadnione podejrzenie, że mąż nigdy się nie usatkuje. Był typem zagorzałego hulaka. Ojciec Sary miał te same obawy, ale Jane była nadal przekonana, że wszystko się dobrze ułoży, zwłaszcza gdy Sara urodzi dziecko. Obie siostry doszły do wniosku, że ich dzieci przyjdą na świat niemal w tym samym terminie - może je dzielić zaledwie kilka dni. Ten drobny szczegół trochę pocieszył Sarę, zanim wróciła do pustego mieszkania.

Freddiego jak zwykle nie było - tej nocy w ogóle nie wrócił do domu. Następnego dnia przyszedł około południa i ze skrucą wyznał, że grał w brydża do czwartej nad ranem i bał się wrócić do domu, by Sary nie obudzić.

- Czy aby nie robiłeś czegoś więcej? - po raz pierwszy zwróciła się do niego z gniewem. Spojrzał zaskoczony jej zapalczywością. Dawniej odnosiła się do jego wyskoków kompromisowo i ze stoickim spokojem, ale tym razem zareagowała bardzo impulsywnie.

- Ależ o co ci chodzi? - zapytał i spojrzał na nią ze zdziwieniem; szeroko rozwarte błękitne oczy i płowe włosy upodobały go do Tomka Sawyera.

- Chodzi mi o to, co naprawdę robisz, kiedy nie ma cię w domu do pierwszej czy drugiej w nocy? - w głosie Sary brzmiała autentyczna złość.

Uśmiechnął się jak nieznośny chłopak, który wie, że zawsze potrafi wszystkich naokoło zbałamucić.

- Czasami zdarza mi się trochę za dużo wypić. To wszystko. Kiedy już tak się stanie, łatwiej mi zostać tam, gdzie jestem, niż wracać do domu, gdy ty śpisz. Nie chcę cię denerwować, Saro.

- Ale to robisz. Nigdy cię nie ma w domu. Zawsze przebywasz ze swoimi przyjaciółmi, co noc wracasz pijany. Żonaci mężczyźni nie postępują w ten sposób - Sara pałała gniewem.

- Żonaci mężczyźni? Masz na myśli swego szwagra czy normalnych ludzi, nieco bardziej odważnych i pełnych radości życia? Przykro mi, moja droga, ale ja nie jestem Peterem.

- Nigdy nie chciałam, żebyś nim był. Ale kim jesteś? Za kogo wyszłam za męża? Prawie się nie widzimy, chyba że na przyjęciach, ale i tam raczej twoi przyjaciele mają z ciebie pociechę. Grasz w karty, opowiadasz anegdoty, pijesz albo wychodzisz, jeden Bóg wie dokąd - powiedziała ze smutkiem, chcąc wyrzucić z siebie całą prawdę.

- Wolałabyś, żebym siedział z tobą w domu? - zasugerował rozbawiony i po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach coś nikczemnego: śmiała rzucić wyzwanie jego stylowi życia, zagrażała jego zachciankom.

- Tak, wolałabym, abyś więcej czasu spędzał ze mną w domu. Czy to takie szokujące?

- Nie szokujące, po prostu głupie. Wyszłaś za mnie, ponieważ było ci ze mną wesoło, czyż nie mam racji? Gdybyś chciała za męża takiego nudziarza jak twój szwagier, tobyś takiego szukała, ale tego nie zrobiłaś. Wolałaś mnie, a teraz chcesz, żebym stał się podobny do Petera. No cóż, kochanie, zapewniam cię, że tak się nie stanie.

- A więc co będzie? Miałaś zacząć pracować! Obiecałaś ojcu, a nie zrobiłaś tego...

- Nie muszę pracować, Saro. Nudzisz mnie do granic wytrzymałości. Powinnaś być szczęśliwa, że nie muszę przekładać papierków w jakiejś durnej robocie, usiłując zarobić na utrzymanie.

- Ojciec uważa, że dobrze by ci to zrobiło, ja jestem tego samego zdania. - Było to najbardziej odważne stwierdzenie, na jakie sobie do tej pory pozwoliła; poprzedniej bezsennej nocy przez długie godziny układała sobie tę przemowę. Chciała, by ich życie stało się lepsze, chciała mieć prawdziwego męża, zanim narodzi się dziecko.

- Twój ojciec to relik, jest z innego pokolenia - rzucił urągliwie - a ty jesteś idiotką.

Kiedy wypowiedział te słowa, zdała sobie sprawę, że nie dostrzegła tego, co powinna była dostrzec, gdy tylko wszedł do pokoju. Znowu jest wstawiony. Było zaledwie południe, a on wyraźnie pod dobrą datą! Popatrzyła na niego z odrazą.

- Może porozmawiamy o tym innym razem.

- Sądzę, że to dobry pomysł.

Wyszedł znowu, ale tego wieczora wrócił wcześniej, a nazajutrz uczynił wysiłek, by wstać rano o przyzwoitej porze. Właśnie wtedy zorientował się, jak bardzo jest chora. Zaskoczony wypytywał ją o to przy śniadaniu. Mieli kobietę na posługę, która co dzień przychodziła sprzątać dom, prasować i przygotowywać posiłki. Sara zwykle lubiła sama gotować, ale przez ostatni

miesiąc zupełnie nie mogła znieść kuchennych zapachów. Tyle że Freddie nie bywał w domu dostatecznie często, by to zauważyć.

- Coś nie w porządku? Czy jesteś chora? Może powinnaś pójść do lekarza? - wyglądał, jakby był mocno przejęty, spoglądając na nią sponad porannej gazety. Słyszał rano, że strasznie zbierało się jej na wymioty. Zastanawiał się, czy aby nie zjadła czegoś niestrawnego.

- Byłam u lekarza - odpowiedziała ze spokojem, wpatrując się w niego, ale upłynęło sporo czasu, zanim rzucił krótkie spojrzenie spod uniesionych brwi - zdążył już zapomnieć, o co pytał.

- O czym mówiliśmy? Ach tak... w porządku... dobrze. Co on powiedział? Grypa? Powinnaś uważać na siebie, wiesz, pełno zarazków w powietrzu. Matka Toma Parkera omal nie umarła w zeszłym tygodniu.

- Nie sądzę, bym miała od tego umrzeć - uśmiechnęła się rozbawiona, a on wrócił do swojej gazety. Przedłużające się milczenie stało się niezręczne. Chwilę później ponownie spojrzał na Sarę, widać zapomniał kompletnie o wcześniejszej rozmowie.

- Straszna sprawa w Anglii z tym Edwardem VIII, który abdykuje, by się nie musieć wyrzec pani Simpson. Ona musi być doprawdy kimś więcej, skoro go skłoniła do takiego poświęcenia.

- Myślę, że to smutne - stwierdziła Sara z powagą. - Ten biedny człowiek tyle przeszedł; jak ona mogła tak zrujnować mu przyszłość? Jakie może być ich wspólne życie?

- Może być całkiem pikantne - uśmiechnął się szelmowsko; wyglądał bardziej interesująco niż kiedykolwiek i to ją zasmuciło. Nie wiedziała już, czy go kocha, czy nienawidzi - dotychczasowe życie z nim było takim koszmarem. Ale może Jane ma słuszość, może wszystko poprawi się, gdy przyjdzie na świat dziecko?

- Będę miała dziecko - powiedziała niemal szeptem i zdawało się przez chwilę, że Freddie jej nie słyszy. Łzy bólu wezbrały w oczach Sary. Wstał, odwrócił się do niej i spojrzał tak, jakby miał nadzieję, że Sara żartuje.

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową, nie mogąc wydobyć już ani słowa i powstrzymać łez. Poczula coś w rodzaju ulgi, gdy wreszcie to z siebie wyrzuciła. Już przed świętami wiedziała o ciąży, ale nie miała odwagi, by to wyjawić. Pragnęła przytulnego kokonu opieki, chciała chwili spokojnego szczęścia, a od pobytu w Cape Cod przed siedmiu miesiącami nic takiego się nie zdarzyło.

- Tak, mówię bardzo serio - i to widać było w jej oczach.

- To fatalnie. Nie uważasz, że trochę za wcześnie? Myślałem, że jesteśmy ostrożni.

Myszkował niespokojnie wzrokiem po bokach, wcale nie wyglądając na uszczęśliwionego. Sara poczuła, że dławi ją w krtani - tak bardzo starała się nie wygłupić w jego obecności.

- Ja też tak myślałam - przeniosła na niego zażawione spojrzenie. Freddie zbliżył się i zmierzwił jej włosy, jakby była jego małą siostrzyczką.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Kiedy urodzi się dziecko?

- W sierpniu - bardzo starała się nie płakać, ale trudno jej było nad sobą panować. Przynajmniej nie był wściekły, jedynie zaniepokojony. Ona też czuła się złapana w pułapkę bezsilności, gdy usłyszała tę wiadomość. Już wtedy ich więź zaczęła się rwać. Nie łączyły ich chwile wspólnie spędzanego czasu, zbyt mało było ciepła i porozumienia.

- Peterowi i Jane też urodzi się wtedy dziecko.

- Szczęściarze - odparł sarkastycznie, zastanawiając się, co ma z nią teraz począć. Małżeństwo okazało się znacznie większym ciężarem, niż się spodziewał. Sara prawie nie ruszała się z domu i jego usiłowała schwytać w tę pułapkę. Teraz przyszła młoda matka wyglądała na jeszcze bardziej załamana.

- Nie mamy szczęścia, co? - powiedziała z wyrazem udręki, nie mogąc powstrzymać łez, które spływały jej po policzkach.

- Nie jest to najlepsza pora, ale nie zawsze człowiek sobie wybiera termin, prawda?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Freddie wyszedł z pokoju i po półgodzinie opuścił dom. Umówił się z przyjaciółmi na lunch i nie powiedział, kiedy wróci, zresztą nigdy tego nie robił. Tej nocy Sara długo płakała. Zjawił się dopiero następnego ranka kompletnie pijany, tak że nie mógł dojść dalej niż do kanapy w salonie. Słyszała, gdy wchodził, ale po chwili był już nieprzytomny.

W ciągu następnego miesiąca miała już bolesną pewność, jak bardzo wstrząsnęła nim ta nowina. Samo małżeństwo okazało się wstrząsem, a myśl o dziecku napełniła go prawdziwym przerażeniem. Peter starał się wyjaśnić to Sarze pewnego wieczora, kiedy jadła z nimi kolację. Fakt, że nie jest z Freddiem szczęśliwa, nie był już wtedy dla nich tajemnicą. Poza siostrą i szwagrem nikt o tym nie wiedział, ale tym dwojgu zwierzyła się.

- Niektórych mężczyzn przeraża ten rodzaj odpowiedzialności. To oznacza, że jeszcze sami muszą dorosnąć. Muszę przyznać, że też wystraszyłem się za pierwszym razem - spojrzał rozkochanym wzrokiem na Jane, a potem całkiem trzeźwo i realistycznie na jej siostrę. - A Freddie jest niekoniecznie znany ze stateczności. Może gdy zobaczy dziecko, przekona się, że to nie takie straszne zagrożenie, jak sobie wyobraża. Dzieci są słodkie, kiedy są małe. Ale mogą zdarzyć się trudne chwile, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat.

Peter współczuł jej bardziej, niż to okazywał; często powtarzał żonie, że uważa Freddiego za łobuza co się zowie. Ale Sarze nie zamierzał robić przykrości. Wolał ją pocieszyć wspominając o dziecku.

Samopoczucie Sary bardzo się pogarszało, a zachowanie Freddiego, jego wyraźny już alkoholizm, nie wróżył nic dobrego. Trzeba było całej pomysłowości Jane, by Sarę wyrwać z tego stanu. Któregoś dnia Jane udało się wyciągnąć ją po zakupy. Szły do Bonwit Teller na Piątej Alei, gdy Sara nagle zbladła jak ściana i potknęła się, chwytając siostrę za ramię.

- O Boże, co się dzieje? - Jane spojrzała na nią przerażona.

- Nic... nic mi nie jest, nie wiem, co się stało...

Przeszył ją potworny ból, ale trwał tylko chwilę.

- Usiądźmy - Jane szybko dała komuś znak, poprosiła o krzesło i szklanek wody, gdy Sara ponownie złapała ją za rękę. Na czoło wystąpiły kropelki potu, a jej twarz przybrała szarzieloną barwę.

- Przepraszam... Jane, wcale nie czuję się dobrze. - Zemdlała prawie dokładnie w chwili, gdy wypowiadała te słowa. Karetka zjawiła się wkrótce po wezwaniu, z Bonwit's wyniesiono Sarę na noszach. Odzyskała już przytomność, a Jane przerażona biegła obok. Pozwolono jej jechać w karetce razem z Sarą do szpitala. Jeszcze w sklepie Jane poprosiła, by wywołano telefonicznie Petera z jego biura, a matkę zawiadomiono w domu. Oboje zjawili się w szpitalu kilka minut później. Peter martwił się bardziej o Jane niż o kogokolwiek innego. Przytuliła się do niego szlochając, gdy matka poszła do Sary. Nie wychodziła długo, a gdy opuściła szpitalną salę, spojrzała na starszą córkę wycierając łzy.

- Czy Sara czuje się lepiej? - zapytała z niepokojem Jane; matka skinęła głową i usiadła. Była dla nich obu dobrą matką - opanowaną, bezpretensjonalną, o dobrym guście i rozsądnych poglądach. Wartości te dobrze służyły obu córkom, chociaż ta dawka zdrowego rozsądku, której doświadczyły, niewiele zdało się Sarze w jej stosunkach z Freddie.

- Będzie zdrowa - oświadczyła Victoria Thompson podając im obie ręce, a Peter i Jane mocno uchwycili jej dłonie. - Straciła dziecko... ale jest bardzo młoda...

Victoria Thompson przeżyła taką samą tragedię. Straciła syna jeszcze przed narodzeniem Sary i Jane, ale nigdy nie podzieliła się tym smutnym epizodem życia ze swymi dziećmi. Powiedziała o tym Sarze dopiero teraz, mając nadzieję, że to ją pocieszy.

- Pewnego dnia urodzi inne dziecko - westchnęła Victoria, bardziej przejęta tym, co Sara zdradziła jej na temat swego życia z Freddie. Wypłakiwała sobie oczy i upierała się, że to wyłącznie jej wina. Poprzedniego wieczora sama dźwigała meble, ale Freddiego nigdy nie było, by jej pomóc. Potem już wartkim strumieniem popłynęła opowieść, jak mało z nią spędza czasu, że pije, jak bardzo jest z nim nieszczęśliwa i jak strasznie przeżywa utratę dziecka.

Upłynęło kilka godzin, zanim lekarze pozwolili im znowu zobaczyć Sarę. Peter wrócił do biura, ale wcześniej wymógł na Jane przyrzeczenie, że przed wieczorem wróci do domu, aby

wypocząć i odzyskać siły po przeżyciach tego dnia. Ona także jest w ciąży, a jedno poronienie jest już wystarczającym nieszczęściem w rodzinie.

Jane i matka usiłowały dodzwonić się do Freddiego, ale on był jak zwykle nieuchwytny i nikt nie wiedział, gdzie przebywa ani kiedy wróci. Służącej było bardzo przykro, gdy usłyszała o "wypadku" pani van Deering; obiecała skierować do szpitala pana van Deeringa, jeśli zatelefonuje albo się pojawi, co milcząco uznano za mało prawdopodobne.

- To wszystko moja wina - łkała Sara, gdy zobaczyły ją ponownie. - Nie pragnęłam tego dziecka dość mocno... Martwiłam się, bo Freddie był taki zaniepokojony. Nie mogła się opanować, aż matka wzięła ją w ramiona. Potem już wszystkie trzy płakały razem; w końcu musiano dać Sarze lekarstwo na uspokojenie. Miała pozostać w szpitalu kilka dni, Victoria powiedziała więc pielęgniarce, że zostanie z córką na rozmowę z mężem, telefonując z korytarza.

Kiedy Freddie wrócił tej nocy do domu, z niemałym zaskoczeniem stwierdził, że w salonie czeka na niego teść. Szczęśliwie wypił mniej niż zazwyczaj i był zdumiewająco trzeźwy, zważywszy że minęła już północ. Wieczór był nudny i postanowił wcześniej wrócić do domu.

- Dobry Boże!... Co pan tutaj robi, sir? - zaczerwienił się lekko, po czym obdarzył gościa szerokim, chłopcim uśmiechem.

Wtedy zdał sobie sprawę, że musiało się stać coś bardzo złego, skoro Edward Thompson czeka o tej porze w jego mieszkaniu. - Czy z Sarą wszystko w porządku?

- Nie, nie w porządku. - Edward Thompson przez chwilę omijał go wzrokiem, a potem spojrzał zięciowi prosto w oczy. Nie było potrzeby ani możliwości owijać w bawełnę. - Ona... ee... poroniła dziś rano i przebywa w szpitalu Lennox Hill. Matka jest jeszcze przy niej.

- Poroniła? - Freddie wyglądał na zaskoczonego, ale jednocześnie odczuł ulgę. Żywił nadzieję, że nie jest na tyle pijany, aby nie potrafić tego ukryć. - Jakże mi przykro.

Wyraził to tak oszczędnie, jakby chodziło o żonę kogoś innego i o jakieś obce dziecko.

- Czy nic jej nie grozi?

- Mam nadzieję, że będzie mogła mieć dzieci. Natomiast wyraźnie nie w porządku jest to, że dowiaduję się od mojej żony, iż stosunkom między wami daleko do idylli. W normalnej sytuacji nie ośmieliłbym się wtrącać w małżeńskie sprawy moich córek, ale w tych raczej niezwykłych okolicznościach, kiedy Sara jest tak bardzo chora, dostrzegam odpowiednią chwilę, by o tym z tobą pomówić. Żona twierdzi, że Sara była silnie wzburzona przez całe popołudnie; uważam też za rzecz znaczącą, Fredericku, że od wczesnego rana nikt nie był w stanie cię znaleźć. To nie stwarza szczęśliwych perspektyw na przyszłość ani dla niej, ani dla ciebie. Czy jest coś takiego, o czym powinniśmy dowiedzieć się teraz? Czy czujesz się zdolny do wytrwania w małżeństwie z moją córką w takim duchu, w jakim wkraczałeś w ten związek?

- Ja... ja... oczywiście. Czy napije się pan, panie Thompson? - żwawo podszedł do barku i nalał sobie sporą szklanę szkockiej z odrobiną wody.

- Dziękuję, nie. - Edward Thompson wyczekując obserwował z niechęcią zięcia; Freddie nie miał wątpliwości, że starszy pan spodziewa się odpowiedzi. - Czy jest coś, co nie pozwala ci zachowywać się przyzwoicie?

- Ja... ee... cóż, sir, to dziecko było trochę nieoczekiwane.

- Rozumiem, Fredericku. Dzieci bywają zaskoczeniem. Czy istnieją jakieś poważne nieporozumienia między wami, o których powinienem wiedzieć?

- Ależ nie. Ona jest wspaniałą dziewczyną. Ja... ja, ee... potrzebowałem tylko nieco czasu, by przystosować się do roli męża.

- I do tego, by zająć się pracą, jak sędzę - spojrzał ostro na Freddiego, który zorientował się, co go czeka.

- Tak, naturalnie. Zamierzałem podjąć pracę po urodzeniu dziecka.

- Teraz już możesz nie zwlekać.

- Oczywiście, sir.

Edward Thompson podniósł się; wyglądał jak uosobienie powagi i godności, gdy spoglądał na Freddiego prezentującego się cokolwiek niechlujnie.

- Mogę więc oczekiwać, Fredericku, że odwiedzisz Sarę jutro rano tak wcześnie, jak to tylko możliwe.

- Oczywiście, sir.

- Przyjadę po jej matkę do szpitala o dziesiątej. Jestem pewien, że wówczas cię tam spotkam. Czy mam rację?

- Nie ulega wątpliwości, sir.

- Doskonale, Fredericku - odwrócił się w drzwiach i po raz ostatni spojrzał na zięcia. - Czy my się rozumiemy?

Bardzo mało zostało powiedziane, ale obaj pojęli, o co chodzi w tej grze.

- Sędzę, że tak, sir.

- Dziękuję, Fredericku. Dobranoc. Do zobaczenia rano.

Gdy za wychodzącym zamknęły się drzwi, Freddie wydał westchnienie ulgi. Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę szkockiej i położył się do łóżka. Co też mogło się przydarzyć Sarze i dziecku? Starał się wejść w jej położenie, wyobrazić sobie, jak musiała się czuć tracąc je, ale nie zamierzał sobie stawiać zbyt wielu pytań. O takich sprawach wiedział bardzo mało, a nie czuł potrzeby dalszej edukacji w tym względzie. Współczuł jej, był pewien, że to straszne przeżycie, jednak aż sam się dziwił, że miał dla przyszłego dziecka tak mało uczucia. Uważał, że małżeństwo

z Sarą będzie pasmem wspaniałych przeżyć i wesołej zabawy. Będą ciągle przyjęcia i pod ręką ktoś, z kim można wyjść, ilekroć będzie się miało na to ochotę. Nawet przez chwilę nie przypuszczał, że będzie się czuł taki skrepowany, znudzony, ograniczany, pozbawiony przestrzeni. W małżeństwie nie znalazł niczego, co by mu się podobało. Nawet Sary, choć jest piękną dziewczyną i z pewnością byłaby doskonałą żoną dla kogoś innego. Umiała prowadzić wspaniale dom, znała się na kuchni, była znakomitą gospodynią. Inteligentna i miła w obejściu, z początku nawet podniecała go fizycznie. Teraz nawet nie był w stanie znieść myśli o niej. Małżeństwo było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Odczuł ulgę, gdy utraciła dziecko. Wiedział, że byłoby ono przysłowiową pętlą na szyi.

Następnego ranka zjawił się w szpitalu parę minut przed dziesiątą, tak by Edward Thompson już go tam zastał, gdy przyjedzie po swoją żonę. Wyglądał na przygnębionego w ciemnym garniturze i krawacie, ale prawdą było, że miał potężnego kaca. Przyniósł Sarze kwiaty, ale wydawała się nie zwracać na to uwagi; leżała w łóżku i wyglądała za okno. Gdy wszedł do pokoju, trzymała za rękę matkę i przez chwilę poczuł dla niej współczucie. Odwróciła głowę, spojrzała na niego bez słowa, łzy stanęły jej w oczach i potoczyły się po policzkach; matka uściśnęła dłoń Sary, dotknęła delikatnie ramienia córki i po cichu opuściła pokój.

- Przykro mi, Freddie - rzekła miękko w przejściu; była sprytniejsza, niż sądził - z wyrazu twarzy zięcia wywnioskowała, że jemu wcale nie jest przykro.

- Gniewasz się na mnie? - zapytała Sara przez łzy. Nie starała się usiąść, po prostu leżała. Wyglądała okropnie. Jej długie, czarne włosy były zmierzwione, twarz miała barwę prześcieradła, a wargi sine. Straciła mnóstwo krwi i była zbyt osłabiona, by usiąść. Rzuciła głową w lewo i prawo na poduszce, a on nie miał pojęcia, co jej powiedzieć.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym się gniewać? - podszedł bliżej łóżka i zatrzymał jej twarz chwytając za brodę, tak by patrzyła na niego. Nie był w stanie znieść bólu, jaki krył się w jej oczach. Nie umiał sobie z tym poradzić. I Sara o tym wiedziała.

- To była moja wina... Przesunęłam tę głupią komodę w naszej sypialni poprzedniej nocy... i nie wiem... lekarz twierdzi, że to się zdarza, jeśli takie jest przeznaczenie.

- Rozumiem. - Przesępował z nogi na nogę, przypatrując się, gdy ona składa i rozkłada dłonie, ale nie starał się jej dotknąć. - Może tak jest lepiej. Ja mam dwadzieścia cztery lata, ty dwadzieścia, nie jesteśmy jeszcze gotowi, by mieć dziecko.

Popatrzyła na niego tak, jakby go widziała po raz pierwszy, długo milczała, a potem podjęła:

- Jesteś zadowolony, że je straciliśmy, prawda?

Świdrowała go spojrzeniem, aż poczuł ból głowy.

- Tego nie powiedziałem.
- Nie musiałeś. Nie żałujesz, prawda?
- Przykro mi ze względu na ciebie. - To była prawda, wyglądała zaiste żałośnie.
- Nigdy nie chciałeś tego dziecka.
- Nie, nie chciałem - był szczery; czuł, że przynajmniej to jest jej winien.
- I ja też nie, dzięki tobie; prawdopodobnie właśnie dlatego je straciłam.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, ale po chwili wszedł Edward Thompson z Jane. Matka Sary pertraktowała z pielęgniarkami. Sara miała zostać w szpitalu kilka dni, a potem pojechać do domu rodziców. Kiedy poczuje się lepiej, wróci do ich mieszkania, do Freddiego.

- Oczywiście możesz się u nas zatrzymać - Victoria Thompson uśmiechnęła się do niego na pożegnanie, ale zdecydowanie nie zgodziła się, by Sara wróciła do swojego mieszkania. Chciała ją mieć pod opieką, a Freddie wyraźnie był zadowolony, że to nie będzie jego zadanie.

Następnego dnia wysłał Sarze bukiet czerwonych róż, odwiedził ją jeszcze raz w szpitalu i codziennie składał wizyty, kiedy przebywała przez tydzień u rodziców.

Nigdy nie wspominał o dziecku, ale bardzo się starał podtrzymywać rozmowę. Był zdziwiony, że czuje się tak dziwnie, kiedy przebywają z sobą. Tak jakby z dnia na dzień stali się sobie obcy. W gruncie rzeczy obcość towarzyszyła im przez cały czas, teraz tylko trudniej było to ukryć. Nie podzielał jej żalu. Przychodził w odwiedziny, bo czuł, że to jego obowiązek; obawiał się też ojca Sary.

Codziennie przyjeżdżał do domu Thompsonów w południe, spędzał z nią godzinę i szedł na lunch ze swymi kompanami. Bardzo rozsądnie unikał wizyt wieczornych. O tej porze zwykle był trudniejszy do strawienia, a miał dosyć rozsądku, by nie pokazywać się w tym stanie Sarze ani jej rodzicom. Szczerze współczuł w nieszczęściu, ale wciąż wyglądała okropnie. Nie mógł sprostać jej oczekiwaniom i mieć do tego wydarzenia stosunek bardziej emocjonalny. Taki natłok myśli powodował jedynie, że brnął w pijaństwo coraz głębiej. Nim Sara była gotowa wrócić do domu, nie miał już odwrotu od samego dna alkoholizmu. Upijał się w sposób tak dalece nie kontrolowany, że nawet niektórzy kompani od kieliszka obawiali się o jego zdrowie i życie.

Niemniej posłusznie stawiał się u Thompsonów, by zabrać Sarę do domu; w mieszkaniu oczekiwała ich pokojówka. Wszędzie czysto posprzątano, ale Sara poczuła się tam nie na swoim miejscu - jakby to nie był jej dom.

Freddie też bywał tam gościem. Odkąd straciła dziecko, zjawiał się tylko po to, by się przebrać. Do tej pory co wieczór hulał nieskrępowanie, korzystając w całej pełni z nieobecności Sary. Jej ponowna obecność w domu stała się taka dziwaczna i ogromnie krępująca.

Spędził z nią popołudnie, a potem oświadczył, że umówił się na kolację ze starym przyjacielem. Miał z nim porozmawiać o pracy, było to więc bardzo ważne spotkanie. Wiedział, że w takiej sytuacji Sara nie będzie oponować. I rzeczywiście nie sprzeciwiła się, choć czuła się rozczarowana, że nie spędzą razem tego pierwszego wieczoru. Wrócił do domu o drugiej nad ranem, wprowadził go dozorca. Gdy zadzwonili do drzwi, Sara była zszokowana. Freddie miał na sobie wymięte ubranie i zdawał się ledwo ją poznawać. Jej twarz jakby rozpływała się w jego oczach. Dozorca pomógł mu dotrzeć do krzesła w sypialni, a Freddie wręczył mu studolarowy banknot i wylewnie podziękował za to, że jest takim równym gościem i wspaniałym przyjacielem. Sara z przerażeniem obserwowała, jak Freddie, chwiejąc się na nogach, idzie do łóżka i pada tam nieprzytomny. Długo mu się przyglądała i ze łzami w oczach poszła spać do pokoju gościnnego. Jej serce przepelniał żal za utraconym dzieckiem, za mężem, który tak naprawdę nigdy nim nie był i nigdy nie będzie. Zrozumiała wreszcie, że jej małżeństwo z Freddiem to nic innego niż udawanie, pusta skorupa i źródło ciągłego smutku i rozczarowania. Ta ponura perspektywa towarzyszyła jej myślom, gdy położyła się samotnie do łóżka; nie ma sensu dłużej ukrywać przed sobą prawdy. On nigdy nie będzie nikim innym niż tylko pijakiem, obibokiem i playboyem. Najgorsze było to, że nie mogła sobie wyobrazić rozwodu, znieść myśli, że okryje niesławą siebie i swoich rodziców.

Tej nocy w pokoju gościnnym rozmyślała o długiej, samotnej drodze, jaką ma przed sobą. Całe życie sama, bez Freddiego.

Rozdział trzeci

Po tygodniu od powrotu do domu Sara wyraźnie stanęła na nogach. Znowu wyglądała ładnie i zdrowo. Wychodziła na lunch z matką i siostrą prawie codziennie. Wydawała się w dobrym nastroju, chociaż jej towarzyszki uważały, że jest zbyt małomówna.

Pewnego dnia jadły wszystkie trzy lunch w domu Jane; matka usiłowała niby przy okazji zapytać Sarę o Freddiego. Ubolewała nad tym, co usłyszała od córki w szpitalu.

- U niego wszystko w porządku - odparła Sara, nie patrząc matce w oczy. Jak zwykle nie powiedziała nic o spędzanych samotnie nocach ani o tym, w jakim stanie jej mąż wraca nad ranem. W gruncie rzeczy nawet z nim o tym nie rozmawiała. Pogodziła się z losem, była zdecydowana pozostać żoną Freddiego. Pomijając wszystkie inne względy, próba zmiany tego stanu wydawała jej się zbyt upokarzająca.

Freddie również wyczuł tę zmianę, dostrzegł w Sarze pewien rodzaj uległości, jakby akceptację jego odrażającego trybu życia. Wydawało się, że wraz ze śmiercią dziecka umarła także część jej samej. Ale Freddie nie zastanawiał się nad tym, jedynie w pełni korzystał z tego, co wydawało mu się dobrą cechą charakteru Sary. Wracał i wychodził, kiedy mu się podobało, rzadko przychodziło mu do głowy, by ją zabrać gdziekolwiek. Nie ukrywał, że spotyka się z innymi kobietami, i pił, odkąd wstał, do chwili, gdy tracił przytomność we własnej albo cudzej sypialni.

Były to dla niej nieszczęsne miesiące, ale Sara wydawała się z tym pogodzona. Ukrywała swe smutki i nie mówiła nic nikomu. Ale Jane nie dawała jej spokoju, coraz bardziej emocjonując się problemami Sary. Działo się tak za każdym razem, kiedy się widziały, w efekcie Sara spotykała się z siostrą coraz rzadziej. Była teraz jak odrętwiała, pogrążona w pustce, jej oczy wypełniał niemy ból. Po stracie dziecka niepokojąco schudła, co również martwiło Jane; zorientowała się jednak, że Sara robi wszystko, by jej unikać.

- Co się z tobą dzieje? - Jane zapytała wreszcie Sarę w maju. Była wówczas w siódmym miesiącu ciąży i od długiego czasu nie widziała siostry. Sara najwyraźniej nie była w stanie znieść widoku innej kobiety w ciąży, choćby była jej własną siostrą.

- Nic się nie dzieje, wszystko jest w porządku.

- Nie mów tak, Saro! Wyglądasz jak w transie. Co się dzieje w waszym małżeństwie? - Jane spojrzawszy na Sarę od razu wpadła w popłoch. Wyczuła, jak niezręcznie Sara czuje się w jej obecności, przez dłuższy więc czas starała się siostrze nie narzucać. Ale nie chciała też zostawiać jej sam na sam z myślami. Zaczynała się obawiać o stan psychiczny Sary, a nawet o jej życie; najwyraźniej była marionetką w rękach Freddiego i ktoś musiał położyć temu kres.

- Nie bądź głupia. Czuję się dobrze.

- A więc sprawy układają się lepiej niż dawniej? - nie dawała za wygraną Jane.

- Tak sądzę - odpowiedziała świadomie wymijająco, ale siostra natychmiast przejrzała jej grę.

Sara była teraz szczuplejsza i bardziej blada niż bezpośrednio po stracie dziecka. Przeżywała głęboką depresję i nikt o tym nie wiedział. Zapewniała wszystkich, że czuje się świetnie, że z Freddiem wszystko w porządku. Rodzicom oświadczyła nawet, że mąż szuka pracy. Był to ten sam stary numer, w który nikt nie wierzył.

Rodzice milcząco godzili się na tę farsę i postanowili zorganizować z okazji pierwszej rocznicy ich ślubu niewielkie przyjęcie w swym domu w Southampton.

Początkowo Sara starała się im to wyperswadować, ale ostatecznie praktyczniej było się zgodzić. Freddie obiecał swoje uczestnictwo, a nawet uznał, że to doskonały pomysł. Chciał pojechać do Southampton na cały weekend i zabrać ze sobą swoich przyjaciół - dom był oczywiście dostatecznie duży. Sara zapytała matkę o zgodę, a ta pośpieszyła z odpowiedzią, że przyjaciele Sary i Frieddiego są zawsze mile u nich widziani. Sara ostrzegła Freddiego, że jego koledzy mają się odpowiednio zachowywać; nie chciała, by wprawiali ją w zakłopotanie w obecności rodziców.

- Nie opowiadaj głupot, Saro - skarcił ją. W ostatnich dwóch miesiącach stawał się coraz bardziej złośliwy. Nie była pewna, czy powodem był alkohol, czy naprawdę zaczynał nie znosić jej widoku. - Nienawidzisz mnie, prawda? - odsunął się gwałtownie.

- Nie bądź śmieszny. Mam jedynie obiekcje, by twoi przyjaciele nie wymknęli się spod kontroli w czasie tej wizyty.

- Jesteś pruderyjną sztywniaczką. Biedaczka, boi się, że nie potrafimy się zachować u jej rodziców!

Chciała mu powiedzieć, że nigdzie nie zachowuje się należycie, ale się powstrzymała. Powoli rezygnowała ze swego udziału w życiu, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że będzie już zawsze taka nieszczęśliwa. Zapewne nigdy nie będzie miała dziecka, ale już nawet i to przestało się liczyć. Nic się nie liczyło. Żyje po prostu z dnia na dzień, pewnego dnia umrze i wszystko się skończy. Myśl o rozwodzie nigdy nie przyszła jej do głowy, a jeśli nawet, to tylko przelotnie. W jej rodzinie nie było dotąd żadnego rozwodu i Sara nawet w najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że będzie pierwsza. Nie zniosłaby związanego z tym wstydu.

- Nie martw się, Saro. Będziemy na poziomie. Tylko nie wpędzaj nas w kompleksy tą swoją smutną miną. Każdemu potrafisz zepsuć zabawę.

Po wyjściu za mąż i po utracie dziecka Sara straciła, jak się wydawało, cały swój koloryt, żywotność, całą radość życia i spontaniczność. Zawsze była błyskotliwą, szczęśliwą młodą

dziewczyną, a nagle stała się jak martwa. Jane uparcie zwracała na to uwagę, ale Peter i rodzice pocieszali ją mówiąc, by się nie martwiła. Sara z pewnością wróci do dawnego stanu. Mówili tak, bo sami chcieli w to wierzyć!

Na dwa dni przed przyjęciem księżę Windsoru ożenił się z Wallis Simpson. Pobrali się w Chateau de Cande we Francji, cały czas będąc ośrodkiem zainteresowania prasy i opinii publicznej. Sara uważała to wszystko za odrażające i w złym guście. Wróciła myślami do swego rocznicowego przyjęcia i natychmiast zapomniała o księciu Windsoru i jego małżonce.

Peter i Jane z małym Jamesem zamierzali także spędzić weekend w Southampton. Dom pełen kwiatów wyglądał przeuroczo. Na trawniku ustawiono namiot, z którego widać było ocean. Thompsonowie zorganizowali wspaniałe przyjęcie dla Sary i Freddiego. Zwykle w piątek wieczorem młodzi ludzie wychodzili ze swymi przyjaciółmi, aby się trochę rozerwać; oni poszli do Canoe Place Inn, bawili się doskonale, rozmawiali, tańczyli i śmiali się wesoło. Poszła z nimi nawet Jane, choć w bardzo zaawansowanej ciąży, a także Sara. Freddie nawet z nią tańczył, a przez krótką chwilę robił wrażenie, jakby miał ochotę ją pocałować. W końcu Peter, Jane i Sara wrócili do domu Thompsonów, a Freddie i jego przyjaciele zostali jeszcze trochę pohulać. Sara przygasła, ale nikt nie usłyszał z jej ust żadnego komentarza, gdy wracała do domu razem z Jane i Peterem. Siostra i szwagier byli w doskonałym nastroju i zdawali się nie dostrzegać jej milczenia.

Następny dzień był już od świtu słoneczny i piękny. Nieco później, w takt tonów doborowej orkiestry Thompsonowie przystąpili do witania gości przybyłych na uroczystość Sary i Freddiego. Żółta kula słońca pieła się na niebo nad cieśniną Long Island i czyniła pejzaż jeszcze piękniejszym. Sara wyglądała zachwycająco w błyszczącej białej sukni, która kusząco prezentowała jej figurę, i nadawała wygląd młodej bogini. Ciemne włosy upięła wysoko; poruszała się wśród tłumu ze spokojną gracją, witając przyjaciół oraz gości rodziców. Wszyscy jednogłośnie orzekli, że jej uroda nabrała finezji i że jest o wiele piękniejsza niż w dniu ślubu. Wyglądała tak odmiennie od swej miło zaokrąglonej siostry Jane, która w obszernej turkusowej jedwabnej sukni wyglądała wzruszająco macierzyńsko i zdawała się pogodnie znosić swą zniekształconą sylwetkę.

- Mama powiedziała, że mogę włożyć na siebie namiot, ale ten kolor bardziej mi się podoba - żartowała ze swą dawną przyjaciółką, a Sara, mijając je, uśmiechnęła się z wdziękiem. Wyglądała lepiej i czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek od długiego czasu. Jane nie przestawała się jednak o nią martwić.

- Sara tak bardzo schudła.

- Ona... chorowała na początku roku.

Sara od czasu poronienia traciła coraz bardziej na wadze; Jane czuła, że siostra wciąż jeszcze zmagą się z poczuciem winy i depresją po utracie dziecka, chociaż ukrywa to i nie przyznaje się przed nikim.

- Nie macie jeszcze dzieci? - pytali ciekawi goście. - Musicie lepiej się starać!

Albo przerwać starania. Rozdawała zdawkowe uśmiechy, a po godzinie stwierdziła, że od początku przyjęcia nie widziała Freddiego. Niedawno jeszcze był z przyjaciółmi w pobliżu baru, a potem, kiedy witała gości towarzysząc ojcu, straciła go zupełnie z oczu. W końcu zapytała kamerdynera, który odpowiedział, że pan van Deering odjechał przed kilkoma minutami samochodem wraz z kilkoma przyjaciółmi, kierując się w stronę miasta.

- Zapewne pojechali coś kupić, panno Saro - rzekł spoglądając na nią z życzliwością.

- Dziękuję, Charles.

Był u nich kamerdynerem od lat, pozostawał w rezydencji, gdy na zimę wracali do miasta. Znała go od dzieciństwa i bardzo lubiła.

Zaniepokoiła się. Freddie pojechał zapewne z kolegami na kilka szybkich drinków do jakiegoś baru w Hampton Bays, by potem powrócić na stateczne przyjęcie. Zastanawiała się, jak bardzo będzie pijany, gdy zjawi się z powrotem, i czy w tym czasie goście dostrzegą nieobecność tej całej ferajny.

- Gdzie jest twój przystojny mąż? - zapytała pewna starsza dama, przyjaciółka matki, a Sara zapewniła, że za chwilę zejdzie na dół - poszedł po okrycie dla niej. Starsza pani uznała, że jest wzruszająco troskliwy.

- Coś nie w porządku? - zapytała półgłosem Jane podchodząc z boku. Obserwowała Sarę od pół godziny i za dobrze ją znała, by dać się zwieść zdawkowemu uśmiechowi na twarzy siostry.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakby ktoś wsadził ci węża do torebki. - Sara uśmiechnęła się usłyszawszy to porównanie. Przypomniała sobie przez chwilę dzieciństwo i prawie wybaczyła siostrze, że jest w ciąży. Tak trudno będzie oglądać ją za dwa miesiące z niemowlęciem. Sama straciła dziecko i pewnie nie będzie miała drugiego. Od czasu poronienia między Freddiem a Sarą nie dochodziło do zbliżeń.

- No i gdzie jest ten wąż? - zapytała Jane.

- Prawdę mówiąc, oddalił się - obie siostry wybuchnęły salwą śmiechu, co od dawna im się nie zdarzało.

- Nie o to mi chodziło, ale w gruncie rzeczy to trafna odpowiedź. Kto zabrał się razem z nim?

- Nie wiem. Charles mówi, że wyszedł pół godziny temu i pojechał w stronę miasta.

- Co to oznacza? - Jane popatrzyła na nią z niepokojem. Ile kłopotów musi jej sprawiać ten drań; na pewno więcej, niż wszyscy podejrzewają, skoro nawet nie stać go na to, aby się przyzwyczaję sprawować w ciągu jednego wieczora i przy takiej okazji.

- Być może kłopoty. W każdym razie dużo za dużo gorzały. Jeśli będziemy mieć szczęście, będzie się trzymał całkiem znośnie... przynajmniej do późnego wieczora.

- Mama będzie tym zachwycona - uśmiechnęła się Jane, kiedy stały razem obserwując tłum gości. Zdawali się dobrze bawić, a to było już pewne osiągnięcie, nawet jeśli nie dotyczyło Sary.

- Tacie spodoba się jeszcze bardziej - ponownie wybuchnęły śmiechem. Sara odetchnęła głęboko i spojrzała na siostrę.

- Pragnę cię przeprosić - byłam wobec ciebie taka okropna przez ostatnie kilka miesięcy. Ja... ja nie wiem... wprost trudno mi myśleć o twoim dziecku. - Przeniosła spojrzenie w bok, w jej oczach załśniły łzy. Starsza siostra otoczyła ją ramieniem.

- Wiem o tym. Nie uczyniłaś nic złego poza tym, że wystraszyłaś mnie na śmierć. Chciałabym zrobić coś, co spowodowałoby, abyś była szczęśliwa.

- Ze mną wszystko w porządku.

- Pinokio, rośnie ci nos.

- Och, zamknij się! - Sara jeszcze raz uśmiechnęła się do Jane i zaraz potem wróciły do gości. Kiedy siadano do kolacji, Freddiego jeszcze nie było. Jego nieobecność, podobnie jak jego przyjaciół, została natychmiast zauważona. Goście siadali na wyznaczonych miejscach przy stole ustawionym na trawniku. Honorowe miejsce Freddiego po prawej stronie teściowej świeciło pustką. Zanim ktokolwiek zdążył o tym wspomnieć, rozległ się gwałtowny sygnał klaksonu, po czym Freddie oraz jego czterej kompani, żywo gestykulując, z krzykiem i śmiechem przemknęli przez trawnik w kabriolecie marki Packard Twelve. Wszyscy otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia, gdy młodzi ludzie podjechali wprost do stołu i wysiedli z samochodu w towarzystwie trzech miejscowych dziewczyn. Jedna z nich czule tuliła się do Freddiego. Gdy całe towarzystwo zbliżyło się do stołu, stało się jasne, że nie są to miejscowe dziewczyny, ale kobiety o podejrzanej profesji, którym zapłacono za ich usługi tego wieczora.

Widać było, że cała piątka młodych pijaniców była zachwycona swoim wyczynem. Kobiety były nieco stremowane, gdy znalazły się oko w oko z tak wykwinnym towarzystwem. Widać było, że dziewczyna uwieszona u Freddiego nerwowo usiłuje przekonać go, by wracali do miasta. W tym czasie rozpętało się piekło. Kelnerzy usiłowali usunąć samochód, kamerdyner Charles starał się wypchnąć dziewczyny, Freddie zaś i jego kompani wmieszali się w tłum, powodując zamieszanie, potykając się o nogi innych gości i wprawiając ich w zakłopotanie. Freddie zachowywał się najgorzej ze wszystkich. Nie można go było przekonać, aby pozwolił odejść dziewczynie, którą tu

przywiódł. Sara podniosła się i obserwowała całą tę scenę z oczami pełnymi łez. Miała przed oczami swój ślub sprzed roku zaledwie, wszystkie związane z tym nadzieje i koszmar, w jaki później przerodziło się jej małżeństwo. Ta dziewczyna u boku Freddiego jedynie uosabiała horror, jaki Sara przeżywała od roku, była tylko jego nieważnym dopełnieniem. Stała obserwując ich w pełnym bólu milczeniu i wszystko nagle wydało się jej nierealne prócz tego najgorszego - że sama w tym tkwiła po uszy.

- O co chodzi, dziecino! - wykrzyknął do niej z daleka. - Nie chcesz poznać mojej sympatii?

Roześmiał się, gdy zobaczył surową minę Sary; Victoria Thompson chyżo przemierzyła trawnik, prawie biegnąc w stronę swej najmłodszej córki, która wprost skamieniała.

- Sheila! - krzyczał bez opamiętania - to jest moja żona... a oto jej rodzice...

Zatoczył ręką koło ku zdumieniu coraz bardziej zaskoczonych gości. W tej właśnie chwili wkroczył do akcji Edward Thompson. On i dwaj kelnerzy usunęli Freddiego i dziewczynę tak zdecydowanie i szybko, jak tylko to było możliwe; odeskortowano migiem także pozostałych młodych ludzi wraz z towarzyszkami w asyście całej armii kelnerów.

Freddie nie stracił rezonu, gdy teść zaprowadził go do małego domku na plaży służącego za przebieralnię.

- O co właściwie chodzi, panie Thompson? Czyż to przyjęcie nie jest urządzone dla mnie?

- Nie, nie jest. I nie powinno było być. Powinniśmy cię usunąć z życia Sary wiele miesięcy temu. Ale zapewniam cię, Fredericku, że teraz zajmiemy się tym bardzo szybko. Wyjedziesz stąd natychmiast, w przyszłym tygodniu odeślemy ci twoje rzeczy, a w poniedziałek rano możesz oczekiwać adwokata. Maltretowanie mojej córki dobiegło końca. Proszę, abyś nie wracał do waszego mieszkania. Czy to jest jasne? - głos Edwarda Thompsona grzmiał w maleńkim domku.

Ale Freddie był zbyt wstawiony, by się wystraszyć.

- No, no... wygląda na to, że papcio troszkę się zdenerwował! Niech mi pan nie mówi, że od czasu do czasu nie ma pan jakiejś panienki. Niech pan da spokój, sir... odstąpię panu tę - otworzył drzwi, za którymi stała ta sama dziewczyna.

Fala gniewu zmąciła umysł Edwarda Thompsona. Zatrząsł się, chwycił Freddiego za kłapy i uniósł go do góry z furją.

- Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, śmierdzący sukinsynu, nie ujdiesz z życiem. A teraz idź precz i trzymaj się z daleka od Sary! - ryknął. Obserwująca ich dziewczyna najwyraźniej się spłoszyła.

- Dobrze, proszę pana - Freddie wykonał pijacki dyg, podał ramię prostytutce i po pięciu minutach na przyjęciu nie było już ani jego, ani koleśków, ani towarzyszących im "dam". Atmosfera się oczyściła. Ale nie było też Sary - siedziała wraz z siostrą w sypialni i rozpaczała;

ciągnęła swą opowieść przekonując Jane, że wszystko obróci się na dobre; jej małżeństwo było koszmarem od samego początku. Sara ciągle wracała do wątku obciążania siebie winą za to, co się stało: straciła dziecko, a to może odmieniłoby Freddiego. Część z tego, co mówiła, tuląc się do starszej siostry, miało sens, część nie, ale wszystko było echem rozterek jej duszy. Na chwilę pojawiła się matka, która upewniwszy się, że Jane kontroluje sytuację musiała wrócić do gości. To przyjęcie okazało się całkowitym fiaskiem.

Wszystkim się wydawało, że trwa bardzo długo. Goście jedli tak szybko, jak tylko się dało, kilka odważniejszych osób tańczyło, a wszyscy bardzo taktownie udawali, że nie zwracają uwagi na to, co się stało. Do dziesiątej wszyscy goście pożegnali się i wyszli. Sara nadal płakała w sypialni.

Następnego ranka w domu Thompsonów panował poważny nastrój; cała rodzina zgromadziła się w salonie, a ojciec relacjonował Sarze, jak potraktował Freddiego wczoraj wieczorem. Zajął bardzo pryncypialne stanowisko.

- Decyzja oczywiście należy do ciebie, Saro - mówił przygnębiony - ale chciałbym, byś się z nim rozwiodła.

- Nie mogę, ojcze... to byłoby straszne - spoglądała po kolei na wszystkich członków rodziny, jakby obawiając się wstydu.

- Będzie znacznie gorzej, jeśli do niego wrócisz. Teraz rozumiem, jakie cierpienia były twoim udziałem. Myśląc o tym był niemal wdzięczny losowi, że straciła dziecko. Potem ogarnął córkę smutnym spojrzeniem. - Saro, czy ty go kochasz?

Wahała się przez długą chwilę, a później potrząsnęła przecząco głową, wpatrzona w złożone na kolanach dłonie.

- Nie wiem nawet, dlaczego za niego wyszłam - szepnęła z wyrazem udreki - myślę, że wtedy go kochałam, ale niestety nie znałam dostatecznie.

- Ty popełniłaś straszną pomyłkę, a on cię oszukał, Saro. To może się zdarzyć każdemu. Musimy tę kwestię za ciebie rozwiązać, pozwól mi to zrobić - stanowczy głos Edwarda kipiał gniewem. Pozostali członkowie rodziny aprobująco kiwali głowami.

- Jak to rozwiązać? - Sara czuła się zagubiona, jakby znowu była dzieckiem. Bez przerwy myślała o wczorajszych gościach, którzy byli świadkami tego kompromitującego zdarzenia. To było wprost nie do uwierzenia! Sprowadzić prostytutki do jej rodzinnego domu! Płakała całą noc ze wstydu i upokorzenia, martwiąc się reakcją rodziny i obcych.

- Zostaw to wszystko mnie - zdecydował ojciec. - Czy chcesz mieć apartament w Nowym Jorku? - dopowiedział, a ona spojrzała ze zdziwieniem i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Jedyne, czego chcę, to wrócić do domu, do ciebie i mamy - znów oczy miała w mokrym miejscu, kiedy wypowiadała te słowa. Matka pogładziła ją delikatnie po ramieniu.

- Jesteś w domu - powiedział wzruszony ojciec tonem pełnym uczucia, a Victoria wytarła oczy brzegiem chusteczki. Peter i Jane trzymali się mocno za ręce. To wydarzenie wszystkich kosztowało dużo zdrowia i wytrąciło z równowagi, ale teraz czuli ulgę ze względu na Sarę.

- A co z tobą i mamą? - spojrzała na nich ponuro i rozłożyła ręce w geście zakłopotania.

- Jak to: co z nami?

- Nie przyniosę wam wstydu, jeśli się rozwiodę? Czuję się jak ta okropna Simpson - będę na językach wszystkich i was także będą obgadywać. - Sara ukryła twarz w dłoniach. Była przecież młodzieńką dziewczyną i przeżycia ostatnich miesięcy przerastały jej wytrzymałość.

Matka natychmiast wzięła ją w ramiona, próbując ukoić rozpacz córki.

- Saro, wiesz, co ludzie powiedzą? Że on był okropnym mężem, a ty miałaś niewyobrażalnego pecha. Cóż ty złego zrobiłaś? Nie masz sobie nic do wyrzucenia i musisz wreszcie w to uwierzyć. Frederick powinien się spalić ze wstydu!

Rodzina ponownie przytaknęła.

- Ale ludzie będą się oburzać. Nie było przypadku rozwodu w naszej rodzinie.

- I co z tego? Wolę, abyś była bezpieczna i szczęśliwa będąc rozwiedziona, niż miałybyś przeżywać dalej ten koszmar. - Victoria boleśnie odczuwała własną winę; nie zdała sobie sprawy w odpowiednim czasie, że małżeństwo jej córki układa się tak fatalnie. Jedyne Jane podejrzewała, jak wielką rozpacz przeżywa jej siostra, ale tak na dobrą sprawę nikt jej nie chciał słuchać. Wszyscy sądzili, że Sara jest nieszczęśliwa z powodu utraty dziecka.

Nazajutrz rano, kiedy ojciec udał się na spotkanie ze swymi prawnikami, Sara wciąż robiła wrażenie załamanej. Matka podjęła decyzję, że zostanie z nią w Southampton - Sara zdecydowanie nie chciała wracać na razie do Nowego Jorku. Woląла zostać u rodziców i schować się tu jak w fortecy. Przede wszystkim zaś nie chciała spotkać Freddiego. Zgodziła się na rozstanie z mężem, co zaproponował ojciec, ale przeżywała na zapas koszmar rozgłosu, który, jak sądziła, będzie się wiązał z rozwodem. Czytała o takich wydarzeniach w gazetach - te sprawy zawsze wydawały się skomplikowane, nieprzyjemne i kłopotliwe. Przewidywała, że Freddie będzie na nią wściekły i gdy zadzwonił do niej w poniedziałek po południu, po rozmowie z adwokatem ojca, była oszołomiona.

- Zgadzam się na rozwód, Saro. Myślę, że tak będzie dla nas obojga najlepiej. Po prostu nie byliśmy do tego gotowi.

"My?" Nie mogła wprost uwierzyć, że to jego słowa. Nie miał sobie nawet nic do wyrzucenia, był po prostu szczęśliwy, że się uwolni od niej i od brzemienia odpowiedzialności.

- Nie jesteś zły? - Sara była zaskoczona i dotknięta.

- Ani trochę, dziecino.

Milczała przez chwilę, a potem znowu podjęła:

- Czy jesteś zadowolony?

Znowu milczenie.

- Uwielbiasz zadawać takie pytania, prawda, Saro? Jakie to ma znaczenie, co czuję? Zrobiliśmy błąd, a twój ojciec pomaga nam wyplątać się z tego. To miły człowiek - myślę, że w tej sytuacji postępujemy właściwie. Przepraszam, jeśli sprawiłem ci jakiś kłopot.

Zupełnie jakby chodziło o nieudany weekend albo zepsute popołudnie. On w ogóle nie ma pojęcia, czym był dla niej miniony rok. Wiedziała jedynie, że nie chce teraz wracać do Nowego Jorku, z nikim się spotykać ani wyjaśniać przyczyn zerwania swojego małżeństwa.

- Myślę, że pojedę na parę miesięcy do Palm Springs, a może do Europy na lato - wtrącił, snując plany w trakcie tej rozmowy.

- To brzmi zachęcająco - rodzaj atrakcyjnej pogaduszki z zupełnie obcym człowiekiem; Sara stłumiła swoje emocje. Oni w ogóle nic o sobie nie wiedzieli, wcale się nie znali, a ich małżeństwo było jedynie grą, którą ona przegrała. Właściwie przegrali oboje. Ale Freddie się zachowywał tak, jakby go to w ogóle nie dotknęło.

- Uważaj na siebie - powiedział jak do starego przyjaciela albo kumpla ze szkoły, z którym spotka się za jakiś czas, a nie do kobiety, którą tracił na zawsze.

- Dzięki - siedziała wpatrując się w telefon.

- Skończmy już lepiej, Saro - w milczeniu skinęła głową:

- Saro?

- Tak... przepraszam i dziękuję, że zatelefonowałaś - w jej głosie pobrzmiwał skrajny pesymizm.

Dziękuję ci za koszmarny rok, panie van Deering... Dziękuję, że złamałeś mi serce. Chciała go zapytać, czy kiedykolwiek ją kochał, ale zabrakło jej odwagi, a poza tym pomyślała, że i tak zna odpowiedź. Było bardziej niż oczywiste, że nie darzył jej żadnym uczuciem. Nie kochał nikogo, nawet siebie, a co dopiero Sary...

Matka obserwowała ją bacznie przez następny miesiąc i do końca lata. Jedynymi sprawami, jakie przyciągnęły uwagę Sary, było zniknięcie w lipcu Amelii Earhart i japońska inwazja na Chiny w kilka dni później. Ale przeważnie myślała o rozwodzie, który nadal przejmował ją wstydem i poczuciem winy. Stan Sary pogorszył się pomimo radosnego wydarzenia, jakim stało się narodzenie dziecka Jane. Pojechała z matką do Nowego Jorku odwiedzić Jane w szpitalu, ale upierała się przy powrocie do Southampton tego samego wieczora. Dziewczynka Jane była słodka, nadano jej imię Marjorie. Sara znowu pragnęła przebywać w samotności. Spędzała teraz większość

czasu na rozmyślaniach o przeszłości i próbach ustalenia, jak się właściwie stało, że znalazła się w takiej sytuacji. W rzeczywistości to było bardzo proste: poślubiła kogoś, kogo w rzeczywistości nie знаła i ten ktoś nie dorósł do roli męża. Koniec opowieści. Sara upierała się jednak przy oskarżaniu siebie i doszła do przekonania, że jeśli usunie się z widoku, ludzie zapomną o jej istnieniu i nie będą obciążać rodziców odpowiedzialnością za jej grzechy. Dla ich dobra, a także dla swego własnego, upierała się, by dosłownie zniknąć z pola widzenia ludzi z towarzystwa.

- Nie możesz tak przeżyć reszty życia, Saro - oświadczył zdecydowanie ojciec, gdy przeprowadzali się na zimę do Nowego Jorku. Postępowanie rozwodowe przebiegało sprawnie. Freddie, zgodnie z wcześniejszym zamierzeniem, pojechał do Europy, ale jego adwokat miał wszelkie pełnomocnictwa i współpracował z Thompsonami bez żadnych ograniczeń. Przesłuchanie wyznaczono na listopad, a rozwód miał zostać ostatecznie przeprowadzony rok później.

- Powinnaś wrócić do Nowego Jorku - przekonywał ojciec. Nie chcieli zostawiać jej w Southampton jak porzuconej krewnej, której się wstydzili. Ale widocznie Sara tak siebie oceniała; nie uległa też prośbom Jane, kiedy w październiku odwiedziła ją i dziecko.

- Nie chcę wracać do Nowego Jorku, Jane. Jest mi dobrze tam, gdzie jestem.

- Z Charlesem i trojgiem starych służących, marznąc na Long Island przez całą zimę? Sarrie, jesteś niemądra. Przyjedź do domu. Masz dwadzieścia jeden lat i nie wolno ci rezygnować z życia. Trzeba zacząć wszystko od początku.

- Nie chcę - szepnęła, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziecko siostry.

- Zupełnie zwariowałaś. - Jane wyglądała na rozdrażnioną uporem młodszej siostry.

- A co ty wiesz, do diabła? Masz męża, który cię kocha, i dwoje dzieci. Nigdy dla nikogo nie byłaś ciężarem ani przyczyną zakłopotania i niesławy. Jesteś wzorem żony, córki, siostry i matki. Cóż ty wiesz o moim życiu? Absolutnie nic! - Robiła wrażenie rozwścieczonej i tak było istotnie, ale to nie Jane była winna i siostra o tym wiedziała. Była wściekła na siebie, na los... i na Freddiego. Nagle zrobiło się jej przykro i popatrzyła na siostrę skruszona.

- Przepraszam, chcę po prostu zostać tam sama - na dobrą sprawę nie była w stanie tego wyjaśnić.

- Dlaczego? - Jane nie mogła zrozumieć. Sara, młoda i piękna, nie była przecież jedyną kobietą, którą czeka rozwód, a zachowywała się tak, jakby została skazana za morderstwo.

- Nie chcę nikogo widywać. Czy możesz to pojąć?

- Jak długo zamierzasz tam siedzieć w odosobnieniu?

- Może zawsze. W porządku? Czy to dostatecznie długo? Czy to wyjaśnia sprawę? - Sara nie znosiła udzielać odpowiedzi na te wszystkie pytania.

- Saro Thompson, jesteś szalona.

Ojciec postarał się, by wróciła do panińskiego nazwiska, gdy tylko wystąpiła z wnioskiem o separację.

- Mam prawo robić z moim życiem, co zechcę. Jeśli mi się spodoba, mogę zostać zakonnica
- powiedziała z uporem do siostry.

- Najpierw musiałabyś zostać katoliczką - uśmiechnęła się

Jane, ale Sarze nie wydało się to wcale zabawne. Obie należały od urodzenia do Kościoła episkopalnego. Jane zaczęła podejrzewać Sarę o lekkiego bzika, ale miała nadzieję na szybką poprawę. Prawdę mówiąc wszyscy mieli taką nadzieję, ale jakoś na razie na to się nie zanosilo.

Niewzruszenie odmawiała powrotu do Nowego Jorku. Matka już dużo wcześniej zabrała z mieszkania jej rzeczy i popakowała w pudła; Sara twierdziła, że nie chce ich nawet oglądać. Na listopadowe przesłuchanie w sprawie rozwodu ubrała się w czarny kostium, a twarz przyoblekła w poważną minę. Wyglądała pięknie i mimo lęku ze stoickim spokojem odpowiadała na wszystkie pytania. Po zakończeniu natychmiast wróciła samochodem na Long Island.

Codziennie odbywała długie spacerunki po plaży, nawet w bardzo zimne dni, kiedy wiatr chłostał jej twarz. Czytała i pisywała listy do matki, do Jane i swoich starych przyjaciółek, ale nie czuła najmniejszej ochoty, by się z nimi spotkać.

Święta Bożego Narodzenia obchodzono w Southampton - Sara znowu była niezwykle małowówna. Wspomniała matce o rozwodzie tylko raz, gdy słuchały w radiu wiadomości o księciu i księżnej Windsoru. Czuła się jak nieszczęsna powinowata Wallis Simpson, ale matka ponownie nie omieszkała jej zapewnić, że Sara i pani Simpson nie mają z sobą nic a nic wspólnego.

Z nadejściem wiosny jakoś się jej polepszyło, czas - najlepszy lekarz - zaczął robić swoje. Zaczęła wyglądać lepiej, zdrowiej i nieco się zaokrąglać, oczy zaśniły dawnym blaskiem. Zaczęła mówić o kupnie lub wynajęciu wiejskiego domu na Long Island. Chciałaby, żeby był położony na uboczu.

- To śmieszne - zachnął się ojciec na taką sugestię. - Rozumiem aż za dobrze, co przeżyłaś, i że potrzebujesz czasu, by dojść do siebie, ale nie zamierzam pozwolić, byś resztę życia spędziła na Long Island jak pustelnica. Możesz zostać tu do lata a w lipcu matka i ja zabieramy cię do Europy.

Podjął decyzję w tej sprawie przed tygodniem, a Victoria Thompson była tym wyraźnie podekscytowana; nawet Jane uważała, że to doskonały pomysł - dokładnie to, czego potrzeba Sarze.

- Nie pojedę - spojrzała na ojca z uporem. Wyglądała zdrowo, silnie i piękniej niż kiedykolwiek. Przyszedł czas, by wróciła do świata, niezależnie od tego, czy jej się to podoba, czy nie. Gdyby nie zmieniła zdania, ojciec był zdecydowany zastosować środki przymusu.

- Pojedziesz, jeśli będę się przy tym upierał.

- Nie chcę natknąć się na Freddiego - szepnęła bezradnie.
- On spędzi całą zimę w Palm Beach.
- Skąd wiesz? - zaciekawiła się, czy ojciec wie to bezpośrednio od niego.
- Rozmawiałem z jego adwokatem.
- Ale ja nie chcę jechać do Europy.
- To wielka szkoda, ponieważ pojedziesz dobrowolnie albo pod przymusem. Nie ma od tego odwołania.

Zerwała się od stołu i wyruszyła na długi spacer po plaży; gdy wracała, ojciec czekał na nią w pobliżu małego domku nad brzegiem. Wydarzenia ostatniego roku - widok zdesperowanej córki i jej gorzkiego rozczarowania łamał mu serce. Sara była zaskoczona, że ojciec czeka na nią, gdy zobaczyła go wracając z plaży przez wysoką trawę na wydmach.

- Kocham cię, Saro - ojciec powiedział to po raz pierwszy tak po prostu, bez żadnej okazji; te słowa utkwily w jej sercu jak strzała posmarowana balsamem, który miał ją uleczyć. - Matka i ja bardzo cię kochamy. Być może nie wiemy, jak ci pomóc zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło, ale próbujemy... i pozwól nam to robić.

W oczach Sary zaszklily się łzy, a on tulił ją w ramionach jak dziecko; bezsilnie łkała na ramieniu ojca.

- Ja też cię kocham, tatusiu... Ja też cię kocham... Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać, Saro... Bądź po prostu znowu pełną radości, szczęśliwą dziewczyną, taką, jaką byłaś, zanim to wszystko się wydarzyło.

- Będę próbowała - wysunęła się z jego objęć, by spojrzeć na ojca, i dostrzegła, że on też płacze.

- Przykro mi, że przysporzyłam tylu kłopotów.

- Nie da się ukryć! - uśmiechnął się przez łzy. - Powinno ci być przykro!

Powoli, ramię przy ramieniu ruszyli w drogę powrotną do domu. Ojciec modlił się w duchu, by pozwoliła zabrać się do Europy.

Rozdział czwarty

Queen Mary unosiła się dumnie w basenie portowym przycumowana przy pirsie numer 90 na Hudson River. Wokół panował uroczysty nastrój. Na pokład ustawicznie wnoszono eleganckie kufry imponujących rozmiarów, doręczano ogromne ilości kwiatów, a w kabinach pierwszej klasy szampan lał się strumieniami. Cały ten zgiełk nie ominął Thompsonów - przybyli tu tylko z ręcznym bagażem, kufry wysłano wcześniej. Victoria Thompson była ubrana w piękny biały kostium od Claire McCardell i do tego miała doskonale dobrany wielki słomkowy kapelusz. Naprawdę wyglądała młodo i pięknie, gdy o krok przed mężem wstępowała na trap. Mieli nadzieję, że będzie to ekscytująca podróż. Od kilku lat nie wyjeżdżali do Europy i teraz cieszyli się na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi, zwłaszcza na południu Francji i w Anglii.

Sara narobiła mnóstwo zamieszania w związku z wyjazdem - prawie do ostatniej chwili zdecydowanie odmawiała uczestnictwa. Ten impas w rokowaniach przełamała w końcu Jane. Wdała się w straszną kłótnię z młodszą siostrą, w grę weszły nawet epitety, oskarżyła ją o tchórzostwo. Wrzeszczała, że to nie rozwód Sary rujnuje życie rodziców, tylko jej niechęć do spojrzenia prawdzie w oczy, bo wszyscy mają już serdecznie dość jej fochów. Wykrzyczała jej w oczy, by wzięła się w garść, zanim będzie za późno. Powody tego ataku nie były dostatecznie jasne dla Sary, ale w końcu ustąpiła, odsuwając od siebie na moment falę złości, która ją ogarnęła po ataku Jane.

- Dobrze więc! - odrzyknęła do Jane i miała straszną ochotę rozbić na jej głowie wazon. - Pojadę do tej cholерnej Europy, jeśli uważasz, że to dla nich takie ważne. Ale nikomu z was nie wolno rządzić moim życiem, mówić mi, co mam robić, a czego nie. Gdy wrócę, przeprowadzę się na stałe na Long Island i nie będę słuchać żadnych głupot o tym, jak to moje decyzje wpływają na życie innych. To jest moje życie i zamierzam je przeżyć tak, jak mi się żywnie podoba!

Potrząsała głową na wszystkie strony. Jej czarne włosy powiewały jak skrzydła kruka, a zielone oczy rzucały błyskawice.

- Jakie prawo ma ktokolwiek z was, by decydować, co jest dla mnie dobre? - ciągnęła poirytowana. - Co wy wiecie o moim życiu?

- Wiem, że je marnujesz! - Jane nie ustępowała nawet na cal. - Przeżyłaś ostatni rok kryjąc się tutaj jak anachoretka, wprawiając matkę i ojca w rozpacz swoją zachmurzoną twarzą. Nikt nie chce oglądać, gdy sama robisz sobie krzywdę. Nie skończyłaś jeszcze dwudziestu dwóch lat, a zachowujesz się, jakbyś miała dwieście!

- Dziękuję, że mi to przypomniałaś. Skoro patrzeć na mnie sprawia wszystkim taką przykrość, to po powrocie wyprowadzę się jeszcze szybciej. W każdym razie zamierzam znaleźć swoje własne miejsce. Już wcześniej poinformowałam o tym ojca.

- Jasne, masz rację, rozpadającą się stodołę w Vermont albo walący się wiejski dom w głuszy Long Island... Czy jest jeszcze jakaś kara, którą zamierzasz sobie nałożyć? Włóż jeszcze włosiennicę i posyp głowę popiołem. A może to jest dla ciebie za mało subtelne? Ty zdecydujesz się raczej na coś żałośnie widowiskowego, na przykład na nie ogrzewany dom z dziurą w dachu, aby mama martwiła się, czy aby nie dostała zapalenia płuc. Zgadza się, to zrobi wielkie wrażenie. Sara, zaczynam mieć cię dosyć - złościła się dalej Jane. Sara w odpowiedzi wybiegła z pokoju, mocno trzaskając drzwiami.

- To jest zepsuty bachor! - oznajmiła później rodzinie wciąż kipiącą gniewem Jane. - Nie wiem, dlaczego ją tolerujecie. Dlaczego nie zmusicie; by wróciła do Nowego Jorku i żyła jak normalna ludzka istota?

Jane zaczęła tracić do Sary cierpliwość na wiosnę. Jej postawa wystarczająco dała w kość starszej siostrze, uznała więc, że Sara powinna przynajmniej zdobyć się na minimum wysiłku, by wrócić do równowagi. Jej odepchnięty mąż uczynił to ponad wszelką wątpliwość. W maju w gazecie ukazało się zawiadomienie o zaręczynach z Emily Astor.

- To fascynujące - mruknęła sarkastycznie Jane, gdy o tym usłyszała; Sara nie dała nic po sobie poznać, choć rodzina miała świadomość, że musiała poczuć się głęboko zraniona. Emily była jedną z jej najdawniejszych przyjaciółek, a także daleką kuzynką.

- Co, twoim zdaniem, mam zrobić, by zmusić ją "do życia jak normalny człowiek"? - spytał ojciec. - Sprzedać dom? Zabrać ją do Nowego Jorku w kaftanie bezpieczeństwa? Przywiązać do maski samochodu? To jest dorosła kobieta, Jane, i istnieje pewna granica, powyżej której nie możemy poddać Sary kontroli.

- Ma cholerne szczęście, że ją cierpliwie znosicie. Myślę, że najwyższy czas, by wzięła się w garść.

- Bądź cierpliwa - skwitowała tę sugestię matka; Jane musiała wracać tego dnia do Nowego Jorku i znów nie widziała się z Sarą. Siostra poszła na długi spacer po plaży, a potem wyjechała starym fordem, który ojciec trzymał dla kamerdynera Charlesa.

Mimo jej zdecydowania i uporu, by trzymać się z dala od towarzystwa, słowa Jane dotarły do jakiejś części jej świadomości. W czerwcu bez protestu zgodziła się towarzyszyć rodzicom do Europy. Wspomniała o tym pewnego wieczora przy kolacji, starając się, by zabrzmiało to zwyczajnie, ale matka spojrzała na nią z zaskoczeniem. Ojciec aż klasnął w ręce z zadowolenia, gdy usłyszał nowinę. Zrezygnowany zamierzał odwołać rezerwację i pogodzić się z tym, że Sara z

nimi nie pojedzie. Zdecydował, że ciągnięcie po Europie niechętnego więźnia dla nikogo nie będzie zabawne - ani dla nich, ani tym bardziej dla Sary.

Nie ośmielił się nawet pytać Sary i to ją chyba ostatecznie przekonało. Wszyscy uważali, że zmiana decyzji jest zasługą Jane, choć naturalnie nikt o tym nie wspomniał.

Tego ważnego popołudnia Sara wysiadła z samochodu na pirsie 90. Wysoka, szczupła, wyglądała bardzo dystyngowanie w czarnej o prostym kroju sukience i surowym, czarnym kapeluszu, który niegdyś należał do jej matki. Wyglądała pięknie, choć skromnie. W bladej twarzy skrzyły się wielkie oczy, czarne włosy ściągnęła do tyłu. Pięknie rzeźbionych rysów twarzy nie kalał nawet ślad makijażu. Kto tylko na nią spojrzał, od razu zauważał, jaka jest śliczna i uderzająco smutna. O wiele za młoda wdowa...

- Czy nie mogłaś włożyć czegoś bardziej pogodnego, kochanie? - zwróciła się do niej matka, gdy wychodziły z domu, ale Sara wzruszyła ramionami. Zgodziła się pojechać dla świętego spokoju by poprawić im humor, ale nikt nie mówił, że ma się dobrze bawić albo ładnie wyglądać. Wcale nie miała takiego zamiaru.

Przed wyjazdem wyszukała na Long Island idealny dom niedaleko oceanu, na dziesięciu akrach nie uprawianej ziemi - starą, opuszczoną farmę z malutkim domkiem, który bardzo potrzebował remontu. Sprzedała pierścioneł, aby wpłacić depozyt, a po powrocie zamierzała porozmawiać z ojcem o kupieniu posiadłości dla siebie. Była przekonana, że już nigdy nie wyjdzie za mąż; chciała zamieszkać sama, a wiejski dom w Glass Hollow odpowiadał jej pod każdym względem.

Jechali do portu w kompletnym milczeniu. Sara myślała o podróży, zastanawiając się, dlaczego zgodziła się w niej uczestniczyć. Jeśli jednak jej towarzystwo miało przekonać rodziców, że przynajmniej się stara, to może po powrocie ojciec będzie skłonny pomóc jej w zakupie tej farmy. Za taką cenę warto było jechać. Sarę zachwycał pomysł odnowienia starej siedziby i już nie mogła się tego doczekać.

- Jesteś taka milcząca, kochanie - zmartwiła się matka w samochodzie, delikatnie głaszcząc Sarę po ramieniu. Bardzo się cieszyli, że mają córkę przy sobie. Stanowiło to jakąś nadzieję na przyszłość. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, z jak wielką determinacją postanowiła wrócić do samotnego życia zaraz po powrocie. Gdyby to wiedzieli, ich przedwczesna radość szybko zamieniłaby się w smutek.

- Myślałam po prostu o podróży.

Ojciec uśmiechnął się i cicho gwarzył z matką o telegramach, które wysłał do przyjaciół. Zaplanowali dwa ciekawe i pełne wydarzeń miesiące - w Cannes, Monaco, Paryżu, Rzymie i oczywiście w Londynie.

Matka opowiadała jej o swoich dawnych przyjaciółkach, których Sara nie знаła; właśnie wchodziły po trapie, gdy kilka osób obejrzało się za nimi. Mijająca je Sara robiła piorunujące wrażenie; czarny kapelusz tajemniczo zasłaniał jedno oko, drugie widoczne było spod woalki. Miała twarz niezwykle poważną, a jednocześnie młodą. Jej wygląd hiszpańskiej księżniczki sprawiał tajemnicze wrażenie. Unosiła się wokół niej atmosfera ulotnej elegancji. Przechodząca kobieta twierdziła z całą pewnością, że to gwiazda filmowa i że już ją gdzieś widziała. Sarę by to ubawiło, gdyby mogła słyszeć ten osąd. Nie zwracała najmniejszej uwagi na mijanych ludzi, wytworne stroje, wymyślne fryzury, na cały blichtr biżuterii, piękne kobiety i przystojnych mężczyzn. Myślała jedynie o tym, by dotrzeć wreszcie do swojej kabiny. Gdy ją znalazła, stwierdziła, że Peter i Jane już tam na nich czekają razem z Marjorie i małym Jamesem. Biegał po pokładzie przed apartamentem i był prawdziwym utrapieniem. Marjorie wykonała swój pierwszy krok przed kilkoma dniami i teraz niepewnie toczyła się po kabinie. Sarę bardzo ucieszył ich widok, szczególnie obecność Jane. Jej złość na siostrę ulotniła się wiele tygodni temu i znowu były dobrymi przyjaciółkami, zwłaszcza od chwili, gdy Sara oznajmiła, że zgadza się jechać do Europy.

Przywieźli z sobą dwie butelki szampana, a steward z własnej inicjatywy rozlał trzecią. Wszyscy stali przed kajutą Sary, wymieniając ostatnie wrażenia. Jej pokój łączył się z apartamentem rodziców poprzez salon na tyle duży, by pomieścić dziecięce pianino. James odkrył je natychmiast i zapamiętałe zaczął bębnić w klawisze pomimo gwałtownych protestów matki.

- Czy nie sądzicie, że powinniśmy wywiesić na drzwiach informację z zapewnieniem, że James z wami nie jedzie? - zapytał Peter z pewną dozą sarkazmu, przyglądając się małemu.

- Wyrabia w sobie muzyczne talenty - uśmiechnął się z pobłażaniem dziadek. - A ponadto będziemy go takim pamiętać przez następne dwa miesiące. Zapewnia nam miłe, głośne pożegnanie.

Jane dostrzegła surowy ubiór siostry, ale musiała przyznać, że wygląda w nim pięknie. Zawsze uroda Sary bardziej rzucała się w oczy - łączyła najlepsze cechy obojga rodziców. Jane miała bardziej delikatną, mniej zdecydowaną urodę matki, Sara zaś odziedziczyła i nieco przetransformowała ogorzały, ciemnowłosy irlandzki typ ojca.

- Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić - powiedziała z delikatnym uśmiechem Jane, zadowolona, że Sara jedzie w tę podróż. Wszyscy pragnęli, by znalazła nowych przyjaciół, zwiedziła kawał świata, a potem wróciła do domu i ponownie nawiązała kontakt ze swym dawnym otoczeniem. W minionym roku jej życie było takie smutne, tak niewiarygodnie puste. Przynajmniej tak patrzyła na to Jane. Nie wyobrażała sobie, by mogła żyć tak jak Sara przez ostatni rok. Ale ona nie mogła sobie nawet wyobrazić życia bez Petera.

Rozległy się gwizdki, zadymiły kominy, a stewardzi zaczęli krążyć po korytarzach, dzwoniąc i ponaglając do zejścia na brzeg tych, którzy nie wybierali się w podróż. Słychać było

tysiące pocałunków, ludzie trzymali się w objęciach żegnając. Ostatnie nawoływania, ostatnie łyki szampana, ostatnie uściski i strumienie łez. Wszyscy odprowadzający zeszli już po trapie. Thompsonowie stali na pokładzie, wymachując do Petera i Jane; James wiercił się w ramionach ojca, Marjorie machała na pożegnanie rączką podtrzymywaną przez matkę. Victoria Thompson patrzyła na córkę z dziećmi i łzy szczęścia lśniły w jej oczach. Dwa miesiące bez nich będą się ciągnąć bez końca, ale warto ponieść tę ofiarę, jeśli to pomoże Sarze.

- Świetnie - powiedział z odcieniem satysfakcji w głosie Edward Thompson. Wszystko szło po jego myśli. Właśnie odpływali od nabrzeża i ruszali w drogę. Zabierali Sarę do Europy.

- Co będziemy teraz robić? Przespacerujemy się po pokładzie? Odwiedzimy sklepy?

Niecierpliwie wyglądał tej podróży, cieszył się na myśl o ponownym spotkaniu starych przyjaciół. Był zadowolony, że udało się im przekonać Sarę. To był dobry czas na wyjazd. Sytuacja polityczna na starym kontynencie wydawała się ostatnio coraz bardziej napięta. Kto wie, co się może zdarzyć w przyszłości. Jeśli za rok czy dwa wybuchnie wojna, ta podróż może być ich ostatnią szansą, by popłynąć do Europy.

- Myślę, że rozpakuję swoje rzeczy - odparła cicho Sara.

- Wszystko zrobi za ciebie stewardesa - wyjaśniła matka, ale Sara miała inne zdanie.

- Raczej sama się tym zajmę - powiedziała; wyglądała na smutną, mimo że na statku panował uroczysty nastrój. Gdy statek wyszedł w morze, sale przystrojono balonami, kolorowymi wstążkami i rozsypano konfetti.

- Spotkamy cię na lunchu w jadalni?

- Być może się zdrzemnę - usiłowała się do nich uśmiechnąć, choć martwiła się, że to będą dwa bardzo trudne miesiące: bez przerwy będzie miała przy sobie rodziców. Przyzwyczała się lizać swoje rany w samotności i chociaż większość z nich już się zagoiła, blizny wciąż były widoczne, a ona wołała nikomu ich nie pokazywać. Nie mogła sobie wyobrazić, że będzie przebywać z rodzicami dzień i noc, ani jak wytrzyma nieustanne próby pocieszania. Zdażyła już polubić pustelnicze życie, ponure myśli i samotne chwile. Kiedyś była zupełnie inna, ale taka właśnie się stała dzięki Freddie'emu van Deeringowi.

- Zaczepnij lepiej świeżego powietrza - nalegała matka. - Jeśli będziesz spędzać zbyt wiele czasu w kabinie, możesz dostać choroby morskiej.

- Jeśli się źle poczuję, wyjdę na spacer. Nie martw się, mamó. Czuję się dobrze - odrzekła, ale gdy odchodziła do swojej kajuty, żadne z rodziców nie było o tym przekonane.

- Co z nią zrobimy, Edwardzie? - matka wyglądała na przygnębioną, gdy spacerowali po pokładzie mijając innych spacerowiczów i spoglądając w morze; myśleli oczywiście o Sarze.

- Ona nie ma łatwego charakteru, to pewne jak dwa razy dwa. Zastanawiam się, czy naprawdę jest taka nieszczęśliwa, na jaką wygląda, czy też po prostu chce grać rolę romantycznej postaci - ojciec wątpił, czy ją jeszcze rozumie, i nie był pewny, czy rozumiał kiedykolwiek. Czasem obie córki wydawały mu się ogromnie zagadkowe.

- Bywa, że poczucie nieszczęścia staje się pewną manierą - odpowiedziała Victoria. - Myślę, że z początku była rzeczywiście oszołomiona, zrozpaczona, a także zakłopotana skandalem, jaki wywołał Freddie. Ale przez sześć minionych miesięcy odnosiłam wrażenie, że ona naprawdę preferuje taki styl. Myślę, że lubi samotność, że pustelniczy tryb życia uważa za coś, czego jej potrzeba do szczęścia. Gdy była mała, zawsze była bardziej towarzyska i dużo więcej psociła niż - Jane. Wygląda, że to się zmieniło i zatraciła swą dawną osobowość.

- Lepiej byłoby, gdyby na powrót stała się dawną Sarą, i to jak najszybciej. Ta idiotyczna chęć odosobnienia nie wyjdzie jej na zdrowie - Edward Thompson całkowicie zgadzał się z żoną. On odnosił takie samo wrażenie. Była teraz spokojna, melancholiczna, wydawała się dojrzała, ale z pewnością nie wyglądała na szczęśliwą.

Gdy schodzili później na lunch, Sara spokojnie siedziała w swej kabine pisząc list do Jane. Przestała jadać obiady. O tej porze zazwyczaj chodziła na długie spacery po plaży i to było powodem jej utraty wagi. Nie było to żadne poświęcenie z jej strony, po prostu bardzo rzadko bywała głodna.

Gdy po lunchu odwiedzili ją rodzice, zastali Sarę wyciągniętą na koi, nadal w czarnej sukni, choć bez kapelusza i butów. Leżała z zamkniętymi oczami i nie poruszała się, ale matka podejrzewała, że nie śpi. Zostawili ją, a kiedy wrócili za godzinę, zastali ją przebraną w sweter i spodnie; siedziała w przepastnym fotelu i czytała książkę, niewiele zwracając uwagi na to, co się dzieje wokół niej.

- Saro? Chodź z nami na spacer po pokładzie! Sklepy są fantastyczne - Victoria nie miała zamiaru przestać nalegać.

- Może później. - Sara nie odrywała oczu od książki, a gdy usłyszała usłyszała odgłos zamykanych drzwi, pomyślała, że matka opuściła kabinę. Westchnęła, podniosła oczy i z zaskoczeniem stwierdziła, że stoi na wprost niej. - Och... myślałam, że wyszłaś.

- Wiem, że tak pomyślałaś. Saro, ale chcę, żebyś poszła ze mną na spacer. Nie zamierzam spędzić całej podróży na błaganiach, żebyś raczyła opuścić kabinę. Zdecydowałaś się pojechać, więc teraz użyj całego swego uroku i wdzięku, bo inaczej zrujnujesz wakacje wszystkim, a szczególnie ojcu.

Zawsze tak się troszczyli o siebie nawzajem. Sarę czasem to bawiło, ale teraz zaniepokoiło.

- Czy muszę przebywać z wami przez cały boży dzień? Lubię być sama. Dlaczego to tak bardzo wszystkich denerwuje?

- Ponieważ odbiega od normy i jest niezwykle niebezpieczne dla zdrowia dziewczyny w twoim wieku. Samotność nie jest domeną młodości. Potrzebujesz ludzi, życia, mocnych wrażeń.

- Czyżby? Kto o tym za mnie zdecydował? Kto powiedział, że jeśli ma się dwadzieścia dwa lata, potrzebuje się mocnych wrażeń? Ja na pewno ich nie potrzebuję. Już przez to przeszłam i nie życzę sobie doznawać silnych emocji. Dlaczego wy wszyscy nie możecie tego zrozumieć?

- Ja rozumiem, kochanie. Ale tego, co przeżyłaś, nie można określić mianem "mocnych wrażeń", tylko całkiem inaczej; to było rozczarowanie, naruszenie wszystkich twoich pojęć o tym, co przyzwoite i dobre, w co zawsze wierzyłaś. To było okropne doświadczenie, a my nie chcemy, abys kiedykolwiek znowu tego doświadczyła. Ale musisz wejść do grona żywych duchem, inaczej uschniesz i umrzesz wewnątrz.

- Skąd o tym wiesz? - Sara wydawała się mocno zaskoczona słowami matki.

- Widzę to w twoich oczach - odparła rozsądnie Victoria. - Widzę w nich, jakby ktoś umierał, ktoś obolały, samotny i smutny. Ktoś, kto woła o pomoc, ale ty go mocno trzymasz i nie chcesz wypuścić, by otrzymał pomoc.

Sara słuchała ze łzami w oczach. Matka podeszła do niej i delikatnie przytuliła.

- Bardzo cię kocham, Saro. Spróbuj, proszę... spróbuj znowu wyjść ze swojej skorupki. Zaufaj nam... nie pozwolimy, by ktokolwiek znowu cię skrzywdził.

- Ale wy nie wiecie, jaki przeżywam koszmar. - Sara zaczęła kwilić jak dziecko, wstydząc się własnych emocji oraz tego, że nie umiała zapanować nad nimi. - To było tak przerażające, takie nieludzkie. Jego nigdy nie było ze mną, a jeśli był...

Nie mogła mówić dalej, płakała tylko kołysząc w obie strony głową, niezdolna znaleźć słów oddających jej stan ducha; matka gładziła długie jedwabiste włosy i tuliła córkę w ramionach.

- Wszystko to wiem, kochanie... Wyobrażam to sobie dokładnie. Wiem, co przeżyłaś, ale to już minęło, a ty ciągle trwasz, nie przeminęłaś. Twoje życie dopiero się rozpoczyna. Nie rezygnuj, dopóki nie dano ci właściwej szansy. Rozejrzyj się dookoła, weź wiatr w żagle, wączaj zapach życia. Proszę...

Sara przyłgnęła do matki słuchając jej słów i wreszcie, nie przestając płakać, powiedziała, co ma na sercu.

- Już dłużej nie mogę... Za bardzo się boję.

- Jestem przy tobie.

Wcześniej nie byli w stanie jej pomóc. Nie mogli zmusić Freddiego, by się przyzwocię zachowywał, by zrezygnował ze swoich panienek, nie potrafili sprawić, by nie straciła dziecka.

Przekonała się na własnej skórze, że zdarzają się przypadki, gdy nikt, nawet rodzice, nie może pomóc.

- Musisz jeszcze raz spróbować, kochanie. Powoli, maleńkimi kroczkami. Ojciec i ja będziemy przy tobie - Victoria odsunęła się od córki i popatrzyła jej w oczy. - Bardzo cię kochamy. I nie chcemy dopuścić, by znów stała ci się krzywda.

Sara zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

- Postaram się.

Otworzyła oczy i obrzuciła matkę uważnym spojrzeniem.

- Naprawdę się postaram.

Nagle ogarnęła ją trwoga.

- A co będzie, jeśli mi się nie uda?

- Nie może ci się nie udać - uśmiechnęła się matka. - Nie potrafisz wyjść na spacer ze mną i z ojcem? Albo zjeść z nami kolacji? Nie potrafisz spotkać się z paroma przyjaciółkami? Myślę, że nawet więcej. Nie prosimy cię o zbyt wiele, a jeśli to będzie przerastało twoje możliwości, po prostu powiesz nam o tym.

Wyglądało to tak, jakby stała się inwalidką, i w pewnym sensie tak było. Freddie okaleczył ją psychicznie. Pytanie brzmiało, czy potrafi się wyleczyć, czy można jej pomóc, czy w ogóle powróci do siebie. Matka nie mogła znieść myśli, że może stać się inaczej.

- Co z tym spacerem?

- Okropnie wyglądam. Z pewnością mam podpuchnięte oczy. I nos zawsze mi czerwienieje - roześmiała się przez łzy, gdy matka wyraziła miną zdziwienie.

- To największy nonsens, jaki kiedykolwiek słyszałam. Twój nos nie jest czerwony.

Sara zeskoczyła z krzesła, by spojrzeć w lustro, i wykrzyknęła z rozpaczą:

- A właśnie, że jest! Spójrz, wygląda jak czerwony kartofel!

- Niech no zobaczę... - Victoria zmrużyła oczy i przyglądała się noskowi Sary potrząsając przecząco głową. - To musi być bardzo, bardzo mały kartofelek. Myślę, że nikt niczego nie zauważy, jeśli obmyjesz twarz zimną wodą i uczeszysz się, a może też troszkę uszminkujeś usta.

Jej twarz nie widziała makijażu od miesiący; nie dbała o to, a Victoria aż do tej chwili nie nalegała.

- Nie zabrałam szminki - Sara udawała obojętną. Naprawdę nie wiedziała, czy chce spróbować, ale poruszyły ją słowa matki i nie chciała robić wrażenia całkowicie odpornej.

- Dam ci moją. Masz szczęście - wyglądasz równie dobrze ze szminką, jak i bez. Ja bez makijażu jestem blada jak papier.

- Wcale nie! - krzyknęła za nią Sara. Matka przechodziła przez salon kierując się do swoich pokojów, by przynieść szminkę. Po chwili wróciła i podała ją córce. Sara posłusznie splukiwała twarz zimną wodą i czesała włosy. W swetrze i spodniach, z włosami sięgającymi poniżej ramion, znów wyglądała jak młoda dziewczyna; matka uśmiechała się, gdy wyszły z kajuty ramię przy ramieniu, by poszukać ojca.

Spotkały go na pokładzie spacerowym, wygodnie rozciągniętego na leżaku i wystawiającego twarz do słońca; obok dwaj przystojni młodzi ludzie grali w shuffleboard (gra polegająca na trafianiu krążkami lub monetami w oznaczone cyframi pola - przyp. tłum.). Celowo wybrał leżak jak najbliżej nich - miał nadzieję, że Victoria w końcu pojawi się z Sarą i nie ukrywał radości, gdy je zobaczył.

- Gdzie byliście? Pewnie penetrowałyście sklepy?

- Jeszcze nie - Victoria wyglądała na zadowoloną, a Sara uśmiechnęła się, zupełnie nie zwracając uwagi na mężczyzn, których sąsiedztwo umyślnie wybrał ojciec. - Pomyślałyśmy, że najpierw przejdziemy się i wypijemy z tobą herbatę, a potem urządzimy atak na sklepy i wydamy wszystkie twoje pieniądze.

- Jeśli mnie oskubiecie, będę musiał skoczyć za burtę.

Obie kobiety roześmiały się, a mężczyźni spojrzeli na Sarę - jeden z nich z wyraźnym zainteresowaniem. Sara odwróciła się i zaczęła spacerować po pokładzie razem z ojcem. Podczas rozmowy Edward Thompson był pod wrażeniem rozległej wiedzy córki o najnowszych wydarzeniach w polityce światowej. Najwyraźniej dobrze wykorzystywała ostatnio czas, musiała czytać wiele gazet i czasopism. Wiedziała wszystko co możliwe na temat sytuacji w Europie. Uświadomił sobie, że jest bardzo inteligentna i bystra; był naprawdę zaskoczony, że tak dużo wie. To nie była zwyczajna dziewczyna, nie zmarnowała czasu, gdy pozostawała w ukryciu. Rozprawiała o wojnie domowej w Hiszpanii, o aneksji Austrii przez Hitlera w marcu i jej skutkach, o jego działaniach w Nadrenii przed dwoma laty.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - zapytał ojciec, będąc pod wrażeniem rozmowy z córką. Tak cudownie było prowadzić ten dyskurs.

- Wiele czytałam... - uśmiechnęła się nieśmiało. - Jak wiesz, nie mam wiele więcej do roboty.

Wymienili ciepłe uśmiechy.

- I stwierdziłam, że to jest fascynujące. Jak myślisz, ojczu, co się zdarzy? Czy sądzisz, że Hitler wypowie wojnę? On naprawdę robi wrażenie, jakby się do niej przygotowywał, a sądzę, iż przymierze Rzymu z Berlinem może być bardzo niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli się zważy, co wyczynia Mussolini.

- Saro - zatrzymał się i popatrzył na córkę - zachwycasz mnie.

- Dziękuję.

Spacerowali przez dłuższy czas, dalej pogrążeni w rozmowie o tym, jakie zagrożenia może stworzyć wojna w Europie; ojciec nie był zadowolony, gdy godzinę później musieli przerwać przechadzkę. Nigdy Sary takiej nie widział, nie znał jej drugiego oblicza. Nie ulegało wątpliwości, że marnowała się przy takim mężu jak Freddie van Deering.

Przy herbacie nadal rozmawiali z ożywieniem; Edward rozwinął swoją teorię, że Stany Zjednoczone nigdy nie dadzą się wplątać w europejską wojnę i wyraził pogląd, który ambasador Kennedy omawiał już ze swymi zaufanymi, że Anglia też nie ma zamiaru w nią się angażować.

- Wielka szkoda, że nie jedziemy do Niemiec - powiedziała Sara zaskakując ojca. - Bardzo bym chciała wiedzieć, co się tam dzieje, może nawet porozmawiać z ludźmi.

Ale ojciec czuł się szczęśliwy, że się tam nie wybierają. Sara wśród niebezpieczeństw polityki światowej! - z pewnością nie to planował dla niej. Co innego interesować się wydarzeniami na świecie, być doskonale poinformowaną i wiele wiedzącą, ale jechać w sam środek tego kotła - to wiązało się z niebezpieczeństwem, na które nigdy by się nie zgodził.

- Myślę, że wystarczy, jeśli pojedziemy do Anglii i Francji. Nie jestem przekonany, czy istotnie powinniśmy jechać do Rzymu. Podejmiemy decyzję, gdy znajdziemy się w Europie.

- Gdzie twoja żyłka przygody, tatusiu? - zażartowała, ale on, wiedząc, co robi, potrząsnął przecząco głową.

- Jestem na to za stary, gołąbeczko. A ty powinnaś nosić piękne suknie i chodzić na przyjęcia.

- To nudy - Sara usiłowała marudzić, ale ojciec roześmiał się.

- Z całą pewnością jest pani niezwykle dziewczyną, panno Saro.

Nie ulegało wątpliwości, że jej małżeństwo z van Deeringiem było jednym wielkim nieporozumieniem, a katastrofa ta spowodowała, że znalazła sobie odosobnione miejsce na Long Island. Była zbyt błyskotliwa i inteligentna dla niego, a także dla większości młodych ludzi z jego kręgu. Teraz, gdy na statku zbliżyli się do siebie, ojciec zaczął inaczej ją oceniać.

Trzeciego dnia po wyjściu statku w morze Sara wydawała się całkowicie odprężona i spacerowała już bez ograniczeń. Nadal trzymała się na uboczu, nie zdradzając szczególnego zainteresowania młodymi ludźmi na pokładzie. Pojawiała się jednak z rodzicami w jadalni, a ostatniego wieczora towarzyszyła im przy stole kapitańskim.

- Czy nie jest pani z nikim zaręczona, panno Thompson? - zapytał z błyskiem w oku kapitan Irving; matka wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

- Nie, nie jestem - odparła chłodno Sara; na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec; gdy sięgnęła po kieliszek z winem, zadrżała jej ręka.

- Jakie to szczęście dla młodych mężczyzn w Europie!

Sara uśmiechnęła się z zażenowaniem, ale czuła, że te słowa wbijają się w jej serce jak nóż. Nie, nie była zaręczona, ale czekała, aż ogłoszą jej rozwód w listopadzie, w rok po przesłuchaniu. Rozwód. Tutaj przynajmniej nikt o tym nie wiedział. I za to była wdzięczna losowi. Może przy odrobinie szczęścia także w Europie nikt się o tym nie dowie.

Kapitan poprosił ją do tańca - pięknie wyglądała w jego ramionach, w połyskującej błękitem atlasowej sukni, którą matka uszyła jej przed ślubem z Freddie. Ta suknia była częścią wyprawy i tego wieczora, gdy ją wkładała, poczuła ucisk w krtani. Do następnego tańca zaprosił ją natychmiast młody człowiek, którego nigdy wcześniej nie spotkała na statku - i znowu serce podeszło jej do gardła. Przez dłuższy czas zdawała się wahać, po czym uprzejmie skinęła głową.

- Skąd pani pochodzi? - rozpoczął rozmowę.

Był bardzo wysoki i miał jasne włosy; jego akcent świadczył, że jest Anglikiem.

- Z Nowego Jorku.

- Czy płynie pani do Londynu? - robił wrażenie, że bawi się doskonale; obserwował Sarę całe dnie, stwierdził jednak, że jest bardzo powściągliwa, a nawet zachowuje się w sposób łagodnie odstręczający. Nie dała mu najmniejszej zachęty i uznał to za bulwersujące.

Sara świadomie zachowywała się wobec niego tak obojętnie. Nie chciała, by ktokolwiek się koło niej pętał, a poza tym przypominał troszkę Freddiego.

- Gdzie się pani zatrzyma w Londynie?

- U przyjaciół moich rodziców - skłamała wiedząc doskonale, że mają rezerwację w hotelu Claridge i że pozostaną w Londynie co najmniej dwa tygodnie; nie miała jednak najmniejszej ochoty spotykać się z tym młodym człowiekiem. Szczęśliwie taniec nie trwał długo. Młodzieniec kręcił się jeszcze w pobliżu, ale ponieważ Sara nie zachęcała go, po kilku minutach zrozumiał to właściwie i wrócił do swego stolika.

- Widzę, że młody lord Winthrop nie jest w pani guście - zażartował kapitan. Lord był najlepszą partią na statku i wszystkie młode damy w wieku odpowiednim do zamążpójścia bezwzględnie usiłowały go usidlić. Wszystkie z wyjątkiem wyjątkowo powściągliwej panny Thompson.

- Nie o to chodzi. Po prostu go nie znam - odparła chłodno Sara.

- Czy chciałaby pani zostać formalnie przedstawiona? - zaproponował kapitan, ale Sara uśmiechnęła się tylko i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dziękuję, panie kapitanie.

Następnie tańczyła z ojcem, a kapitan w rozmowie z Victorią rozpląwał się nad inteligencją i urodą Sary.

- To niezwykła dziewczyna - rzekł z wyraźnym podziwem. Lubił z nią rozmawiać podczas tych pięciu dni rejsu, prawie tak bardzo, jak jej własny ojciec. - I taka piękna. Zachowuje się wspaniale, jak na osobę tak młodą. Nie wyobrażam sobie, by państwo mogli mieć z nią jakiegokolwiek problemy.

- Nie mamy - uśmiechnęła się Victoria dumna z córki - poza tym, że jest taka bezbłędna.

Matka uśmiechała się niejako wbrew sobie, zażenowana kompletną obojętnością Sary wobec młodego lorda Winthropa. To nie było zbyt dobrą wróżbą dla innych młodych mężczyzn w Europie!

- Przeżyła wielkie rozczarowanie - Victoria Thompson zwierzyła się kapitanowi - i na jakiś czas postanowiła odsunąć się od wszystkich. Chcemy ją wydobyć z tej skorupki i między innymi dlatego płyniemy do Europy.

- Rozumiem - skinął głową, lepiej pojmując sytuację. To wyjaśniało zupełny brak zainteresowania Sary Phillipem Winthropem.

- Nie będzie jej łatwo znaleźć odpowiedniego mężczyznę - rozbijając szczerze powiedział kapitan. - Jest zbyt inteligentna i zbyt mądra, nie wydaje się zainteresowana byle jakimi sprawami. Może spodoba jej się ktoś nieco starszy.

Polubił tę dziewczynę i przejął się jej losem.

- Macie państwo wiele szczęścia. To bardzo piękna młoda dama. Mam nadzieję, że znajdzie wspaniałego męża - uśmiechnął się do jej matki.

Victoria zastanawiała się, czy przypadkiem wszystkim nie wydaje się, że jadą do Europy znaleźć męża dla Sary. Sara dostałaby szału, gdyby jej to przyszło do głowy. Podziękowała kapitanowi, zatańczyła z nim jeszcze raz i poszła szukać córki oraz męża.

- Sądzę, moi mili, że powinniśmy pójść spać o przyzwoitej porze. Jutro będzie wielki dzień.

Wysiadali ze statku w Cherbourgu i udawali się prosto do Paryża. Sara nigdy tam nie była, przewidziano więc intensywny program turystyczny. Zarezerwowano dla nich samochód z szoferem. Zatrzymywali się w hotelu Ritz, po tygodniu mieli jechać do Deauville i Biarritz, by spotkać się z przyjaciółmi; następny tydzień na Riwierze, w Cannes i kilka dni w Monte Carlo. Potem w programie był Londyn.

Statek zacumował w Cherbourgu o ósmej następnego ranka i Thompsonowie w doskonałych humorach wsiedli do pociągu. Edward recytował listę miejsc, które, jak uważał, Sara powinna koniecznie zobaczyć: Luwr, Tuileries, Malmaison, Jeu de Paume, wieżę Eiffla i naturalnie grobowiec Napoleona. Pod koniec tego monologu Victoria uniosła ekspresyjnie brwi.

- Nie ma na tym wykazie takich atrakcji, jak Chanel, Dior, Balenciaga czy Schiaparelli. Czy zapomniałeś o nich, kochany?

Tego roku fiolet i fiołkoworóżowy były obowiązującymi kolorami w Paryżu, a Victoria cieszyła się na kupno nowych kreacji dla siebie i Sary.

- Staralem się, moja droga - uśmiechnął się dobrodusznie. - Ale wiedziałem, że nie pozwolisz mi o nich zapomnieć na długo.

Lubił ulegać zachciankom żony, czekał na okazję, by spełnić marzenia córki, ale chciał też, by zwiedziła ważniejsze budowle związane ze sztuką i kulturą. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zacząć jej pokazywać niektórych obiektów, gdy wjeżdżali do Paryża.

Ich pokoje w Ritzu były wspaniałe. Tym razem Sara miała apartament wyłącznie do swojej dyspozycji, niezależny od rodziców. Okna wychodziły na plac Vendome. Musiała teraz przyznać, gdy sama stała w pokoju, że ta słodycz samotności ma w sobie gorzki aromat i byłoby nieporównanie przyjemniej, gdyby był obok niej mąż.

Westchnęła i położyła się samotnie w ogromnym łóżu, pod pikowaną kołdrą.

Rano poszli do Luwru i spędzili tam wiele godzin. Dla rodziców był to wspaniały dzień, podobnie jak pozostała część podróży. Sara nie sprzeciwiała się im więcej. W Paryżu Thompsonowie mieli tylko jedną znajomą - starszą panią, przyjaciółkę matki Edwarda, która zaprosiła ich na herbatę do swego domu przy rue Jacob. Sarze nie brakowało jednak atrakcji. Podziwiała muzea, katedry i sklepy. Cieszyła się czasem, jaki spędzała z rodzicami.

Pobyt w Deauville obfitował w niezbyt przyjemne niespodzianki. Znajomi rodziców, których odwiedzili, starali się skłonić Sarę, by spotykała się z ich synem, i robili wszystko, co możliwe, by ich sobą zainteresować. Sara uznała go za nieinteresującego, wyjątkowo nudnego i równie mało inteligentnego. Cały czas robiła wszystko, co mogła, by go unikać. Podobnie było z pewnymi braćmi, których podtykano jej w Biarritz, i z pewnym wnuczkiem w Cannes, by już nie wspomnieć o dwóch "czarujących" młodych ludziach, których przedstawiono jej w Monte Carlo. Pod koniec pobytu na Riwierze Sara była w koszmarnym nastroju i już prawie nie odzywała się do rodziców.

- Jak ci się podobała Riwiera, kochanie? - zapytała niewinnie Victoria, gdy się pakowały w przeddzień wyjazdu do Londynu.

- Wcale mi się nie podobała - odrzekła twardo Sara. - Nie podobała mi się zupełnie.

- Doprawdy? - matka spojrzała ze zdziwieniem. Jej zdaniem, wspaniale spędzili czas. Pływali na jachtach, sporo przebywali na plaży i uczestniczyli w kilku naprawdę doskonałych przyjęciach. - To smutne, że tak to odebrałaś...

- Chcę, abyś się o czymś dowiedziała, mamó. - Sara spojrzała matce prosto w oczy i położyła białą bluzkę, którą właśnie miała zamiar schować. - Nie przyjechałam do Europy, aby szukać nowego męża. Przypominam ci, że przynajmniej do listopada jestem jeszcze zamężna. Poza tym mam nadzieję nie wyjść za mąż ponownie. Obrzydzenie bierze na widok wszystkich, którzy mi próbują narzucić swoich skretyniałych synów, niedouków wnuczków czy kuzynów idiotów. Do tej pory nie spotkałam tutaj mężczyzny, z którym pragnęłabym porozmawiać lub chociaż spędzić godzinę. Nie chcę mieć nowego męża, nie chcę, by mnie włóczono po całej Europie i pokazywano jak jakąś niedojdę, która rozpaczliwie szuka męża. Czy to jest jasne?

Oszołomiona matka skinęła głową.

- A przy okazji, czy ci wszyscy ludzie wiedzą, że byłam już mężatką?

- Nie sędzę - Victoria potrząsnęła głową.

- No cóż, może powinnaś im powiedzieć. Jestem pewna, że z dużo mniejszym entuzjazmem przedstawiliby mi swoich milutkich kretynów, gdyby wiedzieli, że jestem już prawie rozwódką.

- To nie jest zbrodnia, Saro - stwierdziła spokojnie Victoria, rozumiejąc punkt widzenia Sary. Ale dla Sary to była zbrodnia. Śmiertelny grzech, którego nie była w stanie sobie wybaczyć i nie oczekiwała, by mógł go wybaczyć jej ktoś inny.

- Nie jest to powód do dumy. Większość ludzi z pewnością nie uznałaby tego za sukces.

- Nie powiedziałam, że sukces, ale to nie jest nieszczęście, nad którym tak trzeba żałować ręce. Poznasz ludzi, którzy, choć będą wiedzieć, nie będą mieli tego za złe. A tym, którzy nie wiedzą, zawsze możesz sama powiedzieć, jeśli poczujesz, że musisz i że nadszedł właściwy czas.

- To jest jak zakaźna choroba. Należy o tym mówić ludziom, by ich ostrzec.

- Nie ma żadnego przymusu. Chyba że sama tego chcesz.

- A może powinnam nosić znak. Wiesz... jak trędowata - w głosie Sary brzmiały gniew, gorycz i smutek; miała po dziurki w nosie łączenia jej z zupełnie nie interesującymi młodymi mężczyznami, którzy niemal rozbierali ją wzrokiem. - Czy wiesz, co zrobił ten młody de Saint Gilles w Deauville? Zabrał moje ubranie, kiedy się przebierałam, a potem wszedł i starał się zerwać ze mnie ręcznik. Uważał, że to ogromnie zabawne.

- Okropność! - matka była zupełnie skonsternowana. - Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś?

- Ależ tak! Jemu. Oświadczyłam mu, że jeśli natychmiast nie odda moich rzeczy, poskarżę się jego ojcu; biedaczek ogromnie się przestraszył, oddał mi wszystkie ubrania i błagał, abym zatrzymała to w tajemnicy. Był naprawdę przerażony.

Coś takiego mógł zrobić jakiś mały, a nie dwudziestosiedmioletni mężczyzna. Wszyscy ci młodzi ludzie byli tacy niedojrzali, zepsuci, aroganccy. Poza tym prymitywni i niedouczeni, wprost nie do zniesienia.

- Chcę jedynie, abyście ty i ojciec wiedzieli, że przyjechałam do Europy nie po to, by szukać męża - przypomniała jeszcze raz; matka wyrozumiale skinęła głową; Sara wróciła do pakowania.

Wieczorem Victoria wspomniała o tym incydencie mężowi, opowiedziała mu o młodym człowieku z Deauville; Edward uważał to za głupi, ale z pewnością nieszkodliwy kawał.

- Prawdziwym problemem jest to, że ona jest bardziej dorosła od nich wszystkich. Przeżycia też zrobiły swoje. Potrzebuje kogoś starszego, bardziej dojrzałego. Ci chłopcy nie mają zielonego pojęcia, jak należy postępować z taką młodą kobietą. Na dodatek - przy jej nastawieniu do jakiegoś nowego związku - tylko wyprowadzają ją z równowagi. Musimy baczyć, w jakie towarzystwo będziemy ją wprowadzać w Londynie.

Nie chodziło o to, by Sarę całkowicie odizolować od mężczyzn, ale by znaleźć przynajmniej jednego lub dwóch, w których towarzystwie lubiłaby przebywać. Chłopcy, których spotykała dotąd, wzmagali jedynie jej upodobanie do samotności.

Następnego dnia Thompsonowie z Sarą wrócili do Paryża, a po siedmiu godzinach pociągiem Złota Strzała ruszyli w stronę Kanału. Na pokładzie promu przekroczyli go następnego dnia rano. Do Claridge przybyli w porze obiadu. W recepcji powitał ich dyrektor hotelu, po czym nastąpiła ceremonia wprowadzenia gości do apartamentów. Rodzice mieli dużą sypialnię, z której okien, ponad dachami domów, widoczny był Big Ben i budynek Parlamentu. W skład apartamentu wchodziła też bawialnia, a Sarze przypadł w udziale wdzięczny pokój, coś w rodzaju buduaru, wyłożony różową satyną i perkalem w rozetki. Na biurku już leżało kilka zaproszeń, z których żadne nie wydawało się zapowiadać miłych niespodzianek. Sara nie zadała sobie nawet trudu, by je otworzyć - dopiero wieczorem przypomniała o tym matka. Podczas kolacji w apartamencie Victoria oznajmiła, że podczas pobytu w Londynie są zaproszeni na dwa oficjalne wieczorne przyjęcia, herbatę u starych znajomych, całodzienny piknik w Leicester oraz na lunch, który na ich cześć wydają państwo Kennedy w ambasadzie przy Grosvenor Square. Z perspektywy Sary wszystko to wyglądało na okropne nudziarstwo.

- Czy muszę wszędzie chodzić z wami? - jęknęła głosem, który przypominał matce czasy, gdy Sara była nastolatką. Ojciec miał na to zdecydowany pogląd.

- Nie zaczynajmy tego od nowa. Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy. Mamy odwiedzać znajomych, a nie obrażać ich odrzucając zaproszenia.

- A po co im moje towarzystwo? Tatusiu, to wasi przyjaciele, nie moi. Nawet nie zauważą, że mnie nie ma.

- Dostyc tego - ojciec zdecydowanie położył dłoń na stole. - Nie będę o tym więcej z tobą dyskutował. Jesteś zbyt dorosła, by mówić od rzeczy. Bądź uprzejma zdobyć się na ten wysiłek. Czy to jasne, Saro Thompson?

Sara spojrzała nań lodowatym wzrokiem, ale on jakby tego nie dostrzegał albo po prostu nie dbał o to, czy Sara ma coś przeciw takiemu stanowisku. Przywiózł ją do Europy z określonego powodu i nie zamierzał pozwolić, by ktoś odwiódł go od zamiaru ponownego wprowadzenia córki w świat. Niezależnie od tego, jak bardzo się opiera, ojcowski instynkt podpowiadał mu, że właśnie tego potrzebuje.

- A zatem doskonale.

W milczeniu skończyli posiłek. Następnego dnia odwiedzili Muzeum Wictorii i Alberta, miło spędzili czas, a na koniec uczestniczyli w bardzo eleganckiej i bardzo napuszonej kolacji. Sara jakoś nie skarżyła się. Była ubrana w suknię kupioną tuż przed wyjazdem - z ciemnozielonej tafty w kolorze jej oczu. Kreacja była wprost wspaniała, Sara wyglądała w niej pięknie, ale wcale nie chciała znaleźć się w tym miejscu. Robiła wrażenie bardzo znudzonej i dokładnie tak się czuła przez większą część wieczoru. Poznano ją z kilkoma młodymi ludźmi, starała się z nimi rozmawiać, ale stwierdziła, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Większość z nich robiła wrażenie zdemoralizowanych półgłówków i kompletnie nie doinformowanych o otaczającym ich świecie.

W drodze do domu Sara była milcząca, a rodzice nawet nie pytali, czy się dobrze bawiła. Było to oczywiste. Drugie oficjalne przyjęcie nie różniło się wiele od poprzedniego, a proszona herbatka pobiła rekordy nudy. Usiłowano jej tam natarczywie wmawiać kuzyna, który - co później przyznała z zakłopotaniem nawet jej matka, był głupi, nieporadny i po prostu dziecinny.

- Na miłość boską! - wybuchnęła Sara, gdy tego wieczora wrócili do hotelu. - Co ci ludzie wyprawiają? Dlaczego oni mi to robią? Wszyscy chcą mnie swatać z tymi przyglupami. Co wy im mówiliście, gdy zapowiadaliście naszą wizytę? - zapytała Sara ojca. - Że jestem zdesperowana, że trzeba mi pomóc?

Nie mogła wprost uwierzyć w istnienie takich ludzi.

- Powiedziałem tylko, że zabieramy cię ze sobą. Interpretacja tego jest ich wyłączną sprawą. Sądzę, że są po prostu gościnni i zapraszają młodych ludzi z twojego powodu. Jeśli nie podobają ci się ich krewni czy ich młodzi znajomi, przykro mi, ale nic na to nie mogę poradzić.

- Nie możesz im powiedzieć, że jestem zaręczona? Albo że mam zakaźną chorobę? Cokolwiek, aby nie czuli się zobowiązani do swatania. Naprawdę nie mogę tego znieść. Odmawiam chodzenia na przyjęcia, bo czuję się na nich przez cały wieczór jak idiotka!

Rozegrała to bardzo dobrze, ale się zmięgliła, co w gruncie rzeczy wcale jej nie ucieszyło.

- Bardzo mi przykro, Saro - oświadczył spokojnie ojciec. - Oni nie mają nic złego na myśli. Staraj się tym tak bardzo nie przejmować.

- Nie miałam okazji przeprowadzić żadnej sensownej rozmowy z nikim, odkąd wyjechaliśmy z Nowego Jorku - odrzekła oskarżycielskim tonem, a on uśmiechnął się i obdarzył Sarę uważnym spojrzeniem. Przynajmniej jego towarzystwo lubiła, i to z wzajemnością. To już było coś.

- A z kim prowadziłaś te inteligentne rozmowy, gdy ukrywałaś się na Long Island?

- Tam nie były mi potrzebne.

Nastąpiła uspokajająca cisza.

- Cóż, nie oczekuj teraz zbyt wiele. Przyjmuj sprawy takimi, jakie są. Pobyt w nowym miejscu to okazja do poznania nowych ludzi.

- Nawet rozmowa z kobietami nie sprawia mi przyjemności.

- W tym miejscu nie masz racji - odparł, a jego żona uniosła pytająco brwi. Pogłaskał ją po dłoni przeproszającym gestem, a ona wiedziała, że się tylko droczy.

- Świat tych wszystkich kobiet zaczyna się i kończy na mężczyznach - odpowiedziała Sara, przechodząc z pozycji ataku do obrony. - Nie sądzę, by kiedykolwiek słyszały o polityce. Uważają, że Hitler to nowy kucharz ich matki. Jak to się dzieje, że są takimi idiotkami?

Ojciec roześmiał się w głos i pokiwał głową.

- Odkąd jesteś taką polityczną i intelektualną snobką?

- Odkąd przebywam sama z sobą. W gruncie rzeczy to cholernie przyjemne przebywać w tak inteligentnym towarzystwie.

- Bez przesady. Czas, byś zdała sobie sprawę, że świat składa się z różnorodnych ludzi: inteligentnych, mniej lub bardziej rozgarniętych, oczywistych głuptasów, osób zabawnych i zupełnie bez polotu. To właśnie stanowi o barwie naszego otoczenia. Zdecydowanie zbyt długo żyłaś w izolacji, Saro. Jestem bardzo szczęśliwy, że przyjechałaś tutaj.

- Nie jestem pewna, czy ja też jestem szczęśliwa - burknęła, ale powoli zaczęła się przekonywać do tej podróży. Wydarzenia towarzyskie były mniej niż zadowalające, ale wyjazd jako całość bardzo ją cieszył; była szczęśliwa, że jest z rodzicami. Ta ekskursja ponownie zintegrowała rodzinę; na przekór narzekaniom wydawała się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Przynajmniej odzyskiwała poczucie humoru.

Następnego dnia Sara znów chciała uniknąć wyjazdu na wieś razem z rodzicami, ale ojciec stwierdził, że nie ma wyboru: wiejskie powietrze dobrze jej zrobi; znał posiadłość, do której się

wybierali, i twierdził, że jest warta obejrzenia. Sara pomrukiwała wsiadając wraz z nimi do samochodu i skarżyła się przez większą część drogi, ale musiała przyznać, że prowincja jest piękna, a pogoda, jak na Anglię, niespotykane ciepła i słoneczna.

Po dotarciu na miejsce niechętnie przyznała, że, zgodnie z obietnicą ojca, okolica jest urocza. Był to czternastowieczny zamek otoczony fosą, z pięknymi terenami wokół i autentyczną starą farmą, którą właściciele pieczołowicie odrestaurowali. Stu osobom zaproszonym na lunch pozwolono wędrować po całej posiadłości, także po długich korytarzach magnackiej siedziby. Dyskretna służba czekała, by serwować drinki, oferować odpoczynek w którymś z wielu salonów lub w otaczających posiadłość ogrodach. Sara pomyślała, że nigdy nie widziała piękniejszego i bardziej interesującego miejsca. Była tak zafascynowana farmą, że zatrzymała się, zadając nie kończące się pytania. Tam udało się jej zgubić rodziców. Stała patrząc na kryte strzechami zabudowania, na majaczący w oddali zamek. To był wspaniały widok - podziwiając go westchnęła lekko; czuła się spokojna i całkowicie wchłonięta przez historię. Wydawało się, że otaczający ją ludzie zniknęli; w istocie większość z nich zrobiła to po pewnym czasie. Wrócili do zamku na lunch lub spacerowali po ogrodach.

- Fascynujące, nieprawdaz? - odezwał się za nią czyjś głos. Odwróciła się i z zaskoczeniem ujrzała tuż za plecami mężczyznę o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Był bardzo wysoki, ciepły uśmiech rozjaśniał mu twarz - wyglądali niemal jak brat i siostra.

- Kiedy tu przychodzę, zawsze mam wyjątkową świadomość kontynuacji historii. Tak jakby po zamknięciu oczu mieli się tu pojawić rycerze i ich damy.

Sara uśmiechnęła się słysząc te słowa, ponieważ sama czuła dokładnie to samo.

- Właśnie o tym myślałam. Nie byłam w stanie wziąć się w garść po wizycie na farmie, chciałam tu zostać i poczuć klimat, o którym pan mówi.

- I ja to lubię. Nie znoszę tych okropnych miejsc, sterylnych do granic możliwości, wypranych z tradycji po to, by pozowały na nowoczesne.

Jeszcze raz skinęła głową, rozbawiona tym, co powiedział i w jakiej wyraził to formie; gdy z nią rozmawiał, w jego oczach pojawił się trudno dostrzegalny błysk. Wydawał się cieszyć wszystkim dookoła i rozmowa z nim sprawiała prawdziwą przyjemność.

- Jestem William Whitfield, pani sługa podczas tego weekendu - przedstawił się. - Belinda i George to moi szaleni kuzyni. Ale to dobrzy ludzie. A pani jest Amerykanką, nieprawdaz?

Skinęła głową i wyciągnęła rękę nieco zażenowana.

- Tak, jestem Amerykanką. Nazywam się Sara Thompson.

- Bardzo miło panią poznać. Z Nowego Jorku? Czy może z jakiegoś bardziej ekscytującego miejsca, jak Detroit czy San Francisco?

Roześmiała się, rozbawiona jego wizją tego, co ekscytujące, i przyznała, że zgadł za pierwszym razem.

- Odbywa pani Wielką Podróż?

- Znowu pan zgadł - uśmiechnęła się, a on obejmował ją uważnie spojrzeniem swoich przenikliwych niebieskich oczu.

- Proszę pozwolić mi zgadnąć. Podróżuje pani wraz z rodzicami?

- Tak.

- To okropne. Nudzą panią śmiertelnie, bo chodzą całymi dniami po muzeach i kościołach, a wieczorem przedstawiają pani wszystkich synów swoich znajomych, z których większość plecie głupstwa, a kilku z nich nawet nie umie dobrze mówić po angielsku. Czy znowu mam rację? - wyraźnie podobało mu się to, co tak trafnie naszkicował.

Sara roześmiała się szeroko, nie mogąc mu zaprzeczyć.

- Wygląda na to, że pan nas obserwował. Albo ktoś panu powiedział, jak spędzamy czas.

- Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej makabrycznego, może z wyjątkiem miesiąca miodowego z kimś upiornym.

Gdy wypowiedział te słowa, jej oczy zmatowiały; usiłowała się nieco oddalić, ale natychmiast się zorientował.

- Przepraszam, to było w złym guście - robił wrażenie bardzo komunikatywnego, a jednocześnie dyskretnego; czuła się z nim nieoczekiwanie dobrze.

- Wcale nie - chciała mu powiedzieć, że jest po prostu wrażliwa, ale naturalnie tego nie zrobiła.

- Czy mieszka pan w Londynie? - czuła się w obowiązku zmienić temat, by mógł odzyskać swobodę, choć, jak się wydawało, niełatwo było wprawić go w zakłopotanie.

- Rzeczywiście, mieszkam w Londynie - wyznał. - Jeżeli oczywiście nie przebywam w Gloucestershire, naprawiając stare płoty. To nie jest miejsce podobne do tego, mogę przysiąc. I nigdy nie było - nie mam wyobraźni Belindy i George'a. Oni spędzili całe lata przywracając to miejsce do dawnej świetności. Ja spędziłem całe lata nie dopuszczając do tego, by moja posiadłość obróciła się w kupę gruzów. Ale i tak rozpada się. Jest pełna przeciągów, pajęczyn i niepokojących odgłosów. Moja biedna matka wciąż tam mieszka - o wszystkim mówił tak zabawnie. Rozmawiając zaczęli z wolna oddalać się od farmy.

- Myślę, że powinniśmy wracać na lunch, chociaż z pewnością nikt nie zauważy, że nas nie ma. W całym tym zgiełku Belinda nie spostrzegłaby nawet, gdybyśmy wrócili do Londynu. Wyobrażam sobie jednak, że pani rodzice by tego nie przeoczyli. Podejrzewam nawet, że ścigaliby mnie z bronią.

Uśmiechnęła się z przekąsem, wiedząc, że rodzice użyliby raczej strzelby, by go sprowadzić bliżej.

- Nie sędzę.

- Nie jestem dokładnie takim człowiekiem, jakiego rodzice poszukują dla swoich cnotliwych, młodych córek. Sędzę, że jestem trochę na to za stary, ale jak na takiego starca jestem w pełni sił, by wyrazić się obrazowo. - Przyglądał się Sarze uważnie, oszołomiony jej urodą, a przy tym zaintrygowany czymś, co dostrzegał w jej oczach - wyrazem inteligencji, smutku i wielkiej ostrożności.

- Czy byłoby bardzo niegrzecznie z mojej strony zapytać, ile pani ma lat?

Poczuła nagłą ochotę, by odpowiedzieć: trzydzieści, ale nie widziała powodu, by kłamać, więc odstąpiła od tego zamiaru.

- W przyszłym miesiącu kończę dwadzieścia dwa lata.

Zrobiło to na nim mniejsze wrażenie, niż oczekiwała; uśmiechnął się i pomógł przejść przez kamienny murek, podając silną dłoń.

Przytrzymała ją przez moment i wyczuła zadziwiająco gładką skórę.

- Po prostu dziecko. Ja mam trzydzieści pięć lat. Pani rodzice byliby z pewnością straszliwie przygnębieni, gdybyś wróciła do domu ze mną jako pamiątką z Europy - znowu przekomarzał się z nią, ale oboje dobrze się bawili; naprawdę go polubiła. Byłby z niego dobry przyjaciel, podobało się jej, że może z nim żartować, chociaż go nie zna.

- Miłe w tobie jest to, że nie pleciesz od rzeczy. Założę się, że znasz się na zegarku i potrafisz mówić po angielsku.

- Przyznaję, że mam zbyt wiele zalet, by móc je wymieniść.

Skąd ludzie biorą tych wszystkich koszmarnych krewnych, których sprowadzają do towarzystwa dzieciom innych ludzi? Nigdy nie byłem w stanie tego pojąć. Spotykam w życiu młode kobiety, spokrewnione z pozornie normalnymi ludźmi, ale większość to takie małe, drogie biedactwa. I wszyscy są przekonani, że ja o niczym innym nie marzę, tylko o tym, by je poznać. Bardzo dziwne, prawda?

Sara nie mogła się powstrzymać od śmiechu, bo przypomniała sobie spotkanych w Europie chłopców. Opowiedziała mu o tym z Deauville i o tych dwóch z Biarritz... o chłopcach z Cannes i Monte Carlo. Zdażyli się zaprzyjaźnić, zanim przekroczyli fosę i wkroczyli do zamku.

- Czy myślisz, że zostawili nam coś do zjedzenia? Umieram z głodu - zwierzył się. Był potężnie zbudowanym mężczyzną i nic dziwnego, że był głodny.

- Powinniśmy byli zabrać z farmy trochę jabłek; miałam na nie wielką ochotę, ale farmer nie proponował, więc obawiałam się wziąć je sama.

- Powinnaś powiedzieć słówko - pośpieszył z poradą William. - Zwędziłbym je dla ciebie.

Znaleźli stół zastawiony pieczyństwem, kurczętami, jarzynami i różnymi sałatkami. Nałożyli sobie na talerze potężne porcje, po czym William poprowadził Sarę do małej altanki. Nie wahała się ani chwili, gdy szła za nim. To było tak naturalne - być z nim sam na sam i słuchać, co mówi. W końcu rozmowa zeszła na politykę - Sara z podnieceniem przyjęła wiadomość, że dopiero co wrócił z Monachium. Twierdził, że wyraźnie wyczuwa się tam napięcie, choć nie tak wielkie jak w Berlinie, w którym był przed rokiem. Wydaje się jednak, że całe Niemcy zmierzają do wielkiej konfrontacji.

- Czy sądzisz, że prędko do niej dojdzie?

- Trudno przewidzieć. Uważam jednak, że ona nastąpi, nawet jeśli rząd twego kraju myśli inaczej.

- Nie widzę sposobu, by tego uniknąć.

Zaintrygowała go jej znajomość problemów światowych i wielkie zainteresowanie sprawami, za którymi umysły kobiet rzadko nadążają. Gdy zapytał o to, odpowiedziała, że w ubiegłym roku spędziła wiele miesięcy w odosobnieniu i przeznaczyła ten czas na studiowanie dziedzin, którymi w normalnych warunkach by się nie zajęła.

- Dlaczego lubisz być sama? - zajął jej głęboko w oczy, ale odwróciła wzrok. Wszystko w tej dziewczynie intrygowało go, dostrzegł, że nosi w sobie jakiś wielki ból, ale zamierza go trzymać w ukryciu.

- Ludzie czasami potrzebują samotności - nie rozwijała tego tematu, a on nie nalegał, choć zaciekało go to niezmiernie; opowiedziała mu o farmie, którą zamierzała kupić na Long Island.

- To świetny pomysł, biorąc pod uwagę, że wpadła na niego taka młoda dziewczyna. Jak sądzisz, co powiedzą na to twoi rodzice?

- Będą musieli się w końcu z tym pogodzić - uśmiechnęła się. - Ja już nie chcę wracać do Nowego Jorku. Zgodzą się, albo - jeżeli będę do tego zmuszona - kupię ją sama.

Była bardzo zdecydowaną dziewczyną, zapewne też bardzo upartą. Rozbawił go wyraz jej oczu, gdy wyrażała to postanowienie.

Taką kobietę trzeba traktować bardzo serio.

- Nie sądzę, by życie poza Nowym Jorkiem było złym pomysłem, ale rozpoczynanie w twoim wieku samotnego życia na farmie w końcu też nie jest najlepszym rozwiązaniem. Chyba lepiej byłoby spędzać tam tylko lato albo może weekendy?

Z determinacją zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chcę tam przebywać cały czas. Zamierzam ją sama wyremontować.

- A czy robiłaś już kiedyś coś takiego? - rozbawił go ten plan. Była czarującą osobką - sam się dziwił, że tak bardzo zaczyna ją lubić.

- Nie. Ale wiem, że potrafię - zabrzmiało to trochę tak, jakby trenowała przekonywanie swego ojca.

- I naprawdę myślisz, że rodzice pozwolą ci na to?

- Będą musieli - wysunęła podbródek, który on uszczypnął delikatnie.

- Zajmowanie się taką córką to ciężki kawałek chleba. Nic dziwnego, że zabrali cię do Europy, abyś znalazła księcia z bajki. Nie sędzę, bym ich za to winił. Może naprawdę zasługujesz na jednego z tych słodkich, młodych ramoli.

Spojrzała zaskoczona i zamachnęła się na niego serwetką; roześmiał się i znalazł niebezpiecznie blisko Sary. Przez krótką szaloną chwilę chciał ją pocałować. Ale zobaczył w jej oczach coś bardzo smutnego i to go powstrzymało.

- W twoim życiu jest jakaś tajemnica, prawda? I to nie jest przyjemny sekret, zgadza się?

Wahała się przez długą chwilę, zanim dała odpowiedź. A odpowiedziała bardzo ostrożnie.

- Nie wiem, czy tak to można nazwać.

Ale jej oczy nie dały się oszukać i opowiadały własną historię.

- Nie musisz mi nic mówić, Saro. Jestem jedynie nieznanym. Ale lubię cię. Jesteś wspaniałą dziewczyną, a jeśli zdarzyło ci się w życiu coś okropnego, to naprawdę współczuję.

- Dziękuję - uśmiechnęła się; wyglądała na bardzo mądrą i pełną kobiecego powabu.

- Niekiedy najszybciej zapomina się właśnie o rzeczach, które najbardziej nas ranią. Przez chwilę bolą bardzo, ale potem rany się goją i wszystko mija. - Gdy to mówił, zorientował się, że jej rany jeszcze krwawią, że ciężkie przeżycie jeszcze nie zostało zapomniane. Myślał, że może została przez kogoś porzucona albo chłopak, którego kochała, zmarł; podejrzewał coś słodkiego, romantycznego i niewinnego - coś, co minie dosyć szybko. Rodzice mieli rację, przywożąc ją do Europy. Była naprawdę piękną, bystrą dziewczyną, a cokolwiek przeżyła, minie szybko, zwłaszcza jeśli w Europie spotka odpowiedniego chłopca. Będzie miał szczęście, cholernik...!

Gawędzili długo, bezpiecznie schowani w altance. Wreszcie wyszli, by przyłączyć się do pozostałych gości i niemal natychmiast wpadli na cokolwiek ekscentryczną gospodynię, kuzynkę Williama, Belinę.

- Wielki Boże, tutaj jesteście! Powiedziałam wszystkim, że pojechaliście do domu. Boże, William, jesteś niemożliwy! - Mówiąc to wydawała się rozbawiona, gdy zobaczyła przy nim Sarę. - Właśnie zamierzałam powiedzieć, że Thompsonowie są przeświadczeni, iż ich córka wpadła do fosy. Nie widzieli jej od kilku godzin; cóż, u licha, działo się z wami?

- Porwałem Sarę. Opowiedziałem jej dzieje mego życia. Była szczerze wzruszona, poprosiła, by natychmiast zwrócić ją rodzinie, a więc prowadziłem ją właśnie z powrotem z piramidalnymi wyrzutami sumienia i najszczerzszymi słowami przeprosin - paplał, uśmiechając się od ucha do ucha. Sara, także uśmiechnięta, najwyraźniej czuła się z nim zupełnie swobodnie.

- Jesteś okropny! A co więcej, nigdy w życiu nie miałeś wyrzutów sumienia. - Belinda odwróciła się do Sary z udanym zaniepokojeniem. - Moja droga, czy on zrobił pani krzywdę? Czy mam zawiadomić policję?

- O tak, zrób to! - zachęcał ją William - nie widziałem posterunkowego od wielu miesięcy.

- Och, zamknij się, ty potworze.

Sara śmiała się wraz z nimi.

- Już nigdy cię nie zaproszę, wiesz? Po prostu nie można tego robić. Zachowujesz się zbyt kompromitująco, byś przebywał w towarzystwie przyzwoitych ludzi.

- Wszyscy tak mówią - spojrzał ponuro na Sarę, która od lat nie czuła się taka szczęśliwa. - Czy mogę przedstawić się twoim rodzicom?

- Myślę, że powinieneś to zrobić - burknęła Belinda nieświadoma faktu, że był całkiem zdecydowany ich poznać i ponownie zobaczyć się z Sarą, jeśli mu na to pozwolą. Nie miał pojęcia, kim ona jest, ale wiedział ponad wszelką wątpliwość, że chce ją lepiej poznać.

- Zaprowadzę was do nich - pośpieszyła z pomocą Belinda.

Sara i William podążyli za nią, chichocząc, śmiejąc się i szepcząc do siebie jak niegrzeczne dzieciaki. Zobaczywszy córkę, Thompsonowie byli dalecy od gniewu. Wiedzieli, że jest bezpieczna na terenie posiadłości, że przebywa wśród gości. Ucieszył ich widok córki z Williamem. Wyglądał na sympatycznego i inteligentnego człowieka, był przystojny i w odpowiednim dla niej wieku. Wydawał się wielce zainteresowany Sarą.

- Muszę państwa przeprosić - perorował jak najęty. Napadnięto nas na farmie, a potem zjedliśmy lunch. Obawiam się, że zatrzymałem Sarę o wiele dłużej, niż wypadało.

- Nie wiercie państwo w ani jedno słowo - wtrąciła Belinda. - Przywiązał ją pewnie gdzieś do drzewa i zjadł cały jej obiad, opowiadając odrażające historyjki.

- To doskonały pomysł - rzekł William melancholijnie, a Thompsonowie wybuchnęli śmiechem. - Saro, musimy tego spróbować następnym razem.

Czuł się z nią nadspodziewanie dobrze, ona też z nim rozmawiała swobodnie. W końcu pojawił się George, zachwycony, że odnalazł Williama. Nalegał, by poszli do stajni obejrzyć nowego ogiera. William nie był zachwycony tą propozycją, ale nie wypadało mu protestować. Belinda przyglądała się Sarze z uznaniem.

- Nie powinnam tego mówić, moja droga, ale ściągnęłaś na siebie uwagę najbardziej atrakcyjnego mężczyzny w Anglii, nie mówiąc już o jego wdzięku.

- Bardzo miło się nam rozmawiało.

"Miło" - nie było dokładnie tym słowem, jakiego by użyła w rozmowie ze swą siostrą. W gruncie rzeczy był fantastyczny.

- Jest zbyt rozumny, by mu z tym było dobrze. Dotąd się nie ożenił - jest zanadto wybredny.

- Belinda rzuciła Thompsonom ostrzegawcze spojrzenie, które oznaczało, że William nie będzie łatwą zdobyczą, ale wydaje się, że oni tego nawet nie zauważyli. - Do tych wszystkich zalet jeszcze należy jego niezwykła skromność. Jak to nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Znowu zwróciła się do Sary.

- Nie sądzę, by uchylił rąbka tajemnicy... Czy powiedział, że jest księciem Whitfield? - otworzyła szeroko oczy, a na twarzy Sary odmalowało się zdumienie.

- Ja... ee... przedstawił się po prostu jako William Whitfield.

- To właśnie jest dla niego charakterystyczne. Tę niezwykłą skromność cenię sobie u niego najbardziej. Nie pamiętam, które z rzędu miejsce zajmuje w sukcesji... trzynaste lub czternaste...

- W sukcesji do tronu? - zapytała Sara zduszonym głosem.

- Tak, oczywiście. Choć to nieprawdopodobne, by kiedykolwiek na nim zasiadł. Mimo wszystko dla naszej rodziny to wielki zaszczyt. Wszyscy tu przywiązujemy wagę do takich spraw, do rodzinnej tradycji. W każdym razie cieszę się, że pani u nas dobrze się czuje. Trochę się martwiłam, gdy nie mogliśmy was znaleźć.

- Przepraszam - Sara wybuchnęła emocją, nadal oszołomiona nowiną o nowym przyjacielu, Williamie. Nagle ogarnął ją lęk, czy przypadkiem nie popełniła wobec niego jakiejś niewybaczalnej gafy. - Czy powinnam zwracać się do niego w specjalny sposób? To znaczy... jakoś go tytułować?

Uśmiechnęła się do młodej Amerykanki. Jej młodość i uroda zaskakiwały Belindę.

- Wasza Książęca Wysokość, ale jeśli pani to robi, istnieje groźba, że zastrzeli nas obie. Na pani miejscu nie wspominałabym o tym, dopóki sam tego nie zrobi.

Sara zgodziła się skwapliwie. William dołączył właśnie w tej chwili, gdy Belinda odeszła pełnić obowiązki gospodyni domu.

- Jak koń? - zapytała Sara przyciszonym głosem, starając się, by brzmiał zwyczajnie; rodzice udawali, że ich nie widzą.

- Obawiam się, że nawet w polowie nie robi takiego wrażenia jak cena, jaką George za niego zapłacił. George to najmarniejszy koniarz ze wszystkich mi znanych. Nie zdziwiłbym się,

gdyby to biedne zwierzę nie mogło nawet zostawić po sobie potomstwa - spojrzał na nią z miną winowajcy. - Przepraszam, nie powinienem tak mówić.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się do Williama zastanawiając się, jaka by była jego reakcja, gdyby teraz zwróciła się do niego: "Wasza Wysokość". - Nie takie rzeczy już słyszałam.

- Mam nadzieję, że to nieprawda - wyszczerzył zęby do Sary. - Jedyne Pan Bóg wie, co różnym ramolom może przyjść do głowy.

Znów wybuchnęli razem śmiechem i wymienili wymowne spojrzenia; Sara zastanawiała się w duchu, co też ona właściwie wyprawia. On jest księciem, pretendentem do tronu, a ona traktuje go jak starego przyjaciela; tak właśnie to odczuwała po spędzeniu z nim ostatnich trzech godzin. Trudno teraz będzie wracać do Londynu!

- Gdzie się państwo zatrzymali? - zapytał William Edwarda Thompsona, gdy spacerkiem szli w stronę zamku do mostka nad fosą.

- W Claridge's. Może wpadnie pan do nas kiedyś na drinka albo na kolację? - ojciec powiedział to bardzo niezobowiązująco, a William wyglądał na zachwyconego zaproszeniem.

- Z wielką przyjemnością. Czy mogę odezwać się do państwa rano? - zwrócił się do Thompsona, nie do Sary.

- Oczywiście. Będziemy czekali na pański telefon, sir - odrzekł Edward, gdy na pożegnanie podawali sobie ręce. Kiedy rodzice wchodzili do samochodu, William zwrócił się do Sary.

- To był wspaniały dzień, zupełnie zaskakujący i nieoczekiwany. Wcale nie chciałem tu przyjeżdżać... Jesteś niezwykłym zjawiskiem, panno Saro Thompson.

- Dziękuję - jej oczy zapłonęły blaskiem. - Ja także dawno się tak nie bawiłam.

Korciło ją strasznie, by nawiązać do tego, o czym mówiła Belinda.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- O czym?

- Wasza Księżca Wysokość - z zażenowaniem wyrzekła te słowa i przez moment obawiała się, że William wpadnie w złość, ale on rozłożył ręce w geście zakłopotania.

- Kochana Belinda - powiedział uroczyście, choć nie bez pewnej ironii. - Czy to ma znaczenie? - dodał miękko.

- Nie, zupełnie nie. A powinno?

- Może mieć. Dla niektórych i z niewłaściwych powodów - ale już dostatecznie ją poznał, by wiedzieć, że ona nie należy do takich ludzi. Spojrzał poważnie i nieco żartobliwie. - Znasz teraz moją tajemnicę, panno Saro Thompson... ale bądź ostrożna!

- Dlaczego? - wyglądała na zaskoczoną, gdy wyraźnie się do niej przybliżył.

- Jeśli znasz mój sekret, może kiedyś poproszę cię, abyś zdradziła mi swój.

- Dlaczego myślisz, że mam jakąś tajemnicę?

- Oboje o tym wiemy, czyż nie? - powiedział czule, a ona skinęła głową z oczami pełnymi łez; delikatnie dotknął jej dłoni.

- Nie obawiaj się, maleńka... nie musisz mówić niczego, czego nie chcesz powiedzieć.

Pochylił się, pocałował Sarę w policzek i powoli odprowadził do rodziców czekających w samochodzie. Przejęta strachem patrzyła, gdy stoi i macha ręką na pożegnanie. Przez całą drogę do Londynu zastanawiała się, czy kiedykolwiek do nich zadzwoni.

Rozdział piąty

Rankiem następnego dnia, gdy Edward Thompson z żoną jedli śniadanie w salonie swego apartamentu w hotelu Claridge, zadzwonił telefon; sekretarka zaanonsowała, że będzie mówił księżę Whitfield. Po chwili przerwy w słuchawce dał się słyszeć ciepły, sympatyczny głos Williama, telefonującego z przyjaznym powitaniem.

- Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt wcześnie, sir. Obawiałem się jednak, że później moge nikogo nie zastać. Zapewne wychodzicie państwo zwiedzać miasto.

- To dla nas bardzo odpowiednia pora - Edward spojrział na żonę z wyraźnym zadowoleniem i energicznie kiwnął głową; Victoria zrozumiała go natychmiast. - Jemy właśnie śniadanie. Sara oczywiście nigdy nic nie je. Nie wiem, jak ona to robi.

- Będzie się trzeba nad tym zastanowić - William zapisał sobie na kartce, by poprosić sekretarkę o wysłanie Sarze kwiatów tego ranka. - Czy dziś po południu dysponujecie państwo wolnym czasem, mam oczywiście na myśli wszystkich państwa? Myślę, że panie chętnie zobaczą klejnoty koronne w Tower of London. Jednym z przywilejów, jakie wiążą się z tytułem, jest to, że można prywatnie oglądać takie ciekawostki. Sarę i panią Thompson mogłoby zainteresować przymierzanie niektórych klejnotów.

Mówił trochę niejasno i zachowywał się równie enigmatycznie, ale Edward zaczął go lubić. Wyglądał na prawdziwego mężczyznę, a na dodatek było oczywiste, że bardzo interesuje się Sarą.

- Jestem pewny, że panie będą zachwycone. I powstrzyma je to na godzinę lub dwie od wędrówek po sklepach. Będę panu wielce zobowiązany...

Obaj panowie roześmiali się porozumiewawczo. William oświadczył, że przyjedzie po nich o drugiej, a Edward zapewnił, że będą czekali. Gdy Sara wychynęła wreszcie ze swego pokoju, by wypić filiżankę herbaty, ojciec wspomniał mimochodem, że telefonował księżę Whitfield: chce im pokazać klejnoty koronne w Tower of London, w związku z czym zjawi się w hotelu o drugiej.

- Sądziłem, że będziesz zadowolona - jeden rzut oka na twarz Sary dał mu do zrozumienia, że ten człowiek bardziej ją interesuje niż cała biżuteria świata.

- William dzwonił? - wyglądała na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się, że jeszcze się odezwie. W istocie spędziła bezsennie większą część nocy w obawie, że nigdy go już nie zobaczy.

- Dzisiaj po południu? - wyglądało to tak, jakby ojciec proponował jej coś bardzo dziwnego.

- Masz coś innego do roboty? - nie mógł sobie wyobrazić, co by to mogło być, wyjąwszy może wyprawę do Harrodsa albo Hardy Amies.

- Nie, to nie to, tylko... - usiadła, całkowicie zapominając, że sobie naląa herbaty. - Nie myślałam, że do mnie zadzwoni.

- Nie do ciebie telefonował - droczył się ojciec - dzwonił do mnie, zaprosił mnie, ale będę bardzo szczęśliwy mogąc zabrać cię ze sobą.

Zmiażdżyła ojca wzrokiem i podeszła do okna. Chciała powiedzieć, by jechali bez niej, wiedziała, że to będzie wyglądało komicznie. Jakież sens mogło mieć ponowne spotkanie z tym człowiekiem? Co mogłoby się zdarzyć między nimi?

- Co ty znów kombinujesz? - pytał ojciec obserwując twarz Sary, gdy stała przy oknie. Byłaby zaiste szaloną dziewczyną, gdyby przepuściła taką wyjątkową okazję. William jest wspaniałym człowiekiem i odrobina z nim flirtu naprawdę by jej nie zaszkodziła. Przynajmniej Edward nie miał nic przeciw temu.

Odwróciła twarz do ojca.

- Nie widzę najmniejszego sensu - powiedziała ze smutkiem.

- To miły człowiek i najwyraźniej cię polubił. Możecie być przyjaciółmi, jeśli nie czymś więcej. Czy w twoim życiu nie ma już miejsca na przyjaźń?

Poczuła się głupio, gdy usłyszała te słowa, i skinęła przyzwalająco głową. Ojciec oczywiście ma rację. Z głupstwa robi problemy, ale to William wczoraj w zamku tak zbił ją z tropu. Będzie musiała pamiętać, że nie może być taka niemądra i impulsywna.

- Masz rację i nie to miałam na myśli. Tylko pamiętaj, że on jest księciem. Zanim się o tym dowiedziałam... - nie dokończyła, ale ojciec zrozumiał, co chciała powiedzieć.

- To nie powinno mieć żadnego znaczenia. Jest sympatycznym człowiekiem. Lubię go.

- Ja także - wyznała z westchnieniem, gdy matka podała jej filiżankę herbaty i skłoniła do zjedzenia choć odrobiny grzanki. - Boję się tylko wdepnąć w niezręczną sytuację.

- To prawie wykluczone w tak krótkim czasie: spędzimy tu zaledwie kilka tygodni.

- Ale ja przecież czekam na rozwód - spojrzała ponuro. - To może być dla niego co najmniej dziwne.

- Nie, dopóki nie ma mowy między wami o ślubie. Te obawy są trochę na wyrost, nie sądzisz?

I to było dobre, że Sara zobaczyła w Williamie mężczyznę. Nie zaszkodziłaby jej mała przygoda miłosna. Uśmiechnęła się, słysząc słowa ojca, wzruszyła ramionami i wróciła do sypialni, by dokończyć toalety. Pojawiła się po półgodzinie w pięknym chanelowskim kostiumie z czerwonego jedwabiu, który kupiła przed tygodniem w Paryżu. Wyglądała przeuroczo. Założyła też biżuterię zaprojektowaną przez Chanel. Były to sztuczne klejnoty doskonale imitujące perły i rubiny. Dwie wspaniałe bransolety pokryte czarną emalią z kolorowymi kamieniami też nie były

prawdziwe, ale bardzo szykowne i prezentowały się na Sarze doskonale. Identyczne nosiła zresztą sama madame Chanel.

Ciemne włosy ściągnęła do tyłu w formie długiego queue de cheval (franc. - koński ogon - przyp. tłum.), związanego czarną atlasową wstążką. Uszy zdobiły kolczyki z perłami, które dostała od rodziców na prezent ślubny.

- Pięknie wyglądasz w klejnotach - zauważył ojciec, gdy wychodzili z hotelu. - Powinnaś je nosić częściej.

Nie miała zbyt wiele biżuterii - sznur pereł od babci, kolczyki z perłami od rodziców, kilka małych pierścionków. Zaręczynowy pierścionek i brylantowy naszyjnik babci Freddiego oddała z powrotem.

- Może będę miała okazję dziś po południu - odgryzła się żartobliwie. Victoria porozumiewawczo spojrzała na męża.

W południe zjedli w pubie lunch, zatrzymali się u Locka na St. James's Street, by zamówić kapelusz dla ojca. Do hotelu wrócili dokładnie dziesięć minut przed drugą. William czekał już na nich w hallu. Przechadzał się nerwowo, gdy wchodzili, zerkał właśnie na zegarek. Zobaczył Sarę i twarz mu pojaśniała.

- Prezentujesz się wprost wspaniale! - uśmiech rozpromienił mu twarz. - Świetnie ci w czerwonym kolorze.

Zgodziła się nawet skorzystać z czerwonej szminki matki i gdy wchodzili do hallu, rodzice zauważyli, że wygląda wyjątkowo pięknie.

- Ogromnie przepraszam, że przyszedłem za wcześnie - sumitował się William. - Zawsze twierdzą, że bardziej niegrzecznie jest zjawiać się za wcześnie niż za późno, ale nie chciałem się z państwem rozminąć.

Gdy Sara patrzyła na Williama, ogarniał ją spokój. Coś nieuchwytnego powodowało, że czuła się przy nim wprost fantastycznie.

- Jestem szczęśliwa widząc... - tu przerwała, a w jej oczach pojawił się błysk przekory - Waszą Książęcą Mość - dodała półgłosem; William zachnął się.

- Gdy zobaczę Belindę następnym razem, złoję ją kijem. Jeśli ty odezwiesz się tak do mnie jeszcze raz, rozkwazę ci nos. Czy to jasne, panno Thompson? A może powinienem cię tytułować Wasza Wysokość?

- Prawdę mówiąc, brzmi to bardzo przyjemnie. Wasza Wysokość... Wasza Obfitość... Wasz trywialność... Naprawdę kocham tytuły! - powiedziała to z silnym amerykańskim akcentem, patrząc mu bezczelnie w oczy. Pociągnął Sarę za długie pasmo ciemnych włosów, które spływały falą na jej plecy.

- Jesteś nieznośna... równie piękna, co nieznośna. Czy zawsze się tak zachowujesz? - zapytał figlarnie, kiedy rodzice odeszli na moment, by załatwić coś w recepcji.

- To jeszcze nic, bywam gorsza - powiedziała przekornie, zdając sobie sprawę, że niekiedy bywa też zbyt spokojna, na przykład przez ostatnie dwa lata. Nie zaznała wiele radości, odkąd wyszła za Freddiego. Nagle z Williamem poczuła się zupełnie inaczej. Rozładowywał jej frustracje, przegnał melancholię. Mogliby wspólnie razem bawić się i psocić. William odczuwał to samo i był tym zachwycony.

Wkrótce przyłączyli się do nich rodzice i William poprowadził wszystkich do swego daimlera. Nie korzystając z usług szofera, sam zawiózł ich na miejsce. W czasie drogi perorował przyjaźnie, pokazując z okien samochodu obiekty godne uwagi. Matka nalegała, by Sara usiadła z przodu, rodzice zajęli więc miejsca na tylnym siedzeniu. William zerkał na nią kątem oka od czasu do czasu, jakby chciał się upewnić, czy wciąż tam jest i aby móc ją podziwiać. Wreszcie gdy dotarli do Tower, pomógł wysiąść z samochodu paniom, a także podał rękę Thompsonowi. Wręczył kartę wstępu strażnikowi i natychmiast wprowadzono ich do wewnątrz, chociaż nie były to godziny otwarcia skarbcza. Pojawił się kolejny strażnik, który powiódł ich w górę wąską klatką schodową, gdzie znajdowały się królewskie klejnoty.

- To przedmioty naprawdę godne szczególnej uwagi, wszystkie wyjątkowe, niespotykane i bardzo stare, a historie z nimi związane są bardziej fascynujące niż same klejnoty. Zawsze mnie to wprawiało w zachwyt - mówił William.

Jako chłopiec był zauroczony biżuterią matki, sposobem jej wykonania, opowieściami, jakie się z nią wiązały, miejscami, z których pochodziła.

Gdy dotarli do sal, w których wystawiano klejnoty, było już jasne, dlaczego William uważa je za wyjątkowe. Znajdowały się tam królewskie korony, które zdobiły głowy monarchów w ostatnich sześciuset latach, berła, miecze, arcydzieła sztuki jubilerskiej, które można było zobaczyć jedynie podczas koronacji. W zachwyt wprawiało Berło z Krzyżem, ozdobione pięćsettrzydziestokaratowym brylantem - największą z Gwiazd Afryki. Władcy Afryki Południowej ofiarowali ten cenny kamień Edwardowi VII. William nalegał, by Sara przymierzyła diademy i korony, wśród nich należące do królowej Wiktorii i królowej Marii. Sara była zaskoczona, że są tak ciężkie, i z zadumą stwierdziła, że trzeba było wiele poświęcenia, by je nosić.

- Tą koronowano króla Jerzego - wskazał William; gdy uczynił ten gest, Sara uświadomiła sobie jego obecność, przypomniała sobie, kim jest. Rozmawiając z nim łatwo było o tym zapomnieć.

- Muszę przyznać, że po całej tej aferze z Davidem było nieco zamieszania - w pierwszej chwili nie wiedziała, kogo William ma na myśli, ale zaraz sobie uświadomiła, że David to imię

nadane podczas chrztu księciu Windsoru (Jako Edward VIII panował od 20 stycznia do 11 grudnia 1936 r. Abdykował, ponieważ jego zamiar poślubienia Amerykanki Wallis Simpson, dwukrotnej rozwódki, nie zgadzał się z doktryną kościoła anglikańskiego odrzucającą rozwody. Po abdykacji królem Wielkiej Brytanii jako Jerzy VI został brat Edwarda VIII, książę Yorku. Jednym z pierwszych dekretów mianował eks-króla księciem Windsoru; książę Windsoru poślubił panią Simpson - przyp. tłum.).

- Cała ta sprawa wygląda na bardzo żenującą. Podobno jest teraz niesłychanie szczęśliwy, może nawet to prawda, ale przed kilkoma miesiącami widziałem go w Paryżu i nie zauważyłem tego. Ona jest wymagającą kobietą, no i ta cała jej przeszłość...

Mówił oczywiście o Wallis Simpson, księżnej Windsoru.

- Jej postępowanie wydaje się niezmiernie egocentryczne - rzekła cicho Sara. - I takie nieuczciwe w stosunku do niego. To zaiste bardzo smutna historia.

Mówiła z prawdziwym przejęciem, wyczuwając, że w ostatnich latach między nią a Wallis Simpson nastąpiło jakieś dziwne zespolenie. Ale najwyraźniej piętno rozwodu znacznie bardziej ciążyło Sarze niż księżnej Windsoru.

- Ona w gruncie rzeczy nie ma złego charakteru, jest jedynie przebiegła. Zawsze uważałem, że dokładnie obmyśla swoje dokonania. Mój kuzyn... książę ofiarował jej klejnoty warte ponad milion dolarów jeszcze przed ślubem. Jako pierścionek zaręczynowy dał jej Szmaragd Mogołów. Polecił, by wyszukał go dla niej sam Jacques Cartier, a ten znalazł go w Bagdadzie. To najwspanialszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziałem, ale ja zawsze lubiłem szmaragdy...

Fascynujące było słuchać, jak snuje opowieści o oglądanych klejnotach - niby zadziwiająco intymny przewodnik wycieczki. Nie powtarzał plotek, ale opowiadał o dziełach sztuki złotniczej wykonanych dla Aleksandra Wielkiego, o naszyjniku, który Napoleon ofiarował Józefinie, o diademach zaprojektowanych dla królowej Wiktorii. Wyjątkowo piękny diadem z brylantami i turkusami Wiktoria nosiła jako młoda dziewczyna; namówił Sarę, aby go przymierzyła. Na jej ciemnych włosach wyglądał wspaniale.

- Powinnaś być posiadaczką jednego z nich - powiedział łagodnie.

- Mogłabym go nosić na mojej farmie - uśmiechnęła się i przymrużyła z rozbawieniem oko.

- Nie masz za grosz szacunku do historii. Stoisz tu w diademie, który należał do królowej Wiktorii, i mówisz o domu na wsi! Straszna dziewczyna! - nastroszył się, ale oczywiście było, że nie mówił poważnie.

Zostali tam do późnego popołudnia. Przeżyli pasjonującą lekcję historii, a także zwyczajów, kaprysów i słabostek władców Anglii. William zapewnił im wszystkim ekscytujące wrażenia. Thompsonowie dziękowali mu wylewnie, gdy wracali do samochodu.

- To zabawne, prawda? Zawsze bardzo lubiłem odwiedzać to miejsce. Po raz pierwszy zabrał mnie tam ojciec, który uwielbiał kupować dla matki ciekawe, atrakcyjne klejnoty. Ale teraz raczej ona już ich nie nosi, jest coraz słabsza i rzadko opuszcza dom. Nadal wspaniale w nich wygląda, ale twierdzi, że czuje się głupio.

- Chyba nie jest jeszcze tak bardzo leciwa - powiedziała matka Sary, która sama była kobietą zaledwie czterdziestosiedmioletnią. W wieku dwudziestu jeden lat wyszła za Edwarda, w rok później straciła pierwsze dziecko, a gdy miała dwadzieścia trzy lata, urodziła Jane.

- Matka ma osiemdziesiąt trzy lata - powiedział William najwyraźniej się tym szczycąc. - Jest w każdym calu wspaniała i wygląda na sześćdziesiąt i na ani jeden dzień więcej. Niestety w ubiegłym roku złamała biodro i trochę się boi chodzić samodzielnie. Staram się ją wyprowadzać, gdy mogę, ale to nie zawsze jest takie proste.

- Czy jest pan najmłodszy w swojej rodzinie? - spytała Victoria zaciekawiona jego słowami; zaprzeczył mówiąc, że jest jedynym dzieckiem.

- Moi rodzice byli małżeństwem od trzydziestu lat i dawno stracili nadzieję, że będą mieli dzieci. Matka dotąd powtarza, że to był jakiś cud, boskie błogosławieństwo - proszę wybaczyć, że mówię o tym tak pompatycznie. Ojciec twierdził, że diabeł maczał w tym palce - uśmiechnął się do nich figlarnie. - Ten czarujący człowiek zmarł przed kilku laty. Polubiliby go państwo z pewnością - stwierdził zapalając silnik. - Matka miała czterdzieści osiem lat, kiedy się urodziłem, a ojciec sześćdziesiąt. Zmarł, gdy miał osiemdziesiąt pięć lat i muszę przyznać, że bardzo mi go brak. Swoją drogą, moja staruszka to jest prawdziwa indywidualność. Może będziecie państwo mieli okazję ją poznać, zanim opuścicie Londyn.

Spojrzał na Sarę z nadzieją, ale ona w zamyśleniu wyglądała za szybę. Stanowczo czuła się z nim za dobrze i to wszystko wydawało się zbyt łatwe. W rzeczywistości wcale tak nie było. Gdy patrzył na nią w tak szczególny sposób albo brał ją za rękę, stale sobie przypominała, że nigdy nie mogą zostać niczym więcej niż przygodnymi znajomymi. Niczym więcej niż przyjaciółmi. Przed nią był rozwód, a on był czternasty w kolejności do brytyjskiego tronu.

Gdy przyjechali do hotelu, spojrzał na Sarę, pomagając jej wysiąść z samochodu, i zauważył, że jest czymś zmartwiona.

- Czy coś się stało? - Zastanawiał się, czy nie powiedział czegoś, co ją uraziło, ale zdawała się być w dobrym nastroju i z przyjemnością przymierzała klejnoty w Tower. Sara była zła na siebie, czuła się, jakby go oszukiwała i uważała, że jest mu winna wyjaśnienie. Miał prawo wszystko o niej wiedzieć, zanim zaoferuje jej coś więcej niż uprzejmość.

- Przepraszam, po prostu boli mnie głowa.

- To było głupie, kazałem ci wkładać ciężkie korony. Bardzo mi przykro, Saro - był wiecznie pełen skruchy, co powodowało, że czuła się nieznośnie.

- Nie bądź niemądry. Jestem tylko zmęczona.

- Nie zjadłaś prawie nic podczas lunchu - skarcił ją ojciec, widząc konsternację młodego człowieka i współczując mu.

- Chciałem zaprosić wszystkich na kolację.

- Może innym razem - powiedziała szybko Sara, a w oczach matki wyczytała nieme pytanie.

- Powinnas się położyć - pośpieszyła z pomocą; William cały czas wpatrywał się uważnie w twarz Sary. Zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś więcej i nie wiedział, czy ma to związek z jakimś mężczyzną. Może była zaręczona z kim innym i wstydziła się mu powiedzieć? A może to jakaś tragiczna historia? Mówiła o roku wielkiego smutku... Bardzo chciał wiedzieć więcej, ale nie zamierzał naciskać.

To może jutro pójdziemy na lunch? - spojrzał Sarze prosto w oczy; zaczęła coś mówić i zaraz przerwała.

- Ja... ja spędziłam dziś wspaniały dzień - zapewniła.

Rodzice podziękowali Williamowi, pożegnali go i udali się do swego apartamentu. Ci młodzi zasłużyli na to, by być trochę sam na sam; Thompsonowie wyczuwali, że Sara przeżywa jakiś wewnętrzny konflikt i że to wiąże się z Williamem.

- Jak sądzisz, co ona mu powie? - zapytała męża zaniepokojona Victoria, gdy jechali windą.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. Cokolwiek Sara powie, on to przetrzyma. William jest wspaniałym człowiekiem, Victorio. Chciałbym, aby Sara ustatkowała się u boku kogoś takiego.

- To samo jest moim pragnieniem.

Oboje zdawali sobie sprawę, że na to nie ma nadziei. Nigdy nie będzie mu wolno poślubić rozwiedzionej kobiety. To było jasne jak słońce.

W hallu na parterze William wpatrywał się w Sarę, która zdawkowo odpowiadała na jego pytania.

- Czy możemy pójść na spacer? Czy masz na to siłę?

Oczywiście, że miała siłę, ale jaki sens miało chodzenie z nim gdziekolwiek i dalsze spotkanie? Co będzie, jeśli się w nim zakocha? Albo on w niej? Co wtedy poczną? Śmiesznie było myśleć o zakochaniu się w mężczyźnie, którego dopiero poznała i którego po wyjeździe z Anglii nigdy nie zobaczy.

- Myślę, że postępuję niedorzecznie - zawyrokowała. - Od tak dawna nie przebywałam w towarzystwie... w każdym razie w towarzystwie mężczyzn. Chyba już zapomniałam o dobrych obyczajach. Przepraszam cię, Williamie.

- Nie ma za co. Czy masz ochotę usiąść?

Skinęła potakująco głową; znaleźli spokojne miejsce w głębi hallu.

- Czy przez ostatni rok przebywałaś w klasztorze? - zapytał serio, choć z pewną dozą humoru.

- Niewiele to odbiega od prawdy. Groziłam nawet, że wstąpię do zakonu. Moje odosobnienie to była raczej pustelnia, którą sama zbudowałam. Mieszkałam w letnim domu rodziców na Long Island. - Miał prawo wiedzieć, a poza tym wydarzenia sprzed kilkunastu miesięcy nie wydawały się teraz tak niezwykle ani tragiczne jak dawniej. Teraz z trudem przypominała sobie swój ówczesny stan ducha, tamtą melancholię.

- Mieszkałaś tam cały rok nikogo nie widując? - zainteresował się współczująco.

Potwierdziła ruchem głowy; jej oczy unikały wzroku Williama, nie wiedziała, co jeszcze mu powie.

- Strasznie długo. Czy to pomogło?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała szczerze z westchnieniem. - Kiedyś tak mi się wydawało. Ale w gruncie rzeczy bardzo mi trudno powrócić do uciech tego świata. Dlatego wybraliśmy się w podróż.

- Jeśli coś zaczynać, to tylko w Europie - stwierdził z uśmiechem, postanawiając nie zadawać więcej trudnych pytań. Nie chciał jej wystraszyć ani sprawić bólu. Czuł, że jest bliski zakochania się w tej młodej damie i ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było ją stracić. - Jestem szczęśliwy, że tu przyjechałaś.

- Ja też - odpowiedziała miękko i była to szczerza prawda.

- Zjesz dziś ze mną kolację?

- Ja... nie wiem... wybieramy się do teatru - to miała być sztuka Emlyn Williams "Zboże jest zielone", której wcale nie chciała oglądać. - Sądzę, że powinnam zapytać rodziców.

- Może więc jutro?

- Williamie - zdawało się, że chce mu powiedzieć coś ważnego, zawahała się, wreszcie spojrzała mu prosto w oczy. - Dlaczego chcesz się ze mną spotykać?

Jeśli nawet to pytanie wydało mu się nietaktowne, nie okazał tego.

- Myślę, że jesteś wyjątkową dziewczyną. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego.

- Ale wyjadę za kilka tygodni. Jaki to ma sens dla nas obojga? - W gruncie rzeczy chciała mu powiedzieć, że wspólna przyszłość dla nich nie istnieje. A jeśli się o tym wie, utrzymywanie takiej przyjaźni wydaje się absolutnie nierozsądne.

- Chodzi o to, że ja cię lubię... nawet bardzo... Dlaczego nie zacząć myśleć o twoim wyjeździe, kiedy nadejdzie właściwa chwila? - w tym zdaniu przejawiała się cała filozofia życiowa Williama: żyć dniem dzisiejszym, żyć docześnie, nie martwić się na zapas.

- A co do tego czasu? - liczyła na gwarancję, że nikomu nie stanie się krzywda, ale tego nie mógł jej przyrzec nawet William, niezależnie od stopnia zaangażowania. Nie znał jej przeszłości, nie wiedział te co przyniesie przyszłość.

- Po prostu poczekajmy... Czy pójdziemy na kolację?

Zawahała się nie dlatego, że nie miała ochoty, ale że chciała aż za bardzo.

- Tak... pójdziemy - powiedziała dzieląc słowa.

- Dziękuję - nie odrywał od niej wzroku przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca. Po pewnym czasie wstali - panowie w recepcji zauważyli, jaka to piękna para.

- Przyjadę po ciebie o ósmej.

- Spotkamy się na dole - uśmiechnęła się idąc do windy.

- Wolalbym przyjść do apartamentu. Nie chcę, byś czekała tu sama - zawsze był taki opiekuńczy i troskliwy.

- Zgoda - uśmiechnęła się jeszcze raz, a gdy już winda przyjechała, pocałował Sarę w policzek i ruszył przez hall długimi krokami, machając na pożegnanie. Sara jechała na górę i starała się nie zauważać, jak mocno jej bije serce.

Rozdział szósty

Dzwonek do apartamentu Thompsonów zadźwięczał ściśle pięć po ósmej - Sara nawet się nie domyślała, że William przeczekał na dole ostatnie dziesięć minut. Rodzice nie protestowali, że córka nie idzie z nimi do teatru - dodatkowym argumentem było to, że zamierzała wyjść z Williamem.

Otworzyła mu drzwi w czarnej atlasowej sukni, która przylegała do jej szczupłej figury jak cienka warstwa czarnego lodu, oblamowana kawałkami górskiego kryształu.

- Mój Boże, Saro! Wyglądasz zachwycająco.

Upięła włosy wysoko. Loki, które zwieszały się luźno, gdy się poruszała, robiły wrażenie, że wystarczy wyciągnąć jedną spinkę, by gęstwina ciemnych włosów opadła kaskadą na ramiona.

- Jesteś bombowa! - cofnął się o krok, by móc ją podziwiać, a ona roześmiała się i zażenowana opuściła wzrok. Po raz pierwszy była z nim sama, pomijając altankę na wsi, gdzie się poznali, ale tam było pełno ludzi wokół.

- Ty również wyglądasz nieźle.

William przywdział smoking - jeden z wielu, jakie miał, i piękną czarną kamizelkę z jedwabiu, należąca niegdyś do jego ojca; z kieszonki wзираła cienka dewizka z diamentami - prezent dla jego wuja od cara Mikołaja. Opowiedział jej tę historię, kiedy jechali samochodem do restauracji. Łańcuszek został najprawdopodobniej wszyty w rąbek koszuli wielkiej księżnej i w ten sposób wywieziony z Rosji.

- Twoje koligacje nie znają granic, jesteś spokrewniony chyba ze wszystkimi! - rzekła z podziwem zaintrygowana opowieścią. Sara imaginowała sobie królów, carów, całą tę fascynującą atmosferę monarszych dworów.

- Tak, jestem - odpowiedział wyraźnie rozbawiony - ale mogę cię zapewnić, że niektórzy z moich krewnych są doprawdy koszmarni.

William tym razem też obywatel się bez szofera, ponieważ chciał być z Sarą sam na sam. Wybrał spokojną restaurację - oczekiwano ich tam. Główny kelner zaprowadził ich do cichego stolika w głębi sali, bez przerwy zwracając się do Williama "Wasza Wysokość". Lekko skłonił głowę i oddalił się, zostawiając ich samych. Natychmiast pojawił się szampan - William ustalił menu, gdy rezerwował stół. Najpierw podano kawior na grzankach z cieniutkimi plasterkami cytryny, potem łososia w delikatnym sosie. Następnie był bażant, sałatka, sery, suflet Grand Marnier i małe francuskie bułeczki maślane.

- O Boże, strasznie się objadłam - poskarżyła się z uśmiechem. Kolacja była znakomita, a wieczór cudowny. William opowiadał o swoich rodzicach, o tym, ile dla niego znaczy matka i jak

zmartwiona była przed kilku laty, ponieważ syn nie miał żadnych skłonności do tego, by założyć rodzinę.

- Obawiam się, że dostarczam jej mnóstwo rozczarowań - powiedział bez fałszywej skruchy. - Ale na myśl, że miałbym się ożenić z nieodpowiednią kobietą tylko po to, by zadowolić ambicje moich krewnych lub aby mieć dzieci, ciarki przechodzą mi po plecach. Urodziłem się późno i fakt ten wpoił mi na długo przekonanie, że mogę robić, co tylko zechcę, a później i tak zdążę wszystko nadrobić.

- Możesz. Masz rację, że nie chcesz sobie pozwolić na popełnienie błędu. - Gdy to mówiła, dostrzegł ten sam tajemniczy smutek zasnuwający jej twarz.

- A ty, Saro? Czy rodzice wywierają na ciebie naciski, byś wyszła za mąż?

Zdażyła mu już powiedzieć o Peterze, Jane i ich dzieciach.

- Ostatnio nie. Moi rodzice są bardzo wyrozumiali.

Wyrozumiali dla jej błędów... nieszczęść i hańby. Odwróciła twarz. Wyciągnął rękę i zamknął jej palce w swej mocnej dłoni.

- Dlaczego nie chcesz mi się zwierzyć, co tak bolesnego wydarzyło się w twoim życiu?

Trudno im było sobie uświadomić, że znają się zaledwie od dwóch dni. Wydawało się, że ich przyjaźń trwa wieki.

- Dlaczego sądzisz, że przeżyłam coś bolesnego? - starała się zbyć jego pytanie, ale dalej nastawał, ścisnął palce Sary mocno, choć jednocześnie delikatnie.

- Widzę, że coś przede mną ukrywasz. Nie mogę cię przejrzeć, ale coś się wyraźnie czai, jakiś duch, zawsze w cieniu, gotów nas prześladować. Czy to jest aż tak straszne, że nie możesz się ze mną podzielić?

Zabrakło jej słów, nie śmiała powiedzieć prawdy. Gdy zadał to pytanie, oczy Sary napełniły się łzami.

- Przepraszam... - uwolniła rękę z jego dłoni, by wytrzeć oczy chusteczką. Kelner dyskretnie oddalił się. - To jest... taka paskudna sprawa, że już nigdy nie traktowałbyś mnie tak jak teraz. Nie rozmawiałam o tym z nikim, od czasu, gdy się to wydarzyło.

- Na Boga, cóż to takiego? Czy to jakieś morderstwo? Zabiłaś kogoś z rodziny czy może przyjaciółkę? Nawet jeśli tak, to musiał być wypadek. Saro, nie możesz sobie tego robić - ujął obie ręce dziewczyny i trzymał w mocnym uścisku, by poczuła się bezpieczna. - Przepraszam, nie zamierzam się wtrącać w nie swoje sprawy, ale przykro mi patrzeć, gdy tak cierpisz.

- Jak to możliwe? - uśmiechnęła się z niedowierzaniem przez łzy. - Przecież nawet mnie nie znasz.

To była jednocześnie prawda i nieprawda - oboje wiedzieli o tym doskonale. W ciągu dwóch dni poznali się lepiej niż niejedni przez całe życie.

- Zrobiłam straszną rzecz - powiedziała z wyrazem udręki, mocna chwytając ręce Williama; nie zawahał się, nie cofnął uścisku.

- Nie wierzę. Sądzę, że tylko ty myślisz, iż to jest okropne. Założę się, że nikt inny tak nie uważa.

- Mylisz się - westchnęła, wbiła w niego wzrok i chwilę później cofnęła ręce. - Przed dwoma laty wyszłam za mąż. Zdałam sobie wcześniej sprawę, że to był błąd, ale starałam się jakoś nieść swój krzyż. Próbowалам wszystkiego. Byłam zdecydowana trwać w tym związku i nawet umrzeć, jeśli zaszłaby taka konieczność.

William słuchał niewzruszony, choć Sara oczekiwała, że ta wiadomość zwali go z nóg.

- I nadal jesteś jego żoną? - zapytał po cichu, podając jej rękę, ale ona cofnęła swoją. Wiedziała, że teraz nie może odwzajemnić uścisku. Kiedy usłyszy wszystko, nie wyciągnie już do niej swych dłoni. Jednak była mu winna tę opowieść.

- Jesteśmy w separacji od ponad roku. W listopadzie otrzymam ostateczny rozwód - powiedziała to w taki sposób, jakby ogłaszała wyrok śmierci.

- Bardzo mnie to boli - odrzekł poważnie. - Przykro mi ze względu na ciebie, Saro. Mogę sobie wyobrazić, jakie to musiało być trudne, co przeżywałaś przez ostatni rok. Zastanawiał się gorączkowo, jaki mógł być powód rozkładu jej małżeństwa.

- Czy kochałaś go? - zapytał z wahaniem, choć nie chciał być wścibski. Ale musiał to wiedzieć, być pewnym, czy ból, jaki odczuwa, to tęsknota za mężem czy zwykły żal.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kochałam go kiedykolwiek. Znałam go od wielu lat i wtedy wydawało się, że wszystko jest w porządku. Lubiłam go nawet, ale w gruncie rzeczy nie znałam zbyt dobrze. Już po pierwszym miesiącu małżeństwa coś się między nami rozpadło, a ja zdałam sobie sprawę ze swego błędu. Jedyne, czego chciał, to spędzać dni i noce poza domem, bawić się z przyjaciółmi, uwodzić inne kobiety i pić.

Smutny ton w jej głosie zastanowił Williama. Nie powiedziała o stracie dziecka ani o kobietach lekkich obyczajów, które sprowadził na rocznicowe przyjęcie. Widział jednak w jej oczach, że przecierpiała więcej niż opowiedziała. Oczy były pełne złych wspomnień, walki z sobą i wątpliwości.

- Współczuję ci, Saro - szepnął William. - On musi być kompletnym głupcem.

Sara poczuła się swobodniejsza, ale nie całkowicie wyzwolona. Wiedziała, że zawsze będzie jej towarzyszyło poczucie winy z powodu rozwodu, ale miała też świadomość, że dalsze życie z Freddie'm zagrażałoby jej istnieniu.

- Czy to jest ten twój straszliwy grzech?

Skinęła potakująco głową, a on uśmiechnął się wyraźnie już zniecierpliwiony.

- Jak możesz być taka głupia? To nie jest dziewiętnasty wiek. Co krok spotykam ludzi, którzy się rozwodzą. A może wolałabyś zostać z nim i znosić te tortury?

- Nie, ale czuję się winna wobec rodziców. To takie dla nich krępujące. W naszej rodzinie nie było dotychczas rozwodu. Oni zachowali się niezwykle wyrozumiale. Zapewne czuli się nieco zawstydzeni, ale nigdy mnie za to nie krytykowali, nawet nie dali tego po sobie poznać - głos Sary zdawał się odpływać.

- Czy z początku sprzeciwiali się? - zapytał szczerze.

- Nie, ani trochę - zaprzeczyła ruchem głowy. - Prawdę mówiąc, nawet mnie zachęcali.

Wróciła pamięcią do rodzinnego spotkania w Southampton nazajutrz po katastrofalnym przyjęciu.

- Ojciec się wszystkim zajął. Rodzice zachowywali się nadzwyczajnie, ale wyobrażam sobie, co musieli czuć, gdy spotykali znajomych w Nowym Jorku.

- Czy tak to określali?

- Nie. Są zbyt uprzejmi, aby mi robić wymówki.

- A czy ty sama spotykałaś się potem z ich znajomymi i zostałam w jakiś sposób ukarana za swoje przewinienie? - Sara zaprzeczyła i uśmiechnęła się rozbawiona sposobem ujęcia tej kwestii.

- Nie - roześmiała się jak młoda dziewczyna; od dawna nie było jej tak lekko na sercu. - Ukryłam się w samotności na Long Island.

- Głuptasie. Jestem absolutnie przekonany, że gdybyś zdobyła się na odwagę, by wrócić do Nowego Jorku, przekonałabyś się, że wszyscy przyklasnęliby twojej decyzji. Powiedzieliby, że miałaś rację porzucając tego drania.

- Nie jestem pewna - westchnęła. - Z nikim się nie spotykałam... aż do teraz... aż do ciebie.

- Mam wiele szczęścia, panno Saro Thompson. Jaka ty byłaś głupiutka! Nie mogę wprost uwierzyć, że zachowywałaś się tak przez cały rok, jakbyś była w żałobie po kimś, kogo nawet nie kochałaś. Doprawdy, Saro - spojrzał na nią zniecierpliwiony i rozbawiony - jak mogłaś to uczynić?

- Dla mnie rozwód nie jest drobnostką - obstawała przy swoim. - Sen spędzała mi z powiek obawa, by ludzie nie porównywali mnie z tą straszną kobietą, która poślubiła twojego kuzyna.

- Co? - William spojrzał zaskoczony. - Bałaś się, że skończysz jak Wallis Simpson? Z biżuterią wartości pięciu milionów dolarów, domem we Francji i mężem, który ją uwielbia, choć, prawdę mówiąc, nie grzeszy rozumem? Mój Boże, Saro, cóż za okropna perspektywa - mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! - Nietrudno było się domyślić, że się zgrywa, choć nie tak zupełnie do końca. Oboje parsknęli śmiechem.

- Ja mówię poważnie - skarciła go nie przestając się śmiać.

- Ja także. Czy naprawdę uważasz, że ona skończyła tak źle?

- Nie. Ale zauważ, co o niej myślą ludzie. Nie chcę, by ze mną było tak samo - oświadczyła z emfazą.

- Nie będzie tak samo, gąsko. Ona zmusiła króla, by zrzekł się tronu. Ty natomiast jesteś uczciwą kobietą, która popełniła straszną pomyłkę poślubiając głupca, po czym ten błąd naprawiła. Czy ktokolwiek, a raczej, jakakolwiek kobieta mogłaby mieć ci to za złe? Oczywiście może się zdarzyć jakiś cholerny głupiec, który nie ma nic lepszego do roboty niż wskazywanie palcem winnych. No i do diabła z nim! Ani odrobinę nie martwiłbym się rozwodem, gdybym był na twoim miejscu. Gdy wrócisz do Nowego Jorku, powinnaś o tym krzyknąć z najwyższego dachu. Gdybym był tobą, wstydziłbym się żyć w takiej parodii małżeństwa.

Uśmiechnęła się rozbijając szczęśliwa, że William tak widzi jej problem, ale przyznała w duchu, że może mieć rację - od roku nie czuła się tak swobodnie i radośnie. Być może ma słuszość, może przyszłość nie będzie rysować się tak czarno, jak się obawiała.

Nagle ogarnął ją swawolny śmiech.

- Jeśli spowodujesz, że przestanę się tym martwić, to co będzie z moim powrotem do pustelniczego życia na farmie?

Nalał jej następny kieliszek szampana; znowu obdarzyła go wdzięcznym śmiechem. William przez długą chwilę przyglądał się jej z powagą.

- Wrócimy do tej rozmowy. Nie jestem pewien, czy nadal uważam tę perspektywę za równie czarującą, jak wówczas, gdy powiedziałas mi o tym pierwszy raz.

- A to dlaczego?

- Ponieważ traktujesz to jako pretekst, by uciec od życia. Równie dobrze mogłabyś pójść do klasztoru - przerwał i postawił hultajsko oczy w słupek. - Co za niesamowita strata. Boże, nie pozwól mi nawet o tym myśleć, bo naprawdę mogę się zdenerwować.

- Czym, klasztorem czy farmą? - droczyła się. Otrzymała od niego niewiarygodny dar. Był pierwszym człowiekiem, któremu powiedziała o rozwodzie i który nie był zaszokowany, wystraszony albo choć trochę zaskoczony. To pierwszy krok do wolności.

- Jednym i drugim. Nie mówmy o tym więcej. Zabieram cię na dansing.

- To nieźle brzmi - nie tańczyła prawie rok i nagle ta perspektywa wydawała się Sarze ogromnie pociągająca. - Jeśli jeszcze potrafię tańczyć.

- Przypomnę ci - zaproponował podpisując rachunek. W kilka minut później byli w drodze do Cafe de Paris. Tam wejście Williama wywołało spore zamieszanie; wszyscy ubiegali się, by mu asystować. "Tak, Wasza Książęca Wysokość", "Oczywiście, Wasza Książęca Wysokość", "Dobry

wieczór Waszej Książęcej Wysokości"... William robił wrażenie kompletnie załamane, a Sarę rozbawił znudzony wyraz jego twarzy.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego. Rozchmurz się i przyjmij to z uśmiechem - stwierdziła sentencjonalnie, gdy szli na parkiet.

- Nie masz pojęcia, jakie to staje się nieinteresujące. Dobrze znoszą to ludzie starsi, ale w moim wieku to takie żenujące. Jeśli już o tym mowa, nawet mój ojciec, gdy miał osiemdziesiąt pięć lat, twierdził, że jest tym znudzony.

- C'est la vie - uśmiechnęła się, kiedy zaczęli tańczyć w rytm "That Old Feeling" - utworu modnego od minionej zimy. Sara początkowo czuła się na parkiecie trochę sztywno, ale już po chwili poruszali się, jakby tańczyli z sobą całe lata; William szczególnie dobrze tańczył tango i rumbę.

- Jesteś doskonała - powiedział z uznaniem. - Czy aby na pewno siedziałaś w ukryciu przez cały rok? A może na Long Island brałaś lekcje tańca?

- To bardzo śmieszne, Williamie. Właśnie nadepnęłam ci na stopę.

- Nonsens. To był tylko duży palec. Robisz szybkie postępy!

Śmiali się i tańczyli do drugiej nad ranem; gdy odwoził ją do hotelu, ziewała i na wpół uśpiona położyła mu głowę na ramieniu.

- To był niezwykły wieczór, Williamie. Gorąco ci dziękuję.

- Za to ja przeżyłem koszmar - odpowiedział tonem do złudzenia imitującym ubolewanie. - Nie miałem pojęcia, że wychodzę z upadłą kobietą. Uważałem cię za bardzo sympatyczną dziewczynę z Nowego Jorku, a co się okazało? Używany towar. Mój. Boże, nie przeżyję tego ciosu!

Żałośnie pokiwał głową, a ona trzasnęła go torebką.

- Używany towar! Jak śmiesz tak o mnie mówić! - była na wpół oburzona, na wpół rozbawiona, ale to nie przeszkadzało obojgu wprost tarzać się ze śmiechu.

- No więc dobrze - "stara rozwódka", jeśli wolisz. W każdym razie zupełnie nie to, o czym myślałem... - dalej kiwał głową i przekornie wykrzywił się do Sary. Nagle przeszła ją myśl, że William może ją uznać za łatwą zdobycz i chcieć wykorzystać jako przypadkową okazję przez czas jej pobytu w Londynie. Ta myśl zmroziła ją, odsunęła się gwałtownie. W mig pojął, że coś się z nią dzieje; spojrział zdziwiony - wjeżdżali właśnie w Braok Street.

- Co się stało?

- Złapał mnie skurcz.

- Nieprawda.

- Poważnie - starała się być przekonująca, ale nie dał wiary jej słowom.

- Nie sędę. Raczej znowu przeszło ci przez myśl coś, co popsuło ci gwałtownie humor.

- Jak możesz mówić coś takiego?

Bez przerwy Sarę zadziwiał. Jak mógł ją tak dobrze poznać w takim krótkim czasie?

- Dobrze. Ciągłe się o wszystko zamartwiasz. Jeśli poświęciłabyś więcej czasu na myślenie pozytywne, o rzeczach dobrych, które się dzieją naokoło, a mniej na rozważanie "co by było gdyby", miałabyś dłuższe i szczęśliwsze życie - prawił morały zupełnie jak jej ojciec, a ona słuchała z uwagą.

- Dziękuję Waszej Książęcej Mości.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Thompson.

W tym czasie dojechali do hotelu Claridge; William wyskoczył z samochód, otworzył Sarze drzwi i pomógł przy wysiadaniu. Zastanawiał się, co zamierza teraz zrobić, czy będzie usiłował pójść z nią na górę. Postanowiła, że mu na to nie pozwoli.

- Czy sądzisz, że rodzice pozwolą nam wypuścić się tak jeszcze kiedyś? - zapytał z szacunkiem. - Może jutro wieczorem, jeżeli przekonam ojca, że musisz jeszcze poćwiczyć tango?

Spojrzała na niego czule. Był znacznie bardziej przyzwoity niż podejrzewała; tego wieczora zrobili duży krok naprzód. W najgorszym razie zostaną przyjaciółmi - może nawet na zawsze.

- Być może. Czy chciałbyś wybrać się z nami jutro rano do Westminster Abbey?

- Nie, nie chcę - powiedział uczciwie - ale zrobię to z największą przyjemnością.

Chciał oglądać ją, nie kościół, zwiedzanie opactwa było jednak niewielką ceną za możliwość przebywania z Sarą.

- A może na weekend wyjedziemy na wieś?

- Chciałabym - uśmiechnęła się. Spojrzał na nią czule, przybliżył się i jego wargi poszukały jej ust. Męskie ramiona objęły Sarę z zaskakującą siłą i przytuliły, ale nie za mocno, w sam raz, tak by się nie przestraszyła lub choć zaniepokoiła. Kiedy obojgu zabrakło tchu, odsunął się na odległość ramienia.

- Jest cień wątpliwości - wyszeptał - że oboje jesteśmy na to za starzy... ale ja to uwielbiam.

Uwielbiał słodczy pocałunku, obietnicę tego, co mogło nastąpić później.

Odprowadził ją do windy, marząc, by pocałować raz jeszcze, ale zrezygnował. Nie chciał zwracać uwagi pracownika recepcji.

- Do zobaczenia rano - szepnął, a ona zareagowała jak kwiat rozchylający płatki do słońca. Gdy lekko się nad nią pochylił, zwróciła na niego oczy, zastanawiając się, co chce powiedzieć. Wtedy jej serce zrobiło salto, a potem zamarło. Słowa były ledwie głośniejsze od szeptu i wypowiedział je tak szybko, bo nie był w stanie się powstrzymać.

- Kocham cię, Saro.

Chciała powiedzieć, że ona też go kocha, ale już się odsunął. Drzwi windy szybko się zamknęły.

Rozdział siódmy

Następnego dnia, gdy zgodnie z planem pojechali do Westminster Abbey, Edward Thompson wyczuł, że między młodymi zawiązała się jakaś niewidzialna nić. Sara była bardziej uległa niż dawniej, William też patrzył na nią inaczej, bardziej władczo. Szli szybko; Victoria Thompson niespokojnie szeptała do męża:

- Czy sądzisz, że zaszło coś złego? - zapytała go półgłosem. - Sara zachowuje się dziś nieswojo.

- Nie mam pojęcia - odparł chłodno. Właśnie William odwrócił się by zwrócić ich uwagę na jakiś detal architektoniczny. Podobnie jak w Tower, nie szczędził osobistych uwag o rodzinie królewskiej i ciekawych szczegółów dotyczących rozmaitych monarchów. Nawiązał do ubiegłorocznej koronacji, czyniąc kilka dobroduszných uwag o swym kuzynie Bertiem. "Bertie" był nowym królem, mimo że protestował przeciw temu imieniu. Nie przygotowywano go do tej roli i gdy jego brat, David abdykował, był zatrwożony ogromem obowiązków i odpowiedzialności...

Chodzili między grobowcami i właśnie wtedy matka zauważyła, że Sara jest jak nigdy małowinna. Thompsonowie wycofali się, pozostawiając dwójkę młodych tete-a-tete. Gdy odchodzili, Sara i William byli pogrążeni w poważnej rozmowie.

- Jesteś w złym humorze, czyż nie mam racji? - biorąc ją za rękę, wyglądał na wystraszonego i zdenerwowanego. - Nie powinienem być tego mówić, prawda?

Nigdy nie odczuwał tego tak jak teraz, nigdy w stosunku do nikogo i tak silnie, a już z całą pewnością nie w tak piorunującym tempie. Czuł się jak zakochany po uszy chłopiec i chciał koniecznie o tym mówić.

- Saro, przepraszam... Kocham cię. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, że uważasz mnie za wariata. Ale ja cię naprawdę Kocham. Uważam wszystko, co się z tobą wiąże, kim jesteś, co myślisz, czego pragniesz... - wzrok jego iskrzył prawdziwym niepokojem. - I nie chcę cię utracić.

Skierowała nań udreżone oczy - z jej spojrzenia także wyzierała miłość, ale równie niezbita pewność, że nie chce się poddać uczuciu.

- To nie tak. Nie możesz mnie stracić, bo nie możesz mnie mieć. Jestem potencjalną rozwódką, a twoje drzewo genealogiczne to wyklucza. Wszystko, na co możemy liczyć to... przyjaźń lub przygodny flirt.

Przez chwilę patrzył na nią, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Jego interesującą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Moja kochana, jeśli to, co dzieje się między nami, nazywasz przygodnym flirtem, bardzo bym chciał, abyś mi wyjaśniła, co uważasz za silne zaangażowanie się dwojga młodych ludzi.

Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny, a przecież dopiero co się poznaliśmy. To, słoneczko, nie odpowiada mojemu wyobrażeniu o przygodnym flircie.

- Zgoda, zgoda - Sara wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. - Wiesz dobrze, co mam na myśli. To nie prowadzi do niczego. Dlaczego torturujemy się w taki sposób? Ja wkrótce wyjeżdżam, ty masz swoje życie.

- Do jakiego życia ty chcesz wrócić? - przeniknął go niepokój. - Piękne perspektywy - żałosna farma, na której będziesz dożywała swych dni jako stara kobieta? To kompletny absurd!

- William, jestem rozwiedziona, w każdym razie wkrótce będę. Jesteś głupcem, że się mną zajmujesz - powiedziała udreżonym głosem.

- Wiedz, że w nosie mam twój przeklęty rozwód - powiedział żarliwie. - Nic dla mnie nie znaczy, prawie tak samo jak ta cholerna sukcesja, o którą się wiecznie zamartwiasz. Bo o to przecież chodzi, prawda? Utożsamiasz siebie z tą kretynką, która poślubiła Davida.

Mówił naturalnie o księżnej Windsoru. Miał rację. Sara, szczególnie wyczulona na swoją opinię, raz jeszcze pomyliła siebie z Wallis Simpson.

- To jest sprawa tradycji i odpowiedzialności. Nie można po prostu machnąć na to ręką. Nie wolno ci tego zignorować albo udawać, że nie istnieje. Mnie także nie wolno. To tak, jakby ktoś jechał z dużą prędkością po ulicy i udawał, że nie ma muru, który ją przegradza. Ale on tam jest, Williamie, czy chcesz go widzieć, czy nie, i prędzej czy później rozbijemy się o ten mur oboje, jeżeli się nie zatrzymamy póki jeszcze czas.

Nie chciała nikogo ranić. Ani jego, ani siebie. Ale nie mogła zakochać się w nim po uszy, a potem stracić. To byłoby ponad jej siły niezależnie od tego, jak bardzo obydwójce byli już zaangażowani.

- Co zatem proponujesz? - spojrzał rozżalony; nie podobały mu się jej wywody. - Abyśmy teraz zerwali? Czy pragniesz, żebyśmy się więcej nie spotykali? Na Boga, ja nie chcę tego, chyba że popatrzysz mi prosto w oczy i powiesz, że ciebie to nie dotyczy, że ty mnie nie kochasz.

Przyciągnął ją za rękę i patrzył w oczy tak długo, że opuściła wzrok zażenowana.

- Tego powiedzieć nie mogę - zawahała się na ułamek sekundy i podniosła na niego wzrok. - Ale moglibyśmy zostać przyjaciółmi. To wszystko, na co możemy się zdobyć. Wolałabym raczej, Williamie, byś był moim przyjacielem, niż stracić cię bezpowrotnie. Jeśli będziemy się przy tym upierać, pchać się na całego w coś równie niebezpiecznego co głupiego, wcześniej czy później wszyscy, których znasz i kochasz, obrócą się przeciw tobie i przeciw mnie, a to już będzie katastrofa.

- Moja rodzina nie jest taka znowu skrupulatna. Matka, w połowie Francuzka, twierdzi, że ta cała sprawa z sukcesją jest po prostu idiotyczna. Czternasty do dziedziczenia tronu, kochanie,

doprawdy nie ma o czym mówić. Mogę zrezygnować w tej chwili i nigdy nie będę żałować; nikt też nie będzie miał o to pretensji.

- Nigdy ci na to nie pozwolę.

- Na miłość boską, Saro. Jestem dorosły i doprawdy wiem, co robię. Twoje obawy są przedwczesne i absurdałne.

Usiłował traktować to lekko, ale było jasne jak słońce, że to ona ma rację. William zrezygnowałby dla niej z praw do dziedziczenia tronu w każdej chwili, gdyby wiedział, że wyjdzie za niego, ale bał się o to zapytać. Miał zbyt wiele do stracenia, by chcieć ryzykować zbyt wcześnie. Dotąd żadnej dziewczyny nie prosił o rękę, ale teraz już wiedział, że właśnie tej chciałby się oświadczyć.

- Dobry Boże, jesteś wprost niesamowita - żartował z niej, gdy wracali do opactwa, szukając rodziców. - Połowa dziewcząt w Anglii byłaby gotowa pójść po trupach, by zostać księżną, a ty nawet nie chcesz ze mną pertraktować, jakby to była choroba, którą się możesz zarazić.

Roześmiał się na myśl o tym, jak bardzo musiał się opędnąć od młodych kobiet. Ta jedna, miła i wybrana, była akurat oporna.

- Kocham cię. Naprawdę cię kocham, Saro Thompson - porwał ją mocno w ramiona i całował wśród dostojnej atmosfery Abbey.

- Williamie... - zaczęła protestować, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo zamknął jej usta pocałunkiem. Bez tchu, ogarnięta jego magiczną siłą, spojrzała na niego i na moment zapomniała o wszystkich wątpliwościach.

- Ja też cię kocham... ale myślę, że oboje jesteśmy szaleni.

- Jesteśmy - uśmiechnął się uszczęśliwiony. Otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę głównego wejścia do opactwa, aby odszukać rodziców. - Oby to było szaleństwo, które nam nigdy nie minie - wyszeptał miękko; Sara nie odpowiedziała.

- Gdzie byliście? - Edward udawał, że się niepokoił, choć wcale tak nie było. Ich promieniejące oczy mówiły, że są sobie bliżsi niż kiedykolwiek i że wszystko ma się ku dobremu.

- Rozmawialiśmy... włóczyliśmy się tu i ówdzie. Pańska córka łatwo wywołuje roztargnienie.

- Potem jej powiem słoweczko. - Edward uśmiechnął się do obojga; jakiś czas mężczyźni szli razem, rozmawiając o banku Edwarda i o stosunku Ameryki do ewentualnej wojny. William opowiedział mu o swojej ostatniej wyprawie do Monachium.

Wszyscy razem poszli na lunch do Old Cheshire Cheese - zjedli pasztet z gołąbków. Nieco później William z przykrością zaczął się żegnać.

- Przyrzekłem spotkać się po południu z prawnikami - smutna konieczność od czasu do czasu.

Przeprosił, że ich musi opuścić, i zapytał Sarę, czy przyjmie zaproszenie na kolację i dancing tego wieczora. Gdy zawahała się - William wyraźnie posmutniał.

- Tak po przyjacielsku... jeszcze jeden raz - łgał; a ona śmiała się wraz z nim. Za dobrze go już poznała, by w to wierzyć.

- Jesteś nieznośny.

- Niewątpliwie. Ale ty musisz solidnie poćwiczyć tango.

Roześmiali się oboje na wspomnienie wspólnych doświadczeń na parkiecie.

- Zajmiemy się tym dziś wieczorem, zgoda?

- Dobrze - godziła się niechętnie, gdyż zdała sobie sprawę, że jego czarowi nie sposób się oprzeć. Był zaiste wyjątkowym człowiekiem, nikt nigdy nie zaprzętał jej myśli w podobny sposób. To było jak olśnienie. Zauroczenie Freddie van Deeringiem wydawało się słuszne w tamtym odległym czasie, ale wtedy była taka młoda i głupia. Teraz William pochłonał ją całkowicie.

- To czarujący młody człowiek - powiedziała matka, gdy Edward zostawił obie panie w Hardy Amies. Sara nie mogła się nie zgodzić. Nie chciała tylko zrujnować życia jemu i sobie, angażując się bez reszty w przygodę miłosną, która prowadzi donikąd. Mimo niewątpliwej skłonności Williama do porzucenia wszelkich obostrzeń nie zamierzała postępować pochopnie. Ale wnet zapomniała o tych obawach, gdy dostała od matki bajkową suknię z białego atlasu, wspaniale kontrastującą z jej ciemnymi włosami i zielonymi oczami.

Wieczorem William nie mógł oderwać oczu od Sary.

- W tej sukni wyglądasz doprawdy niebezpiecznie. Obawiam się, czy twoi rodzice powinni mi pozwolić wyjść z tobą dziś wieczorem. Obdarzają mnie chyba nadmiernym zaufaniem!

- Uprzedzałam ich, by ci nie wierzyli, ale wydaje się, że są całkowicie pod twoim urokiem - przekomarzała się, gdy wychodzili. Tym razem wioził ich kierowca - jechali bentleyem.

- Wyglądasz doprawdy zachwycająco.

Robiła wrażenie księżniczki z bajki.

- Dziękuję - uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

Bawili się równie doskonale jak poprzednio - bardzo chciała czuć się z nim swobodnie. Było wesoło, Sarze podobali się znajomi Williama; wszyscy byli dla niej czarujący. Tańczyli całą noc, aż wreszcie po mistrzowsku opanowała i rumbę, i tango; przyciągała wszystkie spojrzenia, kiedy w swej białej sukni tańczyła z Williamem.

I znów odwiózł ją do domu o drugiej nad ranem - ta noc zdawała się jedną chwilą. Czuła się przy nim odprężona, William również zachowywał się zupełnie swobodnie. Tego wieczoru nie

wspominali o jej obawach ani o jego uczuciach, byli po prostu na luzie. Po powrocie do hotelu Sara stwierdziła, że wcale nie chce się z nim żegnać i iść na górę.

- Jaki pomnik zamierzasz zaszczyścić jutro swoim spojrzeniem? - Sara uśmiechnęła się rozbawiona tym pytaniem.

- Niczego nie będziemy zwiedzać. Chcemy zostać w hotelu i odpocząć. Ojciec ma do załatwienia jakieś swoje interesy, umówił się na lunch ze starym znajomym; mama i ja mamy wolne.

- To brzmi nadzwyczaj interesująco - popatrzył na nią z powagą. - Czy dasz się namówić na wspólne słodkie nieróbstwo? Proponuję małą przejażdżkę na wieś, mały łyk świeżego powietrza.

Zawahała się, po czym skinęła skwapliwie głową. Cała ostrożność Sary wzięła w łeb, wiedziała, że nie jest w stanie mu się oprzeć. Już prawie postanowiła, że nie będzie mu się przeciwstawiać aż do wyjazdu z Londynu.

Następnego dnia przed lunchem przyjechał po nią wykonany na specjalne zamówienie bugatti - jeszcze nie widziała tego pojazdu. Skierowali się do Gloucestershire; po drodze William wskazywał Sarze ciekawsze miejsca i zabawiał opowiadaniem o nich.

- Ale, ale... Dokąd my właściwie jedziemy?

- Do jednej z najstarszych wiejskich posiadłości w Anglii - odparł z całkowitą powagą. - Główna budowla pochodzi z czternastego wieku i jest nieco ponura, ale jest tam kilka innych budynków bardziej nowoczesnych. Największy z nich zbudował sir Christopher Wren (Christopher Wren (1632 - 1723) - angielski architekt, zaprojektował londyńską katedrę św. Pawła i pięćdziesiąt innych kościołów w stolicy Anglii. Projektował także inne budynki, m.in. teatr Sheldonian w Oxfordzie, skrzydło wschodnie i dziedziniec Fontannowy pałacu Hampton Court pod Londynem oraz bibliotekę Trinity College w Cambridge - przyp. tłum.) w osiemnastym wieku i zaiste jest bardzo piękny. Obszerne stajnie, farma i prześliczny domek myśliwski dopełniają całości. Myślę, że ci się spodoba.

To była piękna perspektywa.

- Zapowiada się cudownie, Williamie. Kto tam mieszka? - zapytała Sara.

Zawahał się przez chwilę, po czym odpowiedział zauważając w jej pytaniu podchwytliwy ton.

- Ja. Prawdę mówiąc, spędzam tam możliwie jak najmniej czasu, ale moja matka mieszka na stałe w głównym domu. Ja wolę domek myśliwski, jest nieco bardziej surowy. Pomyślałem, że może zechcesz zjeść z nią lunch, skoro masz trochę wolnego czasu.

- William! Zabierasz mnie na lunch do swojej matki bez żadnego uprzedzenia! - Sara była najwyraźniej przerażona jego postępkami.

- Mama jest całkiem miła, zapewniam cię - powiedział z niewinną miną. - Myślę, że ją polubisz.

- Ale co ona sobie o mnie pomyśli? Dlaczego przyjeżdżamy na lunch? - ponownie zaczęła się obawiać Williama, jego niepoohamowanych uczuć, a także ich konsekwencji.

- Powiedziałem matce, że będziesz wściekle głodna. Mówiąc poważnie - zadzwoniłem do niej wczoraj i powiedziałem, że chciałbym, abyś poznała ją przed wyjazdem.

- Dlaczego? - Sara obrzuciła go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Jak to dlaczego? - udawał zaskoczonego. - Jesteś moją przyjaciółką i bardzo cię lubię.

- Czy tylko tyle powiedziałeś? - mruknęła czekając na odpowiedź.

- No nie, nie tylko, powiedziałem też, że pobieramy się w sobotę i że byłoby miło, gdyby poznała przyszłą księżną Whitfield przed ślubem.

- William, przestań! Ja mówię poważnie! Nie chcę, by myślała, że latam za tobą albo że zamierzam ci zrujnować życie.

- Ach, nie, o tym też jej mówiłem. Powiedziałem, że przyjedziesz na lunch, ale absolutnie odmawiasz przyjęcia tytułu.

- William! - pisnęła i roześmiała się w głos. - Co ty ze mną wyprawiasz?

- Jeszcze nic, moje kochanie, ale tak bardzo bym chciał!

- Jesteś niemożliwy! Powinieneś być mi powiedzieć, dokąd jedziemy. Nie mam nawet przyzwoitej sukienki! - Sara była ubrana w spodnie i jedwabną bluzkę, co w pewnych kręgach uważano za wystrzałowe. Ale owdowiała księżna Whitfield zapewne nie zaakceptuje jej wyglądu.

- Powiedziałem, że jesteś Amerykanką, to wyjaśnia wszystko - przekomarzał się udając, że ją uspokaja, ale w rzeczy samej uważał, że przyjęła to całkiem nieźle. Martwił się, że będzie bardziej wystraszona, gdy postawi ją przed faktem dokonanym. Ale Sara okazała się całkiem równa.

- Czy mówiłeś też, że czeka mnie rozwód, skoro, jak widać, powiedziałeś o wszystkim?

- Do diabła, zapomniałem - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Sama jej to powiesz podczas lunchu. Będzie ciekawa wszystkich szczegółów.

Uśmiechnął się do niej, zakochanej bardziej niż kiedykolwiek. Zapomniała zupełnie o swych strachach i zastrzeżeniach.

- Jesteś doprawdy odrażający - poskarżyła się.

- Dziękuję, moje kochanie. Zawsze do usług - powiedział z uśmiechem.

Właśnie dojechali do głównej bramy - Sara była pod wrażeniem wyglądu posiadłości. Otaczał ją wysoki kamienny mur - robił wrażenie, jakby zbudowali go Normanowie. Budowle imponowały patyną wieków, otaczał je starodrzew, park był utrzymany nienagannie. Skala tego

wszystkiego była oszałamiająca. Główny budynek przypominał raczej fortecę niż dom mieszkalny, ale gdy podjechali do domku myśliwskiego, w którym William przyjmował swoich przyjaciół, Sara stwierdziła, że jest czarujący. Był większy niż dom Thompsonów na Long Island. Dom, w którym mieszkała matka Williama, był wspaniały, wypełniony cudownymi antykami rozmaitej proveniencji.

Sarę zaskoczył widok malutkiej, kruchutkiej, ale ciągle pięknej księżny Whitfield.

- Jestem szczęśliwa mogąc poznać Waszą Księżną Wysokość - odezwała się nerwowo, niepewna, czy ma wykonać ukłon czy podać rękę, ale starsza dama ostrożnie ujęła dłoń Sary i przytrzymała ją.

- I ja jestem szczęśliwa widząc ciebie, moja droga. William mówił, że jesteś śliczną dziewczyną i, jak widzę, nic nie przesadził. Wejdz, proszę.

Poprowadziła ich do środka, krocząc sprawnie, choć posługując się laską. Laska należała do królowej Wiktorii, księżna niedawno otrzymała ją jako upominek od Bertiego, kiedy przyjechał z wizytą.

Oprowadziła Sarę po salonach na parterze, następnie wyszły do ogrodu. Był ciepły, słoneczny dzień - lato było niezwykle pogodne w Anglii tego roku.

- Czy zostaniesz tu długo, moja droga? - zapytała matka uprzejmie; Sara z żalem zaprzeczyła.

- W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Włoch. Wrócimy do Londynu na kilka dni z końcem sierpnia przed odpłynięciem do Ameryki - to wszystko. Mój ojciec musi być w Nowym Jorku na początku września.

- William powiedział mi, że jest właścicielem banku. Mój ojciec również był bankierem. Czy William powiedział ci, że jego ojciec piastował stanowisko przewodniczącego Izby Lordów? To był cudowny człowiek, William jest do niego bardzo podobny. - Księżna Whitfield spojrzała na syna z nie ukrywaną dumą. William z czułością objął matkę ramieniem.

- To nieładnie przechwalać się, mamó - zażartował; widoczne było, że patrzy w niego jak w obraz. Od chwili urodzenia był radością jej życia, największą nagrodą w długim i szczęśliwym małżeństwie.

- Nie przechwalam się. Myślę tylko, że Sara chętnie dowie się czegoś o twoim ojcu. Być może któregoś dnia pójdziesz w jego ślady.

- To mało prawdopodobne, mamó. To dla mnie za duże brzemię. Zajmę swoje miejsce, ale nie sądzę, abym je należycie wykorzystał.

- Któregoś dnia możesz się zdziwić.

Uśmiechnęła się do Sary, po czym udali się na lunch. Księżna Whitfield była czarującą osobą, zaskakująco żywą jak na swój wiek i oczywiście nie widziała świata poza Williamem. Nie krępowała go w niczym, nie skarżyła się, że poświęca jej za mało uwagi, jak często czynią inne matki. Wydawała się zupełnie zadowolona, pozwalając mu żyć własnym życiem i była wielce kontenta, gdy dostawała od niego co jakiś czas wiadomości. Przekazała Sarze kilka zabawnych epizodów z jego dzieciństwa, opowiedziała o młodzieńczych eskapadach, o tym, jak się dobrze uczył w Eton. Potem mówiła o czasach studenckich Williama w Cambridge, gdzie studiował historię, politykę i ekonomię.

- Tak, a teraz chodzę jedynie na prozione kolacje i tańczę tango. To rewelacyjne, jak bardzo potrzebne jest wykształcenie - powiedział uroczyście, choć nie bez pewnej ironii.

Sara jednak wiedziała, że robi dużo więcej. Zarządzał swymi nieruchomościami w Londynie, działał w Izbie Lordów, podróżował, dużo czytał i wciąż był zafascynowany polityką. Sara z pewną dozą niechęci przyznała w duchu, że akceptuje absolutnie wszystko, co dotyczy tego nadzwyczajnego człowieka. Polubiła nawet jego matkę. A matka wydawała się zachwycona Sarą.

Po południu poszli we troje na długi spacer po ogrodach; Annabelle Whitfield opowiedziała Sarze o swym dzieciństwie w Kornwalii, o odwiedzinach we Francji u dziadków ze strony matki, o letnich wakacjach spędzanych w Deauville.

- Czasami naprawdę mi tego brakuje - wyznała, uśmiechając się nostalgicznie do dwojga młodych.

- Byliśmy tam w lipcu. Jest nadal piękne - uśmiechnęła się w odpowiedzi Sara.

- Miło mi to słyszeć. Ostatni raz byłam w Deauville przed pięćdziesięciu laty - uśmiechnęła się do syna. - Z chwilą narodzin Williama zamknęłam się w domu. Chciałam być z nim cały czas, pragnęłam osłaniać go, zachwycać się każdą jego miną, słowem i dźwiękiem. Kiedy biedne dziecko opuszczało dom, by iść do Eton, omal nie umarłam. Staralam się przekonać George'a, by pozwolił mi go zatrzymać tutaj i zatrudnić guwernera, ale on się upierał i teraz wiem, że miał rację. W domu William by się zanudził ze starą matką - spojrzała na niego z miłością i pocałowała w policzek.

- Nigdy mi nie było nudno z tobą w domu, mamó - i ty dobrze wiesz o tym. Uwielbiałem cię. I nadal uwielbiam.

- Głupi chłopak - uśmiechnęła się, uszczęśliwiona zawsze, gdy tak mówił.

Opuścili Whitfield późnym popołudniem; księżna poprosiła Sarę, by odwiedziła ją przed wyjazdem.

- Może po powrocie z Włoch, moja droga. Bardzo bym chciała usłyszeć relacje z wycieczki, gdy wrócicie do Londynu.

- Byłabym zaszczycona mogąc spotkać panią raz jeszcze - przyznała z uśmiechem Sara.

- Jest przemiła - mówiła potem Sara z uśmiechem, przeżywając w duchu to, co usłyszała od jego matki. Była gościnna, ciepła i wydawała się szczerze zainteresowana Sarą.

- Prawda? Jest taka łagodna, nie ma w niej odrobiny złości. Nigdy nie widziałem, by się na kogoś gniewała, może z wyjątkiem mnie - roześmiał się do swoich wspomnień - albo by była niegrzeczna czy ganiła kogoś w podnieceniu lub gniewie. Uwielbiała ojca, zresztą z wzajemnością. Szkoda, że nie mogłaś poznać jego, ale jestem ogromnie szczęśliwy, że poświęciłaś czas, by spotkać się z matką. - Wyraz jego oczu mówił coś więcej, ale Sara udawała, że tego nie widzi. Nie śmiała pokusić się o jeszcze silniejsze uczucie.

- Cieszę się, że mnie tam zawiozłeś - powiedziała miękko.

- Ona też się cieszy. Naprawdę cię polubiła - spojrzał na Sarę, uderzony jej wystraszoną spojrzeniem.

- Czy naprawdę by mnie kochała, gdyby wiedziała, że jestem rozwódką? - zapytała ze smutkiem, gdy William pokonywał zręcznie swoim bugatti ostry zakręt.

- Wiesz, nie sądzę, by się w ogóle tym przejęła - powiedział uczciwie.

- Cóż, jestem zadowolona, że zdecydowałaś się nie próbować - uśmiechnęła się uspokojona. Ale on nie mógł zrezygnować z okazji, by się z nią trochę nie podroczyć.

- Sądziłem, że ty jej powiesz w czasie lunchu.

- Zapomniałam. Zrobię to następnym razem. Przynajmniej - odwzajemniła się Sara.

- Kapitalnie. Nie wątpię, że będzie zachwycona.

Cieszyli się swoją obecnością do końca wycieczki; z żalem pożegnał Sarę przed hotelem. Tego wieczora jadła kolację z rodzicami i ich znajomymi. William nalegał, by spotkała się z nim nazajutrz, i to rano.

- Nie masz czasem czegoś innego do roboty? - przekomarzała się z nim, gdy ją o to prosił; stali przed frontowym wejściem do hotelu i wyglądali jak dwoje bardzo szczęśliwych młodych zakochanych.

- Nie w tym tygodniu. Chcę spędzić z tobą każdą chwilę, zanim wyjedziesz do Rzymu. Oczywiście jeżeli nie masz nic przeciw temu.

Pomyślała, że powinna zaproponować dla jego dobra, ale, prawdę mówiąc, nie chciała. Była całkowicie pod jego urokiem.

- A zatem jutro rano w Hyde Park? Potem National Gallery krótki wyjazd do Richmond i spacer w Kew Gardens. I lunch w hotelu Berkeley - roześmiała się podziwiając, że wszystko tak zaplanował. Nie obchodziło jej, dokąd pójdzie, byleby tylko mogła z nim przebywać. Już nie były ważne żadne strachy i zastrzeżenia, że zaangażują się zbyt mocno, wręcz przeciwnie, to stało się

ekscytujące. Zdała sobie sprawę, że wszelki opór jest daremny, ale przecież tak szybko mieli się rozstać! Wtedy trzeba będzie zmusić się, by o nim zapomnieć. Ile bólu może wyrządzić kilkudniowe szczęście? Trochę krzywdy więcej, trochę mniej to dla niej nic nowego: spędziła samotnie ostatni rok, a jeśli jeszcze dodać do tego ten nędzny poprzedni...

Do końca pobytu Thompsonów w Londynie William towarzyszył im prawie wszędzie. Bywało, że nie mógł uniknąć własnych spotkań, ale większość czasu był do dyspozycji. Ostatniego dnia William i Edward zjedli lunch w White's, klubie Whitfielda.

- Czy było miło? - spytała Sara ojca po powrocie.

- William jest bardzo uprzejmy, a klub wspaniały.

Nie atmosfera ani jedzenie zrobiły na Edwardzie tak dobre wrażenie, ale gospodarz i to, co mu powiedział.

- Zabiera nas dziś wieczorem na kolację, a potem wybiera się z tobą na dancing. Wyobrażam sobie, że Włochy bez niego wydadzą ci się niezwykle kameralne, biorąc pod uwagę tutejsze wydarzenia - powiedział poważnie i czekał, co Sara odpowie.

- No cóż, trzeba będzie do tego przywyknąć - odrzekła stanowczo. - Bawiłam się doskonale, on jest wyjątkowo miły, ale to nie może trwać wiecznie.

Uścisnęła ojca i opuściła salon; tego wieczora wybierali się na kolację do Savoy Grill. Jak zwykle, William był czarującym towarzyszem, Sara także była w dobrej formie. Po kolacji odwieźli rodziców do hotelu i wybrali się na obiecany dancing do klubu Four Hundred.

Tego wieczora trwała w jego ramionach spokojna i jakby wyciszona, mimo wcześniejszych pozorów wesołości. Łatwo było dostrzec, jak bardzo posmutniała; powrócili do stolika i trzymając się za ręce cicho rozmawiali do późnej nocy.

- Czy następny tydzień będzie równie trudny dla ciebie jak dla mnie? - zapytał, a ona potwierdziła. - Nie wiem, co zrobię bez ciebie, Saro.

W ciągu kilku tygodni stali się sobie bardzo bliscy. Oboje nie mogli wyjść z podziwu, że doszło do tego tak szybko. William ciągle starał się oswoić ze świadomością, że nigdy nie znał nikogo tak dobrze ani nie kochał jak Sarę.

- Znajdziesz sobie jakieś zajęcie - uśmiechnęła się mężnie. - A może już załatwiłeś sobie pracę przewodnika w British Museum albo w Tower of London.

- Znakomity pomysł! - zażartował, a potem objął ją ramieniem i przytulił. - Przez najbliższe trzy tygodnie będzie mi ciebie ogromnie brakowało, a potem będziesz w Londynie tak krótko. Zaledwie tydzień - ta myśl go zasmucała.

Bez słowa skinęła głową. Chwytała ulotne płatki marzeń, że spotkali się przed laty, że jest Angielką, że nigdy nie było Freddiego. Ale rozsądna część osobowości twierdziła, że marzenia

niczego nie zmieniają; teraz musi wziąć się w garść i wyjechać. To takie trudne - ciężko wyobrazić sobie, że nie będzie go codziennie widywać, że nie będą razem śmiać się i żartować, spotykać jego znajomych, oglądać koronnych klejnotów w Tower of London, odwiedzać jego matki w Whitfield czy też po prostu siedzieć gdzieś spokojnie i rozmawiać.

- Może pewnego dnia odwiedzisz mnie w Nowym Jorku - powiedziała w zadumie, wiedząc, że to mało prawdopodobne. Nawet gdyby przyjechał, każda wizyta byłaby zbyt krótka.

- Mógłbym! - rzucił jej promień nadziei. - Jeśli tu, w Europie, nie uwikłamy się w kłopoty. "Najwyższy przywódca" Niemiec może utrudnić transatlantycką wyprawę. William był przeświadczony o nieuchronności wojny, Edward Thompson był tego samego zdania.

- Może powinienem przyjechać, zanim to się stanie.

Ale Sara zdawała sobie sprawę, że spotkanie z Williamem w Nowym Jorku to pobożne życzenie, któremu daleko do spełnienia. To był czas pożegnania i trzeba się z tym pogodzić. Gdy spotkają się po jej powrocie z Włoch, nabiorą do swych spraw pewnego dystansu, już nie będzie tak jak teraz. Powinni z daleka od siebie przeanalizować własne życie.

Zatańczyli ostatnie tango - udało im się idealnie, ale nawet to nie wywołało uśmiechu na twarzy Sary. Potem był jeszcze ten przysłowiowy "ostatni taniec", twarz przy twarzy, oboje przytuleni i zamyśleni; wrócili do stolika i całował ją coraz bardziej zachłannie i pożądliwie.

- Bardzo cię kocham, moja słodka. Serce mi się kraje, że wyjeżdżasz.

Czuli się ze sobą cudownie przez całe dwa tygodnie, nigdy nie byli odmiennego zdania.

- Co mam począć z resztą życia bez twojej w nim obecności?

- Bądź szczęśliwy... niczego sobie nie odmawiaj... ożeń się i miej dzieci - żartowała, ale to był śmiech przez łzy. - Czy będziesz pisał do mnie? - zapytała w zadumie.

- Dokładnie o umówionej godzinie. Przyrzekam. A może twoi rodzice wcale nie będą zachwyceni Włochami i wcześniej wrócicie do Londynu - powiedział z nadzieją.

- Wątpię - odrzekła zgodnie z prawdą.

- Wiem, Mussolini jest prawie tyle samo wart co Hitler, przynajmniej wszyscy tak twierdzą.

- Nie sądzę, by nas oczekiwał - uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, wątpię, czy w ogóle go zobaczymy.

To była taka rozmowa o niczym, ale nie wiedziała, co więcej można dodać do słów już wypowiedzianych. Wszystko, co jeszcze mogli sobie wyznaczyć, było zanadto bolesne.

Wrócili do hotelu w milczeniu. Tego wieczora William sam prowadził samochód. Nie chciał, aby kierowca przeszkadzał podczas ostatnich chwil, jakie miał spędzić z Sarą. Długo jeszcze siedzieli w samochodzie, cicho rozmawiając o tym, co już udało im się zrealizować, co

chcieliby zrobić, czego mogliby dokonać w przyszłości i jak spędzą czas, gdy Sara wróci do Londynu przed odpłynięciem do domu.

- Obiecuję, że spędzę z tobą każdą minutę, zanim wypłyniesz.

Patrzyła na niego z uwielbieniem - to był mężczyzna w wielkim stylu, arystokrata w każdym calu i do tego taki przystojny! Książę Whitfield. Będzie kiedyś opowiadała swym wnukom, że go kochała przed laty. Bardziej niż kiedykolwiek była przekonana, że nie może się zgodzić na to, by za związek z nią zapłacił rezygnacją z praw do tronu.

- Napiszę do ciebie z Włoch - przyrzekła, nie wiedząc, jak ma ująć w słowa niezłomne postanowienie, że ograniczy się wyłącznie do suchych opisów podróży. Nie pozwoli sobie, by w listach odkryć zakamarki swej duszy. Była zdecydowana nie zachęcać go do szalonych uczynków.

- Jeśli mi się uda połączyć, zatelefonuję do ciebie.

Wziął ją w ramiona i delikatnie przytulił.

- Najdroższa... tak bardzo cię Kocham...

Zaczął ją całować. Zamknęła oczy, a po jej policzkach spływały łzy.

- Ja też cię Kocham... - powiedziała, gdy ich wargi rozłączyły się na chwilę. On również miał w oczach łzy. Delikatnie dotknęła palcami jego policzka i zostawiła go tam na chwilę. - Musimy w tej sprawie zachować dobre proporcje, wiesz, co mam na myśli. Nie mamy w tym względzie wyboru. Masz obowiązki, Williamie, których nie możesz ignorować.

- Ależ mogę - powiedział prawie bezgłośnie. - A co by było, gdybyśmy mieli wybór?

Było to najbardziej jednoznaczne stwierdzenie, na jakie się zdobył. To była uchwytana obietnica na przyszłość.

- Nie mamy wyboru - położyła palec na jego wargach, a on pocałował koniuszek. - Nawet nie myśl o tym, Williamie, nie pozwolę na to.

- Dlaczego?

- Ponieważ cię Kocham - powiedziała z determinacją.

- I dlatego nie chcesz rozważyć wszystkich naszych dążeń, nie chcesz rozmawiać o przyszłości?

- Dla nas nie ma przyszłości, Williamie - powiedziała ze smutkiem.

Pomógł Sarze wysiąść z samochodu. Trzymając się za ręce przemierzali powoli hall. Była ubrana w tę samą suknię z białego atłasu i wyglądała prześlicznie. Jego oczy ogarniały całą jej postać, jakby chciał wchłonąć każdy najdrobniejszy nawet szczegół, aby nie zapomnieć, gdy odjedzie.

- Zobaczymy się wkrótce - ucałował ją jeszcze raz, zupełnie nie zwracając uwagi na mężczyznę w recepcji.

- Nie zapominaj, że bardzo cię Kocham - powiedział miękko i znów począł ją całować. Ona też szeptała słowa miłości. Drzwi windy zamknęły się z trzaskiem, a gdy jechała sama do góry, czuła, że za chwilę serce jej pęknie z bólu.

William stał w hallu, długo wpatrując się w drzwi windy, aż wreszcie odszedł do swego daimlera z wielce nieszczęśliwą miną. Ale podjął pewne decyzje. Sara była uparta: nawet jeśli uważała, że robi wszystko, co najlepsze dla niego, William Whitfield przewyższał ją o niebo w tym uporze.

Rozdział ósmy

Jazda pociągiem do Rzymu zdawała się nie mieć końca. Sara była milcząca i blada, rodzice rozmawiali z sobą przyciszonym głosem, ale rzadko odzywali się do niej. Oboje rozumieli stan jej ducha i nie absorbowali rozmową. William wpadł na Victoria Station zobaczyć się z Sarą przed samym wyjazdem. Rozmawiali krótko, ale gdy wzięła torebkę i wyszła, po jej policzkach spływały łzy. Zdawała sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo pragnę się nie rozstawać, jest to początek ostatecznej rozłąki. Sama wiedziała najlepiej, jak beznadziejna jest sytuacja, jaka była niemądra, by pozwolić sobie na to uczucie. Zapłaci za to cierpieniem, a czas będzie znów musiał leczyć rany. Nie miała pewności, czy chce zobaczyć się z nim po powrocie do Londynu, zanim odpłyną do Ameryki. Spotkanie może okazać się zbyt bolesne.

Podczas podróży wyglądała za okno, usiłując skierować swe myśli na inne tory: na Petera i Jane, małego Jamesa i Marjorie. Próbowwała myśleć nawet o Freddie. Wszystko na nic. Myślą przewodnią jej rozważań był zawsze William lub coś, co się z nim wiązało bezpośrednio. Wracała we wspomnieniach do wizyty u matki Williama, myślała o popołudniach z nim spędzonych, o tym, jak ją całował, o nocach, które przetańczyli.

- Czy dobrze się czujesz, moja droga? - zapytała troskliwie Victoria Thompson, gdy szli na lunch do wagonu restauracyjnego. Sara nie chciała iść twierdząc, że nie jest głodna; steward miał jej przynieść owoce i filiżankę herbaty - uznała, że to jej wystarczy. Matka podejrzewała, że nie zje nawet tego.

- Tak, mam, doskonale.

Victoria wiedziała, że to nieprawda; podczas lunchu powiedziała mężowi, że bardzo ją martwi widok cierpienia Sary. Jest najwyraźniej przybita. Zbyt wiele przeszła, by łamać sobie serce ponownie. To był błąd, nie powinni pozwolić jej na zaangażowanie się z księciem.

- A może trzeba, aby dokładnie zdała sobie sprawę z tego, co do niego czuje - odparł cicho Edward.

- Dlaczego? - Victoria była zaintrygowana. - Co to za różnica?

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie, Victorio!

Zastanawiała się, czy panowie przeprowadzili z sobą jakąś rozmowę, ale z góry uznała to za mało prawdopodobne. Po lunchu Thompsonowie wrócili do przedziału. Sara czytała ostatnio wydaną powieść Grahama Greene'a "W Brighton". Przed wyjazdem William ofiarował Sarze tę książkę, by miała co czytać w długiej podróży. Nie mogła się skoncentrować na lekturze, nie była w stanie nawet zapamiętać imion bohaterów. Prawdę mówiąc, nie miała zielonego pojęcia, co czyta, i w końcu odłożyła książkę.

Jechali przez Dover, Calais, Paryż i tam przesiadli się do innego pociągu; długo po północy, gdy pociąg przejeżdżał przez północne Włochy, Sara nie spała leżąc w ciemności i słuchając turkotu kół. Każdy ich obrót, każda mila przywodziły na myśl chwile spędzone z Williamem. Wydawało się to znacznie gorsze niż wszystko, co przeżyła z Freddie; w grę wchodziło uczucie, Williama kochała naprawdę i czuła każdym nerwem, że to miłość z wzajemnością. Ale wiedziała i to, że wspólna przyszłość będzie go kosztować zbyt wiele i nie godziła się, by zapłacił tę cenę.

Obudziła się blada i zmęczona po kilkugodzinnym zaledwie, niespokojnym śnie. Pociąg wjeżdżał właśnie na dworzec Termini, przed którym otwierał się plac Cinquecento.

Hotel Excelsior wysłał tam po nich samochód - Sara obojętnie skierowała się w tę stronę. Niosła niewielki neseser z kosmetykami i swoją torebkę. Na głowę założyła ogromny kapelusz, by osłonić twarz przed rzymskim słońcem. Była obojętna na wszystko, co się dzieje dookoła. W drodze do hotelu kierowca objaśniał im trasę, pokazywał ciekawe miejsca: Łąnie Dioklecjana, pałac Barberinich, Ogrody Borghese. Sara jednak żałowała, że tu przyjechali; tęskniła za Williamem i napawała ją lękiem perspektywa spędzenia trzech tygodni we Włoszech, zwiedzania Rzymu, Florencji i Wenecji razem z rodzicami.

Kiedy znaleźli się już w hotelu, mogła zostać chwilę sama w pokoju. Zamknęła drzwi i położyła się na łóżku z zamkniętymi oczyma. Znowu miała w oczach jedynie obraz Williama. To było jak oszołomienie, jak opętanie. Podniosła się, umyła twarz zimną wodą, uczesała włosy i postanowiła wziąć kąpiel. Nareszcie czuła się rozkosznie po długiej jeździe pociągiem. Włożyła czystą, bawełnianą sukienkę i tak upłynęła godzina, zanim poszła szukać rodziców. Oni także kąpali się i przebierali. Wszyscy czuli się odświeżeni, mimo sierpniowej rzymskiej spiekoty.

Ojciec zaplanował na to popołudnie zwiedzanie Koloseum - w prażącym słońcu oglądali każdy szczegół. Gdy późnym popołudniem wrócili do hotelu, Sara z matką poczuły się bardzo zmęczone intensywnym zwiedzaniem i kanikułą. Ojciec zaproponował, by wstąpili czymś się pokrzepić, zanim pojedą na górę, ale nawet to nie przywróciło im życia. Sara wypła dwie lemoniady, ale podnosząc się od stolika czuła się jak stuletnia staruszka. Zostawiła rodziców rozprawiających o czymś nad kieliszkami z winem i powoli skierowała się do hallu. W dłoniach trzymała duży słomkowy kapelusz, z którym nie rozstawała się od rana. Była jak otumaniona, nie mogła zebrać myśli i to sprawiało jej ulgę.

- Signorina Thompson? - zapytał dyskretnie zarządca hotelu, gdy mijała ladę recepcji.

Zdezorientowana popatrzyła w jego stronę, nie wiedząc, dlaczego ją zawołano.

- Jest wiadomość dla pani.

Na kopercie widniało wyraźne, znajome pismo; roztargniona spojrzała na nią, zastanawiając się, w jaki sposób wiadomość dotarła do niej tak szybko. Nie ruszając się z miejsca, otworzyła

kopertę - w środku był liścik: "Będę cię zawsze kochał - William". Uśmiechnęła się czytając te słowa, powoli złożyła list i umieściła z powrotem w kopercie. Musiał go wysłać do hotelu, zanim jeszcze wyjechała z Londynu. Gdy powoli wchodziła po schodach, obraz Williama wypełniał jej serce. Głowa aż huczała od myśli o nim. W tej samej chwili poczuła w przelocie czyjeś muśnięcie, ktoś otarł się o nią.

- Przepraszam - mruknęła nie patrząc i nagle została porwana w czyjeś ramiona. Tak, to był on - w Rzymie, w hotelu, całował ją i nie miał zamiaru wypuścić z objęć. Nie wierzyła własnym oczom, to było wprost niewiarygodne.

- Co... ty tu robisz... Mój Boże, skąd się tu wziąłeś...

Zabrakło jej tchu i słów, by wyrazić szczęśliwość tej chwili. Ogarnęła ją niepohamowana radość, a William był najwyraźniej tym zachwycony.

- Przyjechałem spędzić z tobą trzy tygodnie we Włoszech, głuptasie. Przechodziłaś tuż obok mnie w hallu.

Podobało mu się, że wygląda tak załóżnie. Dokładnie tak samo czuł się, gdy zegnali się w hotelu Claridge. I wtedy właśnie podjął szybką decyzję: odrzucił wszystkie względy i pojedzie za nią do Rzymu. Teraz, widząc ją pełną smutku, był w dwójnasób szczęśliwy, że tak postąpił.

- Obawiam się, że mam dla ciebie złe wiadomości, kochanie - z poważnym wyrazem twarzy dotknął jej policzka. - Sara przez chwilę zaniepokoiła się o jego matkę.

- Co się stało?

- Obawiam się, że nie mogę żyć bez ciebie - jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Stali na schodach, rozmawiając i wymieniając gorączkowe pocałunki. Ludzie znajdujący się poniżej obserwowali z zainteresowaniem tę piękną parę zakochanych. Ich widok rozgrzewał ludzkie serca.

- Czy nie powinniśmy przynajmniej próbować oprzeć się burzy naszych uczuć? - zapytała Sara z godnością, ale powiedziała to bez przekonania, zbyt szczęśliwa, by go zrażać oschłością.

- Nie zniósłbym tego. Będzie nam wystarczająco ciężko, gdy wyjedziesz do Nowego Jorku. Na razie cieszymy się tym miesiącem.

Objął ją ramieniem i znowu całował - właśnie wtedy u podnóża schodów ukazali się Thompsonowie. Zatrzymali się patrząc w osłupieniu: ich córka w objęciach jakiegoś człowieka! Ojciec Sary w mig zorientował się w sytuacji. Domyślił się, kto jest tym mężczyzną, i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Chwilę później byli już wszyscy razem, we czworo. Sara miała twarz zarumienioną ze szczęścia i wciąż trzymała Williama za rękę.

- Widziałem pana w roli przewodnika po Włoszech - powiedział Edward wyraźnie rozbawiony. - Bardzo to uprzejme ze strony Waszej Księżęcej Wysokości. Doprawdy, jesteśmy zaszczytzeni pańskim przybyciem.

- Uważałem to za swój obowiązek - odrzekł William najwyraźniej szczęśliwy, ale nieco zdezorientowany.

- Jesteśmy ogromnie zadowoleni, widząc pana - ciągnął Thompson w imieniu całej rodziny, a Sara cała promieniała. - Zapowiada się wspaniała i dużo weselsza wycieczka. Obawiam się, że Sara niewiele skorzystała z pobytu w Koloseum.

Sara wybuchnęła śmiechem - w istocie każda chwila spędzona bez Williama wydawała się jej stratą czasu.

- Jutro się poprawię, tatusiu.

- Nie wątpię - odrzekł i zwrócił się do Williama jak do dobrego przyjaciela: z pewnością Wasza Księżęca Wysokość ma zamówiony pokój?

Edward Thompson najwyraźniej go polubił.

- Oczywiście, bardzo elegancki apartament. Zarezerwował go mój sekretarz - jeden Bóg wie, jakich użył argumentów. Sądząc po tym, jak mnie tu traktują, przypuszczam, że przedstawił mnie co najmniej jako drugiego w kolejności do tronu.

Wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem i ruszyli w górę po schodach, ustalając dokąd wybiorą się na kolację. William delikatnie ścisnął rękę Sary, a głowę miał pełną planów.

Rozdział dziewiąty

Chwile spędzone w Rzymie ulatywały jak na skrzydłach - zwiedzali katedry, muzea i wszystkie miejsca, jakie każdy rasowy turysta zobaczyć powinien. Odwiedzali też przyjaciół Williama w ich luksusowych willach. Pojechali na plażę do Ostii, jadali posiłki w wytwornych restauracjach, od czasu do czasu pozwalając sobie na wypad do jakiejś interesującej trattorii.

Z końcem tygodnia pojechali do Florencji i robili tam zupełnie to samo. Trzeci tydzień przypadł na Wenecję. Z każdym dniem William i Sara byli coraz bardziej zakochani. Zdawało się, że myślą i poruszają się jak jedność. Obserwujący ich ludzie, którzy nie wiedzieli, kim są ci dwoje, myśleli, że to małżeństwo.

- Bawię się tutaj przepysznie - powiedziała Sara, gdy siedzieli któregoś popołudnia przy basenie w Royal Danielli. - Kocham Wenecję.

Cała podróż wyglądała jak miesiąc miodowy, tyle że towarzyszyli im rodzice, a Sara i William nie robili niczego, czego robić nie powinni, co zresztą nie było takie łatwe. Ale przyrzekli sobie na początku, że będą się zachowywać jak należy.

- Kocham cię bezgranicznie - powiedział William, chłonąc słońce. Nie posiadał się ze szczęścia i teraz już wiedział na pewno, że nigdy nie wyrzeknie się Sary.

- Sądzę, że nie powinnaś wracać z rodzicami do Nowego Jorku - powiedział półzartem, ale otworzył jedno oko, aby zobaczyć jej reakcję.

- A co proponujesz w zamian? Przenieść się do twojej matki do Whitfield?

- To niezły pomysł. Ale, szczerze mówiąc, wolałbym, abyś została ze mną w Londynie, w moim domu.

Uśmiechnęła się do Williama. Niczego nie pragnęłaby bardziej, ale to marzenie nigdy nie może się spełnić.

- Chciałabym, aby to było możliwe, Williamie - powiedziała miękko, gdy właśnie przewracała się na brzuch, wystawiając plecy na słońce. Uniósł się na łokciach, by przedyskutować z nią tę kwestię.

- A dlaczego właściwie nie możesz? Przypomnij mi.

Miała długą listę zastrzeżeń, o których nawet nie chciał słuchać: po pierwsze - rozwód, po drugie - ciągłość sukcesji.

- Dobrze wiesz dlaczego.

Ale on nie chciał wiedzieć, opędzał się od tej świadomości. Sara zaczęła go całować i prosić, by dziękował Bogu za to, co do tej pory ofiarował im los.

- To więcej niż niektórym dano na całe życie.

Opatrzność zesłała jej Williama i była wdzięczna za każdą spędzoną z nim chwilę. To było cenne jak rzadki klejnot i tak mało prawdopodobne, by zdarzyło się jeszcze raz.

Usiadł koło niej: obserwował łodzie i gondole pływające w oddali, wieże katedry Świętego Marka wznosiły się ku niebu.

- Saro... - ujął jej rękę - ja nie żartuję.

- Wiem o tym.

Pochylił się nad nią, delikatnie dotknął wargami jej ust i wtedy powiedział coś, czego wcześniej nigdy nie wyraził tak otwarcie.

- Chcę się z tobą ożenić.

Pocałował ją gorąco i w taki sposób, by przekonać, że traktuje swe słowa poważnie. Sara odsunęła się od niego i potrząsnęła głową z udręką.

- Wiesz, że to niemożliwe - wyszeptła w przerwach między jednym pocałunkiem a drugim.

- Możliwe. Nie zgodzę się, aby powstrzymały nas te dwie sprawy, o których ciągle rozprawiamy. To oczywisty absurd. Nie znajdziesz ani jednej osoby w Anglii, która przywiązywałaby choć najmniejszą wagę do moich poczynań. Jediną osobą, którą ja się przejmuję, na której mi zależy, jest moja matka, a ona cię uwielbia. Zanim jeszcze ją poznałaś, powiedziałem matce, że zamierzam cię poślubić, a po spotkaniu z tobą poparła moją decyzję w całej rozciągłości. Aż się trzęsie do tego, żebyś została jej synową!

- Powiedziałeś jej, zanim zabrałeś mnie na lunch do Whitfield? - Sara spojrzała z przerażeniem na jego figlarny uśmiech.

- Sądziłem, że powinna wiedzieć, jak wiele dla mnie znaczysz. Nigdy wcześniej nie mówiłem jej o nikim; oświadczyła, że jest szczęśliwa, iż dożyła dnia, w którym zakochałem się w takiej dziewczynie.

- Gdybym wtedy o tym wiedziała, wysiadłabym z samochodu i wróciła piechotą do Londynu. Jak mogłeś jej to zrobić? Czy ona wie o rozwodzie?

- Teraz już wie - powiedział poważnie. - O tym powiedziałem jej później. Przeprowadziliśmy poważną rozmowę, zanim wyjechałaś z Londynu. Matka przychyliła się do mojego zdania w całej rozciągłości. Zgadza się, że takie uczucie zdarza się tylko raz w życiu i że w moim przypadku jest ono z pewnością prawdziwe. Mam prawie trzydzieści sześć lat i nigdy nie kochałem nikogo. Oczywiście zdarzało się okazjonalne pożądanie, ale jeszcze częstsza nuda.

Sara słysząc te słowa roześmiała się i potrząsnęła głową ze zdziwienia. Jakie cudowne, nieprzewidywalne i zachwycające jest życie!

- Co będzie, jeżeli przeze mnie skążesz się na wygnanie? - Sara czuła ciężar swej odpowiedzialności, ale przyniosła jej ulgę reakcja matki Williama.

- Wtedy przyjedziemy tu i będziemy mieszkali w Wenecji. Prawdę mówiąc, to mogłoby być całkiem zabawne - jej obiekcje nie martwiły go ani odrobinę.

- Williamie, twój ojciec był przewodniczącym Izby Lordów! Pomyśl o niesławie, jaką przyniesiesz rodzinie i swym przodkom.

- Nie opowiadaj głupstw. Dziedziczenia praw do tronu nikt mi nie odbierze. Miła moja, nie będę mógł być jedynie królem, a zapewniam cię, że nigdy nie miałem na to najmniejszej szansy, i Bogu niech będą za to dzięki. Taka perspektywa jest mi po prostu nienawistna. Gdybym choć przypuszczał, że istnieje takie prawdopodobieństwo, zrezygnowałbym wiele lat temu. Czternaste miejsce w linii praw do tronu to jedynie kwestia prestiżu, nic więcej. Nie jest mi to potrzebne do szczęścia, mogę żyć bez tego.

Dalej nie mogła pogodzić się z myślą, by za ich miłość musiał zapłacić czymś, co było istotne dla niego lub jego rodziny.

- Czy nie będziesz się czuł zakłopotany, gdy ludzie w twoim otoczeniu będą szeptać, że twoja żona była już kiedyś zamężna?

- Absolutnie! Nie przejmuję się tym ani trochę. Ale także nie pojmuję, skąd mogliby się o tym dowiedzieć, jeśli ty im nie powiesz. Nie jesteś Wallis Simpson, mimo twojej skłonności do porównań z tą panią. Czy wreszcie rozwiałem twoje śmieszne wątpliwości, najdroższa? - Ja... ty... - Sara zająknęła się, usiłując słuchać głosu rozsądku, ale prawda była jedna - kochała go bezgranicznie. - Kocham cię całym sercem - nie zdążyła powiedzieć więcej, bo znów zamknął jej usta pocałunkiem.

Długo trzymał Sarę w objęciach a potem odsunął od siebie tylko po to, by postraszyć.

- Nie pozwolę ci odejść, dopóki nie zgodzisz się zostać księżną Whitfield - wyszeptał. - A jeżeli nie uzyskam twojej zgody, oświadczę wszem wobec, że w rzeczywistości jesteś Wallis Simpson... Przepraszam, księżną Windsoru.

Ten tytuł nie chciał mu przejść przez gardło; i tak dobrze, że nie przyznano jej prawa do tytułu Jej Księżęcej Wysokości, który to fakt doprowadzał do furii Davida:

- Zgadzasz się? - szeptał z przejęciem, całując Sarę. - Saro, zgadzasz się?

Nie musiał pytać ponownie; skinęła głową, łzy zakręciły się w jej oczach. Zaczął ją gwałtownie całować, dłużej i mocniej niż poprzednio. Upłynęło dużo czasu, zanim wypuścił ją z objęć. Wreszcie uśmiechnął się, odwrócił i wstał, szybko owijając się ręcznikiem.

- A zatem ustalone - rzekł spokojnie i wyciągnął rękę. - Kiedy ślub?

Zaskoczyły ją te słowa. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę mają się pobrać. Jak to możliwe? Skąd tyle odwagi? Co na to powie król? A jej rodzice? I Jane? No i wszyscy znajomi...

- To wszystko najprawdziwsza prawda? - Popatrzyła na niego, nadal zaskoczona, ale niezmiernie szczęśliwa.

- Obawiam się, że tak, moja najdroższa. Będziemy ze sobą przez całe życie. Całe życie pełne takiej miłości.

- Proszę cię tylko o wyznaczenie daty ślubu.

Oczy Sary na moment zaszły mgłą. W końcu odpowiedziała ścisząc trochę głos:

- Ostateczność ogłoszenie mojego rozwodu nastąpi dziewiętnastego listopada. Możemy się pobrać każdego dnia po tej dacie.

- Czy masz wolny czas dwudziestego? - zapytał prawie całkiem poważnie. Roześmiała się zachwycona jego reakcją.

- To będzie Dzień Dziękczynienia.

- Doskonale. Co się u was jada z tej okazji? Indyka? Będziemy mieli indyka na przyjęcie.

Zaczęła myśleć o przygotowaniach, które będą musieli poczynić, o pracy, jaka czeka jej matkę natychmiast po Dniu Dziękczynienia, i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- A może pierwszy grudnia? W ten sposób spędzimy Święto Dziękczynienia w rodzinnym gronie, a ty będziesz miał trochę czasu, by poznać wszystkich przed ślubem.

Bez porozumiewania wiedzieli, że tym razem będzie to niewielkie zgromadzenie. Koszmar rocznicowego przyjęcia do dziś dawał o sobie znać i nie miała najmniejszej ochoty na wielką uroczystość.

- Pierwszy grudnia zaklepany - przyciągnął ją znowu do siebie; w tle widać było wspaniałe budowle i krajobraz Wenecji. - Panno Thompson, jesteśmy zaręczeni. Kiedy powiemy o tym twoim rodzicom? - Wyglądał jak uszczęśliwiony uczeń.

Sara zasugerowała z posępnym uśmiechem:

- Dziś przy kolacji?

- Wspaniale.

William odprowadził Sarę do pokoju. Po powrocie natychmiast zadzwonił do recepcji, by nadać telegram do matki. "Najszcześniejsza chwila w moim życiu. Chcę się nią podzielić z Tobą od razu. Pobieramy się z Sarą w Nowym Jorku pierwszego grudnia. Mam nadzieję, że będziesz w stanie znieść podróż. Niech Cię Bóg błogosławi. Kochający William".

Wieczorem w hotelowej restauracji zamówił najlepszego szampana; podano go przed rozpoczęciem kolacji, choć zwykle szampanem wieńczono deser.

- To świetny początek - zauważył Edward, delektując się wyśmienitym szampanem.

- Sara i ja chcielibyśmy podzielić się z wami radosną nowiną - rzekł William spokojnie, ale jego wygląd świadczył, iż jest szczęśliwszy niż kiedykolwiek. - Z waszym pozwoleniem i błogosławieństwem mamy nadzieję pobrać się w grudniu w Nowym Jorku.

Oczy Victorii Thompson zrobiły się ogromne - spojrzała na córkę z zaskoczeniem i niekłamany zachwytem; przez nieuchwytną, króciutką chwilę wisiała w powietrzu cienka nić porozumienia między obu panami. William rozmawiał o tym z Edwardem, zanim wyjechali z Londynu. Edward oświadczył, że jeśli tylko Sara będzie tego chciała, on z przyjemnością udzieli błogosławieństwa ich związkowi. Teraz słysząc nowinę był autentycznie zachwycony.

- Macie nasze błogosławieństwo - zapewnił Williama, a Victoria skinieniem głowy potwierdziła tę zgodę. - Kiedy nastąpiła ta wiekopomna decyzja?

- Dziś po południu, przy basenie - odrzekła Sara.

Wspaniały sport - nieco sarkastycznie skomentował ojciec odpowiedź Sary i wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Jesteśmy szczęśliwi razem z wami.

Dobry Boże - w końcu doszło to do niego - Sara będzie księżną!

Edward, zadowolony i wyraźnie przejęty, przede wszystkim cieszył się Williamem, że był takim właśnie człowiekiem.

- Spróbuję powiedzieć coś w imieniu mojej matki. Chciałbym, abyście państwo ją poznali, gdy wrócicie do Londynu. Mam nadzieję, że będzie miała dość siły, by przyjechać na nasz ślub do Nowego Jorku.

Wątpił, by to było możliwe, ale w każdym razie mogli ją o to zapytać i spróbować namówić na przyjazd. Dla osoby w jej wieku to jednak bardzo daleka wyprawa.

Victoria Thompson włączyła się do rozmowy, z niecierpliwością czekając na pewne ustalenia: jakiego rodzaju ślub narzeczeni mają na myśli, na jaki dzień przewidzieli uroczystość, gdzie się odbędzie przyjęcie i dokąd wybierają się w podróż poślubną. Wypytywała o wszystkie szczegóły, od których matkom przybywa siwych włosów, kiedy w grę wchodzi wesele ich córek. Sara odparła szybko, że zdecydowali się na pierwszy grudnia, ale William przyjedzie do Nowego Jorku na Dzień Dziękczynienia.

- Albo jeszcze wcześniej - dodał pośpiesznie. - Nie mogłem znieść jednego dnia bez Sary, gdy państwo podróżowaliście po Włoszech. Nie jestem pewien, czy wytrzymam, gdy wyjedzie do Nowego Jorku.

- Będziesz mile widziany w każdej chwili - zapewnił ojciec.

Spędzili we czworo bardzo miły wieczór, świętując zaręczyny Williama i Sary. W końcu Thompsonowie zostawili ich samych, a orkiestra długo im grała do tańca romantyczne melodie. Prawie do świtu tańczyli na tarasie i rozmawiali o dalszych planach. Sara wciąż nie mogła

uwierzyć w ten uśmiech losu. Wszystko było jak wielka wygrana na loterii przeznaczenia. Piękny sen, rekompensujący koszmar, jaki przeżyła z Freddie. William przywrócił jej wiarę w siebie. Dał miłość i wskrzesił radość życia.

- Chcę, żebyś zawsze była szczęśliwa - powiedział cicho William, gdy trzymając się w ciemności za rękę sączyli szampana. - Chcę zawsze być w pobliżu na każde twoje skinienie. Tak postępowali moi rodzice. Byli nierozłączni i niezmiernie rzadko gniewali się na siebie.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli czekać na dzieci tak długo jak oni. Jestem już prawie staruszkiem.

Wkrótce skończy trzydzieści sześć lat, Sara właśnie obchodziła razem z nim we Florencji dwudzieste drugie urodziny.

Ty nigdy się nie zestarzejesz - uśmiechnęła się Sara. - Miłość to sprawi - wyszeptła.

Całował ją coraz zachłanniej i pożądliwiej, a ona reagowała falą pożądania i podniecenia. Świadomość bliskości fizycznej satysfakcji uspiła wszystkie inne myśli.

- Chciałabym stąd uciec na kilka dni - powiedziała bezwstydnie; w ciemności zęby Williama lśniły bielą. I uśmiechał się tak cudownie. Widziała w nim zachwycającego mężczyznę.

- Zamierzałem ci to zaproponować wcześniej, ale nie pozwoliła mi na to wrodzona przyzwoitość. Także obecność twoich rodziców pomogła mi zachować się uczciwie, przynajmniej podczas pobytu za granicą. Nie mogę natomiast gwarantować za swoje zachowanie, gdy wrócimy do Londynu.

Sara roześmiała się i przytaknęła.

- Ano właśnie. Myślę, że jak na dorosłych ludzi, zachowujemy się wyjątkowo grzecznie.

- Nie licz na to w przyszłości. - Możesz mi wierzyć, że moje postępowanie nie jest oznaką obojętności, jedynie dowodem kindersztuby, dobrych manier i wstrzemięźliwości.

Skrzywił twarz w żalonym grymasie i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, by to udowodnić.

- Powinniśmy spędzić, bardzo długi miesiąc miodowy gdzieś na końcu świata... Może na Tahiti? Na ustronnej plaży tylko my i kilku leniwych tubylców...

- To brzmi cudownie.

Wiedziała, że tylko żartuje. Tego wieczora rozmawiali o przyszłej podróży do Francji, która nawet w grudniu pociągała ich oboje. Sara nie miała nic przeciwko tamtejszej chmurnej pogodzie o tej porze roku. Na pewno będzie przyjemnie. Potem William powiedział coś, co przedtem nie było tematem ich rozmów.

- Nie chciałem, abyś myślała, że zamierzam wykorzystać fakt, iż jesteś rozwiedziona. Pragnąłem, aby sprawy między nami ułożyły się tak, jakbyś nigdy nie była zamężna. Nie

skorzystałbym w żadnym wypadku z takiej wątpliwej okazji wówczas i nie zrobiłem tego teraz. Mam nadzieję, że wiesz, co mam na myśli, i pojmujesz moje intencje.

Rozumiała i była mu wdzięczna. Sprawy skomplikowałyby się jeszcze bardziej, gdyby miała z nim romans i gdyby zakończył się on wraz z końcem podróży. Teraz już nie mieli czego żałować, mogli tylko radować się perspektywą wspólnego życia w przyszłości. Sara nie mogła się już doczekać, kiedy staną się małżeństwem.

Ten wieczór zamienił się już w głęboką noc. Gdy William odprowadził Sarę do pokoju, było mu trudniej niż zwykle rozstać się z nią. Z trudem zmusili się, by przestać się obejmować i całować; smutek wyzierał z twarzy Williama, gdy Sara zamykała za sobą drzwi do apartamentu.

Po uroczu spędzonych ostatnich dniach w Wenecji wszyscy czworo wracali pociągiem do Londynu. W Claridge's już czekał telegram od Petera i Jane z gratulacjami z okazji zaręczyn. William jeszcze w Wenecji otrzymał telegram od matki - treść była bardzo podobna. Napisała też, że choć prawdopodobnie nie będzie w stanie pojechać do Nowego Jorku, aby być z nim w dniu ślubu, będzie na nim obecna duchem.

Kilka kolejnych dni spędzili jak w oku cyklonu - odwiedzali znajomych, robili plany i pisali zawiadomienia. William i Edward zredagowali formalne oświadczenie, które zostało opublikowane w "Timesie" i wywołało niewątpliwe rozczarowanie wśród wchodzących w świat młodych kobiet, a także wdów Londynu, które polowały na Williama od piętnastu lat. Teraz dowiedziały się, że to koniec łowów. Przyjaciele bardzo się cieszyli z jego szczęścia, sekretarz nie mógł sobie wprost poradzić z urywającym się telefonem, telegramami i listami, które zaczęły napływać po oficjalnym zawiadomieniu o zaręczynach. Wszyscy chcieli wydawać na jego cześć przyjęcia i oczywiście poznać Sarę; William musiał nieustannie wyjaśniać, że Sara jest Amerykanką i za kilka dni wyjeżdża do Nowego Jorku, a zatem będą ją mogli poznać dopiero po ślubie.

Williamowi udało się uzyskać długą audiencję u kuzyna Bertiego, czyli króla Jerzego VI, jeszcze przed wyjazdem Sary. William oświadczył królowi, że zrezygnuje z prawa do dziedziczenia tronu. Jerzy VI nie był tym zachwycony, pamiętając niedawne smutne wydarzenia w królewskiej rodzinie, ale sprawa Williama z pewnością nie obfitowała w tak dramatyczne szczegóły. Zgodził się, choć z pewnym żalem, który wynikał z poszanowania tradycji, a także głębokiej sympatii, jaką się darzyli nawzajem. William zapytał, czy Sara będzie mogła być mu przedstawiona, zanim opuści Anglię, a król zapewnił, że spotkanie z nią sprawi mu przyjemność.

Ubrany odpowiednio do okazji - w sztuczkowe spodnie, surdut i kapelusz homburg - William następnego popołudnia zabrał Sarę do pałacu Buckingham na prywatną audiencję. Była ubrana w prostą czarną sukienkę i bez makijażu; w uszach i na szyi miała perły - wyglądała godnie i pięknie. Wykonała dworski ukłon przed Jego Królewską Mością, starając się nie pamiętać, że

William zawsze nazywał go Bertie, choć teraz tak się do niego nie zwracał. Tytułował króla Waszą Królewską Mością i przedstawił Sarę w sposób wielce oficjalny. Dopiero po kilku chwilach król odrzucił etykietę, rozluźnił się i przyjaźnie rozmawiał o planach na przyszłość, o ślubie; zaprosił ich także po powrocie z podróży do zamku Balmoral. Lubił tam przebywać, ponieważ było to miejsce przeznaczone do mniej oficjalnych wizyt. Sarę ujęła łaskawość króla i była bardzo przejęta tym zaproszeniem.

- Oczywiście powrócicie do Anglii, by tu zamieszkać? - zapytał król z niepokojem.

- Naturalnie, Wasza Królewska Mość.

To go najwyraźniej usatysfakcjonowało i na pożegnanie pocałował Sarę w rękę.

- Będziesz piękną panną młodą... i śliczną żoną, moja droga. Niech wasze wspólne życie będzie długie i szczęśliwe, błogosławione licznym potomstwem...

Gdy król zwracał się do Sary, jej oczy załśniły łzami i znów głęboko się skłoniła. Monarcha pożegnał się z Williamem uściskiem dłoni i oddalił do innych zajęć.

Zostali sami w sali, z której przed chwilą wyszedł król. William uśmiechnął się z uznaniem. Był taki dumny z Sary, taki szczęśliwy; ulgę sprawiła mu świadomość, że ich małżeństwu będzie towarzyszyć królewska przychylność, mimo że zrezygnował z prawa dziedziczenia tronu.

- Będziesz piękną księżną - powiedział miękko, po czym jeszcze bardziej ściszył głos. - Między nami mówiąc, byłabyś też wspaniałą królową!

Oboje zachichotali nerwowo. Właśnie zjawił się szambelan, by im towarzyszyć do wyjścia. Sara była przejęta audiencją i bardzo się nią denerwowała. Z całą pewnością było to niecodzienne wydarzenie. Starła się to wyjaśnić w liście do Jane, aby dobrze utrwalić w swojej pamięci. Wydawało się absurdalne i niewiarygodnie pretensjonalne, gdy o tym pisała... "a król Jerzy pocałował mnie w rękę i robił przy tym wrażenie nieco zdenerwowanego... i powiedział..." To było nie do wiary, sama nie miała pewności, czy to sen, czy jawa.

Postanowili jeszcze raz pojechać do Whitfield, aby rodzice Sary mogli poznać matkę Williama, która wydała na ich cześć wspaniałe przyjęcie. Księżna wdowa posadziła ojca Sary obok siebie po prawej stronie i przez cały wieczór zachwycała się urodą przyszłej synowej.

- Tak potoczyło się moje życie - mówiła z nostalgią. - Nie spodziewałam się dzieci, w każdym razie już po przekroczeniu pewnego wieku... a potem nagle pojawił się William - to było zupełnie wyjątkowe zrządzenie losu, moja czterolistna koniczynka. Zawsze spełniał wszelkie oczekiwania, nigdy mnie nie rozczarował. Pozostał moją chlubą i błogosławieństwem całe życie. A teraz spotkał Sarę...

Słowa księżnej Whitfield były wzruszające - do oczu Edwarda napłynęły łzy; pod koniec wieczoru wszyscy czuli się jak starzy znajomi. Pan Thompson czynił usilne starania, by zachęcić

leciwą damę, aby przyjechała z synem do Nowego Jorku, ale twierdziła, że jej wiek daje już o sobie znać i jest zbyt słaba, a długa podróż byłaby wyczerpująca.

- Od czterech lat nie byłam nawet w Londynie. Obawiam się, że Nowy Jork to zbyt dużo na moją wytrzymałość. A i wam nie byłoby na rękę, gdybyście musieli zajmować się starą kobietą w tak gorącym okresie. Powitam ich tu, gdy wrócą. Chcę też dopilnować pewnych przeróbek w domu Williama. Obawiam się, że mój syn nie ma najmniejszego pojęcia, co zapewni Sarze komfort i satysfakcję. Trzeba koniecznie wprowadzić pewne zmiany w jego wiejskim domku, by był dla niej wygodniejszy. Koniecznie powinni mieć kort tenisowy, czyż nie? Słyszałam, że to ostatni krzyk mody, a biedny William jest taki staroświecki!

Wracając wieczorem do hotelu, Edward rozmyślał o tym, że jego córce dopisuje szczęście. Czeka ją wspaniała przyszłość: będzie miała męża, który ją uwielbia, a także troskliwą teściową, która już zawczasu martwi się o to, by Sara była zadowolona.

- Bogu najwyższemu dzięki - mówił do żony, gdy rozbierali się do snu.

- Ta dziewczyna ma mnóstwo szczęścia - zgodziła się Victoria, ale także nie kryła zadowolenia; ucałowała męża z czułością, wspominając ich własne wesele i miesiąc miodowy. Szczęście towarzyszyło im całe życie i matka cieszyła się, że Sara też zazna tej radości. Przeżycia z Freddiem to koszmarne czasy - biedactwo, że też jej właśnie musiało się to przydarzyć! Los okazał się sprawiedliwy, odplacił jej to z nawiązką. William będzie osłodą życia Sary, błogosławieństwem na wszystkie dni.

Ostatniego dnia Sara była kompletnie wykończona nerwowo. Miała do wykonania tysiące czynności, a William nalegał, by dokładnie obejrzała i oceniła jego londyński dom. Kupił go, gdy miał osiemnaście lat - było to wspaniałe locum dla kawalera - ale nie sądził, że Sarze będzie się podobał. Chciał wiedzieć, czy wolałaby, aby się rozejrzał za większym domem, czy raczej poczekał do powrotu z ich podróży poślubnej do Francji.

- Kochanie, dom jest po prostu wspaniały! - wykrzyknęła obejrawszy wyśmienicie zaprojektowane i bardzo starannie utrzymane pomieszczenia. Nie był duży, ale też nie mniejszy od apartamentu, w którym mieszkała z Freddiem.

- Myślę, że jest doskonały, przynajmniej na razie. - Nie wyobrażała sobie, by potrzebowali więcej miejsca, dopóki będzie ich tylko dwoje. Na parterze był duży, słoneczny salon, niewielka biblioteka wypełniona po brzegi pięknie oprawionymi starymi książkami, które William przywiózł przed laty z Whitfield, przytulna kuchnia, miła jadalnia, dostatecznie duża, by zorganizować w niej uroczystą kolację; na piętrze mieściła się duża, bardzo gustowna, choć nieco męska sypialnia. Obok były dwie łazienki i jeszcze jedna gościnna na parterze. Jeśli chodzi o wymagania Sary, dom był wyśmienity.

- A co z szafami? - Starał się myśleć o wszystkim; to była dla niego nowość, ale ponad wszystko starał się ją uszczęśliwić. - Oddam ci połowę mojej. Mogę wywieźć większość swoich rzeczy do Whitfield.

Był bardzo mało wymagający jak na człowieka, który zawsze mieszkał sam i nigdy nie był żonaty.

- Po prostu nie przywiozę tu swoich strojów.

- Mam lepszą myśl. Będziemy chodzić bez ubrań - pozwalał sobie być bardziej frywolny, wiedząc, że wkrótce zostanie jego żoną.

Sara w każdym razie od razu pokochała ten dom i zapewniła Williama, że nie musi szukać innego.

- Ciebie naprawdę bardzo łatwo zadowolić.

- Poczekaj - odparła żartobliwie. - Mogę po ślubie zmienić się w złośnicę.

- Jeśli tak się stanie, złożę ci skórę i nie będzie problemu.

- To brzmi fantastycznie.

William roześmiał się. Już nie mógł się doczekać, by zdjąć z niej te szmatki i kochać się z nią całymi dniami. Dobrze się składa, że odpływa następnego dnia.

Tego wieczoru jedli kolację sami, a później William z wielką niechęcią odwiózł Sarę do hotelu. Wolałby raczej zabrać ją na tę ostatnią noc ze sobą do domu, ale postanowił zachowywać się jak człowiek honoru, choć - Bóg świadkiem - to kosztowało go wiele.

Stało się wprost nie do wytrzymania, gdy już stali przed hotelem.

- Wiesz, to nie jest łatwe - poskarżył się - te okropne konwenanse. Niewykluczone, że się pojawię w Nowym Jorku w przyszłym tygodniu i gdzieś cię porwę. Czekanie do grudnia staje się ponad moje siły.

- To prawda - powiedziała z zadumą. Choć oboje uważali, że powinni poczekać, Sara nie była tego taka pewna. Już sami nie wiedzieli, dlaczego kiedyś wydawało się im to takie ważne. Myśl o straconym dziecku nadal napawała ją smutkiem, ale teraz podchodziła do tego bardziej filozoficznie. Gdyby nie wydarzyło się wtedy tamto nieszczęście, miałyby dziecko Freddiego i może nawet ciągle byłaby jego żoną. Teraz mogła rozpocząć nowe życie z czystą kartą i miała nadzieję, że będą z Williamem mieli dużo dzieci. Mówili o pięciorgu lub sześciorgu, a przynajmniej o czworgu i perspektywa takiego planowania rodziny wyraźnie go cieszyła. Ekscytowało ich wszystko, co wiązało się ze wspólnym życiem, i nie mogli się już doczekać. William zaprowadził Sarę na górę i zatrzymał się przed jej apartamentem.

- Czy chcesz wejść na chwilkę? - zaproponowała. Zgodził się skwapliwie. Rodzice już dawno poszli spać; William pragnął być z Sarą przez cały czas, jaki pozostał do odpłynięcia statku.

Wszedł za nią do pokoju; rzuciła na krzesło szal i wieczorową torebkę, zaproponowała mu brandy, ale podziękował. Przez cały wieczór czekał na tę chwilę.

- Chodź tu i usiądź przy mnie, panno Saro.

- A będziesz się grzecznie zachowywał? - Spojrzała przekornie, a on roześmiał się z tej aluzji.

- Zbyt pięknie wyglądasz i pewnie nie będę grzeczny, ale chodź i usiądź na minutkę. Na chwilę możesz mi zaufać.

Usiadł na pokrytej perkalem kanapie, Sara zajęła miejsce obok niego. Sięgnął do kieszeni i wyjął jakiś przedmiot.

- Zamknij oczy - powiedział z chytrym uśmieszkiem.

- Co chcesz mi zrobić? - Śmiała się, ale zamknęła oczy.

- Namalować ci wąsy, gąsko... A myślisz, że co zamierzam zrobić? - Nie zdążyła odpowiedzieć, bo zamknął jej wargi pocałunkiem. Nie przerywając, ujął lewą rękę Sary i wsunął na palec pierścionek. Poczowała chłód metalu; otworzyła oczy i gorączkowo obejrzała swą dłoń. Z uśmiechem zachwycenia spoglądała na cudowny klejnot. Nawet w słabo oświetlonym pokoju wspaniały kamień rzucał błyski, otoczony oprawą o staroświeckim rycie. Dwudziestokaratowy, absolutnie czysty brylant w kształcie koła zdołał lewą dłoń Sary.

- Ojciec zamówił ten pierścień dla matki u Garrarda na zaręczyny. To jest wyjątkowo piękny kamień i bardzo stary. Matka chce, abyś ty go teraz nosiła.

- To jest zaręczynowy pierścionek twojej matki? - Spojrzała na niego zażawionymi oczyma.

- Tak. Ona chce, aby należał do ciebie. Przeprowadziliśmy długą rozmowę, ja chciałem zamówić nowy pierścionek, ale matka nalegała, żebyś dostała ten. Sama nie może go już nosić, bo ma zniekształcone artretyzmem palce.

- Och, Williamie...

To był najpiękniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziała; wyciągnęła rękę i błysnęła brylantem w przyćmionym świetle. Pierścionek zaręczynowy jak z bajki! Sara nigdy nie była taka szczęśliwa.

- To ma ci jedynie przypominać, kto będzie twoim panem, gdy wsiądziesz na ten cholerny statek i odjedziesz tak okropnie daleko, że aż się skręcam na samą myśl o tym. Dopóki nie przyjadę do Nowego Jorku, będę do ciebie telefonował co godzinę.

- Dlaczego nie miałbyś przyjechać wcześniej? - Nie przestawała przyglądać się pierścionkowi.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Był szczęśliwy, że Sara tak jawnie okazuje swą radość; wiedział, że matka też będzie zadowolona. To był z jej strony niewiarygodnie szczodry gest.

- Właściwie mógłbym. Myślałem o październiku, ale mam tu tyle rzeczy do zrobienia. Chcę zobaczyć, co się dzieje z farmą.

Miał jeszcze do rozwiązania wiele problemów, musiał też zjawić się w Izbie Lordów, zanim opuści Londyn.

- W każdym razie z pewnością zjawię się tam przed pierwszym listopada. Będiesz wtedy miała urwanie głowy od tych wszystkich przygotowań do ślubu. Będę wszystkim zawadzał, ale nie dbam o to. Z pewnością nie wytrzymam długo w Londynie.

Zaczął ją całować zachłannie i pożądliwie; ułożył Sarę na kanapie i niewiele brakowało, by zapomnieli o swoich obietnicach, gdy przesuwiał głodnymi palcami wzdłuż jej pleców i napiętych pośladków.

- Och, Saro... Boże...

Przypływ namiętności odmienił jej rysy, drżała z podniecenia, ale resztki rozsądku brały górę. Chciała poczekać do ślubu, by to było jak pierwszy raz, jakby nie było innego ślubu wcześniej, jakby nie było Freddiego. Jeśli William miał być pierwszym prawdziwym mężczyzną w jej życiu, musieli poczekać, i Sara chciała czekać. Ale w tej chwili prawie o tym zapomniała. Jej uda rozchyliły się, delikatnie go zapraszając. Przechylił się do niej, chwycił oburącz w ramiona i przyciągnął do siebie, ale zaraz zmusił się do odwrotu i podniósł z jękiem żalu. On też chciał poczekać z szacunku dla niej i dla ich małżeństwa.

- Może to i dobrze, że wyjeżdżasz - mruknął przytłumionym głosem i jął przechadzać się po pokoju, by uspokoić zmysły; ona też wstała, poprawiła zmierzwione włosy i potrząsnęła głową. Spojrzeli po sobie i nagle ogarnął ich śmiech. Wyglądali oboje jak dzieci, które zapamiętały się w zabawie.

- Czy my nie jesteśmy okropni?

- Wcale nie - zaśmiał się. - Już nie mogę się doczekać.

- Ja też - wyznała.

Wtedy zapytał ją o coś, o co pytać nie powinien.

- Czy z nim... było kiedyś... tak jak z nami teraz?

Głos Williama brzmiał głęboko i chrapliwie. Od dawna chciał się tego dowiedzieć. Sara mówiła, że go nie kochała, ale martwił się trochę o resztę.

Sara powoli, ze smutkiem potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie było. Tamto było puste... bez uczucia... Najdroższy, on mnie nigdy nie kochał, wiem to teraz, ja także nigdy go nie kochałam. W moim życiu nigdy nie było takiej miłości jak

nasza... Ja nigdy nie kochałam, nigdy nie żyłam, nie egzystowałam nawet, dopóki mnie nie odkryłeś dla siebie. Odtąd będziesz moją jedyną miłością - aż do śmierci.

William całował ją ze łzami. Nie pozwolił ponieść się fali namiętności i, szczęśliwszy niż kiedykolwiek, pożegnał się z ukochaną do następnego rana.

Sara przez większą część nocy leżała bezsennie, rozpamiętując ostatnie wydarzenia i badając dotykiem w ciemności swój zaręczynowy pierścionek. Następnego dnia zatelefonowała do księżnej Whitfield, by powiedzieć, ile ten pierścionek dla niej znaczy, jaka jest wdzięczna i że bardzo kocha Williama.

- Tylko to się liczy, moja droga. Ale klejnoty zawsze sprawiają radość, nieprawdaż? Płyn bezpiecznie... i miej piękny ślub...

Podziękowała wylewnie i dokończyła pakowania. William spotkał się z nimi godzinę później w hallu. Sara była w białym wełnianym kostiumie, wykonanym specjalnie dla niej przez Coco Chanel w Paryżu; na palcu miała zachwycający pierścionek zaręczynowy. William pożerał ją wzrokiem. Nie zapomniał pożądanego, jakie obudziła w nim poprzedniego wieczora. Chciałby popłynąć z nimi na Queen Mary.

- Twój ojciec jest z pewnością szczęśliwy, że nie płynę razem z wami.

- Jest pod wrażeniem twojej wyjątkowej powściągliwości.

- Cóż, długo to nie potrwa - z głębi serca Williama wyrwał się jęk. - Myślę, że to już kres mojej wytrzymałości.

Ze splecionymi dłońmi kroczyli za rodzicami do Bentleya. William miał ich odwiedzić do Southampton - bagaż wysłano wcześniej. Dwugodzinna jazda zdawała się jedną chwilą. Sara znów zobaczyła znajomy kształt Queen Mary i pomyślała, że świat wydawał się zupełnie inny, gdy wypływali z Nowego Jorku. A minęły zaledwie dwa miesiące...

- Życie to wielka niespodzianka. - Stwierdził Edward sentencjonalnie i zaproponował, że oprowadzi Williama po statku. Ale William był bardziej zainteresowany tym, aby spędzić ostatnie chwile z Sarą, i uprzejmie uchylił się od zaproszenia. Udał się wraz z Thompsonami do ich wyciecznych kabin, po czym wyszli z Sarą na pokład. Obejmował ją ze zrozpaczoną miną, aż zabrzmiał ostatni gong i ożył ostatni komin. Nagle drgnął wystraszony; nie mógł znieść myśli, że coś może zagrażać Sarze. Przed dwudziestu sześciu laty jego kuzyn płynął na Titaniku.

- Boże wielki... uważaj na siebie. Nie mógłbym żyć bez ciebie... w tych ostatnich chwilach czepiał się jej jak tratwy ratunkowej.

- Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Przyjedź tylko do Nowego Jorku najszybciej, jak tylko będziesz mógł.

- Tak zrobię. Możliwe, że już w przyszły wtorek - powiedział ze smutkiem i pocałował ją, a ona uśmiechnęła się przez łzy.

- Tak bardzo będzie mi Ciebie brakowało - szepnęła miękko.

- Mnie też - przylgnął ciałem do jej ciała. I właśnie podszedł do nich dyżurny oficer.

- Wasza Księżęca Wysokość, przepraszam, że przeszkadzam, ale obawiam się... że zaraz będziemy odbijać. Musi pan zejść na brzeg.

- To prawda - uśmiechnął się przeproszająco. - Proszę baczyć na wszelkie wygody mojej żony i jej rodziny, to znaczy mojej przyszłej żony...

Uśmiechnął się do niej rozpromieniony; okazały pierścień z brylantem na jej lewej dłoni rzucał blaski dokoła.

- Oczywiście, sir. - Oficer był pod wrażeniem i zanotował sobie w pamięci, by powiedzieć o tym kapitanowi. Do Nowego Jorku płynie przyszła księżna Whitfield i nie ulega wątpliwości, że trzeba jej zapewnić komfortową podróż.

- Uważaj na siebie, najdroższa. - Pocałował Sarę ostatni raz, uściśnął dłoń przysłemu teściowi, złożył ciepły pocałunek na policzku Victorii, biorąc matkę swej przyszłej żony w objęcia. I już schodził po trapie. Sara rzewnie płakała, chociaż bardzo starała się wstrzymać łzy, nawet Victoria przecierała oczy chusteczką. Długo machał ręką z nabrzeża. Gdy postać Williama zginęła w oparach mgły, Sara stała na pokładzie dwie godziny po odpłynięciu, kiedy już statek wyszedł w morze. Wpatrywała się w wodę, jakby chciała zobaczyć w niej jego odbicie.

- Zejdź na dół - zatroszczyła się matka.

Teraz nie było powodu do żałości, raczej wprost przeciwnie. Zanim Sara zdążyła zejść do kajuty, nadszedł telegram od Williama wraz z olbrzymim bukietem róż, tak dużym, że z trudnością zmieścił się w drzwiach. "Nie mogę czekać ani chwili dłużej. Kocham Cię. William" - napisano na bileciku. Matka uśmiechnęła się, patrząc na wspaniały pierścień zaręczynowy. To nie do pomyślenia, co zdarzyło się im w ciągu dwóch krótkich miesięcy! Ledwie mogła w to uwierzyć.

- Masz bardzo dużo szczęścia, Saro Thompson - powiedziała Victoria, a Sarze nie pozostawało nic innego, niż się z nią zgodzić. Sara Whitfield... Podobała się jej barwa dźwięku nowego nazwiska, brzmiało wprost cudownie... - Księżna Whitfield - wyszeptała, po czym roześmiała się i poszła do siebie, by zanurzyć twarz w wielkim bukietcie czerwonych róż.

Tym razem podróż na Queen Mary dłużyła się. Już chciała być w domu i móc zająć się przygotowaniami do ślubu. Gdy współpasażerowie zorientowali się, że płynie z nimi przyszła księżna Whitfield, wszyscy na pokładzie dosłownie ją rozpieszczali. Thompsonowie zostali zaproszeni do kapitańskiego stołu i tym razem Sara czuła się zobowiązana do większej

uprzejmości. Była świadoma swej odpowiedzialności wobec pozycji społecznej Williama. Rodzice nie posiadali się z radości z powodu tej zmiany - William zaiste wywarł dobry wpływ na ich córkę.

W Nowym Jorku czekali na nich Peter i Jane, którzy tym razem przybyli bez dzieci. Jane nie posiadała się z radości słysząc te wszystkie nowiny i aż piszczała z uciechy, nie mogąc oderwać wzroku od przepięknego pierścionka Sary. Jeszcze w czasie jazdy samochodem Sara pokazywała jej zdjęcia Williama, a Peter i Edward zagłębili się w dyskusji na temat sytuacji w Europie.

W tydzień po powrocie Thompsonów do Nowego Jorku radio przerwało normalny program, by przekazać słuchaczom w Ameryce przemówienie Hitlera na zjeździe nazistów w Norymberdze. Była to przerażająca tyrada, a groźby pod adresem Czechosłowacji były oczywiste. Hitler twierdził, że Niemcy nie będą dłużej tolerować prześladowania Niemców sudeckich przez Czechów i ujawnił, że prawie trzysta tysięcy ludzi umacnia granicę niemiecką na linii Zygfryda. Niebezpieczeństwo nie ulegało wątpliwości, ale Bóg jeden tylko wie, jaką Hitler zamierzał zrobić niespodziankę i co świat na to powie. Furia i nienawiść emanujące ze słów niemieckiego przywódcy wstrząsnęły do głębi Amerykanami; przemówienie nadawano na żywo we wszystkich programach radiowych i wtedy po raz pierwszy zorientowano się, że wojna w Europie wisi na włosku. Było niemal pewne, że przynajmniej Czechosłowacja zostanie wchłonięta przez Niemcy. Wszyscy byli zdania, że są to bardzo złe wiadomości.

Przez następny tydzień temat ten nie schodził z ust Amerykanów. Gazety donosiły o mobilizacji wojsk w Europie, o flocie postawionej w stan gotowości; Europa oczekiwała na kolejny krok Hitlera.

Dwudziestego pierwszego września o ósmej piętnaście czasu nowojorskiego wydarzenia w Pradze osiągnęły apogeum. Ministrowie Francji i Wielkiej Brytanii ogłosili, że ich kraje nie wystąpią w obronie Czechów i nie narażą się Hitlerowi. Nie zostawili Czechosłowacji innego wyboru niż kapitulacja, oddanie się pod protektorat Niemiec Adolfa Hitlera. Do jedenastej przed południem czasu nowojorskiego - w Pradze była wtedy piąta po południu - czeski rząd orzekł, że nie ma alternatywy. Praga skapitulowała przed niemiecką armią, a sympatycy Czechów w całym świecie płakali słysząc tę wieść.

W Nowym Jorku rozpadało się, jakby pogoda dostosowała się do posepnej atmosfery; Sara strapiona słuchała wiadomości. Program docierał tu okreśną drogą, bo na Atlantyku szalał huragan. Aby ominąć ten rejon, audycję transmitowano z Pragi przez Cape Town i Buenos Aires. Były zakłócenia w odbiorze i w południe przerwano nadawanie wiadomości. W Czechosłowacji była szósta po południu, dla Czechów walka już się zakończyła. Sara wyłączyła radio i nie usłyszała ostrzeżeń meteorologicznych, które nadano o pierwszej po południu; prognoza zapowiadała, że huragan znad Atlantyku przesuwa się w stronę Long Island. Gdy wiatr wzrastał się, Sara właśnie

rozmawiała z matką, że trzeba pojechać do Southampton i rozpocząć przygotowania do ślubu. Musiała zaplanować i wykonać tysiące czynności, a dom na Long Island był odpowiednio spokojnym miejscem.

- Chyba nie chcesz wyjeżdżać przy tak okropnej pogodzie, kochanie - zmartwiła się matka.

Prawdę mówiąc, Sara nie miała nic przeciwko temu. Lubiła plażę w deszczu, działała na nią kojąco. Wiedziała, że matka zamartwia się, by nie prowadziła samochodu przy złej pogodzie, pozostała więc w domu. Ojciec zawiadomił już właściciela farmy, na którą Sara wpłaciła zadatek, i wyjaśnił mu, że córka wychodzi za mąż i przenosi się do Anglii. Farmer postąpił bardzo fair, zwrócił Sarze pieniądze; ojciec nadal wypominał córce jej niemądrą decyzję i zapewniał, że nigdy nie pozwoliłby jej mieszkać samej w na wpół rozwalonym wiejskim domu. Sara przeprosiła farmera i złożyła pieniądze w banku. Chodziło o tysiąc dolarów, które uzyskała ze sprzedaży bezużytecznego klejnotu.

Ale owego dnia, gdy deszcz nasilał się, nie myślała o farmie ani nawet o ślubie. Myślała o odległej Pradze, o przerażającej sytuacji Czechów. Wtem okno w jej sypialni zaczęło gwałtownie trzeszczeć. Za oknem padał deszcz, wałąc o szyby z niesamowitym stukotem. O drugiej po południu zrobiło się tak ciemno, jakby była północ. Wiatr świszcząc zginał nisko drzewa przed apartamentem jej rodziców; nigdy nie widziała tak gwałtownej burzy w Nowym Jorku. W tej samej chwili, wcześniej niż zwykle, wrócił do domu ojciec.

- Czy coś się stało? - zapytała z niepokojem Victoria.

- Widziałyście, co się dzieje na zewnątrz? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Ledwie zdołałem utrzymać się na nogach po wyjściu z samochodu. Musiałem przytrzymywać się słupków na ulicy, pomogli mi też jacyś dwaj chłopcy.

Spojrzał na córkę z niepokojem.

- Czy słuchałaś wiadomości? - Wiedział, że często słucha po południu radia.

- Tylko o Czechosłowacji: zrelacjonowała ojcu najświeższe wiadomości. Zachnął się na znak, że nie o to mu chodzi.

- To nie jest zwyczajna burza - stwierdził złowieszczym tonem i natychmiast poszedł do swego pokoju, by się przebrać. Po pięciu minutach już wychodził w domowym ubraniu.

- Co zamierzasz? - pytała nerwowo Victoria. Miał zwyczaj brać się do takich robót, do których nie miał żadnych predyspozycji, jakby chciał udowodnić, że jest w stanie sobie ze wszystkim poradzić, nawet jeśli wcześniej nie próbował. Był silnym, sprawnym mężczyzną, ale nie był już młody.

- Pojadę samochodem do Southampton i sprawdzę, czy w naszym domu jest wszystko w porządku. Przed godziną dzwoniłem do Charlesa, ale telefon nie odpowiadał.

Sara rzuciła ojcu przelotne spojrzenie, po czym powiedziała twardo:

- Pojadę z tobą.

- Nie, nie pojedziesz - sprzeciwił się Edward, a w oczach Victorii rozbłysły iskry gniewu.

- Jesteście oboje śmieszni. To tylko burza i jeśli nawet coś jest nie w porządku, nic nie można na to poradzić.

Nie ulegało wątpliwości, że starszy mężczyzna i młoda dziewczyna nie są w stanie walczyć z siłami natury. Ale żadne z nich nie godziło się z opinią matki. Kiedy ojciec wkładał płaszcz, Sara już wychodziła ze swego pokoju; miała na sobie to samo stare ubranie, jakie nosiła podczas samotnych spacerów po plaży: ciężkie gumowe buty, spodnie khaki, gruby sweter i nieprzemakalny płaszcz.

- Jadę z tobą - oświadczyła z całą mocą; ojciec zawahał się i wzruszył ramionami. Był zbyt przejęty, by się sprzeczać.

- Dobrze. Chodźmy. Victorio, nie martw się, zadzwonimy do ciebie.

Matka Sary nie posiadała się z wściekłości. Gdy zeszli na dół, wsiedli do samochodu i odjechali w kierunku autostrady Sunrise wiodącej do Southampton, włączyła radio.

Sara chciała prowadzić, ale ojciec ją wyśmiał.

- Może jestem stary i słaby, ale nie jestem szalony.

Roześmiała się przypominając mu, że sama jest bardzo wprawnym kierowcą. Potem rozmawiali już niewiele. Wiatr wzmógł się i wiał z taką siłą, że spychał ciężkiego buicka w bok. Edward, ściskając mocno kierownicę, nie mógł utrzymać samochodu na szosie.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała; potwierdził skinieniem głowy. Mocno zaciskał usta i mrużył oczy, bo weszli w ciemność i strugi deszczu.

I wtedy dostrzegł niepokojąco wysoki wał mgły sunącej po morzu i bijący z trzaskiem o brzeg. Minęła długa chwila, zanim zdali sobie sprawę, że to nie mgła, a gigantyczna fala. Wysoka na czterdzieści stóp ściana wody z uporem waliła o wschodni brzeg, pożerała domy, które znikaly w jej szczękach, a potężna fala wirowała na autostradzie Sunrise wokół ich samochodu.

Jeszcze cztery godziny jechali w ulewnym deszczu, zanim dotarli do Southampton. Oboje milczeli dojeżdżając do miejsca, które tak bardzo kochali; i oto w tym momencie Sara uświadomiła sobie, że pejzaż miasta uległ dramatycznej zmianie. Znikły domy, które znała od dzieciństwa, przepadły całe budowle, wydawało się, że nie ma już większej części Westhampton. A niektóre z tych domów były ogromne. Wokół siebie widzieli ruiny i zniszczenia. Wszędzie walały się wyrwane z korzeniami drzewa, rumowiska drewnianych bali rozpościerały się tam, gdzie kiedyś wznosiły się domy. W niektórych miejscach wyraźnie brak było całych połączeń łądu wraz z zabudową, która znajdowała się tu od stu lat. Rozglądając się odnosili wrażenie, że Westhampton

zostało bezpowrotnie wchłonięte przez ocean. Później dowiedzieli się, że zniknęło z powierzchni sto pięćdziesiąt trzy spośród stu siedemdziesięciu dziewięciu posiadłości, a także ziemia, na której stały. Te, które pozostały, były zbyt zniszczone, by je odbudowywać lub w nich mieszkać. Dowiedzieli się także, że wieloletni przyjaciel Edwarda, P. J. Morgan, stracił całą posiadłość w Glen Cove.

Miła za miłą jechali w kierunku Southampton. Sara czuła, że przenika ją niepokój. Wreszcie dojechali do swego domu, a raczej do tego, co z niego pozostało. Brama zniknęła. Wiatr wyrwał ją z ziemi wraz z mocującymi słupkami, zamienił w rumowisko i rzucił kilkaset jardów dalej. Robiła wrażenie dziecinnej kolejki. Zniszczenia i straty przechodziły wyobrażenia.

Wszystkie dostojne drzewa zostały powalone, z wypiełgnowanego ogrodu nie zostało ani śladu, ale dom wciąż trwał. Z daleka wyglądał jak nie naruszony. Gdy jednak minęli domek dozorczy, oczom ich ukazał się cały ogrom zniszczenia. To, co kiedyś znajdowało się w środku stróżówki, walało się wokół jak kupa śmieci.

Ojciec zaparkował starego buicka jak mógł najbliżej głównego budynku. Pnie zwalonych drzew nie pozwalały dalej jechać. Wysiedli z samochodu i szli w ulewnym deszczu wśród podmuchów wiatru. Sara próbowała odwrócić twarz od ostrych igieł wody, ale jej starania były bezskuteczne. Okrążyli dom i dostrzegli, że cała wschodnia ściana, od strony plaży, została jakby odcięta wraz z fragmentem dachu. Wewnątrz w podmuchach wichury chwiały się meble i łóżka rodziców i Sary, pianino w salonie. Ale fasada budynku została oderwana od całości przez bezlitosny słup wody.

Łzy w oczach Sary mieszały się z deszczem, gdy odwróciła twarz do ojca, zobaczyła, że on też płacze. Zbudował ten dom przed laty, z wielką pieczołowitością wszystko zaplanował i był związany z nim emocjonalnie. Gdy dzieci były jeszcze małe, oboje z Victorią wybierali każdą belkę i najmniejszy detal. Ogromne drzewa na terenie posiadłości, posadzone setki lat przed ich przybyciem, teraz zostały pogrzebane. Ludzki rozum z trudem ogarniał ten przerażający krajobraz po bitwie z nieokiełznaną naturą. To miejsce było radością Sary w dzieciństwie i stanowiło jej schronienie przez ostatni rok. Twarz ojca wyrażała te same uczucia, tyle że on przeżywał to jeszcze mocniej.

- Och, ojcze... - jęknęła Sara, szukając pociechy w jego ramionach.

Wiatr ciskał nimi co chwilę, jakby dryfowali na falach. Ojciec przytulił Sarę mocniej do siebie i usiłował przekrzyczeć wiatr.

- Chcę znaleźć Charlesa.

Charles był miłym, dobrodusznym człowiekiem; przez rok, który Sara spędziła tutaj w ukryciu, opiekował się nią jak ojciec.

Mały domek był pusty - na trawie poniewierały się rzeczy Charlesa: ubrania, jedzenie, rozbite meble, nawet radio leżało daleko; jego nigdzie nie znaleźli i Edward zaczął się poważnie niepokoić. Gdy szli w stronę głównego domu, Sara zdała sobie sprawę, że zniknęła mała łaźnia i hangar, w którym trzymano łódzie, a także otaczające go drzewa. Resztki tkwiły wbite w podłogę lub leżały połamane na wąskim skrawku zrytego piasku - jeszcze w południe była tu szeroka plaża. Wśród tych rozrzuconych drzew nagle go zobaczyła. Trzymał w rękach sznury - starał się najwidoczniej coś przytwierdzić lub przywiązać. Miał na sobie stary żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Leżał przywalony do ziemi drzewem, które dawniej zdobiło trawnik przed frontowym wejściem domu. Musiało przemieścić się w powietrzu co najmniej dwieście jardów, aby zabić starego człowieka. Piasek złagodził upadek, ale drzewo było tak potężne, że przygniatając Charlesa musiało mu złamać kręgosłup. Sara podbiegła i przykłęka przy nim, ocierając piasek z poranionej twarzy. Ojciec, krzycząc z rozpacz, pomógł wysunąć ciało spod ciężaru pnia i razem ostrożnie zanieśli je na drugą stronę domu, kładąc w miejscu, które niegdyś było kuchnią. Charles pracował dla Thompsonów ponad czterdzieści lat, obaj z Edwardem znali się jeszcze w latach młodości. Charles był dziesięć lat starszy - Edward nie mógł wprost uwierzyć w tę śmierć.

Był jak wierny do końca przyjaciel z młodości. Życie jego przerwał huragan, o którym nikt ich nie ostrzegł, ponieważ oczy wszystkich były w owych chwilach zwrócone na Pragę. Kto by w takiej chwili pamiętał o Long Island! W długich paluchach wichury znikły całe miasta na Wschodnim Wybrzeżu. Potem burza z potworną siłą rozplatała Connecticut, wysmagała Massachusetts i New Hampshire. Setki ofiar śmiertelnych, prawie dwa tysiące rannych, nie mówiąc już o zniszczeniach - oto plon tej przepotężnej wichury.

Dom w Southampton nie nadawał się do remontu, a śmierć Charlesa dotknęła wszystkich głęboko. Peter i Jane przyjechali na pogrzeb z Nowego Jorku. Thompsonowie z Sarą pozostawali w swym domu, starając się oszacować szkody i przywrócić w posiadłości choć pozorny ład. Można było korzystać tylko z dwóch pokoi, nie było ogrzewania ani elektryczności; oświetlali dom świeczkami i jadali w jedynej czynnej restauracji w Southampton. Odbudowa domu zajmie zapewne całe miesiące, a może nawet lata; Sarze było przykro, że zostawi rodziców samych z tym zmartwieniem.

Z małej restauracji, w której się stołowali, udało się jej dodzwonić do Williama - bała się, że dowiedział się z gazet o wichurze i jest pełen niepokoju. Nawet w Europie, mimo że dzieli ją od Long Island setki mil, spustoszenia wywołane przez huragan wywołały duże wrażenie.

- O, Boże, jesteś zdrowa? - W słuchawce trzeszczał głos Williama.

- Tak, wszystko dobrze - odparła, słysząc spokojne, mocne brzmienie jego głosu. - Ale straciliśmy prawie cały dom. Odbudowa zabierze moim rodzicom mnóstwo czasu, ale i to dobre, że ocalała nasza ziemia. Większość ludzi straciła wszystko.

Opowiedziała mu o śmierci Charlesa; William współczuł im głęboko.

- Będę nadzwyczaj szczęśliwy, gdy wreszcie będziesz tu ze mną. Odchodziłem od zmysłów, kiedy dowiedziałem się o tym przeklętym huraganie. Wyobraziłem sobie, że mogłaś właśnie spędzać tam weekend.

- To niewiele odbiega od prawdy - przyznała.

- Dzięki Bogu, że do tego nie doszło. Przekaż rodzicom, że bardzo wam współczuję, przyjadę tak szybko, jak tylko będę mógł, kochanie. Przysięgam.

- Kocham cię! - krzyknęła w skrzeczącą słuchawkę.

- Ja też cię kocham! Staraj się omijać kłopoty; czekaj z nimi na mnie!

Wkrótce potem Thompsonowie z Sarą wrócili do miasta. W osiem dni po pamiętnym huraganie podpisano układ w Monachium, dający Europie złudzenie, że Hitler już jej nie zagraża. Chamberlain po powrocie z Monachium nazwał ten pakt "pokojem honorowym". William napisał w liście, że nadal nie wierzy "temu małemu łobuzowi" z Berlina.

William przyплыł czwartego listopada na pokładzie Akwitanii przy akompaniamencie fanfar. Sara czekała na niego na nabrzeżu. Towarzyszyli jej rodzice i siostra z całą rodziną. Następnego dnia odbyła się uroczysta kolacja na cześć narzeczonego Sary. Następstwem tego wieczoru była niezliczona liczba zaproszeń, jakie otrzymywali na rozmaite przyjęcia. Wciągnął ich nie kończący się wir życia towarzyskiego.

Kilka dni później w czasie śniadania Sara zmarszczyła czoło i spojrzała na Williama sponad porannej gazety.

- Co to wszystko znaczy? - Rzuciła mu oskarżające spojrzenie, ale William niedawno przyjechał z hotelu i jeszcze nie miał w ręku porannej gazety.

- O czym mówisz? - Zaczął czytać przez jej ramię i zmarszczył brwi na widok informacji o "kryształowej nocy", starając się jednocześnie wyobrazić jej konsekwencje. - To paskudna sprawa.

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobili?

Naziści powybijali szyby we wszystkich sklepach i domach należących do Żydów, rabowali, zabijali, niszczyli synagogi, terroryzowali ludzi. Była też informacja, że około trzydziestu tysięcy Żydów wywieziono do obozów koncentracyjnych.

- Mój Boże, Williamie, jak mogli to zrobić?

- Naziści nie kochają Żydów, to nie jest tajemnica, Saro.

- Ale żeby aż tak! - Śledziła gazetę ze łzami w oczach i wreszcie oddała mu, by też mógł przeczytać.

Gdy ojciec Sary dołączył do nich, opowiedzieli mu wszystko i długo dyskutowali o niebezpieczeństwach czyhających w Europie; Edwardowi w tym momencie przyszła do głowy pewna myśl.

- Musicie mi obiecać, że jeśli wybuchnie wojna, wróćcie do Stanów Zjednoczonych, aby tu ją przeczekać.

- Nie mogę przyrzekać za siebie - powiedział otwarcie William - ale obiecuję, że wyprawię Sarę.

- Nawet nie ma mowy. - Po raz pierwszy spojrzała na narzeczonego z gniewem. Nie możesz dysponować mną jak walizką ani wysłać mnie do domu jak list.

William uśmiechnął się.

- Przepraszam, Saro. Może to zabrzmiało lekceważąco, ale nie miałem takiej intencji. Twój ojciec ma jednak rację. Jeśli nastąpią jakieś niepokojące wydarzenia, powinnaś, moim zdaniem, wrócić do domu. Przeżyłem już jedną wojnę - wprawdzie byłem wtedy chłopcem; nie jest przyjemnie żyć pod groźbą inwazji.

- A ty? Dokąd ty pojedziesz?

- Najpewniej wrócę do służby czynnej. Nie uważam, by było całkiem właściwe, by parowie Anglii znikali na długo za granicą.

- Nie jesteś już taki młody, czy doprawdy musiałbyś pójść na wojnę? - Sara spojrzała szczerze przerażona.

- Tak, najdroższa, musiałbym.

Wszyscy troje mieli nadzieję, że wojny nie będzie, ale kiedy kończyli śniadanie, nikt nie był w optymistycznym nastroju.

W następnym tygodniu Sara poszła wraz z ojcem do sądu i tam wręczono jej ostateczny wyrok i dokumenty rozwodowe. Na przekór wszystkiemu, wbrew przyszłości, jaka ją czekała, odczuła upokorzenie. Co ją skłoniło, żeby wyjść za Freddiego, za takiego idiotę! Zamierzał ożenić się z Emily Astor - zaręczyny odbyły się w Palm Beach w grudniu ubiegłego roku. Sary to oczywiście nic już nie obchodziło, ale Freddie tkwił jak drzazga w mrocznym zakątku wspomnień.

Za dwa tygodnie miał się odbyć ślub, a William dbał przede wszystkim o to, by jej bezustannie towarzyszyć. Ciągle gdzieś razem wychodzili. Jako ulgę potraktowali spokojny, rodzinny obiad w Dzień Dziękczynienia u rodziców w Nowym Jorku. Dla Williama było to nowe wzruszające przeżycie.

- Mam nadzieję, że co roku będziesz urządzać taką uroczystość w naszym domu - powiedział do Sary, gdy siedzieli w salonie, a Jane grała na pianinie. Dzieci zabrano już do sypialni, panowała miła atmosfera. Między Peterem a Williamem nawiązała się nić porozumienia, Jane była pod ogromnym wrażeniem, że Sara zostanie księżną. Ale dla Sary tytuł nic nie znaczył - pokochała Williama za jego czułość, poczucie humoru, żywy umysł i uprzedzającą grzeczność.

Ostatni tydzień przed ślubem dał się Sarze we znaki. Trzeba było dopilnować ostatnich szczegółów, spakować podręczny bagaż. Rekordowo wielkie kufry z rzeczami wysłano wcześniej. Chciała spotkać się z dawnymi przyjaciółmi, ale w gruncie rzeczy była gotowa wyjechać już teraz. Spędziła razem z Williamem dzień przed weselem; poszli na długi spacer na Sutton Place w pobliżu East River.

- Czy będzie ci przykro odjeżdżać, najdroższa?

Bardzo polubił rodzinę Sary i obawiał się, że będzie jej trudno rozstać się z najbliższymi. Ku jego zaskoczeniu Sara oświadczyła zdecydowanie:

- Nie, właściwie ja już wyjechałam w ubiegłym roku, a nawet jeszcze wcześniej. W głębi serca nie zamierzałam tu wracać z Long Island.

- Wiem - uśmiechnął się. - Twój wiejski dom.

Domu też już nie było. Wszystkie budynki pochłonął ocean, gdy huragan owładnął we wrześniu wyspą. Niewiele brakowało, a straciłaby wszystko, może nawet życie jak Charles. William był ciągle pod wrażeniem tego, co mogło przydarzyć się Sarze.

- Teraz skoncentruję się na naszej przyszłości.

Chciała spędzić z nim życie, zatracić się w jego świecie, znać jego upodobania i poznać każdy zakamarek jego ciała. Chciała mieć z nim dzieci, wspólny dom, należeć do niego, być zawsze w pobliżu, by go wspomagać.

- Mnie też leży ona na sercu - wyznał. - Długo na to oczekiwaliśmy, prawda?

Wokół było zawsze tak wiele osób, które rozpraszały ich uwagę. Ale to już prawie przeszłość. Jutro o tej porze będą mężem i żoną, Sara będzie księżną Whitfield.

Chłód niósł się od rzeki, a oni stali wpatrując się w mroczną toń. William przyciągnął Sarę do siebie i rzekł zachowując poważny, surowy wyraz twarzy:

- Niech nasze życie zawsze biegnie prosto, bez zakrętów... Jeśli zdarzy się, że tak nie będzie, miejmy dość odwagi - każde z osobna i oboje razem.

Bezbrzeżne uczucie malowało się na twarzy Williama, a jego miłość liczyła się dla Sary bardziej niż jakikolwiek tytuł.

- Chciałabym nigdy nie sprawić ci zawodu.

- Ani ja tobie - wyszeptwała miękko i nadal przypatrywali się przepływającej obok rzece.

Rozdział dziesiąty

Tego popołudnia dom rodziców Sary musiał pomieścić ponad dziewięćdziesiąt osób. Wszyscy byli przyjaciółmi Thompsonów. Sara schodziła po schodach wsparta na ramieniu ojca - wyglądała zachwycająco i dostojnie. Długie ciemne włosy upięła w kok dyskretnie ukryty pod wytwornym beżowym kapeluszem z koronki i atłasu. Niewielka woalka dodawała jej tajemniczości. Miała suknię z kremowego atłasu i koronki; do tego wiązanek drobnych beżowych storczyków. Pantofelki też wykonano z beżowej materii. Stała u boku księcia w przystrojonym kwiatami pokoju jadalnym jak uosobienie gracji i elegancji. Pokój stołowy pełnił tym razem rolę kaplicy. Jane była ubrana w szafirową suknię, Victoria zaś w jasnozielony kostium z atłasu, zaprojektowany dla niej przez Elżę Schiaparelli w Paryżu. Goście reprezentowali najwyższe nowojorskie sfery i - co oczywiste - nie było wśród nich żadnych van Deeringów.

Po ceremonii ślubu William dyskretnie ucałował pannę młodą, a ona obdarzyła go czułym uśmiechem wdzięczności. Goście zasiedli do kolacji przy stołach rozstawionych w salonie; jadalnię zamieniono w salę balową. Wszyscy jednogłośnie orzekli, że był to wytworny ślub. Państwo młodzi prezentowali się oszałamiająco. Tańczyli prawie do końca uroczystości. Ostatni taniec Sara zatańczyła z ojcem. William tańczył z teściową, wyrażając jej słowa podziękowań za tę piękną uroczystość.

- Tatusiu, wielkie dzięki za wszystko - wyszeptała Sara, gdy poruszali się w takt piosenki "The Way You Look Tonight". - Czuję się wspaniale.

Zawsze byli dla niej anielsko dobrzy, subtelni i delikatni, a gdyby nie nalegali na wspólny wyjazd do Europy, nie spotkałaby Williama. Sara chciała to wszystko wyrazić, gdy tańczyła z ojcem ten ostatni taniec, ale głos się jej łamał. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem, a do tego Edward nie chciał dopuścić.

- Dobrze już, dobrze, Saro...

Uściskał ją z czułością i uśmiechając się do swej młodszej córki pomyślał, że bardzo ją kocha. - Pamiętaj, że cię kochamy. Odwiedź nas, gdy tylko będziesz mogła, my też przyjedziemy do ciebie!

- Tylko byście tego nie zrobili! - parsknęła lekko; tańczyli dalej, a Sara przytulała się do ojca aż do ostatniej chwili. Kiedy Williamowi delikatnie udało się ich rozdzielić, spojrzał na nią i dostrzegł nie córkę z ojcem, ale kobietę.

- Czy jesteś gotowa do odjazdu, Wasza Wysokość? - zapytał dwornie. Sara zachichotała.

- Czy ludzie naprawdę będą mnie tak nazywać przez resztę życia?

- Obawiam się, że tak, kochanie. Mówiłem ci... czasami jest to nieznośny ciężar.

To był oczywiście żart, ale niezupełnie do końca.

- Jej Wysokość księżna Whitfield... muszę stwierdzić obiektywnie, że pasuje do ciebie ten tytuł.

Wyglądała szlachetnie i dystyngowanie, gdy spojrział na nią po zakończeniu tańca. Szyję Sary ozdobił wspaniały naszyjnik z brylantami w kształcie kropli, który wraz z harmonizującymi z nim kolczykami otrzymała od męża jako prezent ślubny.

Potem szybko się pożegnali, a przed odejściem Sara, zgodnie z panującym zwyczajem, rzuciła bukiet z podestu schodów. Ucałowała rodziców, dziękując za wszystko. Wiedziała, że zobaczy ich w porcie następnego dnia, gdy będą odpływać. Ucałowała Petera i Jane i pobiegła po raz ostatni do kuchni podziękować służbie. Potem państwo młodzi zginęli w powodzi ryżu i kwiatów - odjechali w zamówionym na tę okazję bentleyu, by spędzić noc poślubną w hotelu Waldorf Astoria. Opuszczając dom Sara miała łzy w oczach. Przed nią zupełnie inne życie. Tym razem było inaczej. Obdarzała Williama nieporównanie większym uczuciem, ale odjeżdżała tak daleko, aż do Anglii. Gdy zdała sobie sprawę, że opuszcza ich wszystkich, wydawało się, iż będzie tęsknić za domem. W samochodzie, podczas jazdy do hotelu, była milcząca, owładnięta nostalgią.

- Moje biedne kochanie - wydawało się, że William zawsze czyta w jej myślach. - Zabieram cię od kochających ludzi. Ale ja też cię uwielbiam i przyrzekam, że będę się starał robić wszystko, co w mojej mocy, abyś zawsze i wszędzie była ze mną.

Objął ją mocno ramionami; poczuła bezpieczny kokon opieki i wyszeptała do ucha męża:

- Będę.

Reszta drogi upłynęła im w błogim poczuciu własnej bliskości. Byli spokojni i bardzo zmęczeni. Przeżyli wspaniały, ale jakże wyczerpujący dzień.

Gdy dojechali do Waldorf Astorii przy Fark Avenue, czekał na nich dyrektor hotelu. Kłaniając się i szurając nogami zapewniał ich o swym najwyższym oddaniu. Sarę rozbawiło to komiczne wydarzenie. Kiedy dotarli do wspaniałego apartamentu w Towers, śmiała się do rozpuku.

- Wstydz się - skarcił ją William, ale nie mówił poważnie. Powinnaś to przyjąć z absolutną powagą! Biedny człowiek, ucałowałby twoje stopy, gdybyś mu pozwoliła. A pewnie byś pozwoliła - żartował. Był przyzwyczajony do takiego okazywania względów, ale zdawał sobie sprawę, że dla Sary to nowość. - Lepiej przywyknij do tego, moja droga. To zaledwie początek, będzie tak przez długi czas. Te obyczaje, obawiam się, są ponadczasowe.

To był zaledwie początek ich wspólnego życia, a William już zadbał o to, aby rozpoczęło się wyśmienicie. Bagaż Sary dostarczono rano: biała koronkowa nocna koszula i szlafrok, także białe jedwabne ranne pantofle już na nią oczekiwały. Zamówił także szampana. Gdy sączyli go, wciąż jeszcze rozprawiając o weselu, dwóch kelnerów wniosło lekko strawną kolację, taką, jaką

jada się o północy. William poprosił o kawior i wędzonego łososia, a także jajecznicę, na wypadek gdyby okazało się, że Sara wcześniej nic nie jadła ze zdenerwowania. Nie odbiegało to od prawdy, ale nie chciała się przyznać, że umiera z głodu. Był też niewielki tort weselny, udekorowany marcepanowymi figurkami państwa młodych - upominek od dyrekcji hotelu.

- O wszystkim pomyślałeś - wykrzyknęła i wyglądała przy tym jak wyrośnięte, pełne wdzięku dziecko. Klaskała w dłonie, patrząc na tort i kawior. Kelnerzy oddalili się natychmiast. William zbliżył się o krok i pocałował swą żonę.

- Pomyślałem, że możesz być głodna.

- Zbyt dobrze mnie znasz - roześmiała się i zaczęła pochłaniać kawior, a William ochoczo jej towarzyszył. Minęła północ, a oni wciąż jeszcze rozmawiali, choć skończyli kolację. Mieli tyle wspólnych tematów i jednakowych zainteresowań. Ale William już myślał o czym innym. Przeciągnął się dyskretnie, próbując dać Sarze do zrozumienia, że najwyższa pora na coś zupełnie innego.

- Czy ja cię nudzę? - spojrzała na niego z nagłym niepokojem.

Roześmiał się. Zachowywała się jak podłotek i on to uwielbiał.

- Nie, moje kochanie, ale ten starszy człowiek, którego zaszczycasz swoim towarzystwem, jest już strasznie zmęczony. Czy mogę zaproponować, abyśmy dokończyli tę fascynującą rozmowę jutro rano?

Właśnie szukali związków literatury rosyjskiej z rosyjską muzyką - temat nie wydawał się szczególnie aktualny tej wyjątkowej nocy.

- Przepraszam - ona też czuła się zmęczona, ale zbyt szczęśliwa, że z nim przebywa, by się martwić o jakąś głupią nie przespaną noc. Była też bardzo młoda. Dwadzieścia dwa lata to naprawdę niewiele w grubej księdze życia.

Apartament w Waldorf Astorii był wyposażony w dwie łazienki - po kilku chwilach William zniknął w jednej z nich. Sara poszła do drugiej, nucąc jakąś piosenkę. Wzięła z sobą koronkową koszulę, pantofle i pojemniczek z kosmetykami. Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim wynurzyła się z czeluści pokoju kąpielowego; William czekał na nią, leżąc na łożu przy dyskretnie wyłączonym świetle. Przyćmione światło sączące się z łazienki pozwalało dostrzec wspaniałą postać kobiety w koronkowym negliżu.

Podeszła na palcach do łóżka; długie, czarne jak heban włosy spływały na jedno ramię. Fala słodkiej woni perfum wypełniła mu nozdrza. Używała Chanel nr 5, a ich zapach zawsze przywodził mu na myśl Sarę. Leżał przez chwilę bez ruchu, obserwując żonę w przyćmionym świetle. Wyglądała jak młoda łania, gdy zawahała się, a potem powoli ruszyła w jego stronę.

- William... - szepnęła miękko czy spisz?

Ogarnął ją wygłodniałym wzrokiem, ale zachciało mu się śmiać. Czekał na to pięć miesięcy, a ona pomyślała, że mógł usnąć w noc poślubną, zanim przyszła do niego! Momentami zachwycała go jej niewinność i absurdalne poczucie humoru. Była cudowna, a tej nocy kochał ją jeszcze bardziej.

- Nie, nie śpię, moje kochanie - wyszeptał z uśmiechem w ciemności. Kiedy wyciągnął rękę, a ona zbliżyła się do niego, czuł wszystko z wyjątkiem senności. Usiadła przy nim na łóżku, trochę wystraszona, teraz gdy nie było już między nimi żadnych barier. Wychwycił to bez trudu i całował ją z nieskończoną delikatnością i łagodnością, ale jednocześnie coraz bardziej zachłannie. Chciał ją rozbudzić, aby pożądała go równie żarliwie. Wystarczyła chwila, by rozpałił się w niej płomień namiętności. Drżała, gdy jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele i przesuwając się w kierunku intymnych miejsc, poczuła, jak budzi się w niej żar namiętności i nie znanej dotąd rozkoszy. Świadomość prawdziwej miłości była obca Sarze, wszystko, co dotąd знаła, było ograniczone i powierzchowne. Nie zaznała czułości i prawdziwych porywów.

Pożądanie Williama przekraczało granice wytrzymałości, kiedy delikatnie kładł dłonie na jej gorących wypukłościach. Potem ruszył w dół, ogarniając szczupłe biodra i napięte pośladki. Rozłączył jej nogi. Palce Williama były zręczne i delikatne - jęknęła, gdy zdjął nocną koszulę i cisnął na podłogę. Otoczył Sarę ciasno ramionami i ułożył pod sobą. Wziął ją ostrożnie i delikatnie, ale nie musiał długo trzymać swej namiętności na wodzy. Zaskoczony i uradowany, odnalazł w niej chętną i skwapliwą partnerkę. Kochali się do świtu - nie chcieli i nie mogli przestać, obydwójce zaspokajali pożądanie, jakie czuli od tak dawna. Wreszcie usnęli obok siebie, spleceni rękami i nogami, zaspokojeni i zupełnie wyczerpani.

- Mój Boże... gdybym podejrzewał, że będzie aż tak rewelacyjnie, rzuciłbym cię na ziemię i zaatakował pierwszego popołudnia u George'a i Belindy.

Sara zerknęła na niego i uśmiechnęła się sennie. Była uszczęśliwiona, że dała mu tyle satysfakcji. Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, co mogą robić z sobą naprawdę kochający się ludzie.

- Nie wiedziałam, że może być w ten sposób - powiedziała miękko.

- Ani ja - uśmiechnął się i przewrócił na bok, aby móc na nią patrzeć. Teraz, kiedy ją posiadał, wydała mu się jeszcze piękniejsza.

- Jesteś wyjątkową kobietą.

Zarumieniła się lekko słysząc te słowa, a w parę minut później zasnęli mocno się obejmując.

Ocknęli się po dwóch godzinach, gdy o ósmej rano zadzwonił telefon. Budzono ich - mieli być na pokładzie statku o dziesiątej.

- O Boże... - jęknął, sięgając jednocześnie w stronę lampy i telefonu, uprzejmie dziękując za pobudkę. Nie miał pewności, czy to skutki upojonej nocy, czy szampana, ale czuł się tak, jakby ktoś wyssał z niego całą wolę życia.

- Wiem wreszcie, jak musiał czuć się Samson po spotkaniu z Dalilą.

Gładził długie pasma ciemnych włosów Sary rozsypane na jej jędrnej piersi. Nagi biust ukazał się jego oczom jak cudowny podarunek. Całował jej twardniejące sutki, niezdolny w to uwierzyć, że znowu rośnie w nim podniecenie.

- Może umarłem i jestem w niebie...

Kochali się jeszcze, zanim wstali z łóżka, a potem musieli się szybko pozbierać, by zdążyć na statek. Nie było nawet czasu, by coś zjeść, łyknęli jedynie filiżankę herbaty przed wyjściem śmiejąc się i żartując, zebrali bagaże i pospieszyli do czekającej limuzyny. Sara starała się wyglądać godnie, jak prawdziwa księżna.

- Nie miałam pojęcia, że księżne też robią takie rzeczy - szepnęła mu do ucha w samochodzie, gdy zasunęli szybę dzielącą ich od kierowcy.

- One tego nie robią. Ty jesteś wyjątkiem, uwierz mi.

William wyglądał, jakby znalazł w bucie brylant. Limuzyna zatrzymała się przy pirsie 88 koło Normandii. Czuł się trochę nielojalnie, korzystając z francuskiego statku, ale flota pasażerska tego kraju słynęła z przepychu i elegancji. Szczególnie dotyczyło to Normandii.

Powitano ich łącznie po królewsku i umieszczono na Słonecznym Pokładzie w apartamencie Deauville. Bliźniaczy apartament, Trouville, zajmował w swoim czasie maharadża Kapurthala i podróżując powracał do niego kilka razy.

William wielce ukontentowany rozejrzał się po salonie.

- Nie jest mi to łatwo stwierdzić, ale Linia Francuska bije na głowę Cunarda, jeśli chodzi o zapewnianie komfortu podróży.

Takiego luksusu William nie widział nigdy, a przecież wiele podróżował po świecie. To był nadzwyczaj wykwintny i okazały statek; wszystko zapowiadało przepyszną podróż.

W salonie czekał na nich szampan, bukiety kwiatów i kosze owoców; Sara zauważyła, że jeden z nich pochodzi od rodziców, inny od Petera i Jane, którzy pojawili się chwilę później; Jane zadała siostrze ukradkowe pytanie, po czym rozchichotały się obie jak podlotki. Zanim odbili od brzozy, Sara i William rozplýwali się w podziękowaniach za wspaniałe wesele.

- Bawiliśmy się cudownie - zapewnił William Edwarda. - To było naprawdę wyśmienite przyjęcie.

- Musieliście oboje czuć się zmęczeni!

- Tak. - William starał się nadać twarzy poważny wygląd i miał nadzieję, że mu to dobrze wyszło. - Wypiliśmy trochę szampana w hotelu, a potem całkiem opadliśmy z sił.

Gdy to powiedział, Sara zerknęła na niego ukradkiem, a on miał nadzieję, że się nie zaczerwienił. Przechodząc obok, dyskretnie uszczypnął ją w pupę - Victoria właśnie zachwycała się suknią Sary. Kreację tę kupiono jako część wyprawy w Bonwit Teller. Była uszyta z białego kaszmiru i miała wspaniałe draperie na biodrach. Na suknię Sara narzuciła nowe futro z norek, które dostała w prezencie od rodziców. Mieli nadzieję, że będzie jej w nim ciepło podczas długich angielskich zim. Bardzo stylowo prezentowała się w futrze i zawadiackim kapeluszu, przybranym z tyłu dwoma przepyszными czarnymi piórami.

- Wyglądasz wspaniale, kochanie - powiedziała matka, a Jane przez ułamek sekundy poczuła ukłucie zazdrości o siostrę. Przed nią taka ekscytująca przyszłość i William jest boski! Bardzo kochała swojego męża, ale ich życie z pewnością nie było zbyt atrakcyjne. Biedna Sara przeżyła przedtem taki straszny okres, że aż trudno uwierzyć w iście bajkowe zakończenie tamtej pechowej sprawy. Zupełnie jak happy end w powieści, a to dopiero początek fascynującej historii. Wszystko przemawiało za tym, że Sara będzie szczęśliwa w Anglii. Trudno oczekiwać czego innego - William jest taki miły i niezwykle przystojny. Jane popatrzyła z leciutkim westchnieniem na stojącą obok siebie parę, wyglądającą jak uosobienie szczęścia.

- Wasza Wysokość... - pierwszy oficer zbliżył się do drzwi salonu i dyskretnie zawiadomił, że w ciągu kilku minut wszyscy goście muszą zejść na brzeg. Victorii i Jane zwilgotniały oczy, Sara zaś musiała powstrzymać łzy, gdy całowała się z nimi na pożegnanie. Obejmowała ich wszystkich i po raz ostatni przytuliła się do ojca...

- Piszcie do mnie, proszę... nie zapominajcie... wrócimy do Londynu zaraz po świętach Bożego Narodzenia.

Zamierzali spędzić święta na kontynencie, tylko we dwoje. Matka Williama twierdziła, że ma tak wiele do zrobienia w Whitfield, że nie będzie miała czasu, by za nimi tęsknić. A i William wielce się cieszył na Boże Narodzenie w Paryżu - tylko we dwoje.

Opatuliła się futrem i wszyscy ruszyli na pokład, gdzie znowu nastąpiła cała seria pożegnań z Williamem. Nie było rady - Edward skrzętnie odprowadził swą trzódkę do trapu. On także miał łzy w oczach, a kiedy spojrzał na Sarę, popłynęły strumieniem i wcale nie starał się ich ukryć.

- Kocham was! - krzyknęła, wymachując gwałtownie jedną ręką, podczas gdy drugą trzymała się kurczowo Williama. Posyłała wszystkim całusy, a statek odbijał w deszczu konfetti i papierowych serpentyn. Na pokładzie orkiestra grała Marsylianę. Sara widziała, jak postacie jej najbliższych nikną w oddali; nigdy nie zapomni, ile oni wszyscy znaczyli dla niej w tym momencie.

William trzymał żonę mocno za rękę do chwili, gdy ogromniasty statek zaczął się kierować na Hudson River i kiedy sylwetki najbliższych rozplynęły się we mgle. Po twarzy Sary spływały łzy, łkanie dławilo jej gardło, kiedy znów wtuliła się w jego ramiona.

- Wszystko będzie dobrze, kochana, jestem przy tobie... Wkrótce spotkamy się z nimi ponownie. Obiecuję.

I to była solenna obietnica.

- Przepraszam... wygląda, że jestem taka niewdzięczna... Ale ja kocham ich tak bardzo i ciebie kocham.

Ogrom wydarzeń ostatnich dni przytłoczył Sarę. William poprowadził ją do kabiny i zaproponował jeszcze szampana: ze zmęczonym uśmiechem powiedziała mu, że marzy o filiżance kawy.

Zadzwoił na stewarda, zamówił dla Sary kawę i dla siebie jaśminową herbatę oraz talerz cynamonowych grzanek na śniadanie. Chrupali je, popijali i rozmawiali - wkrótce wrócił jej dobry humor, poczuła się wyraźnie lepiej. Williamowi podobała się spontaniczność Sary, że przeżywa wszystko dogłębnie i nie ukrywa uczuć.

- Co chcesz dzisiaj robić? - zapytał zerkając na stertę broszur reklamujących oferowane rozrywki. - Chcesz popływać po obiedzie? A może zagrać w shuffleboard? Zaraz po podwieczorku możemy iść do kina. Grają "Żonę piekarza" Marcela Pagnola; jeśli tego filmu nie widziałaś...

Widziała ten film, była też pod wrażeniem innego filmu tego reżysera pod tytułem "Żniwa", ale nie to miała teraz w głowie. Wspólne baraszkowanie było bardziej zabawne, przysunęła się, by spojrzeć z bliska na broszurę. Oferta Linii Francuskiej dla pasażerów rzeczywiście robiła wrażenie. Gdy siedziała tak blisko, poczuła dotyk palców Williama na szyi i jego dłoń delikatnie przesuwaną się na piersi. Zaczął ją gwałtownie całować, i to była ostatnia chwila, jaką zapamiętała. Potem leżeli spleceni uściskiem kompletnie zapomniawszy o całej ofercie rozrywkowej na statku. Kiedy wróciła im świadomość, była już pora obiadowa; Sara zaśmiała się, dojadając cynamonową grzanekę, która wciąż leżała na talerzu obok łóżka.

- Widzę, że nie poświęcimy wiele czasu konkurencjom sportowym podczas tego rejsu?

- Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle wyjdziemy z tej kabiny.

Jakby chcąc udowodnić swoją rację, dała mu nowy impuls, a on zareagował na to szybciej, niż się spodziewała.

Potem kochali się znowu w wannie i wyszli z kajuty późnym popołudniem nieco zakłopotani, że oddawali się miłości tyle godzin.

- Narazimy na szwank naszą reputację - szepnął William. - Całe szczęście, że korzystamy z Linii Francuskiej.

- Czy sądzisz, że oni wiedzą? - Sara nieco się spłoszyła. - Poza wszystkim to nasz miodowy miesiąc...

- Masz rację. Jak mogłem o tym zapomnieć. Ale, ale... Chyba zostawiłem portfel na biurku. Czy nie masz nic przeciw temu, żebyśmy wrócili?

- Oczywiście, że nie - zgodziła się posłusznie, nie bacząc na bezsensowność tego stwierdzenia. Do czego mógłby być potrzebny mu teraz portfel? Gdy znaleźli się w salonie, William zamknął szybko drzwi, schwycił Sarę w pól.

- William! - krzyknęła; roześmiał się, a ona zaczęła chichotać. - Jesteś seksualnym maniakiem!

- Nie jestem... i zapewniam cię, że zazwyczaj zachowuję się w sposób godny szacunku. To twoja wina! - zarzuciła mu na szyję ramiona i przygarnęła jego twarz do swojej. Ciało jej pulsowało słodko. Ogarnął wzrokiem jej szyję, ramiona, piersi i biodra i... wszystkie inne miejsca godne miłości.

- Moja wina? Co takiego zrobiłam? - protestowała, uwielbiając każdą chwilę tej zabawy. Osunęli się na podłogę w pokoju stołowym i poczęli się kochać od nowa.

- Moje zmysły reagują na ciebie bez opamiętania - mruknął podniecony do granic świadomości i wszedł w nią wolnymi, ostrożnymi ruchami; chyba nawet nie wiedzieli, że są ubrani i leżą na podłodze.

- Ty także - spojrzała na niego spod przymrużonych powiek i wydała okrzyk w paroksyzmie rozkoszy; upłynęło wiele czasu, zanim podnieśli się i przeszli do sypialni, zostawiając na podłodze części garderoby.

Tego wieczora nie poszli nawet na kolację, a gdy steward zadzwonił oferując dostarczenie posiłku do kajuty, William odmówił, informując grobowym głosem, że cierpią na morską chorobę. Steward nie ustępował, proponując krakersy i zupę, ale William twierdził, że są już w łózkach. Niewysoki Francuz uśmiechnął się do pokojówki.

- Mal de mer (Mal de mer (franc.) - choroba morska - przyp. tłum.)? - zapytała domyślnie, podejrzewając, że cierpią na morską chorobę, ale malutki steward uniósł znacząco brwi i puścił oko. Dobrze im się przyjrzał i wiedział swoje.

- Mon oeil. Lune de miel (Mon oeil. Lune de miel (franc.) - akurat. Miesiąc miodowy - przyp. tłum.) - wyjaśnił, a pokojówka roześmiała się, gdy uszczypnął ją w pośladek.

Następnego dnia rano William i Sara pojawili się na pokładzie - wyglądali zdrowo i byli wypoczęci. Williamowi uśmiech nie schodził z warg. Spacerowali, a potem ułożyli się na leżakach.

- Ludzie są domyślni. Jeśli nie przestaniesz się uśmiechać, nie będą musieli zachodzić w głowę, by wiedzieć, co wyprawiamy.

- Nie mogę nic na to poradzić! Nigdy w życiu nie byłem taki szczęśliwy. Kiedy wrócimy do kabiny? Przysięgam, to staje się już obsesją!

- Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, zawołam kapitana. Zanim dotrzemy do Paryża, nie będę w stanie chodzić.

- Będę cię nosił - uśmiechnął się, pochylił i pocałował ją. Nie była ani odrobinę skonsternowana tym, co się stało. Również go kochała. Tego dnia podjęli jednak próbę zwiedzenia statku i jakoś wytrzymali do podwieczorku. Potem pozwolili sobie na krótki odpoczynek i zmusili się do ponownego ubrania akurat na kolację.

Sara była zachwycona salą jadalną na Normandii. Bajkowa kraina elegancji kończyła się sufitem na wysokości trzeciego pokładu; była nieco dłuższa od Sali Lustrzanej w Wersalu i robiła nie mniejsze wrażenie. Sufit był połączony, a na ścianach umieszczono przyćmione światła. Do sali prowadziły nie kończące się schody pokryte błękitnym dywanem. William założył biały krawat - wszyscy inni panowie też mieli takie.

- Czy to, że dzisiaj jesteśmy na kolacji w sali jadalnej, oznacza, że skończył się nasz miesiąc miodowy? - zapytała szeptem.

- Sam się tego trochę obawiam - zwierzył się, patrząc łakomie na suflet. - Myślę, że powinniśmy wracać do kajuty zaraz po zjedzeniu tych pyszności...

- Byłoby cudownie - uśmiechnęła się wyraźnie rada z tego pomysłu.

Zatrzymali się potem w Wielkim Salonie i tańczyli tam przez chwilę. Spacerowali po pokładzie, całowali się pod gwiazdami i wreszcie wrócili do swego apartamentu.

To był wspaniały miesiąc miodowy; spędzali czas kochając się, pływając, spacerując, tańcząc i opychając się przysmakami. Czuli się jak zawieszony między dwoma światami - dawnym i nowym. Starali się trzymać trochę na uboczu, z dala od innych pasażerów, choć większość podróżnych w pierwszej klasie wiedziała, kim są; niejednokrotnie w przejściu słyszeli szept: "Zobacz, to książę i księżna Whitfield".

- Wallis? - dociekała pewna wdowa. - Jest dużo młodsza, niż myślałam... i ładniejsza.

Sara nie potrafiła skryć uśmiechu. William uszczypnął ją delikatnie, a później przezywał "Wallis".

- Skończ z tym, bo zacznę mówić do ciebie "David"!

Sara jeszcze ich nie poznała, ale William zapowiedział, że złożą im wizytę w Paryżu.

- Może się zdarzyć, że polubisz Wallis bardziej niż myślisz. Nie przepadam za nią, ale muszę przyznać, że jest doprawdy czarująca. On też jest szczęśliwszy niż dawniej; twierdzi, że dopiero teraz może spokojnie spać. Myślę, że wiem dlaczego - William uśmiechnął się znacząco. Sam sypiał doskonale w przerwach między igraszkami miłosnymi ze swą oblubienicą.

Tego wieczoru jedli kolację przy stole kapitańskim i brali udział w Wielkiej Gali. Poprzedniej nocy uczestniczyli w Balu Przebierańców, ubrani jako maharadza i maharani w kostiumach wypożyczonych od płatnika na statku. Sara założyła własne klejnoty. Doskonale wcielili się w odtwarzane postacie - William wyglądał bardzo dostojnie, Sara - superegzotycznie. Ale jej mistrzowski makijaż i nagi brzuch sprawiły, że rychło powrócili do apartamentu.

Stewardzi robili już zakłady, jak długo uda się nowożeńcom wytrzymać bez powrotu do kajuty. Wyszło na to, że rekordowy czas wyniósł cztery godziny.

- Może po prostu zostaniemy na statku - ostatniego wieczora zaproponowała Sara, przeciągając się leniwie i przysypiając. Właśnie poprzedniej nocy byli na kapitańskim wieczorze, a potem kochali się. - Nie jestem wcale pewna, czy chcę jechać do Paryża.

William zarezerwował apartament w Ritzu; mieli zatrzymać się tam miesiąc i robić wypadki do okolicznych zamków.

- Mamy pojechać do Bordeaux, nad Loarę, do Tours...

- ...i do Faubourg-St. Honore, i do Chanel, do Diora, Mainbochera... i Balenciagi - dodała z uśmiechem.

- Jesteś chyba szalona - stwierdził oskarżycielsko William, kładąc się obok niej; nagle zaczął się zastanawiać, że może po całym tym kochaniu się w minionym tygodniu mogą mieć dziecko. Chciał ją o to zapytać, ale jakoś mu było głupio; wreszcie w nocy zebrał się na odwagę:

- Ty... eee... ty nigdy nie byłaś w ciąży podczas pierwszego małżeństwa, prawda? - Był tylko ciekawy, nigdy wcześniej nie pytał jej o to. Zaskoczyła go odpowiedź Sary.

- Prawdę mówiąc, byłam - powiedziała to bardzo miękko, odwracając wzrok.

- Co się stało?

Było oczywiście, że nie ma dziecka, ale nie wiedział dlaczego. Miał nadzieję, że nie przerwała ciąży - to byłoby dla niej bolesne i mogłoby spowodować bezpłodność. Wcześniej nigdy nie pytał jej o szczegóły pierwszego małżeństwa.

- Poroniłam - powiedziała cicho; pamięć o tamtej stracie wciąż była bolesna, choć przyszłość udowodniła, że wyszło jej to na korzyść....

- Czy wiesz dlaczego? Czy coś się stało?

Wtedy zdał sobie sprawę z bezsensowności tego pytania. W pierwszym małżeństwie Sary mogło się zdarzyć wszystko.

- Nieważne. To się już nie powtórzy. - Odegnął przykre myśli; po chwili Sara odpłynęła w senne marzenia o dzieciach i Williamie.

Następnego ranka zeszli ze statku w Hawrze i udali się pociągiem do Paryża. Nie opuszczał ich dobry nastrój, a po przyjeździe pojechali wprost do hotelu, by po pewnym czasie wyjść na zakupy.

- Niech mnie diabli! Odkryłem coś, co uprawiasz z równie wielką pasją jak miłość, Saro, jestem zazdrosny, gorzko się rozczarowałem.

Bardzo mile spędzili czas odwiedzając Hermesa, Chanel, Boucherona i różnych innych jubilerów. William kupił Sarze przepiękną bransoletkę z szafirami, rubinowy naszyjnik i zachwycające kolczyki. I jeszcze ogromną rubinową broszkę w kształcie róży u van Cleefa.

- Mój Boże, Williamie... czuję się taka winna - zdawała sobie sprawę, że wydał majątek, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Biżuteria była jak z bajki i Sara była nią zachwycona.

- Nie bądź głupia! - potraktował jej słowa jak piórko na wietrze. - Przrzeknij mi tylko, że przez dwa następne dni nie wyjdziemy z pokoju. To będzie opłata, jakiej będę się domagał za każde wyjście po zakupy.

- Nie lubisz robić zakupów? - spojrzała rozczarowana; latem tego roku wydawało się, że nie traktuje tego zajęcia jak pańszczyznę.

- Uwielbiam. Ale wolę kochać się z moją żoną.

- Ach, o to chodzi - roześmiała się i gdy tylko znaleźli się w Ritzu, uczyniła zadość jego upodobaniom. Potem ponownie wyszli po zakupy. Kupił jej piękne kreacje u Jeana Patou, cudowne futro z lamparta u Diora, ogromny sznur pereł u Mouboussina. Perły te nosiła potem codziennie. Udało im się nawet wybrać do Luwru.

W drugim tygodniu pobytu zostali przyjęci na herbacie przez księcia i księżną Windsoru. Sara musiała przyznać Williamowi rację. Chociaż miała pewne uprzedzenia, uznała, że księżna jest czarująca. Również książę był przemiły, nieśmiały, ostrożny, pełen rezerwy. Tryskał dowcipem, gdy czuł się swobodnie wśród ludzi, których dobrze znał. To była dziwna wizyta - ku niezadowoleniu Sary księżna próbowała porównywać ją z sobą, ale nie było to zbyt zręczne. William błyskawicznie zniechęcił ją do czynienia podobnych zestawień; Sara była nawet trochę zakłopotana, że William tak chłodno odnosi się do księżnej Windsoru - nie zostawiał jej cienia wątpliwości, jakie uczucia względem niej żywi, choć swego kuzyna traktował z sympatią i szacunkiem.

- Cholerna szkoda, że się z nią ożenił - powiedział w drodze powrotnej do hotelu. Gdyby nie ona, wciąż byłby królem Anglii.

- Nie sprawia wrażenia, by tron go uszczęśliwiał, ale mogę oczywiście nie mieć racji.

- Nie mylisz się. Tron go nie bawił, nie był w jego stylu. Ale nie spełnił swego obowiązku, choć muszę stwierdzić, że Bertie radzi sobie znakomicie. To świetny facet, również nie znosi tej kobiety.

- Teraz rozumiem, dlaczego ona tak ujmuje ludzi. Ma niezwykłą umiejętność owijania sobie każdego wokół małego palca.

- Ona jest w istocie wielką naciągaczką. Czy widziałas jej biżuterię? Ta bransoleta z brylantami i szafirami musiała kosztować fortunę! Wykonał ją dla nich van Cleef, kiedy się pobierali. Klejnoty te stanowiły komplet. Do bransolety należały jeszcze naszyjnik, kolczyki, broszka i dwa pierścionki.

- Bardziej podoba mi się bransoletka, którą nosiła na przegubie drugiej ręki - powiedziała miękko Sara. - Cienki łańcuszek z diamentami i małymi krzyżykami.

Ten klejnot był o wiele bardziej dyskretny i William postanowił go zapamiętać, by później zrobić podobny prezent Sarze. Wallis pokazała im także piękną bransoletkę od Cartiera, którą właśnie dostała w prezencie; była wykonana w formie kwiatów i liści z szafirów, rubinów, szmaragdów. Księżna Windsoru nazwała ją "sałatką owocową".

- W każdym razie spełniliśmy swój obowiązek, kochanie. Byłoby niegrzecznie, gdybyśmy się u nich nie pojawili. Teraz będę mógł z czystym sumieniem oświadczyć matce, że zrobiliśmy to.

Zawsze bardzo lubiła Davida; na wieść o jego abdykacji mało nie trafiła jej apopleksja.

- A przecież powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, abyś ty zrezygnował z praw do tronu - Sara rozłożyła ręce w geście zakłopotania, wciąż pełna poczucia winy. Wiedziała, że będzie ją to dręczyć przez całe życie, ale William zdawał się nie przejmować ani odrobinę.

- To nie jest to samo - odparł subtelnie. - On miał tron, moje kochanie. Ja bym go nie osiągnął nigdy. Matka przywiązuje wielką wagę do tych spraw, ale ma poczucie rzeczywistości; nie brała tego pod uwagę, że mogę zostać królem.

- Myślę, że masz rację.

Wysiedli z samochodu kilka przecznic od hotelu i spacerowali wolnym krokiem, rozprawiając o księciu i księżnej Windsoru. Otrzymali zaproszenie, by odwiedzić ich jeszcze, ale William wyjaśnił, że mają zamiar rozpocząć nazajutrz podróż po Francji.

Chcieli zwiedzić dolinę Loary, po drodze zatrzymać się i obejrzeć Chartres. William nigdy nie był w tym mieście.

Wynajęli samochód, nieduże renault, i następnego dnia wyjechali z Paryża. William sam prowadził - byli w znakomitych humorach.

Wzięli ze sobą suchy prowiant, na wypadek gdyby po drodze nie było żadnej restauracji; po godzinie jazdy znaleźli się w łące sielskim krajobrazie. Choć był środek zimy, gdzieniegdzie

ukazywały się jeszcze połacie zieleni. Oglądali konie, krowy i farmy, a jeszcze trochę dalej całe stada owiec. Gdy jedli lunch na łące przy szosie, towarzyszyła im całkiem miła koza. Mieli ze sobą koce i ciepłe płaszcze, ale nie było zimno - dzień wstał nieoczekiwanie słoneczny. Pora roku wskazywała raczej na zmienność aury - spodziewali się deszczu, ale do tej pory pogoda dopisywała.

Mieli zarezerwowane pokoje w małych hotelach wzdłuż całej trasy - planowali spędzić poza Paryżem osiem, nawet dziesięć dni. Ale trzeciego dnia wciąż jeszcze przebywali w Montbazon, w tamtejszej wspaniałej gospodzie.

Właściciel wskazał im kilka miejsc, które powinni poznać - zwiedzali malutkie kościółki, odwiedzili uroczą starą farmę i dwa wspaniałe sklepy z antykami. Restauracja w Montbazon była najlepsza ze wszystkich, które do tej pory zaszczylicili swoją obecnością.

- Co za wspaniałe miejsce - mówiła uszczęśliwiona Sara, pałaszując wszystko, co było na talerzu. Dopisywał jej apetyt - jadła dużo więcej niż w Paryżu. Przybrała trochę na wadze i od razu zaczęła korzystniej wyglądać. William niepokoił się dawniej, że była zbyt szczupła jak na zdrową osobę.

- Jutro naprawdę powinniśmy ruszyć dalej.

Wyjeżdżali z żalem, lecz po godzinie samochód odmówił posłuszeństwa. Miejscowy wieśniak pomógł go uruchomić i zaopatrzył ich w benzynę. Pół godziny później zatrzymali się na lunch w pobliżu staroświeckiej kamiennej bramy, której wymyślna krata z kutego żelaza była otwarta; dalej za bramą prowadziła dokądś zarośnięta droga.

- Wygląda jak brama do nieba - zażartowała Sara.

- Albo do piekła. Zależy, na co się zasłuży - uśmiechnął się w odpowiedzi, ale już wiedział, co los mu wyznaczył. Był w niebie, odkąd ożenił się z Sarą.

- Chcesz zwiedzić to miejsce? - zapytała.

William kochał w Sarze jej spontaniczność. Zawsze lubiła przygody - to przywilej młodości.

- Chciałbym. Ale co będzie, jeśli zastrzeli nas rozwścieczony właściciel?

- Nie bój się, stanę w twojej obronie. To miejsce wygląda na zupełnie opuszczone - zachęcała.

- Cały kraj tak wygląda, gąsko. To nie jest Anglia.

- Och, ty snobie! - huknęła na niego; poszli drogą prowadzącą od bramy. Postanowili zostawić samochód przy szosie, aby nie wzbudzać większego zainteresowania swą eskapadą.

Z pozoru rzeczywiście wydawało się, że jest to zwykła polna droga, ale dalej przechodziła w aleję obramowaną starodrzewem. Była bardziej zadbana, nawet przypominała nieco wjazd do posiadłości w Whitfield czy Southampton.

Jak tu ładnie.

Śpiew ptaków nie milkł w koronach drzew; Sara nuciała, gdy przedzierali się przez wysoką trawę i zarośla.

- Nie sędzę, by tu znajdowało się coś osobliwego - rzekł w końcu William, gdy szpaler drzew miał się już ku końcowi; w tej samej chwili dostrzegł w oddali potężną bryłę kamiennego domostwa.

- Dobry Boże, co to takiego?

Dom wyglądał jak pałac w Wersalu, ale gdy znaleźli się bliżej, zobaczyli wymagającą odbudowy ruinę. Cała posiadłość była opuszczona, niektóre budynki robiły wrażenie, jakby za chwilę miały się zawalić. U stóp wzgórza znajdował się mały domek, który przed laty prawdopodobnie pełnił funkcję mieszkania dozorczy; teraz trudno byłoby go uznać nawet za coś w rodzaju mieszkalnego domu.

Na prawo mieściły się stajnie i wielkie powozownie. William zafascynowany zerknął do środka. Wewnątrz znajdowały się jeszcze dwie stare karety z połączonym herbem na płycinach drzwi.

- Jakie zadziwiające miejsce! - uśmiechnął się do niej zadowolony, że zachęciła go do zbadania okolicy.

- Jak sądzisz, co to jest? - Zafascynowana Sara rozglądała się dookoła, patrząc na powozy, uździenice, stare narzędzia kowalskie.

- To jest stary zamek, a my jesteśmy w stajni. Posiadłość robi wrażenie, jakby opuszczono ją przed dwustu laty.

- Niewykluczone - uśmiechnęła się podekscytowana. - Może tu są duchy!

William w drodze powrotnej zaczął Sarę straszyć jęcząc jak duch. Wrócili do drogi i wspięli się na pagórek. Znaleźli tam budowlę wyglądającą jak zamek z bajki lub z sennego marzenia. Nie była tak wiekowa jak Whitfield czy zamek George'a i Belindy, w którym się poznali, ale William oceniał ją na dwieście pięćdziesiąt do trzystu lat. Podeszli bliżej, by podziwiać resztki wspaniałej architektury. Smętne ruiny dawnej świetności otaczały ogrody i park, być może nawet zaprojektowany niegdyś na kształt labiryntu, teraz zaniedbany i zarośnięty. Brama wejściowa była zaiste królewska. William próbował otworzyć drzwi i okna, chcąc zajrzeć do środka, ale były zamknięte. Tylko dziury w zbutwiałych deskach ukazywały tajemnice zaniedbanych komnat; widzieli śliczne podłogi, delikatnie profilowane gzymsy i wysoko osadzone sufity. Nie można było

wypatrzeć nic więcej, ale resztki dawnej świetności robiły wrażenie: jakby cofnął się czas. Znow są w epoce Ludwika XIV, może XVI. Zza zakrętu wylania się karetą pełna mężczyzn w perukach i atłasowych spodniach.

- Jak myślisz, co tu się mieściło? - zapytała Sara, bardzo zaintrygowana tym, co zobaczyła.

- Okoliczni mieszkańcy powinni wiedzieć. To jest zbyt potężna posiadłość, żeby jej dzieje były tajemnicą.

- Myślisz, że nadal do kogoś należy? Wyglądała tak, jakby opuszczono ją przed laty, ale przecież musiała mieć jakiegoś dysponenta.

- Musi mieć właściciela. Ale wyraźnie nie jest nią zainteresowany albo nie może sobie pozwolić na jej utrzymanie.

Stan posiadłości był rzeczywiście dramatyczny, nawet marmurowe schody od frontu były mocno uszkodzone. Wszystko razem robiło wrażenie, jakby ją porzucono przed dziesiątkami lat.

Sara rozglądała się wokół i jej oczy lśniły jak gwiazdy.

- Czy nie byłbyś zachwycony będąc posiadaczem czegoś tak wspaniałego, mogąc rozłożyć wszystko na części, a potem złożyć tak, by wyglądało jak dawniej... wiesz, odrestaurować wszystko zgodnie z przekazami przeszłości.

Oczy Sary błyszczały, a William udawał, że jest przerażony taką hipotezą.

- Czy masz pojęcie, jaka to byłaby praca? Możesz to sobie wyobrazić... nie mówiąc już o kosztach. Potrzebna by tu była armia robotników i cały bank Anglii musiałby się do tego dołożyć.

- Ale pomyśl, jaki piękny byłby wynik. To miejsce jest tego warte.

- Dla kogo? - roześmiał się, patrząc na nią z rozbawieniem. Od czasu, gdy się poznali, nic jej tak bardzo nie podekscytowało. - Dlaczego tak to bierzesz do serca? Ta budowla to absolutna ruina.

Prawdę mówiąc, jego też poniosły emocje. Ale ogrom pracy, jaką trzeba byłoby tu włożyć, nie był drobnostką.

- Zapytamy o to, gdy wrócimy na szosę. Jestem pewien, że dowiemy się, iż właściciele zostali zamordowani, a w tym miejscu straszny - droczył się z nią przez całą powrotną drogę do samochodu, ale Sara nie chciała go słuchać. Ta siedziba była najpiękniejszym miejscem, jakie widziała w życiu i gdyby tylko mogła, kupiłaby ją natychmiast. Twierdziła tak z zapalem, a William był gotów uwierzyć.

W pobliżu głównej drogi spotkali starego wieśniaka, którego William zapytał po francusku o ruiny zamku. Miał im mnóstwo do powiedzenia. Sara bardzo starała się pojąć, o czym mówi ten człowiek, i w większości rozumiała, co mówi. Później William objaśnił jej szczegóły. Posiadłość nosi nazwę Chateau de la Meuze i została opuszczona w końcu lat pięćdziesiątych XIX wieku.

Przez dwieście z górą lat zamieszkiwała ją ta sama rodzina, której ostatni członek zmarł bezpotomnie. Następnie zamek przeszedł we władanie kuzynów i dalszych krewnych - stary wieśniak nie wiedział, do kogo teraz należy. Twierdził, że kiedy był małym chłopcem, mieszkali tu jacyś ludzie: stara kobieta, która nie troszczyła się o zamek - hrabina de la Meuze, spokrewniona z królewską rodziną. Ale zmarła i odtąd majątek niszczeje.

- Jakie to smutne. Dlaczego nikt nie stara się tego uporządkować?

- Prawdopodobnie chodzi o koszty. Francuzi przeżywali trudne czasy. A takie posiadłości niełatwo utrzymać, nawet jeśli się je odbuduje.

William miał świadomość, ile pieniędzy i wysiłku wymaga utrzymanie Whitfield, a tu koszty byłyby bez porównania większe.

- Uważam, że to wstyd. - Sara spojrzała ze smutkiem, mając na myśli stary dom i to, jak musiał wyglądać kiedyś. Z wielką chęcią zawinęłaby rękawy i pomogła Williamowi w jego odbudowie.

Wrócili do samochodu - przyglądał się żonie z zaciekawieniem.

- Czy mówisz poważnie, Saro? Czy naprawdę mogłabyś pokochać to miejsce? Czy istotnie chciałabyś zrobić coś takiego?

- Bardzo bym chciała - jej oczy zabłyśły.

- To jest straszliwa robota. W dodatku nie przyniesie oczekiwanego rezultatu, jeśli choć w części nie wykona się jej samemu. Będziesz musiała zawinąć rękawy i pracować razem z robotnikami, przybijając i wykonywać różne renowacyjne prace. Widziałem, jak George i Belinda restaurowali swój dom - nie masz pojęcia, jaki to bezmiar pracy.

Wiedział jednak również, jak bardzo kochają swoją rezydencję, jaka więź powstaje między ludźmi a starymi murami podczas takiego mozołu.

- Tak, ale zamek George'a i Belindy jest bardziej wielopłaszczyznowy i dużo starszy od tego - odrzekła Sara marząc o czarodziejskiej różdżce, która pozwoliłaby jej zostać właścicielką Chateau de la Meuze.

- Tu też nie byłoby łatwiej - powiedział przytomnie William. - Trzeba by odrestaurować absolutnie wszystko, nawet domek stróża, powozownie i stajnie.

- Nie dbam o to - powiedziała z uporem. - Bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła coś takiego zrobić.

Popatrzyła na Williama.

- O ile mi pomożesz.

- Nigdy mi nie przychodził do głowy taki projekt. Doprowadzenie do porządku Whitfield zajęło mi piętnaście lat, ale nie wiem doprawdy... mówisz tak przekonująco - uśmiechnął się uszczęśliwiony. Niczego nie potrafił jej odmówić.

- To mogłoby być takie cudowne... - oczy Sary rozbłysły, a William utonął w tym spojrzeniu. W jej rękach był miękki jak wosk.

- Ale we Francji? A co z Anglią?

Starła się być taktowna, ale prawda była taka, że zakochała się w tym miejscu: nie chciała jednak wywierać nadmiernej presji. Może koszty byłyby zbyt wysokie, także zbyt wiele pracy...

- Bardzo chciałabym tu mieszkać. Gdybyśmy znaleźli coś takiego w Anglii!

To jednak byłoby bez sensu. Miał już przecież zamek Whitfield, który dzięki niemu znajdował się w doskonałym stanie. Tu byłoby inaczej; własne miejsce na ziemi, które odbudowywaliby własnymi rękami, coś, co mogli tworzyć i restaurować będąc obok siebie. Sara nigdy w życiu nie była niczym tak podniecona, ale zdawała sobie sprawę, że to prawdziwe szaleństwo. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był zrujnowany zamek we Francji. Starła się o tym zapomnieć, ale do końca podróży jedyną rzeczą, o jakiej myślała, była ta posiadłość. Wszystko, czego ona potrzebuje, to rozmiłowani ludzie, rozważała. Wydawało się Sarze, że to miejsce ma własną duszę, jak zagubione dziecko lub smutny stary człowiek. Ale widocznie nie było dla niej przeznaczone i po powrocie do Paryża już nigdy nie wracała do tej sprawy. Nie chciała, by William sądził, że wywiera na niego presję, zdawała też sobie sprawę, że ta jej fascynacja jest trochę nie na miejscu.

W tygodniu przedświątecznym Paryż wyglądał wspaniale. William z Sarą wybrali się na kolację do księcia i księżnej Windsoru, do ich domu przy Boulevard Suchet, ozdobionego malowidłami Boudina. Pozostały czas spędzili sami, ciesząc się pierwszymi wspólnymi świętami Bożego Narodzenia. William telefonował do matki, by upewnić się, że nie czuje się samotna. Ale nie było o to obawy. Stale wyjeżdżała do sąsiednich posiadłości, zapraszana przez krewnych, a Wigilię Bożego Narodzenia spędziła z rodziną królewską w Sandringham na tradycyjnej kolacji. Bertie wysłał po leciwą księżnę Whitfield samochód, dwóch lokajów oraz specjalnie dla niej damę dworu.

Sara zadzwoniła do rodziców do Nowego Jorku akurat w czasie, w którym, jak przypuszczała, będą u nich na Wigilii Peter i Jane; ogarnęła ją tęsknota za domem, ale tylko na moment; William był dla niej anielsko dobry. W dzień Bożego Narodzenia dostała od niego w prezencie niebywalej piękności klejnot - pierścionek ze szmaragdem oszlifowanym tak, jak się zwykle szlifuje szafiry. Kamień ten ozdobiony był dookoła brylantami, a wykonała go znana firma jubilerska van Cleefa. Dostała też piękną bransoletkę od Cartiera, wysadzaną brylantami,

szmaragdami, szafirami i rubinami o specjalnym wypukłym szlifie, zdobioną motywami kwiatowymi. Podobna bransoleta zdobiła rękę księżnej Windsoru i Sara zwróciła na nią uwagę. Był to zaiste oszałamiający klejnot!

- Kochany, rozpieszczasz mnie! - Zachwyciły ją absolutnie wszystkie prezenty: torebki i szale, książki kupione u bukinistów znad Sekwany, drobiazgi, które ją rozśmieszały, na przykład lalka podobna do lalki z jej dzieciństwa. Wszystko o niej wiedział, ciągle o niej myślał i do tego był wprost niewiarygodnie szczodry.

Sara kupiła Williamowi u Carla Faberge złotą papierośnicę ozdobioną emalią, z wygrawerowaną w 1916 roku dedykacją dla cara od carycy Aleksandry, wspaniałą strój do jazdy konnej od Hermesa, który bardzo mu się podobał, i stylowy zegarek od Cartiera. Na odwrocie był wygrawerowany napis: "Pierwsze Boże Narodzenie, Pierwsza Miłość i moje serce - Sara". Gdy William przeczytał tę inskrypcję, łzy zakręciły mu się w oczach; poprowadził Sarę do łóżka i znowu opanowały ich miłosne emocje. Większą część pierwszego dnia świąt spędzili w łóżku na wspólnych igraszkach, zachwyceni, że nie wrócili do Londynu na świąteczne uroczystości.

Obudzili się późnym popołudniem - Sara z wolna otworzyła oczy i spojrzała na Williama spod przymrużonych powiek. Pocałował ją w szyję i po raz kolejny wyznał jej miłość.

- Mam dla ciebie jeszcze coś - nie był pewny, czy to się jej spodoba. Najbardziej szalony postępek, najbardziej niedorzeczny moment w jego życiu. Ale miał uczucie, że ona może to naprawdę pokochać. Gdyby tak się stało, rzecz warta byłaby tego ambarasu. Wyjął z szuflady małe pudełeczko, owinięte w złoty papier i przewiązane cienką złotą wstążeczką.

- Co to jest? - Spojrzała z ciekawością dziecka, a on ciągle był pełen wewnętrznego niepokoju.

- Otwórz.

Otworzyła powoli, ostrożnie, zastanawiając się, czy to kolejny klejnot. Pakunek był niezbyt wielki. Po zdjęciu papieru ukazało się małe pudełeczko, a w środku małe domki zrobiony z pudełka od zapalek. Nie wiedziała, co to jest, i przeniosła na Williama pytające spojrzenie.

- Cóż to jest, kochany?

- Otwórz - powiedział zduszonym głosem.

Wewnątrz pudełka była mała karteczka, a na niej napis: "Le Chateau de la Meuze. Wesołych Świąt 1938 roku. Od kochającego Williama".

Sara przeczytała te słowa i spojrzała na męża ze zdumieniem. Nagle zrozumiała, co zrobił; krzyknęła zaskoczona, nie mogąc uwierzyć, że zrealizował jej wariackie mrzonki. Prawdą było, że nigdy niczego nie pragnęła tak bardzo.

- Kupiłeś go? - zapytała oszołomiona, zarzucając mu ręce na szyję niepohamowanym gestem. Naga przytuliła się do niego w nagłej ekscytacji. - Naprawdę to zrobiłeś?

- Należy do ciebie. Nie jestem pewien, czy jesteśmy szaleni, czy genialni. Może stać się wielką wygraną na loterii przeznaczenia. Ale jeśli go nie chcesz, możemy sprzedać ziemię i pozwolić, by murszał dalej, albo w ogóle o tym zapomnieć.

Nie kosztowało go to zbyt drogo. Kłopotliwe było jedynie doprowadzenie transakcji do końca. Suma, jaką zapłacił, była śmiesznie mała; więcej wydał na przebudowę swego domku myśliwskiego w Anglii niż na zakup Chateau de la Meuze z całą ziemią i towarzyszącymi budynkami.

Sara dosłownie wychodziła z siebie, a William był zachwycony, że sprawił jej taką przyjemność. Sprawa trochę się skomplikowała. Było czterech spadkobierców: dwóch we Francji, jeden w Nowym Jorku i jeden zakopany gdzieś w angielskiej głuszy, ale wszystkim zajęli się prawnicy. Ojciec Sary skontaktował się z pewną panią w Nowym Jorku za pośrednictwem banku, spadkobiercy byli dalekimi krewnymi hrabiny, która zmarła przed osiemdziesięciu laty, dokładnie tak, jak powiedział im stary wieśniak. Ludzie, od których kupił zamek, nie mieszkali w nim od kilku pokoleń, ale nikt nie wiedział, co zrobić z posiadłością, jak podzielić, pozostawiono ją więc swemu losowi. Aż do czasu, kiedy odnalazła ją Sara i obdarzyła miłością.

Nagle spojrzała na Williama zaniepokojona.

- To pewnie kosztowało majątek?

Czułaby się strasznie winna, gdyby tak było, nawet gdyby w głębi serca uważała, że jest tego warta. W rzeczywistości William kupił ją póldarmo. Czwórka spadkobierców była zadowolona, że wreszcie pozbywa się kłopotu, a w dodatku nikt z nich nie był szczególnie pazerny.

- Fortunę wydamy, jeśli spróbujemy odrestaurować zamek.

- Przyrzekam ci, że sama zrobię całą robotę... wszystko! Kiedy możemy tam wrócić i rozpocząć pracę? - Sara podskakiwała jak dziecko, a on rejestrował wzrokiem jej radosne gesty.

- Najpierw wrócimy do Anglii, muszę tam załatwić kilka spraw. Nie wiem... może w lutym... w marcu?

- Nie da się tego zrobić wcześniej? - Wyglądała jak mała dziewczynka w bożonarodzeniowy poranek.

- Spróbujemy. - William bardzo się ucieszył, że Sarze tak się spodobał prezent. Sam też czuł podniecenie: wspólna praca z nią przy odbudowie mogła być bardzo czarująca, choć z pewnością da się im obojgu we znaki.

- Jestem szczęśliwy, że się tak cieszysz. Miałem chwile zwątpienia, gdy myślałem, że już o wszystkim zapomniałaś; chciałem nawet zrezygnować. Twój ojciec uważa, że całkiem

zwariowałem - kiedyś muszę ci pokazać telegramy, które wymienialiśmy. Napisał, że to wygląda równie przerażająco, jak twój pomysł kupienia farmy na Long Island; teraz jest całkowicie pewny, iż oboje jesteśmy szaleni i dobraliśmy się w korcu maku.

Zachichotała radośnie na myśl o domu, po czym spojrzała na Williama, jakby go chciała zbałamucić.

- Ja też mam dla ciebie małą niespodziankę... nie chciałam nic mówić przed powrotem do Anglii, kiedy będę miała pewność, ale myślę, że to jest możliwe... może będziemy mieli dziecko. - Sara wyglądała nieco infantylnie i radośnie.

William patrzył na nią z nie ukrywanym zachwytem.

- Tak szybko? Saro, mówisz poważnie? - Nie mógł w to uwierzyć.

- Myślę, że tak. To musiało się stać w naszą noc poślubną. Będę miała pewność za kilka tygodni.

Tym razem sama zdążyła rozpoznać wczesne sygnały.

- Saro, kochana, jesteś doprawdy zdumiewająca!

W ciągu jednego wieczora zyskali rodzinę oraz nabyli zamek we Francji - tyle że dziecko był niedawno poczęte, a zamek popadał w ruinę od z górą pół wieku. Ale nic nie mogło zmącić ich radości.

Oddychali paryskim powietrzem, przechadzali się bulwarami nad Sekwaną, kochali się, jedli skromne kolacje w małych bistro - trwało to do pierwszych dni nowego roku. Wtedy wrócili do Londynu, by stać się księciem i księżną Whitfield.

Rozdział jedenasty

Zaraz po powrocie do Londynu William zaczął nalegać, aby Sara poszła do jego domowego lekarza na Harley Street. Potwierdził jej przypuszczenia. Była od pięciu tygodni w ciąży - dziecko powinno przyjść na świat w końcu sierpnia lub na początku września. Zalecił ostrożność w ciągu kilku pierwszych miesięcy ze względu na wcześniejsze poronienie. Stwierdził jednak, że jest zupełnie zdrowa i pogratulował Williamowi przyszłego dziedzica.

Pojechali na weekend do Whitfield i William z dumą zawiadomił matkę o radosnym wydarzeniu.

- Moje kochane dzieci, tak się cieszę! - Zachwyciła się, jak gdyby osiągnęli coś, czego nie udało się dokonać nikomu od czasów Nowego Testamentu. - Zauważcie, proszę, że wam zajęło trzydzieści dni to, co mnie i ojcu Williama trzydzieści lat. Należą się gratulacje za tak szybkie tempo. Sprytne z was dzieciaki!

Wzniosła za nich toast, a wszyscy jej wtórowali z zadowoleniem. Była niezmiernie szczęśliwa i raz jeszcze powtórzyła Sarze, że narodziny Williama były dla niej najszcześniejszym momentem i nic się nie zmieniło przez wszystkie lata jej długiego życia. Rady starej księżnej pokrywały się z zaleceniami lekarza; prosiła, by Sara nie przemęczała się, bo mogłoby to zaszkodzić jej dziecku.

- Czuję się doskonale - mówiła Sara i to była prawda; lekarz powiedział, że mogą się kochać, byle "rozsądnie"; nawet sobie z nich zażartował, by nie starali się bić rekordów olimpijskich. Ale William strasznie się bał, że zbliżenie może zrobić krzywdę jej lub dziecku.

- Obiecuję, że nic się nie stanie. Doktor tak powiedział.

- Skąd może wiedzieć?

- Jest lekarzem - uspokajała go.

- Nie wiadomo, czy jest taki dobry. Może powinniśmy poprosić o poradę jakiegoś innego.

- Williamie, on był lekarzem twojej matki!

- No właśnie. Jest już stary. Poszukamy kogoś młodszego.

Rzeczywiście znalazł specjalistę; aby sprawić mu przyjemność, Sara poszła na wizytę. Powiedział dokładnie to samo co miły, stary lord Allthorpe, który Sarze bardzo przypadł do gustu. Ciąża trwała już dwa miesiące i, chwała Bogu, nie było żadnych problemów.

- Kiedy pojedziemy do Francji? - spytała po zaledwie miesięcznym pobycie w Londynie. Nie mogła się doczekać, kiedy rozpoczną pracę przy swej nowej siedzibie.

- Mówisz poważnie? - William był przerażony. - Chcesz teraz jechać? Nie poczekasz, aż urodzi się dziecko?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego mam czekać tyle miesięcy, skoro już teraz możemy się wziąć do pracy? Na Boga, kochany, mój stan to nie choroba, to po prostu ciąża!

- Wiem. Ale co będzie, jeśli coś się stanie? - William wystraszył się nie na żarty; wolałby, żeby Sara traktowała tę decyzję bardziej kompromisowo. Ale nawet stary lord Alithorpe przyznał, że nie ma powodu, by pozostawała w domu, i uznał wyjazd do Francji za dobry pomysł, pod warunkiem przestrzegania pewnych rygorów.

- Lepiej będzie, jeśli się czymś zajmie - oświadczył i zasugerował, aby poczekali do marca, tak aby wyjechała dopiero po upływie pełnych trzech miesięcy ciąży. Na ten jeden kompromis Sara wyraziła zgodę. Wstrzyma się do marca, ale ani chwili dłużej. Nie mogła się doczekać, kiedy wezmą się do pracy w zamku.

William próbował wyjaśnić swoje plany w Whitfield najlepiej jak umiał, ale stara księżna ciągle przestrzegała, by Sara miała się na baczności.

- Mamo, ja próbuję, ale ona nie słucha - powiedział wreszcie w momencie rozdrażnienia.

- Ona sama jest jeszcze dzieckiem. Nie zdaje sobie sprawy ze stopnia zagrożenia. Chyba nie chce stracić tego dziecka.

Ale Sara już dawno przeszła tę lekcję. Bardziej dmuchała na zimne, niż sądził William, gdy była senna, uciniała sobie drzemkę, dużo odpoczywała. Nie miała zamiaru narażać się na niebezpieczeństwo, ale nie zamierzała też trwać w bezruchu. I tak długo wierciła Williamowi dziurę w brzuchu, aż zgodził się na wyjazd do Francji, bo wyczerpał już cały zasób perswazji. Była już połowa marca i Sara zagroziła, że pojedzie bez niego.

Wyruszyli do Paryża na pokładzie królewskiego jachtu. Lord Mountbatten jechał w odwiedziny do księcia Windsoru i uczynił honor młodej parze, zabierając ją z sobą. Dickie, jak nazywał go William i inni rówieśnicy, był bardzo przystojnym mężczyzną; Sara dotrzymywała mu towarzystwa w czasie podróży, opowiadając o zamku i pracy, jaką zamierzali wykonać.

- William, staruszkule, wygląda na to, że dokładnie wyznaczono ci zadania - mówił lord, ale i on sądził, że to dobry pomysł. Nietrudno było dostrzec, jak są zakochani i ogromnie przejęci własnymi planami.

William poprosił portiera z Ritza o wynajęcie dla nich samochodu, a w odległości dwóch i pół godziny jazdy od Paryża wyszukali mały hotelik, niedaleko od ruin ich zamku. Wynajęli całe górne piętro i postanowili zatrzymać się tam do czasu, kiedy zamek znowu będzie się nadawał do zamieszkania. Oboje zdawali sobie sprawę, że to potrwa długo.

- Wiesz, że mogą upłynąć całe lata - mruknął William, gdy obejrzelni posiadłość gruntownie. Przez dwa tygodnie rekrutował robotników, aż zebrał spory zespół, który zaczął prace od zrywania desek i obić, by sprawdzić, co znajduje się pod spodem. W każdym miejscu czekały ich

niespodzianki - niektóre były przyjemne, inne wprost przeciwnie. Główny salon okazał się wspaniałym pomieszczeniem; dalej odkryto trzy pokoje ze ścianami wykładanymi drewnem i odpadającą pozłotą na niektórych gzymsach; całości dopełniały marmurowe kominki i zachwycające podłogi. Ale w niektórych miejscach drewno było zmurszałe i spleśniałe, zniszczyły je także gryzonie, które gdzieś pogryzły wspaniałe rzeźbienia.

Na parterze była też ogromna jadalnia, szereg mniejszych pomieszczeń oraz przepiękna, cała wykładana drewnem biblioteka. Parter wieńczyła istic magnacka sień, jakiej nie powstydziłby się żaden angielski zamek, i kuchnia pokryta patyną wieków. Przypominała Sarze muzea, jakie zwiedzała z rodzicami w ubiegłym roku. Sprzętów i rozmaitych narzędzi kuchennych z pewnością nikt nie używał od dwustu lat - Sara troskliwie się nimi zaopiekowała, by uchronić przed zniszczeniem. Pieczolowicie zabezpieczyli też dwie karety znalezione w powozowni.

Po wstępnych poszukiwaniach na parterze William ostrożnie wszedł na schody. Nie zgodził się początkowo, by Sara mu towarzyszyła, z obawy o zarwanie podłogi, ale stwierdził, że jest zaskakująco solidna i w końcu pozwolił, by przyszła zobaczyć piętro. Znajdowało się tam co najmniej dwanaście słonecznych pokoi, także z piękną boazerią, i uroczy salonik z marmurowym kominkiem. Okna saloniku wychodziły na główne wejście, smętne resztki dawnego parku i zamkowych ogrodów. Robiąc przegląd pokoi Sara nagle zorientowała się, że nie ma tu łazienek. Oczywiście, wtedy nie było kanalizacji - roześmiała się sama do siebie, że jest taką gapą. Kąpano się w wannach w gotowalni, korzystano z nocników zamiast z toalety.

Przed nimi mnóstwo pracy, ale gra była warta świeczki. William wyraźnie się ożywił. Wykonał rysunki dla pracowników, wyjaśniające szczegóły rekonstrukcji, przedstawił plan prac i spędził wiele godzin wydając dyspozycje. Sara nie odstępowała go ani na krok. Czyściła papierem ściernym stare drewno, odnawiała podłogi, szorowała boazerie, polerowała brązy. Na malowanie przeznaczała najwięcej czasu. Równocześnie ekipa młodych robotników wyremontowała domek dozorczy, tak aby Sara i William mogli się tam przeprowadzić z hotelu i dozorować przebieg robót.

Domek był mały - na dole znajdował się mały salonik, przylegająca do niego jeszcze mniejsza sypialnia i duża, przytulna kuchnia; na piętrze mieściły się dwie nieco większe, słoneczne sypialnie. Na razie to im musiało wystarczyć. Prawdopodobnie znalazłoby się też na parterze pomieszczenie dla służącej, gdyby Sara zechciała ją mieć.

- Czyż nie wygląda to tak, jakbyśmy szykowali następcę tronu? - drażnił się z nią William. - W grę wchodziła sprawa książęcego tytułu i dziedziczenia zamku Whitfield wraz z należącą doń ziemią.

Oboje martwili się w owych dniach nie tylko o Whitfield i zamek. W marcu Hitler dał znów o sobie boleśnie znać i zaanektował Czechosłowację, która utraciła swój samodzielny byt. W

wyniku tej niewątpliwej agresji zawładnął dziesięcioma milionami ludzi nie będących Niemcami. Zaraz potem zaczął grozić Polsce, podając w wątpliwość status Gdańska.

Tydzień później zakończyła się wojna domowa w Hiszpanii, która pochłonęła ponad milion ofiar i zostawiła kraj w ekonomicznym chaosie.

Kwiecień był jeszcze gorszy. Biorąc wzór ze swego niemieckiego kolegi, Mussolini zajął Albanię. Rządy Wielkiej Brytanii i Francji wydały tylko pomruk wściekłości i zaoferowały Grecji i Rumunii pomoc, jeśli okaże się konieczna. Wcześniej złożono analogiczną propozycję Polsce, obiecując jej pomoc w razie zagrożenia ze strony Hitlera.

W maju Mussolini i Hitler zawarli sojusz, zobowiązując się przystąpić do wojny u boku partnera; podobne negocjacje między Francją, Anglią i Rosją, przerywane i wznawiane, nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Tej wiosny cała Europa miała polityczną chandrę.

Whitfieldowie także przeżywali te napięcia, choć z drugiej strony niezmordowanie popychali prace w Chateau de la Meuze. Sara była już w szóstym miesiącu ciąży i William obserwował z niepokojem jej nadzwyczaj zaokrąglającą się sylwetkę. Pocięszał się, że oboje są wysocy, więc dziecko też może być duże. W nocy wyczuwał, jak się w niej porusza; czasem, gdy się do niej przytulał, czuł, że dziecko go kopie.

- Czy to nie boli? - pytał zafascynowany nowym życiem, jej potężniejącymi kształtami i dzieckiem, które wkrótce pojawi się jako owoc ich miłości. Ten cud wciąż go zachwycał. Kochali się od czasu do czasu, ale miał coraz większe obawy, czy nie zrobi jej krzywdy. Ona też wydawała się mniej zainteresowana. Cały czas ciężko pracowała w zamku i gdy wieczorem kładli się do łóżka, oboje byli bardzo zmęczeni. Rano robotnicy zjawiali się skoro świt, zaczynały się hałasy i walenie młotami.

W końcu czerwca przenieśli się do domku stróża, zwalniając pokoje w hotelu, który przypadł im bardzo do gustu. Byli teraz u siebie i ziemia wokół nich najwyraźniej wyszlachetniała. William sprowadził z Paryża całą armię ogrodników, którzy stosując odpowiednie zabiegi pielęgnacyjne zamienili dżunglę w ogród. Założenie parku zabrało więcej czasu, ale w sierpniu i dla niego zaświtała nadzieja; tymczasem zdumiewająco wiele zrobiono w domu. William dopuszczał już myśl, że wprowadzą się do zamku w końcu miesiąca i wtedy właśnie powinno urodzić się dziecko. Szczególnie dużo pracy poświęcał ich własnym pokojom, tak by Sara mogła czuć się wygodnie; po przeprowadzce można będzie dalej remontować pozostałe pokoje. Wykończenie wszystkiego zajmie naturalnie całe lata, ale można uznać, że w bardzo krótkim czasie dokonali wiele.

W lipcu odwiedzili ich George i Belinda. Byli pod wrażeniem ogromu ich dokonań. Przyjechali także Peter i Jane, ale dla sióstr była to zbyt krótka wizyta. Jane zachwycała się

Williamem, martwiła o Sarę i dziecko. Obiecała, że przyjedzie na dłużej po narodzinach, aby je zobaczyć, choć sama też oczekiwała kolejnego potomka. Rodzice Sary też wybierali się z wizytą, ale Edward nie czuł się dobrze - Jane zapewniała, że to nic poważnego. Poza tym Thompsonowie byli bardzo zajęci odbudową domu w Southampton. Victoria miała przyjechać jesienią, gdy dziecko będzie już na świecie.

Po wyjeździe Petera i Jane Sara czuła się samotna przez kilka dni i zawzięcie pracowała, by odegnać przykre myśli. Zapamiętała przygotowywała dla siebie pokój. Jeszcze bardziej zależało jej na pięknym wystroju sąsiedniego, który miał być pokojem dziecięcym.

- Jak ci idzie? - zapytał pewnego popołudnia William, który właśnie przyniósł jej chleb, ser i kubek parującej kawy. Nadal był czarujący dla rodziny Sary, jak i dla wszystkich, nie wyłączając jej samej. Sara kochała go bardziej niż kiedykolwiek.

- Daję sobie radę - odpowiedziała z dumą. Troskliwie złociła elementy boazerii, która teraz wyglądała lepiej niż ta, którą widzieli w Wersalu.

- Dobra jesteś - pochwalił jej pracę z delikatnym uśmiechem. - Sam bym cię wynajął.

Pocałował Sarę i zapytał:

- Czy dobrze się czujesz?

- Doskonale.

Strasznie bolały ją plecy, ale nie powiedziała mu tego za żadne skarby świata. Kochała to swoje codzienne zajęcie, a poza tym nie będzie wечно w ciąży. Jeszcze tylko trzy lub cztery tygodnie; znaleźli już niewielki przyzwoity szpital w Chaumont, gdzie będzie mogła urodzić. Praktykował tam lekarz stosownej specjalności, do którego jeździła co kilka tygodni. Doktor twierdził, że ciąża przebiega prawidłowo, chociaż ostrzegał, że dziecko będzie bardzo duże.

- Co to znaczy? - zapytała, starając się zrobić wrażenie, że zadaje to pytanie od niechcenia. W ostatnim czasie zaczęła się trochę denerwować porodem,.. ale nie chciała martwić Williama swymi obawami - wydawały się nierozsądne i wręcz głupie.

- To może oznaczać poród operacyjny - przyznał lekarz. - Cesarskie cięcie budzi sprzeciw, ale niekiedy takie rozwiązanie jest bezpieczniejsze dla matki i dla dziecka. Szczególnie gdy dziecko jest duże, a w pani przypadku tak się może zdarzyć.

- Czy będę mogła mieć więcej dzieci, gdyby tak się stało?

Przyparty do muru zawahał się i zaprzeczył ruchem głowy, czując, że musi powiedzieć prawdę.

- Na to nie można liczyć.

- A zatem nie chcę cesarskiego cięcia.

- Wobec tego proszę dużo chodzić, ruszać się, ćwiczyć, pływać, jeżeli ma pani rzekę niedaleko domu. Wszystko to ułatwi pani poród, księżno.

Zawsze składał jej niski ukłon, gdy wychodziła; Sara lubiła tego lekarza, choć nie podobało jej się to, co mówił o cesarskim cięciu. Nie wspomniała Williamowi, że dziecko jest wyjątkowo duże ani o ewentualności operacyjnego porodu. Jednego była pewna - chce mieć więcej dzieci. I zrobi wszystko, co możliwe, by nie zaprzepaścić tej możliwości.

Do porodu brakowało jeszcze tygodnia lub dwóch, kiedy Niemcy i Rosja podpisały pakt o nieagresji, słynny układ Ribbentrop-Mołotow. Potencjalnymi aliantami pozostawały jedynie Francja i Wielka Brytania. Hiszpania, zniszczona wojną domową, nie mogła wchodzić w żadne sojusze i musiała zachować neutralność.

- Sytuacja robi się poważna, nieprawdaż? - Sara zapytała cicho pewnego wieczora.

Przenieśli się już do swego pokoju w zamku. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie pozostałe do wykończenia detale, Sara uznała, że nigdy nie widziała niczego równie pięknego; dokładnie tak samo myślał William, gdy patrzył na Sarę.

- Nie wygląda to dobrze. Któregoś dnia pojedę chyba do Anglii po prostu po to, by się dowiedzieć, co myślą o sytuacji politycznej na Number Ten Downing (Number Ten Downing, czyli Downing Street 10 - adres siedziby premiera Wielkiej Brytanii w Londynie - przyp. tłum.). - Nie chciał jednak jej martwić. - Może pojedziemy tam oboje na kilka dni po urodzeniu dziecka.

Niezależnie od wszystkiego chcieli pokazać niemowlę matce Williama, Sara nie zgłaszała więc sprzeciwu wobec tego planu.

- Trudno uwierzyć, że będziemy uczestniczyć w wojnie - mam na myśli Anglię.

Zaczęła utożsamiać się z tym narodem; chociaż po wyjściu za mąż za Williama zachowała obywatelstwo amerykańskie, a on nie widział powodu, by to zmieniać. Wszystko, czego pragnęła, ograniczało się do spokoju na świecie utrzymującego się tak długo, by mogła urodzić dziecko. Nie zamartwiała się wojną, chciała jedynie mieć spokojny dom dla swego potomka.

- Nie wyjedziesz, jeśli nastąpią niepokojące wydarzenia, prawda, Williamie? - spojrzała na niego w nagłym napadzie lęku, analizując w myśli wszystkie ewentualności.

- Nie wyjadę przed urodzeniem dziecka. Przyrzekam.

- A potem? - Oczy Sary zogromniały ze strachu.

- Tylko jeśli będzie wojna. I teraz przestań się już tym martwić. To teraz niezdrowe dla ciebie. Nigdzie nie wyjeżdżam, chyba że z tobą do szpitala, głuptasku.

Leżąc w nowiutkim pokoju czuła lekkie bóle, ale nad ranem ustąpiły i Sara poczuła się lepiej. Nie będę martwić się teraz o wojnę - po prostu niepokoję się o dziecko - zganiła się w duchu zaraz po wstaniu.

Pierwszego września Sara pracowała w pocie czoła piętro wyżej, gdzie mieściły się małe pokoje, które w przyszłości miały stać się sypialniami dzieci. Nagie usłyszała jakiś zgiełk: ktoś na dole krzychał coś niezrozumiałego, ktoś inny zbiegał po schodach. Próbuąc odróżnić odgłosy pomyślała, że któryś z pracowników się zranił, zeszła więc do kuchni, by pomóc. Ale tam ludzie słuchali radia.

Niemiecka armia i lotnictwo zaatakowały Polskę. William też słuchał, a obok niego wszyscy robotnicy. Rozpoczęła się dyskusja, jakie ta inwazja będzie miała następstwa dla Francji. Niektórzy uważali, że Francja powinna udzielić Polsce pomocy, choć większość o to nie dbała. Mieli swoje kłopoty, rodziny, problemy, niektórzy wyrażali zdanie, że Hitlera należy powstrzymać, póki dla wszystkich nie jest za późno. Sara stała przerażona.

- Co to oznacza?

- Nic dobrego - odrzekł szczerze. Trzeba poczekać i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Właśnie skończyli układanie dachówki, okna już uszczelniono, położono podłogi, zainstalowano łazienki, ale pozostało jeszcze wiele drobnych robót. Nie ulegało wątpliwości, że lwią część pracy została wykonana. Dom był skończony i zabezpieczony przed żywiołami. Ale świat nie był już bezpieczny i nikt nie miał na to żadnego wpływu.

- Nie chcę, abyś teraz się tym zamartwiała - nalegał William. Zauważył, że od paru dni Sara kiepsko sypia i podejrzewał, że zbliża się termin rozwiązania. Chciał, by pozbyła się strachu i trosk, kiedy urodzi się dziecko. Istniało prawdopodobieństwo, że zakusy Hitlera nie skończą się na Polsce. Wcześniej czy później Wielka Brytania będzie musiała go przystopować. William wiedział, co w trawie piszczy, ale nie zwierzał się żonie.

Owego wieczoru jedli w kuchni skromną kolację i Sara jak zwykle zaczęła się o wszystko zamartwiać. William starał się odwrócić jej myśli na inne tory. Nie zamierzał mówić o polityce, chciał, by myślała o czymś przyjemniejszym. Skierował rozmowę na dom, ale jakoś z jego starań nic nie wychodziło.

- Powiedz, jak ma wyglądać jadalnia? Czy chcesz rekonstruować oryginalną dekorację, czy może wykorzystamy boazerię znaną w stajni?

- Nie wiem. - Sara wyglądała na roztargnioną. - Co ty o tym myślisz?

- Sądzę, że boazeria rozjaśniłaby pokój. Zabudowane drewnem całe ściany w bibliotece wystarczą.

- Ja też tak uważam - Sara dziubała widelcem w talerzu; wyraźnie nie miała apetytu. Zastanawiał się, czy nie jest chora, ale nie chciał wypytywać. Tego wieczora była zmęczona i zmartwiona, jak zresztą wszyscy.

- A co z kuchnią? - Właśnie odnaleziona oryginalna cegła sprzed czterystu lat bardzo intrygowała Williama. - Podoba mi się taka, jak jest, ale może ty wolałabyś coś bardziej wygładzonego.

- Nie zależy mi, naprawdę. - Nagle rzuciła mu zatroskane spojrzenie. - Słabo mi się robi na myśl o tych biednych ludziach w Polsce.

- Nie możesz teraz o tym myśleć, Saro - powiedział delikatnie.

- Dlaczego nie?

- Bo to niedobrze dla dziecka - odrzekł twardo; wstała od stołu i płacząc poczęła przemierzać kuchnię. Teraz, kiedy tak niewiele brakowało do rozwiązania, wszystko ją coraz bardziej drażniło.

- A co mają powiedzieć Polki, które są w ciąży jak ja? One nie mogą sobie pozwolić na zmianę tematu.

- To przerażające - przyznał - ale teraz, w tym momencie, nie jesteśmy w stanie tego zmienić.

- Do diabła, dlaczego nie? Dlaczego? Dlaczego ten maniak im to robi? - Mówiła z pasją i znowu usiadła, bez oddechu i z widocznym bólem.

- Saro, skończ z tym. Nie dręcz się. - Odprowadził ją na górę i ułożył na łóżku. - Nie możesz dźwigać brzemienia całego świata na swych barkach.

- To nie są moje barki, to nie jest świat, to jest twój syn.

Sara uśmiechała się przez łzy i myślała, jak bardzo kocha Williama. Był nieskończenie dobry, taki niezawodny i niezastąpiony w pracach przy odnowie zamku; nie ustawał w staraniach, ponieważ to jej zależało na tej rezydencji. Chwała Bogu, że pokochał to zajęcie!

- Czy myślisz, że ten mały potwór kiedykolwiek ujrzy światło dzienne? - zapytała zmęczonym głosem, masując sobie kark.

William powinien jeszcze zejść na dół posprzątać po kolacji, ale nie chciał Sary opuszczać, dopóki się nie odpręży; widział wyraźnie, że nie zanosi się na to, aby się wzięła w garść.

- Myślę, że w końcu jakoś wyjdzie. Dokładnie przestrzega rozkładu jazdy. Co powiedział lord Allthorpe? Pierwszego września? To dziś, opóźnienie zacznie się od jutra.

- Jest taki duży. - Martwiła się, czy będzie zdolna wydać dziecko na świat. W ostatnich tygodniach zgrubiała jeszcze bardziej. Pamiętała też, co powiedział lekarz z Chaumont o rozmiarach dziecka.

- Wyjdzie, kiedy będzie gotowy. - William pochylił się i czule pocałował ją w usta. - Odpocznij trochę. Przyniosę ci filiżankę herbaty.

Kiedy wrócił z czymś, co Francuzi określają jako napar z mięty, Sara mocno spała nawet się nie rozebrawszy. William, nie chcąc przeszkadzać, ułożył się obok niej. Rano obudziła się zdziwiona: poczuła ostry ból, ale to już się zdarzało wcześniej. Bóle pojawiały się i potem odchodziły. Ostatnio czuła się nawet silniejsza; przed porodem miała zamiar jeszcze coś wykończyć w pokoju dzieciennym. Wypełniała swój plan zapominając o troskach, odmówiła nawet zejścia na lunch. William przyniósł posiłek na górę i skarcił Sarę mówiąc, że powinna już sobie odpuścić. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła promiennie. Wyglądała lepiej i miała nieporównanie lepszy humor niż ostatnio. Odetchnął z wyraźną ulgą.

- Cóż, jedno jest pewne, w każdym razie nie poronię - poklepała się po czymś, co kiedyś było pięknym, płaskim brzuszkiem, a dziecko mocno ją kopnęło; zjadła kawałek bagietki, jabłko i wróciła do pracy. W szufladach czekały już przygotowane niemowlęce ubranka i pieluszki. Do wieczora wykonała wszystko, co sobie zaplanowała - pokój był rzeczywiście piękny. Ozdobiła go białą koronką i również białymi atłasowymi wstążkami. Stała tam stara kołyska, piękna mała szafa, znaleziona również staroświecka komoda. Sama ją oczyściła i pomalowała na biało; podłoga miała kolor lipowego miodu, leżał na niej mały aubusson (Aubusson - miasto we Francji, w którym mieści się stara tkalnia dywanów, uznana przez Colberta, słynnego ministra Ludwika XIV za manufakturę królewską. Dywany tam produkowane noszą nazwę aubusson - przyp. tłum.). Pokój emanował miłością i ciepłem, brakowało w nim jedynie dziecka.

Gdy nadeszła pora kolacji, Sara zeszła do kuchni, nałożyła na dwa talerze makaron i kawałki zimnego kurczaka. Podgrzała zupę, pokroiła chleb i zawołała męża. Nalała mu wina, ale sama nie miała na nie ochoty. Nie mogła pić, bo paliło ją potem w przełyku.

- Zrobiłaś kawał dobrej roboty - pośpieszył z pochwałą William. Wrócił właśnie z góry i wielkie wrażenie wywarła na nim energia Sary; od tygodni nie była tak ożywiona. Po kolacji zaproponowała spacer po ogrodzie.

- Czy nie powinnaś odpocząć? - był trochę zaniepokojony, że może przeszarżować. Choć miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, czekało ją wielkie i trudne przeżycie. Chciał, aby odpoczęła.

- Dlaczego? Może to dziecko urodzi się dopiero za parę tygodni? Zaczynam wierzyć, że mogłabym spędzić życie w tym stanie.

- Na to wygląda. Czy dobrze się czujesz? - przyjrzał się jej uważnie - wyglądała dobrze. Miała błyszczące, przezroczyste oczy, różowe policzki; roześmiała się rozbijając.

- Czuję się doskonale, Williamie, naprawdę.

Tego wieczoru rozmawiali o jej rodzicach, o Jane, o jego matce i domu na Long Island. Rodzice włożyli w odbudowę domu wiele pracy, a ojciec Sary twierdził, że wszystko wróci do poprzedniego stanu przed latem następnego roku. To długa perspektywa, ale zniszczenia

poczynione przez huragan były przeogromne. Chociaż przyjęli już nowego dozorcę, Japończyka z żoną, ciągle wspominali Charlesa.

Kiedy Sara spacerowała z mężem po ogrodzie, ogarnęło ją uczucie bezgranicznego szczęścia. Miejscami zaczynały wyrastać krzewy, ogród wydawał się pełen nadziei i obietnic, zupełnie jak ona.

Wrócili do domu; Sara z przyjemnością położyła się. Przez chwilę czytała książkę, potem podniosła się i przeciągnęła; wyjrzała za okno w noc rozjaśnioną romantycznym księżycem. Nowy dom był piękny, kochała wszystko, co się z nim wiązało. Spełnił marzenie jej życia.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała miękko, a William, bezustannie zachwycony jej urodą, spojrzał z miłością na Sarę. Wyglądała pięknie i młodo, choć była taka tęga. Idąc w kierunku łóżka rozejrzała się - popatrzyła na podłogę, potem na sufit.

- O Boże, coś cieknie! Musiała pęknąć jakaś rura!

Na suficie ani na ścianie nie było śladów wody, ale na podłodze było jej pełno.

William wstał zaniepokojony i skierował wzrok na sufit.

- Niczego nie widzę. Jesteś pewna?

Wskazała na podłogę. Spojrzał tam, potem popatrzył na Sarę i zrozumiał szybciej niż ona.

- Myślę, że to ty jesteś tą pękniętą rurą, gąsko - powiedział niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak jej pomóc.

- Co ty mówisz! - Poczula się dotknięta; przyniósł naręcze ręczników z łazienki, która powstała w miejscu sąsiedniego pokoju; Sarze coś nareszcie zaczęło świtać: to odeszły wody.

- Czy myślisz, że się zaczyna? Uwierzyła dopiero ujrawszy przesiąkniętą nocną koszulę. William miał rację. To było jej dzieło.

- Wezwę lekarza - powiedział wstając.

- Myślę, że nie trzeba. Uprzedzał, że od odejścia wód może upłynąć cały dzień, zanim zaczną rodzić.

- Będzie lepiej, gdy go wezwiemy.

Wiadomość, jaką otrzymał z Chaumont, znacznie pogorszyła mu humor. Profesor Vinocour (tak we Francji zwracano się do lekarzy) pojechał z trzema kolegami do Warszawy, by nieść pomoc potrzebującym. Co więcej, tej samej nocy w sąsiedniej wsi wybuchł pożar. Pojechały tam wszystkie pielęgniarki, nie było ani jednego lekarza. W szpitalu brakowało personelu i ostatnią rzeczą, jaką mogli się zająć, był zwyczajny poród, nawet jeśli chodziło o Madame la Duchesse. Książęcy tytuł nie robił na nikim wrażenia.

- Nie jest tak trudno odebrać dziecko - powiedziano Williamowi. Zaproponowano, by wezwał jakąś kobietę z sąsiedniej farmy albo kogoś z hotelu. Oni w każdym razie umyli od tego ręce.

Nie wiedział, co powiedzieć Sarze; wracał na górę ze świadomością, że powinien zabrać ją do Londynu, a już przynajmniej do Paryża. Teraz było za późno. Wprawdzie kiedyś odbierał poród szczeniaków, ale nie wiedział, jak postępować w przypadku dziecka. Sara również nie miała o tym pojęcia, była jeszcze bardziej zielona niż on; przeżyła wprawdzie poronienie, ale wtedy wszystko przebiegało pod narkozą. William nie miał żadnych leków, by uśmierzyć jej ból albo pomóc dziecku, gdyby poród przebiegał nieprawidłowo.

Nagle przypomniał sobie słowa Sary, że czasami upływa cały dzień, zanim zaczną się bóle. Zawiezie ją do Paryża. To tylko dwie i pół godziny drogi. Jest to wyśmienite rozwiązanie - zdecydował biegnąc po schodach do sypialni. Kiedy tam wszedł, dostrzegł jej przerażoną twarz. Skurcze zaczęły się nagle i były coraz częstsze. Podbiegł do łóżka i zobaczył, że Sara z trudem łapie oddech, zmagając się z wszechogarniającym bólem.

Nie ma lekarza Czy czujesz się dość silna, by pojechać do Paryża?

Zareagowała z przestraszeniem na tę sugestię.

- Nie mogę... nie wiem, co się stało nie mogę się poruszyć tak mnie strasznie boli.

- Zaraz wracam - pogłaskał ją po dłoni i zbiegł szybko po schodach, zdecydowany zasięgnąć kobiecej porady. Zatelefonował do hotelu i poprosił o pomoc. Córka właściciela, która odebrała telefon, miała zaledwie siedemnaście lat a była ogromnie nieśmiała. Wiedział od razu, że nie będzie przydatna. Dziewczyna powiedziała, że wszyscy pobiegli do pożaru, jej rodzice także.

- Jeżeli ktokolwiek się pojawi, jakaś kobieta zdolna do pomocy, proszę ją przysłać do zamku. Moja żona rodzi!

Rozłączył się i pobiegł z powrotem do Sary. Mokra od potu, z trudem oddychała jęcząc.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Przejdziemy przez to razem.

Umył dobrze ręce i wrócił z nową stertą ręczników, które rozłożył dookoła Sary. Położył na jej głowie zimny kompres; chciała mu podziękować, ale ból był zbyt silny. Odruchowo spojrzął na zegarek dochodziła północ.

- Cóż, nasze dziecko urodzi się tej nocy - udawał, że nie traci animuszu; trzymał ją za rękę, gdy walczyła z bólem. Nie miał zielonego pojęcia, co mógłby zrobić, by pomóc, a ona błagała o ratunek przy każdym skurczu.

- Staraj się to wytrzymać. Staraj się myśleć o radości, jaką przyniesie nam dziecko.

- To jest zbyt straszne, William William... Powstrzymaj to... Zrób coś! - zawodziła, a on siedział obok bezradnie, nie wiedząc jak jej pomóc. Prawdopodobnie nikt nie umiałby tego

dokonać. Targający wewnętrznosci ból wykrzywił jej twarz. Przy poronieniu doświadczyła bólu, ale to była nie do wytrzymania. Przechodziło wszelkie wyobrażenia o porodzie.

- O, Boże... och, Williamie... czuję, że się zbliża!

Odczuł ulgę, że wszystko dzieje się tak szybko, lepszy nawet - straszny ból, ale przez krótki czas. Przeżyje to. Modlił się, by poród skończył się jak najszybciej.

- Czy mogę zobaczyć? - zapytał z wahaniem, a ona kiwnęła głową i rozłożyła szeroko nogi, jakby chcąc zrobić miejsce dla dziecka; zajrzał i zobaczył główkę, tylko kawałeczek, pokryty krwią i jasnymi włoskami. Widoczny otwór miał pięć centymetrów średnicy; wydawało mu się, że dziecko urodzi się za moment. Podniecony powiedział to Sarze.

- Widzę go, kochana, już wychodzi. Wypchnij go. Dalej... wypychaj nasze dziecko... - zachęcał ją. Dało to efekt tylko na chwilę, gdy zaczęła mocno przec. Wydawało się, że dziecko jest coraz bliżej, ale za chwilę cofnęło się. Trwało to jak obłąkany taniec, jednakowy, bez żadnego postępu. Wreszcie widoczna większa część główki ukazała się oczom Williama. Wparł nogi Sary w swoją pierś, by mogła przec mocniej; ale dziecko nie ruszało do przodu, a Sara krzyczała z bólu. Pamiętała, co powiedział lekarz, że dziecko może okazać się za duże, aby mogło wyjść na świat normalną drogą.

- Saro, czy możesz przec trochę mocniej? - błagał ją.

Wydawało się, że dziecko utknęło. Trwało to już cztery godziny. Minęła czwarta, a Sara zaczęła rodzić dziecko tuż po północy. Teraz nie było już przerw między falami bólu, za każdym razem miała zaledwie kilka sekund, by złapać oddech i móc przec znowu. William widział, że wpada w przerażenie i traci nad sobą panowanie. Ponownie uchwycił jej nogi i powiedział zdecydowanym tonem:

- Przyj jeszcze... teraz... dalej... tak, dobrze... Przyj jeszcze! Saro! Przyj mocniej! - Krzyczał na nią z przykrością, ale nie było innego sposobu. Dziecko nie wyszło jeszcze na tyle, by mógł je uchwycić albo wyciągnąć. Gdy tak krzyczał, zobaczył, że główka wysunęła się jeszcze troszkę. Było już po szóstej, wstawało słońce, a dziecko jeszcze się nie narodziło.

Nadal starała się przec, ale bez skutku. Do ósmej rano straciła mnóstwo krwi. Była śmiertelnie blada, dziecko prawie się nie poruszało. Nagle na dole zrobił się ruch. Sara była ledwie przytomna i parła coraz słabiej. Nie miała już siły. Usłyszeli szybkie kroki na schodach. Emanuelle, młoda dziewczyna z hotelu, z szeroko otwartymi oczami, w niebieskiej wzorzystej sukience i fartuchu wbiegła już do sypialni.

- Przyszłam pomóc księżnej przy porodzie.

William oszacował sytuację: księżna umiera i nie będzie żadnego dziecka. Ciagle krwawiła, chociaż nie był to krwotok; dziecko nie poruszało się, a ona już nie miała siły przec, gdy

nadchodziły bóle. Tylko jęczała, wydając od czasu do czasu okrzyk bólu; wiedział, że jeśli teraz czegoś nie zrobią, straci ich oboje. Miała za sobą dziewięć godzin ciężkiej pracy, która nie przyniosła żadnego rezultatu.

Chodź szybko i pomóż mi - powiedział dziewczynie, gdy z wahaniem podeszła do łóżka. - Czy już kiedyś odbierałaś dziecko?

Mówił do niej, nie odwracając oczu od Sary. Jej skóra przybrała ołowiany odcień, wargi były sine. Wodziła za nim oczami, a William wciąż do niej mówił, starając się, by nie zmorzył jej sen.

- Saro, słuchaj, musisz przeć tak mocno, jak tylko możesz. Słuchaj mnie, Saro. Przyj! Teraz!

Nauczył się rozpoznawać skurcze, trzymając rękę na jej brzuchu. Potem znowu odezwał się do dziewczyny z hotelu.

- Czy wiesz, co zrobić?

- Nie. Widziałam jedynie zwierzęta - powiedziała z mocnym francuskim akcentem, ale dobrą angielszczyzną. - Sądzę, że musimy teraz wypchnąć je z niej albo...

Nie chciała powiedzieć, że jego żona może umrzeć, ale wiedzieli o tym oboje.

- Wiem. Chcę, abyś naciskała brzuch tak mocno, jak tylko możesz, wypychaj dziecko w moją stronę. Zaczniij, kiedy ci powiem... - czekał na kolejny skurcz; kiedy nastąpił, dał znak dziewczynie i znowu mobilizował Sarę - tym razem dziecko drgnęło lekko, też pewno już bardzo zmęczone. Emanuelle naciskała brzuch Sary z całej siły, choć obawiała się, że to może zaszkodzić księżnej; wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Po prostu cisnęła i cisnęła, starając się wypchnąć dziecko na zewnątrz, zanim umrą oboje.

- Czy ono wychodzi? - zapytała, a Sara uchyliła powieki i przytaknęła. Miała świadomość ich obecności, ale tylko przez moment, po czym znów zanurzyła się w morzu bólu.

- Dalej, kochanie. Przyj jeszcze. Staraj się nam pomóc - powiedział spokojnie, powstrzymując łzy, które cisnęły mu się do oczu na widok jej cierpienia. Emanuelle naparła z całą siłą. William patrzył i modlił się. Powoli z ciała Sary wyłoniła się główka; zanim zdążyli wydobyć dziecko, wydało płaczliwy jęk. Sara zadrżała, gdy usłyszała ten głos, i rozejrzała się.

- Co to jest? - zapytała wodząc wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- To nasze dziecko.

Po twarzy Williama spływały łzy. Sarę znowu poraził paroksyzm bólu. Wróciły skurcze. Teraz musieli uwolnić ramiona dziecka, aby mogło wydostać się na świat. Teraz pomagał William, usiłując oswobodzić zaklinowane rączki, czuł, jak jego pot miesza się z krwią matki i łzami dziecka. Sara nie mogła już im pomóc. Była zbyt wyczerpana, a dziecko za duże. Lekarz z Chaumont miał rację. Nie powinna próbować rodić siłami natury.

- Przyj jeszcze! - krzyknął na nią William, a Emanuelle dalej uciskała jej brzuch, jakby chciała usiąść na Sarze. Dziecko wysunęło się jeszcze trochę, William ujął je za ramię, ale nie mógł uchwycić drugiego. Nagle przypomniały mu się szczenięta, którym pomagał przy urodzeniu przed wieloma laty. Jedno z nich zachowywało się tak samo: w żaden sposób nie chciało wyjść na świat, co sprawiało, że suka wiła się z bólu. Pamiętał ulgę, którą odczuł, gdy uratował oboje. Szczeniak był nadzwyczaj wielki, podobnie jak jego dziecko.

Gdy kolejna fala bólu przeszła Sarę, William zwinął dłoń i sięgnął do środka. Delikatnie obrócił dziecko tak, aby ustawiło się pod innym kątem i jednocześnie ostrożnie wymacał drugie ramię. Sara krzyknęła z przerażenia i zaczęła się bronić.

- Przytrzymaj ją! - powiedział dziewczynie. - Nie pozwól się jej ruszyć!

Emanuelle trzymała Sarę mocno, podczas gdy William siłą rozszerzył jej nogi i spróbował wydobyć dziecko; wtedy, z dziwnym odgłosem, uwolniły się oba ramiona, a po chwili wysunął się cały noworodek, piękny i bardzo okazały chłopiec.

William uniósł syna do góry i trzymał go w porannym słońcu, chcąc zobaczyć ten cud natury w całej okazałości; teraz już wiedział, co miała na myśli jego matka. To było prawdziwe objawienie.

Ostrożnie odciął pępowinę, podał noworodka dziewczynie, a sam troskliwie wytarł twarz Sary wilgotną tkaniną i starał się powstrzymać krwawienie używając ręczników.

Teraz Emanuelle wiedziała, co robić. Delikatnie ułożyła dziecko na malutkim posłaniu z koca i podeszła do Williama.

- Musimy bardzo mocno uciskać jej brzuch. Słyszałam, jak matka mówiła, że tak się postępuje z kobietami, które rodzą dużo dzieci.

Nacisnęła dolną część brzucha Sary jeszcze mocniej niż poprzednio - ugniatała go jak chleb, Sara krzyknęła słabym głosem i prosiła, aby przestała, ale zorientowała się, że dziewczyna ma rację - krwawienie osłabło i w końcu prawie ustało.

Było już południe - William nie mógł uwierzyć, że jego syn rodził się pół doby. Dwanaście godzin, które Sara i dziecko ledwo przeżyli. Bładość nie schodziła z jej twarzy, ale usta już nie były ołowianosine. Uniósł delikatnie dziecko i zaniósł Sarze, by mogła je obejrzeć. Uśmiech zagościł w kącikach ust, ale była zbyt słaba, by mogła je sama utrzymać; cała przejęta wdzięcznością wpatrywała się w Williama, zdając sobie sprawę, że to on uratował ich oboje.

- Dziękuję ci - wyszeptała cała we łzach.

William musnął jej czoło pocałunkiem i oddał syna z powrotem Emanuelle. Zabrała go na dół, by umyć, a potem położyć obok matki. William umył Sarę, poprawił łóżko, zmienił pościel.

Była zbyt osłabiona, by się samodzielnie poruszać, a nawet rozmawiać, ale wodziła za nim oczami wyrażającymi bezgraniczną wdzięczność.

To było najbardziej koszarne, a jednocześnie najpiękniejsze przeżycie w całym życiu Williama; ogarnięty emocjami, zszedł na dół zrobić jej filiżankę herbaty, do której dolał brandy. Nie mógł się przy tym oprzeć, by samemu nie łyknąć.

- To piękny bobas - stwierdziła Emanuelle obserwując Williama. - Waży ponad dziesięć funtów! - wykrzyknęła z podziwem; to wyjaśniało wszystko.

William uśmiechnął się z zachwytem i podziękował dziewczynie. Zachowała się niezwykle dzielnie i była ogromnie pomocna. Bez niej nigdy nie byłby w stanie uratować Sary i dziecka.

- Dziękuję - spojrzał na nią z wdzięcznością. - Nie uratowałbym ich bez ciebie.

Wrócili na górę do Sary. Wypiła filiżankę herbaty i uśmiechnęła się do swego malca. Wciąż była obolała i bardzo osłabiona, ale alkohol chyba trochę pomógł. Nawet tak osłabiona niepokoiła się o dziecko.

William powiedział Sarze, że dziecko waży dziesięć funtów, chciał przeproszać za to, co przeszła ale nie miał szans, by usłyszała jego słowa. Zanim zdążyła obrócić głowę na poduszce, usnęła.

Spała cztery godziny, a William obserwował ją zachowując się cichutko. Gdy obudziła się o zmierzchu, wyglądała dużo lepiej. Poprosiła, by pomógł jej dojść do łazienki. Zrobił to, a potem zaniósł z powrotem do łóżka, podziwiając odporność płci pięknej.

- Bardzo się o ciebie martwiłem - wyznał już w sypialni. - Nie miałem pojęcia, że dziecko będzie takie duże. Dziesięć funtów to nie spotykana waga.

- Lekarze mi to powiedzieli - odrzekła, ale nie przyznała się, że odmówiła cesarskiego cięcia z obawy, że mogłaby nie mieć więcej dzieci. Wiedziała, że gdyby poinformowała Williama, iż jest choćby cień podejrzenia, kazałby jej jechać do Londynu. Cieszyła się, że do tego nie doszło, że okazała się taka dzielna, nawet jeśli była przy tym trochę niemądra. Po pierwszym dziecku przyjdą na świat następne... Pierwszego syna nazwą Philhp Edward, po dziadku Williama i jej ojcu. To najpiękniejszy malec na świecie - pomyślała, po raz pierwszy trzymając swego syna w ramionach.

Emanuelle dopiero o zmierzchu wróciła do hotelu. Gdy William odprowadzał ją po schodach, zauważył, że robotnicy machają do niego z oddali. Odpowiedział ręką z uśmiechem, myśląc, że gratulują mu syna, ale nagle ich gesty wydały mu się niezrozumiałe. Usłyszał słowa, które spowodowały, że krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Pobiegnął w ich kierunku.

- C'est la guerre, Monsieur le Duc... C'est la guerre (C'est la guerre, Mousieur le Duc, c'est guerre (franc.) - wojna, książę, wojna - przyp. tłum.).

Tego popołudnia Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Właśnie urodziło mu się dziecko, omal nie zmarła jego żona. Słuchał przez dłuższą chwilę ze świadomością, że musi wrócić do Anglii możliwie najszybciej. Gdyby mógł, wysłałby wiadomość już teraz. A co powie Sarze? Na razie nic, jest zbyt słaba, by znieść tę straszną nowinę. Ale wkrótce się dowie, że w takiej chwili zostanie sama z dzieckiem.

Pospieszył do sypialni, sprawdzić, jak się czuje matka i śpiące obok niej dziecko. Co za fatalny zbieg okoliczności... dlaczego właśnie teraz? Sara spojrzała na Williama spod zmęczonych powiek, jakby wyczuła napiętą atmosferę.

Co to za hałas na zewnątrz? --. zapytała słabym głosem.

- To nasi pracownicy, przyszli pogratulować ci wydania na świat takiego pięknego chłopaka.

- Miło z ich strony. Uśmiech szczęścia wykwitł na jej twarzy i ponownie zapadła w sen. William ułożył się obok i patrzył na Sarę z sercem struchlałym z rozpaczy.

Rozdział dwunasty

Dzień wstał słoneczny i ciepły; dziecko obudziło ich wkrótce po świetle stłumionym płaczem. William podał je Sarze i przystawił do piersi. Dziarski chłopak zdawał się dokładnie wiedzieć, co ma robić - Sara uśmiechnęła się do niego zmęczonym uśmiechem. Nadal była obolała, ale czuła się lepiej niż poprzedniej nocy. Przypomniała sobie wczorajszą bieżnię przed domem. Spojrzała badawczo na Williama i momentalnie oprzytomniała: coś się zdarzyło, o czym nie chce jej powiedzieć.

- O co chodziło wczoraj wieczorem? - zapytała miękko, a dziecko w tym czasie żarłocznie ssalo jej pierś.

William nie mógł się zdecydować, czy już teraz powiedzieć prawdę. Wiedział, że musi to zrobić. Poprzedniej nocy zadzwonił do Paryża, do księcia Windsoru; zdecydowali, że obaj wkrótce wrócą do Anglii. Wallis oczywiście pojedzie z mężem, nie ma jednak możliwości, by Sara mogła wyruszyć tak szybko. Z pewnością nie teraz, może nawet upłynąć kilka tygodni, a nawet miesięcy. Wszystko zależy od tego, jak prędko powróci do zdrowia, tego zaś nikt nie był w stanie przewidzieć. Na razie William wiedział tylko to, że w niedługim czasie będzie musiał spełnić swój patriotyczny obowiązek i zameldować się w War Office (War Office (ang.) - Ministerstwo Wojny - przyp. tłum.). Sara będzie bezpieczna we Francji, choć każda cząstka jego ciała buntowała się przeciw temu, by zostawić żonę samą. Sara bacznie wsłuchiwała się w ten jego niepokój.

- Czy powiesz mi wreszcie? - zapytała, wyciągając do niego rękę.

- Jest wojna - powiedział ze smutkiem, nie mogąc dłużej tego ukrywać. Modlił się w duchu, aby okazała się dostatecznie silna, by znieść tę nowinę i wszystkie wynikające z niej skutki. - Anglia i Francja wczoraj wypowiedziały wojnę Niemcom, właśnie wtedy, gdy rodził się Phillip.

Oczy Sary wypełniły się łzami - spojrzała na Williama z przestraszeniem.

- Co to oznacza dla ciebie? Czy będziesz musiał wyjechać?

- Tak - potwierdził ze smutkiem, załamany, że ją teraz opuszcza, ale nie miał żadnego wyboru. - Spróbuję wysłać dzisiaj telegram, że przyjadę za kilka dni. Nie chcę opuszczać zamku, dopóki nie wydobrzejesz.

Ujął delikatnie jej dłoń, wciąż mając w żywej pamięci Sarę w czasie porodu. Widok ich dwojga ocalonych cudem przesłaniał mu świat; wzdrygnął się na myśl, że musi ich opuścić.

- Poproszę Emanuelle, by została z tobą. To dobra dziewczyna.

Dowiodła tego i wiele więcej poprzedniego dnia, kiedy odbierali dziecko.

Emanuelle wróciła tego dnia zaraz po dziewiątej, nienagannie czysta w drugiej z kolei niebieskiej sukience i świeżo wykrochmalonym fartuszkem. Ciemnorude włosy zaplotła z tyłu w

gruby warkocz i przewiązała niebieską wstążeczką. Jej rodzice byli ludźmi skromnymi i pracowitymi, takie też były ich dzieci. Całe życie mieszkali w La Marolle. Emanuelle miała siedemnaście lat, a jej młodszy brat - dwanaście.

Gdy tylko Emanuelle zjawiła się w zamku, William poszedł na pocztę i wysłał telegram do War Office. Niebawem przybiegł z hotelu Henri, brat Emanuelle.

- Pański telefon nie działa - oświadczył. Książę Windsoru zostawił w hotelu telefoniczną wiadomość. HMS Kelly przyplynie nazajutrz rano do Hawru i William ma natychmiast jechać do Paryża.

Chłopiec przekazał posłanie prawie na bezdechu; William podziękował, dał mu dziesięć franków i poszedł na górę zrelacjonować wszystko Sarze.

- Otrzymałem właśnie wiadomość od Davida - rozpoczął niejasno, przechadzając się powoli po pokoju i starając utrwalić w pamięci szczegóły. - On... Bertie jutro wysyła po nas statek.

- Tutaj? - spojrzała zaskoczona. Właśnie drzemała, gdy nadawał telegram.

- Niezupełnie - uśmiechnął się i usiadł obok niej na łóżku. La Marolle znajdowało się sto pięćdziesiąt mil od wybrzeża. - Do Hawru. Chce, abym przyjechał do Paryża jutro przed ósmą rano. Wallis też ma jechać.

Spojrzał zafrasowany na żonę.

- Nie sądzę, abyś była dosyć silna, by pojechać z nami.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tak jest, ale musiał przynajmniej ją o to zapytać dla spokoju własnego sumienia; musiała leżeć, bo istniała groźba krwotoku. Ciągłe była bardzo blada i osłabiona, straciła przecież tyle krwi podczas porodu. Upłynie miesiąc, zanim odzyska siły na tyle, by móc wstać z łóżka, nie mówiąc już o wyjeździe do Paryża czy rejsie do Anglii.

W odpowiedzi Sara potrząsnęła głową ze zrozumieniem, choć bez aprobaty.

- Nie jestem zachwycony tym, że muszę cię tu zostawiać.

- Francja jest naszym sojusznikiem. Nikt nie robi nam krzywdy - szepnęła bezradnie. Nie chciała, by wyjeżdżał, ale nie miała też nic przeciw temu, by zostać w Chateau de la Meuze. Teraz tu był ich dom. - Wszystko będzie dobrze. Kiedy do nas wrócisz?

- Nie wiem. Wyślę ci natychmiast wiadomość. Zamelduję się w War Office w Londynie i dowiem, jakie mają w stosunku do mnie plany. Postaram się wrócić tak szybko, jak tylko możliwe. A kiedy ty poczujesz się już dostatecznie dobrze, przyjedziesz do domu - uśmiechnął się wyraźnie rad z tego pomysłu.

- To jest mój dom - szepnęła patrząc na niego. - Nigdzie nie wyjadę. Phillip i ja jesteśmy tu bezpieczni.

- Wiem. Ale ja czułbym się lepiej, gdybyście byli w Whitfield.

Nawet sama perspektywa wyglądała przygnębiająco. Lubiła starą księżnę, Whitfield było urokliwym miejscem, ale Chateau de la Meuze stał się ich przystanią; zbyt wiele pracy włożyli w ten wymarzony dom i teraz nie chciała go opuszczać. Było jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, część pracy będzie mogła wykonać sama, gdy siły powrócą, oczekując na powrót Williama.

- No, zobaczymy - powiedział niejasno i poszedł się pakować.

Żadne z nich nie spało tej nocy, nawet dziecko płakało bardziej niż poprzednio - Sara nie miała dostatecznej ilości pokarmu dla noworodka tak imponujących rozmiarów. O piątej rano było jeszcze ciemno, gdy William po cichu wstał. Sądził, że wreszcie usnęła.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - powiedziała zażenowana własnymi słowami.

Podszedł do Sary, pogładził jej dłoń i twarz. Zżerała go zgryzota, że musi ich opuścić.

- I ja tego nie chcę. Odegnaj przykre myśli i miejmy nadzieję, że to się wkrótce skończy. Niebawem powrócą wspólne dobre czasy.

Pokiwała głową z niedowierzaniem; odsuwała starannie myśli o Hitlerze i jego ofiarach w Polsce.

Pół godziny później William był już ogolony i ubrany. Sara wstała, gdy ponownie zjawił się przy jej łóżku. Zakręciło się jej w głowie, ale mocne ramię męża natychmiast ją podtrzymało.

- Broń Boże nie odprowadzaj mnie na dół, mogłabyś sobie zrobić krzywdę idąc z powrotem.

Wciąż była bardzo słaba, mogła zemdleć i uderzyć się w głowę; wiedziała dobrze, że nie ma dość siły, by go odprowadzić.

- Kocham cię... Proszę, uważaj na siebie... William... bądź ostrożny... kocham cię - połykała łzy; jego również coś ścisnęło za gardło. Spróbował się uśmiechnąć i pomógł jej wrócić do łóżka.

- Przrzekam, ty też bądź ostrożna... i opiekuj się starannie lordem Phillipem.

Z czułością spojrzął na syna. Dorodny chłopiec miał duże niebieskie oczy i płowe kędziorki; William twierdził, że wygląda dokładnie tak samo, jak on na fotografiach z dzieciństwa.

Uścisnął Sarę mocno, otulił kołdrą i ucałował, gładząc kaskadę ciemnych włosów spływających na jej ramiona.

- Wróc do sił... Ja przyjadę jak najszybciej... Kocham cię... tak bardzo - szeptał urywanym głosem, szczęśliwy, że przeżyła.

Przemierzył pokój i po raz ostatni spojrzął na nią od progu.

- Kocham cię - powiedział prawie bezgłośnie i wyszedł.

- Kocham cię...! - krzyknęła tak, że usłyszał te słowa już na schodach. - William! Kocham cię!

- ...Ja też ciebie kocham - słowa wróciły do niej echem. Usłyszała westchnienie zamykających się frontowych podwoi. Po chwili dotarł do niej odgłos zapalnego silnika. Wstała z łóżka i zobaczyła, że wóz Williama znika za zakrętem, kierując się w stronę bramy wjazdowej. Zalała się łzami - spływały na policzki i nocną koszulę. Nie przestając zanosić się szlochem, położyła się do łóżka. Wkrótce potem Phillip zaczął się domagać pokarmu, a wreszcie przyszła Emanuelle, która zamierzała się do nich wprowadzić na stałe i pomagać księżnej przy dziecku. Była to dla niej szansa życiowa - bardzo podziwiała Sarę, szalała za dzieckiem, któremu pomogła się urodzić, przy tym nigdy nie zachowywała się nazbyt poufale. Jak na swój wiek, była wyjątkowo zrównoważona i stanowiła dla Sary nieocenioną pomoc.

Po wyjeździe Williama dni nie miały końca. Upłynęły całe tygodnie, zanim Sara zaczęła odzyskiwać siły. W październiku Phillip skończył pierwszy miesiąc życia. Zatelefonowała też z Paryża księżna Windsoru. Widzieli się z Williamem przed samym wyjazdem z Londynu - wyglądał doskonale. Został przydzielony do RAF-u (RAF - Royal Air Force (ang.) - Brytyjskie Siły Powietrzne - przyp. tłum.), stacjonował na północ od Londynu. Księcia Windsoru odesłano z powrotem do Paryża w stopniu generała majora i przydzielono do Misji Wojskowej przy francuskim Naczelnym Dowództwie. Takie stanowisko oznaczało przede wszystkim masę obowiązków towarzyskich, co idealnie odpowiadało obojgu. Wallis jeszcze raz pogratulowała Sarze urodzenia syna i zaprosiła w odwiedziny do Paryża, gdy poczuje się trochę mocniejsza. William opowiedział im, co przeżyła, i Wallis przestrzegła Sarę, by oszczędzała siły i nie przemęczała się. Sara znów weszła w kierat domowych obowiązków, doglądając wszystkiego i wykonując drobne prace. Zatrudniła kobietę z hotelu do sprzątania, a Emanuelle pomagała jej przy dziecku. Malec był duży i silny - w ciągu czterech tygodni przybrał na wadze dalsze trzy funty. Henri, brat Emanuelle, załatwiał sprawunki. Większość mężczyzn i młodych ludzi, którzy byli zatrudnieni w zamku, wzięto do wojska. Zniknęli nawet szesnasto- i siedemnastoletni chłopcy, którzy poszli do wojska jako ochotnicy. Wydawało się, że we Francji zostały jedynie kobiety i dzieci.

Sara miała wiadomości od Williama. Docierały jego listy, raz zatelefonował. Twierdził, że na razie nic wielkiego się nie dzieje; prawdopodobnie uda mu się przyjechać do Francji w listopadzie.

Odezwali się rodzice - bardzo chcieliby, by wróciła do domu i przywiozła dziecko. Akwitania na przekór wszystkim obawom przyплыnęła do Nowego Jorku zaraz po rozpoczęciu wojny, ale Sara ciągle była zbyt słaba, więc nawet nie proponowali jej takiej podróży. Potem z Nowego Jorku przyплыnęły trzy statki - Manhattan, Washington oraz The President Roosevelt, aby zabrać Amerykanów do bezpiecznego kraju. Sara jednak przekonywała Williama, że jest

bezpieczna w swojej twierdzy; to samo pisała w listach do rodziców. Nikt nie aprobował do końca słuszności jej decyzji. Byli przerażeni, że zdecydowała się zostać we Francji, kraju, który jest stroną w tej wojnie, ale ona twierdziła, że to absurd. Życie wokół Chateau de la Meuze toczyło się spokojnie, okolica była zupełnie bezpieczna.

W listopadzie Sara wróciła zupełnie do zdrowia. Chodziła na długie spacery, często biorąc ze sobą Phillipa. Pracowała w ogrodzie, dopieszczała swoją ulubioną boazerię, wykonywała nawet cięższe roboty w stajni, oczywiście z pomocą Henriego. Ale z hotelu zabrano wszystkich pracowników, musiał więc służyć pomocą rodzicom. Henri był bardzo miłym chłopcem. Najwyraźniej garnął się do zamku, podobnie jak Emanuelle. Sara nie potrzebowała już jej asysty w nocy, dziewczyna przeniosła się więc do domku dozorczy i rano przychodziła do pracy.

Pewnego popołudnia w końcu listopada Sara wracała do domu z lasu, nucąc Phillipowi jakąś piosenkę. Niosła go w nosidlach zrobionych przez Emanuelle. Mały właśnie usypiał, gdy dotarła do drzwi wejściowych i wkroczyła do środka. Nagle krzyknęła - wewnątrz stał William, ubrany w mundur i przystojniejszy niż kiedykolwiek. Podbiegła i rzuciła mu się w ramiona. William objął ją, starając się nie przydusić dziecka. Szybko zdjęła nosidła odkładając je ostrożnie. Przestraszony jej krzykiem Phillip zaczął płakać, ale Sara myślała teraz jedynie o Williamie.

- Bardzo za tobą tęskniłam... - przemówiła schrypniętym głosem, z twarzą wciśniętą w jego pierś; przytulał ją tak mocno, że ginęła w jego ramionach.

- Boże, jak ja tęskniłem - odsunął Sarę na długość ramienia, aby się jej przyjrzeć. - Znowu wyglądasz cudownie.

Była szczuplejsza, ale wyglądała dobrze i zdrowo.

- Jesteś piękna - rzekł wpatrując się w nią tak, jakby chciał ją pożreć. Objęła go i pocałowała ze śmiechem.

Emanuelle usłyszała rozmowę. Widziała przyjazd księcia i teraz pojawiła się, by zabrać dziecko. Wkrótce trzeba je będzie nakarmić, ale chciała sprawić, żeby mogli być sami choć na krótką chwilę. Trzymając się za ręce, rozmawiając i śmiejąc poszli na górę. Sara zadawała Williamowi tysiące pytań na temat jego służby: dokąd ma jechać, gdzie był dotąd i co z nim zrobią po zakończeniu szkolenia. Latał w RAF-ie już wcześniej i potrzebował jedynie uzupełniających ćwiczeń na nowym sprzęcie. Obowiązywała tajemnica, nie mógł jej powiedzieć wszystkiego, co wie. Skierowano go do Bomber Command (Bomber Command (ang.) - Dowództwo Brytyjskiego Lotnictwa Bombowego - przyp. tłum.), gdzie miał latać na bombowcach Blenheim. Całą tę rozmowę potraktował lekko nie chcąc martwić Sary. Wyraził jednocześnie opinię, że Anglicy odnoszą się do wojny bardzo poważnie.

- Tu też tak traktują wojnę - odparła. - Nie pozostał już nikt z wyjątkiem Henriego, jego kolegów i grupy mężczyzn zbyt starych, by pracować. Robimy wszystko same z Emanuelle oraz Henrim. Prawie wykończyłam już stajnię. Poczekaj aż zobaczysz!

Zamierzał przeznaczyć połowę stajni dla koni, kilka wierzchowców planował sprowadzić z Anglii; resztę pomieszczeń podzielono na małe pokoje dla służby i sypialnie dla pracowników sezonowych. Był to świetny pomysł - przy takim rozwiązaniu znalazły się pomieszczenia dla około czterdziestu lub pięćdziesięciu osób i co najmniej tyluż koni.

- Wygląda na to że wcale mnie tu nie potrzebujesz - poskarżył się rozczarowany. Może powinienem zostać w Anglii.

- Nie wąż się! - wspięła się na palce i pocałowała go; weszli do sypialni. William obrócił ją ku sobie i pocałował bardzo mocno; bardzo się za nią stęsknił.

Zamknął drzwi i popatrzył na żonę z uwielbieniem, a Sara zaczęła odpinać guziki munduru. William ściągnął z niej gruby sweter - rozpoznał w nim jeden ze swoich. Odrzucił go daleko i oczom jego, jak cudowny podarunek, ukazały się pełne piersi Sary i jej znowu wąska talia. Wprost trudno było uwierzyć, że urodziła dziecko.

- Saro... jesteś taka piękna - przyplływ namiętności odmienił rysy twarzy, czuł rosnące podniecenie. Nigdy nie pragnął jej tak bardzo. Natychmiast odnaleźli się nawzajem i dali upust swojej tęsknocie.

- Bardzo mi ciebie brakowało... - wyznała Sara.

- Ani w połowie tak bardzo, jak mnie brakowało ciebie - stwierdził.

- Jak długo możesz zostać?

Zawahał się - teraz wydawało mu się, że to tak krótko, choć początkowo uznał to za dar losu.

- Trzy dni. To niewiele, ale musi wystarczyć. Mam nadzieję wrócić na święta.

Przypadały za miesiąc, przynajmniej będzie miała na co czekać. Ale teraz nie była w stanie znieść myśli, że znów ją opuści.

Długo leżeli obok siebie, a potem usłyszeli Emanuelle z dzieckiem w sąsiednim pokoju; Sara włożyła szlafrok i poszła po Filipa.

Przyniosła dziecko do sypialni, bo głośno domagało się kolacji. William uśmiechał się obserwując, jak żarłocznie ssie, dławi się mlekiem i wydaje mnóstwo śmiesznych odgłosów.

- Ma fatalne maniery, prawda? - uśmiechnął się William.

- Trzeba będzie nad nimi popracować. - Sara przystawiła Phillipa do drugiej piersi. - To okropna mała świnka. Chciałby jeść bez przerwy.

- I tak wygląda. Jest trzy razy większy niż w momencie narodzin, a już wówczas uważałem, że jest godny podziwu.

- Wiem coś o tym - powiedziała Sara ze smutkiem; William zastanowił się nad czymś, co wcześniej nie przyszło mu do głowy.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Czy chcesz, abym uważał?

Potrząsnęła odmownie głową i uśmiechnęła się. Chciała mieć dużo więcej dzieci.

- Oczywiście, że nie, ale nie sędzę, abyśmy musieli się o to martwić. Nie mogę zająć w ciążę, kiedy karmię.

- To jeszcze lepiej - zażartował. Podobnie jak podczas miesiąca miodowego, trzy następne dni spędzili przeważnie w łóżku. W przerwach Sara oprowadzała Williama po posiadłości, by pokazać, jakie zmiany zaszły pod jego nieobecność. Największe wrażenie zrobiła na nim stajnia.

- Jesteś doprawdy wyjątkowa! - pochwalił. - Nie byłbym w stanie sam tego zrobić, w każdym razie nie bez czyjejś pomocy. Jak tego dokonałaś?

Spędziła tu wiele, wiele wieczorów, piłując, wbijając gwoździe do późnej nocy, podczas gdy mały Phillip leżał obok niej w kołysce, okutany kocykiem.

- Nie miałam innego zajęcia - uśmiechnęła się. - Kiedy wyjechałeś, nie było tu specjalnie co robić.

William odpowiedział smutnym uśmiechem.

- Poczekaj, aż on cię zaangażuje. Zapewni ci tyle pracy, że na nic więcej nie starczy czasu.

- A co z tobą? - zapytała przygnębiona, gdy już wracali do zamku. Dobre trzy dni się kończyły, opuszczał ją następnego ranka. - Kiedy znowu zjawisz się w domu? Jak mają się sprawy w tym najgorszym ze światów?

- Dość paskudnie.

Opowiedział jej trochę szczegółów - przynajmniej częściowo - o tym, co wydarzyło się w Warszawie: łapanki, pogromy, zwały trupów, także dzieci, które walczyły o wolność i ją przegrały.

Również z Niemiec dochodziły niepokojące wieści. Chodziły słuchy, że Hitler może zająć Holandię, choć jak dotąd tego nie zrobił; Anglicy starali się utrzymywać go w ryzach, co nie było łatwe.

- Chciałbym wierzyć, że to się wkrótce skończy, ale nie ma żadnej pewności. Może ten karłowaty łobuz się wycofa, jeśli go dobrze nastraszymy. Ale to niespokojny duch.

- Nie chcę, aby ci się coś stało - powiedziała przerażona.

- Kochanie, nic się nie wydarzy; byłyby to dla nich straszliwy ambaras, gdyby coś mi się stało. Wierz mi, War Office będzie na mnie chuchać. To po prostu poprawia samopoczucie

żołnierzy, gdy widzą kogoś takiego jak ja, ubranego w identyczny mundur i bawiącego się w to samo co oni.

Miał trzydzieści siedem lat i było mało prawdopodobne, by chciano go użyć na pierwszej linii frontu.

- Mam nadzieję, że masz rację.

- Na pewno mam. Przyjadę do domu przed świętami Bożego Narodzenia.

Zaczynało mu się podobać, że Sara została we Francji. W Anglii panowało takie podniecenie i strach, a w porównaniu na przykład z Londynem La Marolle wydawało się oazą spokoju. Odnosiło się wrażenie, że na świecie nic się nie stało. Jedyna różnica polegała na tym, że nigdzie nie widywało się mężczyzn.

Ostatnią noc spędzili w swoich objęciach - Sara zasnęła w jego ramionach. William musiał ją obudzić z głębokiego, szczęśliwego snu, gdy dziecko zapłakało. Nakarmiła malca i kochali się znowu.

Rano William chyłkiem wymknął się z łóżka.

- Wkrótce wrócę, moje kochanie - obiecał wychodząc; tym razem jego wyjazd nie robił tak strasznego wrażenia. Czuł się dobrze, był bezpieczny, wydawało się, że nie zagraża mu żadne realne niebezpieczeństwo.

Tak jak obiecał, pojawił się miesiąc później, dwa dni przed świętami. Dzień Bożego Narodzenia spędził spokojnie z Sarą; dostrzegł coś, co widział już wcześniej.

- Przytyłaś troszeczkę - zauważył.

Nie wiedziała, czy jest to komplement, czy się nad nią użala. Zaokrągliła się w talii, jej biodra i piersi stały się pełniejsze. Upłynął zaledwie miesiąc od jego wyjazdu, a jej sylwetka zmieniła się, nieco zaokrągliła.

- Czy to możliwe, abyś znowu była w ciąży?

- Nie wiem. - Drgnęła leciuteńko i wyglądała na trochę zażenowaną; jej samej też przyszło to do głowy. Od czasu do czasu miała lekkie mdłości, czuła senność. - Nie sądzę.

- A ja myślę... że jesteś - zawiesił głos dla większego efektu, ale zaraz zaczął się martwić. Nie chciał jej znowu zostawiać samej. Wspomnił o tym w nocy pytając, czy zechce pojechać do Whitfield.

- To głupota, Williamie. Nie mamy przecież żadnej pewności, że jestem w ciąży.

Nie chciała wyjeżdżać z Francji w ciąży czy nie. Uwielbiała przebywać na swoich śmieciach, w ich zamku, pracować dotąd, aż zostanie wykończony, i zajmować się dzieckiem.

- Przyznaj się, ty także przypuszczasz, że jesteś w ciąży, prawda?

- Nie wykluczam tego.

- Ty małpiszonie!

Ale to stwierdzenie tylko go podnieciło i zaraz odczuli tego rezultat.

William ofiarował Sarze prezent na święta, jedyny, jaki zdołał przywieźć - piękną szmaragdową bransoletę swej matki. Była wykonana z wielkich kaboszonów (Cabochoń (franc.) - szlachetny lub półszlachetny kamień o specjalnym, wypukłym szlifie.), otoczonych bardzo starymi brylantami, i została przed laty zamówiona u Garrarda przez pewnego maharadżę. Nie był to klejnot, który nadawałby się do noszenia na co dzień, ale po powrocie Williama, gdy znowu zaczęły być w wielkim świecie, będzie jak znalazł.

- Czy nie jesteś rozczarowana, że mam dla ciebie tylko taki skromny prezent?

Czuł się winny, że nie przywiózł jej niczego innego, ale nie miał czasu, by się zajmować takimi sprawami. Chwytał jedynie bransoletkę z sejfów w Whitfield, gdy odwiedził matkę ostatnim razem, i dostał na to błogosławieństwo starej księżnej.

- To straszne - żartowała. - Wolałabym komplet narzędzi hydraulicznych. Staralam się naprawić te toalety, które zaczęto instalować ubiegłego lata.

- Kocham cię - roześmiał się. Sara dała mu w podarunku piękny obraz znaleziony w stodole i staroświecki zegarek, który kiedyś należał do Edwarda Thompsona. Przywiozła go ze sobą do Europy jako upominek dla Williama i teraz mu go ofiarowała. Wydawał się zachwycony prezentami.

Księżę i księżna Windsoru spędzili Boże Narodzenie w Paryżu w wirze towarzyskich wydarzeń. Whitfieldowie pracowali ręką w rękę, wzmacniając belki w stodole i uprzątając stajnię.

- Cholernie atrakcyjny sposób spędzania drugiego dnia świąt - zawyrokował William, gdy stali obok siebie pokryci kurzem i wysuszonym nawozem, z młotkami i łopatami w dłoniach.

- Szczera prawda - odpowiedziała z uśmiechem - ale pomyśl, jak wspaniale będzie wyglądało to miejsce.

Sara nie dała się przekonać, by wyjechać do Whitfield. Nowy dom był droższy ponad wszystko, spełniał wszystkie jej oczekiwania.

William odjechał w sylwestra - Sara powitała Nowy Rok sama, leżąc w łóżku z dzieckiem w ramionach, snując marzenia i plany. Obejmowała Phillipa i nuciła mu Auld Lang Syne.

W styczniu miała już pewność, że znowu jest w ciąży. Udało się jej znaleźć starego lekarza w Chambord, który to potwierdził. Wyraził również opinię, że opowieści doświadczonych kobiet, jakoby karmienie zapobiegało ciąży, tylko niekiedy są prawdziwe. Sara była uszczęśliwiona, że tak się stało. Braciszek lub siostrzyczka Phillipa powinna się urodzić w sierpniu. Emanuelle pomagała Sarze nadal i najwyraźniej ją też ekscytowała ta szczęśliwa wiadomość. Przyobiecała pomóc księżnej przy następnym dziecku, choć Sara miała nadzieję, że do tego czasu William będzie już w

domu. Nie bała się i była zadowolona, mogąc Williamowi przekazać tę nowinę. Odpisał nie szczędząc upomnień, by dbała o siebie; zapowiedział też, że postara się przyjechać, gdy tylko będzie to możliwe. Na razie jednak wysyłają go do Watton w Norfolk jako członka dowództwa 82. Eskadry Bomber Command. W kolejnym liście napisał, że nie będzie mógł przyjechać przez kilka miesięcy. Nalegał na wyjazd Sary w lipcu do Paryża, gdzie może się zatrzymać u Davida i Wallis. Nie chciał, by znowu urodziła dziecko w zamku, tym bardziej że jego obecność we Francji w tym czasie będzie wątpliwa. Żywił jednak pewne nadzieje.

W marcu Jane zawiadomiła siostrę, że urodziła trzecie dziecko - dziewczynkę; dano jej na imię Helen. Sara ze zdziwieniem odczuła, że bliskie więzy łączące ją z rodziną zaczynają się rwać, nie stanowiła już ona niezbędnego ogniwa jej życia, jak to kiedyś bywało. Listy dochodziły z dużym opóźnieniem, wiele nazwisk nie znaczyło już nic. Wystarczyło półtora roku życia w oddaleniu od domu, by zanikło poczucie wspólnoty. Wszyscy wydawali się teraz tak odlegli. Sara zaangażowała się bez reszty w syna, w swoje nowe życie, w rekonstrukcję zamku i wysłuchiwanie politycznych nowin z Europy.

Słuchała radia, czytała wszystkie gazety, nie gardziła też prywatnymi wiadomościami, które nie napawały jednak nadzieją. Jedynie William obiecywał w listach, że wkrótce przyjedzie do domu. Od wiosny 1940 roku zapędy Hitlera cokolwiek osłabły, istniała płonna nadzieja, że może wycofa się ze zbrojnej konfrontacji. W Stanach Zjednoczonych nazywano to "wojną na niby", ale dla ludzi w krajach okupowanych była to wojna najprawdziwsza z prawdziwych.

David i Wallis zaprosili Sarę do Paryża w końcu kwietnia, ale nie skorzystała z okazji. Nie chciała opuszczać Phillipa i zamku, nawet jeśli miała zaufanie do Emanuelle. Była już w piątym miesiącu ciąży i uznała za niewłaściwe pokazywać się w towarzystwie bez Williama; odpowiedziała na zaproszenie uprzejmym listem. Na początku maja okrutnie się przeziębiła i musiała leżeć w łóżku prawie dwa tygodnie. Właśnie wtedy, w połowie maja, Niemcy dokonali inwazji na Holandię.

Hitler wykonał następny ruch.

Sara całe popołudnie spędziła przy radioodbiorniku, słuchając dzienników. Nazajutrz usiłowała się dodzwonić do Wallis i Davida, ale niestety poprzedniego dnia wyjechali do Biarritz. Służba poinformowała, że księżę zabrał małżonkę na południe, by zwiększyć jej poczucie bezpieczeństwa.

Po tygodniu Sarze wcale się nie polepszyło. Okazało się, że było to ciężkie zapalenie oskrzeli. Dziecko oczywiście zaraziło się od matki i było z nim mnóstwo kłopotów i dodatkowych zajęć. Ledwie dotarła do jej świadomości wiadomość o ewakuacji Dunkierki. Nic nie rozumiała. Jak to: wycofują się?

Kiedy Włochy przystąpiły do wojny przeciwko Francji i Anglii, Sara wpadła w panikę. Wieści były przerażające. Niemcy atakowali, Francuzi truchleli ze strachu, ale był to rodzaj paniki: nikt nie wiedział, gdzie się udać i co z sobą począć. Sara była przekonana, że ten kraj nigdy nie skapituluje, ale co będzie, jeśli Niemcy zbombardują Francję? William i rodzice zapewne umierają z niepokoju o nią, ale nie było sposobu, by się z nimi skontaktować. Łączność telefoniczna do Anglii i Stanów Zjednoczonych była przerwana. Czternastego czerwca Sara, podobnie jak wszyscy Francuzi, jak martwa, w kompletnej ciszy, słuchała radia: rząd francuski ogłosił Paryż miastem otwartym. Zwyczajnie, po prostu oddali stolicę Niemcom, którzy w kilku rzutach wkroczyli przed zmrokiem. Francja padła przed Niemcami. Sara nie była w stanie uwierzyć w to, co usłyszała. Siedziała wpatrując się w Emanuelle; dziewczyna po wysłuchaniu wiadomości zaczęła płakać.

- Ils vont nous tuer... - zawodziła. - Oni nas zabijają. Wszyscy zginiemy.

- Nie bądź głupia - zniecierpliwiła się Sara, starając się nadać głosowi twarde brzmienie; miała nadzieję, że dziewczyna nie zauważy, jak bardzo jej samej trzęsą się ręce. - Nic nam nie zrobią. Jesteśmy kobietami. A oni prawdopodobnie nawet tu nie przyjdą. Emanuelle, bądź rozsądna... uspokój się!

Ale sama nie wierzyła własnym słowom. William miał rację - powinna była wyjechać z Francji, a teraz jest już za późno. Macierzyństwo tak ją absorbowало, że zlekceważyła ostrzegawcze sygnały; teraz praktycznie nie mogła już uciec na południe, co najwyraźniej uczynili księstwo Windsoru. Nie doszłaby daleko z dzieckiem na rękę i w siódmym miesiącu ciąży.

- Co zrobimy, madame? - zapytała Emanuelle, świadoma konieczności dalszego opiekowania się Sarą. Musiała dopełnić przyrzeczenia złożonego Williamowi.

- Absolutnie nic - odparła spokojnie Sara. - Jeśli tu przyjdą, nie mamy nic do ukrycia i nic, co mogłybyśmy im dać. Mamy tylko to, co wyhodowałyśmy w ogrodzie. Ani sreber, ani biżuterii.

Wtedy przypomniała sobie o bransolecie ze szmaragdami, którą dostała w prezencie gwiazdkowym, i kilku innych klejnotach. Miała bożonarodzeniowe ubiegłoroczne prezenty kupione przez Williama w Paryżu. Nie było tego dużo, ale należało dobrze schować. Gdyby trzeba było okupić życie, gotowa była oddać klejnoty.

- Nie mamy niczego, co by ich interesowało, Emanuelle. Jesteśmy dwiema samotnymi kobietami z dzieckiem.

Jakby na przekór tym enuncjacom, wzięła tej nocy ze sobą do łóżka pistolet Williama, a dziecko położyła w łóżeczku tuż obok siebie. Broń miała pod poduszką. Biżuteria została schowana pod podłogą w dzieciennym pokoju - Sara własnoręcznie przybiła po mistrzowsku deski gwoździemi, na wierzchu troskliwie rozłożyła dywan.

Przez następne cztery dni panował spokój i Sara uznała, że są równie bezpieczni jak przedtem. Wyszła właśnie na podjazd, przeczesując wzrokiem posiadłość, i ku swemu zdumieniu zobaczyła konwój samochodów terenowych, z których wyskakiwali żołnierze w niemieckich mundurach, kierując się w jej stronę. Dwóch wycelowało broń, sygnalizując gestem, by podniosła ręce do góry. Nie mogła tego zrobić, bo upuściłaby dziecko. Wiedziała, że Emanuelle sprząta w kuchni po śniadaniu i modliła się w duchu, aby dziewczyna nie wpadła w panikę, kiedy ich zobaczy.

Niemcy krzyczeli na Sarę, żeby przeszła dalej, musiała więc stanąć, gdzie jej rozkazano. Starła się zachowywać pozory spokoju i wyglądać godnie, choć drżały jej ręce, gdy tuliła do siebie Phillipa.

- W czym mogę panom pomóc? - zapytała cicho, choć nieco wyniośle, naśladując z powodzeniem arystokratyczne maniery Williama.

Przez chwilę szwargotali po niemiecku, ale zaraz potem zwrócił się do niej wojskowy najwidoczniej wyższy rangą. Miał rozbiegane oczy i paskudnie ściągnięte usta, ale Sara usiłowała nie zwracać na to uwagi.

- Czy pani jest Angielką?

- Amerykanką.

Wydawał się zaskoczony i zaczął szwargotać z innymi po niemiecku.

- Kto jest właścicielem tego domu? Tej ziemi? Farmy?

- Ja - rzekła donośnym głosem. - Jestem księżną Whitfield.

Dalsze rozmowy, jeszcze więcej Niemców, nowe konsultacje. Żołnierz znowu uczynił gest ręką z karabinem.

- Wejdziemy do środka.

Nie miała innego wyboru, skinęła więc głową na znak zgody. Gdy wchodzili do domu, z kuchni rozległ się krzyk - to Emanuelle wyprowadzana na zewnątrz pod lufami karabinów. Z płaczem podbiegła do Sary i rzuciła się w jej objęcia. Obie stały drżąc ze strachu, choć Sara z powodzeniem nadrabiała miną. Zachowywała się jak przystoi księżnej.

Stały pod strażą wielu żołnierzy, gdy tymczasem pozostali przeszukiwali wnętrza zamku. Za chwilę na podjeździe pojawiły się nowe samochody. Jeden z żołnierzy, wyższy rangą, podszedł do Sary i zapytał:

- Gdzie jest pani mąż?

- Nie ma go w zamku, wyjechał - odrzekła Sara.

Pokazał jej rewolwer znaleziony pod poduszką w łóżku Sary, ale nie uczyniło to na niej wrażenia - w dalszym ciągu bacznie się im przyglądała. Wówczas z jednego z samochodów, które

właśnie nadjechały, wysiadł wysoki, smukły oficer i podszedł do nich. Dowódca poprzedniej grupy zaczął z nim rozmawiać, pokazał mu rewolwer, wyjaśniał coś mówiąc o kobietach, a potem wskazał dom, z pewnością zdając raport z przeszukania. Słyszała też, że powiedział "Amerykaner".

- Czy pani jest Amerykanką? - zapytał oficer, typowo po angielsku połykając końcówki i z ledwo dostrzegalnym niemieckim akcentem. Najwyraźniej mówił biegle po angielsku i miał bardzo nobliwy wygląd.

- Tak. Jestem księżną Whitfield.

- Czy pani mąż jest Brytyjczykiem? - zapytał cicho, przenikając ją wzrokiem. W innych okolicznościach uznałaby go za przystojnego mężczyznę, może nawet spotkałby się na jakimś przyjęciu. Ale to była wojna i oboje zachowywali dystans.

- Mój mąż jest Anglikiem - odrzekła krótko.

- Rozumiem.

Nastąpiła długa chwila milczenia - oficer patrzył na nią, zwracając uwagę na wyraźnie powiększony brzuch.

- Z przykrością muszę poinformować Waszą Wysokość, że musimy zarekwirować ten dom - powiedział bardzo uprzejmie. - Wprowadzimy tu żołnierzy.

Przeniknęła ją fala gniewu; ledwie kontrolowała wściekłość, ale skinęła głową.

- Ja... ja rozumiem... - oczy Sary wypełniły się łzami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zabierali jej dom, w który włożyła tyle ciężkiej pracy. Co będzie jeśli go straci albo Niemcy doprowadzą zamek do ruiny?

- Ja... - słowa uwięzły jej w gardle, a oficer rozejrzał się dookoła.

- Czy jest tu... jakiś mniejszy dom? Miejsce, w którym mogłaby pani mieszkać z rodziną, gdy my zajmiemy ten zamek?

Pomyślała o stajni, ale była zbyt duża; z pewnością też zechcą urządzić tam koszary dla żołnierzy. Przyszedł jej na myśl domek dozorca, w którym mieszkała Emanuelle i gdzie zatrzymali się z Williamem rozpoczynając remont posiadłości. Był z pewnością wystarczający dla niej, Emanuelle, Phillipa i nowego dziecka.

- Tak, jest - powiedziała nieswoim głosem.

- Czy mogę prosić, by pani tam się przeniosła? - Ukłonił się z istic pruską godnością, najwyraźniej skruszony, a jego oczy miały łagodny wyraz. - Z przykrością muszę panią prosić o nieodwlekanie przeprowadzki - tu spojrzął znacząco na brzuch Sary - ale obawiam się, że sprowadzimy tutaj mnóstwo wojska.

- Rozumiem - starała się trzymać fason, powiedzieć to w sposób godny księżnej, ale nagle poczuła się dwudziestotrzyletnią dziewczyną, w dodatku bardzo przestraszoną.

- Czy zdąży pani przenieść niezbędne rzeczy do wieczora? - zapytał uprzejmie. Sara skinęła głową. Nie było tego wiele, głównie robocze ubrania, kilka kostiumów i sukienek. William także nie miał dużo rzeczy. Cały czas byli tak zajęci, że nawet nie przywieźli z Anglii wszystkiego, co mieli.

Pakowała ubrania i osobiste drobiazgi, nie wierząc własnym oczom. Nie miała czasu wyjąć spod podłogi swoich klejnotów, ale wiedziała, że tam są bezpieczne. Włożyła ubrania, swoje i Williama, do walizek; Emanuelle pomogła jej spakować przybory kuchenne, trochę jedzenia, mydło, całą pościel i ręczniki. Było z tym więcej zachodu, niż przewidywała; dziecko też było niespokojne, płakało cały dzień, jakby w przewidywaniu nieszczęścia. Dochodziła szósta, kiedy Emanuelle zabrała do domku dozorca ostatni tobolek; swoje rzeczy przeniosła już wcześniej. Sara poszła po raz ostatni do pełnej wspomnień sypialni, w której urodził się Phillip i zostało poczęte drugie dziecko. Rezygnacja z tego pokoju graniczyła ze świętokradztwem, ale nie dano jej wyboru. Gdy stała pośrodku, rozglądając się bezradnie, nagle pojawił się żołnierz i wyprowadził ją z sypialni pod groźbą karabinu.

- Schnell! - powiedział. - Szybko!

Sara zeszła po schodach z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć, ale nie mogła powstrzymać łez spływających po policzkach. Na podeście schodów żołnierz trącił ją w brzuch lufą. Ciszę domu przeniknął nagły krzyk - napawający strachem głos mężczyzny. Zbliżał się do nich komendant. Żołnierz skoczył jak oparzony i błyskawicznie się wycofał. Ten sam człowiek, który rano rozmawiał z nią doskonałą angielszczyzną, nie przebierając w słowach udzielał teraz reprymendy żołnierzowi głosem tak lodowatym, że ten zadrżał i skłonił się Sarze, wyrażając tym gestem coś w rodzaju przeprosin; potem wybiegł z budynku. Komendant, głęboko zdegustowany, spojrzał na nią żałośnie. Mimo wysiłków, jakie czyniła, by nie dać po sobie poznać paniki, widział, że drży.

- Wasza Wysokość, proszę przyjąć moje przeprosiny za koszarne maniery tego sierżanta. To się więcej nie powtórzy. Czy pozwoli się pani odwiedzić do swojego domu?

Chciała powiedzieć, że właśnie to jest jej dom, ale była mu wdzięczna, że przywołał do porządku osobnika, który mógł na przykład strzelić jej w brzuch dla zabawy. Na myśl o tym panika wysiała gęsią skórkę na ciele Sary.

- Dziękuję - powiedziała chłodno. Czekala ją długa droga, i czuła się zmęczona. Dziecko kopało cały dzień, wyczuwając każdy odcień strachu matki. Płakała pakując resztki swoich rzeczy i czuła się kompletnie wyczerpana, gdy wsiadali do wojskowego gazika.

Gdy komendant zapalał silnik, oczy żołnierzy były wlepione w dowódcę. To była lekcja wychowawcza. Chciał im służyć za wzór, do którego później mieli dostosować swe postępowanie.

Wyjaśnił to od razu: nie wolno zadawać się z miejscowymi dziewczynami, strzelać dla zabawy do cudzych zwierząt ani wałęsać się po pijanemu. Mieli się bardzo pilnować; w przeciwnym wypadku narażali się na odesłanie do Berlina, a stamtąd mogli trafić Bóg wie gdzie, może nawet na front. Żołnierze obiecali, że się podporządkują.

- Nazywam się Joachim von Mannheim - przedstawił się komendant. - Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że możemy skorzystać z pani domu. Bardzo mi przykro, że narzucam pani warunki, a także z powodu dyskomfortu, jaki pani musi w związku z tym przeżywać.

Przyglądał się jej, gdy jechali główną aleją.

- Wojna to trudna sprawa.

Jego rodzina poniosła bardzo wiele strat podczas pierwszej wojny światowej. Potem zaskoczył ją pytaniem o dziecko.

- Kiedy oczekuje pani rozwiązania? - zapytał cicho. Wydawał się dziwnie humanitarny mimo munduru, jaki nosił, ale Sara nie pozwoliła sobie zapomnieć, kim jest i dla kogo walczy. Jeszcze raz upomniała się w duchu, że jest księżną Whitfield i nie jest mu nic winna ponad uprzejmość.

- Za jakieś dwa miesiące - odpowiedziała szorstko, zastanawiając się, dlaczego o to pyta. Może chcą ją gdzieś wysłać. To było niepokojące - bardziej niż kiedykolwiek chciała wyjechać do Whitfield. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Francja podda się Niemcom.

- Do tego czasu powinni zjawić się tu nasi lekarze - zapewnił ją. - Zamierzamy przeznaczyć zamek dla rannych żołnierzy - coś w rodzaju szpitala, stajnia będzie doskonałą kwaterą dla moich ludzi. Na farmie jest mnóstwo jedzenia. Obawiam się... - powiedział jakby w geście usprawiedliwienia, gdy dojechali już do domku dozorczy - że dla nas jest to sytuacja wprost idealna.

Na progu nowej siedziby czekała Emanuelle z Phillipem na rękę.

- Rzeczywiście, spotkało was niebywałe szczęście - odparła Sara z pewną dozą ironii. Ona odbierała to zupełnie inaczej - traciła dom na rzecz Niemców.

- Tak, w istocie - patrzył, jak wysiada z samochodu i bierze Phillipa od Emanuelle. - Dobranoc, Wasza Wysokość.

- Dobranoc, komendancie - odpowiedziała, ale nie podziękowała mu za podwiezienie i bez słowa weszła do niewielkiego budynku, który stał się teraz jej domem.

Rozdział trzynasty

Okupacja Francji pogrążyła wszystkich w rozpacz, a zajęcie Chateau de la Meuze było dla Sary szczególnie bolesne. Po kilku dniach wszędzie było pełno niemieckich żołnierzy. W stajni mieszkali po trzech lub czterech w każdym z niedawno wydzielonych pokoi, a nawet w boksach dla koni. Przebywało tam blisko dwustu mężczyzn - Sara i William planowali pomieścić tam czterdziestu-pięćdziesięciu swoich pracowników. Niemcy żyli w surowych warunkach. Przejęli także farmę, gdzie umieścili resztę żołnierzy; leciwa żona farmera spała w szopie, ale przyjmowała to nadzwyczaj spokojnie. Farmer i jego dwaj synowie trafili do wojska.

Zgodnie z tym, co powiedział komendant, zamek przekształcono w pewnego rodzaju ośrodek rekonwalescencyjny dla rannych żołnierzy. Pokoje zamieniono na sale chorych, przy czym kilka mniejszych zarezerwowano dla wyższych oficerów. Komendant też tam mieszkał w jednym z mniejszych pokoi. Było też kilka pielęgniarek, ale większość obsługi stanowili żołnierze oraz sanitariusze; Sara słyszała, że są tam dwaj lekarze, ale nigdy ich nie widziała.

Miała z nimi wszystkimi mało do czynienia. Trzymała się z daleka, przebywała w swoim domku z Emanuelle i dzieckiem. Złościło ją to, że musiała przerwać remont, i martwiła się, by nie zniszczono tego, co już zostało zrobione. Ale teraz nic nie mogła poradzić. Chodziła z Emanuelle na długie spacer, odwiedzała farmę. Żona farmera zdawała się być w dobrym nastroju, twierdziła, że Niemcy odnoszą się do niej przyzwoicie. Zabierali wszystko, co wyhodowała, ale nikt nie zrobił jej najmniejszej krzywdy. Zachowywali się poprawnie. Ale Sara martwiła się o Emanuelle. Była bardzo ładna i młodziutka - wiosną skończyła dopiero osiemnaście lat. Niebezpieczne było dla niej otoczenie takiej chmary niemieckich żołnierzy. Sara upierała się, żeby wracała do hotelu, ale Emanuelle nie chciała zostawiać jej samej. Między tymi kobietami zawiązała się nic porozumienia, pewien rodzaj przyjaźni, choć dzieliło je poczucie społecznego dystansu. Emanuelle wzięła sobie do serca przyrzeczenie złożone Williamowi, że nie opuści księżnej i lorda Phillipa.

Pewnego dnia - jakiś miesiąc po pojawieniu się Niemców - Sara wyszła na przechadzkę i wracając do domu zauważyła na ścieżce koło stajni grupę zachowujących się głośno żołnierzy. Zastanowiło ją to, ale dobrze wiedziała, że nie wolno jej się zbliżyć. Obecność Niemców zawsze groziła niebezpieczeństwem. Choć miała amerykańskie obywatelstwo, a Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Niemcami, była dla nich wrogiem, a oni okupantami. Widziała, że się z czegoś śmieją i już zamierzała skierować się do domu, gdy dostrzegła przy dróżce koszyk z wysypanymi jagodami. Był to jeden z jej koszyków, w który Emanuelle zawsze zbierała jagody dla uwielbiającego je Phillipa. Wtedy Sara domyśliła się i głos uwiązł w jej krtani: żołnierzy bawi widok przerażonej Emanuelle, igrają z nią jak kot z myszą. Nie zastanawiając się, co robi,

pośpieszyła z pomocą. W wyblakłej żółtej sukience wydawała się w jasnych promieniach słońca jeszcze grubsza niż była w istocie. Włosy miała zaplecione w gruby warkocz; zbliżając się, odrzuciła go na plecy. Na widok Emanuelle zaparło jej dech w piersiach. Dziewczyna stała w podartej bluzce, miała obnażone piersi i rozerwaną spódnicę osuwającą się na biodra. Żołnierze naśmiewali się z niej, gwizdali, dokuczali jej i jednoznacznie nagabywali. Dwóch mężczyzn trzymało ją za ramiona, trzeci dotykał jej piersi i całował ją.

- Zostawcie ją w spokoju! - krzyknęła rozwścieczona Sara.

Emanuelle była jeszcze prawie dzieckiem. Z rozmów, jakie prowadziły w zeszłym miesiącu, Sara wniosowała, że jest dziewicą. - Przestańcie natychmiast! - krzyknęła ponownie; śmiali się, kiedy chwyciła za broń jednego z żołnierzy; odepchnął ją, wrzeszcząc coś po niemiecku.

Emanuelle tonęła we łzach, upokorzona, zawstydzona i przerażona. Podniosła strzępy bluzki, starając się okryć. Sara podbiegła do dziewczyny i wtedy jeden z żołnierzy złapał ją od tyłu i przyciągnął do siebie, wciskając się między jej pośladki. Rzuciła się na niego, ale mocno trzymał - jedną ręką obmacywał jej piersi, drugą boleśnie uciskał ogromny brzuch. Walczyła, starając się oswobodzić, ale on wciskał się w nią coraz mocniej - poczuła jego podniecenie i z przerażeniem stwierdziła, że za chwilę ją zgwałci. Jej oczy napotkały wzrok Emanuelle - Sara starała się spojrzeniem dodać jej otuchy, ale widziała, że dziewczyna jest skrajnie wystraszona. Teraz bała się przede wszystkim o swoją księżnę widząc, że jeden z mężczyzn chwytą ją za ręce, a drugi zadziera spódnicę. Emanuelle, stojąca do tej pory jak zamurowana, krzyknęła przeraźliwie, widząc, co się święci. I wtedy nagle rozległ się wystrzał. Emanuelle rzuciła się do przodu, a Sara wykorzystała moment, by odskoczyć od swoich prześladowców.

Dosłownie w ostatniej chwili udało się jej oderwać - jeden z nich trzymał w dłoni resztki jej sukienki, która pękła, ukazując długie, kształtne nogi i ogromny brzuch. Dopadła Emanuelle, chwyciła ją za ręce i wyprowadziła na drogę; dopiero wtedy zdała sobie sprawę z wagi tego strzału. Zjawił się komendant. Pełen furii, z pałającymi gniewem oczami, wykrzykiwał po niemiecku rozkazy. W podniesionej dłoni trzymał pistolet, wystrzelił jeszcze raz i wcale nie dla postrachu.

To miało być ostrzeżenie, bo broń była skierowana w żołnierzy. Mówił coś jeszcze, dopiero potem opuścił pistolet, schował do kabury i kazał im się rozejść. Każdy trafił na tydzień do aresztu wybudowanego na tyłach stajni. Po odejściu swawolnych żołdaków komendant stanął w obliczu dwóch młodych pokrzywdzonych kobiet; na dodatek jednej w zaawansowanej ciąży. Był najwyraźniej zmieszany, szybko kazał ordynansowi przynieść dwa koce. Sara okryła najpierw Emanuelle, następnie sama owinęła się pledem od pasa w dół. Rozpoznała swój koc - zapomniała o nim, przeprowadzając się do domku dozorczy.

- Obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy. Ci ludzie to zwykli prostacy. Zapewne w większości wychowali się w stodole i nie mają pojęcia o dobrych manierach. Jeśli jeszcze raz powtórzy się podobny wypadek, wtedy naprawdę użyję broni.

Mówiąc to był blady z wściekłości; Emanuelle wciąż drżała, a Sara czuła furję, że przytrafiło się jej coś tak parszywego. Odwróciła się do Niemca z oczyma pałającymi gniewem. Akurat dochodzili do domku dozorczy, gdzie Henri bawił się z dzieckiem.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, co oni mogli mi zrobić? - Sara gestem odesłała Emanuelle do domu. Była sam na sam z komendantem, mówiła tylko do niego.

- Mogli zabić moje nie narodzone dziecko - głos jej kipiał gniewem; niemiecki oficer nie odwrócił wzroku.

- Zdaję sobie z tego sprawę i szczerze błagam o wybaczenie. - Wyglądało na to, że mówi z przekonaniem, ale jego dobre maniere nie złagodziły wściekłości Sary. Z jej punktu widzenia równie dobrze mógł być źle wychowany.

- Emanuelle jest młodą dziewczyną! Jak mieli czelność zrobić jej coś takiego! - Nagle zaczęła dygotać, miała ochotę walić go pięściami, ale rozsądna część jej osobowości doradzała opanowanie emocji. Wprawdzie komendantowi było żal Emanuelle, ale najbardziej leżało mu na sercu to, co o mały włos nie przytrafiło się Sarze.

- Przepraszam Waszą Wysokość z całego serca. Zdaję sobie sprawę, jakie to mogło mieć następstwa.

Miała rację. Niewiele brakowało, by zabili jej dziecko.

- Będziemy dokładniej pilnować żołnierzy, damy pani na to słowo oficera i dżentelmena. Zapewniam panią, że to już się więcej nie powtórzy.

- Proszę więc tego dopilnować - rzuciła ostro i weszła do domu.

Patrzył za nią - jakimś cudem wyglądała w tym kocu pięknie, po królewsku. Była niewątpliwie niezwykłą kobietą - nieraz już zastanawiał się, w jaki sposób została księżną Whitfield. Znalazł rozmaite fotografie w pracowni Williama, która stała się jego pokojem. Obydwoje byli bardzo przystojni, wyglądali na szczęśliwych. Szczerze im tego zazdrościł. Joachim von Mannheim rozwiódł się przed wojną i bardzo rzadko widywał swoje dzieci. Miał dwóch synów - siedmio- i dwunastoletniego; jego żona ponownie wyszła za mąż i mieszkała teraz w Nadrenii. Jej drugi mąż zginął w Poznaniu w pierwszych dniach wojny, ale, prawdę mówiąc, Joachim wcale nie pragnął spotkania ze swą byłą żoną. Perturbacje związane z rozwodem były bolesne. Pobrali się bardzo młodo i nie wytrzymali próby czasu. Potrzebował dwóch lat, by przeboleć ten cios, potem przyszła wojna, a z nią mnóstwo obowiązków. Był zadowolony z przydziału do Francji. Zawsze lubił ten kraj, studiował przez rok na Sorbonie, a ukończył studia w Oxfordzie. Przez cały ten czas,

podczas wszystkich swoich podróży nie spotkał żadnej kobiety podobnej do Sary. Była kobietą w wielkim stylu, urodziwą, silną i pełną gracji. Dlaczego życie nie napisało mu innego scenariusza, czemu nie spotkali się w innym czasie i innych okolicznościach?

Zarządzanie szpitalem dla rekonwalescentów zabierało komendantowi dość dużo czasu, ale wieczorami chadzał na długie spacery. Dobrze poznał całą posiadłość, nawet jej najodleglejsze zakątki. Pewnego razu wracał o zmierzchu znad niewielkiej rzeczki, którą niedawno wypatrzył w lesie. Wtedy wzrok jego spoczął na samotnej, głęboko zamyślanej postaci Sary. Bał się ją przestraszyć, ale szybko oszacował, że jeśli się odezwie, jego niespodziewane pojawienie się nie zaskoczy jej. Obróciła głowę w jego stronę, jakby wyczuła czyjaś obecność. Zatrzymała się i popatrzyła z wahaniem, obawiając się, czy coś jej nie zagraża.

- Czy mogę pomóc Waszej Wysokości? - uspokoił ją pośpiesznie.

Odważnie przekraczała kłody i kamienne murki, nie bacząc na to, że mogła się przewrócić. Często spacerowali tu z Williamem, więc dobrze znała okolicę.

- Daję sobie radę - odparła pełna ładu i kłopotliwej godności. Wyglądała przy tym tak pięknie i młodo i wydawała się mniej rozgniewana niż zazwyczaj. Wciąż jeszcze przeżywała to, co przed tygodniem przydarzyło się Emanuelle, choć słyszała, że sprawców zajścia przykładowo ukarano aresztem; takie poczucie sprawiedliwości wywarło na Sarze wrażenie.

- Czy pani dobrze się czuje? - zapytał, idąc obok niej.

Wyglądała ładnie w białej sukni, wykonanej przez miejscowe hafciarki.

- Tak, dobrze - odrzekła patrząc na niego, jakby widziała go po raz pierwszy. Był przystojny, wysoki, jasnowłosy, miał interesującą twarz i zdecydowane rysy; było widać, że jest nieco starszy od Williama i chociaż wolałaby, by go tu nie było, musiała przyznać, że zawsze odnosił się do niej wyjątkowo uprzejmie. Dwa razy był bardzo pomocny.

- Z pewnością łatwo się pani teraz męczy - stwierdził łagodnie, a ona wzdrygnęła się na wspomnienie Williama.

- Czasami.

Obejrzała się i obrzuciła Joachima uważnym spojrzeniem. Miała w owym czasie bardzo ograniczony dostęp do komunikatów o wojnie, nie miała żadnych wiadomości od męża od początku okupacji Francji. Jego listy nie docierały do niej. Wyobrażała sobie niepokój Williama o nią i o Phillipa.

- Pani mąż ma na imię William, prawda? - Zapytał Joachim, a ona spojrzała na niego, zastanawiając się, co go skłoniło, by o to pytać, i przytaknęła.

- Jest młodszy ode mnie. Chyba poznałem go w Oxfordzie.

Sądzę, że poszedł do Cambridge.

- Tak - powiedziała z wahaniem - poszedł do Cambridge.

Wprost nie do wiary, że drogi życia tych dwóch mężczyzn w pewnym momencie się skrzyżowały. Życie płata niekiedy przedziwne figle.

- Czy pan studiował w Oxfordzie?

- Zawsze o tym marzyłem. Wtedy zachwycałem się wszystkim, co angielskie - chciał jej powiedzieć, że nadal mu się podoba, ale nie była to stosowna okazja. - To była wspaniała sposobność, bardzo wtedy byłem rad.

Uśmiechnęła się z zadumą.

- Myślę, że William to samo odczuwał w stosunku do Cambridge.

- Był w drużynie piłki nożnej, raz grałem przeciw niemu - uśmiechnął się. - Zwyciężył mnie.

Chciał ją rozbawić tym powiedzeniem, ale Sara uśmiechnęła się tylko, nagle zaczynając się zastanawiać nad tym człowiekiem. W innych czasach i okolicznościach pewnie by go polubiła.

- Wolałabym, żeby pana tu nie było - powiedziała z rozbijającą młodzieńczą szczerością. - Joachim roześmiał się.

- Ja też, Wasza Wysokość. Ja też. Ale lepiej być tu, niż gdzieś na dalekim froncie. Myślę, iż w Berlinie wiedzą, że bardziej nadają się do reperowania ludzi. To dla mnie błogosławieństwo, że wysłano mnie tu, nie gdzie indziej.

Miał niewątpliwą rację ze swego punktu widzenia, ale ona wolałaby, aby żaden Niemiec tu się nie zjawił. Spojrzał na Sarę z ciekawością.

- Gdzie znajduje się teraz pani mąż?

Nie miała pewności, czy może mu powiedzieć. Gdyby ujawniła, że William jest w służbach specjalnych, mogłaby ich wszystkich narazić na większe niebezpieczeństwo.

- Został przydzielony do RAF-u.

- Czy to znaczy, że lata? - Komendant wydawał się zdziwiony.

- Właściwie nie - odparła lakonicznie Sara, a on kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Piloci to przeważnie młodzi ludzie.

Naturalnie miał słuszność. Sara milcząco skinęła głową.

- Wojna to okropna sprawa. Nikt nie wygrywa - wszyscy tracą.

- Pański führer nie zdaje się myśleć w ten sposób.

Joachim milczał przez długą chwilę, zanim odpowiedział. W jego głosie było coś, co przykuwało uwagę, wskazywało, że nienawidził wojny tak samo jak ona.

- Ma pani rację. Może na niego też przyjdzie czas rozważy - powiedział odważnie - i dojdzie do takiego wniosku, zanim straty będą zbyt wielkie i zagrożony będzie byt narodu. - Mam nadzieję, że mąż Waszej Wysokości jest bezpieczny - Sarę ujęły te słowa.

- Ja też - szepnęła, gdy właśnie dochodzili do domku dozorca. - Ja też.

Uklonił się jej, zasalutował i Sara poszła w stronę domu, zadumana nad ciekawą sprzecznością, jaką w nim odkryła. Niemiec, który nienawidzi wojny, a przy tym jest komendantem sił niemieckich w dolinie Loary. Kiedy wchodziła do środka, myślała już jednak o mężu i zupełnie zapomniała o Joachimie.

Natknęła się na niego kilka dni później w tym samym miejscu, potem jeszcze raz, wreszcie wyglądało na to, że oboje spodziewają się tam spotkać. Lubiła pod koniec dnia spacerować i przesiadywać w lesie nad rzeką, rozmyślać, poruszając stopami w chłodnej wodzie, która przynosiła ulgę jej puchnącym kostkom; niezwykle spokój panował w tym miejscu, było ono siedliskiem ptaków i leśnych odgłosów.

- Dzień dobry - powiedział ściszym głosem pewnego popołudnia, zjawiwszy się w tym miejscu jej śladem.

Nie zdawała sobie sprawy, że odkrył jej zwyczaje i obserwował ze swego okna, gdy wychodziła z domku dozorca.

- Gorąco dziś, prawda?

Bardzo chciałby móc poczęstować ją chłodnym drinkiem, poczuć jej długie, jedwabiste włosy albo nawet dotknąć policzka dziewczyny. Wypełniała mu senne marzenia w nocy i myśli w ciągu dnia. Trzymał nawet w biurku jej fotografię, jedną z tych, które należały do Williama - mógł na nią patrzeć, ilekroć przyszła mu na to ochota.

- Jak się pani czuje?

Uśmiechnęła się. Nie byli jeszcze przyjaciółmi, ale przynajmniej nie byli wrogami, pozostawali neutralni. To już było coś. Był kimś, z kim mogła porozmawiać, poza Emanuelle, Henrim i Phillipem. Brakowało jej długich, błyskotliwych rozmów z Williamem. Tęskniła też za nim pod każdym innym względem. A ten człowiek, światowiec z miłymi oczami, był przynajmniej kimś, z kim można było pogadać. Nie zapomniała, kim on jest ani dlaczego się tutaj znalazł. Była księżną, a on komendantem. Rozmowa z nim stanowiła jednak choć chwilową ulgę.

- Czuję się taka gruba - przyznała mu się z uśmiechem. - Ogromna jak szafa.

I zaraz potem zwróciła się ku niemu z ciekawością, gdyż nic o nim nie wiedziała.

- Czy ma pan dzieci?

Przytaknął, siadając na dużym głazie tuż obok niej i zanurzył rękę w chłodnej wodzie.

- Mam dwóch synów. Nazywają się Hans i Andi - Andreas, poprawił się; mówiąc to, robił wrażenie smutnego.

- Ile mają lat?

- Siedem i dwanaście. Mieszkają z matką, bo jesteśmy rozwiedzeni.

- Przykro mi - powiedziała szczerze. Dzieci nie mają nic wspólnego z wojną. Nie byłaby zdolna ich nienawidzić, niezależnie od tego, jakiej są narodowości.

- Rozwód to okropne przeżycie - powiedział, a Sara przytaknęła.

- Wiem o tym.

- Wie pani? - Uniósł brwi, jakby chciał zapytać o wyjaśnienie, ale ostatecznie z tego zrezygnował. Było oczywiste, że tego nie doświadczyła. Wyraźnie była szczęśliwa ze swoim mężem.

- Odkąd żona ode mnie odeszła, prawie nie widuję synów. Wyszła za mąż ponownie... potem zaczęła się wojna... To wszystko jest takie trudne i skomplikowane.

- Zobaczysz ich pan znowu, kiedy wojna się skończy.

Przytaknęła, zastanawiając się, kiedy to nastąpi, kiedy führer odeśle ich do domu i czy jego była żona zgodzi się, by zobaczył swoich synów, czy też powie, że upłynęło już tak wiele czasu, że go nie chcą widzieć. Stosowała wobec niego najróżniejsze gierki, co nadal go bardzo dotykało i gniewało.

- A pani dziecko? - zmienił temat. - Twierdziła pani, że przyjdzie na świat w sierpniu, a to już bardzo niedługo.

Pomyślał, że wszyscy byliby bardzo zaszokowani, gdyby pozwolił jej urodzić w zamku i skorzystać z pomocy niemieckich doktorów. Z pewnością spowodowałyby to zbyt wiele niepotrzebnych komentarzy. Być może łatwiej byłoby wysłać jednego z lekarzy do domku dozorczy.

- Czy nie miała pani żadnych komplikacji przy narodzinach syna?

Trochę nieswojo było rozmawiać z nim na ten temat - sami w lesie, zwycięzca i prawie więźniarka - co za różnica, co mu powie? Kto się o tym dowie? Nic się nie stanie, nawet gdyby się zaprzyjaźnili, jeżeli nikt nie zostanie zraniony.

- Nie, nie był łatwy - przyznała. - Phillip ważył dziesięć funtów. Było bardzo ciężko. Mój mąż uratował nas oboje.

- Nie było lekarza? - Joachim zainteresował się współczująco.

Księżna powinna naturalnie urodzić dziecko w prywatnej klinice w Paryżu. Oświadczenie Sary było pełnym zaskoczeniem.

- Chciałam, żeby to się stało tutaj. Urodził się w dzień wypowiedzenia wojny. Lekarz pojechał do Warszawy i nie było nikogo innego poza nim. Tylko William... mój mąż. Był

przeżony jeszcze bardziej niż ja. Od pewnego momentu właściwie już nie wiedziałam, co się dzieje. Trwało to tak długo i... - oszczędziła mu szczegółów, tylko uśmiechnęła się zawstydzona. - To nieważne. Phillip jest udanym maluchem.

Sara wciąż go wzruszała, jej bezradność, uczciwość i uroda.

- Czy czasami nie ogarnia pani lęk?

Zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi; chciała być z nim szczerą, choć nie wiedziała dlaczego. Zdawała sobie sprawę, że go polubiła niezależnie od tego, kim był, co sobą reprezentował i w jaki sposób się poznali. Zachowywał się przyzwoicie. Dwa razy stanął w jej obronie.

- Trochę się boję - przyznała - ale nie bardzo.

Miała nadzieję, że tym razem pójdzie szybciej i dziecko będzie mniejsze.

- Kobiety są takie odważne. Moja żona urodziła obu synów w domu. To było piękne, ale jej przyszło bardzo łatwo.

- Ma szczęście - uśmiechnęła się Sara.

- Może tym razem będziemy mogli pani pomóc, wykorzystując niemiecką perfekcję - roześmiał się sympatycznie, ale Sara zachowała surowy wyraz twarzy.

- Ostatnim razem groził mi poród operacyjny, ale się nie zgodziłam.

- Dlaczego nie?

- Chciałam mieć więcej dzieci.

- To godne podziwu. Jak już mówiłem, kobiety są o wiele bardziej odważne niż my. Gdyby to mężczyźni musieli rodzić, wcale nie byłoby dzieci.

Roześmiała się. Potem rozmawiali o Anglii i pytał ją o Whitfield. Z pełną świadomością odpowiadała lakonicznie. Nie chciała zdradzić żadnych sekretów, ale Joachima interesował duch tego miejsca, opowieści, tradycje. Chyba rzeczywiście pasjonowało go wszystko, co angielskie.

- Powinam była tam wrócić - powiedziała w zadumie. - William chciał, bym tak zrobiła, ale myślałam, że będziemy tutaj bezpieczni. Nigdy nie sądziłam, że Francja podda się Niemcom.

- Nikt nie przypuszczał. Myślę, że nas samych zaskoczyło, że tak szybko to poszło - zwierzył się, a potem powiedział jej coś, czego mówić nie powinien. Miał jednak do niej zaufanie, a poza tym nie miała jak go zdradzić.

- Myślę, że uczyniła pani słusznie, zostając tutaj. I pani, i dzieci będziecie tu bardziej bezpieczni.

- Bardziej bezpieczni niż w Whitfield?

- Niekoniecznie w Whitfield, ale w Anglii. Prędzej czy później Luftwaffe uderzy na Brytanię całą swą siłą. Wtedy lepiej będzie znajdować się tutaj.

Zastanowiła się nad słowami komendanta, a potem, gdy już wracali do domu, myślała, czy nie powiedział jej czegoś, czego nie powinien. Zakładając, że Brytyjczycy wiedzą wszystko o planach Luftwaffe - może miał rację, istotnie tu będzie bezpieczniej. Tak czy inaczej, nie miała teraz żadnego wyboru. Była jego więźniem. Nie widziała go znowu przez kilka dni, aż w samym końcu lipca spotkali się w lesie. Był najwidoczniej roztargniony i zmęczony, ale rozpoznał się, gdy podziękowała mu za jedzenie, które zaczęło się pojawiać przed domkiem dozorczy. Najpierw jagody dla dziecka, potem koszyk owoców dla wszystkich, bochenki świeżego chleba, wypiekanego przez piekarzy w zamku, wreszcie pieczołowicie opakowany w gazetę, dobrze ukryty przed wścibskimi oczyma, kilogram prawdziwej kawy.

- Dziękuję - powiedziała ostrożnie. - Nie musi pan tego robić.

Nic im nie był winien. Należał do wojsk okupacyjnych.

- Nie zamierzam jeść sam, kiedy wy przymieracie głodem.

Poprzedniego wieczora jego kucharz zrobił tort Sachera; Joachim zamierzał sam przynieść część wspaniałego wypieku Sarze, ale nie wspomniał o tym. Powoli wracali do domku dozorczy. Już w zeszłym tygodniu zauważył, że wyraźnie przytyła - wydawała się chodzić coraz wolniej.

- Czy Wasza Wysokość jeszcze czegoś potrzebuje?

Zawsze używał tytułu, kiedy się do niej zwracał.

- Wie pan, myślę, że może pan mówić mi "Sara" - uśmiechnęła się.

Dawno znał jej imię, a także imiona rodziców i ich nowojorski adres. To były dane z paszportu Sary. Wiedział też, że za kilka tygodni skończy dwadzieścia cztery lata. Poznał jej niektóre myśli i poglądy, ale właściwie znał ją niewiele, czego nie mógł odżałować, bo interesowała go niepomernie. Czuł się złapany w pułapkę własnej bezsilności i nawet przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Sara, przebywając z nim, nie wyczuwała tej atmosfery. Uważała go jedynie za troskliwego mężczyznę, który stara się udzielić jej pomocy w takiej skali, jak może, nie narażając swojej pozycji. Był jej honorowym dłużnikiem.

- Byłoby wspaniale, a zatem Sara - powiedział ostrożnie, jakby doceniając wielki zaszczyt, jaki go spotkał, i uśmiechnął się do niej wyraźnie rad z tego pomysłu; po raz pierwszy zauważyła w nim bardzo przystojnego mężczyznę. Zazwyczaj nadmierna powaga odbierała urok jego niezwykle interesującej twarzy. Kiedy jednak weszli w rozświetloną przez słońce partię lasu, przez chwilę wyglądał na dużo młodszego, niż był w istocie.

- Będiesz Sarą, a ja Joachimem, ale tylko wtedy, gdy będziemy sami.

Oboje wiedzieli, dlaczego tak musi być.

- Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić? - zainteresował się współczująco.

Sara potrząsnęła przecząco głową. Nie wzięłaby od niego nic, z wyjątkiem dodatkowego jedzenia dla Phillipa. Ale ujęło ją to pytanie i uśmiechnęła się.

- Już wiem, załatw mi bilet do domu - rzuciła przez ramię. - Co o tym powiesz? Wprost do Nowego Jorku albo może do Anglii.

Zażartowała po raz pierwszy od wkroczenia Niemców - Joachim zrozumiał ten dowcip.

- Gdyby to było możliwe... - w głosie jego pobrzmiwał krańcowy pesymizm. - Wyobrażam sobie, jak martwią się o ciebie rodzice - powiedział. - I twój mąż.

Szalały z niepokoju, gdyby Sara była jego żoną i znajdowała się poza linią nieprzyjaciela, ale ona wydawała się przyjmować to bardzo chłodno. Wzruszyła ramionami, okazując tym gestem filozoficzny spokój. Joachim miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej dłoni, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić.

- Jeśli będę miał na to jakikolwiek wpływ, pozostaniesz bezpieczna - zapewnił.

- Dziękuję - jej oczy rozjaśnił uśmiech i wtedy nagle potknęła się o wystający korzeń na ścieżce. Gdyby Joachim jej szybko nie chwycił, byłaby upadła. Przytrzymał Sarę przez chwilę w swych mocnych ramionach, aż odzyskała równowagę. Przez chwilę czuł jej ciepło, gładkość skóry, a ciemne włosy otarły mu się o twarz jak jedwab. Poczł zapach mydła i perfum, które także uwielbiał William. Wszystko sprawiało, że Joachim miał wrażenie, iż topnieje przy niej jak wosk, a ukrywanie tego było coraz gorszą męką.

Odprowadził Sarę do domku dozorczy, pożegnał się przy furtce. Wrócił do zamku i przez resztę wieczoru pracował przy biurku.

Nie było go potem przez cały tydzień, pojechał do Paryża na spotkanie z ambasadorem, Otto Abetzem, zorganizować dostawy środków medycznych. Gdy wrócił, był tak pochłonięty pracą, że nie miał czasu ani głowy na spacerzy lub inne przyjemności. W cztery dni po jego powrocie nastąpiła straszliwa eksplozja w składzie amunicji w Blois. Nawet zespół zamkowego szpitala nie był w stanie nieść wystarczającej pomocy ponad stu ofiarom. Wszędzie było pełno rannych żołnierzy, dwaj lekarze biegali od jednego krytycznego przypadku do drugiego. W jadalni zorganizowano niewielką salę operacyjną, ale niektórzy byli tak ciężko poparzeni, że nic nie mogło im pomóc. Poodrywane kończyny, rozdarte twarze - ohydna scena jak z rzeźni. Gdy Joachim i jego oficerowie sprawdzali zatłoczone pokoje, jeden z lekarzy zażądał pomocy - zamierzał dobrać sobie kogoś z okolicy.

- Muszą tu być jacyś ludzie medycznej profesji - twierdził.

Miejscowy szpital został wprawdzie zamknięty, lekarze zniknęli, pielęgniarki dawno już trafiły do wojskowych lazaretów, jeśli wcześniej nie uciekły przed niemiecką okupacją. Trochę

ludzi, którzy pozostali w chłopskich gospodarstwach, nie miało żadnych kwalifikacji do niesienia pomocy rannym.

- A właścicielka zamku? Ona mogłaby tu się zjawić - miał na myśli, rzecz jasna, Sarę; Joachim pomyślał, że nie odmówiłaby pomocy, gdyby ją o to poprosił. Robiła wrażenie wrażliwej na ludzkie nieszczęście, ale była też w bardzo zaawansowanej ciąży; Joachim zaniepokoił się.

- Nie jestem pewny. Lada moment oczekuje dziecka.

- Niech pan jej powie, by przyszła. Potrzebujemy jej. Czy ma służącą?

- Jest u niej miejscowa dziewczyna.

- Niech się zjawią obie - polecił krótko lekarz, choć komendant był wyższy od niego stopniem. Joachim natychmiast wysłał swoich ludzi, by porozmawiali z kobietami na farmach. Gdyby zaistniała potrzeba, mieli przywieść je siłą. Zaraz potem sam wszedł do samochodu i udał się do domku dozorczy. Mocno zastukał w drzwi; zapaliło się światło, a po paru minutach pojawiła się Sara w nocnej koszuli. Przez całą noc słyszała karetki i ciężarówki, ale nie wiedziała, co się dzieje. Teraz stała wystraszona, myśląc że to znowu żołnierze. Gdy zobaczyła Joachima, otworzyła drzwi trochę szerzej i twarz jej złagodniała.

- Przepraszam, że niepokoję - zaczął. Był w rozchełstanej koszuli, bez krawata, miał rozczochrane włosy i zmęczoną twarz - kurtkę od munduru zostawił w biurze.

- Potrzebujemy twojej pomocy, Saro, przyjdź. Nastąpił wybuch w składzie amunicji, mamy bardzo dużo rannych. Nie dajemy sobie rady. Czy mogłabyś nam pomóc?

Zawahała się przez moment, spojrzała mu w oczy i skinęła głową. Zapytał, czy weźmie ze sobą Emanuelle, ale gdy poszła na górę zapytać, dziewczyna uparła się, że woli zostać przy dziecku.

Pięć minut później Sara sama zeszła do Joachima.

- A gdzie dziewczyna?

- Jest chora - powiedziała wymijająco Sara. - Poza tym ktoś musi zostać z Phillipem.

Nie wypytywał więcej - poszła za nim do samochodu, ubrana w starą, wypłowiałą niebieską sukienkę i w butach na płaskich obcasach. Włosy troskliwie splotła w warkocz, wyszorowała ręce i twarz, nakryła głowę bielutką chustką, w której wyglądała jeszcze młodziej.

- Dziękuję, że się zgodziłaś - powiedział podczas drogi do zamku, spoglądając na nią z szacunkiem i wdzięcznością. - Wiesz, że nie jesteś do niczego zobowiązana.

- Wiem. Ale tu chodzi po prostu o umierających chłopców; ich narodowość nie ma znaczenia.

Taki był Sary stosunek do wojny. Nienawidziła Niemców za ich posunięcia, za całą strategię, ale nie była w stanie przenieść tego odczucia na kogoś, kto został przy tym

pokrzywdzony. Joachim też odnosił się do niej przyzwoicie, co nie oznaczało, że Sara przymyka oczy na sprawę, której on służy. Na razie trzeba pomóc ludziom, którzy są w największej potrzebie. Podziękowała skinieniem głowy, kiedy pomógł jej wysiąść z samochodu, i pośpieszyła do rannych.

Tej nocy przez wiele godzin pracowała w sali operacyjnej, trzymając wypełnione krwią naczynia i ręczniki nasączone środkiem znieczulającym. Podawała instrumenty, asystowała obu lekarzom. Ratowała okaleczone ciała aż do świtu, a potem lekarze poprosili, by poszła z nimi na górę. Gdy weszła do własnej sypialni, wypełnionej pokiereszowanymi ciałami żołnierzy, nie od razu zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Dziwnie się czuła, będąc znowu w tym miejscu. Na podłodze jedne obok drugich stały nosze, leżały materace, a na nich nie mniej niż czterdziestu mężczyzn. Dyżurni ledwie mogli się między nimi przecisnąć, by nieść pomoc kolejnemu nieszczęśliwemu.

Jeszcze długo zakładała bandażę, czyściła rany. Gdy zeszła na dół do pomieszczenia będącego kiedyś jej kuchnią; słońce stało już wysoko. Pożywiało się tam kilku dyżurnych, kilku żołnierzy i dwie kobiety; spojrzały na Sarę i wymieniły między sobą jakieś uwagi po niemiecku. Jej sukienka, ręce, nawet twarz były poplamione krwią, kosmyki włosów spadały w nieładzie na twarz, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Nagle jeden z dyżurnych powiedział do niej coś, czego nie była w stanie zrozumieć, ale nie sposób było nie zauważyć w jego głosie szacunku, z jakim jej dziękował. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się z aprobatą, gdy zobaczyła, że nalewają jej filiżankę parującej kawy. Jedna z kobiet wskazała gestem brzuch Sary, jakby chciała wyrazić troskę, czy aby dobrze się czuje, skinęła głową i z zadowoleniem usiadła nad parującym płynem. Dopiero wtedy poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Przez wiele godzin nie myślała o sobie ani o dziecku.

Za chwilę pojawił się Joachim i zaprosił ją do swojego biura. Gdy weszła do gabinetu, znowu doznała pewnego rodzaju wstrząsu psychicznego - nawet biurko i zasłony były te same. Ulubiony pokój Williama - jedyne, co uległo zmianie, to człowiek, który siedział za biurkiem.

Joachim poprosił, by usiadła w fotelu, który tak dobrze знаła - z trudem oparła się chęci zwinięcia się w nim, jak to zawsze czyniła, gdy prowadziła z mężem długo w noc ciągnące się rozmowy. Teraz usiadła skromnie na brzeżku, popijając kawę i pamiętając, że jest tu jedynie gościem.

- Dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla nas ostatniej nocy. Martwię się, czy ci to nie zaszkodziło - przeniknął go niepokój. Obserwował Sarę tej nocy, widział, jak uparcie ratowała czyjeś życie albo czyniła lżejszą śmierć jakiegoś nieboraka. - Pewnie jesteś bardzo wyczerpana.

- Jestem zmęczona - ziewnęła uśmiechając się szczerze, ale jej oczy nadal były pełne bólu. Widziała śmierć tylu młodych ludzi. I gdzie tu sens? Jednego z nich kołysała jak dziecko, a on tulił

się do niej jak Phillip; ten chłopiec, ranny w brzuch, umarł w jej ramionach. Nie była w stanie udzielić mu żadnej pomocy.

- Jeszcze raz dziękuję, Saro. Zawiozę cię do domu. Myślę, że najgorsze już minęło.

- Doprawdy? - powiedziała zaskakująco ostro, spoglądając ze zdziwieniem. - Czy wojna się skończyła?

- Miałem na myśli tę krótką chwilę - odparł cicho. Nie różnił się od niej poglądami, choć nie mógł sobie pozwolić na bezwzględną szczerość.

- Co za różnica? - zapytała, stawiając kawę na biurku Williama. Zauważyła, że korzystają też z jej porcelany. - To samo może zdarzyć się gdzie indziej dzisiaj, jutro albo w przyszłym tygodniu.

Nie mogła zapomnieć oczu umierających chłopców, nawet jeśli byli Niemcami.

- Tak będzie się zdarzało - odpowiedział ze smutkiem - dopóki wojna się nie skończy.

- To takie niedorzeczne - powiedziała podchodząc do okna i spoglądając na znajomy krajobraz - był tak pozornie spokojny. Joachim powoli zbliżył się i stanął tuż za nią.

- Nie tylko niedorzeczne, ale głupie i złe... ale ani ty, ani ja nie możemy tego zmienić. Ty wniesiesz nowe życie, my przynosimy śmierć i zniszczenie. To straszliwa sprzeczność, Saro, ale jestem bezsilny - nic na to nie mogę poradzić.

Przez jedną absurdalną chwilę poczuła dla niego współczucie. Był człowiekiem, którego nieszczęściem był brak wiary we własne poczynania. William przynajmniej miał przekonanie, że działa w słusznej sprawie, a to nie mogło być udziałem Joachima. Kiedy obróciła się, by mu spojrzeć w oczy, poczuła ochotę, by go pogłodzić po twarzy i powiedzieć, że wszystko dobrze się ułoży, że kiedyś zostanie mu to wybaczone.

- Przepraszam - powiedziała tylko i omijając go skierowała się do drzwi. - Nie powinnam była tego mówić i wiem, że to nie twoja wina.

Stała przez dłuższą chwilę patrząc na niego, a on znowu zapragnął być blisko niej. Słowa Sary wzruszyły go.

- Takie usprawiedliwienie nie zawsze jest wygodne - wyznał patrząc na nią. Wyglądała na zmęczoną, wyraźnie potrzebowała odpoczynku. Czuł się winny, że poprosił o pomoc, ale wykonała doskonałą robotę, lekarze mieli wobec niej dług wdzięczności.

Joachim odwiózł Sarę do domu - Emanuelle była już z Phillipem na dole. Gdy zobaczyła, jak bardzo jej chlebodawczyni jest zmęczona, zrobiło się jej przykro, że nie poszła razem z nią.

- Przepraszam - szepnęła Emanuelle, kiedy Sara ciężko usiadła na starym krześle. - Po prostu nie mogłam... To są Niemcy.

- Rozumiem - rzekła Sara rozważając jednocześnie, dlaczego jej to nie sprawia takiej różnicy. Dla niej to byli po prostu ludzie.

Ale gdy przyszedł do nich Henri i spojrział na siostrę, Sara dostrzegła, że między nimi przebiega jakaś niejasna nić porozumienia. Miał zabandażowaną rękę i to, co dostrzegła, wystarczyło jej w zupełności.

- Henri, co z twoją ręką? - zapytała spokojnie, próbując opanować emocje.

- Nic, madame. Pomagałem ojcu piłować drewno i skaleczyłem się.

- Piłowaliście drewno? - zapytała podchwytliwie. Było zbyt ciepło, by ktoś potrzebował opału, i chłopiec wiedział o tym.

- Budowaliśmy po prostu budę dla psa - odrzekł, ale Sara wiedziała, że nie mówi prawdy; wtedy wszystko zrozumiała. Eksplozja w składzie amunicji nie była przypadkowa, a Henri z jakiegoś powodu, którego nawet nie chciała poznać, był uczestnikiem wypadku.

Wieczorem tego dnia, gdy we dwie z Emanuelle siedziały w kuchni, Sara ostrzegła dziewczynę:

- Nie musisz nic mówić... chcę cię jedynie prosić, byś powiedziała Henriemu, aby zachował wielką ostrożność. Jest jeszcze dzieckiem, ale jeśli go złapią, nie będzie dla niego ratunku.

- Wiem, madame - odparła Emanuelle; w jej oczach widać było strach o braciszka. - Już mu to powiedziałam. Rodzice o niczym nie wiedzą. Jest taka grupa w Romorantin... - ale Sara nie pozwoliła jej dokończyć.

- Nic mi nie mów, Emanuelle. Nie chcę wiedzieć, aby kogoś nie narazić przypadkiem. Powiedz mu tylko, aby uważał.

Emanuelle przytaknęła i obie udały się na spoczynek do swoich pokojów. Sara długo nie mogła usnąć tej nocy, myślała o chłopcu i masakrze, jakiej był współuczestnikiem... o wszystkich tych młodych ludziach z okaleczonymi tułowiami i twarzami, którzy tak młodo zakończyli życie. O małym Henrim z oparzoną ręką. Rozważała, czy on rozumie wagę swego czynu i czy wraz z kolegami jest z tego dumny. Oficjalnie uznaje się taki czyn za patriotyczny, ale Sara jakoś nie brała tego za dobrą monetę. W jej oczach było to morderstwo - życie ludzkie nie może być wartością strategiczną. Leżała po ciemku i zastanawiała się gorączkowo, czy aby Niemcy nie złapią Henriego i czy go nie skrzywdzą.

Joachim ma rację. To była paskudna wojna, ohydne czasy. Myśląc o tym przesunęła ręką po brzuchu - dziecko właśnie ją kopnęło. To coś nieuchwytnego uświadomiło jej, że jest w posiadaniu własnego prywatnego słońca, okruszka nadziei na godne i przyzwoite życie, do którego bezwzględnie trzeba dążyć. I gdzieś tam, daleko, jest jeszcze William...

Rozdział czternasty

Sara widywała teraz Joachima prawie co dzień, chociaż wcale się nie umawiali. Wyśledził po prostu godziny jej spacerów i, pozornie przypadkowo, zawsze zdołał się do niej przyłączyć. Z dnia na dzień spacerowali coraz wolniej, raz chodzili nad rzekę, drugi raz na farmę. Stopniowo poznawał ją coraz lepiej. Starał się zbliżyć do Phillipa, ale chłopczyk był powściągliwy i wstydlivy, zupełnie jak jego syn w tym wieku. Joachim był dla niego niesłychanie miły, co nie budziło zadowolenia Emanuelle. Jej świadomość nie aprobowała niczego, co niemieckie.

Sara dostatecznie знаła się na ludziach, by wiedzieć, że Joachim jest przyzwoitym człowiekiem. Miała szersze horyzonty niż Emanuelle, choć wcale nie aprobowała niemieckiej okupacji. Joachim niekiedy doprowadzał ją do śmiechu, a gdy była wyciszona, wiedział, że myśli o nieobecnym mężu.

Zdawał sobie sprawę, że to dla Sary trudny czas. Właśnie minęły jej urodziny. Nie miała żadnych wiadomości od Williama ani od rodziców. Żyła w kompletnej izolacji od wszystkich, których kochała: rodziców, siostry, męża. Miała tylko syna i nie narodzone dziecko Williama.

Na urodziny dostała od Joachima książkę, którą bardzo sobie cenił podczas pobytu w Oxfordzie, i przywiózł tu z sobą jako jedną z niewielu rzeczy osobistych. Podniszczony, z pozawijanymi rogami egzemplarz poezji Ruperta Brooke'a bardzo się Sarze spodobał.

Nie były to dla niej szczęśliwe urodziny. Przeżywała najnowsze wiadomości z różnych frontów wojny, przeraziło ją bombardowanie Wielkiej Brytanii. Piętnastego sierpnia, kiedy rozpoczął się atak na Londyn, Sara była pogrążona w głębokiej rozpacz na myśl o mieszkających tam ludziach, o przyjaciółach, krewnych Williama i angielskich dzieciach. Wprawdzie Joachim ostrzegał, że do tego dojdzie, ale tempo działań wojennych było rzeczywiście zastraszające; nie doceniała ogromu zniszczeń powodowanych przez niemieckie naloty. Londyn był dewastowany z żelazną konsekwencją.

- Mówiłem ci, że tu jesteś bezpieczniejsza. Zwłaszcza teraz, Saro - powiedział miłym, wibrującym głosem.

Pomógł jej pokonać nierówność na drodze, a po chwili przysiedli na ogromnym głazie. Lepiej było nie rozmawiać o wojnie; tyle było innych tematów, które nie psuły jej humoru. Opowiadał o swych dziecięcych wyprawach do Szwajcarii i figlach swego brata, kiedy byli dziećmi. Już dawno zauważył, że istniało duże podobieństwo między jego bratem, gdy był mały, a Phillipem. Synek Sary nauczył się już chodzić, miał złociste kędziory i niebieskie oczy, a kiedy był z matką lub Emanuelle, psocił z upodobaniem.

- Dlaczego nie ożeniłeś się po raz drugi? - Sara zapytała Joachima pewnego popołudnia. Było jej bardzo ciężko się poruszać, ale lubiła spacerować z Joachimem i nie chciała z nich zrezygnować. Rozmowa z nim przynosiła ulgę i, nie zdając sobie sprawy, zaczęła potrzebować jego towarzystwa.

- Dotąd w nikim się nie zakochałem - powiedział otwarcie i uśmiechnął się. Chciał dodać: "aż do tej chwili", ale powstrzymał się w porę. - To straszne, co powiem, ale nie jestem nawet pewien, czy kochałem pierwszą żonę. Byliśmy młodzi, przebywaliśmy razem od dzieciństwa. Myślę, że po prostu... tego od nas oczekiwano - dodał, a Sara uśmiechnęła się. Czuli się z nim swobodnie i nie musiała niczego ukrywać.

- Ja również nie kochałam mego pierwszego męża - przyznała, a on spojrzał zdziwiony. Związane z nią sprawy zawsze go zdumiewały, na przykład kolejne dowody, że jest taka silna, uczciwa, sprawiedliwa i bardzo oddana mężowi.

- Byłaś zamężna poprzednio? - zainteresował się prawdziwie zaskoczony.

- Moje małżeństwo trwało rok. Wyszłam za kogoś, kogo znałam przez całe życie, i to było dokładnie tak, jak mi opowiadałeś o sobie. Po prostu okropnie. Nigdy nie powinniśmy się pobierać. Gdy zdecydowałam się na rozwód, byłam tak zawstydzona, że żyłam w odosobnieniu cały rok. Potem rodzice zabrali mnie do Europy i tam spotkałam Williama.

Jakże prosto i bezboleśnie brzmiało to teraz, gdy czas zagoił rany.

- Przeżywałam bardzo trudny okres. Ale z Williamem - jej oczy rozbłysły, gdy wymówiła jego imię - z Williamem jest zupełnie inaczej...

- On musi być wspaniałym człowiekiem - powiedział ze smutkiem Joachim.

- Rzeczywiście jest wspaniały. Mam bardzo dużo szczęścia.

- On też.

Joachim pomógł Sarze wstać, doszli do farmy i z powrotem. Ale następnego dnia nie miała siły na spacer, pozostali więc w parku. Była bardziej małowólna niż zwykle, bardziej melancholijna i zamyślona. Za to kolejnego dnia znowu była pełna werwy i chciała iść aż nad rzekę.

- Czasem mnie martwisz - oznajmił po drodze. Szła dziś bardziej sprężysto, wydawało się, że odzyskała dobre samopoczucie.

- Dlaczego? - zapytała zaintrygowana; było co najmniej dziwne, że dowódca niemieckich wojsk okupacyjnych wykazuje troskę o nią, czuła jednak, że stali się przyjaciółmi. Joachim był poważny, wrażliwy, a także uprzejmy i prawy. Nie da się zaprzeczyć, że go polubiła.

- Przemęczasz się. Za dużo bierzesz na swoje barki.

Był zaskoczony, gdy dowiedział się, ile pracy włożyła w renowację zamku. Oprowadziła go któregoś dnia po pokojach, a Joachim nie mógł wprost uwierzyć, że zrobiła to tak precyzyjnie i dokładnie; potem pokazała mu, czego dokonała w stajni.

- Nie pozwoliłbym ci na to, gdybyś była moją żoną - zapewnił zdecydowanym tonem, a ona skwitowała tę uwagę śmiechem.

- Wobec tego dobrze zrobiłam wychodząc za Williama.

Uśmiechnął się zazdrosny o Williama, ale jednocześnie wdzięczny losowi, że ją poznał. Długo stali przy furtce domku dozorczy i tego popołudnia chyba nie chciała pozwolić mu odejść. Zwykle oszczędna w ekspresji, po raz pierwszy przy pożegnaniu dotknęła jego dłoni i podziękowała mu.

Zaskoczył go ten gest; zrobiło mu się ciepło w okolicy serca, choć udał, że niczego nie zauważył.

- Za co mi dziękujesz?

- Za to, że znajdujesz czas na spacer... że prowadzisz ze mną dyskusje, to znaczy dla mnie bardzo wiele.

- Czekam niecierpliwie na to, by cię zobaczyć... może bardziej niż sądzisz - powiedział miękko, a ona odwróciła wzrok, nie wiedząc, co odpowiedzieć. - Może mamy szczęście, że jesteśmy tu razem - mówił dalej. - Coś w rodzaju kismet (kismet - los przeznaczony człowiekowi)... wyższego przeznaczenia. Ta wojna byłaby dla mnie jeszcze gorsza, Saro, gdyby ciebie tu nie było.

Od lat nie czuł się taki szczęśliwy; martwiło go jedynie to, że pokochał i że któregoś dnia będzie musiał wyjechać; Sara wróci do Williama i nigdy się nie dowie o jego uczuciach i o tym, ile dla niego znaczy.

- Dziękuję ci - rzekł porywczo, mając neodpartą ochotę, by choć dotknąć jej twarzy, włosów, ramion... ale nie był tak śmiały ani tak głupi, jak jego żołnierze.

- Zatem do jutra... - zawahała się na ułamek sekundy.

Nazajutrz po południu Joachim martwił się, że Sara nie przychodzi. Pomyślał, że może źle się czuje; doczekał zmroku i poszedł w stronę domku dozorczy. Wszystkie światła były pozapalane, a w oknie kuchennym zobaczył Emanuelle. Gdy zapukał, podeszła do drzwi z twarzą nie wróżącą nic dobrego. Trzymała na ręku wyraźnie zaniepokojonego Phillipa.

- Czy Jej Wysokość dobrze się czuje? - zapytał po francusku, a ona potrząsnęła głową. Zawahała się, wreszcie zdecydowała się powiedzieć, bo wiedziała, że Sara go lubi. Prawdę mówiąc, sama za nim nie przepadała. Emanuelle nigdy nie kwestionowała postępowania księżnej - utrzymywał się między nimi stosunek pełen jednostronnego respektu.

- Rodzi dziecko - ale w jej oczach było widać coś więcej, ślad strachu, który Joachim raczej wyczuł niż dostrzegł; przypomniał sobie, co mówiła o pierwszym porodzie.

- Czy wszystko przebiega dobrze? - zapytał, szukając wzrokiem oczu dziewczyny. Emanuelle zawahała się i skinęła głową.

Odczuł ulgę, ponieważ wszystkie pielęgniarki i obaj lekarze pojechali na konferencję do Paryża. W szpitalu nie było teraz ciężko chorych, na służbie pozostali jedynie dyżurni.

- Czy jesteś pewna, że wszystko w porządku? - nalegał na odpowiedź.

- Tak, jestem pewna - odburknęła. - Byłam tu ostatnim razem.

Przekazał dla Sary najlepsze życzenia i odszedł. Analizował z zadumą atmosferę narodzin nowego człowieka; oczyma duszy rozpatrywał całkiem inną sytuację: gdybyż to było jego z nią dziecko!

Wrócił do gabinetu Williama i długo tam siedział, wpatrując się w znalezioną fotografię. Sara śmiała się na niej z czyichś słów, stojąc koło Williama w Whitfield. Tworzyli piękną parę. Joachim schował zdjęcie i nalał sobie koniaku. Ledwie zdążył przełknąć łyk, pojawił się wartownik.

- Ktoś do pana, panie komendancie.

Niewiele brakowało do północy; Joachim zamierzał się już położyć, ale wyszedł i zdziwiony zobaczył u podnóża schodów wystraszoną Emanuelle.

- Co się stało? - zapytał przerażony.

Emanuelle mówiła szybko, splatając palce rąk.

- To znowu nie przebiega jak należy. Poród trwa już zbyt długo. Ostatnim razem... książkę zrobił wszystko, krzyczał na nią... trwało to wiele godzin. Ja uciskałam brzuch... aż w końcu musiał obrócić dziecko...

Dlaczego nie zatrzymał lekarzy? Wiedział, że poprzednio miała ciężki poród, ale nie pomyślał o tym, gdy personel wyjeżdżał do Paryża. Chwycił kurtkę od munduru i wybiegł za Emanuelle. Nigdy przedtem nie odbierał dziecka, ale nie było nikogo innego do pomocy rodzącej. Wiedział, że w mieście też nie ma od dawna lekarzy. Nikt prócz niego nie mógł udzielić Sarze pomocy.

W domku nadal paliły się wszystkie światła. Joachim wbiegł na górę, przeskakując po dwa schody na raz. Mały Phillip smacznie spał w pokoju przylegającym do sypialni Sary. Gdy Joachim zobaczył Sarę, od razu zrozumiał, co miała na myśli Emanuelle. Cierpiała straszne bóle; młoda Francuzka powiedziała, że trwa to od rana, czyli poród się zaczął przed szesnastoma godzinami.

- Saro - szepnął łagodnie, siadając na jedynym krześle, jakie było w tym pokoju - to ja, Joachim. Przykro mi, że przyszedłem tu sam, ale nie ma nikogo innego.

Skinieniem głowy odpowiedziała na te przeprosiny, świadoma, kto ją odwiedził, najwyraźniej nie mając nic przeciw temu. Chwyciła go za dłoń, a gdy przyszedł kolejny atak bólu, który zdawał się trwać bez końca, rozdzierający krzyk wydarł się z piersi Sary.

- To straszne... boli mnie bardziej niż za pierwszym razem... nie mogę... William...

- Właśnie że możesz. Przyszedłem, by ci pomóc - mówił z niezmaconym spokojem.

Emanuelle wyszła z pokoju, by przynieść więcej ręczników.

- Czy dziecko w ogóle zaczęło wychodzić? - zapytał nieco bezradnie.

- Chyba nie... ja... - teraz mocno chwyciła jego obie dłonie. - O Boże... och, przepraszam...

Joachimie! Nie zostawiaj mnie!

Po raz pierwszy wymówiła jego imię, chociaż on często mówił do niej "Saro". Najchętniej chwyciłby ją w ramiona i powiedział, jak bardzo ją kocha.

- Saro, proszę... jeśli będziesz ze mną współpracować, wszystko będzie dobrze.

Powiedział Emanuelle, jak ma uchwycić jej nogi, przytrzymał ramiona, kiedy znów pojawiły się bóle, aby mogła łatwiej przeć. Początkowo straszliwie mu się wrywała, ale przekonał ją jego pewny głos. Uwierzyła, że Joachim dokładnie wie, co ma robić. Po godzinie zaczęła pojawiać się główka dziecka; Sara nie krwawiła tak bardzo, jak za pierwszym razem. Drugie dziecko najwyraźniej też było duże i trzeba było wiele czasu, by ujrzało światło dzienne.

Joachim postanowił zostać z nią i pomagać do skutku. Był już prawie świt, gdy ukazała się główka z małą, pomarszczoną twarzyczką, ale, w przeciwieństwie do Phillipa, dziecko nie oddychało.

W sypialni zapanowała cisza. Emanuelle popatrzyła z niepokojem na Joachima, zastanawiając się, co to znaczy. Obserwował chwilę dziecko, a potem szybko odwrócił się do Sary.

- Saro, natychmiast musisz mocno przeć! - ponaglił ją, spoglądając co chwila na siniejącą twarzyczkę noworodka. - Dalej... Teraz, Saro, przyj! - wydawał komendy raczej jak żołnierz, niż jak lekarz albo mąż. Wydając polecenia robił to, co poprzednim razem przypadło w udziale Emanuelle - naciskał jej brzuch, by pomóc wypchnąć na świat dziecko. Chwila, moment i niemowlę powoli wysunęło się na zewnątrz; leżało teraz nieruchomo pomiędzy udami Sary; spojrzała na nie i zapłakała z żalu.

- Nie żyje! Mój Boże, moje maleństwo jest martwe! - łkała.

Joachim wziął je, wciąż połączone z matką pępowiną, w swoje ręce. Dziewczynka nie dawała oznak życia; Joachim masował jej plecki, klepał ją, dał jej klapsa w stópki, aż wreszcie potrząsnął, trzymając za nóżki, główką do dołu. Wtedy z ust maleństwa wydostał się czop śluzu. Dziecko drgnęło leciuteńko, potem westchnęło i zaniósło się płaczem. Teraz płakali już wszyscy; Joachim, cały ubrudzony krwią, płakał tak samo jak Sara i Emanuelle. Potem przeciął pępowinę i

ogarnięty absurdalną falą czułości podał dziecko Sarze. Nie kochałby jej bardziej, nawet gdyby był ojcem dziecka.

- Oto twoja córka - powiedział i ułożył ją delikatnie obok matki, otuloną w czysty kocyk. Poszedł umyć ręce i choć trochę oczyścić koszulę; po chwili wrócił do wciąż płaczącej Sary. Wyciągnęła do niego rękę, którą ucałował.

- Joachimie, uratowałeś ją.

Ich oczy spotkały się na długą chwilę; czuł, że przez ostatnie godziny uczestniczył w pewnego rodzaju misterium - dzielił z nią dar życia.

- Nie, to nie ja - zaprzeczył. - Ja tylko zrobiłem, co mogłem. Ale decyzję podjął Bóg. Zawsze tak jest.

Popatrzył na różowutkie i okrągłe dziecko. Leżąca cicho śliczna dziewczynka wyglądała zupełnie jak mała Sara, jeśli nie liczyć jasnego puszkę na głowie.

- Jest piękna.

- Prawda?

- Jak chcesz ją nazwać?

- Elizabeth Annabelle Whitfield.

Zdecydowali o tym z Williamem dużo wcześniej i teraz Sara uważała, że wybrane imiona idealnie pasują do śpiącego spokojnie dziecka.

Joachim opuścił dom Sary; wrócił tam późnym popołudniem, by zapytać, czy czegoś nie potrzebują. Mały Phillip zafascynowany przyglądał się niemowlęciu, tuląc się do matki.

Joachim przyniósł kwiaty, duży kawał tortu czekoladowego, funt cukru i jeszcze kilogram cennej kawy. Sara siedziała w łóżku; wyglądała nadspodziewanie dobrze, zważywszy, przez co musiała przejść. Tym razem poród był łatwiejszy niż poprzednio - dziecko ważyło "tylko" dziewięć funtów, co wszem wobec ogłosiła Emanuelle. Humor wszystkim dopisywał, ale szczęśliwy koniec zawdzięczano Joachimowi. Nawet Emanuelle odnosiła się uprzejmiej niż zazwyczaj.

Gdy dziewczyna wyszła z sypialni, Sara popatrzyła na niego z bezbrzeżną wdzięcznością; wiedziała, że niezależnie od tego, co wydarzy się w ich życiu, nigdy nie pójdzie w niepamięć fakt, że uratował jej dziecko.

- Nigdy nie zapomnę, co dla nas zrobiłeś - szepnęła do Joachima, który ujął jej dłoń. Nie dało się zaprzeczyć, że tego poranka wytworzył się między nimi pewien nieuchwytny związek.

- Mówiłem ci, że to palec boży.

- Ale za twoim pośrednictwem... tak bardzo się bałam... - już na samo wspomnienie uczuła ucisk w żołądku. Nie przeżyłaby, gdyby dziecko zmarło, ale Joachim je uratował.

- Ja także byłem, przestraszony - wyznał. - To było jak zły sen, ale mieliśmy szczęście. Ona wygląda trochę jak moja siostrzyczka.

- Moja także - Sara zaśmiała się miękko.

Raczyli się teraz wspaniałą herbatą, a Joachim przeschmuglował butelkę szampana i wznosił toast za zdrowie i pomyślność lady Elizabeth Annabelle Whitfield.

Wreszcie wstał, zbierając się do wyjścia.

- Powinnaś teraz spać - powiedział.

Schylił się i pocałował ją w czubek głowy. Gdy jego wargi dotknęły włosów Sary - trwał chwilę z zamkniętymi oczyma.

- Śpij, moja kochana - szepnął; a Sara przegrywała już w starciu z sennością, odpływając w objęcia Morfeusza, zanim Joachim zdążył wyjść z pokoju. Słyszała jego słowa, jakby dobiegały z daleka, ale już śniła o Williamie.

Rozdział piętnasty

Do lata następnego roku Londyn został prawie doszczętnie zniszczony w rezultacie ciągłych bombardowań, ale nie zdołało to złamać ducha Brytyjczyków. Do tego czasu Sara otrzymała jedynie dwa listy od męża, które dotarły do niej okrężną drogą przez Resistance (Ruch Oporu we Francji). William donosił, że czuje się dobrze i czynił sobie ciągle wyrzuty, że nie przyjechał do Francji wtedy, kiedy jeszcze mógł. W drugim liście pisał, że cieszy się z przyjścia na świat Elizabeth - wcześniej otrzymał list od Sary. Martwił się, że przebywają we Francji i że nie ma sposobu, by do nich dotrzeć. Nie opisał jednak, że wcześniej starał się wykorzystać wiele możliwości przerzutu, chociażby po to, by złożyć im krótką wizytę, ale sprzeciwiło się temu War Office. Nie było też na razie sposobu, by wywieźć z Francji Sarę. Jedyne, co im pozostało, to spokojnie czekać; wojna wkrótce się skończy - zapewniał Sarę. Trzeci list od Williama przyszedł na jesieni i zawierał informacje, które omal nie przyprawiły jej o śmierć. Nie miał jednak odwagi dłużej tego ukrywać, ponieważ mogła się dowiedzieć okrężną drogą. Jane napisała do niego, ponieważ nie miała kontaktu z Sarą. Rodzice zginęli w katastrofie jachtu na morzu koło Southampton. Pływali ze znajomymi, gdy nadciągnął potężny sztorm. Jacht zatonął i wszyscy pasażerowie poszli na dno, zanim pojawiła się Straż Przybrzeżna.

Usłyszawszy o tym, Sara pogrzażyła się w smutku - przez cały tydzień nie rozmawiała z Joachimem. Również w tym samym czasie dowiedziała się, że jego siostra zginęła podczas bombardowania Mannheim. Wszyscy ponosili ciężkie straty, ale śmierć rodziców była dla Sary szczególnym ciosem.

Kolejne wiadomości były jeszcze gorsze. Cały świat stracił oddech, gdy no się o ataku na Pearl Harbor.

- Mój Boże, Joachimie, co to znaczy?

Byli już wtedy bliskimi przyjaciółmi i był pierwszym, który jej o tym powiedział. Dla Sary ogromnie liczyło się to, że uratował życie Elizabeth. Nadal zaopatrywał ich w żywność i różne drobiazgi, zawsze służył pomocą. Kiedy Phillip miał nawrót bronchitu, Joachim załatwił dla małego lekarstwo. Ostatnie wiadomości zmieniały wszystko nie tylko dla nich, ale dla całego świata. Tego dnia, gdy nastąpił atak na Pearl Harbor, Ameryka wypowiedziała wojnę państwu tworzącym oś Rzym-Berlin-Tokio. Pozornie nie zmieniło to w niczym sytuacji Sary, bo w istocie od dawna była niemieckim więźniem. Świadomość, że państwa osi zaatakowały Amerykę, przeraziła Sarę. Co będzie, jeśli Nowy Jork podzieli los Londynu? Tam jest przecież jej najbliższa rodzina: Peter, Jane i ich dzieci. Tak ciężko było przebywać z dala od nich; rodzina w takich chwilach powinna trzymać się razem i wzajemnie wspierać.

- To może zmienić całą sytuację - powiedział cicho, gdy pewnego razu siedzieli w kuchni domku dozorca.

Niektórzy z otoczenia komendanta wiedzieli, że czasem odwiedza Sarę, ale nie wzbudzało to żadnej sensacji. Była piękną kobietą, ale zachowywała się z godnością, która przystoi właścicielce zamku; dla Joachima coś innego było znacznie ważniejsze - był w niej po prostu zakochany.

- Sądzę, że to będzie miało poważne konsekwencje - powiedział nachmurzony, i oczywiście miał rację. Wojna nasilała się na wszystkich frontach i we wszystkich swoich przejawach. Kontynuowano także naloty na Londyn.

Dopiero po dwóch miesiącach Sara dowiedziała się, że Peter służy na Pacyfiku, a Jane przebywa czasowo z dziećmi w posiadłości na Long Island. Wprost nie do uwierzenia był fakt, że dom stał się teraz własnością obu siostr, to znaczy Sary i Jane, tak jak zresztą nowojorska siedziba Thompsonów. Jane zamieszkiwała tam teraz z dziećmi. Sara czuła się zagubiona, oddalona od swoich korzeni; przygnębiała ją myśl, że jej dzieci nigdy nie poznają swoich dziadków.

Z pewnością nie była przygotowana psychicznie na wiadomości, jakie właśnie miała otrzymać. Phillip miał półtora roku, Elizabeth zaś, ich dziecko cud, jak nazywał ją Joachim, siedem miesięcy; miała już cztery ząbki i była niezwykle pogodna. Gaworzyła i śmiała się na widok matki, piszczała z zachwytem, zarzucała jej rączki na szyję i przytulała się. Phillip najwyraźniej kochał siostrzyczkę - całował ją, próbował obejmować i nazywał swoim dzieckiem.

Pewnego dnia Sara siedziała z Elizabeth na kolanach, gdy Emanuelle wróciła z hotelu, przynosząc list - na kopercie był stempel z Karaibów.

- Jak on tu dotarł? - zapytała i nagle ugryzła się w język. Od dawna zdawała sobie sprawę, że niewiele wie o życiu Emanuelle i Henriego, a zapewne także o ich rodzicach. Słyszała pogłoski, że w hotelu przechowuje się jakichś ludzi, kiedyś nawet pozwoliła im ukrywać przez tydzień kogoś w starej szopie koło farmy - ale świadomie nie chciała wiedzieć zbyt wiele. Zdarzało się widzieć Henriego lekko rannego, ale jeszcze bardziej niepokojące było to, że Sara uświadomiła sobie, iż Emanuelle pozostaje w pewnego rodzaju związku uczuciowym z synem burmistrza, który miał urzędowe kontakty z Niemcami. Prawidłowo oceniła, że związek Emanuelle ma raczej polityczny niż romantyczny podkład. Był to raczej nieciekawym sposobem inicjacji uczuciowej. Próbowала porozmawiać o tym z Emanuelle, ale dziewczyna była zamknięta w sobie i bardzo stanowcza. Nie zamierzała wciągać Sary w to, co robi dla Resistance, dopóty, dopóki nie musi. Dostarczyła jej list, a Sara poznała po herbie na odwrocie, że to wiadomość od księcia Windsoru. Nawet nie próbowała odgadnąć, co jest powodem, że do niej napisali, tym bardziej że nie czynili tego wcześniej. Słyszała przez radio, które rodzice Emanuelle ukrywali w hotelu, że księżę jest teraz gubernatorem Wysp

Bahama. Brytyjski rząd obawiał się, że mógłby posłużyć Niemcom jako karta przetargowa, gdyby go schwytali, postanowiono więc trzymać go z dala od Europy.

Niezależnie od tego jego proniemieckie sympatie nie były w Anglii szczególną tajemnicą.

List zaczynał się od serdecznych pozdrowień; księżę pisał, że Wallis przebywa razem z nim, a następnie z największym zalem donosił, że William zaginął podczas działań wojennych. Istnieje niewielka szansa, że dostał się do niewoli, ale nie ma co do tego pewności - informował ze smutkiem. Czytała list z oczami pełnymi łez - wynikało z niego, że jedynie pewne jest to, iż William zaginął. Księżę opisywał szczegółowo przebieg wydarzeń, zapewniał, iż jest całkowicie przekonany, że jego kuzyn postępował rozsądnie i odważnie. Mógł zginąć podczas skoku ze spadochronem, ale mógł też przeżyć. Został zrzucony nad Niemcami, dokąd wysłano go z misją specjalną - zgłosił się na ochotnika mimo sprzeciwu funkcjonariuszy War Office.

"Był bardzo upartym młodym człowiekiem, a jego upór drogo kosztuje nas wszystkich" - pisał dalej. - "Ciebie zaś najwięcej, moja droga. Musisz być bardzo dzielna, taka, jaką on chciałby Cię widzieć. Musisz mieć nadzieję, że jeśli Bóg zechce, William będzie bezpieczny, ale może już być w rękach Stwórcy. Mam nadzieję, że jesteś zdrowa, i łączę kondolencje oraz pozdrowienia dla Ciebie i dzieci".

Patrzyła na trzymany w dłoni list, przeczytała go jeszcze raz; w jej krtani rodziło się łkanie. Emanuelle patrzyła z niepokojem na Sarę i zorientowała się, że nie są to dobre wiadomości. Domyślała się, gdy niosła list z hotelu; szybko zabrała dziecko od Sary i wyszła, chcąc uszanować ból księżnej. Po chwili wróciła i ujrzała Sarę płaczącą, opartą o blat kuchennego stołu.

- Och, madame... - posadziła dziecko na podłodze i objęła ramieniem swą chlebobawczynię.
- Czy chodzi o księcia? - zapytała zduszonym głosem, a Sara nie zaprzeczyła, zwracając na Emanuelle oczy pełne łez.

- Zaginął... może dostał się do niewoli... albo zginął. Nie wiadomo. Ten list przyszedł od jego kuzyna.

- O, biedna madame... on nie mógł zginąć. Proszę w to nie wierzyć!

Sara przytaknęła, sama już nie wiedząc, w co powinna wierzyć, wiedziała jedynie, że nie potrafi żyć bez Williama. On tego od niej oczekiwał - by żyła dla dzieci, ale było nie do zniesienia. Długo zanosila się płaczem, a po jakimś czasie wyszła z domu na długi, samotny spacer po lesie. Tym razem Joachim nie zauważył jej.

Wiedziała, że dla niego to zbyt późna pora - w tym czasie jadał kolację, poza tym potrzebowała samotności. Usiadła w ciemnym lesie na powalonym drzewie i płakała, wycierając łzy rękawem swetra. Jak poradzi sobie z życiem bez niego i dlaczego jest ono tak okrutne? Kto zezwolił Williamowi na tak niebezpieczną misję, wymagającą zrzucenia go na niemieckie

terytorium? Davida wysłano na Wyspy Bahama. Dlaczego Williamowi nie zlecono równie bezpiecznej placówki? Siedziała w lesie przez wiele godzin, pogrążona w myślach i wspomnieniach; modliła się, chciała poczuć wewnętrzny przekaz od Williama, jakieś duchowe oddziaływanie! Ale nic takiego się nie zdarzyło. Wróciła do domu i jak otepiąca leżała w łóżku, które z nim dzieliła, gdy po raz pierwszy przyjechali do zamku.

Była wtedy w ciąży z Phillipem. I oto nagle, leżąc w ciemności, poczuła niezbitą pewność, że William żyje. Intuicja nie podpowiedziała jej szczegółów, ale była absolutnie przekonana, że tak się stanie. Odczuła to jak znak dany przez Boga, tak silny impuls, że stanowił pewną gwarancję. Usnęła, a rano obudziła się odświeżona i przekonana, że William żyje, że nie został zabity przez Niemców.

Zrelacjonowała później swą wizję Joachimowi; wysłuchał cierpliwie, ale nie był do końca przekonany tym religijnym przesłaniem.

- Mówię poważnie, Joachimie... Poczułam tę moc... absolutną pewność, że on gdzieś żyje. Jestem przekonana - mówiła jak ktoś autentycznie religijny; nie chciał ujawniać swego głębokiego sceptycyzmu ani zdradzać jej, jak niewiele przeżyło w niewoli.

- Może masz rację - rzekł cicho - ale powinnaś też przygotować się na to, że jej nie masz.

Starał się wyrazić to jak najdelikatniej. Musi pogodzić się z tym, że William zaginął, a może nie żyje. Prawdopodobieństwo, że została wdową, było czymś więcej niż ewentualnością. Nie chciał jej teraz skłaniać, by to zaakceptowała, ale w końcu będzie się musiała pogodzić z najgorszym, niezależnie od wiary, snów i marzeń.

Czas płynął, a od Williama nie nadchodziły żadne wieści. Dalej nie było wiadomo, czy żyje, czy dostał się do niewoli. Dla Joachima było to oczywiste, ale do Sary nie docierało. Zachowywała się tak, jakby widziała się z mężem poprzedniego dnia, jakby rozmawiała z nim we śnie. Była spokojniejsza, bardziej zdecydowana i pewna siebie niż na początku wojny, gdy jeszcze od czasu do czasu otrzymywała listy. Teraz nie było żadnych wiadomości, wyłącznie głucho milczenie. William jakby się rozpułnął, zniknął prawdopodobnie na zawsze. Wcześniej czy później pogodzi się z tym. Joachim czekał, aż ten moment nadejdzie, ale zdawał sobie sprawę, że dopóki Sara nie zaakceptuje faktu, iż William nie żyje, czas nie będzie im sprzyjał; nie chciał wywierać żadnej presji. Był wszędzie tam, gdzie go potrzebowała, o każdej porze, gdy chciała z nim porozmawiać, kiedy była smutna, samotna lub wystraszona. Trudno uwierzyć, że znajdowali się po przeciwnych stronach barykady. Z jego punktu widzenia byli mężczyzną i kobietą, którzy są ze sobą już od dwóch lat; kochał ją całym sercem i duszą, dawał jej wszystko, co miał do zaoferowania. Nie wiedział, jak ułożą sobie życie po wojnie, gdzie będą mieszkać, co robić. Ale to nieistotne. Dla Joachima liczyła się jedynie Sara. Dla niej żył, dla niej oddychał - ona zaś ciągle nie zdawała sobie

z tego sprawy. Dostrzegała naturalnie jego oddanie, czuła, że bardzo lubi ją i dzieci, że ma szczególny stosunek do Elizabeth od chwili, gdy podczas porodu uratował jej życie. Ale nigdy nie wyczuwała do końca jego miłości.

Tego roku chciał jej ofiarować na urodziny wspaniałe kolczyki z brylantami, które kupił w Paryżu, ale zdecydowanie odmówiła przyjęcia takiego prezentu.

- Nie mogę, Joachimie. One są prześliczne, ale nie zapominaj, że jestem zamężną kobietą.

Nie spierał się z nią, chociaż w to nie wierzył, był przekonany, że jest już wdową; przy całym szacunku dla Williama należało stwierdzić, że zniknął przed sześcioma miesiącami, a ona jest już wolna.

- Jestem twoim więźniem, nie zapominaj - śmiała się. - Co powiedzieliby ludzie, gdybym przyjęła od ciebie kolczyki z brylantami?

- Nie jestem przekonany, czy musielibyśmy im się z tego tłumaczyć - czuł się rozczarowany, ale to pojmował. Skończyło się na tym, że ofiarował jej na urodziny nowy zegarek, który przyjęła z wdzięcznością, oraz piękny, a zarazem praktyczny sweter. Typowe dla Sary było to, że nie godziła się na nic bardziej kosztownego.

Joachim akceptował również i tę cechę jej charakteru. Żyjąc w cieniu Sary dwa lata nie znalazł w tej dziewczynie niczego, co by mu się nie podobało, z wyjątkiem faktu, że ciągle upierała się, iż jest żoną Williama. Ale w gruncie rzeczy i to szanował. Była konsekwentnie lojalna, oddana i kochająca. Tych cech Sary zazdrościł Williamowi dawniej, teraz jedynie mu współczuł. Wcześniej czy później Sara będzie musiała się pogodzić z jego śmiercią.

Następnego roku niewzruszona nadzieja Sary zaczęła słabnąć, choć nikomu się do tego nie przyznawała. William zaginął przed ponad rokiem; służby specjalne nie uzyskały żadnych informacji na jego temat. Także Joachim starał się dyskretnie wywiedzieć, tak aby nie spowodować zagrożenia dla żadnego z nich. Wydawało się, że po obu stronach kanału La Manche panowało to samo przekonanie, że William zginął w marcu 1942 roku podczas skoku spadochronowego w Nadrenii. Sara nadal w to nie wierzyła, ale nawet najcenniejsze wspomnienia zdawały się blaknąć w obliczu upływającego czasu. To uczucie złowieszczonego przeznaczenia wywoływało strach. Nie widziała go od prawie czterech lat, a to koszmarnie długi okres nawet dla tak wielkiej miłości. Trudno było ją podtrzymywać w obliczu tak skromnych nadziei i ogromnych zagrożeń.

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia Sara spędziła spokojnie, z Joachimem. Był dla nich przemiły i czarujący. Szczególnie doceniał to Phillip, który wychowywał się bez ojca i nawet nie pamiętał Williama. W jego pojęciu Joachim był wyjątkowo sympatycznym facetem i Phillip go lubił w ten sam przyjacielski sposób, w jaki lubiła go Sara. Nienawidziła wszystkiego, co niosła z sobą niemiecka okupacja, ale przecież nie nienawidziła Joachima. Doceniała jego szlachetność,

trud wkładany w organizację szpitala i opiekę nad ciężko rannymi, którzy przybywali do zamku, by tu wracać do zdrowia. Niektórzy z nich nie mieli już nic: nadziei, kończyn, przyszłości ani domu, do którego mogliby wrócić. Zawsze znajdował wolną chwilę dla każdego, poświęcał wiele czasu na rozmowy z rannymi, powodując swoim autorytetem i osobowością chęć powrotu do życia, jak nieraz robił to z Sarą.

- Jesteś zdumiewający - powiedziała cicho, gdy pewnego razu siedzieli w kuchni.

Emanuelle wyjechała na parę tygodni z rodzicami i Henrim gdzieś w Ardeny, a Sara nauczyła się nie zadawać zbyt wielu pytań.

Henri miał już szesnaście lat i jego egzystencja obfitowała w ryzyko i zagrożenia. Również życie Emanuelle stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Syn burmistrza zaczął ją podejrzewać i rozstali się w gniewie. Teraz związała się z jakimś niemieckim oficerem; Sara nigdy nic na ten temat nie mówiła, ale podejrzewała, że również od niego wyciąga informacje, które przekazuje Resistance. Sara trzymała się od tego z daleka. Robiła wszystko, by dalej remontować zamek, pomagała w nagłych przypadkach w szpitalu, kiedy jej potrzebowali albo gdy wręcz nie mogli się bez niej obejść; resztę czasu poświęcała opiece nad dziećmi. Phillip miał już cztery i pół roku, Elizabeth była o rok młodsza i oboje byli wspaniałymi dzieciakami. Phillip zapowiadał się na bardzo wysokiego mężczyznę, co było już do przewidzenia w chwili, gdy się rodził. Elizabeth zaskakiwała delikatnością i ślicznie rzeźbioną twarzą. Była wątła, ale zawsze skora do psoty i odważna. Nie ulegało wątpliwości, że Joachim uwielbia oboje. W przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia przywiózł dzieciom prześliczne niemieckie zabawki, udało mu się także zdobyć lalkę dla Lizzie. Dziewczynka natychmiast chwyciła lalę w ramiona i zaczęła kołysać.

Phillip wdrapał się Joachimowi na kolana; przytulił mocno i objął go za szyję.

- Ty nas nie zostawisz tak jak tata, prawda? - zapytał z niepokojem; Sara poczuła łzy pod powiekami, choć udawała, że tego nie słyszy.

- Tata nie chciał was opuścić. Zostałby z wami, gdyby mógł - odpowiedział szybko Joachim.

- To dlaczego odszedł?

- Musiał. Jest żołnierzem.

- Ale ty nie odchodzisz.

Dziecko rozumowało logicznie, nie zdając sobie sprawy, że Joachim musiał zostawić własne dzieci i dom, by tu odbywać służbę. Potem zarzuciło mu znowu rączki na szyję i pozostało w tej pozycji aż do chwili, gdy zaniósł je do łóżka. Sara ułożyła Elizabeth do snu. Phillip przepadał za małą siostrzyczką, co wzbudzało zachwyty matki.

- Czy sądzisz, że wojna skończy się wreszcie w tym roku? - zapytała ze smutkiem Sara, gdy ułożywszy dzieci do snu sączyli z Joachimem koniak. Przyniósł najlepszego courvoisiera - mocnego i jednocześnie łagodnego w smaku.

- Mam nadzieję, choć niekiedy mam wrażenie, że ona nie skończy się nigdy. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku widzę ofiary wojny i zastanawiam się, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jakie to wszystko jest bezsensowne; nic nie jest warte takich poświęceń.

- Właśnie dlatego jesteś tutaj, a nie na froncie - uśmiechnęła się ze zrozumieniem Sara. Obydwoje jednakowo nienawidzili wojny.

- Cieszę się, że jestem tutaj - powiedział wyciszonym głosem.

Miał nadzieję, że czyni jej życie znośniejszym, i niewiele się mylił. Sięgnął ponad stołem i delikatnie dotknął jej ręki. Znał ją od trzech i pół roku, a wydawało mu się, że ta przyjaźń trwa całe życie.

- Bardzo wiele dla mnie znaczysz - wyszeptał ogarnięty silną falą czułości. Pod wpływem lekkiego rauszu i przeżyć tego dnia nie potrafił dłużej ukrywać swych uczuć. - Saro - przemówił schrypniętym, udreńczonym głosem - chcę ci wyznać swą miłość.

Uciekła spojrzeniem w bok. Zdawała sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić na żaden gest czułości z szacunku dla Williama.

- Nie, Joachimie... proszę... - drgnęła leciuteńko i popatrzyła na niego błagalnie.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym znowu podjął, ujmując jej dłoń:

- Powiedz, że nic do mnie nie czujesz, że nigdy mnie nie pokochasz, a nigdy już nie wypowiem tych słów... Ale ja cię kocham, Saro, i sądzę, że mam twoją wzajemność. Co robimy? Dlaczego to ukrywamy? Dlaczego jesteśmy zaledwie przyjaciółmi, skoro możemy być sobie bliscy? Chciał czegoś więcej, czekał na to przez całe lata i bardzo jej pożałował.

- Ja też cię kocham - rozsądna część jej osobowości wystraszyła się własnych słów i uczuć. Opierała im się ze względu na Williama. - Ale nie wolno nam tego zrobić.

- Dlaczego nie? Jesteśmy dorośli. Świat się kończy. Czy nie mamy prawa do odrobiny szczęścia?

Od tylu lat oboje ocierali się na co dzień o ból i śmierć, że byli już tym zmęczeni.

Uśmiechnęła się, słysząc, jego słowa. Ona też go kochała, kochała jego osobowość, ceniła za to, co robił dla niej i dzieci.

- Mamy swoją przyjaźń... i naszą miłość... nie mamy prawa mieć nic więcej, dokąd żyje William.

- A jeśli on nie żyje? - zmusił ją do wzięcia pod uwagę tej ewentualności; ale to było zbyt bolesne, aby dała jednoznaczną odpowiedź.

- Nie wiem. Nie wiem, co teraz czuję. Ale wciąż mam pewność, że jestem jego żoną i zapewne będę jeszcze długo. Może zawsze.

- A ja? - zapytał; po raz pierwszy wyrażał jakieś żądanie i nalegał na odpowiedź. - A ja, Saro? Co ja mam zrobić?

- Nie wiem - odpowiedziała, wyraźnie niezdecydowana i nieszczęśliwa; Joachim podniósł się i powoli się zbliżył. Usiadł obok i spojrzał w oczy Sary - zobaczył w nich smutek i tęsknotę; wtedy delikatnie dotknął jej twarzy palcami.

- Będę tu przy tobie. Chcę, abyś o tym wiedziała. Gdy pogodzisz się z tym, że Williama już nie ma, nadal tu będę. Mamy czas, Saro... mamy całe życie.

Musnął jej usta delikatnym pocałunkiem, zawierając w tym geście wszystko, co od dawna chciał jej wyznać. Nie powstrzymała go, pragnęła go równie mocno, jak on jej pożądał. Męża widziała ostatni raz przed czterema laty, podczas gdy od trzech i pół roku przebywała obok tego mężczyzny dzień po dniu, krok po kroku przywiązując się do niego i odczuwając pewien rodzaj szacunku. Ale wciąż była pewna, że nie mają prawa do tego, do czego dążyły ich ciała. Takie sobie złożyła przyrzeczenie, chociaż kochała go bardziej niż kogokolwiek innego.

- Kocham cię - wyszeptał Joachim i zaczął ją gwałtownie całować.

- I ja cię kocham - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. Ale ciągle miała przed oczami wizerunek Williama. Wiedzieli o tym oboje.

Chwilę później Joachim wracał już do zamku, szanując to, kim była i czego od niego oczekiwała. Nazajutrz znowu bawił się z dziećmi i życie toczyło się zwykłym trybem, jak gdyby wczorajsza rozmowa nie miała miejsca.

Na wiosnę sytuacja na frontach wojny nie układała się korzystnie dla Niemców; Joachim przychodził do Sary rozmawiać o tym, co według niego może się wydarzyć w najbliższej przyszłości. W kwietniu nabrali już pewności, że dostaną rozkaz wycofania się w pobliże granicy niemieckiej i będzie musiał opuścić Sarę i dzieci. Obiecał wrócić, gdy wojna się skończy - niezależnie od jej wyniku; nie zależało mu na zwycięstwie, nie przejmował się też możliwą kapitulacją Niemiec, chciał tylko, aby oboje przeżyli. Dalej utrzymywali dystans, zachowywał się wobec niej ostrożnie i chociaż od czasu do czasu się całowali, nie posunęli się ani o krok dalej. Tak było lepiej, Joachim wiedział, że nie będą niczego żałować i że Sara potrzebuje czasu. Wciąż chciała wierzyć w powrót Williama. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet gdyby te mrzonki obróciły się w prawdę, Sarze trudno byłoby wyrzucić Joachima z pamięci. Przywykła do jego niezastąpionej obecności, potrzebowała go i szanowała. Byli teraz kimś więcej niż przyjaciółmi i to zupełnie nie miało nic wspólnego z miłością do Williama.

Joachim niepokoił się wiadomościami dochodzącymi z Berlina, ale Sara po raz pierwszy nie zwracała na to uwagi. Była zajęta Lizzie, której od marca nie opuszczał kaszel; także podczas świąt wielkanocnych była słaba i chora.

- Nie wiem, co jej dolega - skarżyła się Sara Joachimowi, gdy wieczorem siedzieli w kuchni.

- To pewnie jakiś rodzaj grypy. We wsi panowała przez całą zimę.

Zasięgnęła porady lekarza w zamku; zapewnił zaniepokojoną matkę, że to nie jest zapalenie płuc, ale lekarstwo, które zaordynował, nie pomogło dziecku.

- Czy sądzisz, że to może być gruźlica? - obrzuciła niespokojnym spojrzeniem Joachima, ale on nie podzielał jej obaw. Poprosił lekarza, by zdobył dla Lizzie lekarstwo, ale starania o lek nie zostały uwieńczone powodzeniem. Wstrzymano wszystkie dostawy, jeden z niemieckich lekarzy już został odesłany na front, drugi miał się tam udać w maju. Ale już dużo wcześniej Lizzie trafiła ponownie do łóżka z wysoką temperaturą. Traciła na wadze, miała szkliste oczy, wyglądała bardzo mizernie, jak dzieci niszczone gorączką. Mały Phillip całymi dniami siedział w nogach jej łóżka, śpiewając i opowiadając siostrze bajki.

W ciągu dnia Phillipem zajmowała się Emanuelle. Bardzo się bał o Lizzie, ona była teraz "jego dzieckiem"; rozumiał grozę sytuacji, czuł, że jego mała siostrzyczka jest bardzo chora, i widział, jak matka się martwi. Ciągłe dopytywał się, czy Lizzie wyzdrowieje, i Sara go uspokajała. Joachim pojawiał się u nich co wieczór, mył Lizzie główkę, dbał, by dużo piła, a kiedy bardzo kasłała, rozcierał jej plecy, tak jak wtedy, gdy tuż po urodzeniu przywracał ją do życia. Ale tym razem nie mógł jej pomóc - stan dziewczynki pogarszał się z dnia na dzień. Pierwszego maja miała bardzo wysoką gorączkę; obaj lekarze z zamku wyjechali, zapasy lekarstw były na wyczerpaniu i Joachim nie mógł zdobyć dla niej żadnego medykamentu. Mógł jedynie siedzieć z nimi dzień w dzień i modlić się, by stan dziecka uległ poprawie.

Oszacował możliwości zabrania jej do lekarza w Paryżu, ale była zbyt słaba i chora, by znieść taką podróż; sprawy nie układały się dobrze. Do Francji zbliżały się wojska amerykańskie, Niemcy zaczęli wpadać w panikę. Paryż grabiono i łupiono, większość personelu wojskowego wysłano na front albo ściągnięto do Berlina. Rzesza przeżywała swoje pandemonium, Joachim jednak bardziej martwił się o Lizzie.

Na początku maja przyszedł pewnego popołudnia do ich domku i zobaczył Sarę siedzącą jak zwykle przy małej. Trzymała ją za rączkę, chłodziła główkę - Lizzie prawie się nie poruszała. Siedział z nimi jakiś czas, ale w końcu musiał wrócić do biura. Zbyt wiele się teraz działo, by mógł sobie pozwolić na nieobecność. Tego dnia przyszedł jeszcze raz późnym wieczorem - Sara leżała na łóżku Lizzie i drzemała, trzymając dziecko w ramionach. Przyjrzał się uważnie małej, a gdy

Sara podniosła na niego wzrok, ujrzał w jej oczach prawdziwą trwogę; okazując najwyższą delikatność, przysiadł obok.

- Czy jest jakaś zmiana? - zapytał szeptem, a Sara potrząsnęła głową. Mała nie przebudziła się od rana. Gdy patrzył na nią, Lizzie poruszyła się i po raz pierwszy od wielu dni otworzyła oczy, uśmiechając się do matki. Z jasnymi kędziorami i ogromnymi zielonymi oczami, takimi jak oczy Sary, wyglądała jak mały aniołek. Miała trzy i pół roku, ale teraz, w chorobie, wyglądała na starszą, jakby na jej szczupłych ramionkach spoczywała odpowiedzialność za losy świata.

- Kocham cię, mamó - wyszeptała i zamknęła oczy; Sara tuliła ją i nagle wyczuła, że Lizzie zaczyna odchodzić. Chciała ją zatrzymać, przyciągnąć z powrotem. Desperacko starała się coś uczynić, ale nie mogła już nic poradzić. Nie było lekarza, medykamentów, pielęgniarek, szpitala, do którego można by ją było zawieźć... była tylko miłość i modlitwa. Sara ogarnęła świadomością ostatnie westchnienie Lizzie, dotknęła jej wspaniałych loków, wyszeptała ostatnie słowa miłości.

- Kocham cię, moje słodkie maleństwo... Tak bardzo cię kocham... Mamusia cię kocha... i Pan Bóg cię kocha... Jesteś teraz bezpieczna... - szeptała płacząc. Płakał również Joachim. Lizzie spojrzała na nich po raz ostatni, uśmiechnęła się słodko i odpłynęła - jej mała duszyczka uniosła się do nieba.

Sara przeżyła razem z Lizzie ten moment, Joachim zrozumiał to dopiero po chwili. Siedział obok nich na łóżku, trzymał obie w ramionach, jakby chciał ukołysać w bólu. Miał wciąż przed oczami chwilę, gdy przywracał małą do życia, a teraz odeszła tak szybko i pogodnie. Sara zwróciła na niego oczy pełne cierpienia, ciągle jeszcze tuląc Lizzie, aż wreszcie ułożyła ją delikatnie w pościeli. Joachim ostrożnie sprowadził Sarę po schodach i zabrał do zamku, aby porozmawiać o przygotowaniach do pogrzebu.

Ostatecznie sam się wszystkim zajął. Pojechał do miasta zamówić trumienkę, do której razem włożyli ciało dziecka. Sara uczesała jej włoski, ubrała w najładniejszą sukienkę, włożyła do trumny jej ulubioną lalkę. Ogrom cierpienia zupełnie Sarę przytłoczył, sztywniała z bólu, gdy maleńką trumnę opuszczano do grobu. Pogrążona w bezbrzeżnej rozpacz płakała, tuląc się do Joachima; nieszczęśliwy Phillip stał obok, kurczowo trzymał ją za rękę, nie mogąc uwierzyć w śmierć siostrzyczki.

Był rozgniewany i przerażony, a gdy grabarze zaczęli rzucać ziemię do grobu, rzucił się, chcąc ich powstrzymać. Joachim przytrzymał go delikatnie - mały płakał, patrząc na matkę z oburzeniem.

- Okłamałaś mnie! Okłamałaś! - krzyczał drżąc i łkając. - Pozwoliłaś jej umrzeć... mojemu dziecku... mojemu dziecku...

Niepocieszony przyłgął do Joachima i nie chciał dopuścić do niego Sary. Kochał Lizzie tak gorąco, że nie mógł się pogodzić z jej stratą.

- Phillipie, proszę... - Sara ledwie dosłyszalnie wymówiła te słowa i chwyciła małego, który bił ją piąstkami. Zabrała go od Joachima i zaniósła do domu. Oboje tonęli w potokach łez. Tuliła go do późnej nocy, a on nie przestawał żałośnie łkać za "swoim dzieckiem".

Odejście Lizzie przekroczyło wszelkie wyobrażenia o tej stracie. Niedawno była razem z nimi... a teraz pozostała pustka. Sara wiele dni żyła jak w transie, Phillip też nie mógł dojść do siebie. Ciągłe kręcili się po mieszkaniu, czekając na powrót Lizzie. Wchodzili na piętro, licząc, że znajdą tam ją, że jej śmierć jest jedynie okrutnym żartem, jakąś psotą. Sara była nieprzytomna z bólu do tego stopnia, że Joachim nie miał śmiałości zawiadomić ją, co się dzieje; dopiero po miesiącu zebrał się na odwagę, by powiedzieć, że Niemcy opuszczają Francję.

- Co? - usiadła patrząc na niego, ciągle ubrana w tę samą czarną suknię, którą nosiła od wielu tygodni. Czowała się, jakby miała sto lat, a ubranie wisiało na niej jak na tyczce. - Co robicie?

Wydawało się, że naprawdę go nie zrozumiała.

- Wyjeżdżamy - powiedział delikatnie. - Otrzymaliśmy dziś rano rozkazy. Wycofujemy się jutro.

- Tak szybko? - Jego słowa przeraziły ją. To była następna strata, kolejny powód do smutku.

- Minęły cztery lata - powiedział żałośnie, choć nie bez pewnej ironii. - To dość długo jak na wizytę w czyimś domu, nie sądzisz?

Poczuła dziwny chłód w okolicy serca. Nie mogła uwierzyć, że ją opuszcza.

- Co to oznacza, Joachimie?

- Amerykanie są w Saint-Lo. Wkrótce dotrą tutaj, a później skierują się do Paryża. Przy nich będziesz bezpieczna. Zaopiekują się tobą.

Pozostawała mu przynajmniej ta nadzieja.

- A ty? - zapytała niespokojnie. - Czy będziesz w niebezpieczeństwie?

- Wezwano mnie do Berlina, potem mamy się udać do szpitala w Bonn. Widocznie komuś spodobała się moja działalność we Francji.

Przełożeni nie wiedzieli jednak, jak mało serca w to wkładał.

- Myślę, że zatrzymają mnie tam aż do końca. Bóg wie, jak długo to jeszcze potrwa. Ale przyjadę, jak tylko będę mógł.

Trudno było rozstać się po czterech latach; Sara wiedziała, że bardzo będzie za nim tęsknić. Znaczył dla niej tak wiele i nic nie mogło tego zmienić. Ale zdawała sobie również sprawę, że nie może zająć takiego miejsca w jego życiu, jakiego on oczekuje. Sercem nadal należała do Williama, może nawet jeszcze mocniej po śmierci Lizzie. Czowała się tak, jakby straciła jakąś jego część i coraz

bardziej za nim tęskniła. Pochowali małą na terenie posiadłości, pod lasem, który był terenem spacerów Sary z Joachimem.

- Nie będę mógł pisać do ciebie - Joachim rozłożył ręce w geście zakłopotania; kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Już się do tego zdażyłam przyzwyczać. Otrzymałam pięć listów przez ostatnie cztery lata.

Jeden od Jane, dwa od Williama, od księcia Windsoru i od matki Williama; żaden nie zawierał dobrych wieści.

- Będę słuchała wiadomości.

- Skontaktuję się z tobą, gdy tylko będę mógł - podszedł bliżej i przyciągnął ją do siebie. -

Dobry Boże, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało!

Usłyszawszy te słowa, Sara zdała sobie sprawę, że i ona będzie ogromnie za nim tęsknić, że będzie jeszcze bardziej samotna niż teraz. Spojrzała na Joachima ze smutkiem.

- Mnie też będzie ciebie brakować - powiedziała z rozbrajającą szczerością i pozwoliła mu się pocałować. - Phillip przyglądał się im z pewnej odległości wyraźnie niezadowolony.

- Czy pozwolisz mi zrobić zdjęcie przed odjazdem? - zapytał Joachim.

Sara zaprotestowała słabo:

- Tak jak teraz? Dobry Boże, Joachimie, wyglądam okropnie.

On jednak chciał zabrać z sobą inną fotografię. Tę, na której Sara z mężem, tacy młodzi i beztroscy, byli razem w Whitfield. Wówczas nie odczuli jeszcze przytłaczającego ciężaru życia. Teraz Sara nie miała jeszcze dwudziestu ośmiu lat, ale wyglądała poważniej.

Joachim ofiarował jej też swoje zdjęcie i rozmawiając przesiedzieli całą noc. Z pewnością wolałby spędzić ten czas w jej łóżku, ale nigdy o to nie prosił, bojąc się odmowy. Była wyjątkową kobietą, prawą, o niezwykłych zaletach, a przy tym wielką damą.

Następnego dnia Sara z synkiem patrzyli na odjazd Joachima. Phillip uczepił się go jak tratwy ratunkowej. Musiał mu wyjaśniać, dlaczego ich opuszcza. Sara analizowała, czy mały czuje, że traci kolejną więź z Lizzie. Dla wszystkich było to trudne, bolesne i kłopotliwe. Tylko Emanuelle wyglądała na zadowoloną, gdy Joachim zbierał się do odjazdu. Najpierw wyruszyli żołnierze i ciężarówki wyładowane sprzętem medycznym, który nie był wystarczający, by uratować Lizzie. Potem ruszyły karetki z pacjentami.

Przed samym odjazdem Joachim odwiedził z Sarą grób Lizzie. Przyklęknął, złożył na małym wzgórkę bukiet żółtych kwiatów. Przytulił Sarę po raz ostatni z dala od oczu swych podwładnych, którzy i tak o wszystkim wiedzieli. Domyślali się, że bardzo ją kocha, ale orientowali się też, jak to żołnierze w koszarach, że nic między nimi nie zaszło. Szanowali ją także z tego powodu. Sara była dla nich symbolem nadziei, miłości i przyzwoitości. Zawsze odnosiła się

do wszystkich uprzejmie i miło, niezależnie od tego, co myślała o wojnie. W głębi serca mieli nadzieję, że ich żony okażą się równie silne jak ona. Większość mężczyzn, którzy lepiej poznali Sarę, zgodziłaby się umrzeć w jej obronie, tak jak Joachim.

Spojrzał na nią jeszcze raz - ostatni samochód czekał na komendanta; kierowca dyskretnie odwrócił twarz. Joachim przytulił Sarę.

- Kocham cię bardziej niż kogokolwiek kochałem w życiu - powiedział; chciał, by o tym wiedziała, na wypadek gdyby los zrządził, że się więcej nie spotkają. - Bardziej niż własne dzieci.

Pocałował ją subtelnie i czule; przyłgnęła do niego na chwilę, chcąc mu powiedzieć wszystko, co do niego czuje, ale było już za późno.

Gdy popatrzyła mu w oczy, Joachim odczytał wszystko z jej spojrzenia.

- Szczęśliwej drogi... - szepnęła. - Uważaj na siebie... Kocham cię.

Słowa uwięzły jej w gardle. Joachim schylił się do Phillipa, ciągle trzymając Sarę za rękę, by mu coś powiedzieć. Wszyscy troje byli sobie tak bliscy.

- Do widzenia, mały człowieczku - westchnął konwulsyjnie, jakby zaszlochał. - Troszcz się o matkę.

Pocałował go w czubek głowy, zmierzwił włosy, a Phillip przyłgnął do niego. Gdy w końcu go puścił, Joachim wstał, patrząc jeszcze na Sarę. Potem uwolnił jej rękę, wskoczył do samochodu i stojąc machał im ręką, aż samochód osiągnął frontową bramę. Sara zobaczyła tuman kurzu na drodze i Joachim zniknął.

- Dlaczego pozwoliłaś mu odjechać? - zapytał Phillip ze złością.

- Nie mieliśmy wyboru, Phillipie.

Nie była w stanie wyjaśnić dziecku politycznych uwarunkowań sytuacji - to było zbyt skomplikowane, jak na jego wiek. - To jest wspaniały człowiek, nawet jeśli jest Niemcem; teraz musi pojechać do domu.

- Czy kochasz go?

Zawahała się, ale tylko chwilę.

- Tak, kocham go. Jest bardzo dobrym przyjacielem, Phillipie.

- Czy kochasz go bardziej niż mojego tatę?

Tym razem nie wahala się nawet przez sekundę.

- Oczywiście, że nie.

- A ja tak.

- Nie, to nieprawda - powiedziała zdecydowanie. - Ty nie pamiętasz już swego taty, ale to jest wspaniały człowiek.

Zabrakło jej słów, kiedy pomyślała o Williamie.

- Czy on nie żyje?

- Nie sędę, by tak było - odrzekła ostrożnie, nie chcąc go zwodzić; jednocześnie pragnęła, by podzielał jej wiarę, że któregoś dnia William się odnajdzie. - Jeśli dopisze nam szczęście, pewnego dnia do nas wróci.

- Czy wróci też Joachim? - zapytał ze smutkiem.

- Nie wiem - odparła szczerze; milczeli wracając do domu i trzymali się za ręce.

Rozdział szesnasty

Siedemnastego sierpnia pojawili się Amerykanie. Sara i Emanuelle obserwowały przybycie nowych wojsk. Już przed tygodniem słyszały, że mają nadejść, i Sara wyglądała ich z niecierpliwością. Przyjechali do zamku w konwoju dżipów, zupełnie jak Niemcy przed czterema laty. Było to osobliwe, szalone *deja vu* (*Deja vu* (franc.) - złudzenie polegające na przeżywaniu poczucia znajomości osób i przedmiotów spotykanych po raz pierwszy, a także na odczuwaniu aktualnych sytuacji jako już znanych - przyp. tłum.), tyle że tym razem nie wymierzano w nią karabinów; jeszcze była taka różnica, że rozumiała wszystko, co do niej mówią. Kiedy odkryli, że jest Amerykanką, zgotowali jej owację. Codziennie myślała o Joachimie - mogła jedynie mieć nadzieję, że bezpiecznie dotarł do Berlina. Phillip nie przestawał o nim mówić. Jedynie Emanuelle nigdy nie wspominała o Niemcach.

Dowódcą wojsk amerykańskich był sympatyczny pułkownik Foxworth z Texasu. Przepraszał, że musi umieścić swych ludzi w jej stajni. Pozostali żołnierze rozłożyli namioty, zajęli domek dozorca, który w ostatnim czasie Sara zwolniła, zamieszkali nawet w miejscowym hotelu. Tym razem nie wyrzucono jej z domu, do którego ledwie zdążyła się wprowadzić wraz z Emanuelle i Phillipem.

- Jesteśmy już do tego przyzwyczajeni - uśmiechem skwitowała uwagę o żołnierzach w stajni. Pułkownik zapewnił ją, że postarają się poczynić jak najmniej szkód. Ścisłe kontrolował swych żołnierzy, którzy zachowywali się przyjaźnie, chociaż z dystansem. Usiłowali flirtować z Emanuelle, która jednak wykazywała niewielkie zainteresowanie. Zawsze przynosili słodycze dla Phillipa.

Wreszcie dwudziestego piątego sierpnia zabrzmiały kościelne dzwony, ogłaszając wszem wobec, że Amerykanie wyzwolili Paryż. Francja wreszcie jest wolna. Niemcy odeszli, skończył się okres niesławy.

- Czy to już koniec? - Sara zapytała z niedowierzaniem pułkownika Foxwortha.

- Prawie. Skończy się, gdy tylko dotrzemy do Berlina. Ale dla Francji już się skończyło. Jeśli pani chce, może pani teraz wrócić do Anglii.

Jeszcze nie bardzo wiedziała, co chce zrobić, ale sądziła, że powinna przynajmniej pojechać do Whitfield, odwiedzić matkę Williama. Sara nie opuszczała Francji od czasu wypowiedzenia wojny przed pięciu laty.

Dzień przed urodzinami Phillipa Sara z synkiem wyjechała do Anglii, zlecając Emanuelle pilnowanie zamku. Okazała się odpowiedzialną dziewczyną; jej rodzina zapłaciła za wojnę wysoką cenę. Ostatniej zimy jej brat, Henri, bohater *Resistance*, został zabity w Ardenach.

Pułkownik Foxworth i jego współpracownik w Paryżu załatwili Sarze i Phillipowi miejsce w wojskowym samolocie do Londynu; było przy tym mnóstwo tajnych rozmów z dowództwem lotnictwa, któremu zapowiedziano, że będzie podróżowała księżna Whitfield z synem, lordem Phillipem.

Pojechała amerykańskim dżipem do Paryża - po drodze na lotnisko okrążyli miasto. Przybyli zaledwie parę chwil przed odlotem. Sara chwyciła Phillipa w ramiona i puściła się pędem do samolotu, zabierając dwie małe walizki. Gdy już dobiegła do samolotu, zatrzymał ją wartownik.

- Przykro mi, proszę pani. Nie może pani wsiąść do tego samolotu. To jest lot wojskowy... militaire... - powiedział po francusku sądząc, że go nie rozumie. - Non... non...

Groził jej palcem. Sara wrzeszczała do niego, przekrzykując hałas, jaki czyniły silniki.

- Oczekują mnie! Czekają na nas!

- To jest lot jedynie dla personelu wojskowego - odkrzyknął. - I dla jakiejś starej...

W tym momencie zorientował się, kim ona jest, i zaczerwienił się po linię włosów na czole; odebrał od Sary Phillipa.

- Myślałem... bardzo panią przepraszam... ee... Wasza Królewska Mość - zbyt późno dotarło do jego świadomości, że ona jest tą zapowiadaną księżną.

- Nic się nie stało - uśmiechnęła się i weszła za nim do samolotu. Spodziewał się jakiegoś starego babsztyla, nie przyszło mu do głowy, że księżna Whitfield jest młodą kobietą z małym chłopcem. Opuścił ich, wciąż przepaszając.

Lot do Londynu nie trwał zbyt długo, mniej niż godzinę. W czasie drogi żołnierze byli pełni podziwu, że przetrwała okupację. Sara słuchała ich ze zdziwieniem - cztery lata jej życia w domku dozorca, pod opieką Joachima, były względnie spokojne.

W Londynie czekał na nich ogromny rolls-royce, którym miała pojechać bezpośrednio do Air Ministry (Air Ministry (ang.) - Ministerstwo Lotnictwa - przyp. tłum.) na spotkanie z sir Arthurem Harrisem, naczelnym dowódcą Bomber Command, i z prywatnym sekretarzem króla, sir Alanem Lascellesem, który znalazł się tam na jego polecenie. Miał też być obecny przedstawiciel służb specjalnych. Odbierający ich na lotnisku ludzie przywieźli flagi i drobne pamiątki dla Phillipa, a przez całą drogę tytułowali go "Wasza Lordowska Mość". Nie był przyzwyczajony do tak ceremonialnego i pełnego szacunku traktowania. Sara zauważyła z rozbawieniem, że bardzo mu się to spodobało.

- Dlaczego w domu tak mnie nie nazywają? - szepnął do matki.

- Kto mianowicie? - rozśmieszyło ją to pytanie.

- Och... Emanuelle... żołnierze...

- Przypomnę im o tym - zażartowała, ale nie pojął kpiny w jej głosie, ucieszony, że matka się z nim zgadza.

Kilku sekretarzy i dwóch adiutantów opiekowało się Phillipem pod nieobecność Sary. Ona tymczasem rozmawiała z sir Arthurem i sir Alanem. Byli uprzedzająco grzeczni; poinformowali ją o tym, co już wiedziała: że od dwóch i pół roku nie ma wieści od Williama.

Z wahaniem zebrała się na odwagę. Zaczerpnęła powietrza i zadała zasadnicze pytanie:

- Czy sądzicie panowie, że on jeszcze żyje?

- To jest możliwe - odpowiedział po namyśle sir Arthur - ale niezbyt prawdopodobne - dodał ze smutkiem. - Do tej pory powinniśmy już coś o nim wiedzieć. Gdyby tak było, widziano by go w którymś z obozów jenieckich. A gdyby Niemcy zorientowali się, kim jest, pokazywaliby go wszędzie. Sądzę, że to niemożliwe, by nie zorientowali się, kim jest, jeśli go schwytali.

- Rozumiem - powiedziała cicho. Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym wszyscy podnieśli się; ponownie pogratulowali jej odwagi okazanej we Francji i tego, że wraz z synem przeszła przez koszmar niemieckiej okupacji.

- Straciliśmy córeczkę - powiedziała półgłosem. - W maju tego roku... William nigdy jej nie widział...

- Głęboko współczujemy Waszej Wysokości. Nie wiedzieliśmy...

W końcu odprowadzono ją do wyjścia, oddano Phillipa i z całym ceremoniałem odwieziono do Whitfield. Księżna wdowa już na nich czekała. Sara była zachwycona, że tak znakomicie wygląda. Była szczuplejsza i coraz bardziej filigranowa, ale osiemdziesiąt dziewięć lat to imponujący wiek. Okazała się zupełnie wyjątkową osobą - podczas wojny okolice Whitfield wiele jej zawdzięczały.

- Szczęśliwa jestem, że cię znów widzę - powiedziała obejmując Sarę. Odsunęła się o krok i opierając ręką na lasce spojrzała na Phillipa. Była ubrana w jasnoniebieską suknię, idealnie pasującą do koloru jej oczu; Sara poczuła podniecenie, kiedy pomyślała o Williamie. - Jaki przystojny młody człowiek. Jest bardzo podobny do mojego męża - powiedziała starsza pani. Dokładnie to samo powiedział William po urodzeniu Phillipa.

Weszli do domu - Phillip dostał filiżankę herbaty i kruche ciasteczka domowej roboty. Z niepokojem przyglądał się babci, ale wydawało się, że czuje się z nią nadspodziewanie dobrze. Potem jeden ze służących pokazał mu konie i stajnię - księżna wdowa rozmawiała w tym czasie z Sarą. Wiedziała, że Sara odwiedziła tego dnia Air Ministry, i chciała się dowiedzieć, co jej tam powiedziano. Nie zdziwiła się, że wiadomości były rozczarowujące. W gruncie rzeczy podchodziła do tego bardziej filozoficznie niż Sara, co było zadziwiające.

- Nie sędę, abyśmy mogli się dowiedzieć, co się z nim stało, przed kapitulacją Niemiec, która, mam nadzieję, nastąpi niebawem. Myślę, że ktoś musi wiedzieć, ale z jakichś powodów trzyma to w tajemnicy.

Oczywiście, William mógł zginąć, na przykład zatrzymując się na drzewie, na które spadł podczas skoku ze spadochronem, mógł zostać zastrzelony przez żołnierza, który nie miał pojęcia, kim jest skoczek i być pozostawiony na miejscu, by go pochował miejscowy wieśniak. Mógł zginąć na wiele sposobów, możliwości przeżycia było znacznie mniej. Dopiero teraz Sara zdała sobie z tego sprawę. Zaczęła rozumieć, że jest mniej niż prawdopodobne, iż jej mąż jest nadal żywy, ale nadal czepiała się tego skrawka nadziei, zwłaszcza teraz, kiedy wróciła do Anglii. Zmartwienie pogłębiła wiadomość, którą przekazała jej Jane podczas rozmowy telefonicznej: Peter zginął w Kiska na Aleutach; Jane była równie załamana jak Sara.

W Whitfield odczuła, jak wielką rolę w jej życiu odgrywa William. Wszystko tu go przypominało. Była szczególnie mile zaskoczona prezentem, jaki księżna wdowa ofiarowała Phillipowi na urodziny. Chłopiec był uszczęśliwiony i podekscytowany pięknym kucykiem. Sara nie widziała go uśmiechniętego od śmierci Lizzie i wyjazdu Joachima. Tutaj Phillip wydawał się tak doskonale przylegać do świata swego ojca. Dziecko dosłownie współgrało z otoczeniem, zakwitło w tym nowym miejscu. Powiedział jej stanowczo, że chce tu zostać, kiedy oznajmiła, że wracają w październiku do Francji.

- Czy mogę zabrać do Francji mego kucyka, mamó? - zapytał; Sara potrząsnęła przecząco głową. Wracali korzystając z innego lotu wojskowego i nie mogli zabrać ze sobą konika. Poza tym w zamku stacjonowali jeszcze Amerykanie, a życie Phillipa i Sary było jeszcze nie uporządkowane na tyle, by w ogóle myśleć o sprowadzeniu zwierzęcia. Sara zaczynała wreszcie odczuwać stratę Williama jako rzecz realną. Przyjazd do Whitfield uświadomił jego bolesną nieobecność. Brakowało go jej bardziej niż przedtem.

- Wrócimy niedługo, kochanie, babcia przechowa tutaj twojego kucyka.

Był rozczarowany, że nie może zabrać go do Francji. Zdziwiająca była myśl, że któregoś dnia to wszystko - całe Whitfield - miało należeć do Phillipa. Ale dotknęło ją do żywego, kiedy pod koniec pobytu służba zaczęła zwracać się do Phillipa "Wasza Księżęca Wysokość". Dla służących William już umarł - nowym księciem był Phillip.

- Ja ciągle wierzę, że czegoś się o nim dowiemy - powiedziała zdecydowanie księżna wdowa w przeddzień wyjazdu Sary. - Nie trać całkowicie nadziei. Ja też postaram się być dobrej myśli.

Sara obiecała, że również nie zrezygnuje, ale jej serce coraz bardziej pograżało się w żalobie.

Nazajutrz wyjechali do Francji - War Office zorganizowało tę podróż. Sprawy wydawały się bardziej unormowane niż przed sześciu tygodniami, gdy wyjeżdżali do Anglii. W zamku Sara zastała wszystko w porządku. Mieszkała w nim Emanuelle; pułkownik trzymał żołnierzy pod kontrolą - większość z nich zdążyła już wyjechać. Wróciło kilku dawnych ogrodników; Sara zaczęła znów odnawiać boazerię. Wykonywała też naprawy, konieczne po kilku latach zaniedbań. Dzięki czujności Joachima zniszczenia były zaskakująco niewielkie.

Często myślała o Joachimie, martwiła się o niego, ale nie miała możliwości dowiedzieć się, co się z nim teraz dzieje. Zawsze w modlitwach wymieniała i Williama, i Joachima.

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia przebiegły cicho i spokojnie, a Sara czuła się bardzo samotna. Wszystko najwyraźniej wracało do normy; nienormalne było oczywiście to, że świat nadal pozostawał w stanie wojny. Wojska aliantów jednak zwyciężały i ludziom zdawało się, że niewiele brakuje do szczęśliwego końca.

Na wiosnę sprzymierzeni rozpoczęli marsz na Berlin, a w maju ostatecznie skończyły się walki w Europie. Hitler popełnił samobójstwo, wielu jego oficerów uciekło. W Niemczech zapanował chaos, rozeszły się straszliwe wieści o okrucieństwach popełnianych w obozach koncentracyjnych. Nadal nie było żadnych wiadomości o Williamie i Joachimie. Nie miała pojęcia, co się z nimi dzieje, czy w ogóle jeszcze żyją. Żyła w zamku z dnia na dzień, aż do momentu, kiedy zatelefonowano do niej z War Office.

- Mamy informacje dla Waszej Księżęcej Wysokości - zatrzeszczał na linii głos urzędnika; Sara rozplakała się, zanim zdążył powiedzieć, o co chodzi. Phillip stał w kuchni obserwując ją i zastanawiał się, dlaczego mama płacze.

- Zdaje się, że znaleźliśmy naszego człowieka... czy też... ee... raczej pani męża. Dopiero wczoraj wyzwoliliśmy jeden z obozów jenieckich, w którym znajdowało się czterech nie zidentyfikowanych wojskowych... raczej w kiepskiej kondycji... Przypuszczam, że on jest jednym z nich. Nie miał przy sobie żadnych znaków identyfikacyjnych, ale dowodzący oficer studiował wraz z nim w Sandhurst i przysięga, że to on. Nie jesteśmy jeszcze pewni, ale dziś w nocy sprowadzimy go tu samolotem. Czy może pani przylecieć do Londynu?

Czy może polecieć? Wolne żarty! Po tym, jak przez trzy lata czekała na wiadomości od niego!

- Będę tam. Czy możecie zorganizować mi transport? Przyjadę natychmiast.

- Nie sądzę, abyśmy mogli to zrobić wcześniej niż jutro, Wasza Wysokość - odparł grzecznie urzędnik. - Wszędzie panuje zamęt w związku z tym okropnym bałaganem w Berlinie, z Włochami i całą resztą.

Europę bezspornie ogarnął chaos, ale Sara była gotowa przebyć kanał La Manche w pław, jeżeli zaistnieje taka konieczność.

War Office skontaktowało się ponownie z siłami amerykańskimi we Francji - tym razem przyjechał po nich do zamku dżip z dowództwa sił alianckich w Paryżu. Sara i Phillip czekali niecierpliwie. Nie powiedziała mu jeszcze, że jadą do Londynu - nie chciała go rozczarować, gdyby się okazało, że odnaleziony człowiek to nie William. Mały był jednak zachwycony, że jedzie odwiedzić babcię i zobaczyć konie. Sara zamierzała wysłać go bezpośrednio do Whitfield, by tam został. Samochód z War Office miał ją zabrać do szpitala, w którym znajdowali się byli jeńcy niemieckich obozów. Poinformowano Sarę, że stan wszystkich czterech jest bardzo ciężki, niektórzy są ranni, ale nie powiedziano, na co konkretnie cierpią ani co jest Williamowi. Nie myślała zresztą o tym, dopóki żyje i może zostać uratowany. A skoro żyje, to zrobi wszystko, by powrócił do zdrowia.

Lot do Londynu przebiegł bez zakłóceń; na miejscu czekał samochód, który miał zabrać Phillipa do Whitfield. Małego powitano ze wszystkimi honorami wojskowymi, co mu się niezmiernie spodobało. Sarę zabrano do Chelsea Royal Hospital, by zobaczyła jeńców wojennych, którzy przylecieli z Niemiec poprzedniego dnia o północy. Zmówiła w duchu krótką modlitwę, by wśród nich znajdował się William.

Tylko jeden z mężczyzn trochę go przypominał. Był podobnego wzrostu, ale powiedziano jej, że waży mniej więcej sto trzydzieści funtów, może sto czterdzieści, ma siwe włosy i wydaje się o wiele starszy od księcia Whitfield. Usłyszawszy to wszystko po drodze do szpitala, Sara nie odezwała się ani słowem; milcząc weszła po schodach, minęła oddziały najciężej chorych, zapracowanych lekarzy i pielęgniarki. Po tym, co stało się w Niemczech, mieli ręce pełne roboty. Żołnierzy sprowadzano samolotami tak szybko, jak tylko było to możliwe; lekarzy ściągano z całej Anglii.

Człowieka, o którym sądzono, że jest Williamem, umieszczono w separacie. Dyżurował przy nim bez przerwy sanitariusz, który sprawdzał, czy chory prawidłowo oddycha. Obstawiono go licznymi urządzeniami, włącznie z namiotem tlenowym, który zasłaniał mu twarz.

Sanitariusz odsunął nieco nakrycie, by Sara mogła lepiej widzieć chorego podczas identyfikacji; ludzie z War Office dyskretnie utrzymywali odległość. Zarząd szpitala wciąż czekał na opis uzębienia z Bomber Command, w celu dokonania skutecznej identyfikacji. Ale Sara nie potrzebowała szczegółów dentystrycznych, by zidentyfikować tego człowieka. Był ledwie możliwy do poznania, chudy, przypominał raczej własnego ojca; Sara podeszła do łóżka i dotknęła jego policzka. Powrócił do niej spośród umarłych, leżał bez ruchu, a ona nie miała nawet cienia

wątpliwości. To był William. Odwróciła się, spojrzała na ludzi z ministerstwa, a wyraz jej twarzy powiedział im wszystko - po policzkach Sary toczyły się łzy, urzędnicy także płakali.

- Dzięki Bogu... - wyszeptał sir Alan, mówiąc dokładnie to, co czuła Sara. Stała jak przymurowana, niezdolna oderwać oczu od chorego; dotknęła jego twarzy, podniosła do ust i ucałowała dłoń. Ręce Williama były jak z wosku, tak samo twarz; Sara widziała, że jest bliski śmierci, ale wiedziała też, że lekarze zrobią wszystko, by go uratować. Sanitariusz opuścił kłapę namiotu tlenowego, a po chwili weszli dwaj lekarze i trzy pielęgniarki; zajęli się chorym i poprosili Sarę, by wyszła z pokoju. Posłuchała ich, rzuciwszy jeszcze raz okiem na Williama. To istny cud. Straciła Lizzie... ale teraz odnaleziono Williama. Może Bóg nie jest tak niełaskawy, jak przez chwilę sądziła. Zapytała urzędników z War Office, czy pomogą jej powiadomić telefonicznie matkę Williama w Whitfield. Załatwili to natychmiast w biurze dyrektora szpitala; po drugiej stronie linii księżna wdowa westchnęła z ulgą, po czym rozplakała się tak samo jak Sara.

- Dzięki Bogu... biedny chłopiec... jak on się czuje?

- Obawiam się, mamu, że niezbyt dobrze. Ale wkrótce będzie lepiej.

Miała nadzieję, że nie okłamuje samej siebie, ponieważ chce wierzyć we własne słowa. Ale przecież nie po to przeżył tak wiele, by teraz umrzeć. Po prostu nie pozwoli mu na to.

Urzędnicy wyszli, a dyrektor szpitala powiadomił Sarę o stanie Williama. Nie tracił słów na próżno - z miejsca przeszedł do sedna sprawy, relacjonując jego stan z poważnym wyrazem twarzy.

- Nie wiemy, czy mąż Waszej Księżęcej Wysokości przeżyje. Ma gangrenę obu nóg, znaczne obrażenia wewnętrzne, choruje od dawna. Może od lat. Ma skomplikowane złamanie obu nóg, nigdy nie leczone. Przypuszczalnie od chwili skoku ma infekcję obu nóg. Nie możemy ocalić jego nóg, być może też nie będziemy w stanie uratować mu życia. Musi pani o tym wiedzieć.

Wiedziała, ale nie zamierzała tej prawdy akceptować. Teraz, kiedy wrócił, nie godziła się z możliwością jego utraty.

- Musicie ocalić jego nogi. Nie po to wrócił z tak daleka, abyście je ucięli.

- Nie mamy wyboru lub, co najwyżej, mamy bardzo mały wybór. Nogi i tak nie będą mu służyć, mięśnie i nerwy są zbyt uszkodzone; będzie musiał poruszać się w fotelu na kółkach.

- Dobrze, ale pozostawcie mu w tym wózku nogi.

- Jestem przekonany, że Wasza Księżęca Wysokość zrozumie... to taka delikatna materia... gangrena...

Sara zapewniła go, że rozumie całkowicie, ale błagała, by przynajmniej spróbowali uratować nogi Williama; wyprowadzony z równowagi dyrektor przyrzekł zrobić wszystko, co możliwe, dodając, że ona musi mieć poczucie rzeczywistości.

W ciągu następnych dwóch tygodni przeprowadzono cztery operacje - William z trudem je przetrzymał, ale jednak mu się to udało, chociaż od przylotu do Londynu nie odzyskał przytomności. Podczas dwóch pierwszych operowano mu nogi; trzecia dotyczyła kręgosłupa, a czwarta miała na celu usunięcie wewnętrznych obrażeń, które mogły spowodować śmierć. Żaden ze specjalistów zajmujących się nim nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że przeżył. Był wyniszczony przez infekcję i chorobę, skrajnie wyczerpany z powodu niedożywienia, miał połamane, nigdy nie leczone kończyny, a także widoczne ślady tortur. Przecierpiał wszystko i żył... ledwo, ledwo.

W trzy tygodnie lekarze zrobili wszystko - teraz można było tylko czekać, czy odzyska przytomność, czy pozostanie w śpiączce, czy po prostu umrze. Nikt nie był w stanie przewidzieć, co się stanie; Sara przesiadywała przy nim dzień w dzień, trzymając go za rękę i przemawiając. Robiła wszystko, by powrócił do życia. W końcu sama wyglądała nie lepiej niż William - wychudzona i blada, ze szklanymi oczyma. Kiedyś weszła do pokoju jedna z sióstr, pokiwała znacząco głową i powiedziała:

- On pani nie słyszy, Wasza Książęca Wysokość. Proszę się nie doprowadzać do skrajnego wyczerpania.

Przyniosła Sarze filiżankę herbaty, którą przyjęła z wdzięcznością, ale dalej upierała się, że być może William ją słyszy.

W końcu lipca przeprowadzono ostatni zabieg - zoperowano mu śledzionę. Potem znowu trzeba było czekać. Sara nadal opiekowała się mężem, przemawiała, całowała jego rękę, pilnowała go i nie ruszała się z pokoju, nawet na chwilę. Wstawiono dla niej kozetkę, pożyczyła od sióstr szpitalny ubiór i siedziała przy Williamie całymi dniami, nie tracąc nadziei. Odeszła od łóżka tylko wtedy, gdy księżna wdowa przywiozła do szpitala Phillipa, by spotkał się z matką w poczekalni. Powiedziano mu, jak bardzo chory jest jego ojciec, ale dla Phillipa William był w gruncie rzeczy obcym człowiekiem. Nie widywał go w tych latach, w których dziecko zaczyna zapamiętywać. Sara była szczęśliwa widząc swego syna, bo bardzo za nim tęskniła. Phillip także tęsknił za matką, ale ona wiedziała, że nie może opuszczać Williama.

Pierwszego sierpnia naczelny chirurg oznajmił, że powinna wyjechać. Lekarze byli przeświadczeni, iż Jego Książęca Wysokość nigdy nie przebudzi się ze śpiączki. Po prostu już się nie obudzi. Człowiek może w ten sposób egzystować całe lata albo dni, ale skoro miały się przebudzić, to już by do tego doszło. Sara musi pogodzić się ze smutną rzeczywistością.

- A skąd pan wie, że się nagle nie obudzi dziś po południu? - zapytała w sposób, który lekarzowi wydał się histeryczny. Sara wiedziała tylko, że ci, którym udało się ocalić nogi Williama, teraz zamierzali się poddać i po prostu z niego zrezygnować. Od pięciu tygodni nie przespała w

całości ani jednej nocy, ale nie dała za wygraną, niezależnie od diagnozy lekarzy; chirurg jednak upierał się, że oni wiedzą lepiej.

- Jestem chirurgiem od niemal czterdziestu lat - stwierdził kategorycznie - trzeba wiedzieć, kiedy należy walczyć, a kiedy przestać. Walczyliśmy... i przegraliśmy. Musi pani mu teraz pozwolić się poddać.

- Był jeńcem wojennym przez trzy i pół roku - czy to nazywa pan poddaniem?! - krzyknęła nie zwracając uwagi na to, czy ktoś ją usłyszy. - On nie zrezygnował wtedy, a ja nie zrobię tego teraz. Czy to jasne?

- Naturalnie, Wasza Księżęca Wysokość. Rozumiem doskonale.

Opuścił pokój bez słowa i poprosił siostrę przełożoną, by dała księżnej Whitfield lekki środek uspokajający, ale ta spojrzała tylko na doktora, wznosząc do góry oczy. Sara niewątpliwie była pomyłona, opętana obsesją na punkcie ratowania męża.

- Ten biedny człowiek prawie już umarł. Powinna mu pozwolić odejść w spokoju - powiedziała do pracującej obok pielęgniarki, która pokręciła znacząco głową; widziała już dziwniejsze rzeczy. Pacjentem jednego z oddziałów był mężczyzna, który ostatnio wrócił do życia po prawie półrocznej śpiączce. Miał uraz głowy, jakiego doznał podczas nalotu lotniczego.

- Nigdy nie wiadomo - powiedziała i poszła sprawdzić, co się dzieje z Sarą i Williamem. Sara siedziała na krześle, opowiadając po cichu mężowi o Phillipie, o starej księżnej, o Whitfield i zamku we Francji, a nawet wspomniała coś o Lizzie. Była gotowa mówić cokolwiek, gdyby to mogło pomóc, ale dotychczas nie pomagało nic. Chociaż Sara nikomu się do tego nie przyznawała, była już u kresu wytrzymałości. Pielęgniarka delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu i spojrzała na Williama; przez chwilę miała wrażenie, że się poruszył, ale nic nie powiedziała. Sara też to zauważyła - siedziała bez ruchu, a potem znowu zaczęła do niego przemawiać, prosząc, by otworzył oczy, by spojrzał na nią choć raz... tylko jeden jedyny raz... by się przekonał, czy podoba mu się jej fryzura. Nie przeglądała się w lustrze od ponad miesiąca i mogła sobie wyobrazić, jak wygląda, ale mówiła dalej, całując jego ręce. Pielęgniarka patrzyła zafascynowana; nagle, powoli, oczy Williama otwały się.

Spojrzał na Sarę i uśmiechnął się, po czym ponownie zamknął powieki i skinął głową. Sara zaczęła bezgłośnie płakać. Udało się... otworzył oczy... Siostra płakała wraz z nią i ścisnęła jej dłoń, zwracając się do swego pacjenta.

- Jak to miło, że Wasza Księżęca Wysokość się obudził - już na to wielki czas.

William przez moment leżał bez ruchu, a potem powolutku odwrócił głowę i spojrzał wprost na Sarę.

- Wygląda bardzo ładnie - szepnął zachrypniętym głosem.

- Co ładnie wygląda? - Nie miała pojęcia, o czym mówi, ale nigdy w życiu nie była równie szczęśliwa. Chciało się jej wrzeszczeć z radości, poczuła ogromną ulgę. Pochyliła się, by go pocałować.

- Twoje włosy... czy nie o to mnie pytałaś?

Sara i pielęgniarka wybuchnęły śmiechem.

Następnego dnia William już siedział, popijał zupę i słabą herbatę. Z wolna wracał do sił, chociaż nadal wyglądał jak własny cień. Ale wrócił z tamtej strony świadomości. Żył. W niedługim czasie odwiedzili go przedstawiciele obu ministerstw. Gdy odzyskał nieco sił, w ciągu kilku wizyt opowiedział swoje dzieje. Trudno było w to uwierzyć. Wszystkim robiło się słabo, gdy słyszeli, co robili z nim Niemcy - William nie pozwolił Sarze pozostawać w pokoju, kiedy składał relacje. Wielokrotnie łamali mu nogi, trzymali go w brudzie, aż zaczęły gnić, torturowali go rozpalonym żelazem i elektrowstrząsami. Zrobili wszystko, co mogli, z jednym wyjątkiem - nie zabili go. Ale nie domyślili się, kim jest, a on im tego nigdy nie powiedział. Podczas skoku ze spadochronem miał fałszywy paszport i dokumenty wojskowe - Niemcy do końca wiedzieli o nim tylko tyle, ile z nich wyczytali. Nigdy nie zdradził swej misji.

Za tę niezwykłą odwagę przyznano mu Distinguished Flying Cross (wysokie odznaczenie bojowe w brytyjskim lotnictwie), ale to było niewielkie pocieszenie wobec faktu, że utracił sprawność nóg. Przygnębiała go myśl, że nigdy już nie będzie w stanie chodzić, ale przyznał, że Sara miała rację, gdy walczyła o niedokonywanie amputacji. Chociaż bezwładne, ale dobrze, że nadal je ma.

Oboje tak wiele stracili; pewnego popołudnia przed opuszczeniem szpitala Sara powiedziała mu o Lizzie; William słuchał i oboje płakali jak bobry.

- Och, moja kochana... a mnie nie było przy tobie...

- Nic nie mógłbyś poradzić. Nie mieliśmy lekarstw ani lekarza... Nie było nic. Zbliżali się Amerykanie, Niemcy zbierali się do wyjazdu i niczego nie pozostawili, a ona była zbyt słaba, by przeżyć. Komendant był dla nas bardzo dobry, dzielił się wszystkim, co miał... ale ona nie była dostatecznie odporna... - Sara rozplakała się i spojrzała na męża. - Była taką słodką, śliczną małą dziewczynką.

Nie mogła dalej mówić. - William objął ją.

- Jaka szkoda, że jej nawet nie zobaczyłeś.

- Poznam ją pewnego dnia - powiedział przez łzy. - Kiedy znów będziemy wszyscy razem, w innym miejscu.

To wydarzenie spowodowało, że Phillip stał się dla nich obojga podwójnie drogi. Sara nadal bardzo tęskniła za Lizzie, zwłaszcza wtedy, gdy spotkała podobną do niej dziewczynkę. Zdawała

sobie sprawę, że podczas wojny inne matki też utraciły dzieci, ale z trudnością radziła sobie z bólem. Była wdzięczna losowi, że tę żalność może teraz dzielić z Williamem.

Czasami wracała myślą do Joachima, ale stanowił on jedynie element odległej przeszłości. Był jej jedynym przyjacielem - poza Emanuelle - w samotności, bólu, przerażeniu i okropnościach wojny. Jednak wspomnienia o nim powoli zachodziły mgłą.

Sara obchodziła właśnie dwudzieste dziewiąte urodziny, gdy William wciąż przebywał w szpitalu. Wojna w Japonii zakończyła się przed kilkoma dniami, cały świat się radował. Williama przetransportowano do Whitfield tego samego dnia, kiedy Japończycy podpisali akt kapitulacji na pokładzie okrętu wojennego Missouri. Było to w przeddzień szóstych urodzin Phillipa. Wtedy William zobaczył syna po raz pierwszy od czasu, gdy chłopiec miał kilka miesięcy. Spotkanie było silnym przeżyciem dla ojca i nieco dziwnym wydarzeniem dla Phillipa. Mały stał i długo się w niego wpatrywał, aż wreszcie zdecydował się podejść i objąć ojca za szyję, do czego zachęcała go matka. Nawet na wózku inwalidzkim William wydawał się taki potężny, że Phillip czuł przed nim bojaźń. A ojciec coraz bardziej żałował straconych lat, podczas których mógł żyć ze swym synem.

Czas spędzony w Whitfield wyszedł na dobre wszystkim. William coraz lepiej poruszał się na swoim wózku, Sara po raz pierwszy od bardzo dawna mogła porządnie wypocząć, a potrzebowała tego bardziej niż cokolwiek. Phillip był zachwycony pobytem i miał czas, by zbliżyć się do ojca.

Mówił z nim kiedyś o Lizzie; samo wspomnienie o niej było dla niego bolesne.

- Ona była bardzo piękna - powiedział miękko, z wzrokiem utkwionym w dal. - Kiedy zachorowała, mamusia nie mogła zdobyć dla niej lekarstwa, więc Lizzie umarła.

W jego głosie był lekki ton wyrzutu - William zauważył to, ale nie zrozumiał. Czyżby Phillip winił Sarę za śmierć dziecka? Wydawało się to tak mało prawdopodobne, że nie ośmielił się poruszyć z nim tego tematu. Phillip powinien wiedzieć, że matka zrobiłaby dla niej wszystko... ale czy rzeczywiście jest o tym przekonany? William zaczął się zastanawiać.

Czasami chłopiec wspominał też o Joachimie. Nie mówił dużo, ale łatwo się było zorientować, że dziecko obdarza go sympatią. Chociaż był Niemcem, William był mu wdzięczny za dobroć, jaką okazał jego dzieciom. Sara nigdy nie mówiła o Joachimie, a gdy William ją o to zapytał, odrzekła, że był to miły i przyzwoity człowiek.

W tym samym roku obchodzili dziewięć dziesiąte urodziny księżnej wdowy. Teraz, kiedy William wrócił, dopisywało jej zdrowie. Wszyscy czuli się lepiej niż dawniej, ale nie sposób było zaprzeczyć, że ponieśli straszliwe straty, stracili czas, nadzieję i ludzi, których kochali. Słodkiej Lizzie brakowało wszystkim. William odszedł na długo i niewiele brakowało, by zginął... Joachim

pojawił się i zniknął z ich życia. Straty i smutek zebrały swe żniwo - teraz wszyscy z trudem wracali do normalności. Sara rozważała, czy to nie Phillip został najbardziej pozbawiony złudzeń: stracił ojca, którego z trudem odzyskał po sześciu latach, i teraz musiał na nowo poznawać, budować związki uczuciowe. Stracił przyjaciela w Joachimie, który musiał go opuścić, ukochaną siostrę, o której nigdy nie zapomni.

- Tęsknisz za nią, prawda? - zapytała go czule podczas wspólnego spaceru po lesie. Phillip przytaknął, podnosząc na matkę pełne bólu oczy, jak zawsze, kiedy była mowa o jego siostrzyczce.

- Mnie też jej brak, kochanie.

Mocno ujęła jego rękę; szli dalej, Phillip patrzył w drugą stronę i milczał. Ale jego oczy mówiły coś, co William już zrozumiał, a do Sary jeszcze nie dotarło. Jego oczy oskarżały matkę o śmierć siostry. To była jej wina, że Lizzie zmarła z powodu braku lekarstwa... a także to, że odjechał Joachim. Nie był przekonany, że matka zrobiła coś takiego, co było bezpośrednim powodem tych nieszczęść, ale wiedział, że przynajmniej powinna oddalić od nich tę katastrofę. Gdy nie myślał o tym, czuł się w Whitfield szczęśliwy. Jeździł konno, chodził po lesie, cieszył się towarzystwem babci i powolutku poznawał Williama.

Rozdział siedemnasty

Do Francji pojechali dopiero wiosną i przez ten czas William odzyskał orientację dotyczącą życia ich wszystkich. Wydawał się pogodzony z tym, że nie włada nogami, wrócił do dawnej wagi. Tylko siwe włosy sprawiały, że wyglądał inaczej. Był teraz czterdziestodwuletnim mężczyzną, ale doświadczenia w obozie jenieckim dodały mu lat. Twarz Sary także przybrała bardziej surowy wygląd. Wszyscy, nie wyłączając Phillipa, zapłacili wysoką cenę za wydarzenia wojenne. Poważny, mały chłopiec czuł się bardzo nieszczęśliwy, gdy wyjeżdżali z Whitfield. Wolałby tam zostać razem z babcią i kucykiem, ale oczywiście rodzice się nie zgodzili.

Po powrocie do zamku William nie mógł powstrzymać łez. Dom wyglądał tak samo, jak go zapamiętał, jak go widział w marzeniach. Objął Sarę i łkał jak dziecko. Wszystko zostało przygotowane na ich przyjazd z wielką starannością. Emanuelle wraz z matką przeszły same siebie. Sara zostawiła młodą Francuzkę na gospodarstwie prawie na cały rok, a ta odpowiedzialna dziewczyna zajmowała się wszystkim wyśmienicie. Nie było już śladu żadnych wojsk ani w zamku, ani w stajni, ani w okolicy. Emanuelle wynajęła pracowników, by wysprzątała, wyczyścili i przygotowali posiadłość na przybycie Whitfieldów.

- Wszystko tu wygląda wspaniale - pochwaliła ją Sara po powrocie, a Emanuelle ucieszyła się z uznania. Była bardzo rozumna jak na dziewczynę w jej wieku. Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, a doskonale sobie radziła z wszelkimi problemami, umiała koncentrować się na szczegółach i była dokładna.

Tego samego dnia po południu Sara zabrała Williama na grób Lizzie; popatrzył na małą mogiłkę i rozplakali się oboje. W drodze powrotnej znowu zapytał żonę o Niemców.

- Byli tutaj strasznie długo - powiedział w pozornie niewymuszony sposób. - To zaskakujące, że nie poczynili więcej szkód.

- Komendant był bardzo życzliwym człowiekiem i utrzymywał dyscyplinę wśród podwładnych. Nienawidził wojny tak samo jak my.

William uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Czy mówił ci o tym?

- Nie raz - odparła nieco zdezorientowana; w głosie Williama była wskazówka, że coś go gnębi.

- Byliście przyjaciółmi? - zapytał wprost, wiedząc jak często Phillip wspomina Joachima. Czasami nawet było mu przykro, że jego syn woli niemieckiego oficera od własnego ojca. Dla Williama był to oczywisty cios, ale próbował ogarnąć to świadomością. Sara popatrzyła na niego i

zrozumiała nieme pytanie. Odwróciła się tak, by patrzeć wprost na Williama siedzącego w fotelu na kółkach.

- Byliśmy jedynie przyjaciółmi, Williamie. Nikim więcej. Mieszkał tu długo, mnóstwo się w tym czasie wydarzyło... Urodziła się Elizabeth.

Postanowiła być szczerą, bo zawsze cechowała ją uczciwość.

- On pomógł mi urodzić Elizabeth, odebrał ją, uratował jej życie; gdyby nie on, umarłaby już przy narodzinach.

Elizabeth umarła i tak, może więc to nie liczyło się tak bardzo?

- Cztery lata to szmat czasu, trzeba było żyć i trudno to zignorować. Ale jeśli pytasz mnie o to, co, jak sądzę, masz na myśli... nie, nic się między nami nie wydarzyło.

Jego następne słowa zaskoczyły Sarę - poczuła, jak przebiegł ją dreszcz.

- Phillip mówił, że całowałaś go na pożegnanie.

Nieładnie, że powiedział o tym ojcu w taki sposób - może nie zdawał sobie sprawy, co robi, a może zrobił to świadomie. Czasami Sara nie była pewna, czy rozumie swoje dziecko. Od śmierci Lizzie zawsze był taki zagniewany, po wyjeździe Joachima, po powrocie Williama do domu. Często wydawał się taki zamknięty w sobie. Musiał wiele rzeczy przemyśleć, przyjąć za dobrą monetę, zrozumieć. Wszyscy musieli.

- To prawda, pocałowałam go - powiedziała spokojnie Sara. Nie musiała przed Williamem niczego ukrywać, chciała, by raz na zawsze wszystko zostało wyjaśnione. - Stał się moim przyjacielem. Joachim nienawidził poczynań Hitlera tak samo jak my. Pomógł nam bezpiecznie przeżyć. Kiedy wyjeżdżał, wiedziałam, że już nigdy go nie zobaczę. Nie wiem, czy żyje, czy też zginął, ale życzę mu dobrze. Pocałowałam go na pożegnanie, ale to nie znaczy, że cię zdradziłam.

Po policzkach Sary potoczyły się łzy. Powiedziała mu prawdę, była wierna, a Phillip postąpił źle, budząc zazdrość Williama. Wiedziała, że syn był zły na nią za to, że się całowała z Joachimem, a także za to, że pozwoliła mu odjechać. Gniewał się o wiele rzeczy, ale Sara nie sądziła, że zrobi coś takiego. Teraz była zadowolona, że może być szczerą w stosunku do Williama i powiedzieć mu prawdę, iż go nie zdradziła. Po to warto było przeżyć te samotne noce.

- Przepraszam, że o to pytałem - powiedział William pełen poczucia winy; Sara uklękła przy nim i ujęła jego twarz w dłonie.

- Nie przepraszaj. Nie ma takiej rzeczy, o jaką nie mógłbyś mnie zapytać. Kocham cię. Zawsze cię kochałam, nigdy nie zrezygnowałam i zawsze wierzyłam, że wrócisz do domu.

Jej oczy mówiły prawdę, to spojrzenie wyrażało także bezgraniczną miłość. Westchnął z ulgą i odegnął od siebie niepokój. Uwierzył Sarze. Złął się, gdy usłyszał słowa Phillipa, ale po

pewnym czasie zdał sobie sprawę, że syn karze go na swój dziecinny sposób za to, że tak długo był pozbawiony ojca.

- Nigdy nie sądziłem, że powrócę do domu. Ciągle sobie powtarzałem, że tak się stanie, by móc przeżyć następną godzinę, następną noc, następny dzień... ale tak naprawdę nigdy w to nie wierzyłem. Niewielu ludziom to się udało.

Był świadkiem zbyt wielu śmierci.

- Niemcy to naród potworów - powiedział, gdy wracali do domu; Sara nie miała śmiałości wspomnieć, że Joachim był inny, mawiał, że wojna to paskudna sprawa.

W trzy tygodnie po powrocie do zamku Emanuelle i Sara zaczynały w kuchni miesić ciasto na chleb. Rozmawiały o różnych sprawach, a potem Emanuelle zaczęła niewyraźnie kluczyć, zadawać dziwne pytania.

- Musi pani być bardzo szczęśliwa, że księżę wrócił - zaczęła; była to prawda oczywista dla każdego, kto patrzył na tych dwoje. Sara nie była równie szczęśliwa od lat; stopniowo dokonywali nowych odkryć w dziedzinie seksu. Niektóre zmiany nie były najszcześniejsze, ale w gruncie rzeczy zmieniło się niewiele, ku zadowoleniu Williama, który miał teraz okazję wypróbować wiele nowych poczyną.

- Jest cudownie! - Sara uśmiechnęła się radośnie. Miesiła ciasto na chleb, Emanuelle przyglądała się jej spod oka.

- Czy przywiózł ze sobą z Anglii dużo pieniędzy?

To dziwne pytanie zaskoczyło Sarę.

- Nie, oczywiście, że nie. A powinien?

- Tak się tylko zastanawiałam. - Emanuelle wyglądała na zakłopotaną, ale nie za bardzo. Wydawało się, że coś jej chodzi po głowie, choć Sara nie mogła się domyślić co. Dziewczyna nigdy o nic takiego nie pytała.

- Dlaczego mnie o to wypytujesz, Emanuelle? - Wiedziała, że dziewczyna miała już dawniej różne przedziwne koneksje, powiązania z Resistance w czasie wojny, potem jakieś interesy na czarnym rynku, ale nie miała pojęcia, o co chodzi teraz.

- Są ludzie... którzy potrzebują pieniędzy. Zastanawiam się, czy księżę mógłby im udzielić pożyczki?

- Chodzi o to, aby im dać pieniądze? Tak po prostu? - Sara spojrzała ze zdziwieniem; Emanuelle robiła wrażenie zadumanej.

- Niekoniecznie. A gdyby mieli coś do sprzedania?

- Masz na myśli jedzenie? - Sara wciąż nie rozumiała.

Skończyła ugniatać ciasto, umyła ręce i spojrzała na młodą kobietę przenikliwym wzrokiem, zastanawiając się, w co się wdała tym razem. Pierwszy raz powzięła w stosunku do Emanuelle jakieś podejrzenia. Sara nie lubiła tego uczucia. - Czy chodzi o żywność albo o wyposażenie farmy?

Dziewczyna spuściła głowę i odpowiedziała przyciszonym głosem.

- Nie... mam na myśli klejnoty. Są ludzie... dans les alentours, w okolicy, którzy potrzebują pieniędzy, by odbudować swoje domy, swoją egzystencję. Mają ukryte przedmioty, coś ze złota... ze srebra... albo biżuterię... i teraz muszą to sprzedać.

Od pewnego czasu Emanuelle łamała sobie głowę, w jaki sposób teraz, po zakończeniu wojny, zarobić jakieś większe pieniądze. Nie zamierzała wiecznie sprzątać domów, nawet u Whitfieldów, chociaż była do nich szczerze przywiązana. Wpadła na pewien pomysł. Znała osoby, które chciały pilnie spieniężyć cenne przedmioty: klejnoty, srebra, papierošnice firmy Faberge, kosztowności. Poznała pewną kobietę z Chambord, która chciała szybko sprzedać, niezależnie od ceny, wspianiały sznur pereł. Niemcy zniszczyli jej dom i potrzebowała pieniędzy na odbudowę.

Emanuelle występowała w roli pośredniczki: znała ludzi posiadających różne okazy, czasem naprawdę rarytasy, i mających pilne potrzeby, Whitfieldowie zaś mieli pieniądze. Chciała ich o to zapytać już od pewnego czasu, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Coraz więcej osób szukało jej pomocy, gdyż znali kontakty Emanuelle z księciem i księżną. Kobieta z perłami odwiedziła ją dwukrotnie, nie mówiąc już o innych ludziach.

Z ukrycia wychodzili też Żydzi, a kobiety, które otrzymywały w czasie okupacji kosztowne podarunki od nazistów, bały się je przechowywać. Były też klejnoty, którymi okupiono ludzkie życie lub płacono za informacje w Resistance. W interesie Emanuelle leżało, by ludzie sprzedawali takie kosztowności, a ona chciała mieć z tego choć niewielki zysk. Broń Boże, nie zamierzała czerpać z tego jakichś nadzwyczajnych korzyści, to byłby po prostu obopólny interes.

Sara wciąż patrzyła na nią zmieszana.

- Po co mi biżuteria? - akurat tego ranka wydobyli jej kosztowności ze schowka pod podłogą w sypialni Phillipa.

- Nosiłaby ją pani - uśmiechnęła się Emanuelle. Sama chciałaby się w nią stroić, ale jeszcze nie mogła sobie pozwolić na kupno klejnotów. Może kiedyś. - Mogłaby też pani ją odsprzedać. Jest wiele możliwości, madame.

- Masz przed sobą przyszłość, dziewczyno! - Sara uśmiechnęła się do niej.

Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie sześć lat, ale Emanuelle miała niewiarygodny zmysł przedsiębiorczości i umiejętność przeżycia, czego zupełnie brakowało Sarze.

Sarę cechowała za to wewnętrzna siła i wytrzymałość - właściwości odmienne od tych, którymi dysponowała Emanuelle. Emanuelle Bourgois miała za to spryt.

- Niech pani zapyta księcia - błagała, kiedy Sara wychodziła z kuchni z lunchem na tacy. W głosie Emanuelle był jakiś niepokój i Sara to wyczuła.

- Zapytam - obiecała - ale zapewniam cię, że pomyśli, iż oszalałam.

Najśmieszniejsze było to, że William wcale nie posądził Sary o szaleństwo. Był rozbawiony.

- Co za intrygujący pomysł. Ta dziewczyna jest zaiste niepowtarzalna! To naprawdę jest całkiem niewinny i sympatyczny sposób, by pomóc tym ludziom. To mi się rzeczywiście podoba. Myślałem ostatnio, co moglibyśmy zrobić, by poratować okolicznych mieszkańców. Nie myślałem jednak o czymś tak osobliwym - uśmiechnął się. - Ale to da się zrobić. Powiedz Emanuelle, że rozważę taką możliwość i zobaczymy, jak się rozwinie ta sytuacja.

Po trzech dniach dzwonek u frontowych drzwi zadźwięczał o dziewiątej rano. Sara zeszła na dół i zastała tam kobietę w lśniącej czarnej sukni, która wyglądała na kosztowną, w zniszczonych butach i z torebką od Hermesa, którą Sara rozpoznała natychmiast. Nie widziała nigdy przedtem tej kobiety.

- Oui...? Tak? Czym mogę służyć?

- En effet... je m'excuse (En effet... je m'excuse (franc.) - ja właściwie... przepraszam - przyp. tłum.)... ja, - wyglądała na przestraszoną, ciągle oglądała się za siebie, jakby się spodziewała, że ktoś zaatakuje ją z tyłu. Gdy Sara przyjrzała się kobiecie bliżej, stwierdziła, że jest podobna do Żydówki. - Przepraszam... przychodzę tu z polecenia znajomej... Mam straszny kłopot, Wasza Książęca Wysokość, moja rodzina...

Jej oczy napełniły się łzami, gdy zaczęła opowiadać; Sara uprzejmie zaprosiła ją do kuchni i poczęstowała filiżanką herbaty. Kobieta wyjaśniła, że podczas wojny całą jej rodzinę wywieziono do obozów koncentracyjnych. Z tego, co wiedziała, wynikało, że jedynie ona pozostała przy życiu. Przez cztery lata sąsiedzi ukrywali ją u siebie w piwnicy. Mąż był lekarzem, dyrektorem szpitala w Paryżu, i został deportowany przez nazistów, tak samo jak jej rodzice, dwie siostry, nawet syn.

Opowiadała płacząc, a Sara starała się powstrzymać łzy, słuchając tej historii. Kobieta powiedziała, że potrzebuje pieniędzy, by odszukać swoją rodzinę. Zamierzała udać się do Niemiec i Polski, do znajdujących się tam obozów, aby próbować się czegoś dowiedzieć od tych, którzy przeżyli.

- Myślę, że mógłby pani pomóc Czerwony Krzyż. Są organizacje, które prowadzą takie poszukiwania w całej Europie - Sara wiedziała, że William przekazał już poważną sumę na rzecz tych instytucji w Anglii.

- Chcę pojechać sama. Niektóre z tych prywatnych organizacji są bardzo kosztowne. A potem, kiedy ich znajde, albo... - nie była w stanie wypowiedzieć tych słów - chcę wyjechać do Izraela.

Wyraziła to w taki sposób, jakby naprawdę mówiła o ziemi obiecanej; wyciągnęła z torebki dwa duże pudełka. Sara współczuła tej kobiecie.

- Mam coś do sprzedania... Emanuelle powiedziała, że pani mogłaby... mówiła, że pani jest bardzo uprzejma.

Sary mąż był bardzo zamożny, ale pani Wertheim była na tyle dobrze wychowana, by o tym nie wspominać. Wyciągnęła z torebki dwa pudełka od van Cleefa; jedno zawierało okazały naszyjnik ze szmaragdami i brylantami, drugie - harmonizującą z nim bransoletkę. Oba klejnoty były koronkowej roboty, zaskakująco wspaniałe i doprawdy robiły wrażenie.

- Ja... dobry Boże... one są przepiękne! Nie wiem, co powiedzieć. - Sara nie wyobrażała sobie, że jeszcze mogłaby założyć coś podobnego, nawet w odległej przyszłości. To były doskonale dobrane, znaczącej wartości klejnoty, z pewnością warte każdych pieniędzy, jakich zażąda ta kobieta. Ale w jaki sposób można w ogóle wyznaczyć cenę na klejnoty tej klasy? Patrząc na nie, Sara musiała przyznać, że pomysł kupna tych rzeczy jest dla niej ekscytujący. Nigdy nie posiadała czegoś takiego. A ta biedna kobieta modliła się w duchu, aby oni kupili tę biżuterię.

- Czy mogę pokazać je mężowi? Wrócę za chwilę.

Sara pobiegła na górę po schodach, trzymając w rękach oba pudełka, i wpadła do sypialni.

- Nigdy w to nie uwierzysz - powiedziała do Williama prawie na bezdechu. - Na dole jest pewna kobieta...

Otworzyła pudełka i wysypała ich zawartość na jego kolana.

- Chce nam to sprzedać... - machnęła mu przed oczyma wspaniałymi szmaragdami.

- Fiu, fiu - William zagwizdał. - Bardzo piękne, moja droga. Wspaniale wyglądałyby na tobie w ogrodzie. Doskonale pasują do zieleni!

- Bądź poważny - opowiedziała mu dzieje tej kobiety; William także poczuł dla niej litość.

- Czy nie możemy pomóc jej, dając po prostu czek? Czułbym się jak łajdak, kupując to od niej. Ale muszę przyznać, że wyglądają na tobie bardzo pięknie.

- Dziękuję, kochany. Ale co z nią pocniemy?

- Zejdę na dół i sam porozmawiam.

William zdążył się już ogolić, miał na sobie spodnie, koszulę i szlafrok. Mimo kalectwa nabrał umiejętności bardzo sprawnego ubierania się. Wyjechał za Sarą z pokoju i ostrożnie zjechał na dół po specjalnie dla niego zbudowanej rampie.

Pani Wertheim z niepokojem oczekiwała w kuchni na wynik rozmowy. Była taka przestraszona, że chciała już uciekać bez swoich klejnotów z obawy, że może ją spotkać coś złego, ale Emanuelle przekonała kobietę, że nic jej tu nie grozi. Emanuelle poznała w Resistance ludzi, którzy ukrywali panią Wertheim w swojej piwnicy.

- Dzień dobry - powitał ją z uśmiechem William, a ona odczuła wyraźną ulgę; czekała, co powiedzą o szmaragdach. - Obawiam się, że nigdy czegoś takiego nie robiłem i że jest to dla nas osobliwy pomysł.

Postanowił wybawić tę kobietę z kłopotu i przejść wprost do sedna sprawy. Już wcześniej zdecydował, że powinni jej pomóc.

- Ile pani za nie żąda?

- Nie wiem. Dziesięć? Piętnaście?

- To śmieszne.

Pisnęła przerażona i zaczęła mówić szeptem.

- Przepraszam, Wasza Książęca Mość... pięć?

Sprzedalaby je za półdarmo, tak bardzo potrzebowała pieniędzy.

- Myślałem raczej o trzydziestu. Czy to wydaje się pani rozsądne? Mam na myśli trzydzieści tysięcy dolarów.

- Ja... mój Boże - zaczęła płakać, niezdolna kontrolować się już dłużej. - Niech pana Bóg błogosławi! Niech Bóg błogosławi Waszą Książęcą Mość!

Ocierała oczy starą koronkową chusteczką, a odchodząc z czekiem w torebce wyciąłowała ich oboje. Nawet Sara miała łzy w oczach podczas pożegnania.

- Biedna kobieta.

- Wiem o tym - przez chwilę wyglądał na przygnębionego, a następnie założył Sarze naszyjnik i bransoletkę. - Ciesz się nimi, moja droga.

Oboje czuli zadowolenie z dobrego uczynku.

Pod koniec tygodnia mieli okazję go powtórzyć.

Właśnie Sara pomagała Emanuelle sprzątać po kolacji, a William przebywał w swym gabinecie, co Sarze nieco przypominało czasy Joachima. Wtedy w kuchennych drzwiach pojawiła się jakaś kobieta. Była młoda i wyglądała na jeszcze bardziej przestraszona niż pani Wertheim. Miała obcięte włosy, ale nie tak krótkie, jak zaraz po okupacji. Sara widywała ją w towarzystwie jednego z niemieckich oficerów, który mieszkał w zamku i pracował z Joachimem. Ta piękna dziewczyna przed wojną pracowała w Paryżu jako modelka Jeana Patou.

Emanuelle zachnęła się na jej widok, ale zaprosiła ją do środka. Przysięgła sobie jednak, że tym razem weźmie większą prowizję. Od pani Wertheim nie wzięła prawie nic, choć starsza pani nalegała, by pośredniczka zgodziła się przyjąć choć trochę.

Dziewczyna spoglądała nerwowo na Emanuelle, a potem na Sarę. Zaczęło się tak samo.

- Czy mogę pomówić z Waszą Księżącą Wysokością?

Miała do sprzedania bardzo piękną bransoletę z brylantami, roboty Boucheron. Powiedziała Sarze, że to prezent. Ale Niemiec, który podarował jej klejnot, ofiarował dużo więcej - zostawił ją z dzieckiem.

- Chłopiec bez przerwy choruje, nie mam za co kupić mu jedzenia ani lekarstw. Boję się, że nabawi się gruźlicy... - Sara pomyślała o Lizzie, słowa dziewczyny trafiły wprost do jej serca.

Spojrzała na Emanuelle i zapytała, czy to prawda; Emanuelle potwierdziła słowa kobiety.

- Ona ma dwuletniego niemieckiego bękartą, który bez przerwy choruje.

- Czy obiecasz, że kupisz mu jedzenie, lekarstwa i ciepłe ubranie, jeśli damy ci pieniądze? - zapytała Sara zdecydowanym tonem; dziewczyna przyrzekła.

Usłyszawszy to, Sara poszła do Williama, który zjechał na dół, by przyjrzeć się dziewczynie i bransoletce. Jedna i druga zrobiły na nim dobre wrażenie; po chwili rozmowy z przybyłą uznał, że jest uczciwa. Nie chciał narazić się na zarzut, że kupuje kradzione kosztowności, ale w tym przypadku to zdawało się nie wchodzić w rachubę.

Kupili od niej bransoletkę za uczciwą cenę, przypuszczalnie taką, jaką zapłacił za nią Niemiec; dziewczyna pożegnała się, dziękując im wylewnie. Po jej wyjściu Sara spojrzała na Emanuelle i roześmiała się.

- Co my właściwie robimy?

Emanuelle wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Może ja będę bogata, a pani będzie miała mnóstwo znakomitej biżuterii.

Sara nie mogła się powstrzymać, by się do niej nie uśmiechnąć. To było trochę szalone, ale jednocześnie zabawne i wzruszające. Następnego dnia kupiły wspaniałe perły od kobiety z Chambord, która chciała odbudować dom. Perły były wprost bajkowe, a William nalegał, żeby Sara je nosiła.

Do końca lata Sara miała dziesięć bransoletek ze szmaragdami, trzy pasujące do nich kalie, cztery komplety klejnotów z rubinami, kilka pierścionków z brylantami, by nie wspomnieć o wspaniałym diademie z turkusami. Wszystko to trafiło do niej od ludzi, którzy utracili majątki, domy albo dzieci i potrzebowali pieniędzy, by odszukać krewnych, odbudować swoje życie albo po prostu zarobić na chleb. To był pewien rodzaj filantropii, której Sara nigdy nie była w stanie opisać znajomym bez skrepowania, a mimo wszystko jakaś pomoc ludziom, od których te kosztowności

kupowała. Emanuelle bogaciła się na prowizji i zmieniła się w elegantkę. Czesła się u fryzjerów w mieście, kupowała stroje w Paryżu, na co po wojnie nie pozwalała sobie nawet Sara. W porównaniu z Emanuelle zaczęła się czuć jak kopciuszek.

- Williamie, co zrobimy z tym wszystkim? - zapytała pewnego dnia; w toalecie miała pół tuzina etui od van Cleefa i Cartiera.

William roześmiał się.

- Nie mam zielonego pojęcia. Może powinniśmy sprzedać to na licytacji.

- Mówię poważnie.

- A może otworzymy sklep? - zapytał żartobliwie William; Sara uznała to za absurd. Prawdą było jednak, że po roku działalności mieli więcej zapasów niż magazyn Garrarda.

- Chyba rzeczywiście powinniśmy zacząć to sprzedawać - zaproponowała Sara; tym razem jednak wątpliwości miał William. Zaangażował się w tworzenie dużych winnic wokół zamku i nie miał głowy do biżuterii. Ale myśl o klejnotach nie dawała spokoju, wszyscy w okolicy znali ich ze szlachetności i uczynności. Jesienią 1947 roku William i Sara postanowili pojechać do Paryża tylko we dwoje i zostawić na kilka dni Phillipa z Emanuelle. Choć od przyjazdu z Anglii minęło półtora roku, byli tak zajęci, że przez cały ten czas nie opuścili zamku.

Paryż okazał się jeszcze wspanialszy, niż pamiętała go Sara. Zatrzymali się w Ritzu i spędzili w łóżku prawie tyle samo czasu, ile podczas podróży poślubnej. Mieli jednak dosyć czasu na zakupy, wybrali się też na kolację do Wallis i Davida w ich apartamencie przy Boulevard Sachet. Mieścił się on w domu zbudowanym w stylu angielskiego gotyku. Sara włożyła nową elegancką suknię od Diora, a także swe wspaniałe perły i bajkową bransoletkę z brylantami, kupioną przed kilkoma miesiącami.

Przy kolacji wszyscy chcieli się dowiedzieć, skąd Sara ma taką bransoletkę. Wallis była na tyle bystra, żeby zauważyć perły Sary - powiedziała jej, że nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Zainteresowała ją także bransoletka i zapytała o źródło pochodzenia klejnotu. Whitfieldowie powiedzieli, że od Cartiera, nie wdając się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia. W porównaniu z biżuterią Sary klejnoty Wallis nieco przybladły.

Sara dziwiła się niepomiarnie, że podczas pobytu w Paryżu tak bardzo fascynowali ją jubilerzy i biżuteria. Wyroby ich były piękne, ale Whitfieldowie niewątpliwie posiadali w swoim zamku niezwykłą kolekcję. Mieli dużo więcej, a niektóre ich klejnoty były bardziej wartościowe. Prawdę mówiąc, dotyczyło to większości tych arcydzieł sztuki jubilerskiej.

- Powinniśmy kiedyś coś z nimi zrobić - powiedziała Sara niejasno, kiedy wracali do domu specjalnie zbudowanym dla Williama bentleyem.

Upłynęło kolejne pół roku, zanim pomyśleli o tym znowu. Sara zajmowała się Phillipem, pragnęła się nim nacieszyć, bo za rok miał wyjechać do szkoły w Eton. Chciała go zatrzymać przy sobie, we Francji, ale Phillip, chociaż tu się urodził i mieszkał dotąd w zamku, pasjonował się wszystkim, co angielskie, i błagał, by go puszczono do Eton.

William był zbyt zajęty swoimi winnicami i winem, by myśleć o biżuterii. W lecie 1948 roku Sara stwierdziła, że koniecznie muszą coś zrobić ze zgromadzoną górą klejnotów. Nie stanowiły już korzystnej lokaty. Po prostu leżały w schowku poza kilkoma, które nosiła. Nieliczne tylko były przeciętne.

- Po wyjeździe Phillipa pojedziemy do Paryża i je sprzedamy. Obiecuję - powiedział odważnie William.

- Pomyślą, że obrabowaliśmy bank w Monte Carlo.

- To będzie tak wyglądało - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Ale kiedy jesienią wybrali się do Paryża, nagle stwierdzili, że mają po prostu za dużo klejnotów, by je zabrać ze sobą. Wzięli kilka sztuk, a resztę zostawili w zamku. Sara była znudzona, czuła się też trochę samotna - Phillip niedawno wyjechał. Po dwóch dniach pobytu w Paryżu William oznajmił, że znalazł rozwiązanie.

- Rozwiązanie czego? - Kiedy jej to powiedział, była zajęta oglądaniem nowych kostiumów u Chanel.

- Problemu klejnotów. Otworzymy własny sklep i sprzedamy je.

- Czy ty straciłeś rozum? - Spojrzała na niego; wciąż był bardzo przystojny, nawet w fotelu na kółkach. - Co my zrobimy z tym sklepem? Zamek leży o dwie godziny drogi od Paryża.

- Poprowadzi go Emanuelle. Teraz nie ma żadnego zajęcia - Phillip wyjechał, nie ma też zamyłowania do prac domowych.

Emanuelle ubierała się u Jeana Patou i madame Gres, była teraz bardzo elegancką kobietą.

- Mówisz poważnie? - Sara nigdy nie myślała o takim rozwiązaniu i nie miała pewności, czy ten pomysł jej odpowiada. Ale z drugiej strony to mogło być zabawne - oboje lubili biżuterię. Nagle zaczęła się martwić.

- Czy nie uważasz, że twoja matka uzna to za trywialne?

- Otworzenie sklepu? To rzeczywiście jest nieco plebejskie - roześmiał się. - Ale i ucieczne. Dlaczego by nie? Poza wszystkim z matki jest dobry kumpel - jestem pewien, że to zaakceptuje.

Miała już dziewięćdziesiątkę, a w miarę upływu lat stawała się coraz bardziej bezpretensjonalna, nie zamknięta w sobie, do czego upoważniał ją wiek. Była zachwycona perspektywą goszczenia Phillipa podczas wakacji i weekendów.

- Kto wie, może pewnego dnia zostaniemy Jubilerami Korony. Będziemy musieli sprzedać coś królowej, by na to zasłużyć. Sądzę, że wtedy Wallis się wścieknie i zażąda rabatu.

To był zupełnie szaleńczy pomysł; rozmawiali o tym wracając do zamku i Sara przyznała, że ta myśl zaczyna ją frapować.

- Jak nazwiemy to miejsce? - zapytała podniecona, kiedy wieczorem leżeli już w łóżku.

- Oczywiście Whitfield's - William spojrział na nią z dumą. - Jaką inną nazwę moglibyśmy wymyślić, moja droga?

- Przepraszam - odwróciła się i pocałowała go. - Powinam była sama na to wpaść.

- Oczywiście, że powinnaś.

Wspaniały nowy projekt był jak kolejne dziecko.

Sformułowali na piśmie myśl przewodnią całego zamierzenia, sporządzili spis posiadanej biżuterii, uzyskali wycenę od pracowników van Cleefa, którzy byli oszołomieni ich zbiorem. Porozumieli się z prawnikami, a przed świętami Bożego Narodzenia wrócili do Paryża i wynajęli mały, ale wytworny sklep przy Faubourg-St. Honore. Zatrudnili architektów i robotników, a nawet wyszukali mieszkanie dla Emanuelle. Dziewczyna wychodziła ze skóry z podniecenia.

- Czy my kompletnie zgłupieliliśmy? - W Nowy Rok targały Sarą sprzeczne uczucia.

- Nie, moja kochana, wcale nie. Wyrządziliśmy bardzo wiele dobrego bardzo wielu ludziom, kupując od nich te klejnoty, a teraz możemy się trochę nimi pobawić. Nikomu nie robimy krzywdy. Może się okazać, że to jest bardzo intratny interes.

Wyjaśnili wszystko Phillipowi i matce Williama podczas świąt Bożego Narodzenia, które spędzali w Whitfield. Stara księżna uznała, że to doskonały pomysł, i przyrzekła, że będzie ich pierwszą klientką. Phillip z kolei oznajmił, że w przyszłości otworzy filię w Londynie.

- A dlaczego nie w Paryżu? - zapytała Sara, zaskoczona jego reakcją. Jak na chłopca, który wyrastał za granicą i był tylko w połowie Anglikiem, miał zaskakująco probrytyjskie zapędy.

- Nigdy już nie chcę mieszkać we Francji - oświadczył. - Chyba że podczas wakacji. Moje miejsce jest w Whitfield.

- No, no - rzekł William, raczej rozbawiony niż zmartwiony. - Ciesz się, że ktoś tego chce.

Nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby tam przebywać. Podobnie jak jego kuzyn, książę Windsoru, czuł się bardziej szczęśliwy we Francji; Sara także wołała mieszkać po drugiej stronie Kanału.

- Musicie mnie powiadomić o uroczystym otwarciu - księżna wdowa wymogła na nich obietnicę. - Kiedy to będzie?

- W czerwcu - powiedziała drżącym głosem Sara, patrząc podniecona na Williama. To naprawdę przypominało narodziny kolejnego dziecka, a ponieważ nie przydarzył się im nowy potomek, Sara zaangażowała się w tę sprawę z całą energią. W przeddzień otwarcia wszystko wyglądało urzekająco.

Rozdział osiemnasty

Otwarcie sklepu było wielkim sukcesem. Wnętrze zostało wspaniale zaprojektowane przez Amerykankę Elsie de Wolfe, która założyła pracownię w Paryżu. Cały sklep, wyłożony bladym aksamitem, wyglądał jak wnętrze etui na klejnoty; meble były w stylu Ludwika XVI. William sprowadził z Whitfield kilka małych obrazów Degasa i parę szkiców Renoira. Była też wspaniała Mary Cassatt, którą uwielbiała Sara, ale nie tę sztukę podziwiali ludzie, którzy odwiedzali to piękne wnętrze. Oszałamiająca była przede wszystkim biżuteria. Sara i William przeprowadzili selekcję i wyeliminowali kilka mniej urzekających przedmiotów, ale sami byli mile zaskoczeni znakomitą większością ich zbioru. Każdy klejnot wyróżniał się własnymi cechami - bajkowe kolie z brylantami, ogromne perły, zachwycające brylantowe kolczyki i kryza z rubinów, która należała do carycy. Znaki firmowe jubilerów były wyraźnie widoczne na wszystkim, co sprzedawali, także symbol van Cleefa na turkusowym diademie. Mieli wyroby Boucheron, Mauboussina, Chaumeta, van Cleefa, Cartiera i Tiffany'ego z Nowego Jorku, Faberge i Aspreya. Zasoby były rzeczywiście oszałamiające, takie też było przyjęcie ich magazynu przez paryżan. Prasa podała trochę dyskretnych informacji, że księżna Whitfield otwiera pod nazwą "Whitfield's" sklep na Faubourg-St. Honore, oferujący wyjątkowym kobietom niepowtarzalną biżuterię.

Na otwarcie przybyła księżna Windsoru, towarzyszyła jej większość przyjaciół i nagle znalazł się tam "le tout Paris" - cały paryski high life, a nawet kilku zaintrygowanych znajomych z Londynu.

Tego wieczora, kiedy wydawali przyjęcie, sprzedali cztery sztuki biżuterii: wspaniałą bransoletę z perłami i brylantami wykonaną przez firmę Faberge, dekorowaną małymi ptaszkami z niebieskiej emalii, oraz naszyjnik z pereł - jeden z pierwszych klejnotów dostarczonych przez Emanuelle. Spieniężyli też szmaragdowy komplet pani Wertheim za bardzo przyzwoitą cenę, podobnie wielki pierścień z rubinem kaboszon, wykonany przez van Cleefa dla maharadży.

Sara patrzyła na to wszystko w oszołomieniu, niezdolna uwierzyć w śmiałość tego przedsięwzięcia, a William spoglądał na żonę z wyraźną przyjemnością. Był dumny z niej i obserwował rozwój sytuacji z przymrużeniem oka. Zebrali to wszystko, bo mieli wrażliwe serca i chcieli pomóc innym. I nagle okazało się, że to doskonały interes.

- Wykonałaś doskonałą robotę, moja kochana - rozejrzał się wokół z czarującym entuzjazmem; kelnerzy dolewali gościom szampana. Na inauguracyjne przyjęcie przygotowano całe skrzynki kryształu i niezliczone puszki kawioru.

- Nie mogę w to uwierzyć! A ty? - Rozradowana Sara znowu wyglądała jak młoda dziewczyna. Emanuelle przepięknie wyglądała w czarnej kreacji firmy Schiaparelli, prezentowała się jak wielka dama, krążąc wśród elity.

- Dlaczego nie miałbym w to uwierzyć. Masz wyśmienity gust, a te rzeczy są naprawdę piękne - odparł rzeczowo William, upijając łyżeczek szampana.

- Osiągnęliśmy sukces, prawda? - zachichotała Sara.

- Nie, kochana, to ty osiągnęłaś sukces. Jesteś dla mnie najdroższa - szepnął. Lata w obozie dały mu bezsporną pewność, co liczy się najbardziej: żona, dzieci i wolność. Odkąd wrócił do domu, nie był już takim zdrowym człowiekiem jak dawniej. Ale Sara troszczyła się o niego i William powoli wracał do sił. Niekiedy wydawał się żywotny jak dawniej, czasem wyglądał na zmęczonego - wtedy wiedziała, że bolą go nogi. Rany w końcu zagoiły się, ale ubytki zdrowia były nie do naprawienia. W każdym razie żył, czuł się możliwie i byli razem. A teraz mieli wspaniały sklep. Sara wielce się tym radowała.

- Czy to nie bajka? - szepnęła do Emanuelle kilka minut później. Emanuelle z największym spokojem prezentowała eleganckiemu panu kosztowny naszyjnik z szafirami.

- Myślę - uśmiechnęła się tajemniczo do swej szefowej - że czeka nas tu wiele atrakcji.

Sara widziała, że Emanuelle zamierza korzystać z życia; wyraźnie, choć subtelnie flirtowała z bardzo poważnymi panami i, jak się zdawało, ani trochę jej nie przeszkadzało, że są żonaci.

David i Wallis kupili jeszcze tego wieczora piękny brylantowy pierścionek oznaczony lampartem Cartiera, który pasował do tych, które Wallis już miała - i to była piąta sprzedaż. Gdy wszyscy rozeszli się do domów, Sara z Williamem o północy zamknęli drzwi.

- Kochany, to było cudowne! - Sara znowu klasnęła w ręce, a William, siedząc w swym wózku, pociągnął ją na kolana. Strażnicy zamykali wejścia, a Emanuelle wyjaśniała kelnerom, gdzie mają zostawić resztę kawioru. Chciała go zabrać do domu i zjeść następnego dnia z przyjaciółmi. Sara pozwoliła jej na to. Emanuelle organizowała przyjęcie w swym mieszkaniu przy rue de la Faisanderie - zamierzała w ten sposób uczcić nową posadę kierowniczkę magazynu Whitfield's.

Emanuelle przebrnęła długą drogę: od La Marolle, lat w Resistance, sypiania z niemieckimi wojskowymi, by wydobyć od nich rozmaite informacje, na przykład o magazynie amunicji. Potem były drobne transakcje, jak sprzedawanie jajek, śmietany i papierosów na czarnym rynku. Wszyscy przeszli długą drogę koszmarnej wojny, ale teraz w Paryżu nastały dobre czasy.

William z Sarą pojechali do swojego apartamentu w hotelu Ritz. Rozważali potrzebę znalezienia niedużego mieszkania, w którym mogliby się zatrzymywać podczas pobytów w Paryżu. Choć zamek leżał niewiele ponad dwie godziny drogi od Paryża, jazda tam i z powrotem

pochłaniała zbyt wiele czasu. Sara nie zamierzała przebywać w sklepie bez przerwy, jak Emanuelle i jej pomocnica, chciała jednak zająć się poszukiwaniem nowych klejnotów, bo teraz ludzie już nie przychodzili do nich po pomoc. Zamierzała także zająć się projektowaniem biżuterii. Jeździli teraz do Paryża dużo częściej niż przedtem. Na razie jednak Ritz był wystarczający. Sara ziewnęła, idąc za wózkiem Williama, a po kilku minutach położyła się obok niego.

Kiedy wślizgnęła się do łóżka, obrócił się i wyjął pudełeczko z szuflady nocnej szafki.

- Gapa ze mnie - powiedział tajemniczo, ale Sara знаła go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że ją zwodzi. - Zapomniałem o tym...

Wręczył jej duże, kwadratowe, płaskie pudełko.

- To tylko takie małe świecidełko dla upamiętnienia inauguracji Whitfield's - powiedział z uśmiechem. Sara zachodziła w głowę, próbując domyślić się zawartości opakowania.

- William, jesteś niemożliwy! - Czuła się przy nim jak dziecko. Zawsze ją rozpieszczał, był dla niej taki dobry we wszystkich ważniejszych sprawach. - Co to jest?

Potrząsnęła pudełkiem i zdjęła opakowanie. Rozpoznała etui od jubilera. Na wierzchu widoczne było włoskie nazwisko - Buccellati.

Otworzyła ostrożnie, wstrzymując oddech, a kiedy zobaczyła zawartość, oczy jej zapłonęły blaskiem. Pudełeczko zawierało precyzyjnie wykonany i bardzo kosztowny naszyjnik z brylantami.

- Och, mój Boże! - zamknęła oczy i natychmiast zatrzasnęła pudełko. William już wcześniej był znany z pięknych podarków, ale ten przekraczał wszelkie oczekiwania. Naszyjnik wyglądał jak koronkowa kryza, precyzyjnie spleciona z platynowych nitki, obwieszona wielkimi kroplami diamentów, które wyglądały na ciele jak ogromne krople rosy. - Och, Williamie...

Sara ponownie otworzyła oczy i objęła go.

- Nie zasłużyłam na to!

- Naturalnie, że zasłużyłaś - skarcił ją - nie mów takich rzeczy. A poza tym teraz, kiedy jesteś właścicielką Whitfield's, ludzie będą bacznie obserwować, jakie klejnoty nosisz. Będziemy musieli kupić jakąś ciekawą biżuterię, coś nieprawdopodobnej piękności - powiedział rozbawiony tą perspektywą. Uwielbiał ją psuć i, tak samo jak jego ojciec, zawsze lubił kupować biżuterię.

Założyła naszyjnik i położyła się w nim do łóżka; William podziwiał klejnot i jego właścicielkę. To był wspaniały wieczór.

- Kochanie, zawsze powinnaś zakładać brylanty do łóżka - powiedział całując ją w usta; chwilę później jego wargi osunęły się na naszyjnik, a potem niżej, coraz bardziej zachłannie.

- Myślisz, że odniesiemy sukces? - wyszeptała miękko, obejmując go ramionami.

- Już go osiągnęliśmy - mruknął ochryple, po czym zapomnieli o sklepie aż do rana.

Nazajutrz w gazetach było pełno wiadomości o ich magazynie, relacji z uroczystości otwarcia o ludziach i klejnotach, o ich niezwykłym pięknie, o tym, jak wytwornie prezentowali się Sara i William; odnotowano fakt, że zjawiała się księżna Windsoru. Wszystkie doniesienia były entuzjastyczne.

- Staliśmy się przebojem! - roześmiała się Sara podczas śniadania, ubrana jedynie w swój brylantowy naszyjnik. Miała prawie trzydzieści trzy lata, a jej figura nic nie straciła na atrakcyjności. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, włosy spiętrzyła wysoko na głowie, a brylanty lśniły w porannym słońcu. William nie mógł oderwać od niej wzroku i uśmiechał się z przyjemnością.

- Jesteś piękniejsza niż ta błyskotka na twojej szyi!

- Dziękuję ci, najdroższy - pochyliła się w jego stronę; całowali się, a potem skończyli śniadanie.

Po południu udali się do sklepu i stwierdzili, że wszystko przebiega doskonale. Sprzedano jeszcze sześć klejnotów, niektóre dość drogie. Ciekawe było obserwowanie znajdujących się tam ludzi, biżuterii i atmosfery podniecenia. Dwaj nobliwi panowie przyszli coś kupić - jeden dla przyjaciółki, drugi dla żony. Z tym drugim Emanuelle umówiła się na kolację. Był to pewien niewiarygodnie przystojny wyższy urzędnik, dobrze znany ze swych licznych romansów. Emanuelle uznała, że może być zabawne, jeśli pokaże się z nim przynajmniej raz. Nikomu nie wyrządzi to krzywdy. Był dojrzałym mężczyzną, a ona dawno straciła już dziewictwo.

William i Sara spędzili w magazynie trochę czasu, a wieczorem pojechali z powrotem do zamku, wciąż pod wrażeniem sukcesu, jakim była inauguracja Whitfield's. Tej nocy Sara usiadła na łóżku i szkicowała klejnoty, które zamierzała zamówić. Nie mogli liczyć wyłącznie na to, że zawsze będą znajdować wspaniałe, już istniejące klejnoty. Chciała uczestniczyć w aukcjach w Nowym Jorku i u Christie's w Londynie. Wiedziała też, że Włochy słyną z precyzji wykonywania wyrobów jubilerskich. Nagle okazało się, że ma do zrobienia tysiące rzeczy. We wszystkim zwracała się o poradę do Williama - miał taki dobry smak i umiejętność właściwej oceny.

Jesienią ich wysiłki wydały owoce. Sklep działał wyśmienicie, wykonano część projektów Sary, a Emanuelle twierdziła, że ludzie szaleją za nimi. Sara miała doskonałe oko, a William znał się na drogich kamieniach. Zakupów dokonywali ostrożnie, ona szukała najdoskonalszej roboty. Klejnoty wprost wyfruwaly ze sklepu, w październiku więc Sara przygotowała więcej projektów, mając nadzieję, że zrealizuje je do Bożego Narodzenia.

Emanuelle była w tym czasie mocno związana z Jeanem-Charlesem de Martinem, swym przyjacielem z kół rządowych, ale prasa ich jeszcze nie wyśledziła. Zachowywali szczególną dyskrecję ze względu na jego stanowisko, i zawsze spotykali się w jej mieszkaniu.

Sara była bardzo zapracowana. Ciągłe przyjeżdżali do Paryża, zawsze zatrzymując się w Ritzu; nie miała wolnej chwili, by się rozejrzeć za mieszkaniem. W okresie świątecznym poczuła się kompletnie wyczerpana. Sklep przynosił prawdziwą fortunę, William zaś podarował jej przepiękny pierścionek z rubinem, który należał do Mary Pickford. Na święta znowu wybrali się do Whitfield - wracając chcieli zabrać ze sobą Phillipa do Paryża, ale, ku ich rozczarowaniu, prosił, by mu pozwolono zostać w Whitfield.

- Co z nim zrobimy? - zapytała smutno Sara, kiedy wracali samolotem do domu. - Urodził się we Francji i tutaj wyrósł, a chce przebywać tylko w Anglii.

Był ich jedynym dzieckiem i straszliwy ból sprawiała jej świadomość, że go traci. Niezależnie od tego, jak bardzo była zajęta, zawsze znajdowała dla niego czas, ale Phillip wydawał się bardzo mało interesować rodzicami. Francja znaczyła dla niego tylko tyle, ile wiązała się z wspomnieniami o Niemcach i latach, które spędził bez ojca.

- Widocznie czuje, że w Whitfield są jego korzenie - powiedział William, by ją pocieszyć. - Wyrośnie z tego. Ma dopiero dziesięć lat, chce przebywać w towarzystwie rówieśników. Za kilka lat wróci i będzie szczęśliwy. Może studiować na Sorbonie i mieszkać w Paryżu.

Ale Phillip mówił, że wybiera się do Cambridge, tak jak jego ojciec; Sara czuła, że już go stracili. Myśl o tym przygnębiała ją jeszcze w Nowy Rok, kiedy wrócili do zamku - bardzo się wtedy przeziębila. Miesiąc wcześniej też była chora, czuła się strasznie zmęczona i wyczerpana po całej tej szaleńczej pracy, jaka była ich udziałem przed świętami.

- Wyglądasz okropnie - powiedział uprzejmie William, kiedy zeszła na dół w noworoczny poranek. Był już w kuchni, przygotowując kawę.

- Dziękuję - powiedziała w zamyśleniu, a potem zapytała, czy sądzi, że Phillip byłby szczęśliwy, gdyby kupili więcej koni.

- Przestań się o niego martwić, Saro. Dzieci muszą żyć własnym życiem, niezależnym od rodziców.

- On jest jeszcze małym chłopcem - odparła, a do oczu niespodziewanie napłynęły jej łzy. - I moim jedynym synem.

Zaczęła płakać na wspomnienie swojej małej dziewczynki, którą straciła podczas wojny, słodkiego dziecka, które tak kochała; syn najwyraźniej już jej nie potrzebował. Kiedy o tym myślała, miała wrażenie, że pęknie jej serce. Nie mogła się z tym pogodzić, że mieszka tak daleko. Szkoda, że nie ma więcej dzieci, ale od powrotu Williama z Niemiec nie zaszła już w ciążę. Lekarze utrzymywali, że jest to możliwe, ale jakoś nie wychodziło.

- Moje biedactwo - William objął ją czule. - Okropne, że ten chłopak wykazuje nadmierną niezależność.

Sam nigdy nie osiągnął z synem bliskiego kontaktu, choć bardzo się starał. Nie było to takie proste - wrócić z wojny, spotkać się z sześcioletnim dzieckiem i żeby natychmiast pojawił się związek uczuciowy. William wyczuwał, że już nigdy nie będą w zażyłych stosunkach. Phillip nigdy mu nie wybaczy. Obarczał ojca odpowiedzialnością za to, że poszedł na wojnę i nie został z dzieckiem, tak jak obwiniął Sarę za śmierć Lizzie. Wprawdzie od czasu wybuchu gniewu na pogrzebie nigdy o tym nie mówił wprost, ale William wyczuwał, że syn tak to odbiera; nigdy zresztą nie wspominał o tym Sarze.

Kazał żonie położyć się do łóżka, dał jej parującą zupę i gorącą herbatę; leżała i chlipała z powodu Phillipa, coś tam rysowała, a w końcu zdrzemnęła się. Taki widok zastał, gdy przyszedł na górę sprawdzić, co się z nią dzieje. Była chora i skrajnie wyczerpana. Ale kiedy zaziębienie zaatakowało oskrzela, wezwał lekarza, by Sarę zbadał. Zawsze troszczył się o żonę, nie mógł znieść, gdy chorowała, tak jakby obawiał się, że ją straci.

- To śmieszne. Czuję się dobrze - sprzeczała się, kiedy powiedział, że zadzwonił po doktora; kaszlała przy tym niemiłosiernie.

- Musi dać ci jakieś lekarstwo na kaszel, zanim nabawisz się zapalenia płuc - powiedział zdecydowanym tonem.

- Wiesz, że nie znoszę leków - mruknęła zrzędliwie. Ale doktor przyszedł i tak - bardzo miły emerytowany lekarz z sąsiedniej wsi. Odniósł się do niej bardzo sympatycznie, choć Sara była zdenerwowana jego zjawieniem się i powtarzała, że nie potrzebuje porady lekarza.

- Bien sur, madame... (Bien sur, madame (franc.) - oczywiście, proszę pani - przyp. tłum.) ale Monsieur le Duc... (Monsieur le Duc (franc.) - książę - przyp. tłum.) nie należy go martwić - powiedział dyplomatycznie, i Sara dała się ubłagać. William wyszedł z pokoju po kolejną filiżankę herbaty, a kiedy wrócił, jego żona nieco spokorniała.

- I co, czy będzie żyła? - William zwrócił się jowialnie do lekarza; starszy pan uśmiechnął się i poklepał Sarę po kolanie wstając, by się pożegnać.

- Z całą pewnością, i to bardzo długo, mam nadzieję. - Uśmiechnął się do niej i udawał groźnego. - Zostanie więc pani w łóżku, dopóki nie poczuje się lepiej, n'est-ce pas? (N'est-ce pas? (franc.) - nieprawdaż? - przyp. tłum.).

- Tak, proszę pana - odparła posłusznie, a William zaczął się zastanawiać, co spowodowało taką zmianę. Znikła nagle cała wojowniczość - Sara wyglądała na cichą i spokojną. Lekarz nie przepisał żadnych lekarstw, a powody tej decyzji wyjaśnił jej, gdy William wyszedł z pokoju; polecił jeść gorącą zupę i pić herbatę oraz robić to wszystko, co robiła dotychczas. Po jego wyjściu William zaczął się zastanawiać, że może lekarz jest w zbyt podeszłym wieku i trzeba będzie poszukać kogoś lepszego w tym zawodzie. W owych czasach był już wielki wybór leków,

zapobiegających zapaleniu płuc czy gruźlicy; nie był pewien, że sama zupa wystarczy. Brał nawet pod uwagę zabranie Sary do Paryża.

Gdy William wrócił na górę, Sara leżała w łóżku, wyglądając w zamyśleniu za okno. Podjechał na swym wózku i dotknął jej policzka. Gorączka opadła, pozostał tylko dojmujący kaszel, który wciąż go martwił.

- Jeśli do jutra ci się nie polepszy, zabiorę cię do Paryża - powiedział cicho. Była dla niego zbyt wielkim skarbem, by ryzykować jego utratę.

- Czuję się dobrze - odparła spokojnie z jakimś nieuchwytnym uśmiechem. - Czuję się doskonale... tylko chodzi o coś więcej.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale przez ostatnie cztery miesiące myślała tylko o świętach i Whitfield's, o klejnotach i o niczym więcej. A teraz...

- Co to wszystko znaczy? - Rysy twarzy Williama nagle się zaostrzyły; Sara z uśmiechem przewróciła się na plecy.

Potem usiadła na łóżku i pochyliła się do niego, delikatnie całując, mimo że była przeziębiona; nigdy nie kochała go tak bardzo, jak w tej chwili.

- Lekarz powiedział mi właśnie, że jestem w ciąży.

Przez moment wyraz jego twarzy nie zmieniał się, a po chwili spojrzał na nią zachwycony.

- Co ty mówisz? Teraz?

- Tak - rozpromieniła się i oparła na poduszkach. - Myślę, że to już około dwóch miesięcy; byłam taka zaabsorbowana sklepem, że o wszystkim zapomniałam.

- Dobry Boże! - Odchylił się ze szczęśliwym uśmiechem i wziął ją za rękę. - Jesteś zachwycająca!

- Wiesz, nie zrobiłam tego sama. Ty też nieraz mi trochę pomagasz.

- Och, kochanie... - Pochylił się znowu do niej, wiedząc doskonale, jak bardzo marzy o dziecku. On także bardzo tego chciał, ale oboje stracili już nadzieję, kiedy przez trzy lata nie zachodziła w ciążę.

- Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka - powiedział przymilnie, zdając sobie sprawę, że takie jest pragnienie Sary; nie dlatego, by zastąpić Lizzie, ale by stworzyć przeciwwagę dla Phillipa. Poza tym William nigdy nie widział swej córeczki, i bardzo chciał mieć dziewczynkę. Sara w skrytości ducha miała nadzieję na to samo - narodziny kolejnego dziecka mogą pomóc zdrowiu psychicznemu Phillipa. Tak bardzo kochał Lizzie i tak się zmienił na niekorzyść, odkąd ją stracili.

William dźwignął się z wózka i położył obok Sary.

- Och, najdroższa, jak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham - szepnęła i mocno przytuliła się do męża; odnosili wrażenie, że towarzyszy im szczególny rodzaj błogosławieństwa i doznawali osobliwych uczuć, myśląc o przyszłości.

Rozdział dziewiętnasty

Nie jestem pewna - powiedziała Sara marszcząc brwi; patrzyła wraz z Emanuelle na nowe klejnoty. Dostarczono je właśnie z tej samej pracowni, z której korzystał Chaumet; Sara nie była pewna, czy jej się podobają. - A co ty myślisz?

Emanuelle wzięła do ręki jedną z ciężkich bransolet. Miały różowozłoty kolor i były inkrustowane brylantami i rubinami.

- Myślę, że są bardzo wytworne i doskonale wykonane - stwierdziła w końcu. Sama wyglądała ostatnio bardzo stylowo - rude włosy związała w koński ogon i w czarnym chanelowskim kostiumie prezentowała się dystyngowanie. Obie siedziały w biurze Sary.

- Będą także bardzo drogie - powiedziała rozbijając szczerze Sara. Martwiła się, że zbyt wysoko wycenia sprzedawane przedmioty, ale dobra robota narzucała horrendalne ceny. Nie zgadzała się jednak na ułatwienie sobie życia; tolerowanie kiepskiego wykonania czy gorszych kamieni. W Whitfield, s można było kupić jedynie najlepszy towar - takie było jej credo.

- Nie sądzę, by ktoś się tym przejął - powiedziała Emanuelle z uśmiechem, przemierzając pokój, by obejrzeć bransoletę w lustrze. - Ludzie bez protestu zapłacą za to, co się im tutaj oferuje. Podoba się im jakość, wzór i rysunek. Choć lubią starą biżuterię, akceptują także nasze wyroby, madame.

Nadal tak nazywała Sarę, mimo upływu jedenastu lat, kiedy to Emanuelle przyszła do zamku pomóc przy narodzinach Phillipa.

- Może masz rację - zdecydowała ostatecznie Sara. - To piękne wyroby. Powiem mu, że je weźmiemy.

- Dobrze - Emanuelle była zadowolona. Spędziły nad tą dostawą całe przedpołudnie. Sara przyjechała do Paryża urodzić tu dziecko. Kończył się czerwiec, dziecko miało przyjść na świat za dwa tygodnie i tym razem William postanowił, że nie mogą podjąć żadnego ryzyka. Już przed kilkoma miesiącami zdecydował, że jeden i ostatni raz wystąpił w roli położnej i więcej Sara go na to nie nabierze, zwłaszcza w kontekście drugiego równie trudnego porodu.

- Chcę, aby dziecko urodziło się tutaj - powtarzała przed wyjazdem z zamku; William nawet o tym nie chciał słuchać.

Przyjechali do Paryża i zatrzymali się w mieszkaniu, które ostatecznie kupili tej wiosny. Składało się z trzech pięknych sypialni, eleganckiego salonu, gabinetu, ładnej jadalni oraz kuchni i dwóch służbówek. Sara wygospodarowała jakoś czas, by je sama urządzić; z sypialni mieli piękny widok na ogrody Tuileries i płynącą w oddali Sekwanę.

Mieszkanie było usytuowane blisko Whitfield's i kilku ulubionych sklepów Sary. Tym razem towarzyszył rodzicom Phillip, wielce niezadowolony, że nie został w zamku albo gdziekolwiek indziej, przede wszystkim w Whitfield. Twierdził, że pobyt w Paryżu jest nudny, Sara wynajęła mu więc opiekuna - młodego człowieka, który zabierał go do Luwru, na wieżę Eiffela, do zoo, gdzie ona sama nie mogła się z nim wybrać. Musiała dać za wygraną - od dwóch tygodni dziecko zdawało się brać górę nad całą jej egzystencją.

Phillip martwił się także i tym. Rodzice powiedzieli mu o dziecku podczas wiosennych ferii - spojrzał na nich z konsternacją i przestachem. Potem Sara słyszała, jak powiedział Emanuelle, że uważa to za odrażające.

On i Emanuelle stali się sobie bliscy; jedyną rzeczą, jaką Phillip lubił w Paryżu, było odwiedzanie jej w sklepie i oglądanie biżuterii. Cenił piękne klejnoty. Tak stało się i tego popołudnia, kiedy Sara zostawiła go pod opieką Emanuelle, by móc zrobić pewne sprawunki. Emanuelle starała się go przekonać do obecności nowego dziecka w rodzinie, ale odrzekł, że uważa bachory za głupie. Elizabeth nie była taka - powiedział ze smutkiem - ale to był wyjątek.

- Ty nie byłeś głupi - przypomniała delikatnie Emanuelle, gdy w jej biurze jedli magdalenki i popijali czekoladę po wyjściu Sary na zakupy; było to tuż przed jej wyjazdem do kliniki. - Byłeś cudownym chłopczykiem - dodała łagodnie, starając się nadać swoim słowom odcień czułości. Wydawał się surowy i nieugięty, a jednocześnie taki kruchy. - Twoja siostra też była fantastyczna.

Gdy wspomniała o Lizzie, zmienił się na twarzy; Emanuelle postanowiła poruszyć inny temat.

- Teraz też może się urodzić mała dziewczynka.

- Nie znoszę dziewczynek... - powiedział i postanowił to nieco sprecyzować. - Oczywiście z wyjątkiem ciebie.

Emanuelle milczała zaskoczona.

- Jak myślisz, czy mogłabyś kiedyś mnie poślubić? Oczywiście jeśli wcześniej nie wyjdiesz za mąż.

Wiedział, że Emanuelle jest już całkiem dorosła. Miała dwadzieścia osiem lat i była jego zdaniem najpiękniejszą kobietą na świecie, ładniejszą nawet od matki. Matka też była bardzo przystojna, dopóki nie przytyła z powodu tego durnego dzieciaka. Emanuelle powiedziała mu, że jest za duży, by rozumować tymi kategoriami i że nie powinien być zazdrosny o dziecko, a raczej cieszyć się, że przyjdzie na świat - będzie starszym braciszkiem. Ale jakoś go nie przekonała i wcale się nie cieszył. Emanuelle sądziła nawet, że ledwie kontroluje swoją wściekłość.

- Bardzo bym chciała wyjść za ciebie za mąż, Phillipie. Czy to oznacza, że jesteśmy zaręczeni? - puściła wodze fantazji i zaproponowała następną magdalenkę.

- Oczywiście. Ale nie mogę ci kupić pierścionka. Ojciec nie pozwala mi mieć pieniędzy - skwitował jej sugestię.

- To nie jest przeszkoda. Pożyczę pierścioneł ze sklepu. Skinął głową i spojrział na klejnoty leżące na biurku, po czym zaskoczył ją ponownie swoim oświadczeniem; jego matka, gdyby to słyszała, zdziwiłaby się jeszcze bardziej.

- Chciałbym tu kiedyś pracować z tobą, Emanuelle... kiedy się pobierzemy.

- Naprawdę? - Wyglądała na rozbawioną i trochę się z nim droczyła. - Myślałam, że wolisz mieszkać w Anglii.

A może uznał, że Paryż nie jest w końcu taki zły?

- W Londynie można by otworzyć drugi sklep. To by mi się podobało.

- Musimy powiedzieć o tym kiedyś twoim rodzicom - powiedziała Emanuelle odstawiając filiżankę. Do biura weszła właśnie Sara, potężna, ale wciąż bardzo piękna, w modnej sukni od Diora, którą uszyto na jej specjalne zamówienie.

- O czym macie mi powiedzieć? - zapytała siadając; jej wygląd nie zachwycał Emanuelle, która miała nadzieję, nigdy nie mieć dzieci i czyniła wszystko, co możliwe, aby do tego nie dopuścić. Widziała dosyć porodów Sary, aby zdawać sobie sprawę, że dzieci nie są tym, czego ona chciałaby najbardziej.

- Phillip chce otworzyć w Londynie nowy sklep Whitfield's - powiedziała dumnie Emanuelle, instynktownie wyczuwając, że chłopiec woli, by nie wspominała matce o ich zaręczynach.

- To interesujący pomysł - Sara uśmiechnęła się do Phillipa. - Jestem pewna, że twój ojciec będzie zadowolony. Ale nie wiem, czy ja to przeżyję.

Rok, który upłynął od momentu otwarcia sklepu, był ogromnie wyczerpujący.

- Będziemy musieli poczekać, aż Phillip dorośnie na tyle, by mógł go poprowadzić.

- I ja to zrobię - powiedział patrząc na matkę z uporem; Sara dobrze знаła to spojrzenie. Zaproponowała mu przejażdżkę do Lasku Bulońskiego, a on niechętnie pożegnał się z Emanuelle, całując ją w oba policzki i ściskając rękę, by przypomnieć o zaręczynach.

Odbyli potem przyjemny spacer po parku. Phillip był bardziej rozmowny niż zazwyczaj, mówił o Emanuelle, o sklepie, o Eton i Whitfield. Nie niecierpliwił go powolny, ociężały chód matki. Czuł dla niej współczucie - wyglądała teraz tak nieporadnie.

Gdy wrócili do mieszkania, czekał na nich William; tego wieczoru zjedli kolację w Brasserie Lippe. - Phillip zawsze lubił to miejsce. Przez następne dwa tygodnie Sara poświęcała mu dużo czasu, zdając sobie sprawę, że nie będzie w stanie tego zrobić, kiedy urodzi się dziecko. Planowali powrót do zamku zaraz po porodzie; lekarze twierdzili, że Sara będzie mogła jechać.

Chcieli zatrzymać ją w klinice na tydzień przed przewidywanym porodem, ale zdecydowanie odmówiła, tłumacząc Williamowi, że w Stanach Zjednoczonych tego się nie praktykuje. We Francji kobiety wybierały się do prywatnej kliniki na tydzień lub dwa przed urodzeniem dziecka, by czekać i pozwolić dbać o siebie, a po urodzeniu zostawały na kolejne dwa tygodnie. Sara nie zamierzała siedzieć w klinice, nawet najbardziej wytwornej, i poddawać się słodkiemu nieróbstwu. Była człowiekiem czynu.

Codziennie wstępowali do sklepu - Phillip był ogromnie podekscytowany, widząc nową bransoletkę ze szmaragdami; innym razem Emanuelle powiedziała im, że sprzedała dwa piękne pierścionki. Najbardziej zadziwiające było to, że sprzedała je swemu kochankowi, Jeanowi-Charlesowi de Martinowi. Kupił je dla niej, ale bezlitośnie żartował, twierdząc, że przeznaczył je dla żony. Kiedy się na niego rozgniewała, wyjął pierścionek z pudełka i założył na jej palec. Gdy Sara zobaczyła pierścionek na palcu Emanuelle, uniosła brwi ze zdziwienia.

- Czy to oznacza coś poważnego? - zapytała Sara, wiedząc, ile biżuterii kupował dla swej żony i przyjaciółek u innych jubilerów.

- Tylko tyle, że mam nowy piękny pierścionek - powiedziała realistycznie Emanuelle. Nie miała złudzeń, za to miała kilku bardzo interesujących klientów. Wielu klientów Whitfield's robiło podarunki żonom, a także kochankom. Prowadzili pogmatwane życie, ale każdy z nich dochodził do wniosku, że Emanuelle Bourgois jest wzorem dyskrecji.

Późnym popołudniem Sara i William wrócili do domu, a wieczorem Phillip poszedł do kina ze swym opiekunem, sympatycznym młodym człowiekiem, studentem Sorbony, mówiącym płynnie po angielsku i francusku; szczęśliwie się złożyło, że Phillip go zaakceptował i polubił.

W lipcu w Paryżu było gorąco i parno. Przebywali tam od dwóch tygodni i Sara niecierpliwiła się, chcąc wracać do zamku. Tak pięknie tam było o tej porze roku. Wstyd tracić lato w Paryżu.

- Nie powiedziałbym, że je tracimy - zachnął się z uśmiechem William, obserwując Sarę, która wyglądała jak wyciągnięty na brzeg wieloryb, leżąc na łóżku w obszernej różowej koszuli nocnej z jedwabiu.

- Czy nie za gorąco ci w tym? - zapytał; już sam jej widok powodował, że czuł się nieswojo.
- Dlaczego tego nie zdejmiesz?

- Nie chcę, abyś poczuł wstręt, widząc mnie w tym stanie.

Powoli podjechał na wózku do jej łóżka.

- Nic, co wiąże się z tobą, nigdy nie wzbudziło we mnie wstrętu - powiedział z nutą nostalgii, myśląc o tym, że nie będzie go przy niej w czasie porodu. Miała teraz do dyspozycji

klinikę i modnego lekarza, a William czuł się w pewnym stopniu wyeliminowany. Sam chciał, aby tam się znalazła, ponieważ oznaczało to pewność i bezpieczeństwo.

Tej nocy Sara zapadła w bardzo głęboki sen; William miał niespokojną noc z powodu upału. Obudziła go o czwartej nad ranem, kiedy zaczęły się bóle. Ubrał się starannie i zawołał pokojówkę, by pomogła Sarze, po czym odwiózł ją do Nevilly, do kliniki, którą uprzednio wybrali. Zanim wyjechali, bóle nasiliły się - podczas niedługiej jazdy bentleyem prawie wcale się nie odzywała. Na miejscu zaraz zabrano ją od Williama. Czekał zdenerwowany do południa, obawiając się, że sprawy mogą się potoczyć jak za pierwszym razem. Obiecano dać jej narkozę, zapewniono, że wszystko odbędzie się łatwo i nowocześnie, tak łatwo, jak tylko możliwe w przypadku kobiety, która ma urodzić dziecko ważące dziewięć funtów.

W końcu o wpół do drugiej wyszedł do niego wymuskany lekarz, uśmiechając się szeroko.

- Ma pan przystojnego syna, monsieur.

- A moja żona? - spytał niespokojnie William.

- Bardzo się napracowała - przez chwilę doktor wyglądał poważnie. - Ale wszystko poszło doskonale. Teraz daliśmy jej coś na sen. Może ją pan za chwilę zobaczyć.

Sara leżała w białej pościeli, bardzo blada i oszołomiona; wydawało się, że nie ma pojęcia, kim jest i dlaczego się tu znalazła. Powtarzała Williamowi, że muszą iść dziś po południu do sklepu i że nie wolno zapomnieć napisać do Phillipa do Eton.

- Wiem, moja kochana... wszystko w porządku.

Siedział cicho przy niej przez cztery godziny, prawie do piątej; wtedy poruszyła się, spojrzała na niego i ze zdziwieniem rozejrzała po pokoju. William przysunął się bliżej i pocałował ją w policzek, wspominając o dziecku. Nie widział go jeszcze, ale wszystkie pielęgniarki twierdziły, że to śliczny chłopczyk. Ważył dziewięć funtów i czternaście uncji, był prawie tak wielki jak Phillip, a William po wyrazie twarzy Sary mógł sobie wyobrazić, że poród nie był łatwy.

- Gdzie on jest? - zapytała rozglądając się po pokoju.

- Pielęgniarka wkrótce go przyniesie. Chcą, abyś teraz spała. - Ponownie pocałował ją w policzek. - Czy bardzo cię bolało?

- To było niezwykle... - Spojrzała rozmarzona, trzymając go za rękę i ciągle starając się skupić. - Ciągłe dawali mi narkozę, po której miałam mdłości... ten środek spowodował zamroczenie, wszystko zdawało się takie odległe; nadal czułam ból, ale nie mogłam im tego powiedzieć.

- Może dlatego im się to podobało.

W każdym razie oboje byli bezpieczni, nie stało się nic strasznego.

- Bardziej mi się podobało, kiedy ty to robiłeś - powiedziała ze smutkiem; to wszystko było takie dziwne, obce i bezosobowe, nawet nie pokazano jej dziecka.

- Dziękuję za uznanie, ale obawiam się, że nie jestem wybitnym lekarzem.

Potem przyniesiono dziecko i Sara nagle całkiem zapomniała o całym bólu. Piękny, tłuściutki chłopczyk miał ciemne włoski i duże niebieskie oczy - był bardzo podobny do Williama. Sara wzięła go na ręce i rozplakała się. Był wspaniały. Chciała dziewczynkę, ale nie miała nic przeciwko temu, że urodził się chłopiec.

Liczyło się tylko to, że jest cały i zdrowy. Postanowili dać mu na imię Julian, bo tak się nazywał daleki kuzyn Williama. Sara nalegała, aby drugie imię miał po ojcu; William powiedział, że to głupie, ale w końcu zgodził się z niechęcią. Sara rozplakała się, kiedy zabierano jej dziecko. Nie rozumiała, dlaczego to robią, miała przecież własną pielęgniarkę i samodzielny pokój, a nawet salonik i łazienkę. Powiedziano, że pozostawianie przy niej dziecka byłoby niezgodne z higieną - miało przebywać w sali dla niemowląt, w warunkach pełnej sterylności. Kiedy zabierano Juliana, Sara chlipnęła i spojrzała na Williama z wyrzutem. Poczul się nagle winny, że ją tu umieścił, i szybko obiecał, że wnet pojedą do domu.

Następnego dnia William przyprowadził z wizytą Phillipa i Emanuelle, która zobaczyła dziecko przez szybę i obwieściła wszem wobec, że Julian jest piękny. W klinice nie pozwalano, by goście odwiedzali dzieci - Sara jeszcze bardziej znenawidziła to miejsce. Phillip popatrzył na małego braciszka przez szybę, wzdrygnął się i odwrócił - wyraźnie nie zrobiło to na nim wrażenia; Sara była rozczarowana. Wyglądało na to, że jest zły o to dziecko; zachowywał się niezbyt uprzejmie wobec matki.

- Czy nie sądzisz, że jest słodki? - zapytała go Sara z nadzieją.

- Jest w porządku. Strasznie mały - odrzekł lekceważąco Phillip. Jego ojciec zaśmiał się ze smutkiem, wiedząc, przez co przeszła Sara.

- Nie dla nas, młody człowieku. Dziewięć funtów i czternaście uncji to potwór!

Ale w dziecku nie było nic potwornego; kiedy przyniesiono je Sarze do karmienia, stwierdziła, że jest bardzo milutkie. Najadł się i leżał przytulony do niej. W tym momencie - jakby za naciśnięciem dzwonka - zjawiała się pielęgniarka, by odebrać niemowlę.

Ósmego dnia Sara stała przed swym pokojem z pałającymi gniewem oczyma i czekała na Williama, który pojawił się z bukietem kwiatów.

- Jeśli nie zabierzesz mnie stąd w ciągu godziny, wezmę Juliana i wyjdę w nocnej koszuli. Czuję się znakomicie, nie jestem chora. A oni nie dopuszczają mnie do mojego dziecka.

- Zgoda, kochanie - odparł William wiedząc, że musiało do tego dojść. - Jutro, obiecuję.

Następnego dnia zabrał ich oboje do paryskiego mieszkania, a po dwóch dniach wrócili do zamku; Sara trzymała Juliana w ramionach, a on spał smacznie, ogrzewany matczynym ciepłem.

Przed swymi urodzinami, przypadającymi w sierpniu, Sara wróciła do swego dawnego wyglądu; była znowu szczupła, silna i oczarowana dzieckiem. Korzystali z letniego wypoczynku, zamknęli sklep na miesiąc. Emanuelle pływała jachtem na południu Francji, Sara zaś nie musiała myśleć o interesach. We wrześniu, gdy Phillip wrócił do szkoły, pojechali na kilka dni do Paryża; Sara wzięła ze sobą dziecko i taszczyła je wszędzie; czasami spokojnie spał w koszyku w biurze matki.

- To taki grzeczny chłopczyk - mówili o nim wszyscy; zawsze się uśmiechał albo gaworzył. W Wigilię Bożego Narodzenia już siedział, a wszyscy, z wyjątkiem Phillipa, byli w nim zakochani. Ile razy widział Juliana, tyle razy miał zagniewaną minę i wygłaszał jakiś niemiły komentarz. Sara była tym rozczarowana, bo żywiła nadzieję, że Phillip polubi młodszego braciszka. Ale braterskie uczucie, na które liczyła, nigdy nie przyszło - Phillip pozostawał w oddaleniu, na marginesie uczuciowego zaangażowania.

- On jest zazdrosny - powiedział William, jak zawsze skłonny do realizmu, wprost przeciwnie do Sary, która niełatwo godziła się z gorzką rzeczywistością. - O to właśnie chodzi.

- Ale to nie w porządku. To kochane dziecko nie zasługuje na takie szykany. Wszyscy je kochają z wyjątkiem Phillipa.

- Jeśli Julian przez resztę życia będzie miał do czynienia z jedną tylko osobą, która go nie polubi, będzie bardzo szczęśliwym człowiekiem - stwierdził realistycznie William.

- Nie wtedy, kiedy tą osobą będzie jego brat.

- Czasem życie układa się przekornie. Nikt nie powiedział, że bracia muszą być przyjaciółmi, przykładem Kain i Abel.

- Ja tego nie rozumiem. Phillip wprost szalał za Lizzie - Sara westchnęła - a Jane i ja przepadałyśmy za sobą, kiedy byłyśmy młode.

I to się nie zmieniło, choć Sara teraz nie widywała siostry. Jane ponownie wyszła za mąż, przeprowadziła się do Chicago, potem do Los Angeles; nigdy nie przyjeżdżała z mężem do Europy, a Sara nie jeździła do Stanów, tym bardziej do odległej Kalifornii. Trudno uwierzyć, że Jane jest teraz żoną jakiegoś zupełnie obcego mężczyzny. To był właśnie jeden z tych przypadków losowych - były sobie tak bliskie, a w pewnym momencie ich drogi rozeszły się. Często do siebie pisywały, Sara nadal kochała Jane i niezmiennie zapraszała do Francji.

Niezależnie od tego, co myśleli o tym rodzice, Phillip nigdy nie żywił żadnych ciepłych uczuć do swego malutkiego brata. Gdy Sara próbowała z nim o tym pomówić, zbywał ją, a kiedy nalegała, wybuchał:

- Zrozum, nie potrzebuję innego dziecka w moim życiu. Jedno już było.

Wyglądało na to, że nie chce więcej próbować, nie jest w stanie otworzyć się na ryzyko, stratę i troskliwość. Może za bardzo kochał Lizzie, stracił ją i w rezultacie zdecydował, że nigdy nie pokocha Juliana. Było to niewesołe dla nich obu.

William i Sara zawieźli Juliana do Whitfield wkrótce po jego urodzeniu, a teraz wspólnie spędzali święta. Księżna wdowa była nim oczarowana. Twierdziła, że nigdy nie widziała bardziej szczęśliwego dziecka. Wydawało się, jakby promieniował słonecznym światłem; każdy, kto na niego patrzył, musiał się uśmiechać.

Spędzili całą rodziną nadzwyczaj przyjemne święta w Whitfield. Matka Williama miała dziewięćdziesiąt sześć lat i poruszała się w wózku, ale jak zwykle nie opuszczało jej znakomite samopoczucie. Wyjątkowo przystępna, tryskająca humorem była też najmiłszą kobietą, jaką Sara kiedykolwiek знаła. Nadal do szaleństwa kochała swego syna. William w tym roku ofiarował matce na gwiazdkę piękną bransoletkę z brylantami; mruknęła, że jest o wiele za stara na tak piękny klejnot, ale nie zdjęła go z ręki przez cały czas. Kiedy wyjeżdżali z Whitfield po Nowym Roku, matka mocno tuliła do siebie Williama powtarzając mu, jakim był zawsze dobrym synem i ile szczęścia od niego doznała.

- Jak sądzisz, co mogły oznaczać te słowa? - zapytał ze łzami w oczach William. - Zawsze była dla mnie nieskończenie dobra - powiedział odwracając się, zawstydzony swymi łzami. Matka naprawdę wzruszyła go. Pocałowała Juliana w pulchne policzki, uściskała Sarę, podziękowała za wszystkie wspaniałe prezenty z Paryża. Za dwa tygodnie umarła cicho podczas snu; udała się na spotkanie ze swym mężem i Stwórcą, spędziwszy całe szczęśliwe życie w Whitfield.

William był bardzo wstrząśnięty tą stratą, ale nawet on musiał przyznać, że miała bardzo udane i długie życie. W tym roku skończyłaby dziewięćdziesiąt siedem lat i zawsze cieszyła się dobrym zdrowiem. Mieli za co dziękować Bogu, żegnając ją na cmentarzu w Whitfield. Na uroczystości pogrzebowe przybyli król Jerzy i królowa Elżbieta, krewni i przyjaciele zmarłej oraz wszyscy, którzy ją znali.

Phillip przeżywał odejście babci wyjątkowo emocjonalnie.

- Czy to znaczy, że już nie będę mógł tam pojechać? - zapytał ze łzami w oczach.

- Na razie nie - powiedział William ze smutkiem. - Whitfield zawsze będzie na ciebie czekać, a pewnego dnia będzie twoje. Postaramy się spędzać tam jakiś czas każdego lata. Ale nie będziesz mógł jeździć na wakacje i weekendy, jak za życia babci. Nie byłoby właściwe, gdybyś pozostawał sam ze służbą. Możesz przyjechać do La Marolle albo do Paryża, lub nawet zatrzymać się u kuzynów.

- To mnie nie interesuje - odpowiedział z rozdrażnieniem Phillip - chcę zostać tutaj.

William nie widział jednak takiej możliwości. Phillip będzie mógł tam przyjeżdżać na własną rękę, kiedy zacznie studia w Cambridge. Ale do tego czasu upłynie jeszcze siedem lat, a na razie musi się kontentować okazjonalnymi wizytami w lecie.

Wiosną stało się oczywiste, że William nie będzie mógł spędzać tak wiele czasu z dala od Whitfield, jak sobie wyobrażał. Nie było tam nikogo, kto przejąłby bieżące sprawy i podejmował natychmiastowe decyzje. William był zaskoczony zorientowawszy się, jak wieloma sprawami zajmowała się stara księżna; teraz, kiedy jej zabrakło, zarządzanie majątkiem stało się bardzo uciążliwe.

- Nienawidzę tego - przyznał się Sarze pewnego wieczoru, czytając wielostronicowe skargi zarządców posiadłości. - Ale sądzę, że naprawdę muszę spędzać tam więcej czasu. Czy bardzo będziesz się gniewać?

- Cóż znowu? - uśmiechnęła się. - Julian ma osiem miesięcy i może nam towarzyszyć. - Emanuelle doskonale kieruje sklepem.

Sara zatrudniła jeszcze dwie dziewczyny - łącznie miała teraz cztery pracownice i interes rozwijał się znakomicie.

- Nie mam nic przeciwko temu, by spędzić trochę czasu w Londynie. - Sara zawsze lubiła to miasto. Phillip mógłby przyjeżdżać do Whitfield na weekendy, co sprawiłoby mu niewątpliwą przyjemność.

Spędzili tam cały kwiecień, ale w tym czasie pozwolili sobie na krótką wycieczkę do Cap d'Antibes podczas Wielkanocy. Zjedli tam kolację w towarzystwie księżnej i księcia Windsoru; Wallis wspomniała, że właśnie kupiła kilka ładnych klejnotów w sklepie Sary w Paryżu. Była pod wrażeniem arcyzmu wyrobów, jakimi dysponowali Whitfieldowie, zwłaszcza zainteresowały ją wykonane modele według najnowszych projektów. Whitfield's był na ustach całego Londynu.

- Dlaczego nie otworzyć tutaj drugiego sklepu? - zapytał William pewnego wieczora, gdy wracali z przyjęcia, na którym trzy panie dosłownie zasypywały Sarę pytaniami.

- W Londynie? Tak szybko?

Sklep w Paryżu otworzył swe podwoje zaledwie przed dwoma laty; perspektywa rozszerzenia działalności niepokoiła ją trochę, nie chciała też, by ten fakt zaważył na stylu jej życia. Nie chciała być zmuszona do zbyt długiego pobytu w Londynie. Dobrze, kiedy przebywa tu z mężem, ale zupełnie czym innym byłaby konieczność stałego podróżowania przez kanał La Manche, tam i z powrotem. Zamierzała teraz jak najwięcej przebywać z dzieckiem, zanim urośnie i matka przestanie mu być potrzebna, tak jak Phillipowi. Życie i doświadczenia nauczyły ją poczucia ulotności takich chwil.

- Powinnaś znaleźć kogoś, kto go perfekcyjnie poprowadzi. Prawdę mówiąc - William miał zamyślony wyraz twarzy, jakby usiłował wydobyć z pamięci jakieś odległe wspomnienia - był taki znakomity człowiek u Garrarda. Bardzo dyskretny, o szerokich horyzontach; jest młody, ale także trochę staroświecki, ma doskonale maniery i szacunek dla tradycji, za czym przepadają Anglicy.

- Dlaczego sądzisz, że będzie chciał odejść z Garrard's? To najbardziej prestiżowa z tutejszych firm jubilerskich. Mógłby być zaszokowany nowym miejscem, takim jak Whitfield's.

- Zawsze miałem wrażenie, że jest trochę nie doceniany, jakby zapomniany, ale to bardzo dobry pracownik. Wpadnę tam w przyszłym tygodniu i zobaczę, czy uda mi się z nim spotkać. Jeśli zechcesz, możemy umówić się z nim na lunch.

Sara uśmiechnęła się do niego - znowu porywają się na niesłychane przedsięwzięcie.

- Zawsze usiłujesz wpakować mnie w kłopoty, zdajesz sobie z tego sprawę?

Tak tylko się droczyła z Williamem, w gruncie rzeczy uwielbiała sposób, w jaki ją zachęcał i pomagał realizować to, czego naprawdę pragnęła. Bez niego nigdy nie zdołałaby tego osiągnąć.

Zgodnie z obietnicą William udał się następnego popołudnia do Garrarda i kupił Sarze przepiękny staroświecki pierścionek z brylantami. Przy okazji spotkał człowieka, którego rekomendował wczoraj Sarze. Nazywał się Nigel Holbrook. Umówili się z nim w następnym wtorek w południe na lunch w Savoy Grill.

Gdy weszli do restauracji, Sara wiedziała z wcześniejszego opisu Williama, jak wygląda pan Holbrook. Wysoki, szczupły, miał bladą, interesującą twarz, siwiejące blond włosy i mały, przystrzyżony wąsik. Nosił dobrze skrojony garnitur w drobne prążki i wyglądał na bankiera albo prawnika. Było w nim coś bardzo eleganckiego, dystyngowanego i dyskretnego; kiedy William i Sara powiedzieli mu, o co chodzi, zachował się z najwyższą rezerwą. Powiedział, że pracuje w Garrard's od siedemnastu lat - zaczął, gdy miał dwadzieścia dwa lata - i trudno byłoby mu myśleć o opuszczeniu firmy; przyznał jednak, że perspektywa tak niezwykłego przedsięwzięcia bardzo go zaintrygowała.

- Szczególnie - dodał cicho - w kontekście renomy sklepu państwa w Paryżu. - Widziałem niektóre z klejnotów Waszej Księżęcej Wysokości - zwrócił się do Sary. - Są one rzeczywiście bardzo piękne. Francuzi niekiedy potrafią - zawahał się, a po chwili mówił dalej - robić tandetę... jeśli się im na to pozwoli.

Sara roześmiała się, słysząc tak szowinistyczną opinię, ale rozumiała, o co mu chodzi. Gdyby nie pilnowała warsztatów pracujących na jej potrzeby, wykonawcy poszliby na łatwiznę, ale ona po prostu się na to nie godziła. Słowa Holbrooka sprawiły jej przyjemność - z pewnością zasługiwali na tak dobre imię.

- Zamierzamy pozostać tu przez dłuższy czas. Chcemy załatwić wszystko, jak należy, panie Holbrook.

Ich rozmówca był młodszym synem brytyjskiego generała, dorastał w Indiach i Chinach. Urodził się w Singapurze i już jako chłopiec zachwycił się indyjską biżuterią. W młodości zajmował się przez krótki czas diamentami w Południowej Afryce, doskonale znał swój zawód i miał ogromną praktykę. Sara całkowicie zgodziła się z Williamem, że właśnie taki człowiek jest im niezbędny do sklepu w Londynie. Panowała tutaj zupełnie inna atmosfera - Sara wyczuwała, że tu chodzi o coś więcej - należy prezentować się z większą gracją i trochę bardziej przyziemnie; pożądany będzie dystyngowany sposób bycia, którego wcielenie prezentował Nigel Holbrook. Poprosili, aby dał im znać o swojej decyzji, a kiedy po tygodniu jeszcze się nie odezwał, Sara była wyraźnie rozczarowana.

- Dajmy mu czas. Może nie dzwonić nawet miesiąc. Ale bądź pewna, że zabiliśmy mu ćwieka w głowę.

Przedstawili mu tak atrakcyjną ofertę, że trudno uwierzyć, aby nie dał się skusić, pomijając nawet niezwyklej lojalność wobec firmy Garrard. Gdyby odmówił, William byłby doprawdy zdumiony jego wiernością wobec obecnych pracodawców. Holbrook nie mógłby tam najpewniej dostać płacy w wysokości nawet zbliżonej do zaproponowanej przez Whitfieldów.

Zatelefonował w przeddzień ich wyjazdu. Sara niecierpliwie oczekiwała na zakończenie rozmowy. William odłożył słuchawkę z uśmiechem.

- Przyjmuje propozycję - oświadczył. - Chce złożyć wypowiedzenie u Garrarda z dwumiesięcznym wyprzedzeniem, co jest z jego strony cholerną uprzejmością, a potem należy do ciebie.

Kiedy zamierzasz otworzyć sklep?

- Dobry Boże... Jeszcze nawet o tym nie myślałam. Nie wiem... w końcu roku, na Boże Narodzenie? Czy sądzisz, że naprawdę powinniśmy to zrobić?

- Oczywiście, że powinnaś - rozszerzył usta w pełnym zaufania uśmiechu. - I tak muszę tu przyjechać za kilka tygodni, wtedy możemy rozejrzeć się za miejscem i porozmawiać z architektem. Nawet jedno znane nazwisko przychodzi mi do głowy.

- A ja lepiej rozejrzę się za kolejnymi rarytasami.

Pieniądze zarobione przez sklep w Paryżu Sara wykorzystywała na zakup nowych klejnotów i zamawianie nowych wzorów. Teraz jednak potrzebowała większego kapitału i postanowiła wykorzystać sumę pozostałą po sprzedaży domu rodziców na Long Island. Jeśli w Londynie firma będzie prosperowała równie dobrze jak w Paryżu, szybko zarobią następne pieniądze.

Wtedy William powiedział coś, co jej samej nie przyszło do głowy.

- Wygląda na to, że Phillip ma swój sklep.

- To prawda. Czy sądzisz, że on będzie dążył do urzeczywistnienia swych planów?

- To nie jest wykluczone.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że wejdzie do naszego biznesu. Jest taki niezależny.

A także taki zimny, taki odległy... i gniewa się o Juliana.

- Możesz się poczuć zaskoczona pewnego dnia. Nigdy nie wiadomo, w jakiej sytuacji postawią nas dzieci. Czy ktoś pomyślałby, że zostaniesz właścicielką firmy jubilerskiej? -
Roześmiał się, a ona odpowiedziała pocałunkiem. Nazajutrz wrócili do Paryża.

W ciągu następnych miesięcy Nigel Holbrook kilka razy przylatywał do Paryża, by spotkać się z nimi, porozmawiać z Emanuelle i obejrzeć paryskie przedsięwzięcie Whitfieldów. Mówiono o przeprowadzce do nowego lokalu. Choć placówka rozwijała się niezwykle dobrze, Sara nie chciała nadużywać swego szczęścia, zwłaszcza teraz, kiedy otwierali filię w Londynie.

Nigel był wprost oszołomiony działalnością firmy w Paryżu. Polubił nawet Emanuelle, która nie potrzebowała wiele czasu, by odgadnąć, że to nie kobiety są jego prawdziwą namiętnością. Prawdę mówiąc sądziła, że nie interesują go w ogóle, ale podziwiała jego znakomity gust, wspaniałe wyczucie biznesu i doskonałe maniery. Przez cały ten czas nie traciła okazji i starała wnieść się na wyższy poziom, nabyć większej oglądy; szczególnie imponowała jej spokojna elegancja Nigela i jego niewiarygodnie wysoka kultura osobista. Gdy przyjeżdżał do Paryża, zabierał Emanuelle na kolację; zapraszała go do swoich przyjaciół, nie wyłączając pewnego znanego projektanta, który stał się bardzo ważną osobą w życiu Nigela. Ale przeważnie koncentrowali się na sprawach zawodowych.

W Londynie wynaleźli niewielki sklep na New Bond Street, a architekt Williama przedstawił niezwykle ciekawy projekt. Wystrój miał się koncentrować na granatowym aksamicie i białym marmurze. Otwarcie wyznaczono na pierwszego grudnia i wszyscy musieli pracować jak diabli, by dotrzymać tego terminu. Do pomocy przyjechała z Paryża Emanuelle, zostawiając najlepszą z dziewcząt jako swoją zastępczynię. Magazyn przy Faubourg-St. Honore już zapracował na swą markę, teraz praca szła zwykłym trybem. Ich nowym dzieckiem był sklep londyński.

Ostatni tydzień przed otwarciem cała ekipa pracowała do północy, układając marmury, podłączając światło, przytwierdzając aksamit. Wyglądało to niewiarygodnie; Sara nigdy w życiu nie była taka zmęczona, ale też nigdy nie miała tak doskonałej zabawy. Przywiozła ze sobą do Londynu Juliana i wraz z jego nianią zatrzymali się znowu w Claridge's. Byli zanadto zmęczeni, aby nocą pokonywać daleką drogę do Whitfield.

Sara i William z żalem musieli odrzucić wiele zaproszeń na przyjęcia, ale naprawdę nie mieli czasu. Nie przerywali pracy, aż wreszcie podwoje ich sklepu otworzyły się. Zaprosili czterysta osób - krewnych i znajomych, a także setkę najlepszych klientów Nigela z Garrard's. Inauguracji towarzyszyło zgromadzenie tak wielu utytułowanych osób i śmietanki towarzyskiej, w porównaniu z którą uroczystość otwarcia w Paryżu przed ponad dwoma laty wspomniano blade. Klejnoty, jakie Sara zgromadziła, zapierały oglądającym dech w piersiach. Była nawet przestraszona, że przesadziła, że kupiła wyroby zbyt okazałe i kosztowne. O ile w Paryżu miała kilka nadzwyczajnych klejnotów, które można było posiadać nie wynajmując uzbrojonych strażników, o tyle w Londynie straciła wszelkie hamulce i wydała do ostatniego grosza wszystkie pieniądze, jakie przypadły jej ze sprzedaży posiadłości na Long Island. Ale gdy rozejrzała się wokół po przybyciu pierwszych gości, stwierdziła, że rzeczywistość jest piękniejsza od marzeń.

Następnego dnia przyszedł do niej Nigel, blady i jakby przerażony - Sara pomyślała, że wydarzyło się coś nieprzyjemnego.

- Co się stało?

- Przed chwilą przybył sekretarz królowej.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnili jakiejś upiornej gafy i zde gustowana spojrzała na Williama; Nigel tymczasem wyjaśniał dalej.

- Jej Królewska Wysokość życzy sobie kupić pewien klejnot, który jej dama dworu wypatrzyła u nas wczoraj wieczorem. Wysłaliśmy go do pałacu dziś rano i bardzo się spodobał.

To było to! Udało się.

- Królowa chce kupić tę wielką szpilkę z piórami wysadzanych brylantami.

Ta szpilka bardzo przypominała insygnia księcia Walii; Sara kupiła ją od pośrednika w Paryżu za ogromne pieniądze. Cena, jaką wypisała na metce, zawstydziała ją samą.

- Dobry Boże! - powiedziała oszołomiona transakcją, ale na Nigelu wrażenie zrobiło coś znacznie ważniejszego.

- To oznacza, Wasza Książęca Wysokość, że pierwszego dnia działalności staliśmy się Jubilerami Korony.

Nazwa ta oznaczała, że ich sklep sprzedał coś dworowi królewskiemu. To było doprawdy wielkie osiągnięcie. Tytuł ten posiadała również firma Garrard, pełniąca funkcję oficjalnego jubilera królowej. Klejnoty koronne, przechowywane w Tower, były rokrocznie poddawane renowacji w tej firmie.

- Jeśli królowa uzna za stosowne, po trzech latach może nam przyznać patent królewski.

Nigel był w siódmym niebie; nawet William uniósł ekspresyjnie brwi. Wykonali mistrzowskie posunięcie, nawet się o to specjalnie nie starając.

Monarszy zakup umożliwił królewski start, a pozostałe egzemplarze, jakie sprzedali w ciągu miesiąca, pozwoliłyby im utrzymać się w biznesie nawet przez rok. Sara cieszyła się, że może wrócić do Paryża i pozostawić wszystko w niezawodnych rękach Nigela. Wprost trudno było jej w to uwierzyć, gdy po Nowym Roku wracali samolotem do Paryża. Emanuelle pojechała już dawno, zaraz po otwarciu londyńskiego sklepu, a bilans jej transakcji w okresie świąt Bożego Narodzenia był imponujący.

Między dwoma magazynami panowała atmosfera przyjaznej rywalizacji - każdy starał się wypaść lepiej od drugiego. Nikt nie czuł się pokrzywdzony. Nigel i Emanuelle zapalali do siebie szczerą sympatią, a Sarze zależało, by sklepy były do siebie podobne, zachowując jednocześnie pewną odrębność. W Londynie sprzedawano bajkowo piękną starą biżuterię, w dużej części pochodzącą ze skarbców europejskich rodzin monarszych, a także zupełnie nowoczesne modele. W Paryżu też handlowano starymi klejnotami, choć sprzedawano przy tym mnóstwo nowych wyrobów, szykownych i śmiałych w rysunku.

- Jaki cel wyznaczysz sobie teraz? - droczył się z nią William, kiedy jechali do zamku. Buenos Aires? Nowy Jork? Cap d'Antibes?

Możliwości były nieograniczone, ale Sara była zadowolona z tego, co już osiągnęli. Tą firmą można było kierować i czerpać z niej radość. Sara była zajęta, ale nadal mogła się cieszyć swymi dziećmi. Julian miał już osiemnaście miesięcy i angażował wszystkich dookoła: wspinał się na stoły, huśtał na krzesłach, spadał ze schodów lub znikał w drzwiach prowadzących do ogrodu. Sara pilnowała go nieustannie; dostarczał też wiele pracy miejscowej dziewczynie, którą zatrudniono w zamku. Zawsze zabierali ją ze sobą do Paryża, podczas krótkich pobytów w Londynie wynajmowali nianię. Sara jednak najbardziej lubiła zajmować się Julianem sama, a on uwielbiał siadać na kolanach Williama i być wożony jego wózkiem z dużą prędkością.

- Vite! Vite! (Szybko! Szybko!) - pisał popędzając ojca, by jechał szybciej. Było to jedno z niewielu słów, jakich na razie używał.

Były to dla nich szczęśliwe lata. Spełniły się wszystkie marzenia. Ich życie było pracowite, pełne i szczęśliwe.

Rozdział dwudziesty

Przez następne cztery lata Julian oraz dwa sklepy dostarczały Williamowi i Sarze mnóstwo zajęć. Interes kwitł w obu stolicach; Sara poddała się i w końcu wyraziła zgodę na powiększenie sklepu w Paryżu, ale w Londynie utrzymywali magazyn w takim kształcie jak dawniej, mimo wspaniałych obrotów. Sklep cechowała dyskrecja i elegancja, a te przymioty szczególnie odpowiadały Brytyjczykom. Zarówno Emanuelle, jak i Nigel dalej wspaniale wykonywali swoją pracę. Sara z uczuciem zadowolenia zdmuchnęła świece na torcie w swoje trzydzieste dziewiąte urodziny. Szesnastoletni Phillip przebywał z nimi w zamku, był prawie wzrostu ojca i marzył o powrocie do Whitfield. Zamierzał odwiedzić przyjaciół i został na urodziny Sary jedynie dlatego, że ojciec mu to przykazał.

Matka chciała, by zatrzymał się dłużej i obchodził z nimi własne urodziny, ale nie był tym zainteresowany. Udało mu się też zapomnieć w lipcu o piątych urodzinach Juliana. Wydawało się, że dla Phillipa rodzina nie ma specjalnego znaczenia - w gruncie rzeczy bardzo się starał jej unikać. Wyglądało na to, że wznosił jakąś barierę i nikomu nie pozwalał jej przekroczyć. Jego wyjazd Sara potraktowała z filozoficznym spokojem - z biegiem czasu nauczyła się tego od Williama.

- Mamy szczęście, że się w ogóle tu zjawia - powiedziała do Williama w dzień po wyjeździe Phillipa. - Interesuje go tylko gra w polo, spędzanie czasu z przyjaciółmi i pobyt w Whitfield.

W końcu zezwolili mu na samotne wypadki do Whitfield w weekendy i na święta; mógł też zabierać przyjaciół, pod warunkiem że zaprosi jednego ze swych nauczycieli. Taki układ zdawał się odpowiadać wszystkim, a zwłaszcza Phillipowi.

- Czy to nie dziwne, że Phillip jest taki "brytyjski", a Julian taki "francuski"?

Ich młodszy syn reprezentował typ frankofila. Chętniej mówił z nimi po francusku, uwielbiał mieszkać w Chateau de la Meuze i dużo bardziej podobał mu się Paryż niż Londyn.

- Les Anglais me font peur - boję się Anglików - mawiał często. Sara tłumaczyła mu, że to idiotyczne, bo skoro jego ojciec jest Anglikiem, on jest nim także, choć jako młodszy syn nigdy nie odziedziczy tytułu. Gdy dorośnie, będzie jedynie lordem Whitfield. Brytyjskie tradycje trąciły zaiste donkiszoterią! Nie wydawało się jednak, by Julian kiedykolwiek przywiązywał do tego wagę. Był szczęśliwy, dobroduszny, niczym się nie przejmował, nawet obojętnością starszego brata. Od najmłodszych lat nauczył się trzymać od niego z daleka i zajmować własnymi sprawami, co im obu idealnie odpowiadało. Uwielbiał rodziców, kolegów, swoje zwierzęta, ludzi pracujących w zamku, bardzo lubił, kiedy odwiedzała ich Emanuelle. Julian kochał wszystko i wszystkich, a wszyscy, którzy go znali, odpowiadali mu tym samym: po prostu przepadali za nim.

Sara myślała o tym pewnego wrześniowego popołudnia, porządkując kwiaty na grobie Lizzie. Chodziła tam regularnie, dbała o to miejsce; gdy się tam znalazła, nie mogła powstrzymać płaczu. Po jedenastu latach wciąż jeszcze za nią tęskniła. Miałaby teraz piętnaście lat. Była nieco podobna do Juliana, ale bardziej delikatna, nie tak silna... Oczy Sary wypełniły się łzami; uporządkowała trochę kwiaty i uklepała miękką ziemię. Nie słyszała nadjeżdżającego na wózku Williama. Ostatnio nie czuł się najlepiej, wiele kłopotu sprawiał mu kręgosłup. Wprawdzie nigdy się nie skarżył, ale Sara wiedziała, że reumatyczne bóle w nogach bardzo się nasiliły minionej zimy.

Poczuła na ramieniu rękę i odwróciła się; łzy spływały po jej twarzy. Wyciągnęła do niego dłonie, a on delikatnie scałował jej łzy.

- Moje biedne kochanie... - Spojrzał na dobrze utrzymany grób. - Biedna mała Lizzie...

Było mu przykro, że Sara nie ma drugiej córki, która pocieszyłaby ją w jakiś sposób, chociaż Julian sprawiał im wiele radości. William akceptował też odrębność Phillipa. Nie znał nawet swej małej córeczki - tęsknił za nią, chociaż nie widział nawet jej twarzyczki.

Skończywszy pracę przy grobie, Sara odwróciła się, a potem usiadła koło męża na ziemi. Podłożyła sobie wyprasowaną chusteczkę, którą podał jej William.

- Przepraszam... nie powinnam już tego robić, po takim czasie...

Ciągle czuła przy sobie jej małe, rozgrzane ciało, rączki zarzucone na szyję, aż do chwili, kiedy stała się taka spokojna i przestała oddychać...

- Ja także przepraszam - uśmiechnął się do niej delikatnie. - Może powinniśmy mieć następne dziecko.

Wiedziała, że żartuje, i uśmiechnęła się.

- Bardzo by się to spodobało Phillipowi.

- Mogłoby to dobrze zrobić temu egocentrycznemu młodemu człowiekowi.

Phillip napawał Williama niepokojem, był taki niecierpliwy i niegrzeczny dla matki.

- Nie wiem, po kim to odziedziczył, ty z pewnością taki nie jesteś; ja, mam nadzieję, też nie. Julian to uosobienie wszelkich cnót, twoja matka była najmilszą ze znanych mi dam. Moi rodzice także byli mili, podobnie jak moja siostra.

- Może miałem jakiegoś przodka wśród Wizygotów, którzy podbili Galię, albo wśród dzikich Normanów. Nie mam pojęcia. Ale Phillip to po prostu Phillip.

Ich starszy syn dbał teraz wyłącznie o Whitfield, Cambridge i sklep w Londynie. To miejsce najbardziej go fascynowało; ilekroć tam bywał, zadawał Holbrookowi tysiące pytań, a Nigel rozbawiony odpowiadał na nie po kolei, wykazując niezmierną cierpliwość; uczył go wszystkiego, co sam wiedział o szlachetnych kamieniach, wyjaśniał najistotniejsze rzeczy dotyczące ich

wielkości, jakości, czystości i oprawy. Ale Phillip ma jeszcze mnóstwo przed sobą, zanim będzie mógł pomyśleć o pracy w Whitfield's.

- Może powinniśmy gdzieś wyjechać w tym roku - Sara patrząc na Williama stwierdziła, że wygląda na zmęczonego. Miał pięćdziesiąt dwa lata, wiele przeżyć za sobą i momentami było to po nim widać. Niestrudzenie podążał za nią z Londynu do Paryża, i z powrotem. Ale w przyszłym roku, kiedy Julian zacznie chodzić do szkoły w La Marolle, będą musieli spędzać w zamku więcej czasu. To ostatni rok, kiedy mogą podróżować.

- Bardzo chciałabym pojechać do Birmy i Tajlandii, przyjrzeć się pewnym kamieniom - powiedziała z namysłem.

- Coś takiego? - William był zdziwiony. W sześć lat od założenia firmy Sara zdobyła ogromną wiedzę na temat kamieni szlachetnych, bardzo ostrożnie wybierała, co kupić i od kogo. Z tego właśnie powodu firma Whitfield's miała nieposzlakowaną opinię. Interes rozwijał się znakomicie tak w Londynie, jak i w Paryżu. W Londynie królowa jeszcze kilka razy była ich klientką, podobnie księżę Edynburga. Sara i William mogli żywić nadzieję, że wkrótce wywieszą znak z królewskim patentem.

- Bardzo chciałabym pojechać. Moglibyśmy nawet zabrać ze sobą Juliana.

- To byłoby nawet romantyczne - zażartował William, ale doskonale wiedział, że Sara nie lubi rozstawać się z synem. - Dlaczego więc nie zorganizować podróży dla trojga? A z Julianem powinniśmy zabrać też jego opiekunkę. Zdamy pojechać na Daleki Wschód i wrócić przed Bożym Narodzeniem.

Tak długa podróż byłaby zapewne męcząca, szczególnie dla Williama, Sara zdawała sobie z tego sprawę, ale oboje tego pragnęli.

Wyjechali w listopadzie i wrócili do Anglii w Wigilię Bożego Narodzenia; z Phillipem spotkali się w Whitfield. Nie było ich ponad sześć tygodni i mieli do opowiedzenia wiele fascynujących historii o polowaniach na tygrysy w Indiach, o pobycie na tajlandzkich plażach, o Hongkongu, świątyniach, rubinach... szmaragdach... o tamtejszych bajkowych klejnotach. Sara przywiozła ze sobą ogromny majątek w postaci pięknych kamieni. Phillip był nimi oczarowany, tak jak opowieściami rodziców. Zmienił się nawet na korzyść jego stosunek do młodszego brata.

Gdy w następnym tygodniu Sara pokazała swoje skarby Nigelowi, wpadł w zachwyt i chwalił jej wybór. Emanuelle była zauroczona klejnotami indyjskiego maharadzy, przywiezionymi przez Sarę do Paryża. Zaraz znalazły się bogate klientki, które kupiły te klejnoty.

To była wyśniona podróż, a zarazem pracowita jesień; wszyscy cieszyli się, kiedy wrócili do zamku. Opiekunka Juliana, którą zabrali ze sobą, opowiadała swej rodzinie fascynujące historie, mały był zachwycony, że znowu jest w domu z kolegami. Sara też się cieszyła. Nie mówiła o tym,

ale o ile zdrowie Williama uległo w czasie podróży poprawie, o tyle ona nabawiła się w Indiach jakiegoś paskudztwa. Bez przerwy bolał ją brzuch i choć się nie skarżyła, mocno ją to martwiło. Nie chciała, by William przejmował się jej dolegliwościami, i starała się je bagatelizować. Nawet po powrocie do zamku już prawie nie mogła jeść. Wreszcie, w czasie następnego pobytu w Paryżu w końcu stycznia, odwiedziła lekarza. Przeprowadził serię badań, nie stwierdził nic groźnego i poprosił, by przyszła ponownie. W czasie drugiej wizyty czuła się już trochę lepiej.

- Co pan podejrzewa? - zapytała poważnie już zaniepokojona. Od listopada nie miała zupełnie apetytu.

- Sądzę, że to bardzo prosta sprawa, madame - odparł z całym spokojem lekarz.

- To pocieszające - odrzekła, ale wciąż niepokoiło ją to, że złapała jakieś egzotyczne choróbko. Dzięki Bogu, że nie zachorował Julian, ale przecież bardzo uważała, co mały je i pije. O sobie martwiła się znacznie mniej.

- Czy ma pani jakieś plany na następne lato, madame? - zapytał doktor z uśmiechem, a Sara wpadła w panikę. Czy miał na myśli operację? Ale przecież lato będzie dopiero za siedem miesięcy; i dopiero wtedy zaczęła się zastanawiać. To nie mogło być to. Nie tym razem.

- Nie wiem... a dlaczego... - zapytała - Wygląda na to, że w sierpniu urodzi pani dziecko.

W jej wieku? Nie mogła w to uwierzyć. W sierpniu skończy czterdzieści lat i wydawało się jej, że jest już "z górki". Słyszała wprawdzie o bardziej osobliwych przypadkach. Nadal wyglądała jak dawniej, ale metryka to metryka, czterdziestka to czterdziestka.

- Czy to jest już pewne?

- Tak sądzą. Chciałbym zrobić jeszcze jedno badanie, aby się upewnić.

Wykonał je niebawem, a Sara natychmiast pośpieszyła poinformować Williama.

- Czy to nie absurdalne w moim wieku? - Tym razem wydawała się lekko zakłopotana.

- To żaden absurd - spojrzał na nią wzruszony. - Moja matka była o wiele starsza, kiedy mnie urodziła; byłem zupełnie zdrowy, a ona przeżyła.

Spojrzał na nią z zadowoleniem.

- Poza tym mówiłem ci, że powinniśmy mieć jeszcze jedno dziecko.

Chciał mieć koniecznie córeczkę.

- Czy znów będę musiała przebywać w tej okropnej klinice? - Sara spojrzała na niego z żalnością, a on się roześmiał. Czasami wydawała mu się młodą dziewczyną; nadal była piękną kobietą.

- No cóż, nie będę znów sam odbierał dziecka - jesteś na to za stara! - zażartował, a Sara to podchwyciła.

- No widzisz! Sam uważasz, że jestem za stara. Co pomyślą ludzie?!

- Pomyślą, że mamy szczęście... obawiam się, że powiedzą też, iż nie zachowujemy się zbyt przyzwoicie - żartował nadal; Sara w końcu roześmiała się. Urodzenie dziecka w wieku czterdziestu lat wydawało się trochę nierozsądne, ale musiała przyznać, że ją to cieszy. Tak bardzo radował ją Julian, ale miał już pięć lat i przestał być małym dzieckiem. We wrześniu zacznie chodzić do szkoły.

Emanuelle była trochę zaskoczona, gdy w marcu dowiedziała się o ciąży Sary; Nigel robił wrażenie trochę zakłopotanego nowiną, ale bardzo uprzejmie im pogratulował. Oba sklepy radziły sobie tak dobrze, że nie wymagały ciągłej troski Sary. Spędzała teraz w zamku większą część roku; Phillip przyjeżdżał do nich zawsze na lato. Unikał wypowiadania się na temat odmiennego stanu matki. Na samą myśl robiło mu się niedobrze, wolał więc o tym nawet nie wspominać.

Tym razem Sara próbowała wymóc na Williamie, by pozwolił jej urodzić dziecko w domu. Poszli na kompromis - pozwolił jej udać się do nowego szpitala w Orleanie, nie tak wytwornego jak paryska klinika, ale bardzo nowoczesnego; Williamowi podobał się ordynujący tam lekarz.

Uroczyscie obchodzili urodziny Sary, bawiąc się doskonale - tym razem nawet Phillip był nieco bardziej sympatyczny. Następnego dnia wyjechał do Whitfield na ostatnie wakacje przed wstąpieniem do Cambridge. Wieczorem po jego wyjeździe Sara poczuła się niewyraźnie i kiedy Julian poszedł spać, spojrzała na Williama z niepokojem.

- Nie wiem, co się dzieje, ale czuję się dziwnie. - Pomyślała, że powinna go ostrzec.

- Może wezwać lekarza.

- Czulałabym się głupio, gdybyśmy to zrobili. Nie mam bólów. Po prostu czuję się... - próbowała mu to opisać; William patrzył na nią zdenerwowany. - Nie wiem... jestem jakaś taka ciężka... bardzo ciężka... i jakbym chciała ciągle się kręcić wokół, nie wiem, jak to określić.

Odczuwała dziwne wrażenie bolesnego ucisku.

W tej ciąży nie była tak gruba jak poprzednio, ale dziecko było dostatecznie duże, by czuła się niedobrze. Od dłuższego czasu wydawało się Sarze, że ono ciągle się wierci.

- Weź ciepłą kąpiel i połóż się, może się wtedy lepiej poczujesz.

Potem wbił w żonę stanowczy wzrok. W tym wzglądzie nie mógł jej ufać do końca.

- Żądam, abys mi powiedziała, co się naprawdę dzieje. Nie pozwolę ci czekać do ostatniej chwili, bo potem możemy nie zdążyć do szpitala. Czy słyszysz, Saro?

- Tak, Wasza Książęca Wysokość - powiedziała przekomarzając się. Uśmiechnął się do niej i wyszedł, by mogła wziąć kąpiel. Po godzinie leżała na łóżku i nadal czuła ucisk. Ale zdążyła już uznać, że to sprawa niestrawności, a nie zbliżający się poród.

- Czy jesteś pewna? - zapytał William po powrocie do pokoju. W jej wyglądzie było coś niepokojącego.

- Przrzekam, że tak - uśmiechnęła się.
- W porządku. Pamiętaj, by skrzyżować nogi.

Wyszedł do drugiego pokoju przejrzeć sprawozdania finansowe ze sklepów. W tej chwili z Monte Carlo zatelefonowała do Sary Emanuelle, pytając, jak się czuje. Romans Emanuelle z Jeanem-Charlesem de Martinem zakończył się przed dwoma laty; teraz zaangażowała się w daleko bardziej niebezpieczny związek z ministrem finansów.

- Kochanie, bądź ostrożna - strofowała ją Sara, a stara przyjaciółka roześmiała się.
- I kto to mówi! - tym razem Emanuelle podśmiewała się trochę z jej stanu.
- Bardzo śmieszne.
- Jak się czujesz?

- Dobrze. Jestem gruba i znudzona. Myślę, że William trochę się denerwuje. Przyjdę do sklepu najszybciej, jak tylko będę mogła, zaraz kiedy wrócisz z wakacji.

Jak co roku, sklep był zamknięty w sierpniu.

Rozmawiały przez jakiś czas. Gdy się rozłączyły, Sara znowu przespacerowała się po pokoju. Bez przerwy musiała korzystać z łazienki.

Za każdym razem, kiedy odwiedzała łazienkę, wracała do swojego pokoju; tym razem zeszła na dół po schodach, wróciła na górę i niestrudzenie wędrowała. Wtedy do sypialni powrócił William.

- Co ty robisz, na miłość boską?
- Niewygodnie mi leżeć, nie mogę sobie znaleźć miejsca.

W tym momencie poczuła w plecach silny ból; miała uczucie, jakby ciągnęła brzuch po podłodze. Jeszcze raz skorzystała z łazienki, a kiedy wracała do sypialni, rozdarł ją potworny ból, promieniujący od tyłu i powodujący, że chciała urodzić nie zwlekając, w tej samej chwili. Nagle zapragnęła zatrzymać się w miejscu, do którego doszła, i wypchnąć dziecko. Ból nie ustępował, przytłaczał ją, promieniował z tylnej ściany brzucha w dół. Ledwie zdołała ustać trzymając się krzesła.

William zauważył wyraz twarzy Sary i natychmiast ruszył w jej kierunku. Przewiózł ją na swym wózku i położył na łóżku. Był przerażony.

- Saro, nie rób mi tego więcej! Co się stało?
- Nie wiem. - Ledwie była w stanie mówić. - Myślałam... że to niestrawność, ale to taki straszny ucisk. O, Boże! William... dziecko wychodzi!

- Nie, nie wychodzi! - absolutnie nie godził się, by to się powtórzyło; zostawił ją na chwilę i przejechał przez pokój, by zadzwonić do szpitala po ambulans. Jego żona miała już czterdzieści lat, nie dwadzieścia trzy, a on nie zamierzał żartować z następnym dziesięcioletnim dzieckiem.

Kiedy odłożył słuchawkę, Sara krzyczała; w szpitalu zapewniono go, że karetka przyjedzie natychmiast i że będzie w niej lekarz. To było zaledwie dwadzieścia minut drogi.

Gdy William zbliżył się do Sary, schwyciła go za koszulę, złapała za rękę. Nie płakała, ale strasznie cierpiała, a przy tym robiła wrażenie zdziwionej i wystraszonej.

- Wiem, że się zbliża... William... Czuję to! - krzyczała do niego; wszystko odbywało się tak szybko i nieodwołalnie. Szybkim ruchem uniósł jej koszulę i dostrzegł pojawiającą się główkę dziecka, tak jak poprzednim razem. Tylko że ostatnio trwało to wiele godzin i kosztowało mnóstwo pracy, a teraz wydawało się, że nic nie jest w stanie wstrzymać porodu.

- William... nie! Nie mogę tego zrobić... zatrzymaj to!

Ale dziecko nie dało się powstrzymać. Jego główka niestrudzenie wysuwała się z ciała matki, a po chwili na Williama spoglądała maleńka twarzyczka z jasnymi oczkami i skrzywionymi z płaczu usteczkami. Obserwowali to oboje. Nagle William wyciągnął rękę, by jej pomóc. Chciał, by Sara odetchnęła i po chwili znowu zaczęła przecę; wkrótce na wierzchu znalazły się barki i ramiona noworodka, a za krótką chwilę cała reszta. Przyszła na świat śliczna mała dziewczynka, ale wyglądała, jakby była wściekła na nich oboje.

Sara leżała i patrzyła na nią z zachwytem. Oboje byli zaskoczeni witalnością tego niemowlęcia, tak żwawo i błyskawicznie pokonało wszystkie przeszkody. Przed paroma minutami Sara rozmawiała z Emanuelle, a potem nagle urodziła dziecko. Nie trwało to nawet dziesięciu minut.

- Przypomnij mi, abym już nigdy ci nie uwierzył - powiedział William drżącym głosem i pocałował Sarę. Czekał na lekarza, by przeciął pępowinę. Owinął noworodka czystym prześcieradłem i ręcznikami. Ich nowiutka córeczka była już nieco ułagodzona. Patrzyła na matkę od czasu do czasu złym wzrokiem, niezadowolona, że tak brutalnie usunięto ją z wygodnego pomieszczenia.

Oboje śmiali się i żartowali, gdy w dwadzieścia minut później pojawił się lekarz. Twierdził, że przyjechał najszybciej, jak mógł, ale trudno było przypuszczać, że dziecko przyjdzie na świat tak błyskawicznie.

Pogratulował rodzicom, powiedział, że dziecko jest w doskonałym stanie, odciął pępowinę, którą William zawiązał kawałkiem sznurka znalezionej w gabinecie. Lekarz pochwalił ich, że tak doskonale sobie sami poradzili, i zaproponował, że zabierze Sarę do szpitala, ale przyznał, że to nie jest konieczne.

- Wolałabym raczej zostać w domu - powiedziała cicho; William spojrzał na nią, usiłując przybrać zagniewany wyraz twarzy.

- Wiem, że wolałabyś. Następnym razem wyślę cię do szpitala w Paryżu dwa miesiące wcześniej!

- Następnym razem! - wyrzuciła z siebie. - Następnym razem! Czy ty kpisz? Następnym razem będę babcią!

Śmiała się do niego; i nagle poczuła się dużo lepiej. To było szokujące, przez krótki czas ogromnie bolesne, ale w gruncie rzeczy bardzo proste.

- Wcale nie jestem pewny, czy w to mogę uwierzyć - odrzekł i odjechał na wózku, by odprowadzić lekarza. Potem podał jej kieliszek szampana i przez moment siedział obserwując żonę i ich maleńką córeczkę.

- Jest piękna, prawda? - popatrzył na nią, na pierś Sary i powoli podjechał.

- Tak - Sara uśmiechnęła się do niego. - Kocham cię, Williamie. Dziękuję ci za wszystko...

- Zawsze możesz na mnie liczyć - pochylił się i pocałował ją.

Dali dziecku na imię Isabelle. Rano Julian oznajmił, że to jest "jego" dziecko, wyłącznie jego i każdy będzie musiał prosić, by mu pozwolił wziąć je na ręce. Wykazywał tyle uczucia, które nigdy nie było udziałem Phillipa, był delikatny i kochający, wprost adorował swoją siostrzyczkę. Później kiedy razem wzrastali, zachowała się między nimi więź, której nikt nie był w stanie zakłócić. Isabelle podziwiała Juliana, a on pozostał jej uwielbianym bratem i najwierniejszym obrońcą. Nawet rodzice nie mieli prawa wstępu między nich i po krótkim czasie przestali ingerować w ten siostrzano-braterski stosunek. Isabelle złożyła swój los w ręce Juliana, a on odpłacał jej tym samym.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Phillip ukończył Cambridge w lecie 1962 roku i nikt z rodziny nie był zaskoczony jego oświadczeniem, że chce pracować w Whitfield's w Londynie. Wszystkich zdziwiło jedynie to że, zamierza zostać kierownikiem sklepu.

- O, nie, mój drogi - odrzekła spokojnie Sara. - Najpierw musisz nauczyć się biznesu.

W lecie Phillip chodził na kursy ekonomii, uczył się gemmologii (Gemmologia. (łac) - nauka o kamieniach szlachetnych - przyp. tłum.) i nabrał przekonania, że wie już o Whitfield's wszystko, czego potrzebuje.

- Najpierw musisz pozwolić, by Nigel zorientował cię w tej dziedzinie - dołączył swój głos William; Phillip był wściekły.

- Już teraz wiem więcej, niż ten wysuszony stary pedał dowie się przez całe życie - wygarnął. Sara zdenerwowała się.

- Mam odmienne zdanie. Jeżeli nie podporządkujesz się mu i nie zaczniesz go traktować z najwyższym respektem, nie pozwolę ci w ogóle pracować w Whitfield's. Czy to jasne? Taka postawa Phillipie, nie rokuje dobrze naszym interesom.

Phillip był wściekły na matkę przez kilka dni, ale zgodził się pracować pod kierunkiem Nigela przynajmniej przez pewien czas. Później miano ponownie przeanalizować sytuację.

- To śmieszne - wybuchnęła później Sara. - Ten chłopak ma dwadzieścia dwa, prawie dwadzieścia trzy lata, zgoda; co go upoważnia do twierdzenia, że wie więcej od Nigela? Powinien całować ziemię, po której chodzi Nigel!

- Phillip nigdy niczego nie całuje - powiedział zgodnie z prawdą William - chyba że to coś zgadza się z jego zachciankami. Obawiam się, że Nigel nie będzie miał łatwego życia z Phillipem.

Zanim Phillip zaczął pracę z Nigelem w lipcu, Sara z Williamem poinformowali starszego pana, że to on sprawuje całokształt władzy w Whitfield's, i jeśli uzna, że ich syn nie przyjmie tej zwierzchności, może mu pokazać drzwi. Nigel z wielkim uznaniem przyjął to wotum zaufania.

Przez następny rok jego stosunki z Phillipem były oczywiście napięte; zdarzały się chwile, że Nigel chętnie zabiłby Phillipa. Musiał jednak przyznać, że chłopak ma doskonały zmysł do interesów i dobrą intuicję, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest to człowiek wielkiego umysłu, uważał, że na dłuższą metę będzie bardzo przydatny w biznesie. Phillipowi brakowało wyobraźni i artystycznego zmysłu matki, miał jednak zdolności handlowe po ojcu; wykazał to pomagając Nigelowi prowadzić Whitfield's.

W ciągu następnych sześciu-siedmiu lat William zaczął poważnie podupadać na zdrowiu. W miejscu starych ran rozwinął się artretyzm; Sara wozila go do wszystkich możliwych

specjalistów, niewiele mogli jednak mu pomóc; dawały o sobie znać demony przeszłości. William znosił to ze stoickim spokojem, ale kiedy w 1963 roku obchodził sześćdziesiąte urodziny, wyglądał o dziesięć lat starzej niż wskazywałyby na to jego rzeczywisty wiek. Sarę niezmiernie to martwiło. Isabelle skończyła już siedem lat i była istnym żywym srebrem. Miała ciemne włosy, takie jak Sara, i identyczne zielone oczy. Ale miała niezależny umysł i niezłomny charakter, który nie znosił żadnych sprzeciwów. To, czego Isabelle chciała, stawało się prawem. Nie pozwalała się przekonać, że jest inaczej. Jediną osobą, która mogła na nią wpłynąć, był uwielbiający ją brat Julian. Ona kochała go równie mocno, choć nie zmieniało to faktu, że dokładnie wiedziała, jakie są jej zachcianki.

Julian miał trzynaście lat i zachował to samo miłe usposobienie, które miał będąc małym dzieckiem. Bawiło go wszystko, co wyczyniała Isabelle - w stosunku do niego czy kogokolwiek innego. Gdy ciągnęła go za włosy, wrzeszczała na niego, brała rzeczy, uważane przez niego za najcenniejsze, i niszczyła je w złości, on całował ją, uspokajał, mówił, jak bardzo ją kocha, i w końcu łagodził jej gniew. Sara nie mogła się nadziwić cierpliwości Juliana. Były chwile, kiedy sama miała ochotę udusić swą córkę. Isabelle, piękna i czasem nawet urocza, była w całym tego słowa znaczeniu niełatwym dzieckiem.

- Czym sobie na to zasłużyłam? - pytała nieraz Sara Williama. - Czym zawiniłam, że mam takie trudne dzieci?

Phillip przez całe lata sprawiał jej poważne kłopoty, Isabelle niekiedy doprowadzała do furii. Jedyne Julian działał jak kojący balsam, powodował, że nastroszone pióra opadały. Umiał okazywać miłość, troskę, zawsze robił dokładnie to, co trzeba. Cały William.

Rodziny interes nadal doskonale prosperował. Sara zajmowała się oboma sklepami, a przy tym miała czas dla dzieci, pracując równocześnie nad wzorami biżuterii, penetrując rynek drogich kamieni i kupując od czasu do czasu rzadkie, bardzo wartościowe okazy. Z biegiem czasu okazało się, że Whitfieldowie stali się ulubionymi jubilerami angielskiego dworu i wielu najwybitniejszych ludzi w obu stolicach. Sarę bawiło, kiedy Julian studiował jej szkice, wprowadzał niekiedy drobne zmiany lub sugerował rozwiązania, które sprawdzały się doskonale w rzeczywistości. Od czasu do czasu projektował oryginalny klejnot w stylu zupełnie odmiennym niż Sara, a przy tym naprawdę piękny. Ostatnio kazała wykonać jeden z projektów Juliana i nosiła powstały w ten sposób klejnot - syn był dumny i wzruszony. Julian autentycznie kochał biżuterię, w tym samym stopniu, w jakim Phillipa nie interesowało projektowanie, jedynie koncentrowanie się na sferze biznesu. William twierdził, że pewnego dnia oni dwaj - Julian i Phillip - mogą stworzyć interesujący zespół. - Jeżeli się najpierw nie pozabijają - dodawała Sara. Nie miała jednak pojęcia, w którym miejscu tej kombinacji mogłaby sobie znaleźć miejsce Isabelle; wiedziała jedynie, że musi mieć bardzo

bogatego, tolerancyjnego męża, który pozwoli jej spędzać część dnia na rozładowywaniu napadów gniewu. Sara zawsze starała się postępować wobec niej zdecydowanie, tłumacząc, że córka nie może sobie pozwolić na wszystko, czego zapragnie, ale to zawsze Julian przywracał jej poczucie rzeczywistości, spokój i skłaniał do słuchania.

- Jak to możliwe, że mam tylko jedno rozsądne dziecko? - skarżyła się Sara Williamowi pewnego listopadowego popołudnia.

- Może zabrakło ci jakiejś witaminy, kiedy byłaś w ciąży - zażartował.

Siedzieli w kuchni w zamku - właśnie wrócili z kolejnej wizyty u lekarza w Paryżu. Doktor sugerował Williamowi ciepły klimat i troskliwą opiekę. Zastanawiała się nad wyjazdem na Karaiby lub może do Kalifornii, gdzie odwiedziłaby siostrę.

Sara włączyła radio. Właśnie podawano szokujące wiadomości o zabójstwie prezydenta Kennedy'ego. Informacje, których wysłuchali tego i następnego dnia, zrobiły na nich bardzo przygnębiające wrażenie. Ta śmierć wydawała się wprost niewiarygodna, i jeszcze ta biedna kobieta z dwojgiem małych dzieci! Sara oglądała dziennik telewizyjny i zastanawiała się nad światem, w którym możliwa była taka zbrodnia. Whitfieldowie widzieli w życiu gorsze rzeczy - wojnę, tortury w obozach koncentracyjnych, ale mimo wszystko oplakiwali tego człowieka. Prerażające wydarzenie rzuciło cień przygnębienia na cały świat.

Podczas świąt pojechali odwiedzić sklep w Londynie, by zobaczyć, jak radzi sobie Phillip. Ku ich zadowoleniu nie było zasadniczych kontrowersji między nim a Nigelem. Wrodzona bystrość pozwoliła Phillipowi zdać sobie sprawę, jak cenny jest dla nich Nigel; mniej sprzeczał się ze starym fachowcem i starał się znaleźć swoje własne miejsce w Whitfield's. Phillip jeszcze nie zarządzał sklepem, ale zbliżał się do tego milowymi krokami. Świąteczne obroty były bardziej niż doskonałe, to samo dotyczyło Paryża.

Nareszcie w lutym Sara i William udali się w planowaną podróż. Wybrali się na miesiąc na południe Francji, ale ponieważ początkowo było zimno, pojechali do Maroka i wrócili przez Hiszpanię, by się zobaczyć z przyjaciółmi. Gdziekolwiek się znajdowali, Sara namawiała żartem Williama, by otworzyć w tym miejscu filię ich firmy. Nie opuszczał jej strach o stan zdrowia męża. Wyglądał na zmęczonego, był bardzo blady i często odczuwał ból. Mimo że dobrze odpoczęli w ciepłych krajach, w dwa tygodnie po powrocie William czuł się osłabiony i zmęczony, co ogromnie niepokoiło Sarę.

W jakiś czas po przybyciu do zamku doznał lekkiego ataku serca. Po kolacji poczuł się niedobrze, ale sądził, że to drobna niestrawność. Potem zaczął się ból w klatce piersiowej. Sara wezwała lekarza, który przyjechał ze szpitala natychmiast, znacznie szybciej niż wtedy, gdy rodziła się Isabelle. Do tego czasu William poczuł się trochę lepiej. Następnego dnia przeprowadzono

badania i stwierdzono, że miał lekki atak serca - rodzaj ostrzeżenia, jak wyraził się lekarz. Doktor wyjaśnił Sarze, że przeżycia Williama podczas wojny nadwerżyły jego cały organizm. Ból, który teraz odczuwał, przyczyniał się do dalszej utraty sił.

Lekarz ostrzegł, że William musi być bardzo ostrożny, powinien prowadzić spokojny tryb życia i bardzo na siebie uważać. Sara bez wahania zgodziła się na to, chociaż William oponował.

- Co za nonsens! Nie myślisz chyba, że przeżyłem to wszystko, by spędzić resztę życia siedząc w kącie pod kocem. Na Boga, Saro, to nic nie znaczy. Ludzie bez przerwy miewają takie ataki serca.

- Ale nie ty. Nie pozwolę, żebyś się przeciążał. Potrzebuję cię przez następne czterdzieści lat więc, do cholery, lepiej usatukuj się i słuchaj lekarza.

- Brednie! - powiedział zaniepokojony, a Sara roześmiała się widząc, że jest mu lepiej. Ale nie zamierzała pozwalać, by się przemęczał, zmusiła go, by nie wychodził na dwór przez cały kwiecień. Stan zdrowia Williama tak ją martwił, że sama poczuła się chora. Do rozpacz doprowadzał ją także stosunek Phillipa do ojca. Przyleciał raz z Anglii w odwiedziny, a potem jeszcze raz zadzwonił. Jeśli wierzyć doniesieniom gazetowym, był zanadto zajęty uganianiem się za debiutującymi aktoreczkami, by przejmować się ojcem. Pozostała dwójka dzieci szalenie go kochała, a Isabelle wprost uwielbiała. Siadywała przy nim codziennie po szkole, czytała mu, a Julian robił wszystko, by go rozerwać.

- To największy egoista jakiego znam - narzekała na Phillipa Sara w rozmowie z Emanuelle, która zawsze go broniła. Tak bardzo pokochała go, kiedy był jeszcze dzieckiem, że nie widziała jego wad tak wyraźnie jak inni. Nigel mógłby naturalnie wymienić parę słabych stron charakteru Phillipa, ale, jak się wydawało, udało mu się wypracować osobliwie przyjacielski stosunek do młodego człowieka. Sarę cieszyła dobra współpraca Phillipa i Nigela; martwił ją natomiast fakt, że nie zwraca uwagi na ojca. Kiedy wreszcie przyjechał, spojrzął na matkę z przerażeniem i stwierdził, że wygląda jeszcze gorzej niż ojciec.

- Wyglądasz strasznie, kochana mamó - powiedział chłodno.

- Dziękuję - odparła Sara dotknięta tą uwagą.

Emanuelle poważnie się wystraszyła, gdy zobaczyła Sarę w Paryżu. Była taka blada, że jej twarz przybrała barwę popiołu.

Uczucie lęku malowało się na twarzy Sary - atak serca Williama był tego bezpośrednim powodem. Z całą pewnością wiedziała jedno - nie może bez niego żyć.

Do czerwca wydawało się, że wszystko, przynajmniej pozornie, wróciło do normy. William nadal cierpiał, ale pogodził się z tym i rzadko skarżył; robił wrażenie zdrowszego niż przed atakiem serca, który określał jako swój "mały problem".

Wydawały się za to nasilać kłopoty zdrowotne Sary. Był to dla niej okres, w którym nic nie szło jak należy. Bolały ją plecy i brzuch, po raz pierwszy w życiu trapiły koszarne bóle głowy. Napięcie ostatnich miesięcy odpłacało jej z nawiązką.

- Potrzebujesz wakacji - stwierdziła kategorycznie Emanuelle.

Sara chciała pojechać do Brazylii i Kolumbii, by spenetrować rynek szmaragdów, ale uważała, że William nie czuje się dość dobrze, by jej towarzyszyć, a nie chciała zostawiać go samego. Wspomniała mu o tym następnego popołudnia, ale William miał do tego projektu mnóstwo zastrzeżeń. Był zaniepokojony, że Sara tak kiepsko wygląda, i uważał, że byłaby to zbyt wyczerpująca podróż także dla niej.

- Dlaczego nie pojedziemy raczej do Włoch? Możemy dla odmiany kupić biżuterię od jakiegoś innego producenta.

Roześmiała się, ale musiała przyznać, że podoba jej się ten pomysł. Potrzebowała odmiany jako leku na przygnębienie. Nadszedł dla niej czas przełomu, czuła ciężar lat i wydawała się sobie nieatrakcyjna. Wyjazd do Włoch odmłodził ją; przeżyli pełne wspomnień chwile - William oświadczył się przecież Sarze w Wenecji. Te czasy wydawały się tak odległe. W sumie życie obeszło się z nimi nieźle, od tamtej pory upłynęło wiele lat. Jej rodzice zginęli tragicznie, siostra rozpoczęła nowe życie; przed kilku laty Sara dowiedziała się, że jej pierwszy mąż, Freddie zginął w wypadku samochodowym w Palm Beach po powrocie z wojny na Pacyfiku. Wszystko to należało do zamkniętych

Rozdziałów jej życia. Od lat całym ośrodkiem zainteresowania Sary, jej pępkiem świata był William. William... i dzieci... i sklepy... Po powrocie z wycieczki do Włoch czuła się odświeżona, choć trochę zaniepokojona tym, że po dwóch tygodniach diety makaronowej przybrała na wadze.

Tyła nadal przez następny miesiąc, nawet chciała się wybrać w tej sprawie do lekarza, ale jakoś nie znalazła czasu; poza tym czuła się dobrze, dużo lepiej niż przez ostatnie dwa miesiące. Pewnej nocy, kiedy leżała w łóżku z Williamem, poczuła dziwne, choć znajome, uczucie.

- Co to było? - zapytała, jakby on mógł czuć to co ona.

- Co mianowicie?

- Coś się poruszyło.

- To ja.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Czemu jesteś dziś taka zdenerwowana? Sądziłem, że tego ranka zadaliśmy o bezpieczeństwo.

Przynajmniej to jedno nie zmieniło się między nimi, nawet jeśli Sara stała się inna. Teraz miała dużo lepsze samopoczucie. Dzięki Williamowi czas spędzony we Włoszech był niesłychanie romantyczny.

Na razie nabrała wody w usta, ale nazajutrz udała się do lekarza w La Marolle. Przedstawiła mu po kolei wszystkie symptomy, powiedziała, iż przed czterema miesiącami nastąpiła zasadnicza zmiana w jej pojmowaniu kobiecości, po czym opisała sensacje, jakie zdarzyły się jej poprzedniej nocy.

- Wiem, że to wygląda idiotycznie - wyjaśniła - ale czułam... czułam, jakby to było dziecko...

Reagowała jak ci przysłowiowi mężczyźni z amputowanymi nogami, którym się zdaje, że swędzą ich kolana.

- To nie jest wykluczone. W ubiegłym tygodniu odbierałem dziecko od pięćdziesięciosześcioletniej kobiety. Jej osiemnaste dziecko - powiedział doktor uspokajająco, a Sara jęknęła na taką perspektywę. Kochała swoje dzieci, całą gromadkę, w pewnym okresie chciała mieć ich nawet więcej, ale ten czas już minął. Miała teraz czterdzieści osiem lat; William nie mógł się bez niej obejść, była po prostu za stara, na kolejne dziecko. Isabelle w lecie skończy osiem lat i to było prawdziwe dzieciątko Sary.

- Księżno - tak oficjalnie zwrócił się do niej lekarz po zakończeniu badania - z przyjemnością informuję panią, że istotnie będzie pani miała dziecko.

Przez moment sądził nawet, że to mogą być bliźnięta, ale nie był pewny. Było jedno, za to duże.

- Sądę, że poród przypadnie na Boże Narodzenie.
- Nie mówi pan poważnie - Sara wyglądała na zaszokowaną.

Zbladła i poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Jestem całkiem poważny i najzupełniej pewny - uśmiechnął się do niej, - Jestem przekonany, że księżę będzie bardzo zadowolony.

Sara nie miała pewności, czy tak się stanie tym razem. Może po ataku serca William odbierze to inaczej. - Nie była sobie w stanie wyobrazić. Kiedy narodzi się dziecko, będzie miała czterdzieści osiem lat, William zaś sześćdziesiąt jeden. Jakie to śmieszne. Jednoznacznie stwierdziła, że nie może urodzić tego dziecka.

Podziękowała lekarzowi i wróciła samochodem do zamku zastanawiając się, co ma z tym wszystkim począć i co powiedzieć Williamowi. Ta sprawa bardzo ją przygnębiła, jeszcze bardziej niż myśl o tym, że już przebyła swoją kobiecą smugę cienia. To zakrawało na krotochwilę i było niewłaściwe w ich wieku. Nie mogła sobie na to pozwolić jeszcze raz. Podejrzewała, że odczucia Williama będą podobne. Po raz pierwszy w życiu zastanawiała się nad przerwaniem ciąży.

Powiedziała o wszystkim Williamowi tego samego dnia po kolacji; ze spokojem wysłuchał wszystkich jej zastrzeżeń, po czym przypomniał, że jego rodzice byli dokładnie w takim samym wieku, kiedy on się urodził, i ani jemu, ani im nie wyrządziło to żadnej krzywdy. Rozumiał jednakże przygnębienie Sary, a także jej zaskoczenie. Urodziła czworo dzieci, jedno zmarło, jedno pojawiło się tak późno, że stanowiło niespodziankę, a teraz to, takie nieoczekiwane... William odbierał to jako podarunek losu, niezależnie od czasu i okoliczności, w jakich został im ofiarowany. Nie wyobrażał sobie zgłoszenia sprzeciwu wobec takiej hojności. Wysłuchał żony, położył się obok i objął ją. Był trochę zaszokowany jej reakcją, wyglądała po prostu na wystraszoną. Uprzednio tak wiele przeszła, tym razem może być jeszcze trudniej.

- Naprawdę nie chcesz tego dziecka? - zapytał ze smutkiem, trzymając ją w ramionach, jak zawsze, kiedy szli spać. Było mu przykro, że Sara nie chce dziecka, ale nie zamierzał wywierać na nią nacisku.

- A ty? - zapytała z powątpiewaniem, sama nie do końca przekonana.

- Ja chcę tego, co jest dobre dla ciebie, moja kochana. Przyjmę twoją decyzję, jakakolwiek będzie.

Gdy Sara usłyszała te słowa, łzy napłynęły jej do oczu; William zawsze był dla niej taki dobry. To, co teraz powiedział, czyniło go jeszcze droższym.

- Nie wiem, co robić... co jest słuszne. Jedna część mojej osobowości chce tego, a druga nie.

- Ostatnim razem miałś podobne odczucia - przypomniał.

- Tak, ale wówczas miałam czterdzieści lat... teraz mam dwieście.

- To wszystko twoja wina. Jesteś prawdziwym zagrożeniem dla otoczenia - powiedziała. - Jak to się dzieje, że w ogóle pozwalają ci chodzić po ulicach.

Sara wiedziała, że uwielbiał słuchać takich rzeczy. Następnego dnia wybrali się na długi spacer po posiadłości i niechcący trafili na grób Lizzie; Sara odgarnęła liście, uklękła na chwilę, uporządkowała mogiłę i nagle poczuła, że William znajduje się tuż przy niej. Zauważyła, że wpatruje się w nią ze smutkiem.

- Czy po tym... naprawdę możemy odebrać życie, Saro? Czy mamy do tego prawo?

Przypomniała sobie nagle, z jakim uczuciem trzymała Lizzie w ramionach. Minęło dwadzieścia lat... tamto dziecko odebrał im Bóg, teraz dawał inne. Czy ma prawo kwestionować ten dar? A potem niewiele brakowało, by straciła Williama. Kim ona jest, by decydować, kto ma żyć, a kto umrzeć? W nagłym przypływie uczucia już wiedziała, czego chce, i jakby stopniała w ramionach Williama. Rozplakała się nad Lizzie, nad nim, nad sobą, nad dzieckiem, które mogła zabić, choć w głębi serca czuła, że nie byłaby w stanie tego zrobić.

- Przepraszam... wybacz, kochany.

- Ciii... wszystko w porządku, już wszystko dobrze.

Siedzieli razem przez długi czas, rozmawiając o Lizzie, o tym, jaka była słodka, o dziecku, które ma się narodzić, i o błogosławieństwie, jakie im towarzyszy. Potem nieśpiesznie ruszyli do zamku, Sara szła koło wózka Williama. Nappełnił ich dziwny spokój i z nadzieją myśleli o przyszłości.

- Mówiłaś, że kiedy to nastąpi? - zapytał William, nagle dumny i zadowolony.

- Lekarz twierdzi, że na Boże Narodzenie.

- Dobrze - powiedział uszczęśliwiony, a potem zachichotał. - Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Phillipowi.

Roześmiali się oboje i wrócili do zamku, rozmawiając i przekomarzając się tak samo, jak przed dwudziestu pięciu laty.

Rozdział dwudziesty drugi

Tym razem przez większą część ciąży Sara trzymała się blisko zamku. Mogła kierować stąd interesami, a nie chciała robić z siebie pośmiewiska w Londynie czy Paryżu. Niezależnie od tego, co William mówił o wieku swoich rodziców, miała świadomość, czym jest ciąża w jej wieku; musiała jednak przyznać, że podoba się jej ten stan.

Zgodnie z przewidywaniami, Phillipa zamurowało ze zdumienia, a potem pozieleniał z wściekłości na wieść o kolejnym potomku rodziców. Stwierdził, że jest to najbardziej skandaliczny fakt, o jakim słyszał kiedykolwiek; ojciec wyśmiał w głos jego oburzenie. Dwoje pozostałych dzieci cieszyło się szczerze. Julian uznał to za wspaniałą wiadomość, a Isabelle ledwie mogła się doczekać dziecka.

Sara zaprojektowała specjalnie na okres świąteczny kilka nowych klejnotów i cieszył ją sposób ich wykonania. Nigel i Phillip kupili nowe, wspaniałe kamienie i Sara z zachwytem zaakceptowała ich wybór.

Tym razem nie spierała się z Williamem o to, by urodzić dziecko w domu. Pojechali do Paryża. Sara zatrzymała się w klinice w Neuilly na dwa dni przed przewidywanym terminem. Pamiętając dziesięciominutowy poród Isabelle, William powiedział, że ma szczęście, iż pozwala jej czekać tak krótko. Przebywała tam straszliwie znudzona i twierdziła, że jest dwukrotnie starsza od pozostałych matek, ale w osobliwy sposób to ich bawiło; William siedział przy niej godzinami, grali w karty i rozmawiali o interesach. Julian i Isabelle pozostali w zamku ze służbą. Od Bożego Narodzenia upłynął prawie tydzień.

W dzień Nowego Roku Sara i William pili szampana; przebywała w klinice od pięciu dni i była tym bardzo zmęczona. Powiedziała mężowi, że jeśli dziecko nie urodzi się następnego dnia, wraca do Whitfield, ale po południu wody odeszły, a do wieczora bóle przybrały na sile. Sara wyglądała na bardzo rozkojarzoną. Kiedy obsługa pojawiła się, by zabrać ją na wózek od męża, chwyciła go za rękę.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi mieć to dziecko...

William bardzo chciał z nią zostać, ale szpital niechętnie na to zezwalał; wobec wieku matki i wiążącego się z tym wysokiego ryzyka, lekarze uważali, że lepiej będzie, jeśli poczeka gdzie indziej.

Do północy William jakoś wytrzymał, a o czwartej rano zaczął wpadać w panikę. Sarę zabrano przed sześcioma godzinami, co było dziwne, zważywszy że Isabelle przyszła na świat bardzo szybko; każde dziecko mogło jednak być zupełnie inne.

William zapytał jeszcze raz pielęgniarkę, czy słyszała cokolwiek o Sarze. Nie było żadnych nowych wiadomości i powiedziano mu, że natychmiast dadzą znać.

O siódmej rano, kiedy wreszcie zjawił się lekarz, William był już w zupełnie roztrzęsionej formie. Zrobił wszystko, co mógł wymyślić, by przetrzymać ten czas - włączając w to modlitwę. Chyba był szalony, zgadzając się na to dziecko. Co będzie, jeśli to ją zabije?

Lekarz z poważną miną wszedł do pokoju - na jego widok serce Williama zamarło.

- Czy coś nie w porządku?

- Nie - potrząsnął głową. - Księżna radzi sobie bardzo dobrze, tak jak oczekiwaliśmy. Ma pan pięknego syna, monsieur. To wielki chłopak, waży ponad dziesięć funtów. Musieliśmy niestety zastosować cesarskie cięcie. Pańska żona bardzo starała się go urodzić siłami natury, ale po prostu nie była w stanie.

Tak samo było przy urodzinach Phillipa - William przypomniał sobie tamten koszmar. Wtedy lekarz także straszył Sarę cesarskim cięciem. Udało jej się tego uniknąć i urodzić pięcioro dzieci. A teraz, w wieku czterdziestu ośmiu lat, macierzyństwo Sary dobiegło końca. Godne szacunku powołanie - uśmiechnął się z ulgą William i spojrzał na lekarza.

- Czy moja żona dobrze się czuje?

- Jest bardzo zmęczona. Będzie odczuwała ból po operacji. Zrobimy naturalnie wszystko, co w naszej mocy, aby zapewnić jej wygodę. Wróci do domu za tydzień lub dwa.

Doktor wyszedł z pokoju, a William dalej rozmyślał: o żonie, o tym, ile dla niego znaczy, o dzieciach, które urodziła... i o tym ostatnim dziecku.

Późnym popołudniem tego dnia wreszcie pozwolono mu ją zobaczyć; ledwo obudziła się z narkozy, ale wykrzesła z siebie coś w rodzaju uśmiechu.

- To chłopiec - szepnęła, a William skinął głową z zadowoleniem i pocałował ją. - Czy to dobrze?

- Cudownie - zapewnił; zdawała się ponownie zasypiać, ale nagle otworzyła oczy.

- Czy możemy dać mu na imię Xavier? - zapytała.

- Dobrze - zgodził się; Sara później nie mogła sobie przypomnieć tej sceny, ale mówiła, że zawsze podobało się jej to imię.

Syna nazwali Xavier Albert; imię Albert nosił kuzyn Williama, zmarły król, ojciec królowej Elżbiety, a William bardzo go lubił. Sara pozostała w szpitalu przez pełne trzy tygodnie. Potem triumfalnie przywieźli dziecko do domu; William bezlitośnie bawił się kosztem żony, że nie będzie mogła mieć już więcej dzieci. Żartował, że strasznie go to martwi, bo miał nadzieję, iż Sara urodzi szóste dziecko na swe pięćdziesiąte urodziny.

- Możemy naturalnie zaadoptować - powiedział po drodze do zamku, a ona zagroziła, że się z nim rozwiedzie.

Dzieci były oczarowane Xavierem; był dużym, radosnym dzieckiem o wesołym usposobieniu. Cieszył się sympatią otoczenia, wszystkich lubił. Chociaż nie miał magicznej mocy swego brata Juliana, jego usposobienie było wzruszająco pogodne i otwarte. Zapowiadało się, że będzie miał silny charakter, choć na szczęście nie tak ekstremalny jak jego siostra.

Latem Xaviera bez ustanku ktoś ze sobą zabierał. Wszyscy chcieli mieć go przy sobie: Julian, Isabelle i rodzice.

Jedynie Sara koncentrowała się na dziecku w mniejszym stopniu niż zamierzała. William czuł się źle i pod koniec lata na nim skupiała całą uwagę. Serce ponownie sprawiało mu kłopoty, lekarz z La Marolle uważał, że księżę źle wygląda. Artretyzm coraz bardziej dawał o sobie znać.

- Nie mogę się z tym pogodzić, że jestem dla ciebie takim ciężarem - skarżył się Sarze; brał czasem ze sobą do łóżka Xaviera, ale zdarzało się, że zbyt cierpiał, by się nim cieszyć.

W tym roku święta Bożego Narodzenia były smutne i pełne napięcia. Sara nie jeździła do Paryża od dwóch miesięcy, a w Londynie ostatni raz pojawiła się wiosną. Nie była w stanie zajmować się biznesem, musiała polegać na Nigelu i Emanuelle. Pragnęła poświęcić całą uwagę i czas Williamowi.

Julian spędzał z ojcem każdą wolną chwilę podczas ferii, a w Wigilię przyleciał nawet Phillip z Londynu; cała rodzina uczestniczyła we wspaniałej wieczerzy w jadalni, a potem wszyscy poszli do kościoła, choć William nie czuł się na tyle dobrze, by im towarzyszyć. Phillip zauważył, że ojciec jakoś się skurczył, wygląda dziwnie krucho i mizernie, choć zachował siłę ducha, wdzięk i poczucie humoru. Był niewątpliwie na swój sposób wielkim człowiekiem; tego dnia, na krótki moment Phillip wreszcie to dostrzegł.

Emanuelle przyjechała z Paryża w dzień Bożego Narodzenia, ale nie dała po sobie poznać, jak zmartwił ją wygląd Williama. Wracając do Paryża co rusz popłakiwała.

Phillip opuścił zamek następnego dnia rano. Julian wybierał się na narty do Courchevel, ale nie bardzo palił się do tego wyjazdu; powiedział matce, że jeśli będzie potrzebny, wróci natychmiast. Isabelle spędzała resztę ferii w Lyonie u przyjaciółki, którą poznała ubiegłego lata. Było to dla niej wielkie przeżycie, ponieważ po raz pierwszy pozwolono jej przebywać tak długo poza domem. Mimo że miała zaledwie dziewięć lat, Sara uznała, że jest dostatecznie duża na taką eskapadę. Córka miała wrócić za tydzień. Istniał cień nadziei, że do tego czasu ojciec poczuje się lepiej.

Ale William zdawał się gasnąć z dnia na dzień. W Nowy Rok był zbyt słaby, by świętować pierwsze urodziny Xaviera. Przygotowano dla małego specjalny tort, Sara odśpiewała mu Happy Birthday podczas lunchu, po czym szybko wróciła na górę do Williama.

W ciągu kilku ostatnich dni przesypiał większość czasu; otwierał oczy, gdy słyszał, że Sara wchodzi do pokoju, choć starała się zachowywać jak najciszej. Lubił mieć świadomość jej obecności. Sara myślała o zabraniu go do szpitala, ale zdaniem lekarza nic by to nie dało. Organizm Williama, tak bardzo zrujnowany w czasach wojny, w końcu zużył się. Sara nie mogła się pogodzić z tą myślą. Wiedziała, do jakiego stopnia William jest silny duchem i w głębi serca miała nadzieję, że w końcu mąż wyzdrowieje.

Wieczorem tego dnia, kiedy Xavier obchodził urodziny, leżała cicho przy Williamie w ich wspólnym łóżu i trzymała go w ramionach; tulił się do niej jak dziecko, zupełnie tak jak Lizzie. Nagle coś ją tknęło, przytuliła go mocniej i okryła kocami, próbując przelać na niego całą swą miłość i energię. Krótco przed świtem spojrział na nią, pocałował w usta i westchnął. Ucałowała delikatnie jego twarz, a William wydał ostatnie tchnienie w ramionach kochającej żony.

Długo siedziała trzymając go w objęciach, a łzy spływały po jej twarzy. Nie mogła pozwolić mu odejść, nie chciała żyć bez niego. Nagle usłyszała, że w oddali płacze Xavier i zdała sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Miała wrażenie, że dziecko zdaje sobie sprawę z odejścia ojca. Dla niego i dla nich wszystkich to była ogromna strata.

Sara delikatnie ułożyła zmarłego, jeszcze raz go ucałowała, a kiedy podniosło się słońce i długie palce światła przebiegły przez pokój, odeszła od męża, zamykając bezszelestnie drzwi. Książę Whitfield odszedł. Była wdową.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ceremonia pogrzebowa w kościele w La Marolle była uroczysta i posepna; miejscowy chór śpiewał Ave Maria. Sara siedziała w ławkach wraz z dziećmi. Przyjechali z Paryża bliscy przyjaciele, ale główna uroczystość żałobna miała się odbyć pięć dni później w Londynie.

Williama pochowano blisko Lizzie koło Chateau de la Meuze; Sara i Phillip kłócili się o to przez całą noc. Najstarszy syn twierdził, że księżęta Whitfield przez siedem wieków chowani byli w Whitfield, ale Sara nie ustąpiła. Chciała go mieć koło siebie i swej córki, w miejscu, które kochał, gdzie mieszkał i pracował z żoną.

Cisza towarzyszyła im przy wyjściu z kościoła - Isabelle trzymała matkę za rękę, a Julian obejmował ją ramieniem. Emanuelle szła wsparta na ramieniu Phillipa - zebrała się niewielka grupka, Sara po pogrzebie przygotowała w zamku lunch dla wszystkich. Okoliczni mieszkańcy przyszli złożyć kondolencje, ich także zaproszono na posiłek. Zgromadzili się wszyscy, którzy służyli Williamowi, którzy go znali i kochali.

Sara nie mogła sobie nawet wyobrazić życia bez niego. Jak odrętwiała chodziła po salonie, częstując winem lub witając się z gośćmi, słuchając wspomnień o Williamie. Nie mogła zrozumieć, że życie, które wspólnie zbudowali i dzielili ze sobą przez z górą dwadzieścia sześć lat, minęło.

Z Londynu przyleciał również Nigel. Nie krył łez, kiedy chowano Williama. Sara łkała w ramionach Juliana. To było ponad jej siły wyobrazić go sobie obok Lizzie. Nie tak dawno byli tu i rozmawiali o urodzeniu ich ostatniego dziecka, które teraz sprawia jej ogromną radość. Xavier nie będzie pamiętał swego ojca. Ma dwóch troskliwych braci oraz matkę i siostrę, które będą go rozpieszczać, ale nigdy się nie dowie, jakim człowiekiem był William. Ta tragiczna świadomość łamała serce Sary.

W dwa dni później wszyscy razem pojechali do Londynu na uroczystość żałobną. Była pompatyczna i wielce ceremonialna. Uczestniczyli w niej wszyscy krewni zmarłego, była też królowa z dziećmi. Następnie wszyscy pojechali do Whitfield, gdzie na herbacie zebrało się czterysta osób. Sara ścisnęła wszystkim ręce jak automat. Wtem z oddali usłyszała słowa: "Wasza Księżęca Wysokość". Odwróciła się, słysząc męski głos udzielający odpowiedzi. Przez moment pomyślała, że wchodzi William; wzdrygnęła się zobaczywszy, że chodzi o Phillipa. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że teraz księciem jest jej syn.

Musiała przetrwać ten kryzys. Nie wiedziała, co ma począć, gdzie iść, by uciec przed bólem. Gdyby wyjechała do Whitfield, rozpacz będzie się potęgować, a w Chateau de la Meuze tym bardziej. Gdyby zatrzymała się w hotelu w Londynie, mogłaby myśleć jedynie o nim, apartament w Paryżu napełniał ją przerażeniem - tacy byli w nim szczęśliwi. W Ritzu zatrzymali

się podczas podróży poślubnej... nie miała dokąd pójść, dokąd uciec. William był z nią wszędzie, w sercu, duszy, w jej myślach, w każdym z dzieci.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał ją dyskretnie Phillip, kiedy w Whitfield wyglądała za okno. Nie miała zielonego pojęcia; nagle zupełnie przestały ją zajmować interesy, chętnie by mu je przekazała. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, musiał się jeszcze wiele nauczyć; Julian miał dopiero piętnaście - biorąc pod uwagę to, gdyby kiedyś zechciał poprowadzić sklep w Paryżu.

- Nie wiem - odrzekła szczerze. Upłynął miesiąc od śmierci Williama, a Sara ciągle jeszcze nie umiała trzeźwo myśleć. - Staram się ocenić sytuację i nie mogę. Nie wiem, gdzie jechać, co robić. Zastanawiam się, czego on by ode mnie oczekiwał.

- Myślę, że chciałby, abyś ciągnęła dalej - powiedział otwarcie Phillip - wszystko... mam na myśli biznes... i wszystko to, co robiliście razem. Nie możesz przestać żyć.

Czuła się złapana w pułapkę własnej bezsilności.

- Niekiedy chciałabym.

- Wiem, ale nie możesz sobie na to pozwolić - powiedział cicho. - Wszyscy mamy zobowiązania.

Obowiązki Phillipa były teraz trudniejsze niż większości innych młodych ludzi. Odziedziczył Whitfield - Julian nigdy nie będzie miał żadnego udziału w tym majątku. Phillip pozostanie w zamku, dzieląc go z Isabelle i Xavierem - taki był niesprawiedliwy angielski system prawny. Teraz Phillip nosi na barkach ciężar tytułu i wszystkiego, co się z nim wiąże. Jego ojciec nosił go należycie i z godnością. Co do Phillipa, Sara nie miała całkowitej pewności.

- A co z tobą? - zapytała nieśmiało. - Co ty zamierzasz robić?

- To samo, co robiłem dawniej - odparł z wahaniem, a potem zdecydował się powiedzieć matce coś, o czym jeszcze nigdy nie wspominał. - Niebawem zjawi się ktoś, kogo powinnaś poznać.

To był nie najlepszy czas na takie oświadczenia, dlatego nie poruszył dotychczas tego tematu. Chciał powiedzieć rodzicom o Cecyli podczas świąt, ale ojciec był tak chory, że Phillip nie śmiał o tym wspomnieć.

- Czy to ktoś szczególny?

- Mniej więcej - Phillip, nieco skonfundowany odpowiedział enigmatycznie.

- Może zjemy wspólnie kolację, zanim wyjadę z Anglii.

- Bardzo bym tego chciał - odpowiedział nieśmiało. Różnił się od reszty rodziny, chociaż Sara starała się tego nie zauważać.

Przypomniała mu o tym po dwóch tygodniach, gdy zaczęła już myśleć o wyjeździe do Paryża. Emanuelle miała pewne kłopoty ze sklepem, Isabelle musiała wracać do szkoły. Sara

zatrzymała córkę przy sobie w Whitfield, choć Julian wrócił już przed kilkoma tygodniami do Francji.

- Co z tą osobą, którą chciałeś zaprosić na kolację? - przycisnęła go delikatnie, a on nadal zachowywał się wstrzemięźliwie.

- Ach, to... zapewne nie będziesz miała czasu przed odjazdem.

- Przeciwnie, mam czas - sprzeciwiła się. - Dla ciebie zawsze mam czas. Kiedy chcesz to zorganizować?

Phillip żałował, że w ogóle o tym wspomniał, ale Sara bardzo starała się ułatwić mu sytuację; ustalili termin kolacji w Connaught. Dziewczyna, którą tam poznała następnego wieczora, nie zdziwiła Sary ani trochę. Była zwykłą typową Angielką, wysoką, szczupłą, bladą i małomówną. Mogła się poszczycić arystokratycznym pochodzeniem. W ogóle była to wielce szacowna i najnudniejsza dziewczyna, jaką Sara kiedykolwiek poznała. Nazywała się lady Cecily Hawthorne, jej ojciec był ministrem w rządzie, a ona sama bardzo miłą panną o doskonałych manierach; Sara zastanawiała się jednak w głębi duszy, jak Phillip może ją znieść. Cecily nie miała ani odrobiny sex appealu, nie było w niej żadnego ciepła i przytulnego uroku; to z pewnością nie był ktoś, z kim można bawić się i śmiać. Sara próbowała nazajutrz delikatnie podsunąć tę wątpliwość Phillipowi.

- To cudowna dziewczyna - rzekła przy śniadaniu.

- Cieszę się, że ci się spodobała - stwierdził z zadowoleniem; Sara zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście plany Phillipa wobec Cecily są na tyle poważne, że powinna się o to martwić. Sama ma jeszcze dziecko niemal w pieluszkach, a teraz musi się przejmować ewentualną synową. W dodatku nie ma przy niej Williama. Gdzie jest sprawiedliwość na tym świecie! - jęknęła sama do siebie, starając się zachowywać w stosunku do Phillipa swobodnie.

- Czy znajomość z Cecily ma poważny charakter? - zapytała, starając się nie udławić kawałkiem grzanki, kiedy Phillip skinął głową. - Bardzo to poważne?

- Może tak. To z pewnością jest dziewczyna, z którą człowiek chciałby się ożenić.

- Wiem, kochany, dlaczego tak myślisz - odparła starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i zastanawiając się, czy syn jej wierzy. - To jest wspaniała dziewczyna... ale czy jest dostatecznie pogodna? O tym warto pomyśleć. Twój ojciec i ja zawsze dobrze się razem bawiliśmy i uważam, że to istotny składnik małżeństwa.

- Zabawa? - zapytał patrząc na matkę ze zdziwieniem. - Zabawa? Jakie to może mieć znaczenie? Nie rozumiem cię, mamo.

- Phillipie - postanowiła być z nim szczerą mając nadzieję, że nie będzie tego żałować. - Dziedzictwo krwi, rasa to nie wszystko. Potrzebujesz czegoś więcej... kogoś, kto wczuje się w specyficzną rolę, z kim można robić rozmaite fajne rzeczy w małżeństwie.

Phillip był dostatecznie dorosły, by usłyszeć od niej prawdę, a poza tym był rok 1966, a nie 1923. Młodzi ludzie pielgrzymowali do San Francisco przyodziani w powłóczyste szaty i z kwiatami we włosach; Phillip nie powinien być taki staroświecki, ale zadziwiająca była to, że taki właśnie jest. Patrzył na matkę przerażony.

- Cóż, wiem naturalnie, że ty i ojciec wyczynialiście różne takie hece, ale to nie oznacza, że zamierzam wybrać sobie żonę według takich samych standardów.

W tym właśnie momencie Sara nabrała pewności, że jeśli Phillip ożeni się z tą dziewczyną, popełni straszny błąd; wiedziała także, że jeśli sama mu to powie, on nie weźmie tego za dobrą monetę.

- Czy nadal wierzysz w podwójną moralność, Phillipie? Że można się bawić z jedną dziewczyną, a żenić z inną? Czy rzeczywiście lubisz poważne, dobrze urodzone panny z tak zwaną klasą? Bo jeśli lubisz zabawiać się z seksownymi, wesołymi dziewczynami, a ożenisz się z zupełnie inną osobą tylko dlatego, że jest "odpowiednia", możesz wpaść w nie lada tarapaty.

Trafiła w sedno - zauważyła, że jej słowa dotarły do Phillipa.

- Przemyślę to sobie - najwyraźniej stanowisko matki wywarło na nim wrażenie.

- Tak samo zrobił twój ojciec, Phillipie. I poślubił mnie. Nie sądzę, by tego żałował. W każdym razie mam taką nadzieję - uśmiechnęła się ze smutkiem do swego najstarszego syna, czując, że wieje od niego chłodem.

- Pochodzisz z wyśmienitej rodziny, chociaż byłaś rozwiedziona.

Dawno powiedziała o tym swoim dzieciom, nie musiał nikt jej wyręczać.

- Z tego wynika, że nie podoba ci się Cecily? - zapytał lodowatym tonem, podnosząc się, by odejść od stołu.

- Owszem, podoba mi się. Sądzę jedynie, że jeżeli zastanawiasz się nad poślubieniem jej, powinieneś poważnie przeanalizować, jakie walory chcesz znaleźć w przyszłej żonie. To bardzo miła dziewczyna, ale strasznie poważna i niezbyt ekspansywna.

Sara zawsze wiedziała, że Phillip ma skłonność do pełnych werwy dziewcząt; słyszała opowieści na ten temat w Londynie i Paryżu. Lubił się fotografować z seksownymi dziewczynami, ale niekiedy wybierał inne. Oczywiście nie było wątpliwości, że Cecily jest "odpowiednia", ale też strasznie nudna.

- Ona będzie wspaniałą księżną Whitfield - powiedział surowo Phillip.

- Zgadza się, to ważne. Ale czy ci to wystarczy? - Sara czuła, że musi postawić to pytanie.

- Myślę, że sam najlepiej mogę to osądzić - odparł, a ona skinęła głową, mając jedynie nikłe przekonanie o słuszności argumentów syna. Sara dobrze wiedziała, co w trawie piszczy.

- Pragnę jedynie twojego dobra - powiedziała całując go na pożegnanie.

Phillip wyjechał zaraz do miasta, a Sara z dwójką młodszych dzieci poleciała po południu do Paryża. Zabrała je do zamku i pozostawiła z Julianem, a sama wróciła na kilka dni do Paryża załatwić niezbędne interesy. Ale jej serce wyrywało się do Chateau de la Meuze - chciała szybko tam wrócić i odwiedzić grób Williama. Emanuelle uznała, że to chorobliwe.

Upłynęło wiele czasu, zanim Sara wróciła do siebie; dopiero w lecie poczuła się normalnie. Phillip zawiadomił o planowanym ślubie z Cecily Hawthorne. Sara współczuła mu, ale już nigdy o tym nie wspominała. Państwo młodzi zamierzali korzystać z jego londyńskiego mieszkania, ale też spędzać wiele czasu w Whitfield - Cecily chciała trzymać tam konie. Phillip zapewnił matkę, że może korzystać z domku myśliwskiego, kiedy tylko zechce. On i Cecily przejmowali naturalnie główny dom. O swym rodzeństwie nie wspomniał.

Sara nie musiała robić żadnych planów związanych z weselem - wszystkim zajęli się Hawthornowie. Uroczystość przypadła około świąt Bożego Narodzenia. Ślub odbył się w ich rodowej siedzibie w Staffordshire. Whitfieldowie stawili się tłumnie; Sara szła pod rękę z Julianem; na uroczystym śniadaniu w dniu ślubu pojawiła się w chanelowskim beżowym wełnianym kostiumie.

Isabelle miała na sobie uroczą sukienkę z białego aksamitu, na nią włożyła dopasowany kolorystycznie żakiet przybrany gronostajami, Xavier był ubrany w czarny garniturek z aksamitu z paryskiej firmy La Chateleine. Julian wytwornie prezentował się w surducie, podobnie jak Phillip. Panna młoda pięknie wyglądała w koronkowej sukni swojej babki. Była trochę za wysoka na ten ubiór, welon w osobliwy sposób miała upięty na głowie. Gdyby Sara miała z kim poplotkować, na przykład z Emanuelle, która nie przyjechała na ślub, uznałaby, że Cecily wygląda koszmarnie, jak długi, suchy patyk, jest kompletnie pozbawiona wdzięku i sex appealu. Nie zadała sobie nawet trudu, by zrobić makijaż. Phillip jednak wydawał się z niej bardzo zadowolony. Ślub odbył się tydzień przed Bożym Narodzeniem, po czym państwo młodzi wyjechali w podróż poślubną na Wyspy Bahama.

Sara nie mogła powstrzymać się od rozważań, co pomyślałby o nich William. Kiedy wieczorem wróciła do hotelu Claridge, była przygnębiona tym, że nie polubiła swojej pierwszej synowej i zachodziła w głowę, czy w przypadku kolejnych będzie miała więcej szczęścia.

Dziwnie układało się jej życie. Dzieci robiły takie zadziwiające rzeczy. Żyły na swój zupełnie odrębny sposób, kontaktując się z ludźmi, którzy odpowiadali tylko im samym. Po powrocie do Paryża Sara poczuła nadludzką tęsknotę za Williamem. Potem pojechała samochodem do zamku. To były pierwsze święta Bożego Narodzenia bez niego... mijał właśnie rok od jego śmierci. W dzień Nowego Roku Xavier skończy dwa lata. W głowie Sary kłębiły się wspomnienia. Kiedy o zmroku wolno zajeżdżała przed zamek, zobaczyła stojącego tam mężczyznę. Wyglądał tak

znajomo, a jednocześnie odmiennie. Zastanawiała się, czy to sen. Ale to nie była żadna zjawka. To był on... przez moment wydawało się, że niemal się nie zmienił. Powoli podszedł do Sary z miłym uśmiechem, a ona tylko patrzyła. To był Joachim.

Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy Sara wysiadła z rollsa przed zamkiem, wyglądała, jakby zobaczyła ducha, co niewiele odbiegało od prawdy. Upłynęły prawie dwadzieścia trzy lata, odkąd widziała go po raz ostatni. Dwadzieścia trzy lata od chwili, kiedy pocałował ją na pożegnanie, zabierając swych żołnierzy do Niemiec. Nigdy później o nim nie słyszała, nie wiedziała nawet, czy żyje, ale myślała często, zwłaszcza gdy wspominała Lizzie.

Wyszła powoli z samochodu, Joachim wpatrywał się w nią uważnie. Bardzo niewiele się zmieniła i nadal była piękna. Wyglądała teraz bardziej dystygownie, trochę posiwiały jej włosy. W tym roku skończyła pięćdziesiąt lat, ale wprost trudno było w to uwierzyć.

- Kto to jest? - wyszeptał Julian. Mężczyzna wyglądał bardzo dziwnie, był szczupły, leciwy i wpatrywał się w matkę.

- Wszystko w porządku, kochanie. To stary przyjaciel. Zabierz dzieci do środka.

Julian podniósł Xaviera, wziął Isabelle i wszyscy troje weszli do zamku, oglądając się z ciekawością za siebie. Sara z wolna podeszła do przybysza.

- Joachim? - zapytała szeptem, a on zbliżył się do niej z dobrze znanym uśmiechem. - Co tu robisz?

Tak długo zwlekał z przyjazdem. Dlaczego teraz? Miała mu tyle rzeczy do powiedzenia, i tyle było pytań.

- Witaj, Saro - powiedział cicho, ujmując jej rękę. - Upłynęło tak wiele czasu... a ty wciąż wyglądasz wspaniale.

Prezentowała się o wiele lepiej niż doskonale. Sam jej widok przyprawił go o szybsze bicie serca.

- Dziękuję. - Wiedziała, że Joachim ma sześćdziesiąt lat; tylko czas nie obszedł się z nim łaskawie. Łaskawszy był jednak niż dla Williama - Joachim żył nadal.

- Czy zechcesz wejść do środka? Właśnie wróciliśmy z Anglii - wyjaśniła tonem gospodyni przyjmującej długo oczekiwanego gościa - ze ślubu Phillipa.

Uśmiechnęła się; za zasłoną słów ich oczy wciąż się poszukiwały.

- Phillip się ożenił?

- Ma dwadzieścia siedem lat - przypomniała mu, gdy otwierał drzwi, by wpuścić ją pierwszą do środka. Oboje uświadomili sobie, że on kiedyś tu mieszkał.

- Czy masz więcej dzieci?

- Troje - odrzekła z uśmiechem. - Jedno narodziło się bardzo niedawno; Xavier w przyszłym tygodniu skończy dwa lata.

- Masz małe dziecko? - spojrzał wyraźnie zaskoczony i roześmiał się.

- Jesteś prawie tak samo zdziwiony, jak ja byłam wówczas. Ten sport William uprawiał z powodzeniem.

Nie chciała mu mówić, że William nie żyje, jeszcze nie teraz. Wtedy zdała sobie sprawę, że Joachim może nie wiedzieć, iż William w ogóle wrócił z wojny. To w każdym razie musiała mu powiedzieć.

Zaprosiła go do dużego salonu; rozejrzał się po pokoju, z którym wiązało się tak wiele wspomnień. Ale widok Sary pociągał go bardziej, nie mógł sobie odmówić wpatrywania się w nią. Oszłomiła go wiadomość, że gdyby przyjechał dzień wcześniej, byłaby jeszcze w Anglii.

- Co cię tutaj sprowadza, Joachimie?

Chciał powiedzieć: "ty", ale nie zrobił tego.

- Mam brata w Paryżu. Przyjechałem do niego na Boże Narodzenie. Obaj jesteśmy samotni - prosił, abym go odwiedził.

I po chwili:

- Od dawna chciałem cię zobaczyć, Saro.

- Nigdy się ze mną nie próbowałaś skontaktować - zabrzmiało to jak skarga; ona też do niego nie pisała. Teraz jednak nie była pewna, czy powinna była pisać, nawet gdyby wiedziała, gdzie go szukać. Może tak, przynajmniej raz, ale to byłoby nieuczciwe w stosunku do Williama.

- Zaraz po wojnie sprawy układały się źle - wyjaśnił. - Berlin przez długi czas był istnym domem wariatów, a kiedy udało mi się wrócić, przeczytałem w gazetach, że księżę Whitfield wyszedł z wojny obronną ręką. Czułem się bardzo szczęśliwy ze względu na Ciebie. Wiedziałem, jak bardzo pragniesz jego powrotu. Kiedy już znałem prawdę, nie uznałem za stosowne pisać do ciebie ani przyjeżdżać w odwiedziny, choć czasami myślałem o tym. W ciągu tych wszystkich lat byłem kilkakrotnie we Francji, ale wizyta u ciebie nie wydawała mi się właściwa i czymkolwiek uzasadniona. Tak więc nigdy nie odwiedziłem cię.

Skinęła głową. Rozumiała go aż za dobrze i osobliwie przeżywała to dziwne spotkanie. Nie zmaże wspomnień, że czuli coś do siebie przed laty. Choć na szczęście udało się im zachować nad sobą kontrolę; nie mogli jednak udawać, że to uczucie nie istniało.

- William zmarł w ubiegłym roku - powiedziała Sara z bólem.

Jej oczy mówiły wyraźnie, jaka samotna czuje się bez męża. Joachim nie mógł udawać, że nie wie, o co chodzi. W końcu to było bezpośrednim powodem jego przyjazdu. Nigdy nie chciał się wtrącać w małżeńskie życie Sary i Williama, wiedząc, jak bardzo kocha męża, ale teraz, gdy dowiedział się o śmierci księcia, musiał przyjechać, by choć spróbować spełnić marzenie swojego życia.

- Wiem. O tym także czytałem w gazecie.

Skinęła głową; nadal nie rozumiała powodu jego przyjazdu, ale powitała go z prawdziwą przyjemnością.

- Czy ożeniłeś się powtórnie?

- Nigdy - potrząsnął głową. Jej wspomnienie prześladowało go przez ponad dwadzieścia lat; nigdy nie spotkał kobiety takiej jak ona.

- Wiesz, zajmuję się teraz jubilerstwem - wyglądała na rozbawioną, a on uniósł ekspresyjnie brwi.

- Doprawdy? - wyglądał na szczerze zdziwionego. - To coś nowego, prawda?

- Teraz już nie. Po wojnie to był prawdziwy przebój sezonu.

Opowiedziała mu całą sagę jubilerską - o ludziach, którzy przychodzili do nich, by sprzedać biżuterię, o tym, jak interes zaczął się rozkręcać, o sklepie w Paryżu, który prowadzi Emanuelle, i o drugim w Londynie.

- To wspaniale. Będę musiał odwiedzić Emanuelle, gdy będę w Paryżu.

Powiedziawszy to zastanowił się. Wiedział, że nigdy go naprawdę nie lubiła.

- Wyobrażam sobie, że ceny są tam zbyt wysokie jak na moje możliwości. Straciliśmy wszystko - dodał rzeczowo. - Wszystkie ziemie na obecnym wschodzie.

Współczuła temu człowiekowi. Było w nim coś desperacko smutnego. Robił wrażenie kogoś, komu życie okrutnie dało w kość, kogoś potwornie samotnego. Poczęstowała go kieliszkiem wina i poszła zobaczyć, co dzieje się z dziećmi. Isabelle i Xavier jedli w kuchni kolację razem ze służącą, Julian poszedł na górę zatelefonować do swej dziewczyny. Chciała przedstawić Joachimowi wszystkie swoje dzieci, ale wcześniej zamierzała z nim chwilę porozmawiać. Podejrzewała, że ma jakiś szczególny powód, by ją odwiedzić.

Ponownie weszła do salonu i zobaczyła, że ogląda książki. Po chwili znalazł tę, którą podarował jej na święta Bożego Narodzenia przed dwudziestu laty.

- Masz ją nadal - wyglądał na ucieszonego i Sara też się uśmiechnęła. - W Niemczech na moim biurku ciągle stoi twoja fotografia.

To także wydało się jej żalosne. Przez te wszystkie lata już inna fotografia powinna pojawić się na jego biurku.

- Ja także mam twoje zdjęcie. Jest schowane.

W jej życiu z Williamem nie było miejsca na jego fotografię i Joachim wiedział o tym.

- Co teraz robisz?

Wyglądał dystygowanie, nie jak ktoś biedny, ale nie robił wrażenia bogatego człowieka.

- Jestem profesorem literatury angielskiej na uniwersytecie w Heidelbergu - uśmiechnął się; przypomnieli sobie rozmowy o Keatsie i Shelleyu.

- Z pewnością jesteś w tym bardzo dobry.

Odstawił kieliszek z winem i przysunął się do niej.

- Może źle zrobiłem przyjeżdżając tu, Saro, ale tak często o tobie myślałem. Wydaje mi się, jakbym zaledwie wczoraj stąd wyjechał.

W rzeczywistości nie było to wczoraj, ale upłynęło pół życia.

- Chciałem cię ponownie zobaczyć... by stwierdzić, czy ty też pamiętasz, czy to ciągle jeszcze coś dla ciebie znaczy, tak jak kiedyś znaczyło dla nas obojga.

O tyle rzeczy należało zapytać; jej życie było takie pełne wrażeń, a jego najwidoczniej nikomu nieprzydatne.

- Upłynęło wiele czasu, Joachimie... Zawsze pamiętałam o tobie - szczerść brzmiała w jej słowach. - Wtedy kochałam cię i być może, gdyby sprawy ułożyły się inaczej, gdybym nie była żoną Williama... ale potem on wrócił do domu. Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedykolwiek pokocham innego mężczyznę.

- Nawet takiego, którego przedtem kochałaś? - Jego oczy były pełne nadziei i straconych złudzeń, ale Sara nie mogła mu dać odpowiedzi, jakiej oczekiwał.

Potrząsnęła głową ze smutkiem.

- Nawet ciebie, Joachimie. Nie mogłam wtedy i nie mogę teraz... Zawsze będę żoną Williama.

- Ale jego już nie ma - powiedział łagodnie, zastanawiając się, czy nie przyjechał po prostu za wcześniej.

- Jest w moim sercu, tak samo jak wówczas. Byłam wdzięczna losowi wtedy i identycznie odczuwam to teraz. Nie potrafię się zmienić, Joachimie.

- Żałuję -- wyglądał na załamane.

W tej samej chwili przyłączyły się do nich dzieci. Isabelle uprzejmie dygnęła przed gościem, Xavier zaś pędził jak lokomotywa po pokoju niszcząc wszystko, co mu wpadło w ręce; w końcu pojawił się Julian, by zapytać, czy może wyjść z przyjaciółmi. Sara przedstawiła go Joachimowi.

- Masz wspaniałą rodzinę - powiedział, kiedy znowu zostali sami. - Ten najmniejszy jest trochę podobny do Phillipa.

Podczas okupacji Phillip był dokładnie w tym samym wieku; wtedy widziała w oczach Joachima, jak bardzo lubi jej syna i Lizzie. Wiedziała, że on także myśli o niej i dała znać gestem, że wie, co Joachim chce powiedzieć.

- Niekiedy myślę także o niej... była jakby naszym dzieckiem - rzekł Joachim.

- Wiem.

Jej mąż też tak uważał. Powiedział kiedyś Sarze, że jest zazdrosny o Joachima, bo on znał Elizabeth, a William nie.

- Była taka słodka... Julian jest trochę do niej podobny. Czasami Xavier także. Isabelle jest bardzo spontaniczna i niezależna.

- To patrzy jej z oczu - dodał. - I ty również, Saro. Nadal cię kocham i to się nie zmieni. Jesteś właśnie taka, jaką cię zachowałem w pamięci, może tylko jeszcze piękniejsza. I tak samo dobra. Wolałbym może, abyś nie była taka idealna.

W odpowiedzi zaśmiała się prawie bezgłośnie.

- Przykro mi.

- William miał bardzo wielkie szczęście. Mam nadzieję, że był tego świadomy.

- Myślę, że stanowiliśmy doskonałą parę. Szkoda, że nie pożył choć trochę dłużej.

- Jak on się czuł po wojnie? Gazety pisały, że jego ocalenie graniczyło z cudem.

- To prawda. Odniósł straszliwe rany, torturowano go.

- Oni robili okropne rzeczy - głos jego kipiał gniewem. - Przez pewien czas wstydzilem się przyznać, że jestem Niemcem.

- Ty starałeś się jedynie pomóc swoim, kiedy byliście tutaj. Resztę wykonali inni. Nie musisz się niczego wstydzić.

Kochała go niegdyś i szanowała, mimo że byli po przeciwnych stronach barykady.

- Świat nigdy nam nie zapomni tego, co uczyniliśmy, i będzie miał rację. Zbrodnie były bestialskie.

Nie mogła się z nim nie zgodzić; widać było, że ma w tej sprawie wyrobione zdanie. Był szlachetnym człowiekiem, a niegdyś honorowym żołnierzem.

W końcu Joachim podniósł się i ponownie rozejrzał po pokoju, jakby starał się zapamiętać każdy szczegół przed odejściem.

- Powinienem wrócić do Paryża. Brat na mnie czeka.

- Przyjedź znowu - powiedziała Sara odprowadzając go; ale oboje wiedzieli, że tego nie uczyni. Odprowadziła go powoli do samochodu. Zatrzymał się i znowu spojrzął na nią. Z jego oczu wycierał głód serca - marzył, by ją dotknąć.

- Cieszę się, że znowu cię zobaczyłem... Pragnąłem tego od tak dawna - uśmiechnął się i delikatnie musnął twarz Sary, tak jak uczynił przed laty. Pochyliła się i pocałowała go w policzek, a potem z wolna ruszyła ku domowi. Zrobiła ostatni krok na drodze z przeszłości ku teraźniejszości.

- Dbaj o siebie, Joachimie...

Wahał się przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową. Wsiadł do swego wozu i żartobliwie zasalutował; Sara nie widziała jego łez, gdy odjeżdżał. Widziała jedynie samochód i człowieka, którym niegdyś był. Swoje myśli mogła poświęcić tylko Williamowi. Joachim odjechał przed wielu laty i teraz nie było już dla niego miejsca. Nie było od lat. Kiedy straciła z oczu jego samochód, odwróciła się i weszła do zamku.

Rozdział dwudziesty piąty

Gdy w 1972 roku Julian ukończył filozofię i nauki humanistyczne na Sorbonie, Sara była z niego bardzo dumna. Na uroczystość pojechali wszyscy z wyjątkiem Phillipa, który właśnie kupował w Londynie słynną kolekcję brylantów, której część stanowił wspaniały diadem. Na wręczenie dyplomu przybyła również Emanuelle. Wyglądała bardzo uroczyście w ciemnoniebieskim kostiumie Givenchy. Biżuteria z szafirami pochodziła z Whitfield's. Emanuelle w ciągu tych lat stała się ważną osobą w kręgach towarzyskich Paryża. Jej romans z ministrem finansów od dawna był publiczną tajemnicą. Nie rozstawali się od kilku lat, on traktował ją z respektem i uczuciem. Żona ministra od dawna ciężko chorowała, dzieci dorosły, ich związek nikomu więc nie czynił krzywdy. Zachowywali się dyskretnie, on był bardzo uprzejmy, Emanuelle zaś naprawdę go kochała. Przed kilku laty kupił jej piękny apartament przy Avenue Foch; występowała u jego boku, a ludzie ubiegali się o zaproszenie na ich przyjęcia. Bywała tam cała śmietanka towarzyska Paryża, a jej posada szefowej Whitfield's była przedmiotem ogromnego zainteresowania. Ubierała się nienagannie, miała znakomity gust i nieprawdopodobnie piękne klejnoty, które cierpliwie kompletowała od lat. Niektóre były podarkami od ministra.

Sara była wdzięczna Emanuelle, że ciągle u niej pracuje, a zwłaszcza teraz, kiedy do biznesu zaczął wchodzić Julian. Choć miał wspaniały smak i doskonałe wyczucie projektanta, a także oko do wyjątkowych klejnotów, nie znał jednak wielu sekretów dotyczących prowadzenia interesu. Emanuelle od dawna nie rezydowała już na parterze jako sprzedawczyni; miała biuro na piętrze i była dyrektorką generalną, jej gabinet zaś mieścił się dokładnie naprzeciw gabinetu Sary. Czasami zostawiały otwarte drzwi i wykrzykiwały coś do siebie przez korytarz, jak dwie dziewczyny odrabiające lekcje w internacie. Pozostały bliskimi przyjaciółkami; jedynie ich przyjaźń, dzieci i stale rosnąca ilość zajęć pomogły Sarze przeżyć śmierć Williama. Od tej tragedii upłynęło już sześć samotnych lat.

Życie bez niego nie było takie jak dawniej - różnice dotyczyły zarówno spraw ważnych, jak i wszystkich drobnych. Wspólna zabawa, nieznaczne gesty, uśmiechy, kwiaty, głębokie zrozumienie, wspólne lub nawet diametralnie przeciwne poglądy, jego nieustanny zdrowy osąd, nieskończona mądrość - wszystko to należało do przeszłości. Sara czuła niemal fizyczny ból na wspomnienie tamtych chwil.

Nie narzekała na brak zajęć. Isabelle miała teraz szesnaście lat, mały Xavier siedem. Wtykał palce, gdzie tylko mógł, a Sara często zastanawiała się, czy przeżyje własne dzieciństwo. Znajdowała go na stromym dachu zamku lub w dołach, jakie wygrzebał koło stajni, eksperymentującego z przewodami elektrycznymi lub budującego konstrukcje, które wyglądały

tak, jakby łatwo mogły zrobić mu krzywdę. Jakoś jednak udawało mu się to wszystko przeżyć; jego energia i pomysłowość intrygowały Sarę. Xaviera pasjonowały także skały, ciągle odkrywał w ziemi złoto, srebro albo diamenty. Cokolwiek zabłysło, rzucał się na znalezisko i oznajmiał, że odkrył klejnot dla Whitfield's.

Phillip też miał już dzieci: pięcioletniego Alexandra i trzyletnią Christine; Sara przyznała się w wielkim sekrecie Emanuelle, że jej wnuki są tak podobne do Cecily, iż niespecjalnie za nimi przepada. Były miłutkie, ale mizerne i blade. Wstydliwie trzymały się na dystans, nawet od Sary. Czasami zabierała do Whitfield Xaviera, by się z nimi bawił, ale chłopiec był znacznie bardziej przedsiębiorczy, zbyt wiele psocił i w końcu stało się oczywiste, że Phillip nie przepada za tymi wizytami.

W gruncie rzeczy nie lubił on żadnego ze swoich braci ani siostry i nie interesował się nikim z rodzeństwa poza Julianem, którego - jak czasami obawiała się Sara - wprost nienawidził.

Był o niego zazdrosny do tego stopnia, iż Sara martwiła się, że kiedy Julian wejdzie do biznesu, Phillip może wyrządzić bratu krzywdę. Jej pomocnica podzielała te same obawy i Sara nalegała, by Emanuelle pilnie go obserwowała. Phillip był pupilkiem i przyjacielem, gdy była młoda i prowadziła mniej wykwintne życie; pod niejednym względem Emanuelle znała Phillipa lepiej niż Sara. Wiedziała, że jest mściwy i zdolny do wszelkiej podłości, gdy ktoś go lekceważy. Nie daj Boże, by próbowano pokrzyżować jego plany. Emanuelle była zaskoczona, że po tylu latach Phillip nadal utrzymuje poprawne stosunki z Nigelem. Łączył ich niezwykle dziwny związek, swoiste małżeństwo z rozsądku, które najwyraźniej nadal się sprawdzało.

Nienawiść Phillipa wzbudzało to, że Julian był tak bardzo kochany przez rodzinę, przyjaciół, a także przez kobiety. Uwodził najbardziej atrakcyjne dziewczyny w mieście. Piękne, wesole, olśniewające, wyraźnie go adorowały. Zanim Phillip ożenił się, miał kobiety, ale pośledniejszej klasy. Emanuelle zdawała sobie sprawę, że ten typ pań pociąga go i teraz, gdy przebywa z dala od żony. Kiedyś w Paryżu widziała go z taką jedną - udawał, że to sekretarka i że przyjechali do Francji w interesach. Zatrzymali się w Plaza Athenee, a Phillip wypożyczył dla niej na kilka dni najpiękniejszą biżuterię. Bardzo prosił Emanuelle, by nie wspominała o tym Sarze. Jednak biżuteria wyglądała bardzo nieciekawie na bladej przyjaciółce Phillipa, zmęczonej i bez dobrego smaku, w dodatku ubierającej się w śmiesznie krótkie sukienki. Wyglądała po prostu tandetnie, ale Phillip zdawał się tego nie dostrzegać. Sara serdecznie mu współczuła; dla niej było oczywiste, że w małżeństwie nie czuje się szczęśliwy.

Dosyć powiedzieć, że podczas uroczystości z okazji ukończenia studiów przez Juliana nikomu nie brakowało Phillipa.

- A więc, przyjacielu - zapytała Emanuelle Juliana, gdy wychodzili z Sorbony - kiedy rozpoczniesz pracę? Jutro, n'est-ce pas?

Wiedział, że to tylko żart, ponieważ Emanuelle wybierała się tego dnia na przyjęcie, które matka wydawała w zamku na jego cześć. Mieli się tam znaleźć wszyscy przyjaciele.

Chłopcy nocowali zawsze w stajni, dziewczęta w zamku i domku dozorca, przypadkowi goście zaś - w miejscowych hotelach. Oczekiwano około trzystu osób. Po przyjęciu Julian wybierał się na kilka dni na Riwierę, ale obiecał matce, że rozpocznie pracę w poniedziałek.

- W poniedziałek. Przyrzekam - spojrzał wymownie na Emanuelle swymi ogromnymi oczami, na których widok stopniało już tyle serc. Jego podobieństwo do ojca było wprost niewiarygodne. - Przysięgam...

Uniósł do góry palce w geście oficjalnej przysięgi, a Emanuelle roześmiała się. Zabawnie będzie mieć go w Whitfield's. Jest taki przystojny, kobiety kupią od niego wszystko. Żywiła nadzieję, że to nie Julian będzie kupował dla nich. Był ogromnie hojny, podobnie jak William, i miał bardzo dobre serce.

Sara zaproponowała mu swoje mieszkanie w Paryżu, zanim znajdzie sobie własne lokum, a Julian czekał niecierpliwie, by tam zamieszkać. Na prezent z okazji dyplomu dostał od matki alfa romeo, samochód, który z pewnością będzie robił wrażenie na dziewczynach. Zaproponował Emanuelle, że zawiezie ją tego dnia do zamku, ale ona już wcześniej przyrzekła jechać z Sarą.

Zamiast Emanuelle z Julianem pojechała do zamku Isabelle; dogadywał jej z powodu długich nóg i nieco za krótkiej spódniczki; kiedy wsiadała tak ubrana do samochodu, wyglądała raczej na dwadzieścia pięć niż szesnaście lat.

Julian często twierdził, że jego siostra przysparza kłopotów. Flirtowała ze wszystkimi jego kolegami, spotykała się z kilkoma z nich. Brat dziwił się, że matka nie traktuje jej surowiej. Ale od śmierci Williama Sara była łagodniejsza dla wszystkich dzieci, jakby nie miała siły czy ochoty z nimi walczyć. Julian stwierdzał, że matka pozwala Xavierowi na wszystko, ale on tylko strzelał z petard koło stajni i straszył konie albo gonił zwierzęta gospodarskie po winnicy.

Przewinienia Isabelle były znacznie bardziej niebezpieczne, choć bardziej dyskretne, jeżeli przyjaciel Juliana, Jean-Francois mówił prawdę. Ostatnio podnieciła go do szaleństwa podczas narciarskiego weekendu w St. Moritz, po czym zatrzasnęła mu przed nosem drzwi; Julian cieszył się, że na tym się skończyło, ale zdawał sobie również sprawę, że niedługo Isabelle pozostawi je otwarte.

- A więc - powiedział. kiedy jechali w stronę Orleanu - co nowego u ciebie? Masz jakichś nowych chłopców?

- Nikogo specjalnego - odparła chłodno, co było doprawdy niezwykle. Normalnie uwielbiała przechwalać się przed nim swoimi podbojami. Ostatnio stała się jednak bardziej skryta, a przy tym z godziny na godzinę robiła się coraz ładniejsza. Miała urodę podobną do matki, była tylko bardziej gwałtowna. Wszystko w niej dyszało namiętnością i obiecywało natychmiastową nagrodę. A kryjąca się za tym niewinność czyniła zaproszenie jeszcze bardziej kuszącym.

- Jak w szkole?

Isabelle nadal uczyła się w La Marolle; Julian uważał to za błąd. Sądził, że lepiej byłoby wysłać ją do szkoły położonej daleko od domu, może nawet prowadzonej przez zakonnice. Kiedy sam miał tyle lat co ona, był przynajmniej na tyle mądry, by zachować dyskrecję; wyglądał jak niewiniątko i udawał, że po szkole gra w tenisa, gdy tymczasem w rzeczywistości miał romans z jedną z nauczycielek. Nikt ich nigdy nie nakrył, ale w końcu potraktowała to poważnie i zagroziła samobójstwem, kiedy ostatecznie ją porzucił.

Później była matka jednego z kolegów, ale i ten związek okazał się zbyt skomplikowany; chłopak w końcu stwierdził, że łatwiej uganiać się za dziewczycami, niż radzić sobie z problemami nieco starszych dam, choć nadal go intrygowały. Jeśli chodzi o kobiety, był wiecznie nienasycony. Adorował je wszystkie, stare i młode, piękne i brzydkie, nieskomplikowane i inteligentne. Isabelle oskarżała go o brak gustu, koledzy mówili, że jest napalony; było to prawdą, ale zarazem nie tak wielkim grzechem z punktu widzenia Juliana. Był do dyspozycji w każdym momencie, i to z radością.

- Szkoła jest głupia i nudna - odrzekła Isabelle z rozdrażnieniem - ale dzięki Bogu w lecie są wakacje. Była wściekła, że nigdzie nie wyjeżdżają przed sierpniem. Matka obiecała jej wycieczkę na Capri, ale do tego czasu zamierzała zostać w zamku. Miała zająć się domem, w paryskim sklepie należało wprowadzić jakieś zmiany, a także odnowić farmę i winnicę.

- Okropnie się nudzę w zamku - poskarżyła się Isabelle; zapaliła papierosa, pociągnęła i wypuściła dym przez okno. Julian nie podejrzewał, że pali naprawdę - raczej starała się zrobić na nim wrażenie.

- Ja bardzo lubiłem tam przebywać, gdy byłem w twoim wieku. Można tam robić tyle rzeczy, a mama zawsze pozwala, by zatrzymywali się tam znajomi.

- Nie, jeżeli to są chłopcy - spojrzała groźnie na brata. Uwielbiała go, ale niekiedy, a zwłaszcza ostatnio, niczego nie rozumiał.

- To zabawne - kpił z niej niemiłosiernie - mnie mama zawsze pozwalała zapraszać chłopców.

- Bardzo zabawne.

- Dziękuję. No cóż, przynajmniej dziś wieczorem nie będziesz się nudziła, moja droga. Ale zachowuj się grzecznie, bo inaczej cię zleję.

- Wielkie dzięki - zamknęła oczy i osunęła się w dół na siedzeniu. - Nawiasem mówiąc, podoba mi się twój samochód.

Uśmiechnęła się do brata. Czasem lubiła go naprawdę.

- Mnie także. To było bardzo miłe ze strony mamy, że zrobiła mi taki prezent.

- Tak, a ja zapewne będę musiała czekać, aż skończę dziewiętnaście lat - Isabelle uważała, że matka postępuje wobec niej niewłaściwie. Ale w jej oczach potworem był każdy, kto sprzeciwiał się takim zachciankom.

- Może do tego czasu uda ci się zrobić prawo jazdy.

- Oj, zamknij się.

Fakt, że była okropnym kierowcą, był tematem rodzinnych żartów. Rozbiła już dwa samochody, które teraz stały pod zamkiem jak dwie kupy złomu, ale twierdziła, iż stało się tak dlatego, że ich po prostu nie dało się prowadzić i że cała sprawa nie ma nic wspólnego z jej umiejętnościami, a raczej ich brakiem. Ale Julian wiedział swoje i nie pozwoliłby jej dotknąć kierownicy swego cennego alfa romeo.

Dotarli do zamku na długo przed przyjazdem gości; Julian poszedł chwilę popływać w basenie, a potem zapytał, czy może pomóc matce. Sara wynajęła lokalnego organizatora przyjęć; wszędzie stały długie bufetowe stoły, kilka barków i ogromny namiot rozpięty nad podestem do tańca. Zamówiono dwie orkiestry: miejscową i duży, modny zespół z Paryża. Julian był wzruszony, że matka wydaje na jego cześć takie cudowne przyjęcie.

- Dziękuję, mamo - powiedział obejmując ją, ciągle jeszcze mokry po wyjściu z wody. Stał obok niej - wysoki i przystojny, w wysychających kąpielówkach. Emanuelle stanęła koło Sary i udawała, że mdleje, kiedy go zobaczyła.

- Okryj się, mój drogi. Wcale nie jestem pewna, czy mogę sobie pozwolić, by cię wpuścić do biura.

Nikt inny też by nie miał tej pewności. Zapamiętała, że musi bacznie obserwować swoje ekspedientki. Podejrzewała, że Julian po lunchu będzie je zapraszał do swego apartamentu. Słyszała to i owo o jego paskudnej w tym względzie reputacji.

- Będziemy musieli jakoś się postarać, żeby choć trochę cię oszpecić!

Prawdę mówiąc, nie było możliwości, by to osiągnąć; bił od niego urok i sex appeal. Phillip był ogromnie wstrzemięźliwy i zamknięty w sobie, Julian to jego przeciwieństwo.

- Powinieneś się ubrać, bo niedługo przybędą twoi goście - powiedziała z uśmiechem matka.

- Może lepiej nie - szepnęła Emanuelle. Zawsze lubiła atrakcyjne ciała, chciała też trochę się z nim podrażnić. Poza wszystkim było to nieszkodliwe, występowała w roli starej przyjaciółki rodziny i traktowała Juliana po prostu jak dziecko, podczas gdy sama miała już pięćdziesiątkę.

Julian pojawił na parterze na długo przed gośćmi; przed zejściem spędził pół godziny z Xavierem, jednocześnie ubierając się i opowiadając mu o kowbojach z Dzikiego Zachodu. Z nieokreślonego powodu Xavier miał obsesję na punkcie Davy'ego Crocketta. Był zafascynowany wszystkim, co amerykańskie, a w szkole powiedział, że tak naprawdę to on pochodzi z Nowego Jorku, a we Francji przebywa zaledwie od roku, bo jego rodzice zajmują się tu biznesem.

- W każdym razie moja mama stamtąd pochodzi! - bronił się później. Najbardziej chciał być Amerykaninem. Nigdy nie znał swego ojca, ostatnio bardzo rzadko widywał Phillipa i jak się zdawało, nie łączyły go żadne więzy z Anglią. Podczas gdy Julian czuł się Francuzem, Xavier uznał, że dużo bardziej podniecające jest udawanie, że pochodzi z Nowego Jorku, Chicago czy nawet Kalifornii. Bez przerwy mówił o swej cioci Jane i kuzynach, których nawet nie znał; Sarę to bawiło. Często rozmawiała z nim po angielsku - Xavier mówił bardzo dobrze tym językiem, podobnie jak Julian, ale jednak z francuskim akcentem. Angielski Juliana był lepszy, choć i po nim można było poznać, że jest Francuzem. Tylko angielski Phillipa był bez skazy. Isabelle nie martwiła się o to, skąd pochodzi, aby tylko to miejsce było odpowiednio odległe od wszystkich jej krewnych. Chciała żyć na własną rękę i robić dokładnie to, na co ma ochotę.

- Chcę, abyś był dziś grzecznym chłopcem - ostrzegł Xaviera Julian, schodząc do swych przyjaciół. - Żadnych dzikich pomysłów, nikogo nie możesz zranić. Zamierzam się dobrze bawić na swoim przyjęciu. Dlaczego nie poglądasz telewizji?

- Nie mogę - odparł rzeczowo brat. - Nie mam telewizora.

- Możesz oglądać program w moim pokoju - uśmiechnął się Julian; Xavier był nieznośny, ale Julian kochał go naprawdę, traktował go trochę jak syna i naprawdę lubił z nim przebywać. - Dziś jest mecz piłkarski.

- Wspaniale! - krzyknął Xavier biegnąc do pokoju brata i nucąc piosenkę Davy'ego Crocketta.

Julian jeszcze miał usta rozciągnięte w uśmiechu, gdy wpadł na schodach na Isabelle. Była ubrana w białą, niemal przezroczystą sukienkę, która sięgała jej ledwie do miejsca, gdzie się kończą albo zaczynają nogi; ażurowa wstawka odsłaniała brzuch.

- Cardin? - zapytał starając się, by to zabrzmiało chłodno.

- Courreges - sprostowała; wyglądała prowokująco i o wiele bardziej niebezpiecznie, niż sama sądziła. Taka dziewczyna to istne utrapienie!

- Uczę się.

Tak samo zareagowała Sara. Gdy zobaczyła Isabelle, odesłała ją na górę, by się przebrała. Emanuelle obserwowała ją - Isabelle trzaskała wszystkimi drzwiami, jakie napotkała po drodze, Sara zaś westchnęła i pozwoliła sobie na kieliszek szampana.

- Ten dzieciak mnie zabije. A jeśli nie ona, to Xavier.

- O innych też tak mówiłaś - przypomniała Emanuelle.

- Nie mówiłam - sprostowała Sara. - Phillip rozczarował mnie, ponieważ wieje od niego chłodem, Julianem się martwię, bo spał z matkami wszystkich kolegów, sądząc, że o tym nie wiem. Ale Isabelle to zupełnie inne stworzenie. Nie pozwala się kontrolować, nie chce się przyzwyczaję zachowywać, odmawia wysłuchania cudzych argumentów.

Emanuelle nie mogła się z nią nie zgodzić. Nie chciałyby być matką tej dziewczyny. Ilekroć patrzyła na Isabelle, zawsze cieszyła się, że nie ma własnych dzieci. Xavier to inna sprawa - nieznośny, ale taki ciepły i pieszczoch, że nie można mu się oprzeć. Był podobny do Juliana, tylko swobodniejszy i bardziej awanturniczy. Tworzyli ciekawą paczkę - ekipę Whitfieldów. Nikt z nich nie zauważył Isabelle, która pojawiła się w pasiastym trykocie bez rękawów i białej spódnicy ze skóry - ten strój wyglądał jeszcze gorzej, niż poprzedni. Miała szczęście - tym razem matka jej nie dostrzegła.

- Czy dobrze się bawisz? - zapytała Sara Juliana, zobaczywszy go po kilku godzinach. Wyglądał na nieco podchmielonego, ale wiedziała, że nic mu nie grozi. Nikt nie ma zamiaru jeździć samochodem, a on tak ciężko zapracował na dyplom Sorbony.

- Mamo, jesteś cudowna! To najlepsze przyjęcie, na jakim byłem kiedykolwiek - wyglądał na szczęśliwego, był rozczochrany i rozgrzany. Od kilku godzin tańczył z dwiema dziewczynami, między którymi nie potrafił dokonać wyboru. To noc pełna błogich dylematów.

Także dla Isabelle. Leżała wyciągnięta w krzakach koło stajni z chłopcem, którego poznała tego wieczoru. Wiedziała, że jest kolegą Juliana, choć nie pamiętała jego imienia. Umiał całować lepiej od wszystkich innych; a poza tym właśnie powiedział, że ją kocha.

W końcu wypatrzył ją któryś ze służących i szepnął coś dyskretnie księżnej, która w cudowny sposób pojawiła się razem z Emanuelle na ścieżce prowadzącej do stajni; udawały, że spacerują, prowadząc zdawkową rozmowę. Kiedy Isabelle usłyszała matkę, umknęła w pośpiechu, a obie kobiety popatrzyły na siebie i roześmiały się, czując się równocześnie stare i młode. W sierpniu Sara miała skończyć pięćdziesiąt sześć lat, choć wyglądała o wiele młodziej.

- Czy robiłaś kiedyś takie rzeczy? - zapytała Emanuelle. - Ja robiłam.

- Robiłaś to dopiero z Niemcami podczas okupacji - drażniła się z nią Sara, a Emanuelle twardo sprostowała:

- Tylko dla zdobycia informacji - powiedziała z dumą.

- To cud, że nas nie zabili przez ciebie - ofuknęła ją Sara po trzydziestu latach.

- Ja wolałabym zabić ich wszystkich - odparła z pasją.

Sara zwierzyła się jej, że tuż po ślubie Phillipa zjawił się Joachim. Nie wspominała o tym wcześniej; Emanuelle zaniepokoiła się.

- Dziwię się, że on jeszcze żyje. Wielu zginęło po powrocie do Berlina. On był względnie przyzwoity jak na nazistę, ale co hitlerowiec, to hitlerowiec...

- Był taki smutny i stary... myślę, że go rozczarowałam. Zapewne sądził, że po śmierci Williama może wrócić i wszystko będzie inaczej. Ale to nigdy nie mogłoby się spełnić.

Emanuelle kiwnęła głową. Wiedziała, jak bardzo Sara kochała Williama. Po jego śmierci nie spojrzała nawet na innego mężczyznę i prawdopodobnie nigdy nie spojrzy. W kilka lat po tej tragedii Emanuelle starała się dyskretnie poznać ją z ciekawymi ludźmi, ale Sara nigdy się nikim nie zainteresowała. Oddawała się z pasją jedynie biznesowi i dzieciom.

Przyjęcie zakończyło się o czwartej rano; po odjeździe orkiestr ostatni młodzi goście urządzali skoki do basenu, by wczesnym świtem skończyć w zamkowej kuchni, gdzie Sara smażyła im jajecznicę i podawała kawę. Zabawnie było mieć młodzież koło siebie, lubiła ich towarzystwo, a ostatnio cieszyło ją coraz bardziej, że ma dzieci w różnym wieku. Tak wielu znajomych cierpiało na chorobę pustego gniazda, a ona miała zawsze gwar wokół siebie. Prawdopodobnie doprowadzą ją w końcu do szaleństwa, ale ona to lubi.

Gdy o ósmej szła do swego pokoju, uśmiechnęła się zobaczywszy, że Xavier śpi na łóżku Juliana. Telewizor wciąż był włączony, ale na ekranie był tylko śnieg, a w głośniku Marsylianka. Wyłączyła odbiornik, zdjęła kapelusz Davy'ego Crocketta i pogładziła włosy Xaviera; wreszcie doszła do swojej sypialni i spała do południa.

Emanuelle przed powrotem do Paryża zjadła z Sarą lunch. Miały mnóstwo rzeczy do omówienia. Dalej rozbudowywały sklep w Paryżu, a ostatnio Nigel twierdził, że trzeba pomyśleć o podobnej operacji w Londynie. Mieli królewski patent, byli oficjalnymi Jubilerami Korony. W ostatnich latach sprzedawali biżuterię licznym głowom państw, królom i królowym oraz całym rzeszom Arabów. Interes szedł wyśmienicie w obu magazynach, a Sarę uskrzydlała myśl, że do biznesu wkracza Julian.

Rozpoczął tak, jak obiecał - w następnym tygodniu i do wakacyjnej przerwy w sierpniu wszystko przebiegało gładko. W lecie Julian pojechał w towarzystwie przyjaciół do Grecji, a Sara zabrała Xaviera i Isabelle na Capri. Ogromnie tam się im podobało. Zachwycała ich Marina Grande i Marina Piccola, plac i wizyty w klubach na plaży. Upodobali sobie Canzone del Mare, ale odwiedzali też inne, mniej ekskluzywne kluby. Isabelle uczyła się w szkole włoskiego, a ponieważ liznęła też coś niecoś hiszpańskiego, uważała się za poliglotkę.

Doskonale zorganizowali sobie czas pobytu w Quisisana: jadali lody na rynku, Sara nie mogła się powstrzymać, by coraz to nie rzucić okiem na sklepy z biżuterią. Stwierdziła, że ceny są wysokie, a niektóre wyroby bardzo piękne. Nie miała tam wiele do roboty poza jedzeniem, czytaniem, wypoczywaniem i spędzaniem czasu z dziećmi. Myślała, że nic się nie stanie, jeśli pozwoli Isabelle jeździć samej do klubu plażową taksówką, tym bardziej że wszyscy z nich korzystali. Później przychodziła do klubu na plażę z Xavierem, który lubił odwiedzać osiołki.

Pewnego ranka, po wyjściu Isabelle, Sara i Xavier robili nieco dłużej zakupy po drodze na rynek. Dotarli do klubu Canzone del Mare w porze lunchu. Sara poszukiwała wszędzie córki, ale bez rezultatu. Zaczynała już wpadać w panikę, kiedy Xavier wypatrył pod jakimś krzesłem jej sandały i trafił po śladach do małego szałasu. Zobaczyli ją tam, bez górnej części kostiumu, z mężczyzną dwa razy od niej starszym, który pieścił jej biust; jęczała, dotykając jego niebezpiecznej wypukłości.

Przez chwilę Sara tylko patrzyła, a następnie, niewiele myśląc, chwyciła Isabelle za ramię i wyciągnęła z szałasu.

- Co ty tam robisz, na Boga? - wściekła się Sara, a Isabelle rozplakała się. Z szałasu wyłonił się mężczyzna, usiłując odzyskać zimną krew; jednocześnie owijał się niezręcznie ręcznikiem.

- Czy pan sobie zdaje sprawę, że moja córka ma szesnaście lat? - Głos Sary kipiał gniewem; z trudnością zachowywała nad sobą kontrolę. - Mogę wezwać policję.

Wiedziała jednak, że osobą, którą powinna oddać policji, jest jej własna córka. Próbowала go tylko postraszyć, by nie zrobił tego ponownie. Wyraz twarzy tego przystojnego playboya z Rzymu mówił, że trafiła w sedno.

- Signora, mi dispiace (Signora mi dispiace (wł.) - bardzo żałuję, proszę pani - przyp. tłum.)... twierdziła, że ma dwadzieścia jeden lat. Bardzo przepraszam - sumitował się mocno, spoglądając z żalem na Isabelle, którą najwyraźniej opuściła odwaga i histerycznie płakała stojąc obok matki.

Wrócili do hotelu. Sara lodowatym tonem kazała Isabelle spędzić resztę popołudnia w jej pokoju i zapowiedziała ponowne przedyskutowanie zajścia na terenie klubu. Kiedy jednak wróciła na plażę z Xavierem, doszła do smutnego wniosku, że teraz potrzeba dużo więcej niż rozmowy. Phillip i Julian mieli rację. Isabelle trzeba wysłać do szkoły położonej daleko od domu. Trzeba było znaleźć taką szkołę.

- Co oni tam robili? - zapytał zaciekawiony Xavier, kiedy ponownie przechodzili koło szałasu; Sara wstrząsnęła się na wspomnienie tego, co widziała.

- Nic, kochanie, wymyślili sobie taką głupią zabawę.

Po tym wydarzeniu trzymała Isabelle krótko i pozostała część wakacji nie była już taka przyjemna. Następnego dnia wykonała kilka telefonicznych rozmów i znalazła wspaniałą szkołę dla córki przy granicy austriackiej, koło Cortiny. Isabelle mogłaby tam całą zimę jeździć na nartach, mówiłaby po włosku i francusku oraz byłaby poddana pewnemu reżimowi. To była szkoła tylko dla dziewcząt, w pobliżu nie znajdował się żaden zakład dla chłopców - Sara przede wszystkim ten szczegół wzięła pod uwagę.

Isabelle dowiedziała się o decyzji matki ostatniego dnia pobytu i, jak można było oczekiwać, wpadła w szal. Sara była niewzruszona, twardo obstawała przy swoim, choć córka wylewała morze łez. Tylko jej dobro matka miała na względzie. Gdyby tego nie zrobiła, Isabelle wkrótce wymyśliłaby coś bardzo głupiego i może nawet zaszłaby w ciążę.

- Nie pojedę! - wściekała się. Zadzwoiła nawet do sklepu w Paryżu, do Juliana, ale on poparł matkę w całej rozciągłości. Z Capri pojechali do Rzymu, by kupić Isabelle wszystko, czego potrzebuje. Rok szkolny zaczynał się za kilka dni, nie było więc sensu wracać do Francji, by popaść w nowe kłopoty. Sara z Xavierem zawieźli Isabelle na miejsce - gdy je obejrzała, miała żalną minę. Szkoła była ładna, a Isabelle otrzymała duży, słoneczny pokój. Inne dziewczęta - Francuzki, Angielki, Niemki, Włoszki, dwie Brazylijki, Argentynka i jedna dziewczyna z Teheranu - robiły sympatyczne wrażenie. Tworzyły interesującą grupę pięćdziesięciu uczennic. Szkoła w La Marolle wystawiła Isabelle doskonałą opinię, a przełożona pogratulowała Sarze dobrego wyboru.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie tu zostawisz - lamentowała Isabelle, ale matka pozostała niewzruszona. W drodze na lotnisko Sara płakała cały czas. Razem z Xavierem polecieli do Londynu odwiedzić Phillipa. Zostawiła syna na lunchu z jego bratankiem, a sama udała się prosto do sklepu, ale tam, jak zwykle, wszystko zdawało się być w porządku. Gdy jadła lunch z Phillipem, zaskoczyły ją jego nieprzyjemne uwagi na temat Juliana.

- Powiedz, o co chodzi? - zapytała szczerze Sara. - Co zrobił, że się tak denerwujesz?

- On i te jego głupie pomysły dotyczące projektów. Nie rozumiem, dlaczego się wtrąca w te sprawy - naskoczył na matkę.

Sara odrzekła z całym spokojem.

- Ponieważ go o to poprosiłam. Ma wielki talent do rysunku i projektowania. Nieporównanie większy niż ty i ja, bezbłędnie rozpoznaje wartościowe kamienie i wie, co z nich można zrobić, a czego nie.

Julian opracował ostatnio szmaragd maharadży, ważący ponad sto karatów, który łatwo przy obróbce mógł ulec zniszczeniu. Wiedział dokładnie, co trzeba zrobić z tym kamieniem, przewidział wszelkie niuanse jego struktury.

- Nie rozumiem, dlaczego ci to przeszkadza. Ty jesteś dobry na innym polu - przypomniała Sara Phillipowi. Wspaniale podtrzymywał kontakty z przedstawicielami królewskich rodów i utrwał przodującą pozycję ich firmy na rynku. Kochali go, choć był takim sztywniakiem.

- Nie wiem, dlaczego ciągle go bronisz - powiedział poirytowany.

- Może to cię pocieszy, Phillipie - odrzekła odmawiając połknięcia przynęty, ale rozczarowana jego wprost chorobliwą zazdrością - ta jego przywara stawała się coraz bardziej wyrazista z upływem lat. - Ciebie także zawsze bronię. Tak się składa, że kocham was obu.

Nie odpowiedział, ale nieco złagodniał; zapytał o Isabelle i powiedział matce, że słyszał wiele dobrego o jej szkole.

- Miejmy nadzieję, że dokonają tam cudu - powiedziała miękko Sara.

Gdy wracali do biura Phillipa, Sara zauważyła, że budynek właśnie opuszcza wyjątkowo piękna, długonoga dziewczyna w króciutkiej spódniczce, takiej, jaką chętnie włożyłaby Isabelle. Obrzuciła Phillipa znaczącym spojrzeniem. Był wyraźnie niezadowolony, choć udawał, że jej nie zna. Dziewczyna była nowa i nie miała pojęcia, że Sara jest matką Phillipa. Głupia dziwka, pomyślał w duchu; Sara w ułamku sekundy dostrzegła ich krzyżujące się spojrzenia i choć nic nie powiedziała, Phillip czuł się w obowiązku wytłumaczyć, co uczyniło sytuację jeszcze bardziej oczywistą.

- To nie ma znaczenia, Phillipie. Masz trzydzieści trzy lata i to, co robisz, jest wyłącznie twoją prywatną sprawą.

Dodała jednak z pewną dozą sarkazmu.

- A gdzie przebywa Cecily?

Wyglądał na zaszokowanego, nawet zaczerwienił się pod wpływem tego pytania.

- Wypraszam sobie. Ona jest matką moich dzieci.

- Tylko tyle? - zapytała chłodno Sara.

- Oczywiście, że nie, ja... ona akurat wyjechała. Na miłość boską, mamo, to był tylko żart, ta dziewczyna trochę ze mną flirtuje.

- Kochany, to nieważne.

Najwidoczniej trzymał się dawnych nawyków. Sypiał z dziewczynami, z dziewczynami, z którymi było "zabawnie", jak zwykł mówić, a żona była zupełnie inną sprawą. Współczuła mu, że nie znalazł obu tych cech w jednej kobiecie, ale ponieważ nigdy się matce nie skarżył, porzuciła ten temat. Phillip wyraźnie się odprężył.

Następnego dnia Sara i Xavier polecili do Paryża, a na lotnisku czekał już na nich Julian. Podczas jazdy Sara opowiedziała synom, jak oglądała klejnoty koronne w Tower of London z jego ojcem, kiedy go poznała.

- Czy ojciec był bardzo silny? - zapytał Xavier, którego zawsze fascynowały takie opowieści.

- Tak - zapewniła. - Był też bardzo dobry, nadzwyczaj mądry i kochający. Był wspaniałym człowiekiem, kochanie, a ty będziesz kiedyś do niego podobny. Już jesteś na swój sposób.

To samo dotyczyło Juliana.

W drodze do domu zjedli kolację z Julianem w Paryżu - był szczęśliwy, że widzi matkę i brata, wypytywał o Isabelle oraz o sklep w Londynie. Sara nie mówiła nic o spotkaniu z Phillipem ani o jego nieprzyjemnych komentarzach. Nie miała zamiaru podsycać ognia, który i tak już płonął między nimi. Następnie wróciła do zamku samochodem, który uprzednio zostawiła w Paryżu. Xavier spał podczas jazdy, a Sara od czasu do czasu spoglądała na uśpionego chłopca, myśląc, ile szczęścia daje jej ten maluch. Podczas gdy inne kobiety w jej wieku spędzają od czasu do czasu ze swymi wnukami sobotę, ona ma czarującego chłopczyka, z którym dzieli życie. Przypominała sobie, jaka była strapiona, gdy dowiedziała się o ciąży, i jak pocieszał ją William. Przypominała sobie też teściową, która nazywała Williama wielkim błogosławieństwem. Przez całe życie był nim dla wszystkich, którzy go znali, a teraz błogosławieństwem było dla niej to dziecko.

Rozdział dwudziesty szósty

Isabelle pisywała do rodziny tak rzadko, jak tylko mogła - wyłącznie wtedy, gdy zmusili ją wychowawcy; w listach gorzko skarżyła się na szkołę. Prawdą było jednak to, że po kilku tygodniach polubiła ją. Uwielbiała wyszukany styl dziewcząt, które tam poznała, miejsca, które odwiedzały, bardzo lubiła jeździć na nartach w Cortinie. Spotykała ciekawszych ludzi niż we Francji i chociaż nauczyciele usiłowali trzymać ją w ryzach, udało się jej zaprzyjaźnić z bardzo wieloma interesującymi osobami z rzymskiego środowiska; bez przerwy otrzymywała listy i telefony od mężczyzn. Szkoła czyniła wszystko, by to ukrócić, ale nie była w stanie zrobić tego do końca.

Pod koniec pierwszego roku Sara dostrzegła w córce istotną zmianę; podobne wrażenie odniosła Emanuelle. Isabelle może nie zachowywała się lepiej, ale stała się bardziej rozsądna i otwarta na świat. Miała lepsze rozeznanie, na co może sobie pozwolić, a na co nie, jak odnosić się do mężczyzn, nie dając im jednoznacznej zachęty. Pod pewnym względem Sara odczuła ulgę, choć inne szczegóły nie pozwalały jej na spokojny sen.

- To niebezpieczna dziewczyna - powiedziała pewnego dnia do Juliana, a ten poparł zdanie matki w całej rozciągłości. - Przypomina mi bombę, która ma lada chwila wybuchnąć. Ale teraz to dużo bardziej skomplikowana bomba... być może rosyjska... albo bardzo delikatny pocisk!

Julian roześmiał się słysząc, jak matka ocenia jego siostrę.

- Nie jestem pewien, czy będziesz w stanie to zmienić.

- Ja też nie. Boję się tego - przyznała matka. - A co u ciebie?

Od wielu tygodni czekała na to spotkanie.

- Słyszę, że prowadzisz interesy z jedną z naszych najlepszych klientek. - Oboje wiedzieli, kogo Sara ma na myśli; Julian zastanawiał się, czy to Emanuelle powiedziała o niej matce. - Hrabina de Brise to bardzo interesująca kobieta, Julianie, i dużo bardziej niebezpieczna od twojej siostry.

- Wiem o tym - zawiesił głos dla większego efektu - śmiertelnie się jej boję, ale też uwielbiam.

Niedawno zmarły hrabia był jej trzecim mężem w ciągu piętnastu lat; miała teraz trzydzieści cztery lata i dosłownie chłonęła mężczyzn. Obecnie pożądała jedynie Juliana. W zeszłym miesiącu kupiła biżuterię za pół miliona dolarów i widać, że miała za co. Wciąż przychodziła po kolejne klejnoty, ale najbardziej pożądanym miał się stać Julian.

- Czy sądzisz, że sobie z tym poradzisz? - zapytała go otwarcie Sara. Obawiała się, że może zostać zraniony, ale on też zdawał sobie sprawę z takiej ewentualności i był ostrożny.

- W tej chwili tak. Zapewniam cię, mamó, że gram bardzo uważnie.

- To dobrze - uśmiechnęła się z pobłażaniem. Wszystkie jej dzieci były bardzo pochłonięte swoimi psotami, przyjaciółmi, różnymi sprawami. Sara miała nadzieję, że Isabelle przebrnie przez drugi rok szkoły w Szwajcarii, w której miała zakończyć edukację.

Rzeczywiście, zaliczyła rok i przyleciała do domu w dniu, w którym z okazji dwudziestej piątej rocznicy Whitfield's Sara wydawała w zamku przyjęcie dla siedmiuset gości z całej Europy. Zaproszono przedstawicieli wszystkich czołowych czasopism, przygotowano fajerwerki, miała się pojawić większość koronowanych głów, zaproszono dosłownie całą śmietankę towarzyską Europy. Emanuelle i Julian pomogli w zorganizowaniu wszystkiego. Na przyjęcie mieli przylecieć Phillip, Nigel i Cecily.

Było cudownie, wszyscy goście dopisali, jedzenie było wyśmienite, pokaz sztucznych ogni bajkowy, a klejnoty, szczególnie te, które należały do rodziny - przepiękne. Nadzwyczajny wieczór był ukoronowaniem wielkiego sukcesu Whitfield's. Dziennikarze nie mogli wyjść z podziwu i przed pożegnaniem się wszyscy podeszli do Sary, by pogratulować jej mistrzowskiego posunięcia; ona z kolei podziękowała wszystkim, którzy pomogli jej przygotować przyjęcie.

- Czy ktoś widział Isabelle? - zapytała Sara późną nocą. Nie była w stanie odebrać jej osobiście, ale posłała samochód na lotnisko. Ucałowała ją na powitanie po przyjeździe do zamku, jeszcze zanim Isabelle się przebrała, ale później jakoś zniknęła jej z oczu. Na przyjęciu było bardzo tłoczno, a Sara miała zbyt wiele rzeczy na głowie, by poszukiwać córki. Przez większą część wieczoru zdołała odnaleźć tylko Phillipa i Juliana. Phillip odłączył się od żony na samym początku i poświęcał wiele czasu modelce, która zrobiła dla nich kilka reklamówek; emablował dziewczynę i dużo z nią tańczył. Julian kręcił się przy kilku paniach, którymi interesował się ostatnio: jedna z nich była zamężna, dwie starsze od niego, a pozostałe były olśniewającymi dziewczynami, których zazdrościli mu wszyscy mężczyźni, nie wyłączając brata.

Xaviera wysłano na noc do znajomych, nie mógł więc psocić, choć jako prawie dziesięcioletni chłopiec zachowywał się już grzeczniej. Dave Crockett przestał być jego ulubieńcem; teraz na tapecie był James Bond. Julian kupował mu wszystkie gadżety personifikujące jego idola i dwa razy przemycił go do kina.

Sara przygotowała kreację dla Isabelle. Kupiła jej u Emanuela w Londynie suknię z różowego przezroczystego materiału i była przekonana, że córka będzie w niej wyglądać jak księżniczka z bajki. Żywiła nadzieję, że Isabelle nie leży w tej sukni gdzieś w krzakach; i na tę myśl roześmiała się sama do siebie. W końcu znalazła ją w zupełnie przyzwoitym miejscu - Isabelle statecznie tańczyła ze starszym mężczyzną, pogrążona w rozmowie. Sara spojrzała na nią z aprobatą, pomachała ręką i poszła dalej. Cała jej rodzina cudownie prezentowała się tego wieczoru,

nawet synowa w sukni z Hardy Amies, z fryzurą wykonaną przez Alexandre'a. Chateau de la Meuze wyglądał jak czarowny świat z bajki. Bardziej niż kiedykolwiek chciała, by William mógł to zobaczyć. Byłby taki dumny. Nie sposób uwierzyć, że zamek, przy którego rekonstrukcji spędzili pół życia, kiedyś nie wyglądał tak wspaniale, nie wspominając już o stanie, w jakim go odnaleźli. Ale to było przed wiekami... Dwadzieścia pięć lat temu założyli Whitfield's, przed trzydziestu pięciu laty, podczas podróży poślubnej, odkryli ten zamek. Gdzie uleciał ten czas?

Sprawozdania z uroczystości, jakie ukazały się nazajutrz w prasie, były entuzjastyczne. Wszystkie recenzje podkreślały zgodnie, że było to przyjęcie stulecia i życzyli Whitfield's następnym jubileuszy. Przez kilka następnych dni Sara pławiła się w sławie, jaką jej przyniosło to przyjęcie. Bardzo rzadko widywała wtedy Isabelle, która spotykała się ze starymi przyjaciółmi. Miała osiemnaście lat i mogła sama prowadzić samochód. Choć cieszyła się większą swobodą niż w latach poprzednich, Sara chciała mieć ją na oku i była bardzo niespokojna, kiedy pewnego popołudnia nie mogła jej znaleźć.

- Odjechała rollsem - odrzekł Xavier na pytanie matki.

- Tak? - Sara wyglądała na zdziwioną. Isabelle powinna była jeździć peugeotem pickupem, który miał służyć jej i innym mieszkańcom zamku.

- Czy wiesz, kochanie, dokąd pojechała? - zapytała Sara sądząc, że Isabelle udała się po prostu do wsi.

- Myślę, że wybrała się do Paryża - odparł Xavier i powoli oddalił się do stajni, gdzie był nowy koń, którego chciał zobaczyć. Kiedy miał ochotę, dalej udawał kowboja, przez resztę czasu był odkrywcą.

Sara zadzwoniła do Juliana prosząc go, by miał baczenie na Isabelle, gdyby się tam pojawiła. I rzeczywiście, przyszła za jakąś godzinę - w atrakcyjnej szmaragdowozielonej sukience i ciemnych okularach. Wyglądała jak klientka.

Julian zobaczył siostrę na monitorze w swym biurze na piętrze i natychmiast zszedł na dół.

- W czym mogę pomóc, mademoiselle? - zapytał najbardziej czarującym głosem, a ona roześmiała się. - Może bransoletka z brylantami? Albo pierścionek zaręczynowy? Nieduży diadem?

- Wolałabym koronę.

- To brzmi zachęcająco - ciągnął dalej tę grę. - Szmaragdową, harmonizującą z sukienką, czy brylantową?

- Wezmę obie - rozciągnęła wargi w radosnym uśmiechu, a on niby od niechcienia zapytał, co robi w mieście.

- Umówiłam się z kimś na drinka.

- Jechałaś dwie godziny i dziesięć minut, by wypić drinka? - zapytał z powątpiewaniem Julian. - Musisz być bardzo spragniona.

- Bardzo zabawne. Nie mam w domu nic do roboty, więc pomyślałam, że wyskoczę do miasta. We Włoszech zawsze tak robiłyśmy. Rozumiesz, do Cortiny na lunch albo po zakupy.

Isabelle była bardzo piękna i wyelegantowana. Wyglądała naprawdę zniewalająco.

- Jesteś luksusową dziewczyną - zakpił Julian. - Szkoda, że tutaj nie masz takiej zabawowej kompanii.

Wiedział, że siostra wybiera się na kilka tygodni na południe Francji i zatrzyma się w Cap Ferrat u jednej ze szkolnych koleżanek. Była niewątpliwie zdemoralizowana i udawała bardzo dorosłą - co do tego nie było wątpliwości.

- Gdzie jesteś umówiona?

- W Ritzu, na drinka.

- Chodź - powiedział wychodząc zza kontuaru. - Podrzucę cię tam. Muszę dostarczyć żonie wicehrabiego brylantowy naszyjnik.

- Mam swój samochód - odparła chłodno - prawdę mówiąc, samochód mamy.

Julian był już maksymalnie wkurzony.

- To może ty mnie podwiesz. Mój wóz jest zepsuty. Właśnie zamierzałem wziąć taksówkę - skłamał chcąc zobaczyć, z kim się spotka Isabelle. Ze stołu w pakowalni zabrał wytworne pudełeczko, umieścił je w kopercie, wyszedł ze sklepu wraz z siostrą i wsiadł do rollsa, zanim zdążyła zaprotestować. Rozmawiał z nią swobodnie, jakby jej przyjazdy do miasta były czymś zupełnie naturalnym. Przy wejściu do hotelu pocałował ją na pożegnanie, po czym udał, że rozmawia z portierem. Ów portier był zaprzyjaźnionym człowiekiem.

Julian postanowił użyć podstępu.

- Czy możesz wziąć ode mnie to pudełko, Renaud? Po moim wyjściu wyrzuc je, ale tak, żeby nikt nie widział.

- Powinienem je dać mojej żonie - odparł szeptem Renaud - ale ona oczekuje czegoś więcej niż pudełka. Co zamierzasz?

- Śledzę siostrę - zwierzył się Julian, udając, że przekazuje portierowi polecenia. - Umówiła się z kimś w barze, a ja chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku. To niebezpiecznie ładna dziewczyna.

- Widziałem. Ile ma lat? - zainteresował się współczująco.

- Zaledwie osiemnaście.

- O, la la... - pokręcił głową Renaud - cieszę się, że ona nie jest moją córką. Wybacz... - przeprosił natychmiast.

- Idź lepiej sprawdź, czy jej ktoś towarzyszy. Potem wejdę ja i niby przez przypadek natknę się na nich. Nie chcę tego robić, zanim on się tam nie znajdzie.

Julian zakładał, że Isabelle umówiła się z mężczyzną; było mało prawdopodobne, by jechała dwie godziny w jedną stronę, by zobaczyć się z przyjaciółką.

- Jasne - chętnie zgodził się Renaud, gdy w jego dłoni znalazła się znacząca sumka, ale tym razem był szczęśliwy, że może okazać swą pomoc. Lord Whitfield był u niego na liście sympatycznych facetów, a poza tym dawał doskonałe napiwki.

Julian udawał, że coś pisze przy stole portiera; Renaud wrócił po upływie minuty.

- Ona tam jest, a ty masz kłopoty, przyjacielu.

- Merde (Merde (franc:) - cholera - przyp. tłum.). Kto to taki? Znasz go? - Julianowi strach zjeżył włosy, że to jakiś mafioso.

- Oczywiście, że znam. Siedzi tu bez przerwy albo przynajmniej zjawia się kilka razy do roku i uwodzi kobiety. Czasami starsze, czasami młodsze.

- Czy ja go znam?

- Być może. Płaci czekami bez pokrycia co najmniej dwa razy podczas każdej podróży, nigdy nie daje napiwków, jeśli inni goście nie patrzą mu na ręce.

- To brzmi zachęcająco - jęknął kwaśno Julian.

- Jest biedny jak mysz kościelna. Myślę, że poluje na pieniądze.

- Wspaniale. Dokładnie tego potrzebujemy. Jak się nazywa?

- Nazwisko bardzo ci się spodoba. Książę di Venezia e San Tebaldi. Podaje się za jednego z książąt weneckich i to pewnie jest prawda. Tam jest około dziesięciu tysięcy książąt.

W przeciwieństwie do Brytyjczyków, a nawet Francuzów, Włosi mają więcej książąt niż dentystów.

- To przystojny hochsztapler, a ona młoda i nie umie jeszcze wartościować ludzi. Wydaje mi się, że ma na imię Lorenzo.

- Cholernie dystyngowane imię - Julian nie był zbudowany tym, co usłyszał.

- W każdym razie nie spodziewaj się napiwku - zażartował Renaud. Julian podziękował mu jeszcze raz i powoli podszedł do baru, usiłując robić wrażenie roztargnionego i pochłoniętego swymi interesami. Wyglądał bardzo wielkopańsko. To on był magnatem z krwi i kości i tak oceniał go Renaud, który się na tym znał. Miał naturalnie rację, bo Julian miał istic arystokratyczne maniery. Nie tak jak książę Makaron, jak nazywano hochsztaplera.

- A, tutaj jesteś... przepraszam - Julian uśmiechem maskował pretekst, że niby przypadkiem natknął się na siostrę. - Chciałem cię tylko pocałować na pożegnanie.

Przelotnie spojrział na towarzyszącego mężczyznę i uśmiechnął się jowialnie, udając, że jest ogromnie ucieszony tym spotkaniem.

- Witam... strasznie mi przykro, że przeszkadzam, jestem bratem Isabelle, nazywam się Julian Whitfield - powiedział naturalnym tonem, wyciągając dłoń. Wyglądał na pogodnego i rozluźnionego, podczas gdy siostra lekko zaczerwieniła się ze wstydu. Książę nie zmieszał się ani trochę. Był czarująco obłudny i prawie służalczy.

- Piacere (Piacere (wł.) - bardzo mi przyjemnie - przyp. tłum.)... Lorenzo di San Tebaldi... jestem taki szczęśliwy, że mogę pana poznać. Ma pan wyjątkowo czarującą siostrę.

- Dziękuję. Zgadza się z panem w zupełności.

Julian delikatnie pocałował siostrę i przeprosił, że odchodzi, ale powiedział, że musi wracać do sklepu, gdzie jest umówiony. Oddalił się nie oglądając za siebie, a chociaż wspaniale odegrał swoją rolę w tym spektaklu, Isabelle natychmiast pojęła, że czekają ją poważne kłopoty.

Julian wychodząc puścił oko do portiera i śpiesznie wrócił do biura. Natychmiast zadzwonił do matki; ich rozmowa nie była pocieszająca.

- Maman, myślę, że możemy mieć pewne kłopoty.

- O co chodzi? A może powinnam zapytać: o kogo chodzi?

- Ona siedzi w barze z pewnym panem, według mnie około pięćdziesiątki, który zdaniem portiera z Ritza jest kimś w rodzaju łowcy posagów. Bardzo przystojny, ale podobno biedny jak mysz kościelna.

- Merde - zakląła Sara. - Co my z nią teraz zrobimy? Znowu ją zamkniemy?

- Na to jest już trochę za duża. Tym razem nie pójdzie łatwo.

- Wiem o tym - matka westchnęła z rozdrażnieniem. Isabelle była w domu zaledwie od dwóch dni i już wpakowała się w kłopoty. - Nie wiem, co z nią począć.

- Ja też. Ale ten gość mi się nie podoba.

- Jak on się nazywa?

- Książę Lorenzo di San Tebaldi. Myślę, że pochodzi z Wenecji.

- Jezu Chryste! Akurat to nam potrzebne. Włoski książę. Mój Boże, jaka z niej idiotka!

- Trudno się z tobą nie zgodzić w tej sprawie. A ona rzeczywiście wygląda zachwycająco.

- Tym gorzej - odpowiedziała zdesperowana Sara.

- Co mam teraz zrobić, według ciebie? Wrócić tam i wyciągnąć ją za włosy?

- Chętnie bym cię o to poprosiła. Ale sądzę, że powinniśmy na razie dać spokój. W końcu wróci do domu, a wtedy spróbuję przemówić jej do rozumu.

- Jesteś równa.

- Nie - wyznała Sara. - Jestem już zmęczona.

- Nie załamuj się. Uważam, że jesteś cudowna.

- Najlepiej to widać na załączonym obrazku.

Była jednak ujęta miłymi słowami Juliana, potrzebowała zachęty, by przygotować się do bitwy, którą zamierzała stoczyć po powrocie córki do domu. Rzeczywiście, Isabelle przyjechała rollsem o północy, co oznaczało, że o dziesiątej wyjechała z Paryża. Jak na nią to całkiem rozsądna pora. Matka była jednak daleka od zachwyty, kiedy dziewczyna weszła do zamku, Sara zeszła do niej na dół. Słyszała, że wchodzi, i czekała na nią.

- Dobry wieczór, Isabelle. Miło spędziłaś czas?

- Bardzo miło, dziękuję - była podenerwowana, choć zachowywała pozorny spokój.

- A co z moim samochodem?

- Jest bardzo fajny... ja... przepraszam, miałam zamiar poprosić. Mam nadzieję, że go nie potrzebowałaś.

- Rzeczywiście nie potrzebowałam - powiedziała spokojnie Sara. Chodź do kuchni na filiżankę herbaty. Musisz być zmęczona po tak długiej jeździe.

Isabelle była coraz bardziej wystraszona. Wyglądało to fatalnie. Matka nie krzyczała, ale mówiła lodowatym tonem. Usiadły przy kuchennym stole, Sara zrobiła jej napar z mięty, ale Isabelle nawet nie zwróciła na to uwagi.

- Dziś po południu telefonował do mnie Julian - powiedziała po chwili Sara, patrząc córce w oczy.

- Spodziewałam się tego - powiedziała nerwowo Isabelle, bawiąc się filiżanką. - Spotkałam się jedynie z dawnym przyjacielem z Włoch... to jeden z nauczycieli.

- Doprawdy? - rzekła drwiąco matka. - Bardzo interesujące.

Sprawdziłam listę uczestników - on pojawił się na naszym przyjęciu jako czyjś gość. Księżę di San Tebaldi. Widziałam, jak z nim tańczyłaś, czyż nie mam racji? Jest bardzo przystojny.

Isabelle skinęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Tym razem nie odważyła się spierać z matką, po prostu czekała na karę, ale Sara nie miała zamiaru na tym poprzestać; Isabelle siedziała jak na szpilkach.

- Niestety - mówiła dalej Sara - ten człowiek ma raczej nieciekawą opinię... Od czasu do czasu przyjeżdża do Paryża, rozgląda się za paniami mającymi jaką taką fortunę. Czasami radzi sobie bardzo dobrze, czasami gorzej. W każdym razie nie jest to ktoś, z kim powinnaś się pokazywać.

Nie kwestionowała jego wieku ani tego, że Isabelle pojechała do miasta bez jej pozwolenia, próbowała rozmawiać z nią rozsądnie i udowodnić, że jej przyjaciel jest łowcą posagów; Sara sądziła, że to może zrobić na córce wrażenie, ale tak się nie stało.

- Ludzie zawsze opowiadają niestworzone rzeczy o księżętach, bo są zawistni - odparła niewinnie Isabelle nadal zbyt wystraszona, by wypowiedzieć matce otwartą wojnę. Ponadto wyczuwała instynktownie, że to starcie przegra.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- On mi powiedział.

- On ci to powiedział? - Sara wyglądała na zaskoczoną. - Czy nie przyszło ci na myśl, że mówi tak na wszelki wypadek, zapuszcza zasłonę dymną. Isabelle, dzięki Bogu, że nie jesteś głupia.

Córka jednak zawsze była idiotką, gdy chodziło o mężczyzn, a zwłaszcza o tego jednego.

Julian wykonał tego popołudnia jeszcze kilka telefonów - o nowym przyjacielu Isabelle wszyscy mówili, że jest bardzo kłopotliwy.

- To nie jest przyjemny człowiek, Isabelle. Musisz mi tym razem uwierzyć. On cię wykorzystuje.

- Jesteś zazdrosna.

- To śmieszne.

- To ty jesteś śmieszna! - krzyknęła na matkę. - Odkąd umarł ojciec, nie ma nikogo w twoim życiu, co powoduje, że czujesz się stara, brzydka i jesteś... po prostu chcesz go dla siebie!

Wylała potok słów. - Sara patrzyła na Isabelle zaskoczona, ale nadal zachowywała spokój.

- Mam nadzieję, że sama w to nie wierzysz. Obie wiemy, że to nieprawda. Ogromnie tęsknię za twoim ojcem, w każdym momencie, w każdej godzinie dnia - jej oczy wypełniły się łzami, kiedy o tym pomyślała - i nigdy nie zamieniłabym go na łowcę posagów z Wenecji.

- On teraz mieszka w Rzymie - sprostowała Isabelle, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Matka rozmyślała o przepotężnej głupocie młodego wieku. Wstrząsające było to, jakiego bałaganu narobiły w swym życiu jej dzieci. Z drugiej strony Sara w ich wieku nie lepiej radziła sobie z Freddie. Przypomniała to sobie i starała się nadal sensownie rozmawiać z córką.

- Nic mnie nie obchodzi, gdzie on mieszka - Sara zaczynała trochę tracić panowanie nad sobą. - Nie będziesz się z nim widywała. Czy to do ciebie dociera?

Isabelle nie odpowiadała.

- A jeśli jeszcze raz zabierzesz mój samochód, wezwę policję, by cię sprowadziła do domu. Zachowuj się jak należy, Isabelle, albo źle na tym wyjdiesz! Czy słyszysz, co mówię?

- Nie będziesz mi więcej mówić, co mam robić. Mam osiemnaście lat.

- I jesteś idiotką. Ten człowiek poluje na twoje pieniądze i nazwisko, które liczy się dużo bardziej niż jego własne. Trzymaj się od niego z daleka.

- A co będzie, jeśli tego nie zrobię? - rzuciła urągliwie Isabelle.

Na to Sara nie miała odpowiedzi. Może powinna ją wysłać do Whitfield, by pozostała na pewien czas z Phillipem, jego niebywale nudną żoną i dziećmi. Ale cały klimat otoczenia Phillipa nie wywrze na Isabelle lepszego wpływu. Tam jest pełno różnych sekretarek, pań lekkich obyczajów i rozmaitych intryg. Co się dzieje z nimi wszystkimi? Phillip ożenił się z kobietą, o którą się nie troszczy i chyba nie dbał nigdy, chociaż jest to kobieta godna szacunku, Julian sypia ze wszystkimi dziewczynami naokoło, z także z ich matkami, a teraz Isabelle niemal oszalała dla tego oszusta z Wenecji. Czym sobie zasłużyli na to ona i William, że spłodzili tak zwariowane potomstwo?

- Skończ z nim! - ostrzegła córkę Sara. Poszła na piętro do swego pokoju, a po chwili usłyszała, jak Isabelle zatrzaskuje drzwi.

Dziewczyna zachowywała się przyzwoicie przez tydzień, po czym znowu zniknęła, choć tym razem zabrała peugeota. Twierdziła, że pojechała do przyjaciółki w Garches; Sara nie była w stanie dowieść, że to nieprawda, ale jej nie wierzyła. Napięta atmosfera utrzymywała się aż do wyjazdu Isabelle do Cap Ferrat - potem Sara odetchnęła z ulgą, sama nie wiedząc dlaczego. Lazurowe Wybrzeże nie znajdowało się przecież na innej planecie. Tyle że tam była przynajmniej z przyjaciółmi, a nie z tym kretynem z Wenecji.

Wtedy Julian przesłał matce gazety z Nicei, Cannes i Monte Carlo, dokąd pojechał na weekend. Były pełne opowieści o księciu di San Tebaldi i lady Isabelle Whitfield.

- Co my z nią zrobimy? - zapytała syna zrozpaczona Sara.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział uczciwie Julian. - Myślę tylko, że należy tam pojechać.

Zrobili tak w następnym tygodniu, kiedy mieli czas, i oboje starali się ją przekonać. Ale Isabelle nie chciała słuchać; powiedziała im twardo, że jest zakochana w Lorenzu, a on ją uwielbia.

- Oczywiście, że tak ty głuptasie - starał się wytłumaczyć jej brat. - On może się tylko domyślać, ile jesteś warta. Mając cię w ręku będzie ustawiony raz na zawsze.

- Doprowadzacie mnie do mdłości! - wykrzyknęła Isabelle. - Oboje!

- Nie bądź zupełną idiotką! - wrzasnął brat w odpowiedzi.

Zabrali ją ze sobą do hotelu Miramar, ale uciekła. Na tydzień dosłownie znikła z powierzchni ziemi, a kiedy wróciła, był z nią Lorenzo. Gęsto się tłumaczył, że oboje zachowali się tak lekkomyślnie, że sam do nich nie zatelefonował. Sara zatopiła w nim oczy jak sztylety. Była chora z niepokoju, ale z obawy o skandal nie śmiała zawiadomić policji. Wiedziała, że Isabelle jest z Lorenzem.

- Isabelle była taka przybita - kontynuował i błagał o wybaczenie. Ale Isabelle przerwała mu, zwracając się wprost do matki.

- Chcemy się pobrać.

- Nigdy - odpowiedziała twardo Sara.

- Więc ucieknę znowu. A potem jeszcze raz. Aż mi pozwolisz.

- Tracisz czas. Nigdy nie pozwolę - po tych słowach odwróciła się do Lorenza. - A ponadto zablokuję każdego centa, jakiego Isabelle posiada.

Ale córka wiedziała lepiej.

- Nie możesz. Nie w stosunku do wszystkich pieniędzy. Wiesz, że to, co zostawił mi ojciec, przechodzi na mnie, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, i nie masz na to wpływu.

Sara zaczęła żałować, że w ogóle jej o tym powiedziała; Lorenzo wyraźnie się ucieszył tą wiadomością, a Julian siedział jak kupka nieszczęścia. Sytuacja była jasna dla wszystkich, wyjąwszy Isabelle.

Była za młoda, by to pojąć. Miała osiemnaście lat i żadnego życiowego doświadczenia. Jeśli dodać do tego, że była mocno napalona, mieszanka wybuchowa była gotowa.

- Zamierzam wyjść za niego - oświadczyła ponownie; Sarę zaintrygowało milczenie Lorenza. Pozwalał, by jego przyszła narzeczona walczyła sama - to wskazywało, co nastąpi później; Sara chciała to uświadomić córce.

- Nigdy ci nie pozwolę go poślubić.

- Nie możesz mnie powstrzymać.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - przysięgła Sara; w oczach Isabelle błysnęła złość i nienawiść.

- Nie chcesz mojego szczęścia. Nigdy nie chciałaś. Nienawidzisz mnie.

Tym razem Julian przekłuł balon.

- Mów to komu innemu. To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem.

Zwrócił się do Lorenza z nadzieją, że trafi do jego rozsądku i przyzwoitości, o ile w ogóle ją ma; tak się jednak nie stało.

- Czy pan rzeczywiście chce poślubić ją w tych określonych warunkach, Tebaldi? O co tu chodzi?

- Oczywiście, że nie. Serce mi krwawi, kiedy to wszystko widzę - przewracał oczami, robiąc z siebie pośmiewisko dla wszystkich poza Isabelle. - Mogę powiedzieć tylko tyle... uwielbiam ją. Ona wypowiada się za nas oboje... pobierzemy się.

Wyglądał, jakby za chwilę miał zacząć śpiewać; Julian nie wiedział: śmiać się czy płakać.

- Czy nie czuje się pan jak idiota? Ona ma osiemnaście lat. Mógłby pan być jej dziadkiem, albo prawie.

- Ona jest kobietą mego życia - oświadczył Tebaldi. Rzeczywiście, jedyne, co można było o nim powiedzieć dobrego to to, że nigdy nie był żonaty. Zawsze bardziej opłacało mu się prowadzić

ruchliwy tryb życia - aż do teraz. Tym razem zysk będzie o wiele większy, jeśli tylko uda mu się usidlić małą lady Whitfield, do której rodziny należy największa firma jubilerska w Europie, a także liczne ziemie, tytuły i posiadłości rodowe. Rodzina z wypchanym portfelem. Zdobycz nie dla amatora, ale Lorenzo nie był amatorem.

- Jeśli oboje jesteście tacy pewni, dlaczego nie chcecie poczekać? - spróbował ponownie Julian, ale oboje potrząsnęli przecząco głowami.

- Nie możemy... i ten wstyd... - Lorenzo wyglądał, jakby za chwilę zamierzał się rozplakać.

- Spędziłem z nią tydzień. Jej reputacja została narażona na szwank, co będzie, jeśli zajdzie w ciążę?

- Och, mój Boże - Sara ciężko opadła na krzesło. Myśl o tym przyprawiała ją o chorobę. Jego dziecko w rodzinie byłoby jeszcze gorszym nieszczęściem niż dwoje bezbarwnych dzieciaków biednej Cecily.

- Czy jesteś w ciąży? - zapytała wprost.

- Nie wiem. Nie stosowaliśmy żadnych zabezpieczeń.

- Cudownie. Z niecierpliwością będę oczekiwać, by dowiedzieć się o rezultacie za kilka tygodni.

Zawsze oczywiście pozostaje możliwość aborcji, ale nie to było teraz najistotniejsze. Problemem było małżeństwo.

- Chcemy wziąć ślub tego lata... a najpóźniej w święta Bożego Narodzenia. Na zamku - zdecydowała Isabelle; jakby Lorenzo dobrze nauczył ją tego tekstu; tak rzeczywiście było. Zależało mu na okazałym, efektownym weselu, tak aby później nie mogli się łatwo pozbyć zięcia. I tak by nie mogli, bo jeśli się pobiorą, będą małżeństwem na zawsze. On jest katolikiem i zamierza wziąć z Isabelle ślub w kościele katolickim w Rzymie - po ślubie, który odbędzie się w zamku. To postawił jako podstawowy warunek. Jedyna rzecz, która się dla niego liczy - mówił - to być poślubionym w oczach Boga; gdy wygłaszał tę kwestię, był bardzo wzruszony. Na szczęście Sara nie musiała tego słuchać.

Walczyli ze sobą, dyskutowali, sprzeczekali się i wrzeszczeli do późnej nocy, aż Julian ochrypnął, Sara dostała potężnego bólu głowy, Isabelle o mało nie zemdląła, a Lorenzo upominał się o lód, sole trzeźwiące i wilgotne ręczniki. W końcu Sara poddała się. - Nie było wyboru. Gdyby tego nie zrobiła, znowu uciekliby, Isabelle przysięgała, że tak postąpi. Matka starała się ich przekonać, by poczekali rok, ale nawet nie chcieli o tym słuchać. A Lorenzo nalegał, by ślub odbył się zaraz, na wypadek gdyby rzeczywiście była w ciąży.

- Można przecież poczekać i dowiedzieć się? - spokojnie zaproponowała Sara. Ale pod koniec wieczoru nie chcieli już czekać do Bożego Narodzenia. Lorenzo precyzyjnie ocenił miarę

nienawiści, jaką w nich wzbudził, i zorientował się, że jeśli nie przeforsuje swego stanowiska natychmiast, rodzina znajdzie sposób, by się go pozbyć, i wszystkie plany wezmą w łeb.

Jeszcze tej nocy z trudem uzgodniono, że ślub odbędzie się pod koniec sierpnia w zamku, wyłącznie w obecności grona bliskich przyjaciół, bez udziału prasy. Lorenzo był rozczarowany brakiem okazałego wesela, na jakie zasługiwali w jego mniemaniu, ale przyrzekł Isabelle zorganizować fantastyczne przyjęcie we Włoszech; Sara zastrzegła, że nie będzie za nie płacić.

Dla Sary i Juliana była to gorzka noc. Isabelle wyszła z pokoju i pojechała do hotelu, gdzie zatrzymał się Lorenzo. Nie miała już żadnych hamulców. Postępowała tak, jakby za wszelką cenę dążyła do autodestrukcji.

Wesele w Chateau de la Meuze było niewielkie, ale wytworne; uczestniczyli w nim jedynie bliscy przyjaciele. Isabelle wyglądała bardzo pięknie w krótkiej białej sukience od Diora, zaprojektowanej przez Marca Bohana, i harmonizującym z nią kapeluszu z wielkim rondem. Sara była bardzo zadowolona, że córka nie jest w ciąży.

Na ślub przybyli z Anglii Phillip i Cecily; podczas uroczystości siostrę przekazywał panu młodemu Julian, Xavier niósł obrączkę, a Sara życzyła sobie w duchu, by ją zgubił.

- Jesteś wstrząśnięta - rzekła półgłosem Emanuelle, gdy popijały w ogrodzie szampana.

- Chyba zwymiotuję przed lunchem - powiedziała Sara żałośnie. Obserwowała ślub córki w swym własnym ogrodzie - udzielali go ksiądz katolicki i biskup kościoła episkopalnego. Była to więc podwójna uroczystość, podwójnie tragiczna dla Isabelle.

Przez cały dzień Lorenzo paplał, wywnętrzał się, mizdrzył i krygował, czarował wszystkich, wznosił toasty, powtarzał, że nie może odżalować, iż nie mógł poznać księcia, ojca Isabelle.

- On odrobinę przesadza, prawda? - rzekł Phillip, rozbawiając matkę tym umniejszaniem ewidentnych faktów. - Nie bardzo wiadomo, czy pod przykrywką emocji nie kryje się fałsz.

W porównaniu z zięciem, Cecily była Gretą Garbo. Teraz w rodzinie były już dwie osoby, których Sara nie lubiła, choć Cecily była tylko nudna. Lorenza Sara nienawidziła, co zresztą łamało jej serce; wynikało z tego, że po tym ślubie nigdy już nie zbliży się do Isabelle. Jej uczucia w stosunku do męża córki nie były tajemnicą.

- Jak ona może sobie w ogóle wyobrażać, że go kocha? - zapytała zdesperowana Emanuelle.

- Przecież tak łatwo go rozszyfrować... jest taki śliski...

- To wina młodości. Nie znała dotychczas takich mężczyzn - powiedziała Sara z nieskończoną mądrością. - Niestety, będzie się musiała wiele nauczyć w bardzo krótkim czasie.

Ponownie przyszyły jej na myśl własne doświadczenia z Freddie'iem van Deeringiem. Chciała tego oszczędzić Isabelle, dokładała starań, ale bezskutecznie. Isabelle dokonała wyboru i wszyscy poza nią wiedzieli, że była to niesłuszna opcja.

Weselne przyjęcie trwało do wieczora, po czym Isabelle i Lorenzo odjechali. Wybierali się w podróż poślubną na Sycylię, do nowego kąpieliska morskiego, by spotkać się tam z jego przyjacielem, Agą Khanem - w każdym razie tak twierdził Lorenzo. Sara wyobrażała sobie, że wiele niby przyjaciół rozplynie się we mgle w ciągu następnych kilku lat, jeżeli on sam będzie żył dostatecznie długo. Sara miała nadzieję, że nie.

Po ich wyjeździe na lotnisko wynajętym rolls-royce'em z szoferem rodzina siedziała w ogrodzie w ponurym nastroju, rozpamiętując niezmierną głupotę Isabelle. Tylko Phillip, jak zwykle zresztą, wydawał się zbyt nie przejmować. Rozmawiał po cichu z przyjaciółką Emanuelle i Sary. Dla pozostałych uczestników przyjęcie zakrawało raczej na stypę. Sara czuła, że zawiodła nie tylko córkę, ale i męża. Byłby zdruzgotany, gdyby zobaczył Lorenza.

Otrzymała od Isabelle krótką wiadomość po ich przybyciu do Rzymu, a potem ani jednego słowa aż do Bożego Narodzenia. Sama telefonowała raz czy dwa i wysłała kilka listów, ale Isabelle nie odpowiadała. Wyraźnie odreagowywała gniewem. Kilka razy kontaktował się z nią Julian, więc Sara wiedziała przynajmniej, że Isabelle jest zdrowa. Nikt natomiast nie miał pojęcia, czy jest szczęśliwa. W następnym roku też nie pojawiła się w domu, nie chciała też, by matka ją odwiedziła, tak więc Sara nie pojechała. Julian poleciał raz do Rzymu, by się z nią zobaczyć, i potem mówił, że jest bardzo piękna i spoważniała; przejęła też najwyraźniej włoski styl życia. Według informacji z ich wspólnego banku, wydawała ogromne ilości pieniędzy. Kupiła mały pałacyk w Rzymie i willę w Umbrii. Lorenzo nabył jacht, nowego rollsa i ferrari. O ile Julian mógł się zorientować, na horyzoncie nie było widać dziecka.

Po upływie pierwszego roku małżeństwa oboje zjawili się w zamku na Boże Narodzenie, ale chyba nie z wielkim entuzjazmem; Isabelle podarowała matce złotą bransoletkę z perłami od Buccelattiego. W drugi dzień świąt wyjechała z Lorenzem na narty do Cortiny. Trudno było zrozumieć, co się dzieje między nimi; Isabelle nie otworzyła się nawet przed Julianem. W końcu Emanuelle wywęszyła prawdę. Poleciała do Rzymu po spotkaniu z Nigelem i Phillipem w Londynie, a następnie opowiedziała Sarze, że Isabelle wygląda okropnie. Ma podkrążone oczy, jest chuda jak patyk i niezmiernie poważna. Kilka razy się z nią widziała, ale Lorenza nie było w pobliżu.

- Sądzę, że nie układa się dobrze, ale nie jestem pewna, czy Isabelle byłaby gotowa to przyznać. Po prostu zostaw otwarte drzwi, a ona w końcu wróci do domu. Jak dwa razy dwa.

- Mam nadzieję, że masz rację - rzekła Sara ze smutkiem. Ta strata okropnie jej ciążyła. W ciągu ostatnich dwóch lat straciła jedyną córkę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Następne trzy lata, zanim Isabelle znów pojawiła się w Paryżu, były bolesne. Przyjechali, bo Sara zaprosiła ich na organizowaną w Luwrze uroczystość z okazji trzydziestolecia Whitfield's. Firma zajęła część pałacu na to przyjęcie - coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy; Emanuelle wykorzystwała swe znajomości w sferach rządowych, aby uzyskać zgodę na ten precedens. Okoliczne ulice miały zostać zamknięte, co wymagało zaangażowania setek strażników z muzeum i żandarmów. Sara była przekonana, że wszystko się uda, Lorenzo zaś dobrze wiedział, że tego wydarzenia nie wolno przegapić. Gdy córka z zięciem przyjęli zaproszenie, Sara była oszołomiona. Isabelle była żoną Lorenza od pięciu lat, a matka nigdy nie pogodziła się z dzielącą je rezerwą. Skupiła swą energię i uczucie na Xavierze oraz Julianie, a do pewnego stopnia także na Phillipie, którego rzadko widywała. Był mężem Cecily od trzynastu lat, a aluzje o jego miłostkach były tematem wzmianek prasowych. Nigdy ich jednak nie potwierdzono i Sara podejrzewała, że dzieje się tak z szacunku dla jego pozycji. Książę Whitfield, zdaniem niektórych, wyróżniał się niestałością.

Przyjęcie wydane przez Sarę było najbardziej olśniewającą uroczystością, jaką widział Paryż. Widok pięknych kobiet zapierał w piersiach dech, mężczyźni przedstawiali taką wartość strategiczną, że z osób siedzących przy głównym stole można by było utworzyć pięć rządów. Znalazł się tam prezydent Francji, Onassisowie, książę Rainier z żoną, Arabowie, Grecy, wszyscy liczący się Amerykanie i koronowane głowy Europy. Obecni byli wszyscy ludzie noszący kiedykolwiek biżuterię i mnóstwo młodych kobiet, mających nadzieję ją założyć. Były kurtyzany i królowe, bogaci i sławni ludzie. W porównaniu z tą galą przyjęcie sprzed pięciu lat było nędzne. Nie oszczędzono wydatków i nawet Sara, gdy zobaczyła efekt, była oszołomiona. Siedziała spokojnie w poczuciu sukcesu, patrząc na cały ten zgiełk, na tysiąc osób, które siedziały przy stołach, tańczyły, błaznowały wobec siebie i na użytek prasy; z pewnością wiele z nich szarżowało w sposób zamierzony, nikt nie zdawał sobie jednak sprawy, że wpada w przesadę.

Julian towarzyszył bardzo ładnej dziewczynie, aktorce, o której Sara czytała w najnowszym czasopiśmie relacjonującym skandale towarzyskie - dla niego była to ciekawa odmiana. Ostatnio pokazywał się z niebywalej urody brazylijską modelką. Zawsze otaczał go wianuszek dziewcząt, ale zawsze zachowywał się wobec nich jak należy. Kochały go, gdy się pojawiały, i kiedy odchodziły. Trudno było wymagać więcej. Sara chciałaby, aby znalazł wreszcie żonę, ale Julian miał dwadzieścia dziewięć lat i żadne znaki nie wskazywały, że go to interesuje; matka nie nalegała.

Phillip przywiózł naturalnie żonę, ale większą część wieczoru spędził z dziewczyną, która pracowała u Saint Laurenta. Poznał ją przed rokiem w Londynie i odnosiło się wrażenie, że mają się ku sobie. Zawsze przyglądał się bacznie dziewczynom Juliana, teraz również dostrzegł go z aktorką, ale nie podszedł, by się przedstawić; potem zgubili się w tłumie. Upłynęło wiele czasu, zanim odszukał Cecily, która z zachwytem opowiadała królowi Grecji o swoich koniach.

Sara z przyjemnością obserwowała, że Isabelle jest jedną z najpiękniejszych uczestniczek przyjęcia. Miała na sobie obcisłą czarną suknię od Valentina, która wspaniale podkreślała jej figurę; długie czarne włosy opadały na plecy. Założyła też wspaniałą brylantową biżuterię: naszyjnik, bransoletę i dopasowane do tego kolczyki, które pożyczył jej Julian. W gruncie rzeczy nawet nie potrzebowała klejnotów. Była po prostu taka piękna, że goście otwierali oczy ze zdziwienia; Sarę cieszyło, że córka przyjechała na tę uroczystość. Nie miała złudzeń, dlaczego tak się stało. Tego wieczoru Lorenzo najwyraźniej zabiegał o publicity, czepiał się kurczowo różnych osobistości i nieustannie pozował dziennikarzom. Zauważyła to Sara, a także Isabelle, która go dyskretnie obserwowała; matka nie powiedziała ani słowa, ale wyczuła, że coś między nimi nie gra; bez skutku czekała, że córka coś na ten temat powie. Isabelle bawiła się do późna, tańczyła z dawnymi znajomymi, a zwłaszcza z pewnym francuskim księciem, który zawsze ją lubił. Wielu mężczyzn chętnie zajęłoby się dwudziestotrzyletnią i piękną Isabelle, ale ona znikła z horyzontu przed pięciu laty.

Nazajutrz Sara zabrała swoich najbliższych na lunch do Fouqueta, aby podziękować za pomoc w przygotowaniach do przyjęcia. Była tam oczywiście Emanuelle, Julian, Phillip i Cecily, Nigel, jego zaprzyjaźniony projektant, a także Isabelle i Lorenzo. Xaviera nie było w Paryżu. Od miesięcy błagał Sarę, by mu pozwoliła odwiedzić przyjaciół w Kenii. Początkowo nie zgadzała się, ale bardzo nalegał. Sara była tak zajęta planami dotyczącymi rocznicowego przyjęcia, że wreszcie pozwoliła mu na tę eskapadę. Nie posiadał się z radości i był matce ogromnie wdzięczny. Miał czternaście lat i wrywał się, by poznać świat - im bardziej odległą jego część, tym lepiej. Uwielbiał mieszkać z matką, kochał Francję, ale nieustannie marzył o egzotyce, o odkrywaniu nieznanego. Czterokrotnie przeczytał książkę Thora Heyerdala i zdawał się wiedzieć wszystko o Afryce, Amazonii i innych miejscach na świecie, do których nikt z jego rodziny nigdy nie zamierzał się udać. Wykazywał niezależność, pod pewnymi względami podobny był do Williama, pod innymi znów do Sary; miał trochę z ciepła Juliana i dużo humoru po ojcu. Ale ciągnął go demon włóczęgi, miał upodobanie do wędrownego życia, którego nikt w ich klanie nie podzielał. Pozostali członkowie rodziny zadowalali się Paryżem, Londynem, Antibes czy nawet Whitfield.

- Mamy przytępioną wyobraźnię w porównaniu z Xavierem - uśmiechnęła się Sara. Napisał już z pół tuzina listów o egzotycznych zwierzętach i błagał, by matka pozwoliła mu na ponowny wyjazd.

- Z pewnością nie ma tego po mnie - uśmiechnął się Julian, który lepiej czuł się na kanapie niż na safari.

- Ani po mnie - roześmiał się Phillip, Lorenzo zaś natychmiast wdał się w długą i nudną opowieść o swoim drogim przyjacielu, maharadzy Dżajpuru.

Podczas lunchu czas upłynął im przyjemnie mimo obecności Lorenza; potem każdy odjechał w swoją stronę; wszyscy Whitfieldowie pożegnali się z matką. Julian wybierał się na kilka dni z przyjaciółmi do Saint-Tropez, by odpocząć po pracy nad przygotowaniem gigantycznego przyjęcia, Phillip i Cecily wracali samolotem do Londynu. Nigel wraz ze swym przyjacielem miał zostać kilka dni w Paryżu. Emanuelle wracała do pracy, Sara w końcu musiała zrobić to samo. Tylko Isabelle nie śpieszyła się po lunchu. Lorenzo miał coś odebrać u Hermesa i chciał się spotkać ze znajomymi. Zostali jeszcze jeden dzień i wydawało się, że Isabelle po raz pierwszy ma ochotę porozmawiać z matką. Kiedy zostały same, zawahała się; Sara zaproponowała jej jeszcze jedną filiżankę kawy.

Obie zamówiły espresso. Isabelle usiadła obok. Z przygnębieniem spojrzała na matkę i w jej oczach stanęły łzy, choć próbowała walczyć ze słabością.

- Nie sądzę, bym teraz miała prawo coś powiedzieć, prawda? - zapytała żałośnie, a Sara delikatnie dotknęła jej dłoni, nie marząc o niczym innym, tylko o tym, by wymazać z życia Isabelle ból albo chociaż ją jakoś osłonić. Ale już dawno przekonała się, że to daremne. - Nie mogę się skarżyć, przecież mnie ostrzegałaś.

- Ależ możesz - uśmiechnęła się Sara. - Człowiek zawsze może narzekać.

Potem zdecydowała się na otwartość.

- Jesteś nieszczęśliwa, prawda?

- Bardzo - przyznała Isabelle, ścierając łzę z policzka. - Nie miałam pojęcia, że to tak będzie... byłam młoda i głupia, zresztą wiesz wszystko. Byłam po prostu ślepa... Mówiła szczerą prawdę, ale Sara odczuła smutek. Ani trochę nie pocieszyło jej to, że miała absolutną rację. Za tę rację płaciło teraz jej dziecko. Serce się jej krajało, gdy patrzyła na nieszczęsną Isabelle. Przed laty pogodziła się z tym, że będzie ją widywać od przypadku do przypadku, ale zawsze nad tym bolała. Teraz, kiedy zobaczyła, jak zgasła Isabelle, oziębienie stosunków między matką a córką wydawało się jeszcze większą stratą.

- Jesteś bardzo młoda. I bardzo uparta. On natomiast był niesamowicie przebiegły.

Isabelle potwierdziła ze smutkiem.

- On grał na tobie jak na skrzypcach, by otrzymać to, o co mu chodziło.

Grał na nich wszystkich, wymusił zgodę rodziny i zbałamucił młodszą dziewczynę, by wyszła za niego za męża. Trudno było wybaczyć Isabelle, ale winę przede wszystkim ponosił Lorenzo.

- Dobrze wiedział, co robi.

- Lepiej niż sądzisz. Gdy tylko dotarliśmy do Rzymu, a on dostał to, czego chciał, wszystko się radykalnie zmieniło. Wyglądało na to, że już wcześniej wyszukał pałacyk, mówiąc, że we Włoszech wszyscy liczący się ludzie mieszkają w pałacach, że to konieczne dla naszych dzieci, podobnie jak willa w Umbrii. Potem kupił rollsa... jacht i ferrari... i nagle przestałam go widywać. Zawsze włóczył się gdzieś ze znajomymi, gazety pisały o nim w kontekście innych kobiet. Ile razy o to pytałam, śmiał się i odpowiadał, że to starzy przyjaciele albo kuzyni. On chyba jest spokrewniony z połową Europy - westchnęła ponuro Isabelle, patrząc w oczy matki. - Oszukuje mnie od lat i już się nawet z tym nie kryje. Robi, co tylko mu przyjdzie do głowy, i twierdzi, że ja nic na to nie mogę poradzić. We Włoszech nie ma rozwodów, a on jest spokrewniony z trzema kardynałami. Mówi, że nigdy się ze mną nie rozwiedzie.

Isabelle wydawała się taka bezradna. Sara nawet nie przypuszczała, iż doszło do takiego rozkładu małżeństwa córki, że Lorenzo śmie się tak zachowywać. Trzeba być wyjątkowo bezczelnym, by przyjechać tu, uczestniczyć w przyjęciu i starać się być za pan brat z przyjaciółmi Sary. Poczula wściekłość.

- Czy prosiłaś go o rozwód? - zapytała zmartwiałym głosem, delikatnie dotykając dłoni córki; Isabelle przytaknęła.

- Przed dwoma laty, kiedy miał gorący romans ze znaną rzymską damą. Nie byłam już w stanie tego znieść. Opisywano ich we wszystkich gazetach. Nie widziałam sensu, by kontynuować tę grę - już nie wstrzymywała łez. - Byłam taka samotna.

Sara objęła ją; Isabelle wytarła nos i opowiadała dalej:

- W ubiegłym roku też zażądałam rozwodu. Znowu odmówił, twierdząc, że muszę się pogodzić z faktem, że jesteśmy małżeństwem raz na zawsze.

- On chce być mężem twojego konta w banku, nie twoim.

Lorenzowi zawsze o to chodziło i, zdaniem Juliana, miał wiele szczęścia. Odłożył sobie mnóstwo pieniędzy, które dostał od Isabelle, i ciągle kazał jej za wszystko płacić. Nie przejmowałaby się tym tak bardzo, gdyby go kochała. Ale o tym nie było mowy już od lat. Kiedy wypaliła się pierwsza namiętność, nie pozostało nic z wyjątkiem popiołu.

- Przynajmniej nie masz z nim dzieci. Jeśli w ogóle kiedykolwiek się z tego wywikłasz, sprawa będzie mniej skomplikowana. Jesteś jeszcze młoda, możesz mieć dzieci później.

- Nie z nim - powiedziała ponuro Isabelle, zniżając głos; kelnerzy trzymali się w dyskretnej odległości. - Nie możemy mieć dzieci.

Tym razem Sara spojrzała z zaskoczeniem. Do tej pory nie dziwiła się jakoś niczemu.

- Dlaczego nie?

Ostrzegął, że być może Isabelle jest w ciąży, kiedy chciał ją poślubić; to był główny powód, dla którego nie czekano do Bożego Narodzenia. Przecież nie był taki stary, miał wtedy pięćdziesiąt cztery lata; William był starszy, kiedy urodził się Xavier, a przy tym - myślała o nim ciepło Sara - nie miał tęgiego zdrowia.

- Czy z nim jest coś nie tak?

- Chorował na świnkę, będąc dzieckiem, i jest bezpłodny. Powiedział mi o tym jego wuj. Enzo nigdy nic mi nie mówi. Gdy go o to zapytałam, roześmiał się i powiedział, iż mam dużo szczęścia, że ma wbudowany system kontroli urodzin. Kłamał mam, powiedział, że będziemy mieli dwanaścioro dzieci.

Po policzkach Isabelle ciągle toczyły się łzy.

- Myślę, że mogłabym pozostać jego żoną, choć go nienawidzę, gdybyśmy mieli dzieci.

W jej głosie brzmiała tęsknota, której nic nie mogło zaspokoić. Przez pięć długich lat nie miała nikogo, kogo mogłaby kochać, jej także nikt nie okazywał miłości. Nawet własna rodzina, z którą powaśniła się z jego powodu.

- Dobrze, że nie masz z nim dzieci, kochanie - rzekła cicho Sara. - Nie chciałabyś przecież, by towarzyszyła im twoja życiowa przegrana.

- Nie śpimy już ze sobą od trzech lat. Najczęściej on nie wraca do domu, chyba tylko po to, by zmienić koszulę albo wziąć pieniądze.

W opowiadaniu Isabelle coś zwróciło uwagę Sary; postanowiła sobie to zapamiętać, by wykorzystać później. Książę di Tebaldi nie był taki zręczny, jak sądził, choć zwykle na tej umiejętności mu nie zbywało.

- Już się tym nie przejmuję - kontynuowała Isabelle. - Nie martwię się o nic. Jestem jak w więzieniu.

Rzeczywiście wyglądała tak, jakby wyszła z aresztu. W dziennym świetle Sara widziała, że Emanuelle miała rację. Zaobserwowała podczas pobytu w Rzymie, że Isabelle jest mizerna i blada, a także ogromnie nieszczęśliwa. Nic dziwnego, miała po temu wystarczające powody.

- Czy chcesz wrócić do domu? Tutaj przypuszczalnie mogłabyś otrzymać rozwód. Ślub brałaś w zamku.

- We Włoszech wzięliśmy drugi ślub - odparła bezradnie Isabelle. - W kościele. Jeśli rozwiodę się tutaj, nie będzie to legalne we Włoszech i już nigdy nie będę mogła powtórnie wyjść za mąż.

Taki akt nie miałby tam mocy prawnej. Lorenzo twierdzi, że muszę się pogodzić ze swym losem.

Trzymał ich na muszce tak jak poprzednio, a to nie podobało się Sarze. Przypadek Isabelle przedstawiał się gorzej niż pierwsze małżeństwo jej matki, choć obie sytuacje były do siebie podobne. Wtedy wkroczył ojciec Sary, teraz ona musi znaleźć sposób, by pomóc córce.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Czego chcesz, moja kochana? - zapytała Sara ze smutkiem. - Natychmiast porozmawiam z adwokatami, ale sądzę, że powinnaś uzbroić się w cierpliwość. W końcu okaże się, że istnieje coś, czego on pragnie bardziej niż ciebie i być może wtedy uda się dobić targu.

Musiała jednak przyznać, że nie będzie to łatwe. Lorenzo był twardą sztuką.

Isabelle spojrzała na matkę z namysłem. Było coś, czego bardzo pragnęła. Nie tyle rozwodu czy dziecka, ile czegoś, co nadałoby jej życiu jakieś znaczenie. Myślała o tym od dawna, ale wobec zimnej wojny z matką nie śmiała jej o to prosić.

- Chciałabym mieć sklep - wyszeptala, a Sara spojrzała na nią zdziwiona.

- Jaki sklep? - wyobraziła sobie, że Isabelle ma na myśli jakiś rodzaj butiku. Ale nie o to chodziło.

- Whitfield's - powiedziała córka z pełnym przekonaniem.

- W Rzymie? - Sara nigdy o czymś takim nie myślała. We Włoszech byli Buccelatti i Bulgari. Nigdy nie rozważała ewentualności otwarcia placówki w Rzymie, ale zaintrygował ją ten pomysł, choć Isabelle była trochę za młoda, by poprowadzić taki sklep. - To ciekawy pomysł. Ale czy jesteś zdecydowana?

- Całkowicie.

- A jeżeli uda ci się z nim rozwieść albo po prostu zdecydujesz się wyjechać, z rozwodem czy bez, co wtedy będzie?

- Nie zrobię tego. Lubię Włochy. Nienawidzę tylko życia z Lorenzem. To jest cudowny kraj - twarz Isabelle rozjaśniła się po raz pierwszy. - Mam wspaniałych przyjaciół, kobiety są bardzo eleganckie, noszą całe tony wspaniałej biżuterii. Mamo, to będzie wielki sukces. Przyrzekam.

Sara nie mogła się nie zgodzić z jej słowami na temat Włosek; był to jednak nowy pomysł, który musiała przetrwać.

- Pozwól, że przemyślę twoją propozycję. I ty także to zrób. Nie wdawaj się w nic zbyt pośpiesznie. To straszna praca i ogromne zobowiązanie. Będziesz pracowała bardzo ciężko, bez

końca. Tu chodzi o wiele więcej niż o wystrój magazynu. Porozmawiaj z Emanuelle i z Julianem. Będziesz musiała być absolutnie pewna, że tego chcesz.

- Ta myśl towarzyszy mi od roku, ale nie śmiałam cię o to poprosić.

- Ale w końcu to zrobiłaś - uśmiechnęła się Sara. - Pozwól, że o tym pomyślę i porozmawiam z twoimi braćmi.

Nagle zaświtała jej myśl.

- Wezmę też pod uwagę sprawę twojego małżeństwa z Lorenzem.

- Tego nie możesz zrobić - Isabelle posłała jej smutne spojrzenie.

- Nigdy nie można przewidzieć.

W głębi serca Sara podejrzewała, że jest to tylko sprawa pieniędzy. Trzeba je będzie zaoferować w odpowiedni sposób i we właściwym czasie. Miała nadzieję, że Isabelle nie będzie musiała długo pozostawać żoną Lorenza.

Rozmawiały jeszcze co najmniej godzinę, po czym, trzymając się pod rękę, powoli wróciły do sklepu. Sara poczuła ciepło koło serca, mając córkę tak blisko pierwszy raz od lat; ostatnio mogła się do niej przytulić, gdy Isabelle była nastolatką. Utrata jej była bolesna, prawie tak smutna, jak utrata Lizzie, bo na swój sposób Isabelle też umarła dla Sary. Jej powrót był wielką radością.

Isabelle pożegnała matkę przed sklepem i poszła na herbatę z dawną koleżanką ze szkoły, która za kilka dni miała wyjść za mąż. Isabelle zazdrościła jej niewinności - jakby dobrze było móc zacząć wszystko od nowa! Zdawała sobie sprawę, że na to nie może liczyć. Jej puste życie nadal będzie związane z Lorenzem. Jeśli matka pozwoli jej otworzyć sklep, będzie miała jakieś zajęcie. Zamiast siedzieć w domu, nienawidzić Lorenza i rozpaczać, że nigdy nie będzie miała dzieci, skoncentruje się na biznesie. Gdyby kochała męża, bez protestu żyłaby bez dzieci; mogłaby też egzystować bez jego miłości, gdyby miała szansę pocieszyć się dzieckiem. Brak jednego i drugiego był niezaskuszoną karą.

- Ona jest za młoda - orzekł kategorycznie Phillip, gdy Sara zadzwoniła do Londynu. Wcześniej omawiała to z Julianem, który uznał, że nie jest to pomysł pozbawiony sensu. Podobały mu się niektóre stare wyroby firmy Buccellati i wiele nowych projektów autorstwa młodych włoskich artystów. Uważał, że w Rzymie można by robić rzeczy interesujące, odmienne od tego, co sprzedawano w Paryżu i Londynie. Każde z tych miast miało swój odrębny styl i własnych klientów. W Londynie była królowa i stara gwardia, w Paryżu ludzie zabiegający o modę i efekt, szykowni, bardzo bogaci i nuworysze. W Rzymie byłoby to zachłanni i wytworni Włosi, szczególnie amatorzy biżuterii.

- Można by znaleźć kogoś, kto jej pomoże, to nie jest ważne - Sara oddaliła obiektyw Juliana. - Prawdziwe pytanie brzmi: czy Rzym to właściwy rynek?

- Myślę, że tak - odparł spokojnie Julian, uczestniczący w ich rozmowie przez telefon.

- A ja myślę, że ty, jak zwykle, nie masz pojęcia, o czym mówisz - zakpił Phillip; Sara poczuła ukłucie w sercu. To już weszło Phillipowi w zwyczaj. Julian był dokładnie taki, jakim Phillip chciałby być, ale bez rezultatu. Przystojny, czarujący, młody, uwielbiany przez wszystkich, szczególnie przez kobiety. Phillip z latami stawał się coraz bardziej kostyczny, a także pokrętny i złośliwy. Miał czterdzieści lat, ale wyglądał raczej na pięćdziesiąt. Małżeństwo z Cecylią nie pomogło mu w niczym, ale trudno, to był jego wybór. Takiej żony szukał: szacownej, nudnej, dobrze urodzonej i zazwyczaj nieobecnej. Większość czasu spędzała na wsi wśród swych ulubionych koni. Ostatnio kupiła stadninę w Irlandii.

- Myślę, że powinniśmy się tym zająć wspólnie - powiedziała rzeczowo Sara. - Czy ty i Nigel możecie tu przyjechać, czy wolicie, abyśmy my zjawili się w Londynie?

Ostatecznie zdecydowano, że będzie prościej, jeśli Nigel i Phillip przyjadą do Francji. W tym czasie Isabelle i Lorenzo opuścili Paryż. Cała jubilerska piątka uzgadniała stanowisko przez trzy dni; w końcu przeważała szala Emanuelle, która stwierdziła, że gdyby William i Sara nie mieli dosyć odwagi, by spróbować czegoś zupełnie odmiennego, w tamtych czasach niemal odpychającego, w ogóle nie byłoby Whitfield's. I gdyby firma się nie rozrastała, w jakimś momencie nastąpiłby jej upadek. Nadeszły lata osiemdziesiąte, era ekonomicznej ekspansji. Emanuelle czuła, że trzeba poszukiwać nowych rynków: Włochy, może nawet Niemcy... Nowy Jork. Świat nie kończy się na Londynie i Paryżu.

- Dobrze powiedziane - odezwał się Nigel, ostatnio wyglądający niezwykle dystyngowanie. Był dobrze po sześćdziesiątce i Sara truchlała na myśl, że kiedyś będzie chciał przejść na emeryturę. Ale na razie, w przeciwieństwie do jej syna, Nigel wybiegał myślą daleko w świat, szukał nowych pomysłów i miał odwagę podążać naprzód.

- Myślę, że Emanuelle ma rację - dodał Julian. - Nie możemy spoczywać tutaj na laurach. To najpewniejszy sposób, by ukatrupić cały nasz biznes. Powinniśmy byli pomyśleć o tym dawno, niezależnie od sprawy Isabelle. Teraz jest doskonała koniunktura.

Przed wieczorem doszli do porozumienia, choć Phillip wyraził zgodę niechętnie. Twierdził, że nowa filia gdzieś w Anglii byłaby bardziej na miejscu niż w Rzymie, ale wszyscy oprotowali tę jego opinię. Ciągle nie był w stanie zrozumieć, że poza Anglią istnieje jeszcze jakieś miejsce warte uwagi.

Tego wieczora Sara sama zadzwoniła do Isabelle, przekazując jej dobrą nowinę; dziewczyna zachowała się tak, jakby dostała gwiazdkę z nieba. Biedne dziecko łaknęło miłości,

uczucia, tego, by ktoś wskazał jej właściwą drogę. Sara przyrzekła, że przyjedzie do niej w następnym tygodniu, by omówić całe przedsięwzięcie. Gdy wreszcie już tam była, zaintrygowało ją, że przez całe pięć dni pobytu ani razu nie widziała Lorenza.

- Gdzie on jest? - ośmieliła się w końcu zapytać.

- Na Sardynii z przyjaciółmi. Słyszałam, że ma nową kochankę.

- Jak to miło z jego strony - odrzekła cierpko Sara, przypominając sobie, jak to Freddie podczas przyjęcia z okazji rocznicy ich ślubu przemierzał trawnik w towarzystwie dziwek. Córka popatrzyła na matkę z zaskoczeniem, gdy Sara opowiedziała jej tę historię.

- Wiedziałam, że się rozwiedliście, ale nie miałam pojęcia dlaczego. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie przyszło mi do głowy, że mogłaś popełnić błąd, że byłaś nieszczęśliwa...

...Albo że wyszłaś za mąż za mężczyznę, który sprowadził prostytutki do rezydencji teściów. To była prawdziwie bombowa historia, nawet po czterdziestu latach.

- Każdy może popełnić omyłkę. Ja zrobiłam duży błąd. Ty też. Ale w końcu się z tego wygrzebałam przy pomocy swojego ojca. I potem spotkałam twego ojca. Ty także poznasz kiedyś wspaniałego człowieka. Poczekaj.

Pocałowała ją lekko w policzek i wróciła do hotelu Excelsior. Pomieszczenie wynajęte przy Via Gondotti przez następny rok wymagało ciężkiej pracy. Było większe niż dotychczasowe sklepy i doprawdy imponujące. Dopiero to miejsce nadawało się na prawdziwy pokaz! Isabelle była tak podniecona, że wychodziła ze skóry.

- To prawie tak, jakbym rodziła dziecko, zwierzała się swoim przyjaciołom. Żyła swoją nową pasją, tylko o niej mogła rozmawiać. Przestała się przejmować, że nie widuje, Enza. Kochający małżonek naigrawał się z jej projektu, mówił, że zaraz zbankrutuje. Ale nie brał pod uwagę energii teściowej.

Sara wynajęła firmę, by zajęła się reklamą na szeroką skalę. Namówiła córkę, by zaczęła wydawać przyjęcia i by nawiązała bliższy kontakt z rzymską elitą. Isabelle przeznaczała duże sumy na cele dobroczynne, zapraszała wytworne towarzystwo na obiady, brała udział w najważniejszych wydarzeniach w Rzymie, Florencji, Mediolanie. Nagle lady Isabelle Whitfield, księżna di San Tebaldi stała się ozdobą śmietanki towarzyskiej Rzymu. Przez ten czas przygotowywali się do otwarcia magazynu - wtedy dopiero mąż Isabelle zaczął przywiązywać do tego wagę. Opowiadał o sklepie swoim przyjaciołom, o biżuterii wyjątkowej piękności, którą rzekomo sam wybrał, i o ludziach, którzy już są jego klientami. Isabelle słyszała te głupoty, ale nie zwracała na nie uwagi. Była zajęta dniem i nocą, sprawdzała plany, naradzała się z architektami, zatrudniała personel. Do Rzymu przyjechała Emanuelle i pomagała jej przez ostatnie dwa miesiące; wspólnie zatrudniły

zdolnego młodego człowieka, syna jej dawnych znajomych, który przez cztery lata zajmował niezłe stanowisko w firmie Bulgari. Podkupiły Marcella Scuriego bez trudu, zgodził się pomóc Isabelle w prowadzeniu sklepu, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście; najpierw trochę bał się Isabelle, ale wkrótce się zaprzyjaźnili. Był sprytny, sympatyczny, miał dobry charakter i ogromne poczucie humoru. Miał także żonę i czworo dzieci.

Inauguracyjne przyjęcie w Rzymie okazało się hitem w wielkim stylu. Byli na nim przedstawiciele najwyższych warstw społeczeństwa Włoch, a także kilku wiernych klientów z Londynu i Paryża. Zgromadziło się sporo gości z Wenecji, Florencji, Mediolanu, Neapolu, Turynu, Bolonii, Perugii, z całego kraju. Rok przygotowań sownie się opłacił, a przewidywania Sary okazały się bezbłędne. Nawet Phillip musiał, acz niechętnie, przyznać, że nowy sklep jest wspaniały, Nigel zaś stwierdził, że skoro go zobaczył, może umrzeć i będzie szczęśliwy. Magazyn był pomysłowo urządzony, specjalnie z myślą o Rzymie biżuteria oszałamiająca. Idealnie przemieszano wyroby stare i zupełnie nowatorskie, bardzo efektowne i dyskretne, ale wszystkie bardzo kosztowne. Isabelle była oszołomiona sukcesem, podobnie Sara.

Znakomitą robotę wykonał młody dyrektor, Marcello, Isabelle też nie zostawała w tyle. Emanuelle była dumna jak paw z obojga. Bracia Isabelle chwalili ją za wyśmienite rezultaty. Gdy po trzech dniach rozjeżdżali się do swoich zajęć, sklep w Rzymie był otwarty i przyjmował klientów.

Emanuelle wyjechała dzień wcześniej, by rozwiązać drobne kłopoty w magazynie w Paryżu. Zdarzyło się tam włamanie, ale dzięki dobremu systemowi bezpieczeństwa nic nie zginęło. Emanuelle czuła jednak, że musi podnieść personel na duchu. Pracownicy byli wstrząśnięci. Ochrona sklepów Whitfield's przed kradzieżami stawała się coraz bardziej skomplikowana. Dotychczas oba sklepy miały doskonałe zabezpieczenia, a Whitfieldowie - wiele szczęścia. Sara wspominała wspaniałą inaugurację magazynu w Rzymie; razem z Julianem wsiadali do samolotu do Paryża. Zapytała go, czy dobrze spędził czas, a on to potwierdził. Matka obserwowała, jak najpierw rozmawiał z piękną młodą księżniczką, a później ze znaną modelką Valentina. Kobiety w Rzymie były z pewnością piękne, ale Sara miała wrażenie, że Julian jakby trochę wyhamował. Niedługo miał skończyć trzydzieści lat i Sara nabierała podejrzeń, iż jej syn zaczyna się robić stateczny. Przez krótki czas mocno szumiał, ale ostatnio, jeśli wierzyć prasie, trochę się ustatkował. Gdy samolot zbliżał się do lądowania na Orly, wyjaśnił matce dłaczego.

- Czy pamiętasz... Yvonne Charles? - zawiesił głos dla większego efektu, a Sara potrząsnęła przecząco głową. Przed chwilą rozmawiali o interesach i nie mogła sobie przypomnieć, czy osoba, o której wspomniał, jest ich klientką.

- Jedynie nazwisko. Dlaczego pytasz? Czy ja ją znam?

- Jest aktorką. Spotkaliśmy się w ubiegłym roku na rocznicowym przyjęciu.
- W gronie tysiąca innych ludzi. Wiem przynajmniej, że nie popełniłam gafy.

I nagle przypomniała sobie tę dziewczynę, wprowadziła nie z przyjęcia, ale z informacji w prasie.

- Czy to ona była bohaterką tego skandalicznego rozwodu przed kilku laty... a potem ponownie wyszła za męża? Wydaje mi się, że coś o niej czytałam. A o co chodzi?

Kiedy samolot podchodził do lądowania, Julian przez chwilę wydawał się zmieszany. To pech, że matka ma taką dobrą pamięć. Przy swoich sześćdziesięciu czterech latach była ciągle bystra, równie silna i piękna, choć w inny, bardziej łagodny sposób. Julian uwielbiał ją, ale były takie chwile, kiedy wolałby, aby nie przywiązywała tak wielkiej wagi do szczegółów.

- To było coś w tym guście... - zawahał się na ułamek sekundy. - Właściwie teraz rozwodzi się znowu. Poznałem ją między jednym a drugim małżeństwem.

Było więcej niż prawdopodobne, że poznał ją podczas trwania któregoś z tych związków.

- Po prostu wpadliśmy na siebie przed kilkoma miesiącami.

- Jak to się nadzwyczajnie zgrało w czasie - zażartowała Sara; czasami wydawał się jej nadal taki młody. Wszystkie dzieci robiły na niej takie wrażenie. - Ty to masz szczęście!

- Owszem, mam szczęście. - W jego oczach malowało się coś, co ją przestraszyło. - To jest szczególna dziewczyna.

- Musi być wyjątkowa, skoro zaliczyła już dwa małżeństwa. Ile ma lat?

- Dwadzieścia cztery. Ale jest bardzo dojrzała, jak na swój wiek.

- Z pewnością.

Sara nie wiedziała, co mu powiedzieć, ani do czego Julian zmierza, ale miała przeczucie, że to się jej nie spodoba.

- Zamierzam ją poślubić - powiedział cicho, a Sara miała wrażenie, że podłoga samolotu odpadła w chwili, gdy koła dotknęły pasa lądowania. Starła się nie pokazać, że jest zakłopotana, ale przeniknął ją niepokój.

- Kiedy podjąłeś tę decyzję?

- W ubiegłym tygodniu. Ale wszyscy byliśmy tak zaabsorbowani otwarciem sklepu, że postanowiłem nic nie mówić, aż to się skończy.

Jakie to było rozważne. Jak to cudownie, że pobiera się z dziewczyną, która dwa razy się rozwiodła, i powiadamia matkę o tym.

- Pokochasz ją.

Sara miała nadzieję, iż Julian ma rację, ale tak się złożyło do tej pory, że nie lubiła żadnej z jego przyjaciółek. Zaczynała już tracić nadzieję, że doczeka się synowej lub zięcia, których byłaby

w stanie choćby zaakceptować, nie mówiąc już o tym, by ich lubiła. Do tej pory nie osiągnęła jakoś na tym polu sukcesów.

- Kiedy ją poznam?

- Wkrótce.

- Może w piątek wieczorem? Moglibyśmy spotkać się na kolacji u Maxima, zanim wyjadę z Paryża.

- Doskonale - uśmiechnął się ciepło.

Następnie ośmieliła się zadać mu pytanie, którego zapewne nie należało stawiać.

- Czy już powziąłeś decyzję?

- Ostateczną.

Tego właśnie się obawiała. Zauważył wyraz twarzy matki i roześmiał się.

- Mamo... miej do mnie zaufanie.

Chciałaby móc mu wierzyć, ale w zakamarkach serca miała uczucie, że syn robi błąd. Gdy w piątek wieczorem spotkali się na kolacji u Maxima, była już utwierdzona w swoim przekonaniu.

Nie można było zaprzeczyć, że dziewczyna jest piękna; miała tę lodowatą blond urodę, jaka jest udziałem Szwedek. Wysoka, szczupła, miała kremową cerę, ogromne niebieskie oczy i bardzo jasne włosy, opadające na ramiona. Już jako czternastolatka była modelką, potem zaangażowała się do filmu i zaczęła grać mając siedemnaście lat. W ciągu siedmiu lat nakręciła pięć filmów; Sara przypominała sobie jak przez mgłę, że wiązał się z tym jakiś skandal - niepełnoletnia aktoreczka sypiała z reżyserem. Potem była jakaś afera rozwodowa z równie nieprzyzwoitym młodym aktorem. Jej drugi mąż był bardziej interesujący. Wyszła za niemieckiego playboya i usiłowała oskubać go z pieniędzy. Julian twierdził, że właśnie osiągnęli porozumienie, wobec czego mógłby pobrać się z nią w święta Bożego Narodzenia.

Sara o niczym więcej nie marzyła! Miała ochotę wrócić do domu, skulić się i płakać. Znowu to samo, znów jedno z jej dzieci pakuje się w zastawioną pułapkę i za żadne skarby nie chce tego dostrzec! Dlaczego Julian nie mógł się ograniczyć do romansu z tą dziewczyną? Dlaczego się ludzi, że to jest osoba, którą powinien poślubić? Nawet dla Helen Keller (Helen Keller - znana amerykańska głuchoniema pisarka i działaczka oświatowa - przyp. tłum.) byłoby oczywiste, że to nie jest odpowiednia kobieta. Choć piękna i zmysłowa, jednocześnie wyrachowana. Nie miała w sobie nic spontaniczności, szczerości, ciepła i troskliwości. Ze sposobu, w jaki patrzyła na Juliana, Sara domyślała się, że lubi go i pożąda, ale to nie miało nic wspólnego z miłością. Wszystkie cechy tej dziewczyny wskazywały na to, że jest tą, która bierze, i egoistycznie wykorzystuje innych. A Julian ludził się, że to urocza mała dziewczynka, i kochał ją.

- No i co? - zapytał uszczęśliwiony, kiedy Yvonne pod koniec kolacji poszła upudrować nos. - Czy nie jest cudowna? Nie podoba ci się?

Julian był ślepy, a Sara czuła się zmęczona. Wszystkie jej dzieci były takie same. Pogłaskała jego dłoń i zgodnie z prawdą powiedziała, że to piękna dziewczyna. Nazajutrz, kiedy odbierał jakieś dokumenty, próbowała dyskretnie skierować rozmowę na ten temat.

- Uważam, że małżeństwo to bardzo poważna sprawa - zaczęła Sara; czuła, że ma ze czterysta lat i jest beznadziejnie głupia.

- Ja też tak sędzę - odparł Julian, reagując z rozbawieniem na to ogólnikowe stwierdzenie zupełnie niepodobne do matki.

Zazwyczaj była bezpośrednia, teraz tego unikała. Dostała już dobrą nauczkę: nieważne, że ma rację, nie chciała stracić syna. Wiedziała, że sprawa z Julianem jest odmienna. Isabelle była młoda i miała zielono w głowie, Julian zaś kochał matkę i było mniej prawdopodobne, że odtrąci ją całkowicie.

- Sędzę, że będziemy bardzo szczęśliwi - stwierdził radośnie, dając Sarze pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

- Nie jestem o tym przekonana. Yvonne nie jest przeciętną dziewczyną, Julianie. Miała burzliwe życie, walczy o przetrwanie od dziesięciu lat.

Yvonne uciekła z domu, mając czternaście lat. Mówiła, że porzuciła szkołę, aby być modelką.

- To osoba, która daje sobie radę w życiu. Myśli przede wszystkim o sobie, może mniej o tobie. Nie jestem pewna, czy ona naprawdę chce tego, co ty, gdy myślisz o małżeństwie.

- Co to znaczy? Myślisz, że leci na pieniądze?

- To nie jest wykluczone.

- Mylisz się - Julian spojrzał na matkę ze złością. Nie miała prawa tego robić! Ale Sara uważała, że ma prawo, ponieważ jest jego matką. - Właśnie dostała pół miliona dolarów z Berlina od męża.

- Jak to dobrze - powiedziała zimno Sara. - A jak długo byli małżeństwem?

- Osiem miesięcy. Rzuciła go, ponieważ zmuszał ją do przerywania ciąży.

- Czy jesteś tego pewien? W gazetach pisano, że porzuciła go dla syna greckiego armatora, który następnie zostawił ją dla pewnej młodzieńkiej Francuzki. Zadajesz się doprawdy z dziwnym towarzystwem.

- To jest przyzwoita dziewczyna, która miała ciężkie życie. Nigdy nikt nie troszczył się o jej karierę. Matka Yvonne była dziwką, ojca nigdy nie znała. Odszedł, zanim przyszła na świat; matka

pozbyła się jej z domu, kiedy Yvonne miała trzynaście lat. Czy można od niej oczekiwać świadectwa szacownej szkoły, takiej, jaką skończyła moja siostra?

Mimo takiego rodowodu jego siostra też popełniała błędy, ta dziewczyna natomiast niczego nie przeoczyła. Podejmowała przemyślane decyzje i Julian miał się stać ofiarą takiego wykalkulowanego ryzyka. Wkrótce to się ujawni.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie chcę, abyś był nieszczęśliwy.

- Musisz nam pozwolić żyć własnym życiem - w głosie Juliana pobrzmiwała złość. - Nie wolno ci narzucać, co mamy robić.

- Staram się.

- Wiem o tym - usiłował się opanować. Nie chciał toczyć z matką walki, było mu jednak smutno, że Yvonne nie zrobiła na niej wrażenia. On sam oszalał, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. - Chodzi o to, że zawsze uważasz, iż wiesz najlepiej, co jest dla nas dobre. Ale niekiedy się mylisz.

Z niechęcią musiał jednak przyznać, że takie pomyłki nie zdarzają się często. Miał jednak prawo robić to, na co ma ochotę.

- Mam nadzieję, że tym razem się mylę - powiedziała Sara udreńczonym głosem.

- Czy dasz nam swoje błogosławieństwo? - to znaczyło dla Juliana bardzo wiele. Uwielbiał matkę.

- Jeśli naprawdę chcesz tego - pochyliła się i pocałowała go ze łzami w oczach. - Bardzo cię kocham... Nie chcę, byś kiedykolwiek cierpiał.

- Nie będę cierpiał - ogarnęła go fala czułości. Odszedł, a Sara została sama w swoim mieszkaniu; siedziała długo, rozmyślając o Williamie, o dzieciach. Napawało ją strapieniem pytanie, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi: dlaczego są takie głupie?

Rozdział dwudziesty ósmy

Julian i Yvonne zawarli ślub cywilny w merostwie La Marolle w Boże Narodzenie. Po uroczystości wszyscy wrócili do zamku na wystawny lunch. Zebrało się około czterdziestu gości. Julian był ogromnie uszczęśliwiony. Yvonne miała na sobie krótką, beżową sukienkę z koronki zaprojektowaną przez firmę Givenchy, która Sarze wydawała się trochę krótszą i nowocześniejszą wersją jej własnej sukni na ślubie z Williamem. Ale na tym podobieństwo się kończyło. W tej dziewczynie była oschłość i chłód, których Sara autentycznie się obawiała.

Emanuelle też tak odbierała osobowość Yvonne. Obie z Sarą stojąc w cichym kącie rozmawiały, mając świadomość rzeczywistości.

- Dlaczego ciągle nam się to zdarza? - Sara pokiwała głową i spojrzała na starą przyjaciółkę; Emanuelle położyła delikatnie rękę na jej ramieniu.

- Mówiłam ci... ile razy obserwuję takie obrazki, dziękuję swej szczęśliwej gwiazdce, że nie mam dzieci.

Niezupełnie to było prawdą. Chwilami Emanuelle zazdrościła Sarze, zwłaszcza teraz, z upływem lat.

- Zastanawiam się nad nimi i nic nie rozumiem. Ona jest jak bryła lodu, a on sądzi, iż go uwielbia.

- Mam nadzieję, że nigdy nie dowie się prawdy - powiedziała cicho Emanuelle, nie wspomniała jednak Sarze, że Julian kupił Yvonne pierścionek zaręczynowy z trzydziestokaratowym brylantem i zamówił do kompletu dwie bransoletki. Yvonne radziła sobie bardzo dobrze, a Emanuelle była przekonana, że to jedynie początek Isabelle też pojawiła się na ślubie, tym razem bez Lorenza miała mnóstwo do opowiadania o swoim sklepie w Rzymie. Wszystko szło wspaniale, martwiła się jedynie, że muszą wydawać tyle pieniędzy na ochronę. Sytuacja we Włoszech - terroryści i Czerwone Brygady - powodowała pewne trudności. Interes jednak rozwijał się znakomicie. Nawet Phillip przyznał się do pomyłki, ale nie pojawił się na ślubie brata. Julianowi nie zależało na tym. Yvonne była wszystkim, czego pożądał, a teraz już ją miał.

W podróż poślubną wybierali się na Tahiti. Yvonne nigdy tam nie była, a od dawna chciała pojechać. W drodze powrotnej przewidywali, że zatrzymają się w Los Angeles i odwiedzą Jane, siostrę Sary. Sara nie widziała jej od wielu lat, choć utrzymywały listowny kontakt; Julian miał silnie rozwinięte poczucie więzów rodzinnych. Dobrze się składało, że Yvonne wyraziła życzenie, by się wybrać do Beverly Hills po zakupy.

Sara pożegnała młodą parę i pozostałych gości. Ku radości matki Isabelle została w zamku do Nowego Roku. Właśnie wtedy przypadały szesnaste urodziny Xaviera; Isabelle utrzymywała, że wyrósł ponad wszelki podziw. Pamiętała go jako małe dziecko, co rozśmieszyło Sarę.

- Pomyśl, co ja czuję, patrząc na Juliana i Phillipa. Wydaje się, że jeszcze wczoraj byliście tacy mali...

Jej myśli na chwilę odpłynęły w przeszłość... William i te wszystkie lata... Byli tacy szczęśliwi.

- Nadal brakuje ci go, prawda? - rzekła miękko Isabelle, a matka skinęła głową.

- Nie można się tego pozbyć, człowiek po prostu uczy się z tym żyć.

Tak samo reagowała na utratę Lizzie. Nigdy nie przestała jej kochać ani odczuwać poniesionej straty; po prostu, dzień po dniu, przyzwyczaiła się do swojego ciężaru. Isabelle coś o tym wiedziała, też chciała mieć dzieci, a nienawiść do Lorenza przygnębiała ją i dręczyła. Ostatnio zdarzało się to wprawdzie coraz rzadziej. Na szczęście była zbyt zajęta swoim sklepem, by myśleć o czym innym.

Wyjazd Isabelle nappełnił Sarę smutkiem. Jej życie nadal toczyło się spokojnym rytmem. Ten rok wydawał się po prostu przepływać. Nadeszło lato i wszyscy przybyli na jej urodziny. Wnet skończy sześćdziesiąt pięć lat i trochę się tego obawiała, ale wszystkie dzieci upierały się, że przyjadą do zamku i wezmą udział w tej uroczystości.

- Nie mogę znieść myśli, że jestem taka stara - zwierzyła się córce. Fatalnie się złożyło, że tym razem przyjechał z nią Lorenzo. W jego obecności Isabelle zawsze była bardziej spięta, ale miała z matką mnóstwo wspólnych tematów. Przede wszystkim rozmawiały o sklepie.

Przyjechał też Phillip z Cecily. Była w doskonałym nastroju, bez przerwy opowiadała o nowym koniu. Została zakwalifikowana do angielskiej ekipy jeździeckiej na olimpiadę, a niedawno uczestniczyła w polowaniu w Szkocji z księżniczką Anną, jej szkolną koleżanką. Cecily zdawała się nawet nie dostrzegać, że Phillip nigdy jej nie słucha i nic do niej nie mówi. Przyjechały także ich dzieci: czternastoletni Alexander i dwunastoletnia Christina. Xavier robił wszystko, by pełnić obowiązki gospodarza i zająć się ciotecznym rodzeństwem, chociaż był trochę starszy. Pływał z nimi w basenie, grał w tenisa i żartował, każąc się nazywać "wujkiem Xavierem", co je wyraźnie rozbawiło.

Wreszcie zjawili się Julian i Yvonne w nowiutkim jaguarze. Ona wyglądała ładniej niż kiedykolwiek i raczej ospale - nie wiadomo czy z upału, czy z nudy. Nic nie wskazywało, że ten weekend będzie szczególnie interesujący; Sara poczuła się winna, że ich tu ściągnęła. Ale przynajmniej mogła im opowiedzieć o swej pasjonującej podróży do Botswany z Xavierem. Odwiedziła nawet krewnych Williama w Cape Town, przywiozła wszystkim upominki, Xavier zaś

zdobył mało spotykane skamieliny i kamienie, rzadkie, choć prymitywnie szlifowane gemmy oraz kolekcję czarnych diamentów. Kamienie nadal go pasjonowały, znał się na nich, instynktownie wyczuwał wartość nawet w stanie surowym; wiedział, jak je ciąć, by uniknąć uszkodzenia. Był zachwycony kopalniami diamentów, które zwiedzali w Johannesburgu; starał się namówić matkę, by przywieźli do domu tanzanit wielkości grejpfruta.

- Nie mam pojęcia, co z tym robić - powiedziała Sara, opowiadawszy o tym zdarzeniu.

- One są bardzo modne w Londynie - odparł Phillip, który ostatnio nie był w dobrym nastroju. Nigel często chorował, mówił o przejściu na emeryturę z końcem roku, co nie było dobrą wiadomością dla Phillipa. Twierdził, że w ciągu tych lat Nigel stał się niezastąpiony, a Sara wtedy przypomniawszy synowi zastrzeżenia sprzed lat. Gdyby rzeczywiście odszedł, wszystkim by go brakowało, ale Sara miała nadzieję, że jeszcze długo do tego nie dojdzie.

Przez jakiś czas rozmowa dotyczyła podróży do Afryki, potem Sara przerwała i przeprosiła gości, że ich zanudza. Enzo patrzył w niebo, Yvonne wyraźnie się niecierpliwiła. Cecily wyraziła chęć zobaczenia stajni, choć Sara uprzedziła synową, że nie ma tam nowych zwierząt. Mimo wszystko pragnęła pójść. Lorenzo uciał sobie drzemkę, Isabelle chciała pokazać matce kilka swych projektów, Julian przyrzekł zabrać Xaviera i dzieci Phillipa na przejażdżkę nowym samochodem. Phillip i Yvonne zostali sami. Poczuli się nieco dziwnie. On widział ją tylko raz po ślubie z Julianem, musiał jednak przyznać, że wygląda urzekająco. Jej blond włosy były takie jasne, że w południowym słońcu wyglądały jak białe. Phillip zaproponował spacer po ogrodzie. Zwracała się do niego "Wasza Księżęca Wysokość", a on nie uznał tego za niewłaściwe; Yvonne też uwielbiała występować jako lady Whitfield. Opowiedziała Phillipowi o swym krótkim doświadczeniu z Hollywood, a on wydawał się zafascynowany. Tak sobie spacerowali, gdy w pewnym momencie Yvonne przysunęła się bliżej. Poczł zapach jej szamponu, a kiedy spojrział w dół, zobaczył wszystko, co się kryło za dekoltem jej sukni. Ledwie był w stanie się kontrolować - Yvonne była niewiarygodnie zmysłową kobietą.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział znienacka; dziewczyna spojrzała niemal onieśmielona. Znajdowali się przy końcu różanego ogrodu, powietrze było takie gorące i nieruchome; najlepiej poczułaby się, gdyby mogła zdjąć z siebie ubranie.

- Dziękuję - opuściła powieki; Phillip nie potrafił się dłużej opanować - wyciągnął rękę i dotknął jej. Pożądanie przerastało granice wytrzymałości, było silniejsze od niego. Wsunął dłoń pod jej sukienkę - zareagowała natychmiast i przytuliła się do niego.

- Och, Phillipie... - powiedziała miękko, jakby prosząc, by zrobił to jeszcze raz. Ujął w dłonie jej piersi i pieścił sutki.

- Boże, jesteś taka cudowna - wyszeptał, a potem powoli pociągnął ją na trawę; leżeli obok siebie czując narastające podniecenie, aż ogarnął ich szal.

- Nie... nie możemy - oddychała z trudem, kiedy ściągał z niej jedwabne majteczki. - Nie tutaj...

Nie zgadzała się tylko na miejsce, nie zaś na sam akt czy osobę. Ale Phillip już nie był w stanie się wycofać. Musiał ją wziąć. Czuł rozsadzający go ogień. Gdy tak leżeli w palącym słońcu, nic nie było w stanie powstrzymać przyływu namiętności. Wtargnął w nią powoli, boleśnie, coraz silniej; przywarła doń mocno, zachęcając, by nie przerywał, wabiąc go, torturując, drażniąc. Wykrzyknął w paroksyzmie rozkoszy - było już po wszystkim.

Potem leżeli obok siebie zdyszani; Phillip patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co się zdarzyło. Było zupełnie wyjątkowo, nie znał nikogo podobnego do niej. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie chciał jej stracić... Przyglądał się dziewczynie i znowu poczuł nabrzmiałe emocje - zanurzył się w niej bez słowa. Jedyнным odgłosem, jaki słyszał, było rozkoszne pojękiwanie, aż obydwójce dobili do brzegu.

- Mój Boże, ty jesteś niesamowita - wyszeptał tuląc ją w objęciach i zastanawiając się, czy ktoś ich słyszał, choć w gruncie rzeczy przestał już się tym przejmować. Był obojętny na wszystko, z wyjątkiem tej kobiety, która doprowadziła go na pogranicze szaleństwa.

- Ty także - westchnęła, czując jak porusza się jeszcze w jej ciele.

- Po raz pierwszy tak to przeżywałam - dodała, a on uwierzył w te słowa; potem powoli wycofał się i odsunął, by móc się jej lepiej przyjrzeć.

- Nawet z Julianem?

Potrząsnęła przecząco głową, ale wyraz jej oczu wskazywał, że czegoś nie dopowiedziała.

- Czy coś jest nie tak? - popatrzył z nadzieją, a ona wzruszyła ramionami i z wyrafinowaniem przytuliła się do szwagra. Już dawno zdała sobie sprawę, że lord nie znaczy to samo co książę, a młodszy syn nie jest swoim starszym bratem. Perspektywa zostania księżną bardziej jej odpowiadała niż pozostawanie zwykłą lady.

- To... to nie jest to samo - odparła ze smutkiem. - Nie wiem.

Wzruszyła ramionami, robiąc wrażenie zranionej.

- Może z nim coś jest nie w porządku... nie żyjemy ze sobą - szepnęła z wyrazem udręki. Phillip był zaskoczony i uradowany.

- Mówisz prawdę? - Wyglądał, jakby mu to sprawiało przyjemność. Reputacja Juliana nie miała znaczenia. Przez tyle lat nienawidził go bez powodu. - Jakie to zadziwiające.

- Myślałam, że... może jest gejem - wyglądała na zawstydzoną; jej młodzieńczość wzruszała Phillipa. - Ale nie sądzę, by tak było. On po prostu jest nikim.

Mnóstwo kobiet roześmiałoby się w głos, słysząc jej słowa, ale Yvonne była lepszą aktorką, niż sądził ktokolwiek, a zwłaszcza Phillip.

- Tak mi przykro - w rzeczywistości nie było mu przykro ani odrobinę. Aż drżał z radości. Niechętnie odsunął się od niej i przez chwilę szukali jej majteczek w krzewach róż; roześmiali się na myśl, co by było, gdyby je znalazła matka Phillipa.

- Myślę, że posadziłaby ogrodnika o chwilę słabości - powiedział z uśmiechem, a Yvonne tak ubawiły te słowa, że przewróciła się na ziemię i potoczyła po miękkiej trawie; jej szczupłe uda przyzywały go - bez wahania wziął ją jeszcze raz. - Chyba powinniśmy wracać - powiedział w końcu z żalem.

W ciągu dwóch ostatnich godzin uległo zmianie całe jego życie.

- Czy sądzisz, że dziś w nocy mogłabyś się na chwilę urwać? - powiedział zastanawiając się gorączkowo, dokąd mogliby pójść. Może do miejscowego hotelu. Potem przyszedł mu do głowy lepszy pomysł: stare koszary w stajni. Były tam jeszcze materace i derki dla koni. Nie mógł pogodzić się z myślą, że spędzi noc bez niej; zakazany owoc czynił ten związek jeszcze bardziej pożądanym.

- Mogę spróbować - rzekła ochoczo. To była najzabawniejsza przygoda, odkąd wyszła za męża... tym razem. Double Entendre Extraordinaire (Double Entendre Extraordinaire (franc.) - Specjalny Układ Podwójny - przyp.tłum.). Celowała w takich przeżyciach, uwielbiała to. Jej pierwszy mąż był jednym z bliźniaków - zanim odeszła, uprawiała miłość z jego bratem i teściem. Klaus był bardziej skomplikowany, ale za to bardzo zabawny, Julian zaś słodki, ale naiwny. Nudziła się już od maja. Phillip to najlepsze, co przytrafiło się jej od roku, a może w ogóle.

Wracali obok siebie, dotykając się rękoma, udając, że prowadzą zwyczajną rozmowę, choć ton jej głosu deklarował wyraźnie przeświadczenie, że trudno będzie jej doczekać nocy. Zanim doszli do domu, znów był gotowy do szaleństwa. Gdy na horyzoncie pojawił się Julian w jaguarze, Phillip był czerwony jak burak i zupełnie rozkojarzony.

- Hej! - krzyknął młodszy brat. - Gdzie byliście we dwoje?

- Oglądaliśmy różany ogród - odpowiedziała niewinnie Yvonne.

- W takim skwarze? Jesteście odważni.

Z samochodu wysiadły dzieci, a Julian dostrzegł, jak żałośnie prezentuje się jego brat. Chciało mu się śmiać, ale powstrzymał się.

- Biedactwo, czy on nie zanudził cię na śmierć? - zapytał żonę, kiedy Phillip oddalił się. - To do niego podobne - kazać ci oglądać ogród w taki gorący dzień.

- Miał dobre intencje - odpowiedziała szeptem; poszli na górę, by się pokochać przed kolacją.

Wieczorny posiłek przebiegał w wesołym nastroju. Wszyscy dobrze spędzili dzień i byli w doskonałych humorach. Cecily udało się odnaleźć w stodole stare niemieckie siodła wojskowe: była nimi zachwycona i pytała Sarę, czy mogłaby zabrać jedno z nich do Anglii, na co oczywiście teściowa wyraziła zgodę. Xavier jeździł nowym samochodem Juliana, młodsze dzieci także dobrze się bawiły. Isabelle, mimo obecności Lorenza, wyglądała na odprężoną i szczęśliwą. Także młodzi małżonkowie wydawali się w dobrym nastroju. Phillip był wyciszony, co w jego przypadku nie świadczyło o niczym niezwykłym. Nawet solenizantka odnosiła się z dystansem do swego wieku, który określała jako "odrażającą liczbę". Była uszczęśliwiona, że widzi wszystkich, i nagle urodziny stały się mniej istotne. Szkoda, że wszyscy goście opuszczają ją nazajutrz po południu. Ich odwiedziny zawsze trwały tak krótko, ale teraz, kiedy Isabelle wróciła do klanu, były całkiem sympatyczne.

Tego wieczora długo siedzieli w salonie, Julian wypytywał o czasy okupacji - opowieści matki fascynowały go. Cecily chciała wiedzieć, ile koni trzymali Niemcy w zamkowych stajniach; Yvonne zaś stała za Julianem masując mu kark. Enzo drzemał w wygodnym fotelu, Isabelle grała w karty z najmłodszym bratem, a Phillip popijał brandy i palił cygaro, spoglądając za okno w stronę stajni.

Julian zrozumiał wreszcie, co ma na myśli Yvonne - po cichu umknęli na górę, żegnając Sarę pocałunkiem. Następnie oddaliła się Cecily twierdząc, że jeszcze czuje się zmęczona po ostatnim pobycie w Szkocji. W końcu zniknął też Phillip. Enzo nadal drzemał, a Isabelle i Sara gawędziły jeszcze długo, gdy Xavier położył się spać. Jadły tort i piły szampana. W domu panowała cisza, na dworze księżyc w pełni wtapiał się w tło nocy. Piękny był ten urodzinowy wieczór - Sara uwielbiała swoje dzieci.

W tym czasie w pokoju na piętrze Yvonne wymyślnymi trikami pobudzała męża. W Niemczech nauczyła się pewnych sztuczek - uwielbiała próbować ich na Julianie, którego doprowadzała do szaleństwa. Po półgodzinie, wyczerpany i zaspokojony, zdrowo spał, a ona z uśmiechem cicho wyślizgnęła się z sypialni. Włożyła dżinsy i bardzo głęboko wycięty podkoszulek. Rozglądając się wkoło, pobiegła do stajni.

Zdażyła usnąć także Cecily. Zgodnie ze swym zwyczajem zażyła proszek, by zapewnić sobie nieprzerwany sen. Uważała, że dla tego celu warto zaryzykować od czasu do czasu poranny ból głowy. Zdrowo pochrapywała, kiedy Phillip opuszczał sypialnię, ubrany tak samo jak podczas kolacji. Dobrze znał boczne ścieżki; pod nogami najstarszego Whitfielda zatrzeszczało kilka gałązek, ale nie było nikogo, kto by na to zwrócił uwagę. Dostał się do stajni tylnymi drzwiami i zatrzymał na chwilę, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Zobaczył Yvonne oddaloną o kilka kroków. Biel jej ciała lśniła w świetle księżycy, wyglądała jak duch. Była piękna i całkowicie naga.

Siedziała okrakiem na niemieckim siodle. Podszedł od tyłu, przysunął ją do siebie, czując atlasową skórę; ogarnięty pożądaniem ściągnął dziewczynę z siodła i zaniósł do boksu na materac. Tu, gdzie mieszkali niegdyś niemieccy żołnierze, teraz on ją kochał, wbijając się w nią, błagając, by go nigdy nie opuszczała. Spleceni w objęciach leżeli przez długie godziny; Phillip trzymał Yvonne w ramionach, mając świadomość, że odmieniła jego życie. Nigdy już nie będzie takie jak dawniej. Nie może pozwolić jej odejść... jest jak narkotyk.

Isabelle poszła do łóżka po pierwszej w nocy, gdy wreszcie udało się jej dobudzić Lorenza. Przeprosił i powlókł się zaspany po schodach. Sara pozostała w salonie, zastanawiając się nad przyszłością Isabelle.

Nie mogą wiecznie żyć w ten sposób. Prędzej czy później będzie musiał się zgodzić na rozwód. Trzymał ją jak zakładnika, a Sara nie zamierzała pozwolić, by to trwało bez końca. Sama myśl o tym wywoływała w niej silne wzburzenie. Isabelle jest piękną kobietą, ma w życiu prawo do czegoś więcej, niż on może jej dać. Wszystkie obawy i podejrzenia sprawdziły się w odniesieniu do Lorenza co do joty. Rozpamiętując to, Sara wyszła na zalane światłem księżycy patio. Przypomniała sobie letnie noce podczas wojny, kiedy był przy niej Joachim. Nieraz do późna rozmawiali o Rilke, Schillerze i Tomaszu Mannie, starając się nie myśleć o wojnie, o rannych, o tym, czy William jest jeszcze żywy. Pograżona we wspomnieniach, instynktownie ruszyła w kierunku domku dozorca. Nikt w nim już nie mieszkał, od dawna stał nie używany. Dom nowego stróża znajdował się bliżej bramy i był o wiele bardziej nowoczesny, ale Sara nie pozwoliła rozebrać dawnego, kierując się sentymentem. Na początku mieszkali tu razem z Williamem, gdy odnawiali zamek, tu urodziła się oraz zmarła Lizzie.

Nagle usłyszała jakieś odgłosy dochodzące ze stajni, jakby cichy jęk; przyszło jej na myśl, że któreś zwierzę mogło się zranić. Trzymali tam sześć koni, na wypadek gdyby ktoś chciał pojeździć wierzchem; były już stare i nie budzące zachwyty. Otworzyła cicho drzwi - zdawało się, że w środku nic się nie dzieje, zwierzęta były spokojne; potem znowu usłyszała jakieś dźwięki - dochodziły z dawnych koszar. Sara nie potrafiła określić tych osobliwych odgłosów, ruszyła więc ostrożnie w tym kierunku. Nie czuła nawet strachu, nie przyszło jej do głowy, by dla bezpieczeństwa chwycić widły, na wypadek spotkania z jakimś intruzem albo wściekłym zwierzęciem. Gdy weszła do boksu, nie mogła mieć żadnych wątpliwości, jaki widok ukazał się jej oczom; Phillip i Yvonne, całkowicie nadzy, leżeli spleceni z sobą w objęciach. Przez chwilę patrzyła na nich zaskoczona; dostrzegła wyraz przerażenia na twarzy Phillipa. Odwróciła się na chwilę, po czym rzuciła się do nich z wściekłością.

- Jak śmiesz robić coś takiego Julianowi? Jak śmiesz, wywłoko, z jego własnym bratem, w domu Juliana, pod moim dachem! Jak śmiesz!

Yvonne stała spokojnie, odrzuciwszy do tyłu długie jasne włosy. Nie zadała sobie nawet trudu, by się ubrać - stała bezwstydnie w całym pięknie nagości.

- A ty! - odwróciła się do Phillipa. - Zawsze wężysz dookoła... oszukujesz żonę, zżera cię zazdrość o brata. Przyprawiasz mnie o mdłości. Wstyd mi za ciebie, Phillipie.

Spojrzała na nich nadal drżąc ze złości - o Juliana, o samą siebie, o to, co robili innym, o ich kompletny brak szacunku dla wszystkich wokoło.

- Jeśli stwierdzę, że to trwa nadal, jeśli to się powtórzy, gdziekolwiek, natychmiast poinformuję Cecyli i Juliana. Każę was oboje śledzić.

Nie miała zamiaru tego robić, ale nie była też skłonna sankcjonować ich niewierności, szczególnie w swoim własnym domu, tym bardziej że poszkodowany był Julian, który na to nie zasługiwał.

- Mamo, ja... strasznie przepraszam - Phillip zdążył się już okryć końską derką; był przerażony, że ich odkryto. - To było takie niespodziewane. Nie wiem, jak do tego doszło... - błagował histeryzując. - Ona wie - rzekła brutalnie Sara, patrząc na Yvonne. - Niech to się już nie powtórzy - dodała spoglądając im głęboko w oczy. - Ostrzegam was.

Następnie odwróciła się na pięcie i wyszła. Opuściła stajnię, oparła się o drzewo i rozpląkała z żalu, ze wstydu za nich i z zakłopotania. Powoli wracała do zamku i myślała o Julianie, o bólu, jaki przeżyje. Miała takie głupie dzieci. Dlaczego nie była zdolna im pomóc?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Julian z dziwnie wyciszoną Yvonne wracali do domu. Jego żona nie robiła wrażenia zmartwionej, ale była dziwnie małowólna. W dniu odjazdu panowała dziwna atmosfera. - Jakby zbierało się na burzę - powiedział niewinnie Xavier do matki, kiedy goście ich opuścili.

W rzeczywistości było gorąco i słonecznie. Sara nikomu nie zdradziła tajemnicy swojego nocnego spaceru, wiedzieli o tym jedynie Phillip i Yvonne. Na razie to wystarczało. Pozostali członkowie rodziny byli nieświadomi tego, co poprzedniej nocy wydarzyło się w stajni. Wszyscy czuliby się oszołomieni, z wyjątkiem Lorenza, który z pewnością byłby rozbawiony.

Gdy dojeżdżali do Paryża, Julian delikatnie zapytał Yvonne, czy zdarzyło się coś, co popsuło jej nastrój.

- Nie - wzruszyła ramionami. - Po prostu nudziłam się.

Tej nocy nie chciała się z nim kochać.

- Co się stało? - nalegał; niedawno czyniła to z wielkim entuzjazmem, a teraz stała się nagle taka oziębła. Yvonne zawsze była nieobliczalna i to mu się w niej podobało, była dzięki temu jeszcze bardziej podniecająca. Tak samo zareagował teraz na jej opór, ale tym razem nie zwodziła go.

- Przestań... jestem zmęczona i boli mnie głowa - nigdy wcześniej nie uciekała się do takich wykrętów, ale teraz była wystraszona wydarzeniami poprzedniej nocy, Sarą, która zachowywała się, jakby cały świat do niej należał, i groziła im. Phillip czołgał się u jej nóg jak dziecko. Yvonne była wściekła, uderzyła go mocno, a on znów tak się podniecił, że kochali się jeszcze raz. Ze stajni wyszli dopiero o szóstej rano. Teraz była zmęczona i zła, że wszyscy są pod tak silnym wpływem matki.

- Daj mi spokój - powtarzała. Wszyscy byli maminsynkami, podobnie jak ich siostra, przekłeta snobka. Yvonne zdawała sobie sprawę, że nikt z rodziny jej nie akceptuje, ale miała to gdzieś. Dostała to, o co jej chodziło, a teraz może otrzyma jeszcze więcej, jeżeli Phillip dotrzyma obietnicy i przyjedzie z Londynu. Mogła nadal korzystać ze swego dawnego mieszkania na Wyspie Świętego Ludwika, mogli też pójść do jego hotelu albo nawet kochać się w łóżku Juliana, jeśli będzie miała na to ochotę. Nieważne, co mówi ta stara suka. Yvonne nie miała ochoty na kontakty z nikim z tej rodziny, a już najmniej na zbliżenie z mężem.

- Bardzo cię pragnę... - kusił Julian podniecony odmową, wyczuwając coś dziwnego i zwierzęcego, jakby jakiś inny kogut zakradł się do jego kurnika. Instynktownie wyczuwał na jej ciele czyjś zapach, chciał odzyskać swoją własność. - Co się stało? - dopytywał się, bez przerwy

starając się ją podniecić swymi zręcznymi palcami. Wciąż trzymała się od niego z daleka, co było nie spotykanym do tej pory zjawiskiem.

- Zapomniałam zażyć dziś pigułki - powiedziała; Julian gładził jej ciało, szepcząc głosem ochryplym z podniecenia.

- Weź ją później.

Prawda była taka, że pigułki Yvonne skończyły się wczoraj, i chciała zachować ostrożność przez kilka dni. Miała tyle skrobanek, że wystarczy ich na całe życie, a z pewnością nie życzyła sobie żadnych bachorów Juliana czy kogokolwiek innego. Gdyby mąż upierał się przy dziecku, każe sobie po cichu wykonać zabieg podwiązania jajowodów. To uprości jej życie. W tym jednak momencie sprawy nie przedstawiały się tak prosto.

- Do diabła z pigułką - Julian ją pieścił, obrócił tak, że leżała zwrócona twarzą do niego; wtedy ogarnęło go wszechwładne pożądanie, jak jego brata poprzedniej nocy, jak wszystkich innych mężczyzn; Yvonne znała to od dwunastego roku życia, kiedy zaczęła poznawać sekrety seksu. Wiedziała, czego teraz chce Julian, ale nie zamierzała mu tego dać. Leżała z rozchyłonymi udami, oczy miała szeroko otwarte; gdyby się do niej zbliżył, uderzy go. Ale on nie był już w stanie się powstrzymać. Posunęła się za daleko. Leżała przy nim naga i piękna, z rozsuniętymi nogami, z ciałem, które go przyzywało, choć udawała, że go nie kusi.

Wziął ją szybko i zdecydowanie - była zaskoczona siłą tego zbliżenia; też zadrżała w paroksyzmie rozkoszy, a potem jęknęła, dziwiąc się głupocie tego postępu. Choć głupia była zawsze, tym razem wściekła się naprawdę.

- Cholera! - mruknęła odsuwając się od niego.

- Co się stało? - Julian robił wrażenie urażonego; zachowywała się w dziwny sposób.

- Mówiłam, że nie chcę tego. Co będzie, jak zajdę w ciążę?

- No to co? - zapytał rozbawiony. - Będziemy mieli dziecko.

- Nie, nie będziemy mieli - prychnęła jak kotka. - Jestem za młoda... Nie chcę mieć teraz dziecka. Dopiero co się pobraliśmy.

Nie zamierzała na razie mówić mu więcej; wiedziała, jak bardzo chce mieć dzieci.

- Dobrze, już dobrze. Zrób sobie gorącą kąpiel albo weź zimny prysznic, albo zażyj pigułkę. Przykro mi.

Pocałował ją i wcale nie robił wrażenia, że jest mu przykro. Byłby zadowolony, gdyby zaszła w ciążę.

W trzy tygodnie później Julian nieoczekiwanie wrócił do domu po południu i zastał Yvonne wymiotującą w łazience.

- Och, biedactwo - powiedział prowadząc ją do łóżka. - To niestrawność czy grypa?

Nigdy nie widział, by czuła się tak źle; spojrzała na niego oczyma pełnymi nienawiści. Bardzo dobrze wiedziała, co jej jest. Miała sześć skrobanek w ciągu dwunastu lat, a teraz czeka ją kolejna. Za każdym razem czuła się źle od pierwszego momentu ciąży, od pierwszej godziny - tym razem także.

- To nic groźnego - upierała się - czuję się dobrze.

Julian jednak nie chciał zostawić jej samej i wracać do biura. Wieczorem ugotował zupę, którą także zwróciła. Nazajutrz nie czuła się lepiej, bez uprzedzenia wrócił więc do domu wcześniej, by się nią zająć. Yvonne nie było w domu, kiedy zadzwonił telefon.

Recepcjonistka lekarza chciała potwierdzenia, że następnego dnia rano ma się odbyć zabieg.

- Co takiego?! - wrzasnęła Julian do słuchawki. - To nieaktualne. Ona nie przyjdzie.

Potem zatelefonował do swego biura, odwołując resztę zajęć przewidzianych na popołudnie, i czekał na żonę. Wróciła o czwartej.

- Dzwonił twój lekarz - poinformował ją; spojrzała na niego zastanawiając się, czy Julian zdaje sobie sprawę z sytuacji - trwało to ułamek sekundy. Potem nie było już najmniejszej wątpliwości, że wie i co o tym myśli. Był siny ze złości. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

- Bo jeszcze na to nie czas... nie jesteśmy gotowi, by mieć dziecko. - Spojrzała na niego zastanawiając się, czy jej wierzy. - Lekarz mówi, że na to jeszcze za wcześnie po aborcji, do której zmusił mnie Klaus.

Już miał w to uwierzyć, ale nagle sobie przypomniał.

- To było w ubiegłym roku.

- Jeszcze całkowicie nie wydobrzałam - zaczęła płakać. - Chcę mieć z tobą dziecko, Julianie, ale jeszcze nie teraz.

- Nie zawsze jest nam dane dokonywać wyboru i musimy wybrnąć z tego jak najlepiej. Nie chcę, abyś przerwała ciążę.

- A jednak to zrobię. - Patrzyła na niego z wyrazem uporu na twarzy. Nie zamierzała pozwolić, by namówił ją do zmiany planów. Poza tym to nie była dobra pora na ciążę.

Miał ją odwiedzić Phillip, nie chciała mieć wtedy wielkiego brzucha z dzieckiem w środku. Chciała się tego pozbyć teraz, już, najdalej nazajutrz rano.

- Nie pozwolę ci na to.

Kłócili się całą noc, następnego ranka Julian nie poszedł do pracy z obawy, że Yvonne wybierze się do lekarza; kiedy stwierdziła, że on bierze to bardzo poważnie, zachowała się paskudnie. Walczyła o swoje życie, w każdym razie tak sądziła; szybko zamknęła mu usta argumentami nie do odrzucenia.

- Słuchaj, do diabła. Zamierzam się tego pozbyć, nawet gdybyś robił nie wiadomo co... to zapewne nawet nie jest twoje dziecko.

Te słowa oszołomiły Juliana, wbiły mu się w serce jak nóż - cofnął się, jakby otrzymał postrzał. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Mówisz, że to dziecko kogoś innego? - patrzył na nią przerażony i zaskoczony.

- Być może - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Czy pozwolisz, że zapytam: czyje? Czy wrócił ten gówniarz z Grecji? - widział go dwukrotnie, zanim się pobrali, wiedział, że Yvonne uważa go za bardzo seksownego. Jej zaś nagle przyszło do głowy, że ma w ręku wspaniały atut. Dziecko byłoby prawdopodobnie kolejnym księciem Whitfield, synem Jego Księżęcej Wysokości księcia Whitfield, nie zaś synem jego młodszego brata.

Wpatrywała się w Juliana, nie mogąc powstrzymać się od histerycznego śmiechu. Wtedy Julian stracił panowanie i trzasnął ją w policzek.

- Co ty zrobiłaś?

Ale Yvonne już się poddała, zdała sobie sprawę, że przegrała u Juliana, gdy odmówiła urodzenia dziecka. Teraz już niczego nie mogłaby od niego wyciągnąć. Gra była skończona. Czas skoncentrować się na Phillipie.

- Powiem ci prawdę - rzuciła urągliwie. - Przespałam się z twoim bratem. To prawdopodobnie jego dziecko, więc niczym nie musisz się już przejmować.

Julian spojrział na nią z żalem i przerażeniem. Usiadł na łóżku, zaczął się śmiać i płakać jednocześnie. Yvonne obserwowała go z uwagą.

- To faktycznie bardzo zabawne - powiedział ocierając łzy, ale już przestał się śmiać.

- Prawda? Twoja matka też tak sądzi - zdecydowała się powiedzieć wszystko. Nie zależało jej. Nigdy go nie kochała. To było dobre na pewien czas; ale teraz oboje mieli świadomość, że się skończyło. - Odkryła nas w stajni w zamku. Pieprzyliśmy się.

Julian zachwiał się pod wrażeniem wywołanym przez słowo, którego użyła, i obrazu, który się z nim kojarzył.

- Matka wie o tym? - wyglądał na przerażonego. - Kto jeszcze wie? Żona Phillipa?

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami. - Sądzę, że będziemy musieli jej o tym powiedzieć, jeśli mam mieć to dziecko.

Naigrawała się z niego mówiąc w ten sposób, bo naturalnie nie zamierzała urodzić niczyjego dziecka, chyba że Phillip zgodzi się rozejść z Cecyli i ją poślubić. To byłoby korzystne małżeństwo - mogłaby się zgodzić na dziecko, traktując je jako kartę przetargową.

Julian spoglądał na nią zrozpaczoną wzrokiem.

- Mój brat przed kilku laty poddał się zabiegowi sterylizacji, ponieważ jego żona nie chciała mieć więcej dzieci - powiedział bezbarwnym tonem. - Czy wspomniał ci o tym? Czy też nie zadał sobie trudu?

Julian był pewien, że dziecko jest jego. Począł je tej nocy, kiedy Yvonne zapomniała o pigułce, a on zmusił ją do zbliżenia. Ale po chwili coś innego przyszło mu do głowy - spojrzał na nią z gniewem i nienawiścią.

- Nie rozumiem, jak mogłaś mi zrobić coś takiego i dlaczego. Ja nigdy bym ci niczego podobnego nie zrobił. - Nie ulegało kwestii, że nie zrobiłby, bo był przyzwoitym człowiekiem. - Ale coś ci powiem, a ty lepiej mi uwierz. Wyszłaś za mnie dla pieniędzy, a nie otrzymasz złamanego grosza, jeśli nie urodzisz tego dziecka. Jeżeli się go pozbędziesz, dopilnuję, abyś nie dostała nic ode mnie ani od mojej rodziny, nie oszukuj się, mój brat ci nie pomoże. To dziecko w twoim ciele to człowiek, prawdziwe życie... i należy do mnie. Chcę je mieć. Po urodzeniu możesz odejść... Do Phillipa, jeśli sobie życzysz. On się nigdy z tobą nie ożeni. Nie zdobędzie się na odejście od żony. Ale ty naturalnie możesz robić, co ci się podoba - zaproponuję ci przyzwoitą odprawę. Jeśli jednak zabijesz moje dziecko, Yvonne, nie będzie o czym mówić. Nie zobaczysz ani jednego centa z moich pieniędzy. Mówię poważnie.

- Grozisz mi? - Spojrzała na niego z taką nienawiścią, że zrozumiał, iż nigdy go nie kochała.

- Tak, grozę. Informuję cię, że jeśli nie urodzisz tego dziecka, jeśli stracisz je, nawet przypadkiem, nie dam ani centa. Zachowaj je, urodź, oddaj mnie, a ja dam ci rozwód i stosowną odprawę... honorowo. Zgadzasz się?

- Muszę to przemyśleć.

Julian ruszył w jej kierunku, pierwszy raz w życiu czując furię w stosunku do kobiety; szarpnął ją za długie, jasne włosy.

- Lepiej myśl szybko. Jeśli zabijesz moje dziecko, przysięgam, że ja zabiję ciebie.

Odepchnął ją i wyszedł z domu. Nie było go przez wiele godzin - pił i płakał, a do domu wrócił w takim stanie, że niemal zapomniał, co go tak zdenerwowało. Rano Yvonne powiedziała mu, że się zgadza i urodzi dziecko. Najpierw jednak chciała zawrzeć ugodę. Julian obiecał skontaktować się z adwokatami. Dał jej jasno do zrozumienia, że chce, aby nadal z nim mieszkała; może się przeprowadzić do pokoju gościnnego, ale on zamierza dopilnować, by dbała o siebie. Chciał też być przy porodzie.

Spojrzała jadowitym wzrokiem i przemówiła twardym, zgryźliwym tonem, nie pozostawiającym najmniejszej wątpliwości, co czuje do Juliana i do jego dziecka.

- Brzydę się ciebie.

Nienawidziła każdej minuty ciąży. Przez kilka pierwszych miesięcy Phillip przyjeżdżał, by się spotykać z Yvonne, ale po świętach Bożego Narodzenia stało się to zbyt kłopotliwe. Sytuacja zanadto się skomplikowała. Nie przeszkadzało mu, że Julian wie, po co przyjeżdża; prawdę mówiąc, raczej go to cieszyło. Zdawał sobie jednak sprawę, że matka także jest poinformowana, a z nią nie chciał zadzierać. Obiecał Yvonne, że pojedą razem na wakacje w czerwcu, po urodzeniu dziecka. Po tym znienawidziła Juliana jeszcze bardziej. Uważała, że wszystko zrujnował, zabrał jej wszystko, do czego dążyła. Bardziej niż cegokolwiek w życiu chciała mieć Phillipa, chciała zostać księżną. Ten jednak stwierdził, że byłby nawet gotowy opuścić żonę, ale nie teraz, kiedy jej matka jest bardzo chora. Yvonne była tym bardzo wytrącona z równowagi, na dodatek istniał jeszcze problem dziecka. Phillip namawiał ją, by czekała i zachowała zimną krew, co słysząc wpadała w jeszcze większą histerię. Potem zaczęła codziennie wydzwaniać do Phillipa w najzupełniej nieodpowiednim czasie, na przemian wymyślając mu lub kusząc przez telefon w biurze i w domu. Przypominała mu, co razem robili, a on wtedy zaczynał ją błagać o więcej, drżał, odczuwał ból i już nie mógł się doczekać czerwca. Spowodowała, że ponownie oszalał na jej punkcie - teraz czekanie na poród stało się dla Yvonne mniej bolesne. Rozmawiali przez telefon codziennie, zwykle po kilka razy, i były to telefony erotyczne - Yvonne opowiadała ze szczegółami, co będzie mu robić, kiedy wyjadą razem po urodzeniu dziecka. Właśnie tego chciał od niej, Phillip uwielbiał to.

Yvonne i Julian ledwie rozmawiali ze sobą. Przeniosła się do drugiego pokoju, wyglądała równie źle, jak się czuła. Przez pierwsze sześć miesięcy wymiotowała, po dwóch miesiącach przerwy torsje wróciły. Julian uważał, że Yvonne co najmniej w połowie zawdzięcza to swym urazom i silnemu wzburzeniu. Słyszał, że bez przerwy dzwoni do Phillipa na jego rachunek, ale nie protestował. Nie wiedział, co przyniesie przyszłość, starał się sobie wmówić, że nic go to nie obchodzi. Ale to nie była prawda - Julian boleśnie przeżywał ostatnie wydarzenia. Pocieszała go jedynie myśl o dziecku, które Yvonne zgodziła się urodzić i mu oddać. Nie żądała prawa do opieki, odwiedzin, nie zgłaszała żadnych roszczeń. Dziecko bez reszty będzie należało do Juliana. Za jedyne milion dolarów. Play or pay! Zgodził się za to zapłacić. Po urodzeniu dziecka.

O całej sprawie rozmawiał z matką tylko raz - by jej wytłumaczyć, dlaczego chce sprzedać część swych udziałów w przedsiębiorstwie. Spłacając Yvonne, pozbawiał się wszystkich oszczędności, ale wiedział, że warto.

- Przykro mi, że sam wlałem w to bagno - przepraszał Sarę pewnego dnia.

- To absurd - stwierdziła matka. - To twoje życie i nie musisz mnie przepraszać ani niczego wyjaśniać. Jesteś jedyny, którego to zraniło. Żałuję, że do tego doszło - powiedziała synowi.

- Ja też... ale przynajmniej będę miał dziecko - uśmiechnął się smutno i wrócił do swego domu, w którym trwała zimna wojna.

Wynajął już pielęgniarkę do dziecka, przygotował dla niego pokój; nawet Isabelle obiecała, że przyjedzie z Rzymu, aby mu pomóc. Julian nie miał najmniejszego pojęcia o opiece nad noworodkami, ale zamierzał się tego nauczyć. Yvonne zapowiedziała, że wprost ze szpitala wróci do swojego mieszkania. Następnie mieli dopełnić umowy - jej konto bankowe miało się powiększyć o milion dolarów.

Poród przewidywano nie wcześniej niż w maju, ale Yvonne zaczęła się pakować już w końcu kwietnia, jakby nie mogła się doczekać, kiedy od niego odejdzie; Julian patrzył z niedowierzaniem.

- Czy ty nic nie czujesz do tego dziecka? - zapytał ze smutkiem, już nie myśląc nawet o sobie. Od dawna znał odpowiedź na to pytanie. Zależało jej jedynie na Phillipie.

- A dlaczego miałabym coś czuć? Nigdy go nie widziałam. - Była pozbawiona instynktu macierzyńskiego, wszelkich ludzkich uczuć. Nawet nie wiedziała, co to są wyrzuty sumienia. Interesowało ją jedynie utrzymanie związku z Phillipem. Właśnie zawiadomił Yvonne, że zarezerwował pensjonat na Majorce w pierwszym tygodniu czerwca. Nie dbała, dokąd pojedą, byle razem z nim. Zamierzała dopilnować, by nie ominięło jej nic z tego, co zaplanowała.

Pierwszego maja w biurze Juliana zadzwonił telefon. Lady Whitfield zgłosiła się właśnie do kliniki w Neuilly, tej samej, w której on się urodził, w przeciwieństwie do swych bardziej przedsiębiorczych brata i siostry, których odbierał w Chateau de la Meuze ojciec.

Emanuelle zobaczyła, że Julian wychodzi; zapytała, czy chce, aby mu towarzyszyła, ale zaprzeczył ruchem głowy i pośpieszył do samochodu. Pół godziny później znalazł się w szpitalu; niecierpliwie przemierzał korytarz, czekając aż pozwoli mu wejść do sali porodowej; przez chwilę obawiał się, że Yvonne nie zgodzi się, by go tam wpuszczono. Ale po kilku minutach przyszła po niego pielęgniarka, wręczyła zielony uniform z bawełny i coś, co przypominało czepek kąpielowy. Pokazała, gdzie może się przebrać, a następnie zaprowadziła na salę porodową. Yvonne między atakami bólu rzucała mu nienawistne spojrzenia.

- Przykro mi... - poczuł nagłe współczucie, chciał ją wziąć za rękę, ale ona usunęła swoją, chwytając za blat stołu. Miała wielkie trudności, położna stwierdziła jednak, że wszystko przebiega normalnie, bardzo szybko, jak na pierwsze dziecko.

- Mam nadzieję, że to wkrótce się skończy - szepnął do Yvonne nie wiedząc, co jeszcze mógłby jej powiedzieć.

- Nienawidzę cię - syknęła przez zaciśnięte zęby, starając się myśleć o tym, że dostanie milion dolarów i że gra jest warta świeczki. Niezwykły sposób na zdobycie fortuny.

Akcja porodowa spadła na jakiś czas; lekarze dali Yvonne zastrzyk i poród ciągnął się dalej; Julian siedział cały w nerwach, zastanawiając się, czy wszystko przebiega prawidłowo. Uzmysłowił sobie, że znajduje się obok kobiety, której już nie kocha, a ona wyraźnie go nienawidzi. Oboje czekali, aż urodzi się ich dziecko - zaiste paranoiczno-surrealistyczna sytuacja. Julian żałował, że nie zaprosił kogoś do towarzystwa. Nagle poczuł się bardzo samotny.

Wysiłki Yvonne przybrały na sile - Julian musiał przyznać, że ogromnie jej współczuje; to wszystko wyglądało okropnie. Natura nie przyjmowała do wiadomości jej obojętnego stosunku do dziecka, tego, że nie chciała go urodzić - niezależnie od wszystkiego kazała jej płacić cierpieniem. Yvonne pracowała długo, ciężko, chwilami nawet zapominała o nienawiści do Juliana, pozwalając, by jej pomagał. Przytrzymał jej barki i dłonie; wszyscy obecni dopingowali ją aż do wieczora. W pewnej chwili rozległ się długi, wysoki dźwięk przypominający jęczenie i malutka czerwona twarzyczka gniewnie spojrzała na podtrzymującego ją lekarza. Oczy Yvonne napełniły się łzami, kiedy spojrzała na dziecko, uśmiechnęła się na moment, i odwróciła twarz. Lekarz podał syna Julianowi, który płakał otwarcie, nie odczuwając wstydu; przysunął małą główkę do swej twarzy. Dziecko usłyszało go i na chwilę przestało płakać.

- O Boże, jest taki piękny - powiedział Julian, zachwycając się synem. Nieśmiało wyciągnął go w stronę Yvonne. Potrząsnęła przecząco głową i ponownie się odwróciła. Nie chciała go nawet zobaczyć.

Pozwolono, by Julian zabrał dziecko do poczekalni - trzymał tam syna czekając, aż przyprowadzą Yvonne. Poprosiła go, by wyszedł - chciała zatelefonować do Phillipa. Zwróciła się do położnej, by zabrała dziecko do pomieszczenia dla noworodków i nie przynosiła go. Spojrzała na mężczyznę, ojca ledwie narodzonego syna i swojego męża. Na twarzy młodej kobiety nie było śladu emocji.

- Myślę, że czas się pożegnać - powiedziała spokojnie, ale nie wyciągnęła do niego ręki, nie rzuciła mu się w ramiona, nie dała żadnej nadziei. Spojrzał na Yvonne ze łzami w oczach i kiwnął głową.

- Żałuję, że tak się ułożyły nasze sprawy - powiedział ze smutkiem. - Dziecko jest takie śliczne, prawda?

- Zdaje się, że tak - wzruszyła ramionami.

- Zapewnię mu dobrą opiekę - wyszeptał, podszedł bliżej i pocałował ją w policzek. Tyle wysiłku włożyła na darmo, a teraz go porzuca. Serce Juliana krwawiło, ale Yvonne obce było takie uczucie. Tylko on płakał.

Zanim wyszedł, spojrzała na niego wzrokiem osoby rzeczowej, dbającej o swoje interesy.

- Dziękuję za pieniądze.

Tylko tyle dla niej znaczył. Teraz mogła żyć według własnego uznania.

Opuściła szpital następnego dnia. Tego samego ranka pieniądze znalazły się na jej koncie w banku. Zgodnie z przyrzeczeniem, Julian zapłacił jej za swoje własne dziecko milion dolarów. Zabrał do domu syna razem z piastunką. Dał mu na imię Maximillian. Max. To imię pasowało do dziecka. Po południu tego dnia przyjechała w odwiedziny Sara z Xavierem, a wieczorem przyleciała z Rzymu Isabelle. Całymi godzinami kołysała małego, siedząc w fotelu na biegunach. Trzymała dziecko na rękach i myślała, że z tęsknoty pęknie jej serce. Dopiero rozpoczynał życie, a już zdążył stracić matkę. Zyskał jednak rodzinę, która przyjęła go z miłością.

- Masz szczęście - szepnęła nocą do brata, gdy oboje patrzyli na śpiącego Maxa.

- Pół roku temu nie powiedziałbym tego - odrzekł Julian - ale teraz zgadzam się. Było warto.

Rozważał, dokąd udała się Yvonne, zastanawiał się, czy jest jej przykro, ale nie przypuszczał, by tak było. Tej nocy położył się spać myśląc o swym synu i o szczęściu z jego posiadania.

Rozdział trzydziesty

W tym roku rodzina ponownie zgromadziła się w sierpniu na urodzinach Sary, chociaż nie byli w komplecie. Odeszła naturalnie Yvonne, także Phillip dyskretnie trzymał się z dala, wymawiając się ogromem zajęć w Londynie. Od Nigela, który wciąż jeszcze pracował, Sara usłyszała, że sąd orzekł separację Phillipa i Cecily, ale nic nie powiedziała Julianowi.

Julian przyjechał naturalnie z Maxem i jego nianią. Większość czynności przy dziecku wykonywał sam - widać było, że to uwielbia. Sara z uznaniem przyglądała się, jak przebiera Maxa, kąpie go, karmi i ubiera. Żałowała tylko Isabelle. W jej oczach wciąż czaiła się tęsknota, która raniła Sarę do żywego. Teraz miały więcej okazji do rozmowy - tego lata Isabelle przyjechała do zamku bez Lorenza. To były ostatnie wakacje, jakie spędzał w domu Xavier. Wkrótce miał zacząć studia na uniwersytecie Yale; miał siedemnaście lat i Sara była z niego bardzo dumna. Jako główny przedmiot wybrał nauki polityczne, jako dodatkowy - geologię. Planował spędzić jeden rok studiów w Afryce, realizując specjalny program.

- Będzie nam ciebie brakowało - powiedziała Sara, a wszyscy to zgodnie potwierdzili. Sama zamierzała teraz mniej przebywać w zamku, a więcej w Paryżu, by nie odczuwać samotności. Przy swoich sześćdziesięciu sześciu latach ciągle powtarzała, że firmą kierują razem; ale prawdą było, że to ona trzymała wszystko silną ręką, mając do pomocy Emanuelle, która właśnie ukończyła sześćdziesiątkę. Sarze trudniej było w to uwierzyć niż we własny wiek.

Xavier był bardzo podekscytowany wyjazdem do Yale - Sara nie mogła go za to winić. Miał przyjechać na Boże Narodzenie, a Julian obiecał odwiedzić go w Ameryce podczas podróży do Nowego Jorku w interesach. Bracia rozmawiali o tym, podczas gdy Sara wraz z Isabelle zniknęły w ogrodzie. Isabelle dyskretnie zapytała matkę, co się dzieje z Phillipem. Ona także słyszała pogłoski o jego separacji. Echa romansu z Yvonne dotarły do niej minionego lata za pośrednictwem Emanuelle.

- To była paskudna sprawa - powiedziała Sara z westchnieniem, ciągle jeszcze przejęta. Julian zniósł to całkiem dobrze, przede wszystkim dzięki dziecku.

- Nie ułatwiamy ci życia, mamó, prawda? - zapytała ze smutkiem Isabelle, a Sara uśmiechnęła się.

- Przede wszystkim dotyczy to was samych - odparła.

Isabelle roześmiała się słysząc te słowa.

- Chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? Czy Enzo w końcu zdecydował się wyprowadzić?

- Nie - Isabelle potrząsnęła głową, jej oczy napotkały wzrok matki. Sara zauważyła, że córka wygląda na spokojniejszą niż dawniej. - Jestem w ciąży.

- Co takiego? - Sara była zszokowana, sądziła, że na to nie ma już nadziei. - Naprawdę? Zaskoczona, ze wzruszeniem objęła córkę ramieniem.

- Ależ kochanie, to cudownie! - po chwili odsunęła się od niej ze zdziwieniem. - Co na to mówi Lorenzo? Pewnie wychodzi ze skóry.

Perspektywa utrwalenia tego małżeństwa nie wydała się Sarze zbyt dobrą wiadomością.

Isabelle roześmiała się, mimowolnie poruszona absurdalnością sytuacji.

- Mamo, to nie jego dziecko!

- O Boże!

Sprawy znowu się komplikowały. Sara usiadła na niskim murku i popatrzyła na Isabelle.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- To jest wspaniały człowiek. Spotykam się z nim od roku... mamo, nic na to nie poradzę. Mam dwadzieścia sześć lat, nie mogę prowadzić takiego jałowego życia. Muszę kogoś kochać... z kimś rozmawiać.

- Rozumiem - Sara opanowała emocje. Rozumiała to naprawdę. Bardzo jej się nie podobało, że Isabelle jest samotna, że ma przed sobą tak mało perspektyw. - Ale dziecko? Czy Enzo wie o tym?

- Powiedziałam mu. Miałam nadzieję, że rozłości się na tyle, by mnie wreszcie opuścić, ale mówi, że go to nic nie obchodzi. Co więcej, w ubiegłym tygodniu powiedział o tym swoim znajomym, a oni złożyli mi gratulacje. Chyba jest szalony.

- Nie, chciwy - powiedziała Sara rzeczowym tonem. - A ojciec dziecka? Co on mówi? Kto to jest?

- Jest Niemcem. Z Monachium. To szef bardzo poważnej fundacji, która się tam mieści, jego żona jest bardzo znaną postacią i nie chce rozwodu. On ma teraz trzydzieści sześć lat, musieli się pobrać, kiedy miał dziewiętnaście. Żyją oddzielnie, ale ona nie chce skandalu wiążącego się z rozwodem.

- A co on myśli o skandalu związanym z nieślubnym dzieckiem?

- Nie jest tym zachwycony. Ja też nie jestem, ale jaki mam wybór? Czy sądzisz, że Lorenzo kiedykolwiek ode mnie odejdzie?

- Spróbujemy. Ale co z tobą? - przenikliwie spojrzała na córkę. - Czy jesteś szczęśliwa? Czy tego właśnie chcesz?

- Tak, naprawdę go kocham. Nazywa się Lukas von Ausbach.

- Słyszałam o tej rodzinie, ale to nie ma znaczenia. Czy sądzisz, że kiedykolwiek ożeni się z tobą?

- Jeśli będzie mógł - Isabelle była z matką szczerą.

- A jeśli nie będzie mógł? Jeśli żona nie pozwoli mu odejść? Co wtedy?

- Przynajmniej będę miała dziecko.

Tak bardzo marzyła o tym, obserwując Juliana i Maxa.

- A tak nawiasem mówiąc, kiedy przypada termin?

- W lutym. Przyjedziesz? - zapytała nieśmiało Isabelle, a matka potwierdziła skinieniem głowy.

- Naturalnie - wzruszyło ją to pytanie. - Czy Julian o tym wie?

Ci dwoje byli ze sobą tak blisko, że trudno sobie wyobrazić, by mógł nie wiedzieć. Isabelle odparła, że poinformowała go o tym dziś rano.

- I co powiedział?

- Że jestem taką samą wariatką jak on - Isabelle uśmiechnęła się.

- To musi być cecha genetyczna - rzekła Sara podnosząc się; wracały do zamku. W każdym razie jedno było pewne. Z jej dziećmi nie sposób było się nudzić.

We wrześniu Xavier wyjechał do Yale, tak jak planowano, a w październiku odwiedził go w New Haven Julian. Xavierowi wiodło się dobrze, polubił uniwersytet, mieszkał w pokoju z dwoma sympatycznymi kolegami. Miał bardzo atrakcyjną dziewczynę, która gościła na kolacji zorganizowanej przez Juliana. Bardzo przyjemnie spędzili czas. Xavier z zadowoleniem powitał swą amerykańską szansę, na Dzień Dziękczynienia planował wyjazd do Kalifornii, by odwiedzić ciotkę Jane.

Po powrocie do Paryża Julian dowiedział się, że Phillip i Cecily są w trakcie sprawy rozwodowej, a około Bożego Narodzenia ujrzał zdjęcie brata i swojej byłej żony w czasopiśmie "Tatler". Przy najbliższej okazji pokazał je Sarze, a ona zmarszczyła brwi z niezadowoleniem. Nie była zachwycona tym, co zobaczyła.

- Czy sądzisz, że on się z nią ożeni? - Sara zapytała Emanuelle, gdy nieco później rozmawiały na ten temat.

- To możliwe - nie pokładała w nim, zwłaszcza ostatnio, takiej wiary jak kiedyś. - Może to zrobić choćby tylko po to, by zdenerwować Juliana.

Zazdrość Phillipa o brata nigdy nie osłabła, a z biegiem czasu jeszcze się nasilała.

Xavier wrócił do domu na Boże Narodzenie, by po kilku dniach polecieć z powrotem do Stanów. Sara udała się wtedy do Rzymu, by dopilnować sklepu i pomóc Isabelle przygotować się do narodzin dziecka.

Na szczęście Marcello nadal pracował w ich magazynie; miał mnóstwo obowiązków w związku z planowanym odejściem Isabelle. Nic się tu nie zmieniło od otwarcia - interes kwitł. Sara uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy zobaczyła córkę wydającą energicznie, po włosku, polecenia otaczającym ją wianuszkami pracownikom. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek, tyle że była strasznie gruba. Sara przypomniała sobie własne ciążę - jej dzieci też zawsze były wielkie. Isabelle robiła wrażenie uszczęśliwionej.

Wkrótce po przyjeździe Sara zaprosiła zięcia na lunch do El Toula i zaraz po pierwszym daniu przeszła do zasadniczej kwestii.

Tym razem rozmawiała z Lorenzem bez ogródek.

- Lorenzo, oboje jesteśmy dorośli - był prawie w wieku Sary, Isabelle zaś była jego żoną od dziewięciu lat. Płaciła wysoką cenę za błąd młodości i Sara była zdecydowana pomóc córce przestać ponosić konsekwencje tej pomyłki. - Od dawna nie jesteście szczęśliwi z Isabelle. To dziecko... cóż, oboje znamy sytuację. Trzeba nazwać rzeczy po imieniu, nie sądzisz?

- Moja miłość dla Isabelle nigdy nie wygaśnie - powiedział z teatralnym gestem, a Sara z najwyższym trudem zachowała spokój.

- Niewątpliwie. To musi być bardzo bolesne dla was obojga, a dla ciebie z całą pewnością - zdecydowała się zmienić taktykę, potraktować go jako poszkodowanego. - I ten okropny wstyd, jaki cię czeka z powodu dziecka. Czy nie sądzisz, że nadeszła pora na mądrą inwestycję? Zgodzisz się, by Isabelle rozpoczęła nowe życie?

Nie wiedziała, jak inaczej można to ująć. Zapytać "ile?" byłoby nieco brutalne, choć czuła taką pokusę. Żałowała bardziej niż kiedykolwiek, że nie ma przy niej Williama. Ale Enzo wnet zrozumiał, o co chodzi Sarze.

- Inwestycję? - zapytał patrząc z nadzieją.

- Właśnie. Pomyślałam, że przy swojej pozycji zapewne chciałbyś mieć amerykańskie akcje. Albo włoskie, jeżeli wolisz.

- Akcje? Ile akcji? - przerwał jedzenie, by nie uronić ani słowa.

- A ty o ilu myślisz?

Przyglądając się Sarze, uczynił nieokreślony gest ręką.

- Ma... (Ma (wł.) - ale - przyp. tłum). Nie wiem... pięć... dziesięć milionów dolarów? - starał się ją wybadać, ale Sara potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie. Milion, może dwa. Z pewnością nie więcej.

Rozpoczęły się negocjacje, a Sara była zadowolona z ich przebiegu. Był drogi, ale jednocześnie dostatecznie chciwy, by zgodzić się na to, o co jej chodziło.

- I dom w Rzymie?

- Musiałabym naturalnie przedyskutować to z Isabelle, ale jestem pewna, że ona znajdzie sobie inny.

- Dom w Umbrii? - Chciał mieć wszystko.

- Doprawdy nie wiem, Lorenzo. Będziemy musieli pomówić o tym z Isabelle.

Kiwnął głową bez sprzeciwu.

- Wiesz, interesy, sklep z biżuterią - wszystko idzie tu doskonale.

- Tak, rzeczywiście - odparła wstrzemięźliwie.

- Byłbym bardzo zainteresowany wejściem z tobą w spółkę.

Miała ochotę dać mu w twarz, ale nie zrobiła tego.

- Wykluczone. Rozmawiamy o inwestycji gotówkowej, nie o spółce.

- Rozumiem. Będę musiał to przemyśleć.

- Mam nadzieję, że to zrobisz - powiedziała spokojnie, płacąc rachunek; nie wykonał najmniejszego gestu, by ją wyręczyć.

Sara nie wspomniała Isabelle o tym lunchu. Nie chciała budzić fałszywych oczekiwań, gdyby nie połknął przynęty i upierał się przy dotychczasowym statusie ich małżeństwa. Miała jednak nadzieję, że Lorenzo tak nie postąpi.

Dziecko miało urodzić się za miesiąc; Isabelle bardzo chciała przedstawić matkę Lukasowi. Od dwóch miesięcy wynajmował on mieszkanie w Rzymie, nadzorując tu pewien projekt. Mógł więc być razem z Isabelle, w czasie gdy urodzi dziecko. Sara musiała przyznać rację córce - tym razem wybrała właściwie. Jedyne jego słabe punkty to rodzina w Monachium.

Był młody, wysoki, nieco surowy i miał włosy ciemne jak Isabelle, przepadał za wypoczynkiem na świeżym powietrzu, jazdą na nartach, dziećmi, sztuką i muzyką, miał cudowne poczucie humoru. Usiłował namówić Sarę na otwarcie sklepu w Monachium.

- Ja już o takich sprawach nie decyduję - powiedziała ze śmiechem, a Isabelle pogroziła jej palcem.

- Ależ tak, mam, decydujesz, nie udawaj.

- W każdym razie nie ja sama.

- No i co o tym myślisz? - napierała córka.

- Myślę, że jest za wcześnie na podejmowanie decyzji. A jeśli ty pojedziesz otwierać sklep w Monachium, kto zajmie się Rzymem?

- Marcello może prowadzić tutejszy magazyn beze mnie, z zawiązanymi oczyma. Wszyscy go lubią.

Sara także go lubiła, ale otwarcie nowego sklepu nadal pozostawało bardzo poważną decyzją.

Spędzili razem wspaniały wieczór, a później Sara powiedziała Isabelle, że Lucas to wspaniały chłopak. Następnie zaprosiła na kolejny lunch Lorenza, który jeszcze nie zdążył podjąć ostatecznej decyzji. Sara dyskretnie wypytała córkę, co myśli o tych dwóch domach, które do nich należą, Isabelle stwierdziła zaś, że obu ich jednakowo nie cierpi i Lorenzo może je sobie zabrać, jeśli tylko uwolni ją od siebie.

- Dlaczego o to pytasz? - zacięła się, ale Sara dała wymijającą odpowiedź. Podczas drugiego lunchu wyciągnęła asa z rękawa przypominając Lorenzowi, że istnieją podstawy do anulowania ślubu w kościele katolickim, jeśli Isabelle udowodni mu oszustwo. Zawarł z nią małżeństwo mając świadomość, że nie może mieć dzieci, i ukrył to przed nią. Sara patrzyła na niego ze spokojem, ale twardo, i niemal wybuchnęła śmiechem widząc, że wpada w panikę. Usiłował zaprzeczać, mówił, że o tym nie wiedział, ale Sara nie ustąpiła ani o krok. Obniżyła gotówkową ofertę z dwóch do jednego miliona dolarów i zaoferowała oba domy. Powiedział, że da odpowiedź i zniknął, znów pozostawiając ją z rachunkiem do zapłacenia.

Julian telefonował co kilka dni, dowiadując się o zdrowie siostry; w połowie lutego Isabelle zaczęła odchodzić od zmysłów. Lukas miał za dwa tygodnie wracać do Monachium, dziecko nie chciało się urodzić, a ona stawała się grubsza z minuty na minutę. Przerwała pracę, nie miała nic do roboty, jak twierdziła, z wyjątkiem kupowania sobie torebek i zjadania lodów.

- Dlaczego akurat torebek? - zapytał brat zaciękwiony tym nowym fetyszem.

- Tylko one mi pasują. Nie mogę już nawet nosić butów.

Śmiał się, a potem spoważniał - opowiedział jej, że zadzwoniła Yvonne z informacją, iż w kwietniu wychodzi za Phillipa.

- To będzie interesujące w przyszłości - powiedział ze smutkiem. - W jaki sposób wyjaśnię Maxowi, że jego ciotka jest w gruncie rzeczy jego matką, albo odwrotnie?

- Tym się nie martw. Może do tego czasu znajdziesz mu nową matkę.

- Pracuję nad tym. - Starał się powiedzieć to lekkim tonem, ale oboje wiedzieli, jak bardzo martwi go sprawa Yvonne i Phillipa.

Był to okropny cios, straszliwy policzek, jaki wymierzył mu starszy brat.

- On zawsze musiał nienawidzić mnie o wiele bardziej, niż sądziłem - wyznał ze smutkiem Julian.

- On najbardziej ze wszystkich nienawidzi samego siebie - odpowiedziała rozsądnie. - Myślę, że zawsze zazdrościł nam wszystkim. Nie wiem dlaczego. Może podobało mu się, że podczas wojny miał mamę tylko dla siebie, czy coś w tym rodzaju. Po prostu nie wiem. Ale jedno mogę ci powiedzieć - Phillip nie jest szczęśliwym człowiekiem i z nią też nie zazna szczęścia. Yvonne wychodzi za niego jedynie dlatego, by móc zostać księżną Whitfield.

- Czy naprawdę uważasz, że o to chodzi? - Julian nie mógł się zdecydować, co by wolał, ale przynajmniej było to jakieś wyjaśnienie.

- Jestem tego pewna - odparła Isabelle bez wahania. - W momencie, w którym pierwszy raz go spotkała, rozpoczęła ofensywę i już nie wypuściła go z rąk.

- No cóż, w każdym razie trafiła mu się doskonała dupa - Julian roześmiał się, a ona zachichotała.

- Wygląda na to, że lepiej się czujesz.

- Mam nadzieję, że o tobie wkrótce też będzie można to samo powiedzieć. Wydaj w końcu tego dzieciaka na świat.

- Staram się!

Robiła wszystko, co możliwe. Codziennie odbywali z Lukaszem długie spacery, chodziła po zakupy z matką, wykonywała różne ćwiczenia, pływała w basenie przyjaciół. Poród był już opóźniony o trzy tygodnie, Isabelle zaczęła odchodzić od zmysłów. Z Lorenzem nie rozmawiała od dwóch tygodni, nie miała pojęcia, co on wyczynia, ale nic jej to nie obchodziło. Wreszcie któregoś dnia po spacerze, który zdawał się nie mieć końca, i zjedzeniu faski makaronu w trattorii, poczuła, że się zaczyna.

Kiedy wieczorem powiedziała o tym Lukaszowi - Isabelle mieszkała w jego apartamencie - natychmiast kazał jej wstać i chodzić po mieszkaniu, twierdząc, że to przyspieszy rozwiązanie. Zadzwoniła do hotelu do matki i Sara natychmiast przyjechała taksówką; siedzieli do północy, popijali wino i rozmawiali. Isabelle zaczęła robić wrażenie roztargnionej. Nie śmiała się z dowcipów, nie odbierała jednoznacznie pewnych sformułowań i zirytowała się na Lukasa, kiedy zapytał, jak się czuje.

- Dobrze.

Nie wyglądało na to, by mówiła prawdę. Sara nie mogła się zdecydować, czy wracać do siebie, czy zostać; nie chciała im zakłócać spokoju. Dokładnie wtedy, gdy postanowiła wyjść, ból się wzmógł i odeszły wody. Sara przypominała sobie poród Isabelle, która przyszła na świat tak szybko i zdecydowanie; ale była ona czwartym dzieckiem Sary, córka zaś rodziła swojego pierwszego potomka. Mało prawdopodobne, by wszystko odbyło się równie szybko.

Kiedy zadzwonili do lekarza w klinice Salvator Mundi, natychmiast kazał im przyjeżdżać. Gdy samochodem Lukasa przemierzali Via delle Mura Gianicolensi, Sara z napięciem przyglądała się córce. Wreszcie urodzi dziecko, którego od tak dawna pragnęła. Matka miała nadzieję, że pewnego dnia Isabelle będzie miała także Lukasa.

Pielęgniarki w szpitalu były bardzo miłe, umieściły Isabelle w przeznaczony dla niej sali porodowej. Kiedy przyszła matka lokowała się w dużym, nowoczesnym apartamencie, Sarze i Lukasowi zaproponowano kawę. Isabelle już wtedy miała bóle, a po godzinie powiedziała, że czuje straszny ucisk. W tym czasie Lukas rozmawiał z nią, trzymał ją za rękę, ocierał czoło wilgotną tkaniną, chłodził wargi chapstickiem. Nie odszedł ani na chwilę, nie przestawał do niej mówić, a Sara patrzyła na nich z podziwem. Cudownie było widzieć, że są sobie bliscy, że tak się kochają; Lukas czasem przypominał jej Williama. Wprawdzie nie wyróżniał się aż tak oryginalną osobowością, nie był równie przystojny ani wysoki, ale okazał się dobrym, uprzejmym, inteligentnym człowiekiem; i bez wątpienia kochał jej córkę. Z każdą chwilą lubiła go coraz bardziej.

W końcu Isabelle kucnęła na łóżku i zaczęła przeć; Lukas podtrzymywał ją. Potem położyła się, a on trzymał ją za ramiona i masował plecy. Był tak niestrudzony, że Sara czuła się nieprzydatna. Nagle Isabelle zaczęła przeć mocniej, cały pokój wydawał się huczeć od pracy i zachęt - wtedy zobaczyli główkę dziecka. Sara widziała, jak samo wydostaje się na zewnątrz. Maleńka dziewczynka wyglądała zupełnie jak Isabelle. Sara zaczęła płakać patrząc na córkę, po twarzy Isabelle spływały łzy radości; trzymała dziecko, a ją z kolei obejmował Lukas. Piękny widok, niezapomniana chwila! Kiedy o świcie Sara wracała do hotelu, czuła, że jej serce przepełnia miłość i czułość.

Gdy następnego dnia zadzwoniła do Lorenza, była gotowa zapłacić mu tyle, ile zażąda. Wyczuł to i wysunął żądania. Chciał mieć obydwa domy i trzy miliony dolarów. Stanowiło to wysoką cenę za wolność Isabelle, ale Sara ani przez moment nie wątpiła, że warto tyle zapłacić.

Powiedziała o tym córce po południu w szpitalu; twarz Isabelle rozjaśnił uśmiech wielkiej ulgi.

- Naprawdę? Jestem wolna?

Sara skinęła głową i pochyliła się, by ją pocałować. Isabelle stwierdziła, że to najwspanialszy prezent, jaki mogła jej dać matka. Trzymała dziecko, a Lukas spoglądał na nią z uśmiechem.

- Może chciałaby pani pojechać ze mną do Niemiec, Wasza Księżęca Wysokość - powiedział z nadzieją, a Sara wybuchnęła śmiechem.

Lukas przedłużył swój pobyt w Rzymie o następne dwa tygodnie, ale w końcu musiał wrócić do swoich spraw. Sara pozostała w Rzymie, dopóki Isabelle nie wyszła ze szpitala i pomogła córce w znalezieniu nowego domu. Zakochała się w dziecku. Dwoje najmłodszych wnucząt zrobiło na niej nieopisane wrażenie; mały Max był najwspanialszą osobką od czasów małego Juliana, a maleńka Ariadna była słodka jak cukierek.

W tym roku na urodziny Sary stawiło się wyjątkowo ciekawe grono ludzi. Isabelle przyjechała sama z dzieckiem, był także Julian z Maxem. Xavier tego lata znowu pojechał do Afryki, ale przesłał matce dwa wspaniałe szmaragdy wraz z precyzyjną instrukcją, jak należy je szlifować. Postanowili zrobić dwa pierścienie z kamieniami w kształcie kwadratu; Sara opowiedziała o tym projekcie Julianowi i pokazała mu przepiękne kamienie; wywarły na nim duże wrażenie.

Phillip pojawił się z Yvonne, co nie było zbyt miłe dla Juliana, ale byli już przecież małżeństwem. Sara odczuła to jako policzek. Najwyraźniej podłość kazała Phillipowi przyjechać z Yvonne do Chateau de la Meuze, niejako rzucić Julianowi w twarz wyzwanie. Młodszy brat wyszedł z tego obronną ręką, nie okazał urazy. Był takim uosobieniem poczciwości, że trudno było czegoś innego po nim oczekiwać. Yvonne nie wykazała najmniejszego zainteresowania dzieckiem, które urodziła przed rokiem. Nie spojrzała na nie ani razu podczas pobytu w zamku. Większość czasu pochłaniało jej przebieranie się i robienie makijażu. Skarżyła się na pokój, który dla niej przeznaczono - było jej za ciepło albo za chłodno, albo pokojówka była nie dość usłużna. Intrygujące dla Sary było to, że Yvonne ma na sobie nadzwyczajną ilość biżuterii. Niewątpliwie skłoniła Phillipa, by wydawał na nią mnóstwo pieniędzy. Wszystkim kazała się tytułować "Księżką Wysokością", co było przedmiotem rodzinnych dowcipów; Sara też zaczęła się zwracać do niej w ten sposób, a Yvonne zdawała się nie dostrzegać ironii.

Jak zwykle najbardziej zaskoczyła matkę Isabelle. Któregoś popołudnia ona i Sara bawiły się z Ariadną na trawniku. Dziewczynka miała sześć miesięcy i raczkowała. Była ogromnie zajęta, bo usiłowała zjeść źdźbło trawy. Wtedy to Isabelle wyznała matce, że w marcu znowu spodziewa się dziecka.

- Domyślam się, że mówisz o dziecku Lukasa, prawda? - z całym spokojem zapytała Sara.

- Oczywiście - roześmiała się Isabelle. Uwielbiała go, nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Lukas spędzał połowę czasu w Rzymie, a resztę w Monachium, co było całkiem niezłym podziałem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wciąż był żonaty, choć już jakby coraz mniej.

- Czy jest nadzieja, że szybko dostanie rozwód? - zapytała matka.

- Nie wydaje mi się. Myślę, że jego żona zrobi wszystko, by się temu przeciwstawić.

- Czy ona wie, że Lukas ma rodzinę gdzie indziej? Z dwojgiem dzieci? To mogłoby przeważać szalę na twoją korzyść.

- Jeszcze nie wie. Ale Lukas twierdzi, że jej powie, jeśli to będzie konieczne.

- Czy jesteś tego pewna, Isabelle? - zapytała Sara. - A co będzie, jeśli on nigdy od niej nie odejdzie, jeśli na zawsze zostaniesz sama z dwojgiem dzieci?

- Będę szczęśliwa, że je mam. Ty też byłaś szczęśliwa mając Phillipa i Elizabeth, kiedy tatuś nie wracał z wojny; nie wiedziałaś, czy go kiedykolwiek zobaczysz. Czasami nie ma żadnych gwarancji - Isabelle miała świadomość rzeczywistości, stawała się coraz rozsądniejsza. - Zamierzam się pogodzić z taką ewentualnością.

Sara szanowała ją za to - Isabelle prowadziła życie z pewnością niekonwencjonalne, ale zgodnie ze swoimi przekonaniem. Nawet rzymska elita gładko przełknęła ten pozorny skandal. Isabelle wróciła do sklepu. Choć pracowała już nie tyle, ile kiedyś, projektowała biżuterię i wszystko układało się wspaniale. Nadal myślała o filii w Monachium - jeżeli kiedykolwiek poślubi Lukasa, może otworzą w tym mieście sklep. Była tam garść prawdziwych koneserów i autentyczny rynek dla dobrej biżuterii.

Rozwód miał się dokonać z końcem roku, a to znaczyło, że drugie dziecko nie będzie nosiło nazwiska Enza. To była kolejna przeszkoda do przewyciężenia, ale Isabelle zdecydowała się z nią zmierzyć. Sara nie bała się już o córkę, która właśnie wracała z Ariadną samolotem do Rzymu. Wszyscy się już rozjechali, pomyślała. Prowadzą takie ciekawe życie. Ciekawe, choć skomplikowane.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W trzy lata później Xavier ukończył Yale z wyróżnieniem. Na uroczystość wręczenia dyplomów pojechała do Stanów prawie cała rodzina. Sara i Emanuelle przyjechały razem. Pojawił się oczywiście Julian, który zabrał ze sobą nieodłącznego Maxa; chłopczyk miał cztery latka i pracowicie usiłował zniszczyć wszystko wokół siebie. Przybyła też Isabelle, choć bez dzieci. Znowu była w ciąży - przyzwyczaili się już, że zawsze widują ją w odmiennym stanie. Będzie to jej trzecie dziecko w ciągu czterech lat. Ariadna i Kristian zostali z Lukaszem w Monachium. On ciągle nie miał rozwodu, ale Isabelle pogodziła się z losem. Jak można było się spodziewać, Phillip z Yvonne nie zadali sobie trudu, by przyjechać. Ona przebywała w szwajcarskim uzdrowisku, a on twierdził, że jest zanadto zajęty. Wysłał Xavierowi prezent - zegarek z nowego stoiska w Whitfield's. Zegarek zaprojektował Julian.

Ceremonia w Yale była wspaniała; nieco później wszyscy pojechali do Nowego Jorku i zatrzymali się w Carlyle. Julian żartobliwie perorował, że już czas, aby Xavier otworzył sklep w Nowym Jorku; brat odpowiedział dyplomatycznie, że to niewykluczone w bliżej nie sprecyzowanej przyszłości. Wszyscy wiedzieli, że najpierw zamierza powłóczyć się po świecie. Miał lecieć do Londynu, a stamtąd wprost do Cape Town. W najbliższych latach chciał się poświęcić wyłącznie wyszukiwaniu rzadkich kamieni dla Whitfield's. Później, być może, osiadzie na miejscu, ale nikomu nie obiecywał, że zrobi to na pewno. O wiele za dobrze czuł się w dżungli z oskardem, bronią i plecakiem, by kiedykolwiek chciał wziąć na siebie odpowiedzialność za taki sklep, jak placówki w Paryżu, Londynie czy Rzymie. Wolał szukać dla nich łupu w jakiejś dzikiej krainie. To było to, co Xavier lubił najbardziej. Rodzina szanowała go, choć w oczywisty sposób różnił się od pozostałych jej członków.

- Myślę, że stało się tak za sprawą kapelusza Davy'ego Crocketta, który nosiłeś jako dziecko - żartował z niego Julian. - Może coś z tego rekwizytu przeniknęło do twojej głowy?

- Tak musiało być - uśmiechnął się Xavier, okazując niezmacony spokój. Był przystojnym chłopcem, najbardziej ze wszystkich przypominał Williama, choć właściwie różnił się od ojca zasadniczo. Miał w Yale bardzo interesującą dziewczynę. Na jesieni wybierała się do Harvard Medical School, ale przedtem zgodziła się przyjechać do niego do Cape Town. Xavier jednak w tym czasie nie brał niczego poważnie, koncentrował się na swoich podróżach i zainteresowaniach kamieniami. Na uroczystość w Yale Sara założyła dwa ogromne pierścienie ze szmaragdami znalezionymi przez syna. Z upodobaniem nosiła je prawie co dzień.

Isabelle i Julian znaleźli opiekunkę dla Maxa i wybrali się wieczorem na drinka do baru Bemelmans; w sąsiedniej sali, gdzie siedziały Sara i Emanuelle, grał Bobby Short. Xavier ze swą dziewczyną pojechali na kolację do Greenwich Village.

- Czy myślisz, że on się kiedyś z tobą ożeni? - bez ogródek zapytał Julian, patrząc na zaokrągloną sylwetkę siostry; uśmiechnęła się i rozłożyła ręce w geście zakłopotania.

- Kto wie? Nie jestem przekonana, czy jeszcze mi na tym zależy. Jest tak, jakbyśmy byli małżeństwem. On jest przy mnie, ilekroć go potrzebuję, dzieci przywykły, że przyjeżdża i odjeżdża.

Isabelle spędzała teraz z Lukaszem wiele czasu w Monachium, jeżeli tylko mogła. Nawet Sara przystosowała się do tego wyjątkowego układu. Żona Lukasa wiedziała od dwóch lat o Isabelle, ale nadal odmawiała rozwodu. Mieli jakieś bardzo skomplikowane rodzinne interesy, posiadłości na północy, w które zainwestowali. Jednym słowem robiła wszystko, by unieruchomić jego pieniądze i tym samym powstrzymać od rozwodu.

- Może kiedyś do tego dojdzie. Na razie jesteśmy szczęśliwi.

- Wyglądasz na szczęśliwą - przyznał Julian. - Zazdroszczę ci tych wszystkich dzieciaków.

- A co z tobą? Słyszałam w Rzymie jakieś ploteczki - droczyła się siostra.

- Nie wierz we wszystko, co czytasz - zaczerwienił się. Miał teraz blisko trzydzieści sześć lat, nie ożenił się powtórnie, ale istniała aktualnie kobieta, w której był zakochany.

- W porządku, powiedz prawdę. Kto to jest?

- Consuelo de la Varga Quesada. Czy to coś ci mówi?

- Niewiele. Czy może jej ojciec był przed kilku laty ambasadorem w Londynie?

- Dokładnie. Jej matka jest Amerykanką, myślę, że także daleką kuzynką naszej mamy. Consuelo jest cudowna, spotkałem ją ubiegłej zimy w Hiszpanii. Jest artystką. Ale i katoliczką, a ja jestem rozwiedziony. Nie wydaje mi się, by jej rodzice byli szczególnie zachwyceni.

- Ale ty nie brałeś ślubu w kościele katolickim, a zatem w ich oczach nigdy nie byłeś żonaty

- po rozwodzie z Lorenzem Isabelle była w takich sprawach ekspertem. Przynajmniej tę część życia miała za sobą.

- To prawda. Myślę jednak, że oni są ostrożni. Dziewczyna ma dopiero dwadzieścia pięć lat. Och! Isabelle, ona jest taka słodka, pokochałabyś ją. Uwielbia Maxa i mówi, że chce mieć dwanaścioro dzieci.

Julian wyjął zdjęcie. Consuelo wyglądała na nim jak mała dziewczynka. Miała wielkie brązowe oczy, długie kasztanowe włosy i oliwkową cerę, która nadawała jej z lekka egzotyczny wygląd.

- Czy to poważna sprawa? - byłyby to jego pierwsza dziewczyna na serio od czasów Yvonne. Przez długi czas Julian znów był birbantem.

- Chciałbym, aby tak było. Ale nie wiem, jakie zdanie będą mieli o mnie jej rodzice i ona sama.

- Powinni być szczęśliwi. Jesteś najsympatyczniejszym mężczyzną, jakiego znam, Julianie - powiedziała Isabelle całując go z miłością.

- Dziękuję.

Nazajutrz znów wszyscy się rozpierchli jak ptaki. Julian poleciał do Paryża, a potem do Hiszpanii; Isabelle do Monachium, do Lukasa i dzieci, Sara i Emanuelle udały się do Paryża. Xavier ze swą przyjaciółką polecili do dalekiego Cape Town.

- Taka ruchliwa z nas kompania; jesteśmy rozrzućeni po świecie jak naród wybrany - powiedziała Sara, kiedy ich concorde wzbijał się w powietrze.

- Nie określiłabym tego w ten sposób - uśmiechnęła się do niej Emanuelle. Wraz ze swoim ministrem finansów wybierała się na długie wakacje. Jego żona zmarła w tym roku, a on oświadczył się Emanuelle. Odczuła to jako szok, ale jednocześnie wielką pokusę. Od tak wielu lat byli związani ze sobą i kochała go naprawdę.

- Powinnaś wyjść za niego - naciskała Sara; popijały szampana i jadły kawior.

- Po tylu latach aura powszechnego szacunku mogłaby okazać się zbyt wielkim szokiem dla mojego organizmu.

Sara przyklepała jej dłoń i uśmiechnęła się.

- Spróbuj.

Wróciła do zamku, rekapitulując w myślach dokonania swych dzieci. Miała nadzieję, że Isabelle nie będzie stała tak długo w kolejce jak Emanuelle. Rozbawiła ją myśl, że Emanuelle będzie teraz zameżna.

Rozdział trzydziesty drugi

Sara ponownie podeszła powoli do okna, aby na nich popatrzeć. Jacy byli śmieszni... jacy odmienni... jacy kochani. Uśmiechnęła się widząc ich wszystkich wysiadających z samochodów. Phillip i Yvonne z rolls-royce'a; ona piękna, przesadnie wystrojona i jak zwykle obwieszona biżuterią. Miała trzydzieści pięć lat, ale ciągle wyglądała jak dwudziestoletnia dziewczyna. Pracowała na to ciężko. Ta stuprocentowa egoistka myślała wyłącznie o tym, czego by można jeszcze zażądać. Phillip już dawno zrozumiał tę lekcję. Był związany z nią od dziewięciu lat, a jego nowa księżna małżonka była zdecydowanie wątpliwym nabytkiem. Czasem zastanawiał się, czy Julian przypadkiem nie miał szczęścia, że się jej pozbył. Przekorna fortuna puszczała do niego oko.

Zaraz po nich pojawiła się Isabelle - przyjechała komiczną furgonetką wynajętą na lotnisku. Wraz z Lukaszem wyładowali wózki, rowerki i inne dziecięce rekwizyty. Była trójka ich dzieci i jeszcze dwoje z jego pierwszego małżeństwa. Isabelle spojrzała w okno na pierwszym piętrze, jak gdyby wyczuła, że stoi w nim Sara, ale nie zobaczyła matki. Uśmiechnęła się przelotnie do Lukasa, kiedy podał jej dziecko i zabierał bagaże do zamku. Dzieci szczebiotały głośno, biegnąc po schodach w poszukiwaniu babci. Zanim ją znalazły, zajęły się już czymś innym. Isabelle zatrzymała się na moment i uśmiechnęła znacząco do Lukasa - hałas niósł się echem po hallu. Ich małżeństwo doszło wreszcie do skutku.

Julian przyjechał mercedesem sześćsetką - teść uparł się, by mu go dać w prezencie. To był niesamowity samochód. Bez przerwy wymagał napraw, ale wyglądał pięknie; poza tym mieściły się w nim wszystkie dzieci. Julian pomógł wysiąść Consuelo, która trzymała za rączki dwie małe dziewczynki. Szły za matką rozbawione, bardzo podobne do ojca. On konferował z ozywieniem z Maxem, który miał dziewięć lat i był ślicznym chłopcem. Gdy Consuelo odwróciła się, można było dostrzec wielki brzuch towarzyszący jej niedużej postaci. Kolejne dziecko miało urodzić się na jesieni. Trzecia pociecha w ciągu czterech lat! Julian i Consuelo byli bardzo pracowici.

Ostatni zjawił się Xavier, z plecakiem na ramieniu, w starym pożyczonym dżipie. Był mocno opalony, wyrósł na silnego, potężnego mężczyznę. Ten widok obudził w Sarze wspomnienia. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że nadchodzi William.

Gdy tak patrzyła na przybyłych, myślała o mężu, o życiu, które z nim dzieliła, o ukochanych dzieciach, które wchodziły same w świat, błądziły, po czym samodzielnie naprawiały błędy. Wszystkie były silne, dobre i kochające, jedne bardziej, drugie mniej. Ona kochała je wszystkie. Kiedy przechodziła koło stolika z fotografiami, zatrzymała się, by je obejrzeć. William... Joachim i Lizzie... oni wszyscy na zawsze mieli miejsce w jej sercu. A oto zdjęcie Sary w ramionach matki zaraz po urodzeniu... Jutro upłynie siedemdziesiąt pięć lat od tamtego dnia.

Ciekawe i zastanawiające, jak szybko to wszystko przeminęło, jak uleciały te chwile...
dobro i zło, słabość, siła, tragedie, zwycięstwa, osiągnięcia i straty.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi pokoju. To Max z dwiema siostrzyczkami.

- Szukaliśmy cię - oświadczył podekscytowany.

- Cieszę się, że przyjechaliście - uśmiechnęła się Sara, idąc w kierunku dzieci dumna, wyprostowana i nadal mocna. Szybko porwała go w ramiona mocno obejmując, potem wycalowała jego dwie siostrzyczki.

- Happy Birthday! - zawołały dzieci. Sara podniosła wzrok. Zobaczyła w drzwiach Juliana, Consuelo, Lukasa i Isabelle, Phillipa i Yvonne, Xaviera... gdyby zamknęła oczy, widziałaby też Williama. Wyczuwała wyraźnie jego obecność - zawsze tu był, u jej boku, w sercu, w każdym momencie.

- Happy Birthday! - zawołali unisono, a Sara uśmiechnęła się do nich, nie mogąc uwierzyć, że siedemdziesiąt pięć lat jej życia przeminęło jednym tchem.